J.-F. BORN

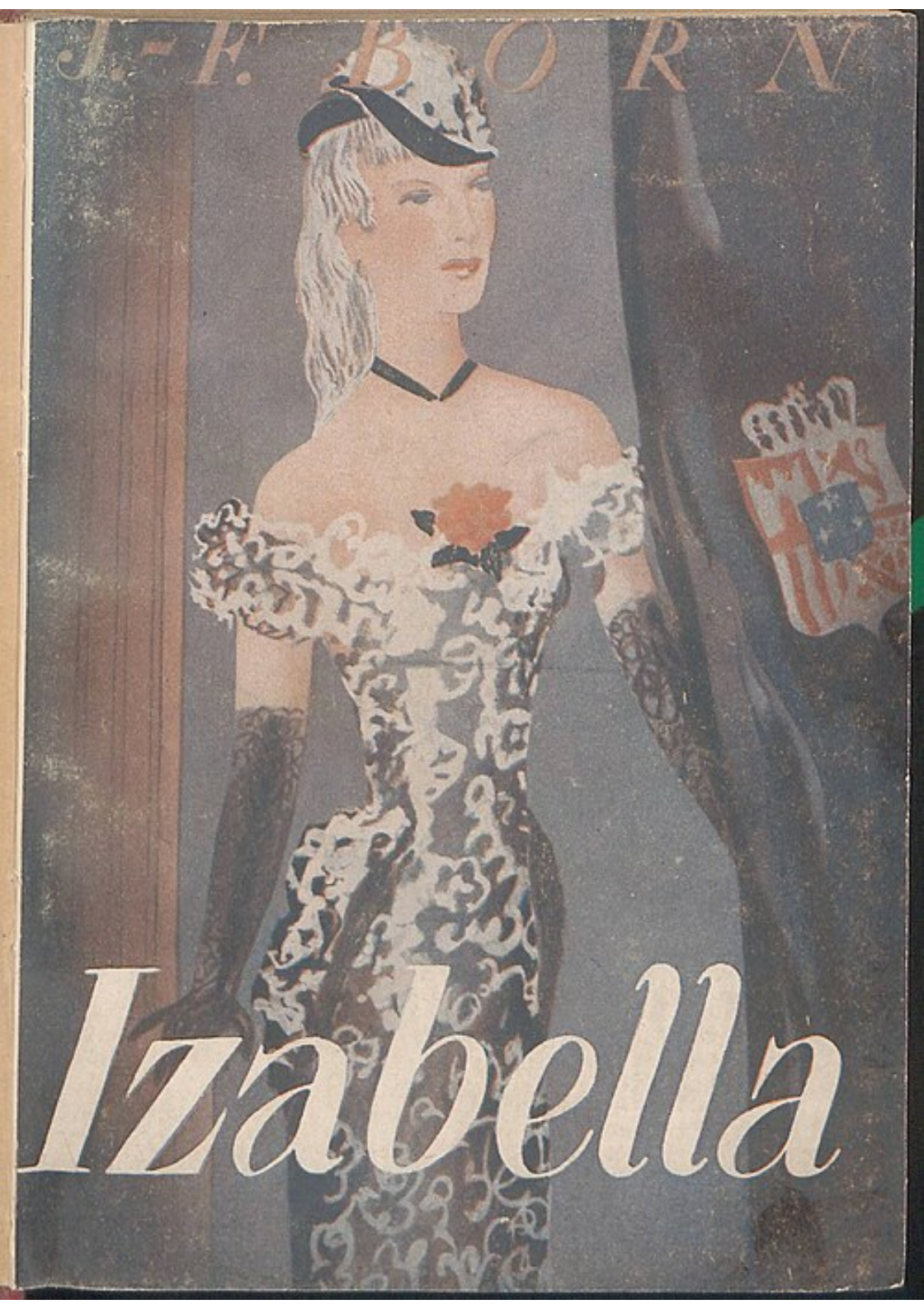

Izabella

Izabella królowa Hiszpanii. Powieść historyczna

George Füllborn

Wydaw. "Powieść Zeszytowa", Warszawa, 1939

Pobrano z Wikiźródeł dnia 2 listopada 2025

J. F. BORN

IZABELLA

KRÓLOWA HISZPANII

Powieść historyczna

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII
IX • X • XI • XII • XIII • XIV • XV • XVI
XVII • XVIII • XIX • XX • XXI • XXII • XXIII
XXIV • XXV • XXVI • XXVII • XXVIII • XXIX
XXX • XXXI • XXXII • XXXIII • XXXIV • XXXV

XXXVI • XXXVII • XXXVIII • XXXIX • XL

WYDAWNICTWO „POWIEŚĆ ZESZYTOWA“
WARSZAWA

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział I.

BRACIA.

Parne, wieczorne powietrze zaległo nad chatkami robotników i pasterzy zamku Delmonte. Ciemne chmury rzucając ponure cienie, coraz bardziej zasłaniały niebo.

Lecz w jednej z niskich chatek świeciło słońce miłości.

Piękna Henryka stała przy kolebce słodko uśmiechniętego dziecka, objęta ramieniem młodego, okazałej postawy młodzieńca, którego bogato haftowana odzież zdradzała hiszpańskiego granda ale, Henryka, dziewica ludu, nie widziała ani złota ani aksamitu, a natomiast rozjaśnione oko wpiła w szlachetne, piękne oblicze młodzieńca, który uszczęśliwiony, ręce swoje wyciągał ku miłemu uśmiechającemu się do niego dziecku. Widok ten radował ją — a gdy potem młodzieniec ujął jej rękę, przyciągnął ją ku sobie i na pałających jej ustach wycisnął pocałunek, uczuła, że się poruszyła cała jej dusza, a z oczu jej mimowiednie wytrysły łzy.

— Ty płaczesz Henryko? Zapewne z radości, bo i ja na widok twojej miłości i naszego dziecka, doznaję nieopisanego szczęścia! ku!

— Płaczę z radości i zarazem z obawy, mój Franciszku!

— Z obawy? — Czegoż się obawiasz? Powinnaś być dumną moja ukochana! Alboż nie wiesz, że do ciebie duszą

i ciałem należę, że we mnie masz podporę? Biada temu, ktoby ci dokuczyć śmiał! Jesteś dla mnie wszystkiem, w tobie całą moja miłość spoczywa — a Franciszek kosztem krwi i życia oceni i uczci to, co go kocha i co nawzajem on miłuje!

W tej chwili piękny młodzieniec stał dumnie wyprostowany — jego śmiałe, czarne oko błyszczało wyzywająco, zdawało się, że blask bohaterskiej przyszłości już po nim przebiega — w jego przecudnej postaci, wspaniale wyglądającej obok pokornej jakby w jakiego bożka wpatrującej się dziewicy, odbijała się cała duma, słowom. jego groźny nacisk nadająca. Franciszek był piękny! Jego szlachetnie wyrzeźbione, świeżo rumiane usta wzywały do pocałunku, a małą czarna bródka pod niemi, nadawała podłużnej, regularnie ukształconej twarzy ów śmiały, wyzywający wyraz, tyle dziewczętom i kobietom ulubiony. Wysokie czoło i nieco przygarbiony nos, dopełniały poważnego męskiego wrażenia, jakie wywierała pięknie wzrosła, wysmukła, a jednak muskularna postać Franciszka. Zdjął kapelusz, po za którego pstrem opasaniem tkwiło pióro sępa, przed kilku dniami z niezawodnej strzelby w powietrzu ubitego; zsunął również z ramion zarzuconą na nie złotem tkaną kapę, tak, że teraz można było widzieć ciasno w ciemny aksamit objętą pierś jego, na której wisiał złoty łańcuch z małym obrazkiem świętego. Krótkie, po kolana sięgające spodnie, spięte jedwabnemi wstęgami i złotemi sprzączkami, obcisłe trykoty, odznaczające pięknie rozrosłe golenie młodzieńca, i niskie trzewiki, uzupełniały bogaty strój jego.

Henryka spojrzała mu w oczy.

— Napastuje mnie jakieś złe przeczucie, mój Franciszku! Kiedy jesteś przy mnie, rozpływa się ono jak mgła przed słońca promieniem; ale skoro pozostanę tu sama z moim klejnotem zdaje mi się wtedy, że mi go chcą wydrzeć, że nas rozłączyć mogą! Przebacz mi te słowa — dusza kobiety ze drżeniem przeczuwa częstokroć przyszłe troski — wy mężczyźni, nie wierzycie w nie, aż chyba staną „wam przed” oczami!

— A wówczas wyzywamy je do walki i zwyciężamy! Jesteśmy ludźmi, Henryko, niezważającymi na senne marzenia i domysły; ale umiemy śmiało zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu: niech to będzie dla ciebie pociechą! — Porzuć podobne myśli — kocham cię tak gorąco, że łzy twoje bez potrzeby jak żar na serce mi padają! Twoje przeczucie spełźnie na niczem.

— Ciężko mnie ono przytłacza — ale precz z niem, dopóki mój Franciszek jest przy mnie!

Fenryka objęła ulubionego, na którego czole ukazały się fałdy — zdawało się, że słowa pełnej obawy dziewicy w duszy jego utkwiły, i chociaż na szczerą miłość Henryki odpowiadał żarliwemi słowy, nieznacznie jednak wzrastało w nim coraz bardziej udręczające uczucie. Usiłował odeprzeć je od siebie, zapomnieć, ale gdy nakoniec, z powodu nadchodzącej nocy, żegnał ukochaną i ucałowawszy miłe śpiące dziecko, z chatki wychodził, uczuł znowu, że ten tajemny ciężar piersi mu gniecie.

Henryka wyprowadziła go — wskoczył na głośno rżącego andaluzyjskiego ogiera, i ściągnąwszy srebrem

nabijane cugle rumaka, ostatni raz pożegnał ukochaną.

Duszno mu było w sercu — duszne także powietrze zalegało przytłoczoną ziemię.

Franciszek długo jeszcze żegnając pośpieszył z powrotem do ojcowskiego zamku. Henryka poglądała za nim, aż znikł jej z przed oczu.

Po drugiej stronie zamku do którego Franciszek wkrótce przybył szczęśliwie, rozciągała się rozległa, bezludna równinach aż ku śniegiem pokrytym wierzchołkom Sierra-Moreny, ograniczającym wzgórza, na których wznosi się Madryt, niby świetny brylant. Stepy te zarastają pastewnem zielem i wysoką trawą, a o kilka mil dalej ciągną się doliny, lasy i niwy, na których rosną zboża, owocowe drzewa, słodkie wina i konopie.

Żyzne te doliny, należące do zamku Delmonte, leżą po drugiej jego stronie, podczas gdy od strony gór rozciąga się nieżyzna płaszczyzna.

Gwałtowny wiatr, zwykle poprzedzający burzę, gwiżdżąc przebiegał po spalonej dziennym żarem wysokiej trawie stepu i z podobnym do grzmotu szumem obijał się o sięgające po obłoki skały, których biało uwieńczone cienie tu i owdzie z dala dostrzegać się dawały, ilekroć księżyc wyjrzał z pomiędzy przesuwającej się masy chmur.

Za dnia było niezmiernie parno — teraz wreszcie długo oczekiwana burza powstała nad spragnioną południową okolicą.

Oparty o jedną z niskich chatek, wzniesionych tu i owdzie przez pasterzy dla ochrony od żaru palącego słońca, stoi w pośród tak burzliwej nocy, nieruchomy jak cień,

długim, czarnym płaszczem otulony, młody jeszcze człowiek. Mocno kapelusz na twarz nasunął i pochylony śledzi błyskającym wzrokiem. Podbródek okala mu rudawa broda, a chociaż cień kapelusza pada na długą jego twarz, można jednak dojrzeć bladych, namiętności pełnych jej rysów. Oczy rozwarł szeroko, niecierpliwie chudą ręką ciśnie płaszcz do piersi. Z drżących ust jego wybiega przekleństwo.

— Do pioruna! tego łotra jeszcze nie widać! Za nadejściem nocy miał czekać na mnie przy tej chatce. Prawda, że ja nie znaczę tyle co mój brat Franciszek.

Duże krople deszczu z szelestem spadły z czarnych, ciężkich chmur, a w dali po jasno na niebie zapalających się błyskawicach dały się słyszeć pierwsze głuche grzmoty. Samotnik gibki jak kot wcisnął się pod niski wystający dach słomiany i zgrzytnął zębami.

— Gdyby nie chęć zgubienia jego i jej, wszyscy święci by mnie tu nie utrzymali — ale sza! zmysły moje zwykle nie zawodzą mnie.

Czatujący przyłożył ucha do ziemi. I wyraźniej rozpoznał teraz stąpanie zbliżającego się konia.

— To on, bo inny nie odważyłby się puszczać na step, w tak przeklętą noc, w której piekło wszystkich szatanów rozpuściło — ale mimo to miejmy się na baczności!

Samotnik z pochwy pod płaszczem ukrytej wydobył szpadę, której połysk walczył o pierwszeństwo z błyskawicą; lecz wnet schylił ją ku ziemi, bo sokolim wzrokiem poznał już nadjeżdżającego.

— Czy to ty, Barradasie? — zawołał występując z

ukrycia pod chatą i prostując się.

— Tak jest, Don Józefie! to ja, Barradas; dobrze, że tu jesteście, bo mnie coś niemiło!

— Co ci takiego? Wyglądasz blady, rozstrojony i przybywasz późno.

— Patrzcie jak mój kary dysze! Pędziłem aż bryły ziemi z pod kopyt jego wyskakiwały!

— O południu wyjechałeś z zamku mojego ojca, a do Bedoi mamy tylko dwie godziny drogi!

— Prawda, Don Józefie, — odpowiedział Barradas zsiadając z konia i okrywając go swoim płaszczem, tak, że, ukazał na jaw swoją bogato wyszywaną liberję. — Ale pan tak zmokniesz jak ja, chodź pan raczej do chatki!

Rzeczywiście deszcz padał coraz gęstszemi i większemi kroplami, błyskawice i grzmoty ścigały się, szerząc straszne światło i huk, bo uderzenia piorunów w dalekie skały, odbijały się po nich echem tysiącznem a głuchem.

Barradas przywiązał konia do słupa i obaj z Don Józefem weszli do niskiej lepianki.

— Już o południu wyjechałem z Delmonte, nad wieczorem przybyłem do Bedoi, gdzie uskuteczniłem zlecenia dane mi przez Don Miguela, dostojnego ojca pańskiego, i niezwłocznie potem zabrałem się do powrotu, bo mi pan kazałeś za nadejściem nocy być tu przy chatce. Ale w lesie, ciągnącym się od Bedoi aż do połowy drogi ku temu miejscu, napotkałem bandę narzekających cyganów.

— Więc — cóż cię oni obchodzić mogli? Czyż nigdy jeszcze nie widziałeś wyjącej bandy cyganów?

— Posłuchajcie-no tylko, Don Józefie, i pojmijcie moje

przerażenie! Upiór znowu się pokazał!

— Dajże pokój, już przed rokiem o tem bajałeś! — z widoczną niechęcią odparł Don Józef.

— To straszydło, którem zapewne jest człowiek z ciała i krwi zeszłej nocy przywabiło do siebie najpiękniejsze, dziesięcioletnie dziewczę z bandy, które grając od matki odeszło — i o zgrozo! aż mi dreszcz po wszystkich członkach przebiega! — wypiło jego gorącą krew! Bladego, zimnego trupa dzisiaj dopiero cyganie znaleźli.

— Milcz! — zawołał Don józef na przerażonego tem widzeniem sługę — milcz o takich rzeczach! Co nas obchodzi banda cyganów!

— Ja wam to tylko mówię aby usprawiedliwić powód mojego opóźnienia się; musiałem przecież przysłuchać się wszystkiemu — musiałem widzieć zabite dziecko! Właśnie nad sercem na drobnej dziecięcej piersi była rana — to mnie zatrzymało, i przyznam się teraz, zatrwożyło i przeraziło!

— Co? zlękłeś się! Ty kościotrupie bez krwi i mięsa, nie smakowałbyś wcale owemu upiorowi!

— Dzięki wszystkim świętym, macie słuszność Don Józefie: było to, jak w zeszłym roku, ładne, pulchne dziecię! Mimo to opanowało mnie uczucie trwogi i przerażenia, uciekałem więc z tamtąd ile mój kary mógł wyskoczyć — a przytem wszędzie było tak ciemno i straszno.

— Nie mamy czasu da stracenia. Wiesz że służąca Henryka woli mojego brata Don Franciszka, — wiesz także, że ja — nie cienpię mojego brata.

— Ale za to Henrykę — o wiem dobrze!

— Tem lepiej. Przyrzekłeś, że mi powiesz coś ważnego, czego nikt słyszeć nie powinien.

— Jak mi miła głowa na karku, macie słuszność Don Józefie! Bo Don Franciszek równie porywczy jak wasz dostojny ojciec.

— To co masz mi powiedzieć dotyczy Henryki — bo inaczej nie byłbym moich jedwabnych poduszek na tę chatkę zamienił i w pośród tak okropnej nocy na ciebie tu czekał.

— To jest miłość, Don Józefie, wiem o tem dobrze, ona wszystko ułatwić powinna! Ale przestań pan na nią liczyć! Don Franciszek tak pana ubiegł, że pan już wcale Henryki pożądać nie powinieneś!

— Mów, co mi miałeś wyjawić — prędzej! Widzisz, jak się niecierpliwię!

— Skoro tak to powiem: że Henryka czuwa i śpiewa u małego łóżeczka w którem. —

— Szaleńcze — co ty mówisz!

— W którem leży milutkie uśmiechnięte dziecię i niebieskiemi oczkami na nią spogląda!

Dom Józef zerwał kapelusz z głowy, a rudawo połyskujące włosy dziko mu aż na czoło spadły — ręce mu drżały, oczy świeciły nienaturalym ogniem, a blade policzki i usta skurczyły się do szatańskiego uśmiechu, który brzęcząc rozległ się po niskiej przestrzeni chatki.

— Barradasie — Barradasie — jeżeli ty mówisz prawdę!

— Nie powinniście wcale myśleć o tej dziewczynie, Don Józefie!

— Szaleńcze! Ja kocham tę kobietę! Miarkuj zatem słowa twoje! Kocham tę kobietę równie gorąco — jak nienawidzę mojego brata! A ten brat, ten nędznik, który od samej młodości ma pierwszeństwo przedemną, ten ulubieniec Don Miguela Serrany, bo jakaś chytra cyganka dla otrzymania bogatego podarku, gdy się urodził, przepowiedziała mojemu ojcu, że kiedyś koronę nosić będzie, umiał także i Henrykę pozyskać dla siebie!

Barradas, nie sądząc, aby wiadomość, której tak skrzęt nie miał udzielić drugiemu synowi swojego pana, tak głębokie na nim wywarła wrażenie, wielką miał ochotę jak najprędzej dostać się do Delmonte, bo dzisiejszej nocy zupełnię mu na odwadze zbywało.

— Ale ty kłamiesz, niegodziwcze! To co mi mówisz jest niepodobieństwem! Jeżeli dbasz o twoje życie, to dowodem potwierdź własne słowa!

— Jutro wieczorem zaprowadzę was do chatki Henryki.

— Nie, jeszcze dzisiejszej nocył

— Zlitujcie się Don Józefie!

— Chatki leżą niedaleko od zamku — muszę mieć pewność!

Namiętny syn Don Miguela Serrany znowu nacisnął kapelusz na najeżone, burzą rozrzucone włosy, otarł z czoła pot wzruszeniem wywołany i ruszył ku drzwiom.

— Dalej, naprzód! Prowadź mnie do chatki Henryki!

— Ona już zapewne śpi, Don Józefie,

— Podły łotrze! Czy się lękasz burzliwej nocy, czy też dziewczyny? Rozkazuję ci, prowadź mnie bo nie znam chatki Henryki!

Barradas postrzegł, że dłużej opierać się niepodobna — przerażała go nietylko straszliwa burza nocna, ciągle jeszcze powtarzające się grzmoty i rzęsisty deszcz, ale nadto przerażało go wzburzenie Don Józefa i cała łatwo w nim budząca się nienawiść. Znano go od samej młodości jako skrytego, pełnego dzikich namiętności człowieka, mającego swoje tajemne drogi i zamiary, a gdy już był starszym, twarz jego częstokroć była tak przerażająca, a później znowu tak podejrzliwa lub wabiąca, że każdy mu chętnie z drogi ustępował. Niezbyt rozwinięta postać, jeszcze mniej piękne rysy prócz tego wiele na to wpłynęły, że nietylko zmarła przed kilku laty szlachetna i ukochana matka, Donna Elwira, wolała starszego i przystojniejszego brata Franciszka, ale nawet i zwykle w podobnych razach sprawiedliwszy ojciec, Don Miguel Serrano, często pozostawiał w tyle młodego Józefa, przedstawiając mu brata za wzór, którego przynajmniej duchowo naśladować mu zalecał, kiedy cieleśnie mu to wzbronione było. I słusznie upominał go Don Miguel, bo Józef już w dzieciństwie uczuwał dziwne pragnienia i miał pociąg do szkodliwych uciech, co ojca często dziwiło i smuciło, gdyż i małżonka jego i on sam powodowali się w życiu jedynie uczciwością i ufnością w Bogu. Częstokroć tenże zamyślony poruszał swą rycerską głową, już w pośród wysokich zaszczytów siwieć poczynającą, i troskliwie zastanawiał się mad przyszłością Józefa.

Przeciwnie, Elwira i Don Miguel z rozkoszą spoglądali na pierworodnego syna. Wysmukłego wzrostu jak cedr, pilny w ćwiczeniach z książką zarówno jak z orężem,

śmiałego oka i miłego serca Franciszek przyzwyczaił ich do tego widoku. Kiedy toczył koniem, wesoło przymilał się ojcu, którego radowało także wzięcie się do rzeczy kiedy od starego Dominga brał lekcje fechtunku i strzelania, zachwycał go stan wojskowy, oświadczał, że pomimo wszelkich okoliczności musi być oficerem; kiedy na ostrze szedł z bratem, przyjaźnie zwracał uwagę na wszelkie jego błędy, podczas gdy tem, zdradziecko korzystając z każdego odkrycia się Franciszka, wymierzał trafnie cięcia, po których jednak pozostawały tylko krwią nabiegłe miejsca. Któż więc dziwić się będzie temu, że i stary Domingo, spoglądając na obu braci, uczuł także niechęć dla Don Józefa, chociaż nie śmiał jej okazywać, gdyż ten, zarówno, jak i daleko mu milszy Franciszek był synem jego pana i dobrodzieja.

Po śmierci Donny Elwiry, osamotniał pan zamku Delmonte; przywiązany był prawdziwą miłością do swojej pięknej małżonki i tęsknił za nią wszędzie. Całemi dniami przesiadywał w swoich pokojach, tak, że teraz już dorośli synowie mniej więcej pozostawieni byli sami sobie. Franciszek miał lat dwadzieścia trzy, Józef dwadzieścia; chociaż pierwszy był nadzwyczaj przyjacielski i ostrożny, ale coraz to dziwaczniejszy sposób postępowania brata sprawił, że drogi ich zupełnie się rozeszły. Zamek Delmonte był tak wielki, a przecudny park z pawilonami, domkami dla szermierstwa i jaśminowemi alejami, tak rozległy. Mimo to, obaj bracia, ani się tego domyślając, spotkali się i zjednoczyli w jednym, i tym samym punkcie, ale to spotkanie dało powód do jawnego między nimi

zerwania, do nienawiści!

Obaj kochali się w pięknej Henryce!

Donna Elwira przyjęła piętnastoletnią Henrykę da służby, a ta ujmującą powierzchownością i czystą dobrocią, serca tak dalece umiała pozyskać względy swojej pani, że w ostatnich czasach mianowana została jej towarzyszką, i że Don Miguel, po śmierci małżonki, przez pamięć dla niej, oddał w jej zarząd mieszkanie zmarłej, darował chatkę w bliskości zamku położoną i wynagrodził jeszcze za życia żony. Teraz upłynęło od tego czasu prawie trzy lata. Henryka rozwinęła się i dojrzała do zadziwiającej piękności. Ślicznie zbudowana istota, posiadała tak wykończone kształty, że każdy malarz, pożądliwe na nią rzucając spojrzenia, pragnął chętnie, by mu za wzór do obrazów służyć mogła. Piękne kolory jej oblicza promieniejącego dobrocią serca, przy ciemnych okalających je włosach, tem się wybitniej odznaczały. Łagodny, fantastyczny powab, niby słodko wabiące tchnienie, osiadł na jej ślicznie wykrojonych ustach — „ach! niebiosa się otwierały“ jak jej mawiał Franciszek, ilekroć podniosłą długiemi, czarnemi rzęsami przysłonione powieki — cały świat piękna i nieopisany połysk leżał w jej głębokiem, melancholijnem spojrzeniu, jaśniejącem niewinnością. Każdy jej ruch był wdziękiem, tak, że obcy mógłby ją był wziąć za pierwszego rzędu donnę, gdyby skromny ubiór nie przekonywał, że Henryka należy do ludu.

O tej to Henryce opowiadał Don Józefowi jego sługa Barradas — do niej to blady rozkosznik kazał mu się

prowadzić,

Barradas, widząc, że Don Józef drży ze wzruszenia, jakkolwiek przelękły i zniechęcony, jednak usłuchał go.

— Przyprowadź mi konia, stoi tam uwiązany za chatką! — rozkazał zniecierpliwiony Don Józef.

Barradas spełnił rozkaz. Gdy Don Józef zgrabnie jak kot na konia skoczył, sługa, aby niejako zabezpieczyć się przeciw niepogodzie, na którą pan zdawał się zgoła nie uważać, ubrał się w swój przemokły płaszcz, i następnie usiłował także wsiąść na swojego za stajnią rżącego karosza.

— Widzę, że ci się już oczy kleją, łotrze! Pamiętaj abym cię trzeźwić nie potrzebował!

Natychmiast nogi Barradasa zelżały, i w jednej chwili siedział prosto na koniu, jakby w jasny poranek, nie zaś wśród strasznej nocy. Wiatr jęczał po stepie jak dawniej, a między skałami odległych gór huczało i szumiało ciągle tak groźnie, jakby burza znowu wracała — przytem ciężkie krople deszczu padały na przemokłe już kapelusze obu pędzących jeźdźców.

Barradas z wielkim trudem dotrzymywał kroku Don Józefowi, który dobrze go wyprzedziwszy, pochylony na szyję konia, przebiegał równinę jak zręczny pikador arenę.

Stary, wysoko położony zaimek Delmonte, wkrótce niby ciemny kolos ukazał się obu jeźdźcom, — którzy przebiegli około niego. Blisko o pół mili za nim postrzegli chatki robotników i pasterzy. Don Józef wstrzymał swego buchającego parą konia, Barradas uczynił to samo i uwiązał zwierzęta w rosnących po nad drogą krzakach.

— Chodźcie za mną, Don Józefie, — szepnął; — wprawdzie ludzie śpią wszyscy, ale jak wam wiadomo, Hiszpanie mają przeklęcie lekki sen!

— I cóżby się stało, gdyby się przebudzili? Jednak chodźmy cicho, abym mógł z nienacka zajść Henrykę! Jeżeli, jak to często bywa, słysząc cudze paplanie, powiedziałeś nieprawdę, to chwila, którą mi przygotowujesz, drogo cię kosztować będzie! jeżeli zaś powiedziałeś prawdę, to cię tak obficie wynagrodzę, jak Don Józef zwykle swoje dobre sługi wynagradzać umie!

Barradas postępował ostrożnie przed swoim powoli zdążającym panem, drogą wiodącą do chatek — serce mu głośno biło, a jeszcze namiętniej, bardziej dziko i gwałtownie biło serce Józefa — zniecierpliwienie wyryło się na jego czatującej twarzy, a czerwonawa broda jeszcze straszniej wyglądała. Nie potrzebowali czaić się, bo nieustanny prawie szum wracającej burzy zagłuszał ich kroki.

Nagle Barradas stanął z wypogodzoną twarzą i skinął na pana, z pewnością zwycięstwa, zwykłą tego rodzaju tchórzliwym kreaturom, gdy szczęśliwem przekonaniem odwrócą od siebie wszelkie groźby.

Daleko wyciągniętą ręką wskazał na jedną niską chatkę, w której oknach jeszcze się świeciło — dostrzegł już był głowę poszukiwanej dziewicy. Józef zaś jako niższy wzrostem, musiał przystąpić bliżej, aby mógł zajrzeć w głąb, chatki.

Lekki okrzyk podziwu wybiegł z ust niby czarownym obrazem przerażonego Józefa. W chatce siedziała piękna,

powabnie wyglądająca Henryka, uśmiechając się do dziecka leżącego przed nią na poduszkach — okrycie spadto jej z ramion i wpatrującemu się przedstawiło widok przecudnych kształtów — nieopisana błogość i rozkosz malowała się na twarzy bezwiednie oglądanej — radość, nadzieja i miłość przewyższająca wszelkie uczucia serca ludzkiego, a tak wysoka i wzniosła, że nawet ów szpiegujący potwór na chwilę zamilknąć musiał, wszystko malowało się na zachwycającej, miłej twarzy Henryki...

— Ale Józef uczuł, że po członkach jego przebiega dreszcz rozkoszy — wpił wzrok w piękną, oślepiającą szyję pożądanej kobiety, lecz przekonał się zarazem, że ona należy do innego, ujrzał przed sobą to, co przedtem poczytywał za wynalazek szaleństwa — widział, iż dawno upragniona Henryka uśmiecha się do dziecięcia! Oczy jego zabłysły i wystąpiły z oczodołów — twarz strasznie wykrzywił, tak, że nawet przerażony Barradas odskoczył od niego jak od szatana — nie mógł się dosyć napatrzyć tej, jak się wyraził: „przeklętej scenie“. Z urągająco uśmiechniętą miną, na widok której każdy ze zgrozy mógłby zlodowacieć, skamienieć, zbliżył się do otwartego okna.

Wówczas spostrzegła go Henryka — a ujrzawszy nagle pojawiającą się, straszliwą a znaną twarz, usta jej wydały serce rozdzierający okrzyk — przycisnęła ręce do oczu — usłyszała straszny, szatański śmiech, od którego serce jej zadrżało, i z zapałem rzuciła się na swój klejnot, jakby go obronić chciała od objawiającego się w oknie straszydła.

— Don Józef widział dosyć.

— Jemu przepowiedziana korona — i ona do niego należy! Oboje więc muszą ustąpić mi z drogi! — szepnął, wracając do koni, a groźnym jego słowom towarzyszył straszliwy huk grzmotu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział II.

CZARNY PAWILON.

Zamek Delmonte leżał na wzgórzu, otoczonem parkiem pełnym pachnących drzew migdałowych i róż, oraz ciemnoczerwono kwitnących granatów i gęstych liści jaśminu, a zamkniętem niskim, mchem porosłym murem, w którym znajdowały się tylko dwa wejścia. Jedno z nich bliższe zamkowego tarasu, było szerokie dla wygodnego przejazdu gości przybywających w powozach; drugie zaś znajdujące się w odleglejszej stronie parku, jako mniejsze służyło do użytku dworskich i robotników.

Stary zamek o arkadowych, wysokich, w ornamenty zdobnych oknach, sprawiał pełne poszanowania wrażenie. Dwie wieże stanowiły jego narożne strzelnice, z których szczytów niegdyś działa dosyć groźny ogień ziać mogły, lecz które dzisiaj tylko drapieżnemu ptactwu i wielkim nietoperzom za schronienie służyły. Niższe, wąskiemi oknami opatrzone ich części zajmowała służba zamkowa, podczas gdy wielka przestrzeń, do której wchodziło się przez taras ozdobiony szerokiemi południowemi kwiatami i grubolistnemi aloesami, użyta była przez mieszkańców zamku na salę zebrań. Na koniec znajdujące się nad nią i za nią pokoje, leżące w pośród mocnych filarów, stanowiły mieszkanie Don Miguela Serrany i obu jego synów.

Siwa, wypełzła barwa, o starości zamku świadcząca, pomimo otaczających go krzewów i drzew, nadawała mu poważny pozór, a marmurowe stopnie tarasu, ukryte w pośród liści posągi znakomitych mistrzów i rozległe a użyźnione pola i lasy po za zamkiem leżące, przekonywały o bogactwie jego właściciela.

Służba właśnie wymiotła ostatni pyłek z wielkiej i wysokiej sali przyjęć, której podłogę zdobiła mozaika, a któ rej ściany i miary jaśniały złoconemi rynsztunkami. Sala ta, o malowanych na sposób kościelny oknach, o rycerskich ozdobach, pełna uroczystego spokoju, godnie służyć mogła hiszpańskiemu grandowi za miejsce wystąpień; o jej arkadowe sklepienie odbijało się już niejednokrotnie głośne słowo niezadowolenia z tronu, od dziesiątków lat dopomagającego nadużyciom i inkwizycji, w niej groziła nie jedna pięść rycerska — i dzisiaj również płonąc morzem; światła miała ona przyjmować znakomitych gości Don Miguela Serrany, który też przybył zrobić jej przegląd. Szanowną jego głowę pokrywa czarny, bogatą brylantową zapinką ozdobiony kapelusz, na barkach wisi złotem tkany pół-płaszczyk, a na piersi jaśnieją liczne ordery. Jest to słuszny, poszanowanie nakazujący poważny mąż, z gęstą siwą brodą; na twarzy jego maluje się godność i duma.

Podczas gdy przez wysokie otwarte drzwi daje się słyszeć odgłos nadjeżdżających powozów, przybliża się do Don Miguela jego siostra, od wczorajszego już dnia przybyła, dla zastąpienia gospodyni domu w przyjęciu grandów i ich małżonek. Franciszek także przystępuje bliżej. Don Józef nie śmie przy nim stanąć, zostaje zatem

opodal.

Grandowie ze swojemi donnami nadchodzą — ciężkie jedwabne suknie, okryte powiewnemi mantyllami, szeleszczą, a piersi i włosy połyskują drogiemi kamieniami. Goście, ich gospodarz i jego rodzina pozdrawiają się — mężczyźni chylą głowy kładąc prawą rękę na piersiach, damy długie i uniżone robią ukłony — poczem zbliżają się jedni do drugich, witają się słowem i podaniem ręki, stosownie do stopnia znajomości, Damy przystępują do miękko wysłanych krzeseł o wysokich poręczach — panowie grupują się przy filarach.

Zatrudniona służba śpieszy podać daniom na ozdobnie malowanych kryształowych talerzach owoce i delikatesy wszelkich krajów, a mężczyznom błyszczące puhary z ognistym kseresem. Don Miguel i dawni jego towarzysze broni, generałowie Leon i Borso, prowadzą żywą rozmowę, która przywabia także i Don Franciszka, a na tym spoczywają z upodobaniem spojrzenia niejednej donny.

— Pozwólcie mi mówić otwarcie, moi panowie. Dotychczas możemy być zadowoleni z zamiany, — rzekł stary Don Serrano: cóż dla nas uczynili kóowie? — miejmyż więc raz królową! — Przypomnijcie sobie Filipa II, który Hiszpanię postawił nad brzegiem przepaści — przypomnijcie Ferdynanda, tego króla z tygrysiem sercem!

— O przekleństwa godne wspomnienie! Przy manolach[1] na Rastro lub na ulicy Toledo, najlepiej on się umiał znaleźć wtrącił Borso.

— Biada krajowi, który do takich rzeczy przyznawać się musi, Don Serrano. Wspomnijcie na Riega, który ocalił

życie królowi, rzucając się pomiędzy niego a wymierzone przeciw niemu bagnety — Ferdynand pięknie mu za to podziękował, bo w kilka miesięcy później — włosy mi na głowie stają, zgroza mnie przejmuje, gdy o tem wspomnę — ściąć go kazał!

— I dla tego właśnie powiadam: — Dzięki Najświętszej Pannie za wybawienie Hiszpanji od tego króla, Ferdynanda! — z powagą i godnością rzekł Don Miguel. Czegoż mogliśmy także spodziewać się od jego brata, Don Carlosa? Nie byliżeśmy przekonani, że panowanie jego byłoby tylko dalszym ciągiem straszliwych rządów Ferdynanda, że naszą piękną ojczyznę oddałby na pastwę przekleństwu i wzgardzie? Nie, nie, panowie, chociaż don Carlos walczy z bandami swojemi przeciw ustanowionej przez jego brata regentce Marji Krystynie, chociaż w tej walce przeleje się wiele krwi szlachetnej, jednak Marja Krystyna. rządząc wraz z wielkim wodzem Esparterą, w imieniu córki swojej, pozostanie wierną słowom, które wyrzekła z balkonu pałacu w Madrycie, obejmując ster rządu po śmierci Ferdynanda.

Wolność myślenia i godność człowieka zagoszczą odtąd w Hiszpanji!

— Piękne słowa Don Serrano, swoboda ducha i godność człowieka — właśnie to oboje było zamarło! Aby rzeczywiście znowu między nami zagościły i rozkrzewiły się, moi panowie, — zawołał generał Leon — wznieśmy stosowny w tym celu toast — lecz —

— No — dajże pokój twoim namysłom!

— Zarówno jak i mój współtowarzysz broni Borso,

jestem generałem regentki — ostatnie krople krwi przelejemy dla jej sprawy! Ale Espartero, współregent, książę Luchany — nie jest zbawcą Hiszpanji!

Don Miguel i Franciszek bacznie się przysłuchiwali. Generał-kapitan wojsk królowej według nich za wysokie zajmował stanowisko.

— Jest to znakomity wódz — ale żaden regent! — ciągnął dalej Leon; — on lubi błyskotki, wojuje i myśli, że reszta zrobi się sama przez się! Wierzajcie mi, że pałac inkwizycji, ta hańba Hiszpanji, wkrótce się znowu zaludni, że mnisi znów się do władzy dostaną!

— Marja Krystyna nie trzyma z jezuitami!

— Ale mnisi będą z nią trzymali, jeżeli jej poparcie jakiekolwiek im przyniesie korzyści! — zawołał drażliwy generał Leon.

— Unosisz się, — przerwał mu rozważny Serrano — Don Espartero jest moim przyjacielem! Nadto — Marja Krystyna nie jest królową, lecz tylko regentką do czasu pełnoletności młodej Izabelli!

— Królowa ma dopiero lat dwanaście a zanim dojdzie do pełnoletności, dziwne rzeczy jeszcze dziać się mogą.

— Jesteś moim przyjacielem, Don Leonie — równie jak i Epartero. Pojmujesz co ci powiedzieć pragnę! Dotąd nie mamy na co narzekać! Od czasu zarządu Marji Krystyny cieszymy się niejedną swobodą, niejedną dobrą ustawą! Bądź więc wdzięcznym, Don Leonie, i uznawaj to równie jak ja! — mówił stary Don Serrano i podał rękę generałowi, który chętnie pragnąłby daleko większych swobód, daleko większej pomyślności.

Na wzniesieniu w głębi sali wkrótce z cicha dały się słyszeć dźwięki harfy i miłosny podmuch muzyki wnet zagłuszył rozmowę grandów; rozległy się cudowne brzmienia drżącej mandoliny a za niemi zaczęły krążyć wdzięcznie tańcujące pary. Franciszek rozmawiał z młodym oficerem gwardji królowej, Don Olozagą, o bitwach, które tenże staczał z bandami Don Carlosa, przez wojsko królem lasów zwanego, o Cabrerze, straszliwym generale karlistów i o świetnem żołnierskiem życiu; z oczu Franciszka poznać można było, że go ta rozmowa wielce zajmuje.

Grandowie wzmiankowali o godności cziowieka, o swobodzie ducha. Don Olzaga i Franciszek spełnili toast na cześć młodej królowej, która podczas dworskiej uroczystości pierwszemu z nich przypięła zdobiący go odtąd order, a także na cześć wojennego powodzenia i wogóle wszystkiego co wzniosłe i piękne.

Gdy się to dzieje, jedna z obecnych osób sto samotna, nieczuła na dźwięki muzyki, a czarna jej dusza, obca wszystkiemu co wzniosłe i piękne! W cieniu filaru zawieszonego świetnemi rynsztunkami, duma ona niepostrzeżenie o zemście i zgubie, przypatrując się wszystkiemu ostrym wzrokiem.

Don Józef dostrzegł, że piękna Henryka po południu była w zamku, ale sam umiał się zręcznie przed jej wzrokiem ukryć.

Teraz, oparty o filar, śledzi ruchy swego brata Franciszka, przysłuchującego się muzyce — iskra tryumfu igra mu na ustach, bo na koniec widzi, że ten nic się nie domyślając, wychodzi z sali najprzód na taras

różnokolorowemi lampami czarownic oświetlony, a potem niknie w cieniu kwitnących drzew migdałowych i granatów.

Franciszek z miłością pałającem sercem śpieszy do Henryki, z którą w tym czasie ma się spotkać w przejściu przez park — bo nim wróci z zamku do swojej chatki, ma z nią jeszcze o czemś pomówić, bo pragnie jeszcze raz widzieć swoją piękną, wierną i z żadną istotą niezrównaną Henrykę! W cieniu kwitnących i pachnących drzew spotykają się oboje. Serce Henryki przy każdem z nim spotkaniu bije trwożliwie, ale zarazem i radośnie, bo słyszy cicho szeptane słowa, które mu gorąca miłość wypowiedzieć nakazuje. Chwyta ona chciwie każde z tych słów i odpowiada na nie całą duszą — bo przekonana, że Franciszek mówi szczerą prawdę, bo w każde jego słowo wierzy jak w Ewangelię; nie lęka się o przyszłość, bo wie, że Franciszek wiecznie jej wiernym będzie i z czasem nazwie ją swoją małżonką!

Przeprowadził ją aż ku jaśniejszemu miejscu parku — teraz musi powrócić do sali — a ona do swojej chatki! Jeszcze jeden wzajemny dają sobie pocałunek i ostatnie zamieniają słowa:

— Bądź zdrowa — do widzenie.

Franciszek śpiesząc przez ulice ogrodu, na taras, a potem do świetnej, muzyką napełnionej sali, słyszy czyjeś kroki.

Henryka pragnie jak najprędzej wyjść z cienia liści i drzew i zdążyć do bramy — lecz także słyszy obok siebie w krzakach czyjeś stąpania. Ale któż to tak późno po nocy może tam chodzić? — zapewne jej się tylko zdawało.

— To pewno gałąź upadła! — mówi cicho do siebie i

dalej pośpieszyć pragnie. W tem jakiś człowiek zastępuje jej drogę — Henryka przerażona cofa się — potem patrzy — mroźny dreszcz przebiega po jej ciele; — to Józef!

Chce wołać, przyzwać Franciszka, ale głos jej w gardle zastyga — bo z krzaków występuje druga postać — to ojciec Franciszka!

Don Józef staje przed nią tryumfujący — plan jego udał mu się lepiej, niż o tem śmiał zamarzyć. „Tu, mój ojcze“, mówi z wolna, tonem głęboko serce Henryki przeszywającym: „tu jest metresa mojego obłudnego brata, który zawsze umiał tak wybornie mnie względów twoich pozbawiać — śledziliśmy ją, abyś nie mniemał, że cię okłamać pragnę! Patrz, to Henryka, zawsze tak niewinnie wyglądająca sługa!“

Nabyte w tej chwili przekonanie cierpko zdziwiło Don Miguela Serranę — ale chytrze wyrachowany Don Józef na daleko cięższą zamierzył wystawić go próbę! Niegodziwiec ten, znając najtajniejszą stronę ojcowskiego serca, przygotował cios, którego skutek spełnić miał wszelkie jego żądania.

— Ażebyś jednak ojcze, — mówił dalej głosem, od którego coraz to uważniej słuchająca Henryka zadrżała, — wiedział wszystko o twoim faworycie i według, tego mógł postąpić, przygotowałem ci jeszcze jedno, niestety! szczególniejsze zdziwienie. Proszę cię tylko ojcze, abyś nie zapomniał, że nie ja, lecz twój syn Franciszek jest jego haniebnym sprawcą.

Ostatnie słowa Józef wymówił z lodowatą oziębłością, i radował się widokiem ze śmiertelną trwogą wpatrującej się

w niego dziewicy.

— Racz spojrzeć na to, co ci Barradas przynosi! — dodał. Tu ciągle na Henrykę uważający Józef, skinął na służącego, który w pobliżu na to skinienie oczekiwał.

Barradas niósł jakiś ukryty przedmiot na ręku i zbliżył się z nim ku trzem osobom.

Stary Don Miguel słowa wymówić nie mógł — oczekiwał tylko na przygotowane mu dalsze odkrycia.

W tem Henryka spojrzała na służącego i jego ukryty ciężar — rzuciła się naprzód — straszliwa myśl, okropny domysł przebiegł po jej głowie... lecz to niepodobna — tak złym, tak szatańsko postępującym nie mógł być ani Don Józef, ani jego osławiony Barradas!

A jednak, co mogło ukrywać zawinięcie? Gdyby to miało być jej dziecię, które z chatki porwano! — gdyby to miał być jej klejnot, który tu przyniesiono!

Henryka rwała sobie włosy z głowy — na trupiobladą twarz jej z przerażenia wystąpiły krople zimnego jak lód potu — gdyby to być miało jej dziecię! Słaba kobieta nagle uczuła w sobie nadludzką siłę — wyprostowała się groźnie, musiała działać, musiała położyć koniec niepewności!

Pewnym krokiem pośpieszyła naprzeciw służącego — szybkim ruchem zerwała nakrycie z przedmiotu, który niósł Barradas — okropny, aż do szpiku Don Miguela przejmujący okrzyk wybiegł z jej ust, a piękne jej lica zbladły z przerażenia i bólu.

— Moje dziecię — moje dziecię! — drżącym głosem zawołała, i z nadludzką siłą wydarła swój klejnot przekupionemu przez Józefa rabusiowi. Róbcie ze mną co

się wam podoba, zamordujcie mnie — męczcie mnie — ale dziecię moje oszczędzajcie!

Don Józef tryumfującym śmiechem uczęstował Henrykę, i skinieniem nakazał służącemu, aby się oddalił — cieszyła go trwoga, jakiej dręczona istota w tej straszliwej chwili doznawała.

I żadnej znikąd pomocy! Tak jest, gdyby Franciszek przewidział był zręcznie przez Józefa ułożony zamach, byłby przybiegł w tej chwili, byłby pewno zapomniał, że ów Józef jest jego bratem!

— Metressa trzyma na ręku dziecko twojego pierworodnego syna, — rzekł zimno obracając się do ojca, który cofnął się przerażony; — teraz sądź!

Stary Don Miguel, po doznanem po pierwszej chwili zdziwieniu z powodu rozpaczliwego okrzyku Henryki i jej gorącą miłością tchnących słów „moje dziecię!“ uległ wprawdzie pewnemu delikatnemu współczuciu na widok strwożonej i udręczonej kobiety, serce jego zadrżało i pełen szlachetności stał nie wiedząc co począć; lecz usposobienie to trwało tylko przez chwilę. Don Miguel Serrano przypomniał sobie, że to jego pierworodny, duma jego starości, że Franciszek, na którym on pokładał wszelkie nadzieje, dopuścił się takiej niegodziwości. Zawrzał więc gniewem, a Józef dostrzegł z zadowoleniem, że oko ojca błysło srogością.

— Wyrodny synu, odpokutujesz mi za to! — rzekł drżącym, oburzenie zdradzającym głosem. — A ty, Syreno, która pod pozorem niewinności ukrywałaś wężową pokusę, która nas z wyrachowaną przebiegłością oszukałaś, bądź

przeklęta! Zmuszasz ojca, aby odepchnął od siebie swojego najukochańszego syna, wydarłaś mu go w pożądliwej nadziei, że za pomocą takiego uwiedzenia zostaniesz Donną Delmonte! Przeklęta niech będzie twoja nadzieja, którą nawet kosztem życia mojego na hańbę wystawię! Przeklęty niech będzie owoc twojej nieuświęconej miłości — przeklęte wszelkie we mnie dla ciebie i dla niego tkliwsze uczucie! Będę niewzruszony i surową ręką rozłączę was na wieki!

Henryka ze wzrastającą trwogą słuchała słów Don Miguela; — czuła, że serce jej bić przestało, że jej myśli powikłały się — i bezwiednie, jakby to koniecznie nastąpić musiało, jakby tylko jej dusza przemawiała, padając na kolana, zawołała:

— Przeklinaj mnie, panie — byle tylko nie moje dziecię! Nic więcej nie powodowało mną, prócz mojej miłości — żadnej nie miałam nadziei, żadnych pragnień, prócz chęci zasłużenia na wzajemność!

— Precz mi z oczu, wszetecznico! — w najwyższym gniewie zawołał Don Seranno.

Na te słowa, Henryka cisnąc do piersi jedyny swój skarb, padła zemdlona — słaba kobieca dusza więcej znieść nie mogła!

Don Józef stał przy niej uśmiechnięty — a śmiech jego był okropny.

— Dziewczynę, wraz z tem do czego rości pretensję, i jak widzisz ojcze, troskliwie przy sobie zachować usiłuje, zamkniemy w żelaznym pawilonie, aby nie miała sposobności mojego słabego i łatwowiernego brata przeciw

ojcu podburzać. — Takich wężów należy w bezpiecznem miejscu ukrywać, inaczej coraz większe zło wyrządzać będą! — rzekł, i gdy Don Miguel skinieniem głowy zdanie jego potwierdził, przywołał Barradasa, tego do wszystkiego używanego wyszła i siepacza.

— Zanieś Henrykę i to dziecko do czarnego pawilonu, — rozkazał z naleganiem. — Życiem twojem odpowiadasz mi za nich; pamiętaj zatem, aby drzwi i okna dobrze pozamykane były! A teraz, ojcze, pozwól, abym cię odprowadził; do twoich pokojów widzę, że posłannictwo, które spełnić obowiązany byłem, mocno cię wzruszyło!

— Zostaw mnie, pragnę być sam! — odpowiedział Don Miguel głęboko wzruszony; a tymczasem Barradas zabierał się do wykonania rozkazu swojego pana.

Don Józef, odchodząc za ojcem, jeszcze raz spojrzał na biedną, w sposób, który więcej niż wszelkie słowa, przemawiał: „Teraz, przebiegła piękności, mam cię w mojej mocy, ciebie i twoje dziecko!“

Ale gdy sługa chciał objąć pożądliwemi szponami poruczoną sobie Henrykę i zawlec ją do żelaznego pawilonu, — gdy jego obmierzłe tchnienie wionęło na lica tak długo bez życia leżącej istoty i na jej dziecię, gdy Henryka uczuła, że ją przyciska do swojego cielska.
zerwała się raptem — i wybuchła całą siłą, jaką tylko rozpacz nadać może kobiecie, matce — musiała ratować siebie i dziecię, bo ją chciano wtrącić do więzienia na nędzę i jeszcze na coś gorszego.

Opierała się — walczyła z ciągle na nowo chwytającemi ją ramionami nikczemnego służalca — ale zarazem musiała

trzymać dziecko i tylko połową siły bronić się mogła — tarzali się — broniła się długo — aż nakoniec wybiła sobie ramię — a Barradas coraz to dalej wlekł ją ku nienawistnemu żelaznemu pawilonowi!

W obszernym, zapachem i południową roślinnością napełnionym parku Delmonte, znajdowała się pewna część opuszczona i zdziczała. Wilgotna, błotnista ziemia, po której nikt prawie nie chodził, w gęstym cieniu przestarzałych kasztanów, wydawała tylko jadowite kwiecie i wybujałe krzewy. Złe, niezdrowe wiało tam powietrze, a lud prosty utrzymywał, że nocą zły duch tam wojuje.

W tej odległej części parku, leżał odwiecznemi drzewy otoczony czarny pawilon, cały zbudowany z żelaza; a ponieważ okna jego i drzwi można było zamykać także żelaznemi płytami, już za dawniejszych właścicieli służył w razie potrzeby za więzienie, lub za ustronie dla osób, które na ich drodze zawadzały. Z owych to dawnych czasów dochowało się zapewne i mniemanie, że w tej części parku, wpośród nocnej ciszy, słyszeć się dają westchnienia i narzekania. Zewnętrznie musiał niegdyś przedstawiać nęcący widok, bo ukazywały się dotąd na nim ślady sztucznej olejnej farby, a ośm małych zębatych wieżyczek, zdobny dach i stanowiąca wierzchołek większa wieża, jeszcze świeżo i przyjemnie wyglądały. Teraz farba znikła z ciemnego, gęsto rdzą pokrytego żelaza, ozdobny dach i małe wieżyczki zaścielają liście i różne nieczystości, a od wnętrza od dawna nikt nie zajrzał.

W tym samotnym i bezpiecznym pawilonie, na rozkaz

swojego pana, zamknął Barradas biedną Henrykę i jej dziecię.

1. ↑ *Publiczne dziewczęta*.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział III.

OJCIEC I SYN.

Franciszek ani się domyślał tego co zaszło.

Spokojny wmieszał się w tłum gości, którzy dopiero nad ranem zaczęli zabierać się do powrotu do swoich zamków.

Tam dostrzegł brata i uderzyła go pełna troski powaga ojca, który zeszedł jedynie dla pożegnania gości — a syna swojego nie obdarzył ani jednem słowem, ani jednem spojrzeniem.

Gdy więc zmarszczywszy czoło, Franciszek rozmyślał o tem co zajść mogło, zbliżył się do niego stary Domingo, który go kochał prawie ojcowską miłością i troskliwością, który go na swoich rękach wypiastował i posiadał jego zupełne zaufanie.

— Don Franciszku, — mówił stary, a na jego twarzy ciężarem lat pofałdowanej osiadł wyraz prawdziwej obawy, — będzie burza, przygotujcie się do niej zawczasu! Wasz dostojny ojciec bardzo rozgniewany, niespokojny, chodzi po swojem mieszkaniu tam i napowrót, a widziałem, że pierwej długi list przygotował. Właśnie rozkazał mi, abym was do niego poprosił!

— O mój stary, poczciwy Domingo! prosić mnie w każdym razie nie potrzebujesz; ty pewno przez uszanowanie i przywiązanie zupełnie inaczej tłómaczysz

słowa mojego ojca. On jest gwałtowny, porywczy — ale wiesz dobrze, iż dotychczas nigdy mi jeszcze przykrego słowa nie powiedział; wiesz, że Don Miguel kocha mnie, i że zawsze byłem i jestem z radością jego posłusznym synem. Dla tego idę do niego spokojny i bez obawy! Pójdź naprzód, mój Domingo i powiedz mu, że jego rozkaz niezwłocznie wypełnię!

— Mówcie tylko potem w ten sposób z waszym dostojnym ojcem, Don Franciszku, a wszystko znowu dobrze będzie! — poważnie rzekł stary sługa i spiesznie udał się przez korytarz do mieszkania pana zamku Delmonte, aby mu zameldować pierworodnego. Przytem wpatrywał się w rysy rozgniewanego, i musiał przyznać przed sobą, że nic dobrego nie zapowiadały.

— Don Franciszek natychmiast będzie służył! — doniósł, i na niemy znak Don Serrany, z ciężkiem sercem wyszedł z pokoju.

Don Miguel, którego wysokiej, wspaniałej postaci wiek jeszcze nie pochylił, zdjął był lekki kapelusz, który zwykle nosił, i ukazały się w świetle jego srebrzyste, poszanowanie wzbudzające włosy. Stał przed stołem zapełnionym skryptami, mapami i książkami, i składał jakieś duże pismo, które zepewne ważne być musiało, bo je starannie obejrzał, a następnie wielką pieczęcią opatrzył.

W tej chwili syn jego, jak zawsze z ręką na piersiach i z ukłonem, wszedł do wysokiego, starożytnemi rzeźbionemi meblami i wielkiemi obrazami przyozdobionego pokoju, a gdy Don Miguel nie odwrócił się i nie powitał go, stanął przy drzwiach i czekał, aż ojciec rozkaże mu bliżej

przystąpić.

Don Miguel, może dla większego uspokojenia się, pierwej powoli skończył swoją robotę, nie troszcząc się bynajmniej, że noc przeszła mu bezsennie, bo przeglądający już przez okna poranek zaczął przyćmiewać blask świec. Nakoniec wyprostował się i spojrzał na oczekującego słów jego Don Franciszka.

— Za nadejściem dnia udasz się do Madrytu, w towarzystwie Dominga, który przy tobie pozostanie, tam niezwłocznie doręczysz to pismo mojemu niegdyś towarzyszowi oręża, teraźniejszemu generał-kapitanowi armii królowej, Don Esparterze. Z zamku Delmonte nie ruszysz się ani krokiem, dopóki nie będą przygotowane wierzchowe konie dla ciebie i dla Dominga! — Oto mój rozkaz!

— Ojcze — ten rozkaz jest za surowy.

— Dla czego? — Don Miguel obrócił się i zmierzył syna wzrokiem, dowodzącym, że gniew na nowo w nim powstaje. — Biada tobie, jeżeli się ośmielisz sprzeciwić mojemu rozkazowi — jeżeli zapragniesz odszukać ową dziewkę, która umiała oplątać lekkomyślnego głupca w swoje sieci.

Don Franciszek zbladł — teraz wiedział już o wszystkiem! Ale stał śmiało, i chociaż drżał ze wzruszenia, gdy ojciec powyższe słowa z lekkim naciskiem wymawiał — czuł, jak z gniewu i przerażenia dłoń jego się zaciskała, jak pochwyciła za wiszącą pod półpłaszczykiem u jego boku szpadę. — „To twój ojciec!“ — napomniał go głos wewnętrzny, a zaciśnięta pięść opuściła rękojeść szpady.

— Aż do dzisiejszego dnia, — zdołał zaledwie wyrzec, — z radością słuchałem każdego twojego rozkazu, każdego najmniejszego życzenia; — ale tego, który przed chwilą raczyłeś mi objawić wypełnić nie mogę, choćbym to nieposłuszeństwo nawet życiem miał przypłacić!

— Chłopcze — jak śmiesz opierać się temu, od którego masz dzienne światło? temu, który cię znowu w nicość obrócić może?

— Ten, kto przed tobą stoi, nie jest już dzieckiem; wyrosłem już na człowieka, który sam myśli i działa!

— Dopóki ja żyję, mój ty mędrku, zawsze dzieckiem mojem jesteś i twój los w mojem ręku spoczywa!

— Skoro tak, to raczej przebij mnie tu na miejscu, ale nie zmuszaj do nikczemności. Kocham Henrykę, jestem z nią przysięgą związany na wieki, i dochowam jej wierności aż do ostatniego mojego tchnienia, choćbym był jak najdalej, choćbyś mnie Bóg wie gdzie wyprawił! Jesteś moim ojcem! Możesz mi odebrać życie — ale nie zmusisz mię nigdy, abym zdradził miłość moją!

Stary Don Miguel ponuro patrząc w ziemię, słuchał śmiało i stanowczo wyrzeczonyh słów swojego wyniośle poglądającego syna, w którego oku świeciła duma.

— Nie mamy więcej nic do mówienia, — rzekł nakoniec zimno. — Dalej do Madrytu, precz z moich oczu, za nadto mnie rozczarowałeś, za nadto oszukałeś!

— I to ostatnie twoje pożegnalne słowo, ojcze? To duchowny talizman, który dajesz synowi wyruszającemu na niebezpieczne drogi rozległego świata? Zawsze z dziecinną miłością i czcią byłem do ciebie przywiązany — cóż więc

uczyniłem, że mi tak ciężko gniew swój uczuwać dajesz? O ojcze mój! — zawołał całą doniosłością głosu, całą siłą swojego dotychczas tyle w sercu rodzicielskiem mającego wpływu przywiązania: — nie przewiniłem nic więcej, prócz tego, że kochałem i jeszcze kocham piękną, przez Boga stworzoną kobietę — czyliż za to potępić mnie pragniesz? Zajrzyj w serce twoje — wspomnij na dni upłynione — cofnij się wstecz w owe czasy, w których i twoja krew równie jak dzisiaj moja dziko i ogniście w żyłach krążyła, w których świat wydawał ci się jeszcze wonnym, jasnym ogrodem wiosennym — kwitła wówczas i twoja droga, stąpałeś po niej śmiało i swobodnie, bo wiodła cię po niej także miłość.

Stary Don Miguel drżącą dłonią szukał stołu, który stał na boku, aby się oprzeć, tak go te słowa głęboko przejęły. Starzec o białych srebrnych włosach, słysząc je przypomniał sobie własną swą przeszłość i daleką młodość.

— Bóg, Pan nasz najwyższy, serce człowieka natchną miłością, abyśmy już tu na ziemi mogli kosztować choć odrobiny szczęścia, choć kropli rozkoszy, jaka nas tam, po naszej pielgrzymce, oczekuje — miałożby cię to oburzać? Wobec Boga wszyscy jesteśmy równi, ojcze, i wyższy i niższy grand i żebrak — miłość swoją rozdzielił on między wszystkich zarówno i wszystkim jedno służy prawo! Serce stanowi — a chwała niech będzie Najświętszej Marji Pannie! — serce moje czyste — Henryka zaś wyższą jest nad wszystko.

W tej chwili dały się słyszeć w parku niby jakieś jęki — ale wnet wszystko znowu ucichło.

Franciszek przybliżył się do mocno drżącego starca i spojrzał nań z całą pokorą błagającej miłości.

— Bywaj zdrów, mój ojcze! pierwsze promienie słońca wpadają w okna, a rozkaz twój brzmiał, abym za nadejściem dnia opuścił Delmonte, siedlisko rodu mojego! Kto wie ojcze, czy je kiedykolwiek znowu ujrzę — kto wie, czy mi dopuszczono będzie jeszcze raz stanąć przed tobą i błagać cię o błogosławieństwo! Wola twoja wyprawia mnie w zamęt walki! — poznaję to z adresu na liście: „Generał — kapitanowi wojsk Jej Królewskiej mości, Don Esparterze“ — wschodzi dla mnie słońce sławy, i przysięgam ci, że wrócę do ciebie osypany zaszczytami, albo też umrę śmiercią bohatera! Ale Henryka pozostaje moją, a ja należę do niej na ziemi i w niebie!

Don Miguel głęboko był wzruszony — i gdy syn jego, pełen odwagi i rezygnacji upadł przed nim na kolana i głowę uchylił, to chociaż stary twarz odwrócił, jednak błogosławiącą rękę położył na głowie pierworodnego.

Franciszek powstał — Domingo z rżącemi rumakami czekał nań na tarasie.

— Dalej do Madrytu! — zawołał do niego — oznaczona godzina wybiła! Dalej w wir tego świata, na łowy za sławą! A wpierw tam do tych chatek, gdzie jeszcze jedno czeka mnie pożegnanie!

— A Don Józef, wasz brat? przypomniał Domingo.

— Nigdzie go znaleźć nie można — i on nie wiele dba o moje pożegnanie, wiem ja o tem dobrze! Tam zaś są dwie dusze wielce mi przychylne!

Franciszek wskoczył na koń — Domingo, obficie

zaopatrzony przez Don Miguela we wszystkie potrzeby podróżne upoważniony do pamiętania o wszystkiem, jechał za nim na również dzielnym koniu. Wyjechali za bramę okalającego muru — wtedy w Wysokiem arkadowem oknie ukazał się stary ojciec, aby raz jeszcze ujrzeć na wieki — może oddalającego się syna.

Poranne słońce właśnie rozpostarło swoje złote promienie po parku i okolicy, kiedy obaj jeźdźcy zbliżyli się do małych, ubogich chatek robotników, którzy wraz z pasterzami opuszczali już swoje siedziby i wychodzili w pole.

Z głośno bijącem sercem pośpieszył Franciszek do chatki Henryki — drzwi jej były otwarte; struchlał przerażony, nie wiedząc co zaszło.

Wszedł do niskiej izdebki — była pusta — łóżko dziecka także puste! suknie, krzesła i inne rzeczy leżały porozrzucane na ziemi — i żadnego śladu, żadnej wiadomości, co się stało z Henryką i jej dziecięciem!

Straszna chwila trwogi i niepewności! Franciszek wypadł na dwór — zwołał wszystkich mieszkańców chatek — bo za wszelką cenę musiał powziąć jakąś wiadomość! Domingo nadaremnie starał się uspokoić zrozpaczonego.

Nikt nie mógł go objaśnić!

Nakoniec spotkał przy zamku jedną pasterkę, która o świcie miała widzieć Henrykę, trzymającą na ręku swoje dziecię.

— Widziałem, że szła biegnąc z parku i śpieszyła ku lasowi należącemu do Bedoi! — rzekła pasterka.

Franciszek i Domingo bez zwłoki popuścili koniom

wodze, udając się we wskazanym kierunku a tędy także szła droga do Madrytu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział IV.

UCIECZKA.

Była to w istocie Henryka; pasterka dostrzegła ją wpośród mgły porannej, niby jaki przesuwający się cień.

Gdy Barradas wieczorem wtrącił ją do ponurego pawilonu, a drzwi ich dobrze pozamykał, udręczona dziewica legła pod ciężarem uderzających na nią straszliwych wypadków.

Jak długo leżała na wilgotnej ziemi w tem okropnem miejscu, sama nie wiedziała — nakoniec przeraziło ją wołanie dziecka. Okrywająca ją z razu nieprzebita ciemność, teraz się rozjaśniła, bo oko już do niej przywykło — obejrzała się zatem w koło — ale przestrzeń, do której promień słońca wcale nie dochodził, była pusta — czarne, brudne, wilgotne ściany, wznosiły się w koło bez żadnej przerwy, bez załamania, pod sam dach, tak aby i stamtąd żaden powiew powietrza, żaden ratunek nie przychodził.

Plugawe robactwo, wielkie ślimaki i jadowite ropuchy, czołgały się po ścianach i po wilgotnej, z ziemi ubitej podłodze.

Henryka zerwała się — a przestraszone niezwykłą ciemnością jej dziecię, zaczęło płakać i domagać się wyniesienia na świeże powietrze.

Okropne położenie! Dręczona śmiertelną trwogą, szukała ocalenia na około siebie; nadaremnie pocałunkami i

pochlebnemi słowy usiłowała uspokoić dziecię, ten modrooki klejnot, który nocą, spędzoną w tak niezdrowem, wilgotnem powietrzem napełnionem miejscu, mógł się nabawić śmiertelnej choroby.

Na taki chaos wszelkich wrażeń i myśli, zadrżała zimnym dreszczem: — „Ratunku, ratunku!“ zawołały jej usta, a później znowu: „Wszystko stracone — o mój Franciszku!“

Powoli i ostrożnie zbliżyła się do okna — usiłowała, małe swoje palce wcisnąć między mocną żelazną płytę, którą Barradas zamknął, i między żelazną ścianę — ale kruszec oparł się jej usiłowaniom! Poczołgała się dalej — żadnej ławki, żadnego przedmiotu, na którymby chwilę mogła spocząć, lub położyć swe dziecię; a potem u zamkniętych drzwi obu rękami zaczęła szukać ocalenia, bo ją śmiertelna trwoga przejmowała.

Gdyby teraz nadszedł Józef! — gdyby ten straszny człowiek dostał się do niej do opuszczonego pawilonu! — Musi zaniechać wołania o pomoc — wszakże w jego władzy pozostaje.

Na tę myśl krew jej w żyłach zastygła, zwłaszcza że jej wzburzona i zatrwożona wyobraźnia już sobie przedstawiała, iż przybliża się do niej jego pełzająca postać — widziała już jego pożądliwe błyszczące oko, jego bladą, namiętnie drżącą twarz, jego ręce wyciągnięte dla pochwycenia jej i dziecka!

— Święta Matko Boża! — jękła i modląc się padła na kolana: czyliż w pośród przerażenia tej nocy, nie ma żadnego wyjścia?

Blada, bojaźnią przejęta Henryka, twarz swą zwróciła w niebo, ku któremu z zapałem wzniosła prawą rękę, bo w

lewej trzymała dziecię, które z powodu złego, zlodowaciałego powietrza i płaczu, równie jak ona blado wyglądało.

— Najświętsza Marjo, dopomóż biednej kobiecie, która w tej godzinie niedoli wyciąga do ciebie ręce, błagając ratunku; dopomóż matce, która patrzy jak dziecię jej więdnie w tem więzieniu; dozwól niech jeszcze choć jeden dzień trzyma je żywe na swoich rękach; spraw aby zaniemogła, ale ocal to niewinne dziecię!

I pełna zwątpienia Henryka jeszcze raz spojrzała wokoło siebie, jakby szukając otworu do wyjścia. W tem przyszła klęczącej jasna myśl — na nowo ożywione jej oczy, błysły iskrami — klęczała na miejscu miększem pulchniejszem jak reszta podłogi żelaznego pawilonu — było to wskazówką Niebios, aby to miejsce wygrzebać i tem samem utorować sobie drogę do wyjścia?

Zrozpaczona chciwie chwyciła się tak drobnego promyka nadziei ocalenia.

— Dalej, szybko do dzieła! szepnęła sama do siebie; masz noc przed sobą — tylko tym sposobem możesz wybawić siebie i dziecię!

I nie bacząc na czołgające się robactwo, które w niej przedtem taką wielką obrzydliwość wzbudzało, zaczęła chodzić po więzieniu, szukając przedmiotu, któryby jej do wygrzebywania ziemi mógł posłużyć, — szeroko roztworzywszy oczy, cała febrycznie drżąca, przejrzała każdy zakątek. W tem szkaradnem miejscu nie znalazło się nic, coby jej pomoc przynieść mogło! Szybko zdecydowana, dobrze otulone dziecię położyła przy sobie, i zaczęła rękami

wygrzebywać ziemię!

Jakaż to mordująca praca dla istoty trwogą przejętej!

Z wytężeniem wszelkich sił swoich, kopała coraz bardziej pod żelazną ścianą pawilonu — zaledwie mogła oddychać — piersi jej pękały z bólu — na twarz jej wystąpił nienaturalny rumieniec; — wtem, tak długo niespokojnie śpiące dziecko, poczęło gorączkowo majaczyć — Henryka powstała, przejęta zgrozą! Ach! może już za późno, może milutkie stworzenie, od którego całe jej życie zawisło, już na śmierć skazane zostało — ale uspokoiło się. Ze straszliwą porywczością kopała dalej — miękkie ręce pokaleczyła o ziemię i drobne kamyki — nie zważała na to — a wypogodzone oko zapewniło ją, że jej praca naprzód postępuje! Wtem stanęła jej na myśli straszliwa możliwość, że żelazna ściana może jest głęboko w ziemię wpuszczona, a wtedy cel jej wyczerpującej pracy będzie nadaremny.

— Nie, nie, dzięki Niebu! — radośnie zawołała.

Ręce przekonały ją, że się nie potwierdza ta okropna obawa; pod spodem nie napotkała żadnej przeszkody! Ale wyczerpały się jej siły, na chwilę odpocząć musiała, aby chwycić powietrze, krople potu wystąpiły jej na czoło, piękne czarne włosy z wysilenia rozwiązały się, drżała na całem ciele. Ale miłość dla Franciszka i dla dziecka pokrzepiała ją — była matką, musiała szukać ratunku!

Znowu z odwagą dalej wygrzebywała ziemię, i nakoniec promień radości rozjaśnił lice jej — nakoniec rozstąpiła się ziemia zewnątrz pawilonu! Biednemi, skrwawionemi rękami niezmordowanie wyczerpywała ziemię z wyrobionego otworu i rozszerzała go z coraz to mniejszym trudem.

— Jesteśmy ocaleni — ocaleni! poszepnęły jej usta, aby pocieszyć i siebie samą i w febrycznej drżączce stękające dziecię — wielki bo już czas, na podwórzu już zaczyna świtać!

Wtedy wionęło na nią świeże powietrze — krzyknęła radośnie i próbowała, czy wysmukłe jej ciało przeciśnie się przez mały otwór — wewnętrzny głos niedoli i śmiertelnej trwogi, wołał w niej: „tak jest!“

Pochwyciła więc drżącą, bladą dziewczynkę, swoje dziecię, i wycisnąwszy gorący pocałunek na jej zimnem licu, ostrożnie położyła ją na trawie otaczającej pawilon — mała otworzyła oczy.

— Jesteśmy ocalone! głęboko i ciężko wzdychając szepnęła Henryka. W tej chwili posłyszała szelest w dali poruszających się gałęzi, które jakby uginano — zerwała się — jaka mogła być przyczyna tego szelestu?

Była to pełna udręczenia chwila — znużenie znikło, szybko jak błyskawica ujęła dziecko w ręce i jeszcze raz spojrzała w stronę, w której się gałęzie poruszały — pomrokę łatwo przejrzała, bo oczy jej przywykły już były do ciemności.

Po za krzakami, pełzając skradał się do czarnego pawilonu jakiś człowiek. Serce Henryki mocniej uderzyło — głuchy okrzyk wybiegł z jej ust — zbliżający się był to Józef, poznała jego lisią twarz.

We dwoje zgięta umykała pod zasłoną drzew coraz dalej, przez park aż do otworu, na otwarte pole wiodącego, wzburzonej jej wyobraźni zdawało się, że słyszy ścigające ją kroki — wytężywszy zatem ostatnie siły swoje biegła

przelękła i ścigana, tuląc dziecię do piersi. Białe jej okrycie wśród porannego pomroku powiewało jak szata widma, a długie rozpuszczone włosy nadziemski pozór nadawały jej postaci — i zdążała coraz dalej, dalej, jakby gnana przez furje, jakby ścigana przez Don Józefa, którego kroki, szkaradny, tryumfujący śmiech słyszeć mniemała.

Nakoniec dostała się do rozległego, gęstego lasu Bedoi, w którym jak twierdził Barradas, pozostawił swoje zgrozą przejmujące ślady — szła śpiesznie pomiędzy drzewami, nie bacząc, że cierniste krzaki rozdzierają jej ręce i odzież.

Gdy nakoniec do ostatka wyczerpane siły opuściły ją — osłabła i padła wpośród kwiecia i gałęzi lasu, nad którym rozpościerał się pierwszy drżący promień słońca. Piękne, ale śmiertelnie blade jej oblicze spoczęło na zielonych poduszkach liściowych, daleko od drogi, w rozległym, bezludnym lesie, który z uroczystą ciszą jak świątynia boża, rozpostarł nad nią i nad dzieckiem swój dach opiekuńczy.

Kiedy po odjeździe gości Don Józef uznał, że nadeszła stosowna chwila, w której nakoniec będzie mógł zadosyć uczynić swojej nieposkromionej żądzy znęcania się nad piękną Henryką, powlókł się on ostrożnie przez park do odległej, zdziczałej jego części i nareszcie zbliżył się do czarnego pawilonu.

Na jego bladej twarzy osiadł radosny uśmiech: pewny był nakoniec, że dopiął swojego celu, cieszył się tą pewnością — nikt nie mógł mu przeszkodzić, bo sługę swojego Barradasa postawił w krzakach na czatach. Spiesznie stanął przy żelaznych drzwiach — z radosnem oczekiwaniem włożył z cicha klucz w mocny, pewny zamek, i szybko drzwi za sobą

zatrzasnąwszy, wszedł do wnętrza pawilonu.

— Henryko — piękna Henryko! szepnęły jego usta.

Potem oczy jego, jakby czarem oślepione, wpatrzyły się w przestrzeń i szukały — otworzył drzwi.

Pawilon był pusty — Henryka uciekła!

Z piersi jego wyrwał się dziki i pełen nienawiści okrzyk — z winy politowania godnego sługi, omyliła go z całą pewnością obliczona rachubą — wściekłość i zawód oślepiły go — musiał znaleźć ofiarę dla swojej wzburzonej krwi — w pięści jego zabłysła szpada i rzucił się w krzaki, w których stał nikczemny Barradas.

— Łotrze! wszak powiedziałem, że życiem twojem odpowiesz mi za tę kobietę. Dozwoliłeś jej uciec — do piekła więc z tobą!

Don Józef dobrze trafił: jego sługa Barradas, nie wiele lepszy od pana, teraz za wszystkie czasy otrzymał nagrodę; — wydał on bolesny okrzyk, który właśnie usłyszał Don Franciszek będąc w mieszkaniu ojca — poczem padł z klątwą na ustach, a Don Józef, sądząc, że zbiegła jeszcze nie mogła zajść daleko, a ściganie jej nęciło, jak wąż poczołgał się pomiędzy krzakami parku za Henryką.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział V.

MŁODA KRÓLOWA.

Bajecznie piękny pałac Espartery, księcia zwycięstwa pływał w morzu światła. Madryt uroczyście obchodził nieśmiertelne czyny tego pierwszego wodza królowej regentki Marji Krystyny, który zarazem był współregentem aż do pełnoletności młodocianej królowej Izabeli.

Prado, Plazza, Major i Puerta del Sol, te najpiękniejsze ulice i place hiszpańskiej stolicy, zabrzmiały znowu wiwatowemi okrzykami radosnych tłumów.

— Precz z karlistami! niech żyje Espartero, zwycięzca z pod Luchana! tysiące głosów wołało przed cudownie położonym zamkiem królowej.

— Niech żyje Izabella! Niech żyje Marja Krystyna!

Espartero to wódz dzielny, ale lichy mąż stanu i regent! On syn ubogiego karownika z Granatuli, męstwem i szczęściem stąpając po szczeblach sławy, doszedł do boku tronu i został księciem Luchana; lubuje się on w tej potędze i mimo swej wielkiej pobożności, miło mu stroić się i błyskotkami obwieszać. Espartero ma lat pięćdziesiąt, wysoki i silnie zbudowany, zarosłej, ogorzałej twarzy, na której widocznie maluje się prawość i stanowczość. Jego bogato haftowany, orderami obciążony mundur generalski, jaśnieje rożnokolorowemi wstęgami, złotem i drogiemi

kamieniami. Dzisiaj oczekuje on w swoim pałacu odwiedzin królowej Izabelli i jej matki, regentki, które chętnie przy każdej sposobności okazują mu swoją przychylność. Wszakże ten człowiek został znakomitym aż po śmierci króla Ferdynanda VII, kiedy wystąpił popierając i podzielając sprawę nowo obwołanej królowej Izabelli. Espertero i stronnicy jego obawiali się, aby Don Carlos, brat okrutnego Ferdynanda, odzywający się z silnemi pretensjami do tronu, na zgubę narodu nie nosił korony i nie przedłużał pełnych zgrozy czynów, którym nakoniec śmierć Ferdynanda koniec położyła.

Stronnictwo królowej miało prawo tak postanowić, bo Ferdynand VII, ów król „z głową byka, a sercem tygrysa“, był to potwór. Upodobania miał nikczemne, pospolite, namiętności zwierzęce. Często wieczorami, okryty kapą, dopuszczał się rozmaitych awantur, a opowiadają nawet, że go nieraz w bardzo złym stanie widywano na ulicy Toledo! I tak w kilka lat przed jego pełną udręczenia śmiercią, którą naród dziękczynnemi modlitwami pozdrowił, komendanci Sewilli, Kadyksu i Walencji otrzymali rozkaz z ministerstwa wojny, aby natychmiast uwięzili przełożonych swoich, generałów prowincji, aby postępowali z nimi według opieczętowanych instrukcyj. Jeden z tych komendantów dopełnił uwięzienia, a cóż list zawierał? Niezwłocznie rozstrzelać generała! A tego piekielnego manewru dopuścił się podrzędny urzędnik nienawidzący owych generałów, urzędnik, którego córka dniem pierwej odwiedziła sypialnię króla.

Wszystko to świeżo jeszcze tkwiło w pamięci

mieszkańców Madrytu, nie mogli zatem żądać na króla brata nieludzkiego Ferdynanda.

Ferdynand za namową małżonki swojej Marji Krystyny, która go w ciągu długiej choroby troskliwie doglądała, po urodzeniu się infantki Izabelli, wprowadził znowu starohiszpańskie prawo, dopuszczające płeć żeńską do dziedzictwa tronu, i przez to po śmierci swojej wywołał ową wojnę domową, którą odrzucony Don Carlos i jego stronnicy z taką zaciekłością wiedli.

Rządy państwa, aż do pełnoletności królowej Izabelli, spoczywały jedynie w ręku królowej matki Marji Krystyny, kobiety, którą jak się później przekonamy, powodowała raczej zmysłowość i intryga, aniżeli wdzięczilość i prawość. Jako pomocnik dodany jej był Don Espartero, książę Luchana.

Wejdźmy przez wjazd wsparty na ośmiu filarach, do przedsionka, po którym krążą liczni lokaje w świetnej, bogato herbami księcia naszywanej liberji. Tam przyjmuje nas oślepiające oświetlenie, a z pomiędzy zamorskich konch i krzewów tryskają sztuczne fontanny, rozlewające przyjemny chłód. Ztamtąd, po szerokich, tureckiemi dywanami wyłożonych marmurowych schodach, dostajemy się do balowej sali, po której przechadzają się generałowie rozmaitego rodzaju broni w galowych mundurach, i panowie dworscy bądź w hiszpańskim narodowym stroju, w obcisłych pończochach, bogato wyszywanych półpłaszczykach i kołnierzykach z brabanckich koronek, bądź też w białych kamizelkach i niebieskich ze złotemi guzikami frakach. Espartero przechodząc witał swoich

gości jednego po drugim, a tymczasem jego małżonka, jakkolwiek już przekwitła, jednak w swoim pełnym gustu stroju z siwego atłasu naszywanego granatami, w perłach i wielkich brylantach, jeszcze bardzo poważnie wyglądająca księżna Luchana, rozmawiała z kobietami. I pomiędzy niemi jedne miały kostjum hiszpański, drugie ubiór francuski — tu była donna w mantylli, spiętej drogiemi kamieniami, z włosami w wysokie koki ułożonemi — tam znowu dama z wieńcem kwiatów we włosach, w sukni mocno według paryskiej mody wykrojonej i przezroczystym szalem okryta.

Lecz rozmaitej wielkości rozmaitych odcieni brylanty w pośród tego tłumu walczyły o pierwszeństwo z niezliczonemi świecami tej wysokiej i rozległej sali. Jej sufit połyskuje przecudnemi medalionami, przedstawiającemi grupy świętych. Wzdłuż ścian ciągnie się, złotem tkaną draperją obwieszona galerja, z której rozlega się po sali głośna muzyka, wykonywana przez kapelę gwardji. Zachwycający widok przedstawiają urządzone w głębi gabinety, w których tu i owdzie biją fontanny pachnącej wody, kiedy tymczasem w innych ukazują się lodowe groty albo kwitnące ogrody.

W przyległej sali ściany są pokryte obrazami, na których artystyczny pędzel przedstawił sceny bitew, gdzie można rozpoznać Esparterę, albo na wspinającym się koniu uderzającego na nieprzyjaciela, albo też przejeżdżającego w pośród gradu kul. jedna z takich sal jaśnieje sztucznem niebieskawem światłem — inna czerwonawą barwą, która ciemnym połyskiem napełnia miękkiemi fotelami

zastawioną przestrzeń.

Dwaj najstarsi generałowie, których już spotkaliśmy w zamku Delmonte, przechadzają się po tej sali rozmawiając z cicha — są to Leon i Borso, przeciwnicy Espartery.

— Należało koniecznie znajdować się na dzisiejszej uroczystości, bo w przeciwnym razie mógłby powziąć podejrzenie, — powiedział pierwszy. Sądzę, że gościnność jego przekonań naszych nie zmieni.

— Dla dobra Hiszpanji wszystko inne zamilknąć powinno! — poważnie odrzekł Borso.

— Przemawiasz do mnie całą duszą — a dla dobra Hiszpanji potrzeba Esparterę oddalić od tronu.

— On nas Anglji zaprzedaje; mam w ręku tego dowody.

— Czy ty prawdę mówisz, Borso? Nie próżne były moje domysły. On musi upaść, chociażby to życiem miał przypłacić! Powstanie przygotować łatwo, zwłaszcza jeżeli ty pomoc swoją mi przyrzekasz!

W tej chwili po za szepczącymi generałami ostrożnie rozsunęła się portjera, oddzielająca tę salę od przyległej i ukazała się podsłuchująca głowa służącego.

— Oto moja prawica, Don Leonie — rzekł generał Borso z cicha, ale dosyć głośno, tak, że szpiegujący słowa jego posłyszał. Dobro Hiszpanji wymaga, aby go usunąć od stopni tronu; potrzeba koniecznie starać się o lepszych doradców — ale czy słyszysz odgłos trąb? — królowe przybywają, wróćmy do sali!

Głowa u portjery znikła — obaj generałowie wrócili do innych gości, ani przypuszczając, że plan ich względem obalenia Espartery, ¡wyśledził najzręczniejszy jego sługa.

Z galerji zabrzmiał wzruszający hymn narodowy, i przez wysokie otwarte podwoje weszły obie królowe, prowadzone przez Esparterę i jego małżonkę, którzy wyszli naprzeciw nich aż do powozu. — Królowa matka Marja Krystyna wraz z powabną trzynastoletnią królową Izabellą, przybyły w towarzystwie dam dworu i pałacowych adjutantów.

Liczni generałowie i dygnitarze, rozstąpiwszy się utworzyli półkole i oddali głęboki pokłon.

Marja Krystyna była to silna, średniego wzrostu dama, około pięćdziesiąt lat wieku licząca. Włos jej, w którym tkwiła brylantowa korona, był ciemny, gładko uczesany. Z oczu jej widać było dumę i roztropność; na jej dosyć dużych ustach osiadł wyraz, dowodzący, że regentka umie być ironiczną i intrygantką. Miała na sobie ciemną niebieską atłasową suknię, a na niej przejrzysto-białą narzutkę, pół-mantylkę, pół-szal.

Młoda trzynastoletnia królowa Izabella, której jedyna siostra Ludwika jako chora pozostała w zamku, ubrana była w białą jedwabną suknię, ozdobnie różowemi kwiatami przetykaną — różowe kanciaste okrycie skromnie spadało jej z ramion, a w ciemnych pięknych włosach błyszczał wieniec złotych kwiatów i szmaragdów, mający nad czołem również małą błyszczącą koronę brylantową. Ciemny włos i niebieskie oczy, zdobią młodością kwitnące oblicze królowej Izabelli, te oczy mówią o upodobaniu jakie królowa ma w życiu. Już jako dziecko przyzwyczajona była rozkazywać i każde swoje życzenie widzieć spełnionem — a chociaż i teraz jako dziecię przybyła na bal księcia

Luchana, lecz widać, że na jej różowem, wcześnie rozwiniętem licu, jaśnieje radość. Czoło jej nie wysokie, a może z powodu bujnych brwi wydaje się niższe — nos ma prosty, delikatnie wycięty, usta miłe czerwone, nieco za tłuste wargi. Właśnie z uśmiechem przemawia do swojej damy dworskiej, nadobnej, czarnookiej markizy de Belleville, a potem mówi także z podprowadzonym przez Esparterę kapitanem Olozagą, który jej przedstawiony był na ostatniej dworskiej uroczystości.

Regentka Marja Krystyna tymczasem mierzyła wzrokiem całe zgromadzenie — zdawało się, że kogoś szuka! Zmarszczyła czoło.

Espartero wiedział, czego pragnie regentka — dzisiaj chodziło jej o postawienie stanowczego kroku, a stanowczego albo dla Espartery, albo dla tego, kogo nadaremnie szukała.

Ale książę Luchana tak dalece przywykł był do zwycięstwa, że w tej pełnej niebezpieczeństwa chwili, zachował tę samą pewność siebie i spokojność jak i na polu bitwy.

Starsi i młodsi generałowie, tudzież przychylnie widziani oficerowie gwardji królowej, grupami przybliżyli się. Każdy poczytywał sobie za szczęście, jeżeli go Krystyna lub Izabella dostrzegły i z pośród innych wyróżniły.

Na rozkaz regentki zabrzmiała znowu szumna muzyka, wzywając do tańca, i gdy ciężko złotem haftowana służba na srebrnych tacach roznosiła szumiącego szampana, Marja Krystyna raczyła podać rękę do tańca rozmawiającemu z nią właśnie generałowi Narvaezowi — nie zaś księciu

Luchana, który wszakże poprowadził młodą królową.

Na dany rozkaz ruszyły za nimi inne pary i wkrótce wszystko wirowało w wysokich pięknych salonach.

Po skończonym tańcu regentka weszła do jednego z zapraszających ją gabinetów, a w bliskości stal książę Luchana, który również przestał już tańczyć z królową — zbliżała się stanowcza chwila — w puharach ustawionych na małym stoliczku w gabinecie pienił się szampan — Marja Krystyna napiła się z jednego, a Espartero przystępując, prosił, aby zerwała owoc z unoszących się nad nią gałęzi.

— Mości książę, jesteś bardzo przytomnym gospodarzem, — pół-głośno rzekła królowa regentka siadając na fotelu; winnam ci podziękować za królewskie urządzenie twojego pałacu na nasze przyjęcie — a jednak muszę ci wyznać, że w pośród mnóstwa zgromadzonych tu dostojników, nie dostrzegam jednego — którego na pewno spotkać tu miałam nadzieję!

— Widzę, że gniewa to moją współregentkę, iż nowo upieczonego księcia zaprosić przepomniałem.

— Przepomniałeś? Sądziłam, że książę Rianzares może rościć sobie prawo do pierwszeństwa przed innymi! Śmiejesz się generale? Śmiech to umyślny, aby mnie obrazić!

— Najjaśniejsza pani, powiedziałem sobie, że książę Rianzares, były lejbgwardzista Munnoz, nie stosownym jest dla grona generałów i szlachetnych panów! — z dumnem przekonaniem odpowiedział Espartero.

— Jest on, równie jak i ty mości książę, łaską moją

postawiony na wysokości, w której ma teraz prawo poruszać się! Mniemałam, że Tarancon i Granatula nie są od siebie nazbyt oddalone! Espartero zbladł — regentka chciała mu dać do zrozumienia, że Munnoz, syn kramarza z Taranconu, ma równe prawo do zostania wielkim jak on, syn karownika z Granatuli. Dumny wysokiem swojem stanowiskiem i wielce zarozumiały Espartero uczuł, że mu krew do głowy uderza — ręce jego zadrżały, — prawy, waleczny mąż uznał, że teraz właśnie pora, otwarcie pomówić z regentką.

— Najjaśniejsza Pani! stopień mój zawdzięczam jedynie narodowi i tej oto szpadzie, po której w tej chwili z dumą śmiem uderzyć!

— Lud Madrytu jest zmienny, mości książę!

— Nie tyle, ile Wasza Królewska Mość sądzisz! Lud Madrytu umie rozróżniać. Zlituj się pani!

Espartero przycisnął ukrytą w ścianie sprężynę — wnet zielona draperja z obu stron opadła i zasłoniła czarownic oświetlony przystęp do sali. Marja Krystyna ujrzała się sama z Esparterą, który ugiął przed nią kolana.

— Co to ma znaczyć, mości książę? — cicho spytała.

— Zlituj się Wasza Królewska Mość — wyrzeknij się tego Munnoza, który godność twojej korony poniewiera, który nadzieje, jakie w rządach Twoich pokładamy, zbrodniczą ręką rozprasza! Przewidywałem tę chwilę, aby cię na kolanach błagać: zaniechaj wpływu tego człowieka — pamiętaj na słowa, które niegdyś ludowi z balkonu twojego zamku zaprzysięgałaś!

Marja Krystyna powstała — z jej południowo-ciemnych

oczu tryskał ogień, który wyraźniej jak wszelkie słowa mówił, jak silnie ją dotknął Espartero.

— I jakąż radę masz książę pod tym względem w pogotowiu? bo widzę, że się znakomicie przygotowałeś do odegrania tej komedii?

— Zamiast wpływu Munnoza, raczej wpływ księży, wszakże za ich pośrednictwem najbardziej się rządzi narodem Po twarzy Krystyny przebiegł szyderczy uśmiech i wyższości i uznania.

— Jestem matką królowej, regentką Hiszpanji, mości książę. Otwórz pan portjerę.

Espartero podniósł się — z wolna dotknął ręką sprężyny — z wolna rozstąpiła się zielona draperja, i niby w czarodziejskim obrazie, zaczęły się znowu przesuwać przed otworem piękne tańcujące pary.

Książę Luchana czuł, że przegrał partję w szachy, do której zaprosił regentkę — obraziło go i bolało wzgardliwe odrzucenie szczerze ofiarowanej pomocy; pilno mu było dać poznać regentce, komu okazała lodowatą oziębłość i nienawiść.

Z ulicy ciągle jeszcze dochodziły odgłosy radosnych okrzyków ludu — Espartero uśmiechnął się — przyszła mu do głowy myśl pokrzepiająca.

— Racz Wasza Królewska Mość pozwolić, — rzekł tak głośno, że go bliżej stojący oficerowie słyszeć mogli: — abym ludowi Madrytu złożył moje dzięki za tę odwagę.

To mówiąc wziął do połowy jeszcze szampanem napełniony swój kielich, przystąpił do najbliższego okna i otworzył je.

Tłumy spostrzegły księcia zwycięstwa, i wydały okrzyk radości, który przewyższył wszelkie jego oczekiwania — a gdy pozdrawiając naród, wniósł kielich w górę — i wychylił go na cześć zgromadzonych, z placu Maior zabrzmiała salwa z ręcznej broni.

Królowa mocno pobladła — zrozumiała, co po świeżej z nią rozmowie książę Luchana, przez tak nieprzymuszoną odpowiedź, oświadczyć jej pragnął.

W tej chwili podszedł ku tryumfującemu Esparterze służący i podał mu na srebrnej tacy dwa listy — książę wziął jeden i rozerwał. Wiadomość o przegranej bitwie byłaby w tej chwili tryumfująco uśmiechniętego nie tyle przeraziła, jak słowa zawarte w tym raporcie kamerdynera.

„Leon i Borso zdradzają waszą sprawę i usiłują was obalić — słyszałem słowa ich sprzysiężenia“! — brzmiało pismo, które Espartero zdoławszy zapanować nad sobą, schował w zanadrze, i potem wziął drugi list, aby tem łatwiej ukryć wzruszenie. Ten drugi list od jego dobrego niegdyś towarzysza broni Serrany. Mimowolnie sposępniała twarz księcia rozjaśniła się, szybko rozpieczętował list, aby zyskać czas do namysłu.

— Gdzie jest młody Don Serrano?

— Młody pan czeka w przedpokoju! — odpowiedział sługa.

— Prowadź mnie do niego; cieszy mnie to, że go w domu moim przyjąć mogę! — zawołał Espartero, odstępując od okna i dążąc na przedpokój.

Naprzeciw niego wyszedł, w zakurzonej nieco odzieży, ale szlachetną postawą i pięknemi rysami bardzo

przychylnie dla siebie usposabiający Don Franciszek Serrano, który tylko co po utrudzającej podróży przybył do Madrytu i natychmiast udał się do Espartery dla doręczenia mu polecającego listu od Don Miguela.

Domingo stał ciągle u przysionka pałacu, ze zmordowanemi i kurzem okrytemi końmi, zdziwiony widokiem tłumów i otaczającej go zewsząd okazałości.

— Bądź mi pozdrowień, Don Serrano! — zawołał Espartero, podając rękę młodemu i nieco zakłopotanemu Franciszkowi, ale pozwól, abym przedewszystkiem odczytał list twojego czcigodnego ojca!

Franciszek miał czas rozpatrzyć się — jakże liczne otoczenie, jak świetne mundury postrzegł! Czemże był wobec tych haftowanych gwiazdami ozdobionych panów? Niczem zaiste; musiał więc w tej chwili uczuć się pognębionym, bo przybywał z prowincji jako młodzieniec, wstępujący w nowy zawód życia, po nadaremnem poszukiwaniu ukochanej i z sercem ciężko niepewnością przytłoczonem!

Ale oko jego wnet zabłysło — wnet poczuł, że i w nim istnieje duch wieku — a to nagle powstające w nim przekonanie przywróciło mu jego dumną postawę i pewność siebie.

Espartero z uśmiechem złożył pismo Don Miguela.

— Troskliwy, czcigodny ojciec! Zaprawdę Don Serrano, możesz być dumnym z tego, że jesteś synem takiego ojca!

— Mojem zadaniem, z honorem nosić nazwisko mojego ojca! — pewnym głosem odpowiedział Franciszek.

— Brawo, mój młody przyjacielu, wkrótce będziesz miał

sposobność odznaczenia się — a ponieważ dzisiaj oglądać będziesz zgromadzonych tu u mnie grandów i generałów madryckich, proszę cię zatem, udaj się do moich pokojów, masz służących na rozkazy — a potem wróć do mnie do salonu, abym cię mógł przedstawić oficerom królewskiej gwardji.

Espartero przywołał lokaja i po cichu dał mu jakiś rozkaz — zdziwiony Franciszek dostrzegł, że książę wręczył lokajowi jeden ze swoich pierścieni — poczem ukłonił się, uradowany uprzejmością księcia, i poszedł za służącym, który ze świecznikiem w ręku zaprowadził go do prywatnych pokojów pałacu. Rzeczywiście Franciszek tak zachęcająco został przyjęty, że po tylu przygnębiających go od wczoraj wzruszeniach, uczuł się niejako orzeźwionym.

Po odejściu młodego Don Serrany, Espartero odwrócił się — spojrzenia jego padły na gabinet, w którym niedawno nadaremnie upraszał regentkę, aby zaniechała stosunków z ulubionym jej Munnozem, którego księciem mianowała — w którym śmiał grozić regentce i groźbie swojej przy oknie tem silniejszy dał nacisk.

Marja Krystyna stała jeszcze w tym gabinecie, a obok nej w cieniu gałęzi — Narvaez, współzawodnik Espartery, któremu zazdrość wawrzynów księcia spać nie dawała, któremu okrzyki ludu jak pchnięcia sztyletu serce przebijały.

Narvaez ma lat czterdzieści trzy, niezgrabny, ma twarz prawie czworokątną — bo mu kości na skroniach mocno wystają, a podbródek jego zanadto szeroki. Na tej jakby z kamienia wykutej twarzy, nadaremnie szukałbyś

szlachetnego, przychylnego rysu; nawet oczy, to zwierciadło duszy, są zimne, ale zarazem przeszywające.

Zimno poważny Narvaez stoi obok Marji Krystyny, a tymczasem w nieco przycienionym, czarownym gabinecie obok nich, królowa Izabella siedzi w fotelu, przy jej boku margrabina, ponętnie igrająca spojrzeniem i tuż przy nich za cienkiem przepierzeniem Don Olozaga, kapitan gwardji królowej.

Młoda królowa lubi widocznie towarzystwo dowcipnie i zręcznie umiejącego prowadzić rozmowę oficera, którego rysy są równie miłe i delikatne jak słowa; od godziny więc już z nim gawędzi. Ale Olozaga nie bez zadowolenia patrzy w oczy margrabiny de Beleville, które to ku niemu ukradkiem poglądają, to znowu postrzegłszy, że na nie ktoś uważa, z czarownym skrytym uśmiechem wdół się spuszczają.

Wtem, prosząc o przebaczenie, zbliża się do gabinetu Espartero, i prowadzi za rękę młodego Don Serranę, który tylko skinieniem przywitał generałów Leona i Borsę.

— Racz Najjaśniejsza Pani dozwolić, abym jej przedstawił szlachetnego Don Franciszka Serranę i zalecił go kapitanowi Olozadze na gwardzistę Waszej Królewskiej Mości!

Izabella spojrzała pięknem niebieskiem okiem, i lekkiem skinieniem głowy powitała przybyłego szlachcica. Olozaga zaś przystąpił ku niemu życzliwie i po przyjacielsku pozdrawiając go:

— Witam cię serdecznie, kochany Don Serrano! z powodu obecności królowej wyrzekł głosem nieco

przytłumionym.

Franciszek, który nagle ujrzał się naprzeciw owej jeszcze na wpół dziecinnej, na wpół zaś pięknie rozwiniętej królowej, która za kilka już miesięcy będzie mogła pochwycić wodze rządu, nie bez pewnego bicia serca przypatrywał się jej pięknej, świeżej postaci, świadczącej o jej młodzieńczości. — Jej drobna, pięknie ukształcona rączka bawiła się wachlarzem, a rumiane usta okrywały listki pysznej, pachnącej róży, którą przy nich trzymała. Jej powabne, miękkie spojrzenia obiegły pierw salę, a potem mimochodem padły na młodego, ciągle w nią wpatrującego się Serranę, którego skromne ubranie dziwnie się wydawało przy bogato strojnych ubiorach. Przeciwnie zaś zgrabny krój białej, kwiatami przetykanej sukni młodej królowej, wdzięcznie i zręcznie uwydatniał jej rozwijające się kształty, i dozwalał widzieć zachwycającą nóżkę, zamkniętą ¡w ślicznym różowo-atłasowym trzewiku.

Izabella napiła się nieco podanego sobie szampana i wezwała Don Serranę, aby nie był zbyt wstrzemięźliwym, lecz aby po podróży pokrzepił się orzeźwiającem, szumiącem winem.

— Niech więc wolno mi będzie wznieść pierwszy toast w Madrycie za zdrowie i pomyślność Waszej Królewskiej Mości! — wyrzekł półgłosem.

— Dziękuję panu, — z uśmiechem odpowiedziała Izabella, — i piję za pomyślność pańskiego wojskowego powodzenia, bo przypuszczam, że pragniesz pan zaciągnąć się pod nasze sztandary. — Doprawdy margrabino, dodała zwracając mowę do pięknej, młodej damy dworu, zdaje mi

się żeśmy...

— Don Franciszka Serrano y Dominguez da Delmonte! — dopomógł kapitan Olozaga kłaniając się.

— Żeśmy już Don Serranę widziały — że go już od dawna znamy, a jednak to niepodobna, bo pan tu dzisiaj dopiero przybywasz, a my jeszcze nigdy nie zwiedzałyśmy zamku Delmonte!

— Tak się często przytrafia, i pragnąłbym poczytywać to sobie za dobrą przepowiednię! — rzekł Franciszek.

— Zgadzam się na to! — zawołała, i jak dziecko przyjaźnie kiwnęła głową młodemu, wzruszonemu, przystojnemu szlachcicowi.

Olozaga nie słuchał tych słów tyle na przyszłość wróżących, wymówionych przy pierwszem spotkaniu się Izabelli z Serraną. Bystry jego wzrok byłby z pewnością dopatrzył, jakie mieć będą z czasem znaczenie, lecz cała jego uwaga była zwrócona w inną stronę.

Stał on, coraz bliżej przykładając ucho do ściany, tuż pod filarem, oddzielającym ten gabinet od gabinetu, w którym znajdowała się królowa regentka. Z razu słuchał przypadkowo i mimowoli, ale później z wytężoną uwagą, krótkiej rozmowy, z powodu której struchlał, bo poznał głosy mówiących.

— Mogę więc z pewnością liczyć na ciebie, generale, jak mi to poprzysięgasz, mówiła regentka. W takim razie powiem ci otwarcie: że księciu Luchana zdaje się, iż jest Bogiem — musi więc upaść!

— Regentka rozkazuje — Narvaez słucha! — mówił inny głos.

— Jeżeli się panu uda strącić śmiałka, spodziewać się możesz książęcej mitry!

— Od dzisiaj za cztery tygodnie Espartero będzie usunięty z drogi!

Olozaga, który teraz o wszystkiem wiedział, poznał nową tajemnicę.

W gabinecie ucichło.

W kilka chwil później, szczęśliwie uśmiechnięta regentka wraz z młodą królową, wróciły do zamku. Ruszyli się także inni goście, poleciwszy się poprzednio względom pobladłego nieco księcia Luchana i zeszli do swoich ekwipażów.

Kiedy generałowie Leon i Borso również do swoich powozów wsiąść chcieli, milcząco, ale szybko obok każdego z nich usiadło dwóch rosłych, brodatych ludzi.

Leon i Borso poznali zaraz co znaczy takie towarzystwo — opierać się byłoby szaleństwem. Halabardziści księcia Luchana, uzbrojeni byli od stóp do głów, a zawieźli obu generałów do więzienia.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział VI.

CIEŃ KRÓLA.

Gdy młody Don Serrano późno w nocy wraz z wiernym swoim sługą Domingiem, który niestrudzony czekał przy pałacu Espartery, na powrót swojego pana, zajęli mieszkanie, które Domingo jako człowiek praktyczny najął u kramarza cygar, z którym zawarł znajomość, kazał potem staremu słudze różne rzeczy przygotować i porządkować, sam zaś rozmyślał o interesach.

Mieszkanie pulchniutkiego kramarza Romoli, wyglądało lepiej niż to jego zewnętrzny pozór objawiał. Dwa pokoje, których okna wychodziły na prześliczne, nawet w nocy mocno ożywione Prado, wygodnem i eleganckiem urządzeniem w zupełności odpowiadały wszelkim wymaganiom jakich Domingo jako mistrz dworu, pragnął dla młodego szlachcica, a gdy przytem i jego komórka dała się bardzo mieszkalnie urządzić, uderzył w pulchną rękę kramarza zwracającego uwagę na piękne krzesła, łóżka i obrazy, i zaraz wypłacił mu komorne czystem złotem, na które kramarz łakome rzucał spojrzenia.

— He, he! zaśmiał się Romolo, drepcząc na cienkich nóżkach: to wyborny interes! Ani się spodziewałem w dzień, że w nocy tak znakomitych panów do mojego domu dostanę — nieskończone dzięki, zacni panowie!

— Dobrze, dobrze, odpowiedział Domingo, grzecznie wyprowadzając za drzwi szczęśliwego kramarza, i zalecając mu, aby pamiętał o koniach, będących w stajni na dziedzińcu małego domu.

Serrano rozgospodarował się w swojej sypialni, a w krótce pan i sługa w pośród nowego otoczenia usnęli równie smaczno jak dawniej w zamku Delmonte.

Nazajutrz Franciszek opowiedział staremu Domingowi o księciu zwycięstwa, o królowej, i że przyjęty został do szeregów sławnej królewskiej gwardji, która składa się jedynie z synów grandów i generałów, a obowiązkiem jej jest bezpośrednia służba przy dworze i jego obrona.

— Ej, Don Franciszku, od wczorajszego wieczoru staliście się zupełnie innym człowiekiem! Dzięki za to Wszechmocnemu! Cieszycie się nadzieją świetności i sławy — i naprawdę czyliż synowie szlachty mogą już mieć piękniejsze nadzieje?

— Oho, stary Domingo, przecież nie przypuszczasz, abym, mimo wszelkich nadziei świetności i sławy, zapomnieć był w stanie o mojej Henryce? Myślałem, że znasz mnie lepiej! Poszukiwania nasze i śledzenia były nadaremne, ale wierzaj mi, że my się znajdziemy, chociażby ziemia i niebo przeciw temu sprzysiądz się miały! Jeżeli z następnego listu ojca nie dowiem się, że Henryka powróciła do Delmonte, to ona znajdzie drogę do Madrytu!

— Pański dostojny ojciec wszystko zrobi, ale nie doniesie panu, że Henryka wróciła do domu! — utrzymywał Domingo.

— Nie znasz go! Chociaż powierzchownie jest porywczy i gniewliwy, jednak skrycie będzie o niej pamiętał; słyszał odemnie jak mi jest drogą Henryka, i że nigdy jej nie opuszczę! Wkrótce przyjdzie dzień, w którym się spotkamy! Rozłączenie jednak nie powstrzyma mnie od pięcia się w górę jako człowiek i od dążenia do świetnych czynów; inaczejby Henryka mną wzgardziła! Dlatego odważnie naprzód po drodze do słońca sławy.

Nazajutrz wstąpił Don Serrano w szeregi królewskiej gwardji, a Domingo nie mógł wstrzymać się od głośnych oznak zadowolenia, gdy go ujrzał w świetnym, haftowanym mundurze z ciemno-ponsowego aksamitu ze złotemi sznurami, przy którym pysznie wyglądał lekki hełm z małemi złoconemi lwami.

Wkrótce także Don Serrano nabrał poważania i chętnie był widziany przez swoich towarzyszy, na których przyjaźń rychło umiał godnie zasłużyć, i na najlepszej był z nimi stopie, bo prócz tego w fechtowaniu się i strzelaniu niejednego z nich przewyższył zręcznością i wytrwałością.

Najbardziej zaś upodobał jednego młodego oficera, nie dlatego, iż ten okazał mu serdeczną przychylność i udzielał dobrych rad, ale że pociągał do siebie otwartością i śmiałością oblicza. Był to porucznik Don Juan Prim, który pierwotnie chciał poświęcić się nauce prawa, potem jednak uległ nieprzezwyciężonej skłonności do stanu wojskowego.

Don Juan Prim jest o kilka lat starszy od Serrany, ale nie tak słusznego wzrostu. Pierś ma szeroką, barki silne, a jednak jest, jak większa część Hiszpanów, wysmukły. Twarz jego, której wyraz łagodny, wesoły, jest blada,

prawie oliwkowatej cery, ale mocno czarny włos i bujny zarost tak dalece podwyższają tę barwę, że młodego oficera nazwać można przystojnym, tem bardziej, że jego wielkie, ciemne oczy ciskają nieziniernie ujmujące spojrzenia i błyszczą odwagą, jakiej Prim już w kilku spotkaniach dał dowody.

Takiego przyjaciela mocno sobie życzył Serrano, i dlatego pomiędzy kolegami do tego samego celu dążącymi, łatwo zawiązały się ścisłe stosunki. Z nimi chętnie połączył się kapitan Don Olozaga, delikatnie zbudowany ale odznaczający się wielką znajomością świata i ludzi, oraz zręcznym sposobem znalezienia się. Twarz miał nadzwyczaj przyjemną, włosy i ubiór jak najstaranniej utrzymane, a delikatne, wyszukanie piękne ręce, po których niktby się nie spodziewał, że mieczem dzielnie władać umieją, zawsze ukryte były w rękawiczkach.

Jednego z następnych dni, w wielkim, sklepionym, dla gwardji królowej przeznaczonym pokoju zamkowym, siedzieli trzej młodzi rozmaitych stopni żołnierze.

Nim posłuchamy o czem rozmawiają i dalej poprowadzimy nasze opowiadanie, wypada nam pierw poznać cały obszar madryckiego zamku, jako rzecz wielkiej wagi.

Tę okazałą, nowego stylu budowlę, na wzgórzu położoną, widać ze wszystkich stron stolicy. Tworzy ona wielki czworokąt, z jednej strony otoczony kamiennemi tarasami, przez które szeroka droga prowadzi do głównego wejścia, a przed niem trzymają straż dwa ogromne lwy wyciosane z kamienia, na tarasach zaś stoją stare prawie

zniszczone posągi. Tylną stroną wychodzi się na „mały dziedziniec zamkowy“, zamknięty wielkim budynkiem dla urzędników i służby zamkowej, podczas gdy lewe fronty ograniczone są rozległym arkiem, sięgającym aż do rzeczki Manzanares, przepływającej cały Madryt. Prawa strona prowadzi na „wielki dziedziniec zamkowy“, na którym stoi straż i do którego wchodzi się z ulicy przez osobną bramę.

Wielki ten i rozległy budynek ma barwę siwą, starożytną. Mury są prawie bezkształtnie grube; wjazdy i odrzwia w ostre łuki sklepione, a okna pięter wyższych żadnych nie mają łuków. Wszedłszy przez główny przystęp z tarasów, do szerokich, na marmurowych słupach opartych krużganków, skąd można rozdzielić cały zamek na cztery części, mimowolnie doznaje się jakiegoś nieprzyjemnego uczucia. Długi, głęboki korytarz, w którym tu i ówdzie pomiędzy filarami przechadza się szyldwach, a kroki jego głucho odbijają się od kamiennej posadzki, jest napełniony półcieniem, wśród którego już to spiesznie przechodzi zakonnik przygarbiony, już przebiegnie śpieszący się sługa. Korytarz ten w kształcie krzyża, przecięty jest innym długim, i równie pół-ciemnym korytarzem, który łączy park z wielkim dziedzińcem zamkowym. Od głównego wyjazdu pomiędzy filarami, szerokie marmurowe schody prowadzą na prawo i lewo, przez jasne i zamykane korytarze do wyższych mieszkań, które po prawej stronie zamieszkiwała regentka Marja Krystyna, a po lewej królowa Izabella. Pomiędzy temi dwiema częściami, połączonemi z tyłu przez ukryte przejście, leżą sala tronowa i sala koronacyjna, w której przechowują się insygnia korony.

Trzeci oddział zamieszkuje infantka Ludwika z licznemi damami honorowemi i dworskiemi, a wielka galerja obrazów oddziela tę część od czwartej części zamku, w której znajduje się kaplica, jak to zapowiada jej wysoka złocona kopuła.

Dokładny opis tych gmachów podamy wówczas, gdy do nich czytelnika wprowadzimy, teraz mimochodem mamy do czynienia z wielką, sklepioną, dla gwardji królowej przeznaczoną przestrzenią, która leży w końcu długiego korytarza, łączącego park z głównym dziedzińcem zamkowym. Zaraz w pobliżu tego salonu zamkniętego wysokiemi szklanemi drzwiami, są schody i korytarze prowadzące tylko wybranych do pokojów regentki, tak, że ta natychmiast może przyzwać na pomoc w bliskości będącą gwardję i straż zamkową.

Odwach gwardji królewskiej, podobnie jak korytarz, na którym leży, robi także nieprzyjemne wrażenie, już to z powodu obszerności słabo oświetlonej przestrzeni, wiodącej na wielki dziedziniec zamkowy, już z powodu arkad sufitu, rzucających ponure cienie, już nakoniec z powodu wypełzłych nieco, ciemnych, pokrywających ściany obrazów.

U stołu tego oszczędnie umeblowanego apartamentu, przy którym stoi kilka krzeseł, znajdujemy zajętych żywą rozmową Serranę, Prima i Olozagę. Przed każdym z nich stoi na wpół wypróżniona szklanka dobrego francuskiego wina.

— Tak jest, jak wam mówię, Don Serrano, — Leon i Borso...

— Generałowie — przyjaciele mojego ojca...

— Są ujęci i do więzienia wtrąceni. Mówią, że książęj Luchana obawiał się z ich strony spisku! — opowiadał Prim zdziwionemu Franciszkowi, podczas gdy Olozaga spokojnie patrzał w szklankę, jakby wiedział już dobrze o tem, co Prim donosił.

— Jeżeli mówisz prawdę, Primie, to zaczynam wątpić, czy wysokie godności dają szczęście! Leon i Borso męstwem i zasługą zdobyli swoje stanowiska, i jedno skinienie wyższego miałoby ich strącić w nicość?

— Mówią nawet, — prawił dalej Prim ponurym głosem, że wyrok śmierci na obu generałów już podpisany!

— Teraz go zapewne podpisują, — poprawił Olozaga: Espartero jest u regentki.

— Niepodobieństwo, moi panowie! zawołał Serrano: czyliż w ręku księcia spoczywa życie tych ludzi? czyż on posiada władzę zabijania tych, którzy jego zdań nie podzielają?

— Nie tak zapalczywie, młody przyjacielu, — wstając rzekł Olozaga i położył rękę na ramieniu Serrany. — Ten, o którym mówisz, może w tej chwili przechodzić z góry obok tej sali i słyszeć twoje słowa! Nie zapominaj, że nie wszystko co się myśli wygłaszać można! Lecz na pociechę naszą powiedzieć ci mogę, tajemniczo i stłumionym głosem dodał Olozaga, że losy Espartery wiszą także na bardzo chwiejnej szali!

Na korytarzach dały się słyszeć głosy i kroki osób udających się obok odwachu do apartamentów regentki. Serrano zerwał się.

— Muszę mieć wszelką pewność! — zawołał do zdziwionych przyjaciół, poczem włożył szyszak na głowę i przez drzwi wyszedł na korytarz. Ku schodom zbliżało się światło — najprzód ukazał się lokaj niosący lichtarz w ręku, za nim szedł z wolna Espartero, ze zwojem papierów w ręku, za nim dwaj jego adjutanci.

Serrano sięgnął do piersi i według instrukcji danej gwardzistom królowej, salutował nadchodzącego zniżeniem do ziemi wydobytej szpady.

Espartero ze swoimi towarzyszami zstępował ze schodów i spostrzegł znajomego sobie młodego szlachcica.

— Ach Don Serrano, dziękuję za pozdrowienie! Czy masz pan do mnie prośbę?

— Nie od siebie mości książę, lecz od Don Miguela Serrany z Delmonte! — śmiało odpowiedział Franciszek.

Espartero skinął na swoich adjutantów, aby poszli przodem — służący ze światłem cofnął się w tył.

— Mów pan, o co chodzi?

— Ojciec mój ma honor być przyjacielem sławnych generałów Don Leona i Don Borsy.

Twarz księcia spochmurniała, zdziwiony spojrzał na młodego szlachcica.

— To wkłada na syna obowiązek upraszania waszej książęcej mości o wiadomość o ich losie, ponieważ słychać, że są uwięzieni, pewnym głosem mówił dalej Franciszek.

— Oświadcz pan swoiemu ojcu, że obu generałów czeka los na jaki zasłużyli! Są to buntownicy i za dwa dni wstąpią na rusztowanie! nie bez wybuchu rzeki Espartero. Mówię to do pańskiego wielce szanownego ojca, nie do pana, Don

Serrano, a zarazem zapominam, że młodzieńczy zapał za daleko cię zaprowadził!

— A więc w jego imieniu proszę o łaskę!

— Masz pan za towarzyszy porucznika Prima i kapitana Olozagę — zanieś pan im mój rozkaz — aby za dwa dni obecni byli przy egzekucji, mającej się wykonać na obydwóch generałach, zajmujących się buntowniczemi planami: oto moja odpowiedź na pańską nierozwagę! Naucz się przez to szanować krwawą powagę karjery, którą sam rozpocząłeś.

Espartero skinął ręką, na znak że Serrano odejść winien, a potem udał się przez korytarz, aż do rogu krużganku, za którym skręcił w bok i znikł.

Franciszek stał zamyślony — dzisiaj przez współczucie dla przyjaciół ojca naraził się na niełaskę księcia, to było widoczne, a nadto otrzymał od nieubłaganego rozkaz, który go dręczył — dobre jego zamiary źle przyjęte zostały!

Z tem przekonaniem wrócił na odwach, aby przyjaciołom zaraz oznajmić co ich czeka; ale Prim i Olozaga byli wyszli zapewne do oficerów straży zamkowej, zawsze będących w dobrem porozumieniu z gwardją królowej.

Tym sposobem Franciszek znalazł się sam w obszernej przestrzeni. Wypróżnił swoją szklankę, położył przed sobą szpadę na stole i siadł na starem krześle stojącem naprzeciw szklanych, drzwi, wiodących na długi, słabo oświetlony korytarz, tak, że widział dobrze co się dzieje na tem przejściu. Nie uczynił tego z bojaźni, bo Serrano należał do rzędu ludzi śmiało wszystkiemu zaglądających w oczy,

którzy żadnej bojaźni nie znają; uczynił to raczej, dla przekonania, o ile może być prawdziwą pogłoska, chodząca pomiędzy zamkowymi szyldwachami, i dla uspokojenia swoich własnych myśli. Niektórzy żołnierze utrzymywali, że od dawnego już czasu, kiedy niekiedy o północy, na wielkim korytarzu, który prowadzi z parku do odwachu gwardji i do gmachów królowej matki, pojawia się ciemny cień, który według powtarzającego się ciągle podania, z chodu i postaci podobny jest do zmarłego króla.

Serrano byłby na to zjawisko wcale nie uważał, gdyby mu o niem wspomniał był jeden żołnierz, ale to go właśnie uderzyło, że ciągle widywali je rozmaici żołnierze, a żaden z nich nie miał odwagi, przystąpić ku zjawisku. Prim i Olozaga wyśmiewali się z tych wieści o widmach; mianowicie ostatni wyszydzał je jakby chciał powiedzieć: „Łotry zapewne śnili“, albo: „Wiera ja dobrze, co mam o tem myśleć!“

Ale ciekawy i lubiący wszelkiego rodzaju przygody Serrano, od dawna już pragnął doczekać się królewskiego cienia; nalał więc sobie wina z niewypróżnionej jeszcze butelki, wygodniej rozsiadł się na krześle i wyglądał przez szklane drzwi na zewnątrz na długi, ciemno oświetlony korytarz, którego koniec zupełnie ginął w cieniu.

Gdy tak samotnie siedział, mimowolnie przed duszą jego przesuwały się obrazy przeszłości, a mianowicie Henryka, promieniejąca miłością i obok jego ojca stojąca. Co się z nią stało? gdzie ona przebywa? Pytania te tak mocno zajęły samotnego, iż zaledwie posłyszał, jak przytłumione dźwięki wieżowego zegaru zapowiedziały północ.

— Ona powróciła do Delmonte, szeptał dla pocieszenia się Franciszek; Henryka kocha cię gorąco i wiernie!

W tej chwili zdało mu się, iż słyszy skrzyp otwierających się drzwi, od dawna już nieodmykanych.

Franciszek powstał przysłuchując się coby mogło spowodować ten odgłos, który właśnie w tej chwili powtórzył się wyraźniej.

Jakkolwiek Don Serrano śmiało i odważnie zwykł był patrzeć w oczy każdemu naturalnemu przeciwnikowi z ciała i krwi, ale na myśl o krążącej między żołnierzami wieści, opanowało samotnego jakieś dziwne uczucie! W tem zdało mu się, że w ciemnym końcu korytarza, tam gdzie znajdowały się drzwi od parku, rzeczywiście widzi jakiś cień, jakąś postać.

Wiedział, że drzwi od parku zawsze były zamknięte; miałyżby to one wydać gwiżdżący odgłos?

Niepodobna! A jednak — Franciszek wstał po cichu i z bardziej natężoną uwagą spojrzał w korytarz — ale wzrok go nie mylił — z daleka z ciemnego końca przybliżała się z wolna coraz wyraźniejsza postać — Franciszek chwycił za szpadę — zimny mróz przebiegł mu po plecach, gdy szeroko otwartemi oczami dostrzegł to czego sobie wyjaśnić nie mógł; — szare zjawisko jak cień, w długim płaszczu na ramiona zarzuconym, w czerwonym hiszpańskim kapeluszu, mocno na twarz naciśniętym, zbliżało się powoli wzdłuż słabo oświetlonego korytarza — teraz przyszło do krużganku — ani śladu rysów twarzy, ani ręki u tej postaci widać nie było — żołnierze pomiędzy filarami, przerażeni, z modlitwą na ustach usuwali się i

żegnali.

Cień króla wędrował po pustym korytarzu, od parku aż ku gmachom regentki.

Nie słychać było żadnego wołania: „kto idzie!“ żaden szyldwach nie odważył się wstrzymać widma w jego pochodzie i zaalarmować z nadstawionym bagnetem — znikło w krużganku z ich oczu i coraz bardziej zbliżało się do odwachu królewskiej gwardji.

W tem Serrano z łoskotem otworzył szklane drzwi, oddzielające go od zjawiska.

— Kto jesteś? i dla czego w nocnej godzinie śmiesz krążyć po korytarzach? — zawołał.

Cień przez chwilę stał cicho, potem jakby go to pytanie nie obchodziło, przystąpił bliżej.

— Stój i odpowiadaj, albo cię szpadą przeszyję! — groźnie zawołał Serrano, wydobywając szpadę. Nie jestem człowiekiem, który się widm lęka, odpowiadaj albo pchnę!

I dla potwierdzenia słów swoich groźnie podniósł szpadę.

Wtedy cień opuścił z ramion płaszcz, i brodata twarz jego ukazała się z pod kapelusza — był to człowiek z ciała i krwi, stojący naprzeciw grożącej mu wydobytej szpady.

— Z drogi! — półgłosem mruknęło straszliwe zjawisko, ukazując swoją wielką szeroką — postać, a twarz jego ponura i ciemne oczy przybrały wyraz zuchwały i gniewny.

— Ani kroku dalej! i jeżeli mi nie odpowiesz kto jesteś, który dopuszczasz się tak haniebnego oszustwa, to cało nie wyjdziesz z tego miejsca! — stanowczo zawołał Serrano, podnosząc broń.

Teraz postać wydobyła z pod płaszcza rękę i zabłysł w niej rewolwer.

— Oto masz moją odpowiedź, bezczelniku! — półgłosem rzekł obcy i strzelił do Serrany.

Krzyk i strzał prawie zarazem słyszeć się dały, i przerażająco, daleko rozległy się po zamku i jego korytarzach. Szyldwachy się zdumiały, ale żaden z nich nie śmiał wejść w krużganek, z którego rozległ się huk. Serrano padł wymawiając imię Henryki. Strzał trafił go i zranił, jak przekonywały krople krwi spływające z kołnierza szyję jego okrywającego. W tej chwili wpadli z podwórza przez odwach gwardji Prim i Olozaga, którzy strzał posłyszeli.

Podczas gdy Prim, zdziwiony cofając się i postrzegając postać, która gubiła się w dalszym pochodzie, mimowolnie szepnął: „Munnoz, książę Rianzares!“, Olozaga powodowany współczuciem rzucił się do ranionego Serrany.

Wschody do apartamentów zabłysły światłem, nadbiegli lokaje ze świecami, i na rozkaz regentki Marji Krystyny zaniesiono rannego do jej przedpokoju i sprowadzono jej przybocznego lekarza. Regentka nie zaniedbała nawet osobiście wywiadywać się o zdrowiu za nadto gorliwego służbisty, bo tak Serranę nazywać lubiła; a nawet młoda królowa Izabella, usłyszawszy o nieszczęśliwym wypadku, posłała adjutanta by się dowiedział, jak się ma Don Serrano.

— Powiedz pan, że to żadnych złych skutków nie będzie miało! — oświadczył posłańcowi królowej Franciszek, po odzyskaniu przytomności.

Kula z powodu mocnego, złotemi sznurami

wyszywanego kołnierza mundurowego, znaczną część swojej siły utraciła, tak, że szyi Serrany lekko tylko dotknęła. Ale i ta mała rana spowodowała już znaczny upływ krwi, i przez to pozbawiła go przytomności; teraz jednak przystojny młody szlachcic, jakkolwiek jeszcze blady, ale już z otwartemi, jasno poglądającemi oczami, leżał w apartamentach regentki na przygotowanem na prędce połowem łożu, a Prim z przepisu nadwornego lekarza ranę jego ochładzał. — Serrano na podziękę ścisnął dłoń jego i spojrzał także na obecnego tam Olozagę, który się cieszył, że rana nie grozi niebezpieczeństwem. Z uśmiechem zbliżył się do leżącego i trochę z przymileniem, trochę na serjo powiedział: „Mój młody przyjacielu — pozwól takim cieniom wędrować, gdzie się im podoba!“ Była to pierwsza tajemnica madryckiego dworu!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział VII.

RUSZTOWANIE.

Dnia 5 września 1843 r. wcześnie z rana rozległo się po ulicach Madrytu głuche bicie w bębny i poruszyło z legowisk pogrążonych we śnie mieszkańców stolicy, bo na ten dzień przygotowano straszne widowisko. Wkrótce też tłumy ludu długiemi szeregami zaczęły napływać na plac Pedro, na którym w nocy urządzono wysokie, czarne rusztowanie; kat Madrytu, siwy Bermudez, którego topór dzisiaj miał po dwakroć obowiązku swojego dopełnić.

Wielki, niskiemi domami otoczony plac Pedro, w pobliżu bramy Toledańskiej, od niepamiętnych czasów był widownią tracenia skazanych, a środek jego wypił tyle krwi ludzkiej, że ziemia na kilka sążni zapewne nią przesiąkła. Zawsze jednak było to nie dosyć, zawsze jeszcze na tem przeklętem miejscu ludzie na rozkaz swoich bliźnich ofiary z życia składać musieli! Wygadujemy na pogan i ich okrucieństwo, a w dalszym ciągu powieści naszej poznamy, że są prawowierni, wobec których owi poganie ze swojemi krwawemi ofiarami, są tylko dziećmi! I czyliż nam to godzi się pragnąć walki z owymi poganami i ich nawracać?

Z opowiadania naszego przekonamy się, że mieliśmy i mamy w bliżej nas leżących gorliwych w wierze krajach, do usunięcia nie jedną jeszcze belkę, zanim pójdziemy

wyjąć źdźbło z oka owych odległych, tak zwanych nieucywilizowanych.

Prawie tuż przy placu Pedro jest pałac inkwizycji, ze swojemi izbami tortur, ze swoim straszliwym dzwonem, śmierci i tajemnym placem tracenia, który później obaczy — my, oświetlony pochodniami dominikańskich mnichów; tam dla nas miejsce walki, tam miejsce nawracania!

Pomocnicy Bermudeza w czerwonych koszulach, w krótkich czerwonemi wstęgami wysoko podwiązanych spodniach, z gołemi nogami, wprawni byli w ustawianiu rusztowania; przycięto deski, przypasowano belki, co odbyło się szybko w nocy, bo staremu Bermudezowi dano rozkaz wyostrzyć topór na następny ranek. Pomocnicy zbili razem cztery szerokie, wysokie stopnie, a na wierzchu przestrzeń kwadratową, około stu stóp wynoszącą dobrze przymocowali i silnemi gwoździami poprzybijali, aby rusztowanie, przy wściekłym oporze ludzi wraz z katem i świadkami nie zapadło się. Potem obryzgane krwią surowe deski zewsząd pokryli czarną materją, jak również stopnie i drewniany kloc, który na środku wzniesienia przytwierdzili, wtedy przygotowania już były ukończone.

Złowrogie bębnienie, rozlegające się po ulicach, nagle ucichło, a chciwe widoku tłumy aż do ostatniego miejsca napełniły plac Pedro. Bogatsi ponajmowali sobie okna okolicznych domów, a nawet na płaskich ich dachach widziano głowę przy głowie. Czarne rusztowanie, wznosi się jak straszliwe dziedzictwo poprzednich wieków w pośrodku placu, przy uśmiechającym się poranku, a złote słońce pogląda także na ten czarny punkt ziemi.

W tem nagle daje się znowu słyszeć z dala huk bębnów. Oddział wojska prowadzi z więzienia skazanych na śmierć generałów Leona i Borsę, towarzysząc im w ostatnim pochodzie.

Straszliwy orszak zbliża się.

Przodem jedzie na koniu herold z wyrokiem w ręku, zanim oficer wykomenderowanego do asystowania egzekucji oddziału wojskowego, przy nim wojskowi świadkowie widowiska: Don Olozaga, Don Juan Prim i Don Franciszek Serrano, którego rana tak szybko się zabliźniła, że nie mógł wymówić się rozkazowi Espartery.

Za nimi szereg bijących w bębny doboszów, potem kompanja żołnierzy w paradnych mundurach. Dalej podwójnym krokiem zdążają trzej księża z obnażonemi głowami, a ich siwe i łyse czaszki błyszczą się; za nimi postępuje mnóstwo innych mnichów, również z odkrytemi, ale z pochylonemi, pospuszczanemi głowami. Potem szmer przebiega po tłumie — śmiałym krokiem, z głowami w górę wzniesionemi, bez drżenia i trwogi postępują generałowie Leon i Borso. Rysy ich poważne, widać, że przygotowali się do tego pochodu; ale wzrok ich swobodny i odważny, bez drżenia patrzą na straszliwy przyrząd z ich powodu wzniesiony.

Za nimi idzie wysoka, czarno ubrana postać; czarny biret[1], jaki zwykli nosić sądownicy, pokrywa jej głowę, a długi czarny płaszcz, którego jeden koniec zarzucony na prawe ramię, owija jej wyniosłą figurę. Nikt koło niej nie idzie: Bermudez, kat Madrytu, postępuje sam za swojemi ofiarami.

Oddział wojska zamyka długi ten orszak, zbliżający się do czarnego rusztowania.

Herold zsiada z konia i oddaje go stojącemu przy stopniach słudze; to samo czynią świadkowie i oficer wojskowego oddziału ustawionego po obu stronach szerokich schodów. Potem herold, Olozaga, Prim, Serrano i oficer wstępują na wierzch po czarnych stopniach, ku okrytemu klocowi drzewa; za nimi idą księża i mnisi. — Gdy już schody są wolne, wchodzi po nich Bermudez jakby z pod ziemi powstający; pomocnicy kata kręcą się około obu generałów, którzy na ich widok pierwszego doznają drżenia.

Potem jednak Don Leon i Borso śmiało wstępują na górę, ku obnażonemu tymczasem przez czerwonego pomocnika i w zagłębienie opatrzonemu klocowi.

W pośród licznego zgromadzenia na rusztowaniu panuje śmiertelna cisza; śmiertelna cisza również pomiędzy zaledwie okiem dosięgniętemi tłumami.

Herold odkrywa głowę; Bermudez, do którego on się zwraca, czyni to samo. Herold silnym, dalekonośnym głosem czyta wyrok śmierci, który dosłownie brzmi następująco:

> „My Marja Krystyna, Regentka Hiszpanji, uznaliśmy za sprawiedliwe i rozkazujemy: Dnia piątego dziewiątego miesiąca 1843 roku o godzinie ósmej rano obu generałów Franciszka Leona i Rodryka Borsę, zasłużyli przez zdradę nas i naszych radców, tudzież czem życia pozbawić, i przyprawić o śmierć,

na którą zasłużyli przez zdradę nas i naszych rodziców, tudzież przez buntownicze zamiary, szkodzące bezpieczeństwu kraju naszego.“

— To fałsz! ı— głośno i śmiało przerwał Don Leon czytającemu wyrok heroldowi — nie były to buntownicze plany przeciw bezpieczeństwu kraju, ale plany dla jego dobra. Pięknie jest umierać za takie rzeczy! Teraz czytaj pan dalej!

„Szkodzące bezpieczeństwu kraju“, powtórzył herold. „Dan w Madrycie dnia drugiego dziewiątego miesiąca 1843 roku za naszym podpisem i królewską pieczęcią.“

Bermudez oddał pomocnikowi swój długi czarny płaszcz i czapkę; ukazał się teraz w czarnym aksamitnym kaftanie, w którym słusznie podziwiać należało jego potężną figurę. Długa, siwa broda spadała mu aż na piersi, a czoło miał tak wysokie, że prawie sięgało środka czaszki ledwie kilku białemi włosami pokrytej. Oczy miał wielkie, jakby miedziane, nos orli. Przy odczytaniu wyroku i rozkazu, nie poruszył się żaden muskuł jego niby z kamienia wykutej twarzy — jakże często kat Madrytu słyszał te prawie zawsze jednakowe wyrazy, między któremi wstawiano tylko coraz to inne nazwiska! jakże obojętnie patrzał na obie ofiary, które dzisiaj w ręce jego wpadły! Wprawa uczyniła go zimnym i obojętnym, spełniał więc straszliwy swój urząd bez objawu najmniejszego wzruszenia. W

prawej jego ręce ujrzano, gdy płaszcz swój zrzucił, czerwone aksamitne pudełko, z długą gładko wypolerowaną rękojeścią.

— Wykonawco, powiedział herold, spojrzyj na podpisy i pieczęci, i czyń co ci rozkazano!

Już czerwoni posługacze, jak zwykle, chcieli pochwycić swoje ofiary, obnażyć im szyje i do kloca przymocować, już Serrano, Prim i Olozaga odwrócili się, aby własnemi oczami nie widzieli morderstwa dopełnić się mającego na dwóch zacnych mężach, za to, że śmieli wystąpić naprzeciw regentce i Esparterze w tem Leon wzniósł ręce, odwrócony do ludu, na znak, że ma jeszcze coś powiedzieć — posługacze chcieli mu w tem przeszkodzić, ale tłumy tak burzliwie upominały się o głos skazanego, że Bermudez, do którego teraz już należały ofiary, skinął na swoich usłużnych pomocników.

Leon zrobił krok naprzód, żaden jego członek nie zadrżał, głos jego był tak pewny i spokojny, jak wtenczas, gdy do żołnierzy swoich miał przemówić.

— Mieszkańcy Madrytu, Borso i Leon za was wstąpili na rusztowanie! Za was, za Hiszpanję zawołajmy: Precz Espartero od tronu! on nas prowadzi w dół, zamiast w górę! Za was i za Hiszpanję nietrudno dać głowę pod topór, niech więc tak będzie!

I Prim widział — że Leon był Hiszpanem, w chwili śmierci dumnym i stanowczym. Po tłumie przebiegł szmer. „Precz z Esparterą!“ zabrzmiało głośno i coraz to głośniej. Regentka miała wszelką słuszność, gdy na owej uroczystości na cześć księcia zwycięstwa powiedziała mu:

„że naród Madrytu jest zmienny!“

— Ani kroku bliżej, zawołał Leon na posługaczy kata: waszego groźnego urzędu sam na sobie dopełnię. Nie chcę, abyście pierw udusili mnie nim mnie topór dosięże. Spokojnie i z zupełną przytomnością położę tu moją głowę. Tylko ostatnią uczyń mi przyjacielską przysługę Bermudez, traf dobrze!

— Bądź spokojny — módl się!

— I wy odstąpcie odemnie, czarne habity, o wiecznie pobożnych minach — umiem sam mówić z moim Bogiem! Chodź, Borso, razem klękniemy i pomodlimy się!

W tłumach na około rozległy się głośne łkania. „Oto bohaterowie!“ zawołał jakiś głos. „Oni powinni pozostać przy życiu, przywołajcie Esparterę!“ zawołał drugi.

Olozaga z wolna ujął rękę Serrany i dotknął Prima. Potem święty ogień rozjaśnił jego piękne oblicze i rzekł z cicha:

— Ów głos z tłumu jest to głos boży — to są bohaterowie!

Leon modlił się.

— Biedna moja żono! — mówił wzruszony — bądź zdrowa; bracie Borso, do widzenia!

Przystąpił do kloca, śmiało i odważnie położył obnażoną szyję na ucięcie. Bermudez otworzył czerwone pudełko — ukazała się błyszcząca stal jego toporu — machnął nim w powietrzu — i za chwilę — głowa Leona potoczyła się po czarnem suknie, aż pod stopy trzech świadków — a krew bryzła aż na bruk placu na dół; mężczyźni i kobiety umoczyli w niej swoje chustki, gorączkowo wzruszeni

bohaterską śmiercią Leona.

Po nim nastąpił Borso; jego odwagę i spokojność jeszcze bardziej podziwiać należało, bo widział całą okropność śmierci, przerywającej wszelkie zamiary; zawołał on głośno: „Przebaczam ci, Espartero!“ i z największą spokojnością położył głowę na klocu. — Ostatnie jego słowa aż do głębi przejęły duszę Serrany, a Prim i Olozaga znowu znacząco po sobie spojrzeli.

I głowa Borsy spadła także za jednem cięciem — stary Bermudez był to człowiek biegły w swej sztuce.

— Teraz spokojnie możemy patrzeć na wiele rzeczy, powiedział Serrano, gdy zeszli z rusztowania, a Prim i Olozaga milcząc głową mu skinęli.

Tłumy zaczęły powoli rozchodzić się i wkrótce ujrzano na placu Pedra pojawiające się owe groźne postaci, których wszędzie zawsze pełno tam, gdzie jest niezadowolenie i zbiegowisko, z pośrodku ich długo jeszcze rozlegało się wołanie:

— Górą Leon i Borso — precz z ich sędziami — precz z Esparterą!

1. ↑ Chociaż czerwony ubiór pomocnikom kata pozostawiono, jemu samemu nie wolno było nosić śpiczastej hiszpańskiej czapki.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział VIII.

ZANTILLO, ALCHEMISTA.

Jednego z następnych wieczorów, młoda królowa Izabella stała w swoim buduarze przed kryształowem lustrem w złocone ramy oprawnem, i miała zamiar przy pomocy markizy de Beville, przywdziać jakiś dziwny kostjum, a tymczasem stara i ciągle rozmyślająca Duenna Maritta, stojąc w głębi salonu, kiwała głową.

Skrzydło zamku zajmowane przez młodą królową, jak sobie czytelnik przypomni, wychodziło częścią na park, a częścią na kamienny taras. Przez otwarte okna buduaru oświetlonego tylko lekkim różowym ogniem, powietrze niosło tam zapach kwiatów, wraz z orzeźwiającym i balsamicznym chłodem, jakim wiały drzewa parku; wierzchołki tych drzew, przez które czarownie przeglądał księżyc, sięgały aż do wielkich okien, i przedstawiały przecudne obrazy, których żaden malarz przyrody naśladować nie potrafi. Buduar młodej królowej jaśnieje prawdziwie wschodnim przepychem i ułudą! Fotele i krzesła ze złoconemi poręczami, sofy z małemi stoliczkami, z pod których wyglądają amorki dźwigające ich wierzchy, bogaty dywan tłumiący odgłos kroków, przytłumione światło różowemi dzwonami przykrytych świeczników, wszystko to, a bardziej jeszcze przekonanie, że w tem

czarownie miłem, obficie meblami zastawionem miejscu, żyje młoda królowa, nadaje mu pełen tajemnicy, niewypowiedziany powab. W tem miejscu objawia czarująca, młoda królowa nie tylko swoje już w całej południowej pełni rozwinięte kształty, ale także objawia tu swoje uczucia i skłonności, swoje najskrytsze myśli. Margrabina de Beville, młoda, żywa Francuska; której oryginalne, wesołe pomysły nieraz królową Izabellę do radosnego śmiechu pobudzają, ma to pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi damami dworu, że ciągle pozostaje przy młodej, rozkwitającej królowej, że ma udział we wszelkich jej planach i zna wszystkie jej tajemnice. To też Paulina de Beville na wszystko, co się jej pani podoba, zgadza się ochoczo i śmiało.

Podczas gdy Duenna Maritta porządkuje porozrzucane wszędzie papiery i książki na biurku stojącem między dwoma oknami na park wychodzącemi, nad którem wznosi się wielki, bogato złocony krucyfiks, Izabella i Paulina chichocząc bardzo poufale, zajęte są jakiemś osobliwem przebraniem.

Królowa odpięła właśnie swą ciężką jedwabną suknię i stoi przed zwierciadłem, przyglądając się swojej zachwycającej, w różowy atłasowy gorsecik ujętej kibici; przy niej markiza, która przyniosła nową narzutkę. Zaokrąglające się właśnie ramiona, piękna szyja zdobna drobnym złotym łańcuszkiem, na którym z przodu wisi amulet, spadający na pierś, która uczuwa szerokie kanty gorsetu, odtwarzają w wielkiem kryształowem zwierciedle godny widzenia obraz, zwłaszcza jeżeli przydamy do tego

pełność czarnego włosa, który bez wszelkiego stroju jeszcze się piękniejszym wydaje, niebieskie marzące oczy i już to dumnie śmiałe, już słodko uśmiechnięte rysy jej młodością jaśniejącego oblicza.

Zaiste, kto miał w owej chwili szczęście i przywilej oglądania tego królewskiego pączka, komu dozwolono było ujrzeć ten uwodząco miły, krępująco piękny obraz, ten z wykrzykiem podziwu przyznać musiał, że młodzieńczo rozkwitająca kobieta jest koroną stworzenia!

Izabella ukradkiem uśmiechnęła się, bo zwierciadło wykryło, że kształty jej wyrabiają się coraz to piękniej i doskonalej, a margrabina przypatrująca się z figlarną minką, nie miała co lepszego do czynienia, jak pośpieszyć do zajmowanego przez nią w pobliżu mieszkania, i tam szybko także przebierając się dla obmyślanej tajemniczej nocnej wycieczki, porównywała nadobne swoje kształty z kształtami królowej, i przyznała sobie, że ona sama rozwinęła się jeszcze czarowniej, jeszcze piękniej. Śmiała Francuska była na wskroś zalotna i to głównie i mimowolnie młodzieńczej królowej podobało się w markizie, lecz zarazem wyznajmy, że mimowolnie i powoli na młody kwiat tronu niekorzystny wpływ wywarło.

Toaleta markizy, która swoje zachwycająco piękne suknie z Paryża sprowadzała, zawsze była zuchwale, uwodząco wyzywająca, tak, że przekraczała ostatnie granice chętnie widzianego i przyjętego. Nikt, prócz lekkomyślnych Francuzek, niby bez oznaki wyrachowania, nie umie tak łatwo przestąpić rej wązkiej granicy i przywabiać do siebie najszaleńszemi środkami zręcznej

toalety.

Duenna Maritta pomagała młodej królowej włożyć ciemną suknię i na niej umocować ciemne szerokie okrycie, którem mogła nawet owinąć swą głowę.

— Ja się tak boję, Najjaśniejsza Pani, powinnaś raczej zaniechać tej nocnej wycieczki.

— Jakto, Maritto? czy już nie znasz dzikiej Izabelli, którą zaledwie ustrzedz mogłaś? Ja mam zaniechać zamiaru, którym się od dwóch dni cieszę, i który całą moją wyobraźnię zapełnia? Nie, nie, dobra Maritto wszystkiego żądaj odemnie, ale nie zaniechania tej czarownie awanturniczej wycieczki!

— A jeżeli spotka Was jaki przypadek, ostrzegała trwożliwa Duenna, załamując ręce, to mnie ze wstydem i hańbą z zamku wypędzą.

— Nie turbuj się Maritto, Izabella za wszystko odpowiada. Cóżby nas spotkać miało?

— Najjaśniejsza pani, królowa matka mogłaby przysłać, mogłaby tu przejść.

— W takim razie powiesz śmiało i bez obawy, że królowej podobało się udać na przechadzkę po parku! uczyła Izabella starą Duennę.

— A jeżeli królowa się rozgniewa?

— Moja dostojna matka zawsze mi chętnie dozwalała powodować się własną wolą, ilekroć chodziło o sprawienie mi przyjemności, a Maritto, wycieczka do sławnego wróżbity Zantilli sprawia mi niewypowiedzianą przyjemność!

Stroskana Duenna potrząsła głową i przytem układała

ciemne szerokie okrycie na królowej.

Margrabina de Beville wbiegła do pokoju, miała na sobie również mocno ją okrywający płaszczyk z kapturem.

Dźwięczne tony wysokiego, złoconego zegaru ściennego zapowiedziały dziesiątą wieczorną godzinę.

— Czyś gotowa, markizo? Chodź prędko, a nie zapomnij klucza od drzwi w parku!

— Do tej straszliwej części miasta bez towarzystwa, bez obrony! jęczała dama. Święta Matko Boża, jak się to skończy.

Izabella i margrabina wyszły z buduaru na oświetlony korytarz, na końcu którego stopnie marmurowe prowadziły w dół na krużganek. Nie widać było żadnego lokaja, żadnej straży! Szczęśliwa chwilo! Obie dziewice z całą żywnością młodości zbiegły ze schodków ku drzwiom do parku, przez które niedawno wchodził „cień“, w którym poznano Munnoza księcia Rianzares.

Paulina szybko, o ile możności jak najciszej włożyła klucz w stary zamek mało używanych drzwi; zamek puścił, a drzwi, skrzypiąc poruszyły się na zawiasach.

Izabella słuchała, poczem obie dziewice z bijącemi sercami weszły do ciemnego parku, a drzwi za sobą zamknęły; po cichu śmiały się z zachwycającej przygody, która je oczekiwała, i szły szeroką, ciemnemi kasztanami zacienioną aleją, aby, dostawszy się do jasno księżycem oświetlonej fontanny, której wodę już z daleka przez zarośla widać było, wyjść mogły na drogę do bramy na ulicę wiodącej.

Była to bardzo łechcąca przyjemność, której młoda

królowa jeszcze nie używała; dla tego doznała wielkiego wewnętrznego wzruszenia. Margrabina szła przypatrując się i w drobnej ręce trzymając klucz od drugiej i ostatniej już przeszkody.

W tem nagle wybiegł z ich ust lekki wykrzyk zadziwienia; były tuż przy szumiącej fontannie i postrzegły, że z drugiej strony zbliża się ku nim mężczyzna, który także ujrzał je zapewne nawzajem, zwłaszcza że się o krok przybliżyły.

Szybko poskoczyły w cień starych kasztanów, zkąd przy jasnem świetle księżyca wyraźnie nadchodzącego poznać mogły.

— Jeżeli mnie oko nie myli, to tym samotnym wędrowcem jest niedawno przedstawiony nam Don Serrano! — poszepnęła Izabella.

— Tak, to on! — potwierdziła margrabina, czy mamy mu się odkryć?

— Bez wątpienia, to Się wybornie przytrafia; podczas wycieczki on może być naszym rycerskim opiekunem!

— A jeżeli się wygada? — niedowierzająco zarzuciła Paulina.

— Już to mnie pozostaw margrabino — zbliża się — dobrze więc!

Izabella wystąpiła z cienia drzew — młoda dama jej dworu szła za nią.

Nadchodzący, który od tak dawna, w mało zwiedzanym, nieco zdziczałym parku, żadnego człowieka nie spotkał, spojrzał i nagle ujrzał przed sobą jakby z pod ziemi wyrosłe dwie mimo okrycia lekko bujające dziewicze postaci.

— Ach — Don Serrano — przechadzasz się także w pośród letniej nocy? filuternie, lecz z miłym uśmiechem zapytała młoda królowa, i zdjęła z głowy zasłonę.

— Królowa! — szepnął zdziwiony Franciszek.

— Ona sama — ale w tej chwili tylko Donna Izabella, która wychodzi na naukową wycieczkę, i ma przytem szczęście spotkać kawalera, który zapewne nie odmówi mnie i margrabinie towarzyszyć i być naszym obrońcą. Zaprawdę, nasz tajemniczy zamiar zaczyna sprawiać mi coraz większą przyjemność!

Serrano ukłonił się.

— Duszą i ciałem jestem na usługi Waszej Królewskiej Mości! — wymówił półgłosem.

— Jak pan pięknie umiesz mówić, i jak to wybornie, że pan masz kapę, która pański mundur ukrywa; to tak prawie wygląda, jakbyś pan wiedział o naszym zamiarze. Margrabina przecież wie... Izabella pytająco, ciekawie spojrzała na swą zatrwożoną towarzyszkę.

— Nie widziałam Don Serrany od wieczoru, w którym moja królowa z kawalerem rozmawiała, odpowiedziała Paulina, szybko na znak większej pewności kładąc rękę na sercu.

— Ja zażartowałam, ale śpieszmy się, Don Serrano. Poprowadzisz pan nas na ulicę Toledo.

— W ów tyle osławiony cyrkuł, Najjaśniejsza Pani?

— Sądzę, że w pańskiem towarzystwie przeszłabym i przez sale zatraceń pałacu inkwizycji, nie uczuwając żadnej bojaźni! Kto tak odważnie spotyka się z cieniami i widmami, jak pan...

— Mojej królowej podoba się naśmiewać ze mnie! nie bez pewnego odcienia wyrzutu odpowiedział Franciszek, idąc obok Izabelli ku wychodowi za bramę.

— Doprawdy nie, Don Serrano; dałam panu dowody mojego współczucia, posyłając do pana mojego adjutanta, kiedym się dowiedziała o dziwnym wypadku, Margrabino, oddaj Don Serranie klucz od losu naszego!

Paulina wykonała rozkaz.

— Jeżeli moja królowa raczy mówić na serjo, to jestem nad wszelką miarę szczęśliwy! poszepnął Franciszek, ostrożnie otwierając drzwi w murze, i pierwszy wszedł na wpół ciemną ulicę, aby obaczyć, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa.

Izabella i margrabina szybko za nim postępowały. Franciszek zamknął drzwi i wraź z damami znalazł się teraz na otwartej ulicy.

Przekonał się teraz, że wycieczka ta była za śmiała, bo gdyby na przykład kto znieważył królowę! gdyby w tej okolicy, pełnej małych uliczek i zakątków, których nawet nie znał, przyszło do hańbiącej sprzeczki! Królowa i on musieliby się dać poznać, bo on wcaleby swojej szpady nie oszczędzał, a cała ta awantura wywołałaby bardzo przykre następstwa.

— Ulica Toledo, — mówiła Izabella do Franciszka przecięta jest rzeką Manzanares; w tem miejscu po lewej ręce mała ulica prowadzi na przedmieścia. Na owej uliczce jak mi opisywano, leży oberża: jakże się ona nazywa margrabino?

— Szynk „Pod Ostrowidzem!“ pół głosem

odpowiedziała Paulina.

— Przez wszystkich świętych! zawołał zdziwiony Franciszek. Czegóż to szuka królowa na owych uliczkach?

— Sławnego wróżbity Zantilli, który umie przepowiadać przyszłość. Ciekawa jestem słyszeć, co on mi powie; ale czy nie za daleka droga dla was. Don Serrano?

— Racz mnie Wasza Królewska Mość raczej zapytać, czy jestem gotów umrzeć dla Niej; z odpowiedzią namyślać się me będę!

— Za ową oberżą wkrótce znajdziemy już odludne mieszkanie wróżbity; śpieszmy zatem.

Trzy osłonione osoby szybko przechodziły ulice tej odległej części miasta, zamieszkiwanej przez najuboższą ludność Madrytu. Przeszły przez plac Pedro, na którym po straszliwej scenie dokonanego przed kilku dniami tracenia, nie pozostało już ani śladu, i weszły nareszcie na długą, brudną, słabo oświetloną ulicę Toledo. Młoda królowa ujrzała przed sobą niskie, częścią pozapadane domy, z małemi sklepami, szynki wódki i odrażające mieszkania, rozmowy obdartych mężczyzn i kobiet, żebrzące dzieci, strasznych pijaków, a wszystko to przejęło ją trwogą i odrazą. Przytuliła się mocniej do Serrany i zaledwie na nogach utrzymać się mogła, może wołałaby była wrócić do domu, ale wrodzona duma nie dozwoliła jej zaniechać raz przedsięwziętego zamiaru.

W tej chwili, z odległej pobocznej ulicy dobiegł do niej krzyk i dały się słyszeć głosy wołające:

— Trzymajcie mordercę — chwytajcie go — tu musiał się ukryć!

A głos kobiecy wołał silnie drżącym tonem:

— Moje dziecię — moje dziecię zamordowane — to był człowiek czarno ubrany — on wyssał krew z mojego dziecka!

Przestraszona królowa stanęła. Krzyk matki tak był przeraźliwy, słowa jej głosiły coś tak okropnego, że Izabella zbladła i drżała schwyciła rękę Serrany.

— Dziecku krew wyssał? — zaledwie dosłyszalnym głosem powtórzyła.

Franciszek przypominał sobie, że już na zamku ojca słyszał o Upiorze, który z rozkoszą i upodobaniem wysysał krew młodych niewinnych dziewcząteк; i jemu także przebiegł dreszcz po ciele gdy ujrzał z nagła przed sobą prawie powtórzenie tej zwierzęcej okropności.

Krzyczący tłum ludu, z kobietami załamującemi ręce, zbliżał się przy świetle pochodni, gorliwie szukając po wszystkich zakątkach domów.

Scena przedstawiała przerażający widok. Dwóch wyjących, brodatych ludzi biegło naprzód wołając ciągle: „Szukajcie go, trzymajcie smoka!“ Czterech czy pięciu ludzi bladych, przejętych litością, niosąc pochodnie, ponure światło na ulice rzucające, szukało w koło siebie; potem biegło mnóstwo starych i młodych kobiet, niosąc zabitą, zaledwie dziesięcioletnią dziewczynkę, która miała nad sercem na białej piersi otwartą ranę, a krzyczący i wyjący mężczyźni i kobiety zamykali ten okropny orszak, przez ulicę Toledo do najbliższej straży dążący. „Moje dziecię, moje dziecię zamordowane!“ ciągle załamując ręce wołała matka, i to padając, to znowu wstając, wlokła się za

krzyczącymi unoszącymi ciało, z pośrodka których tu i owdzie dawało się słyszeć wołanie: „Smok jest w Madrycie!“

Blada królowa ciągle jeszcze stała na miejscu, przypatrując się straszliwemu pochodowi, podczas gdy margrabina mimowolnie żegnając się, drżała z przestrachu.

— Ten smok musi to być człowiek, lękliwie poszepnęła; zaledwie coś podobnego przypuścić można!

A jednak tak utrzymują, powiedział Franciszek, ale nikt nie widział i nie złapał tego potwora, nikt nie słyszy wołania o pomoc jego ofiary, jaką sobie zawsze wybiera z pośród młodziutkich dziewcząteк.

— Pośpieszajmy, Don Serrano, musimy skręcić na ulicę, z której wyszedł ten straszny orszak, bo na niej leży oberża i mieszkanie alchemisty!

Przed domami tej szkaradnej, litości godnej ulicy, której nieczystość i ubóstwo jeszcze było większe jak na ulicy Toledo, stali oburzeni mieszkańcy i opowiadali sobie, że przed dwiema prawie godzinami słyszeli lekkie jęczenie, ale nikt z nich na nic nie zważał. W tem nagle wyszła z mieszkania owa matka, wołając na swą dziesięcioletnią pięknie i pulchnie rozwijającą się córkę, której od niejakiego czasu nie widziała. Przeczuwając coś złego, jak to często się zdarza mocno tkliwym macierzyńskim sercom, cała wzburzona przeszukała ulicę — w tem przy szynku Pod Ostrowidzęm, w pobliżu ulicy Toledo, nagle ujrzała jak wyskoczyła jakaś czarna postać i wnet w cieniu domów znikła. Ze zgrozą i przerażeniem, na miejscu, które ów straszny człowiek tylko co opuścił, postrzegła jakiś

przedmiot — przystąpiła bliżej — znalazła swoje dziecię, i z okropnym krzykiem rzuciła się na bladą zabitą, niewinną dziewczynkę.

Królowa i margrabina mocniej nasunęły swoje kaptury, i prowadzone przez Serranę, szybko przeszły obok nędznych domów.

— Widzicie tam w tyle chatkę na końcu ulicy, tam cel naszej wycieczki, szepnęła Izabella.

— Zdaje mi się, że zaraz tam będziemy, odpowiedział Franciszek, kontent, że postrzega przed sobą otwarte pole, że straszliwą uliczkę szczęśliwie za sobą pozostawia — tu Najjaśniejsza Pani, jest daleko w tyle zbudowana chatka!

Młoda, jeszcze mocno tem co dopiero widziała wzruszona, królowa, ujrzała leżący w głębokim cieniu, o sto blisko kroków od ulicy, samotny, niski domek, którego okna przysłonione były słomianemi matami.

— To tutaj — widzicie, że na płaskim dachu stoją rozmaite naczynia? To znak, który nam wskazano; nie ociągajmy się zatem. Don Serrano! bądź łaskaw zapytać, czy dwie damy od starego Zantilli dowiedzieć się mogą o swojej przyszłości!

— Najjaśniejsza Pani — ja już zgoła nic więcej wiedzieć nie chcę! z westchnieniem rzekła margrabina, nie mogąca jeszcze przyjść do siebie po tem co widziała i doświadczyła.

— To zapytaj tylko o mnie, Don Serrano! — rozkazała królowa.

Franciszek przystąpił do drzwi niskiego samotnego domu. Były zamknięte, ale znajdował się na nich przyrząd

do pukania. Franciszek silnie go ujął i rozległ się zaraz głośny łoskot.

Nakoniec coś się za drzwiami poruszyło i gruby głos spytał niezbyt zapraszającym tonem:

— Któż tam znowu nie daje spokojności w nocy?

— Czy tu Zantillo, sławny madrycki alchemista?

— To ja jestem, ale cóż to was obchodzi?

— Pewna dama pragnie przy waszej pomocy poznać swoją przyszłość, otwórzcie! — dumnie rzekł Serrano, któremu już za wiele było tych pytań.

— Powiedzcie swojej damie, żeby przyszła w dzień nie w nocy, w której mam co innego do czynienia, niż usługiwać ciekawym.

— Ona za wasze słowa złotem płaci! pochlebnie przemówił Franciszek.

— Ja go już wkrótce potrzebować nie będę, bo za dziesięć lat będę miał więcej złota niż go wszystkie części świata wydają, powiedział stary Zantillo otwierając drzwi — jeszcze tylko dziesięć lat słońce przyświecać musi mieszaninie — już się zafarbowało — a wtedy będzie zupełnie gotowe!

— Już tylko dziesięć lat, powtórzył Don Serrano mimowolnie poglądając na starca, który w długiem, ciemnem z szerokiemi rękawami okryciu nagle przed nim stanął: a jak już dawno czekacie?

— Czternaście lat, młody przychodniu — obliczyłem, że mieszanina potrzebuje mieć lat dwadzieścia cztery! Gdzież jest wasza Donna?

Okryta kapturem królowa przybliżała się, margrabina

postępowała za nią.

— Któż jest ta druga Donna i czego pragnie? — spytał Zantillo, starzec z białą brodą, sięgającą mu aż do złotego pasa, którym swoje okrycie na ciele utrzymywał.

— Przyjaciółka mojej Donny, która was, wielki Zantillo, widzieć chciała!

— Niewczesna ciekawość! Stary Zantillo nie jest pospolitym wróżbitą, który każdemu, jak cyganka, z ręki wszelkiego rodzaju niedorzeczności przepowiada — stary Zantillo oblicza gwiazdy i ich wpływ na naszą ziemię, stary Zantillo bada siły przyrody, i niejedną już odkrył tajemnicę, niejednym się posługiwał cudem! A więc to wy, Donno, pragniecie poznać waszą przyszłość? — mówił dalej, nie zmieniając wyrazu swojej starej, pomarszczonej twarzy, na której tylko oczy młodzieńczym ogniem świeciły, mimo gorejącej jasno świecy, którą trzymał w ręku — proszę więc za inną!

— Czy sama tylko mam iść za wami? — trwożliwie spytała Izabella.

— Sama, Donno, albo może chcesz, aby twój rycerz słyszał moje słowa i widział moje obrazy?

— Towarzyszka moja równie jak i ten kawaler mogą widzieć i słyszeć wszystko, co mi pokażecie i powiecie! — bez namysłu odpowiedziała młoda królowa, bo za żadną cenę nie byłaby sama poszła za coraz to bardziej głośnym w Madrycie ze swojej mądrości alchemistą.

— Kiedy zezwalacie, aby słyszeli, co wam powiem, to i dla mnie to rzecz obojętna, mruknął starzec — chodźcie więc! Kiedy przestąpicie próg świętego przybytku, czyńcie

wszystko, jak wam wskażę, ale jeżeli wam życie miłe, nie mówcie ani słowa. Wy, Donno, idźcie tuż za mną, aż do koła, które ujrzycie narysowane — wy zaś pozostaniecie zewnątrz tego koła!

Gdy Zantillo zamknął drzwi swojego samotnego, tajemniczego domu, Serrano ciekawie obejrzał się w około. Sień, w której stał z damami, była szeroka i kamieniami wyłożona. Na prawo były drzwi z dziwnemi napisami i hieroglifami, na lewo ciemne przejście. W kierunku, w którym Zantillo postępował, postrzegł Serrano po nad kilku stopniami wielkie podwójne drzwi, które, gdy się alchemista do nich zbliżył, otworzyły się same i zaraz dał się słyszeć szmer jakby trzask ognia.

Zantillo schylił czoło, potem wstąpił, a królowa tuż za nim, w obszerną, pełną bezwonnej pary przestrzeń. Margrabina nieulękniona, szła pospołu z rozciekawionym Serraną. Za nimi z takim samym szelestem i równie prędko zamknęły się drzwi, tak, że uważny Franciszek wcale nie mógł dostrzedz poruszającej je siły.

Nie widać było w tej mglistej, ciemno oświetlonej przestrzeni żadnego światła, żadnej lampy — w tej nawet chwili i ścian rozpoznać było niepodobna — goście alche misty znaleźli się w pośród nieprzeniknionego, szczególnego dymu.

Zantillo pewnym krokiem szedł naprzód — Izabella postępowała za nim — nagle ujrzała przed sobą na ziemi świetlny krąg — wyglądający nakształt srebra — wstąpiła weń za wróżbitą.

Paulina i Franciszek pozostali przy drzwiach pełni

oczekiwania — królową widzieli przed sobą jakby we mgle.

W tej chwili powstał w przestrzeni jakiś szmer, podobny do groźnej burzy, a jednak około stojących tam osób nie powiał nawet przeciąg powietrza. W kierunku, w którym stał Zantillo jak oddalony cień, nagle błysło — w mgle zajaśniał lekki płomień — który się coraz bardziej rozjaśniał i niby pochłaniał wróżbitę — zaczął się szelest i gwizdanie, jakby wszystkie żywioły z sobą walczyły, i wtedy rozjaśnił się szeroki ołtarz, przed którym stał alchemista — wysoki spokojnie gorejący płomień, dziwnie pięknej barwy, której sobie Franciszek dobrze wytłómaczyć nie mógł, palił się na środku ołtarza, i przyćmił gorejące po obu jego stronach białe ognie, które przedtem wydawały mglistą parę, tak, że teraz biegały one tylko nisko jak błędne ogniki.

Zantillo stał tuż przed pięknie oświeconym płomieniem, i zdawało się, że patrzy w jego środek, podczas gdy Izabella oczekując z bijącem sercem, stała w lśniącem się kole, rozciągającem się daleko za alchemistą i ołtarzem.

W rozległej przestrzeni na raz zrobiło się tak cicho, tak się nic tam nie poruszało, jakby w opuszczonym kościele — tylko z dala na ścianach chwiały się jeszcze bujając ostatnie chmurki mgły.

— Płomień nie myli mnie swoim cudownym objawem. Jesteś obleczona purpurą — rzekł głęboko przejmującym głosem, właściwym zapewne starym przewidywaczom. Korona zdobi twoją głowę, a przeszłość twoja była równie jasna jak blask słońca. Postrzegam przeznaczonego i

małżonka — czarni ludzie prowadzą go po błędnej drodze i napawają go trucizną. — O biada mi! — Ty jesteś Izabella, córka owego okrutnego, który mojego ojca zamęczyć kazał — nagle zawołał alchemista. Widzę jak twoją wysoko odkrytą nogą depczesz twoją koronę — jak odziedziczasz przekleństwa ojców — jak twój spróchniały tron kruszy się pod pięścią owego powstającego bohatera, którego kiedyś w zwierciedle ujrzysz przed sobą klęczącym!

— Wstrzymaj się okrutniku! — jękła królowa, z trwogą wyciągając ręce, i śmiertelnie blada odwróciła się od ołtarza i spojrzała na Serranę.

W tej chwili z piorunującym hukiem zagasł cudownie przyświecający płomień — Zantillo nachylił się, blade ognie znowu się ukazały, napełniając przestrzeń mgłą i parą i zimnem drżeniem przejmując obecnych.

Serrano obejrzał się — drzwi stały otworem, wyprowadził więc prawie gwałtem obie ze strachu umierające kobiety. Przeszli stopnie i drzwi, i znaleźli się znowu na otwarłem powietrzu.

Straszliwy huk w domu alchemisty dał się słyszeć za nimi — Serrano, równie jak młoda królowa i margrabina, wzruszony był tem co usłyszał — dziękował Najświętszej Pannie, że przecież drzwi się za nimi zamknęły i że ich nocne powietrze owiało.

— Niegodziwiec! — poszepnęła Izabella. Twoje ramię, Don Serrano!

Franciszek uczuł, że drżąca ręka królowej z trwogą ujęła jego lewe ramię, że przerażona i przestraszona, mocno się do niego tuliła. Margrabina musiała nabrać odwagi, i z

drugiej strony służyła królowej za podporę. Tak szli napowrót przez ponurą uliczkę.

Gdy przechodzili obok szynku Pod Ostrowidzem, jeszcze dawały się słyszeć głuche krzyki i dzikie śpiewy, a przed nim włóczyły się wszelkiego rodzaju obdarte, litości godne postacie. W tej chwili przez drzwi oberży, w której przechadzało się wszelkiego rodzaju pospólstwo, cisnęła się banda cyganów, która po krótkim wypoczynku, śpiewając i grając znowu do ludu wracała. Przewodniczył jej barczysty, wysoki król cyganów ze swoim kijem pielgrzymim; kapelusz miał ubrany różnokolorowemi wstążkami, a na szerokiej koszuli jego wisiał błyszczący łańcuch. Zgrabnie poruszał nogami, przyodzianemi w krótkie, czarne aksamitne spodnie, i tańczył przy odgłosie skrzypiec, na których przygrywali postępujący za nim cyganie. Kobiety ich, niosąc dzieci na plecach, szły za nimi, a obok nich zdążali ponuro poglądający, pozbawieni dachu mężczyźni, to głośno pokrzykując, to głucho rozmyślając; krucze włosy okrywały ich czoła i policzki.

Franciszek nagle zatrzymał się, zapomniał gdzie był i że prowadzi królowę; bo przed sobą pośród cyganów postrzegł w półcieniu przesuwającą się postać, która troskliwie niosła dziecię na ręku. Z ust jego wyrwał się krzyk — serce mu dziko uderzyło — to była ona — to ona być musiała! Przecudna chwilo! gdybyż ją znowu mógł ujrzeć!

— Henryko! zawołał za ukochaną, do której całą duszą należał i którą tak nagle ujrzał przed sobą po długiej rozłące.

Przestraszona królowa trzymała się jego ramienia; z

najwyższem zdziwieniem spojrzała na dziwnego swojego towarzysza, który jakby chciał się jej wyrwać, a obawiając się nowego wypadku, zapytała:

— Co się wam tak nagle stało, Don Serrano? Przecież nie zechcecie nas opuścić i iść za jedną z tych uwodzących cyganek?

Franciszkowi lodowate zimno przebiegło po ciele, zapominając o wszystkiem, chciał się wyrwać — wołać — chciał jej dosięgnąć!

— Podjąłeś się Don Serrano odprowadzić nas do zamku — i niepodobna, abyś chciał królową samą zostawić na ulicy, na pastwę pospólstwa i wszelkich niebezpieczeństw, rzekła Izabella.

Wyciągnięta ręka Franciszka opadła, usta wołać chcące znowu się zamknęły — musiał pozostać na miejscu z przygniatającą pewnością; czuł to, i straszne jarzmo tej chwili prawie go do ziemi przybijało.

— Przebaczenia, moja królowo! rzekł usprawiedliwiając się: zdawało mi się, że nagle dostrzegłem przechodzącą i niknącą bardzo mi drogą istotę.

Swoje dziedzictwo, zamek Delmonte, połowę życia byłby oddał, gdyby w tej chwili wolny był od krępujących go więzów, z których z taką chęcią byłby się wymknął, a wymknąć się nie mógł, czując to po niecierpliwem kołataniu serca, bo powinien był odprowadzić do zamku młodziuchną królowę, która zwieszona na jego ramieniu, powierzyła mu się z calem zaufaniem! Dopełniał on tego coraz prędzej zdążając, a gdy nakoniec przybyli do muru otaczającego park, otworzył drzwi i przeprowadził obie

damy spokojnie przez ciemne przejścia parku. Gdy uchylił ostatnie drzwi i przekonał się, że królowa bez przeszkody może przejść po schodach, wiodących do jej apartamentów, czemprędzej zalecił się jej względom, i zaledwie dosłyszał, że mu Izabella z nadzwyczaj życzliwym wyrazem twarzy i czarownem spojrzeniem niebieskich oczu poszepnęła:

— Dziękuję, Don Serrano, jesteśmy waszą dłużniczką.

Franciszek myślał tylko o Henryce, którą był postrzegł.

— Za kilka dni, mówią w zamku, gwardja królowej towarzyszyć będzie wojskom przeciwko generałowi Cabrerze. Wtedy wraz z nią wyruszycie w pole. Chętnie chciałabym wam dać jakiś talizman na tę pełną niebezpieczeństwa wyprawę. Oto, macie tu mój amulet, noście go.

Izabella, jeszcze mocno wzruszona dziennemi wrażeniami, zdjęła z piersi w złoto oprawny topaz ze świętym obrazem, szybko zerwała mały złoty łańcuszek, który go na jej szyi utrzymywał, i podała zdziwionemu tą oznaką jej łaski.

— Na pamiątkę dzisiejszej waszej kawalerskiej usługi! poszepnęła, i wraz z margrabiną, która zostającego poufale pożegnała, poskoczyła do swoich apartamentów.

— Gorące dzięki! — z trudnością wymówił Serrano — przez chwilę stał jakby wahając się i nie wiedząc co począć — potem wypadł z zamku przez okryte nocą ulice do owego cyrkułu, w którym niedawno postrzegł Henrykę, trzymającą na ręku jego i swoje dziecię. Pochylony dostał się na uliczkę, pytał sług podejrzanej oberży o Henrykę, o dziewczynę, która niosła dziecko na ręku.

Ale nikt nie mógł dokładnie objaśnić niecierpliwie poszukującego, którego bogaty mundur widać było z pod odstającej kapy. Nalegał dalej, przejrzał wszystkie przejścia i zakątki ulicy Toledo — nadaremnie.

Z nastającym dopiero porankiem bez tchu, kurzem i błotem okryty, wrócił do domu kramarza Romoli, gdzie Domingo z trwogą go oczekiwał, i doniósł mu, że Don Olozaga i Don Prim byli tu, dla zawiadomienia Don Serrany o nastąpić mającym w tych dniach pochodzie, ponieważ forpoczty i szpiegów generała karlistów Cabrery dostrzegano już w bliskości stolicy.

— Czy obejrzałeś i nabiłeś pistolety w olstrach?

— Wszystko w porządku, odpowiedział stary Domingo.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział IX.

SZYNK POD OSTROWIDZEM.

Gdy Henryka po owej straszliwej nocy, w lesie Bedoja upadła i leżała zemdlona obok śpiącego dziecka, przeciągała właśnie tamtędy banda cyganów ze swojemi opakowanemi mułami, podobnie jak ślimak, niosący z sobą dom i mienie, a takich band w Hiszpanii jest więcej jak w każdym innym kraju. Półnagie, od słońca opalone dzieci tych włóczęgów, znalazły Henrykę, i kiwając tajemniczo, sprowadziły tam starą, skuloną, na kiju wspartą matkę cyganów.

— Zyrra — chodź i zobacz, cośmy znalazły! — zawołały.

Stara Zyrra, mając na głowie i żółtej pomarszczonej twarzy okręconą różnokolorową chustkę, poszła za niemi w krzaki, i wkrótce swojem przeszywającem czarnem okiem postrzegała Henrykę i jej małą śpiącą córeczkę.

Pochyliła się ku nim i słuchała ich tchu, potem zerwała w pobliżu rosnące, ostro woniejące ziele, roztarła je w dłoniach i zbliżyła do twarzy prawie zamarłej Henryki.

Ta ocknęła się i odsunęła z czoła rozpuszczone włosy — zdawało się jej, że długo i ciężko śniła lecz wnet z uśmiechem uszczęśliwienia pochwyciła śpiące dziecię, i teraz stanął przed jej myślą cały szereg straszliwych

wypadków! — Przekleństwo starego Serrany, okropna klątwa, która nietylko ją, lecz także i niewinne dziecię dotykała — radośnie poglądająca pożądliwa twarz obrzydłego Józefa, który ją kazał zamknąć w żelaznym pawilonie — ucieczka — ręce od rozpaczliwej pracy krwią zbroczone... Wtedy przestraszona obejrzała się w koło z obawy, aby Józef i teraz nagle z krzaków nie wyskoczył!

— Lękasz się, moje dziecię, łagodnie mówiła stara cyganka; cóż cię tak przestrasza?

— Ścigają mnie, mnie i moje dziecię.

— To chodź zemną do mężczyzn, oni cię bronić będą, skoro z nami pójdziesz!

— A dokąd idziecie? spytała Henryka.

— Do Madrytu, tam dzień wypoczniemy! chodź z nami! a jeśli tak jak my nie masz domu, to pozostań z dzieckiem przy nas!

— Aż do Madrytu przyjmiecie mnie pomiędzy siebie, tam znajdę jakieś wyjście, jakąś pomoc! mówiła Henryka, pozwalając, ażeby jej pomogła wstać stara Zyrra, która mimo podeszłego wieku znakomitą posiadała siłę.

— Jakże biednie wyglądasz i jak odzież twoja zniszczona! ubolewała stara matka cyganów, podczas gdy Henryka brała dziecię na rękę. Biedna kobiecina, jeszcze taka młoda!

Poszły za długim pstrym orszakiem, który sobie przez las torował drogę; idący naprzód król cyganów znał doskonale kierunek, a przywodził i rządził wszystkimi.

Wkrótce mężczyźni i kobiety cisnęli się około Henryki i jej dziecka, ciekawi, co obca robi w ich gronie. Stara Zyrra

swoją dziwnie dźwięczną mową, której słów nikt nie zna i nie rozumie oprócz tego wygnanego, tułaczegc ludu, wyjaśniła im szybko, że dziewczyna także nie ma dachu i jest ściganą.

Wtedy czarno-kędzierzawi, ognistego wzroku cyganie z zaufaniem jej skinęli głowami, a Henryka i jej dziecię do nich należały. Wysoki, wiekowy król przystąpił do niej, i na powitanie wycisnął pocałunek na jej czole; ale obok niego stał wysmukły, pięknie wzrosły syn jego o namiętnych rysach i błyskających oczach, które z upodobaniem na Henryce spoczęły.

— I Azzo także cię pozdrawia, biała kobieto, — mile brzmiącym głosem przemówił.

I rzeczywiście, chociaż Henryka jako Hiszpanka odznaczała się także południową cerą, jednak wobec otaczających ją w koło cyganów, można ją było nazwać białą. Kobiety i dziewczęta z żółtawo — brunatnemi, o przebiegłości i dzikości świadczącemi twarzami, nosiły zupełnie krótkie, pstro wyszywane spódniczki, tak, że można było widzieć ich dzielnie rozrosłe łydki i nogi. W długich, czarnych, bujnych włosach miały wieńce i wstęgi. Mężczyźni nosili także krótkie, różnokolorowemi wstążkami zdobne spodnie, i otwarte, niby do półzrzucone koszule, przez co można było widzieć ich silnie zbudowane piersi; król tylko sam miał hiszpański kapelusz, inni zaś białe albo czerwone czapki. Azzo, wysmukły syn króla, trzymał w ręku skrzypce; większa część jego towarzyszów miała w ustach krótkie fajeczki, z których idąc gęste kłęby dymu wypuszczała. Włosy ich były nie pielęgnowane i nie

czesane; w krętych grubych pasmach spadały im aż na ramiona i na żółte twarze. Błyszczące oczy, zwiędłe rysy i wyryta na twarzach tęsknota do kwiatów Nilu i do starodawnych podań o burzliwej przeszłości ich rozproszonego wędrownego narodu — malowała się już to w radosnych okrzykach, gdy zabrzmiały tony skrzypiec i cymbałów — już w leniwem marzeniu pod cieniem kwitnących kasztanów — o dalekiej ojczyźnie, która ich odepchnęła.

Kiedy noc cienie swoje nad lasami rozpostrze, wtedy kładą się w koło trzeszczącego ogniska, patrzą w płomień, radujący ich spojrzenia i serca, słuchają tajemniczo brzmiących melodyj, które im wygrywa Azzo, ciemnym okiem nieprzerwanie wpatrujący się w Henrykę syn króla cyganów. Potem, rozochoceni, zdziczali ludzie, wyskakują i przy blasku pochodni wiją się z czarnookiemi dziewczętami, porwani namiętnym, czarodziejskim tańcem, podczas gdy starzy przy buchającym ogniu przygotowują wieczerzę.

Henryka siedzi osobno, trzymając na ręku śpiące dziecię, i myśli o Franciszku, o przeminionych pięknych czasach — złożyła ręce do modlitwy, i swobodniejsza spojrzała na swój klejnot, na zakład swojej miłości.

Gdy powstała, stanął przed nią Azzo, wysmukły cygan z czarnym włosem i bujnym zarostem. Jego ciemne świecące oko spoczywa na przyjemnej twarzy Henryki, jakby powiedzieć chciało:

— Kocham cię niewypowiedzianie biała kobieto, od chwili, w której do nas wstąpiłaś i w której cię po raz

pierwszy ujrzałem.

Nie znajduje żadnych słów; chciałby na sposób cyganów, objąć piękną kobietę, pociągnąć do tańca pod ciemnemi kasztanami, i tam zamiast zimnych słów, wycisnąć na jej rumianych drżących ustach pocałunek narzeczonego.

I cóż go od tego wstrzymuje?

On inaczej zamyśla dowieść jej swojej miłości.

— My jesteśmy bogaci, niezmiernie bogaci, biała kobieto; a skoro ojciec mój zostanie pochowany pod krzakami naszego cmentarza, cały ten skarb mnie się dostanie. Ani ty, ani nikt inny nie domyśla się, ile tam nagromadzonego złota i srebra, a miejsce ukrycia tego skarbu znam tylko ja, i ja nim później rozporządzać będę. Oto, przyjmij mój łańcuch, noś go, aby wszyscy wiedzieli, że cię na moją kochankę wybrałem.

To mówiąc, Azzo, podał ze zdziwieniem poglądającej nań Henryce sznurek wielkich, grubo obrobionych kul srebrnych — ową oznakę cygańskich królów, którą noszą podczas wielkich uroczystości. Ale Henryka odsunęła go ręką, i boleśnie uśmiechając się, wstrząsła swą piękną głową.

— Zatrzymaj to, synu królewski, i daj piękności z twojego ludu, rzekła; ja nie mogę już należeć do ciebie!

W pobliżu nich, za starym szerokim pniem drewnianym, stała przysłuchując się pulchna kobieta, która już od kilku dni ponurem okiem, postrzegła, iż Azzo żywi współczucie dla Henryki. Aja z rodu nie należy do cyganów, ona także przyłączyła się tylko do ich orszaku, oświadczając, że jest prześladowana; ale podczas pobytu u nich, tak dalece

przybrała ich obyczaje i barwę, że uważano ją za cygańską dziewczynę. Aja już nie jest młoda, ale ma pulchne kształty ciała, a twarz pożądliwą i ładną. Ma wielkie czarne oczy, ocienione długiemi brwiami — czarne włosy, które w grubych splotach na jej pięknie utworzony grzbiet i na falujące piersi spadają. Ona kocha syna króla cyganów i przeszywające spojrzenia rzuca za młodym, dzikim, bujnie wyrosłym Azzem, który właśnie wydawszy przytłumiony krzyk zdziwienia, stoi obok obcej kobiety, którą kocha i która ma dziecko na ręku; złośliwy, zimny uśmiech osiada na ustach Ai, bo Henryka odrzuca dar Azza. Z pożerającą jednak namiętnością czuje, że musi podsłuchiwać, uważać, bo co się dzisiaj nie udało, to któregokolwiek wieczoru szczęśliwiej dla Azza wypaść może. „Biała kobieta swojem wzdraganiem się tylko go roznamiętni! poszepnęła i, wracając do koła tańcujących, z nęcącym i mimowolnie złośliwym uśmiechem spojrzała na wzgardzonego królewskiego syna.

Nazajutrz banda stanęła w Madrycie.

Stara Zyrra, a jak się zdawało, także i król cyganów, mieli poczynić znaczne zakupy zapasów; trzeba więc było dla wypoczynku wyszukać szynk, i zdarzyło się, że nim była właśnie osławiona oberża w uliczce przyległej ulicy Toledo. Tam udała się cała banda cyganów.

Nad nizkiemi, brudnemi drzwiami tego szynku, znajdował się wizerunek ostrowidza, od którego ten zakład wziął nazwę.

Gdy cyganie rozłożyli się na wyższem piętrze oberży, a Henryka z dzieckiem przestąpiła próg jego, przesunął się

szybko obok niej mały człowieczek z chytrem spojrzeniem, nieco zezowaty i wypadł na ulicę. Za nim wybiegło mnóstwo wrzeszczących, tak, że prawie wszyscy opuścili zdziwioną Henrykę.

— Ten poganiacz osłów, to złodziej, trzymajcie go! zawołał jeden ze ścigających, zapewne gospodarz, i śpieszył za małym człowieczkiem o kilka kroków naprzód biegnącym.

— Tu, tu, łapajcie! — Ach! ty szelmo, kto jesteś?

Mały z żałosną miną rzucił się na ziemię, a on go swą żelazną pięścią za kołnierz pochwycił.

— Gadaj zaraz, szelmo, pokładłeś mi chustki, jak się nazywasz?

— Zlituj się, kochany panie, bieda mnie do tego zmusiła! chytrze błyskając oczami wołał mały gruby.

— Złodziejski synu, a oto z twojej kieszeni wypada biały srebrny pieniądz, to przecie jeszcze nie bieda! kto jesteś?

— Nazywam się Claret, nie prowadźcie mnie do urzędu!

— Przeklęty poganiaczu osłów, ja ci tu zaraz karku nadkręcę!

— Przyrzekam wam, że już nigdy kraść nie będę, i że będę uczciwym człowiekiem; tylko zlitujcie się nade — mną i puśćcie mnie! prosił zezowaty z najpokorniejszą miną wyjął z pod kaftana skradzione chustki i oddał gospodarzowi, przez co tyle wskórał, że ten go pchnął i puścił wolno.

Tego rodzaju sceny nie były nowością w szynku Pod Ostrowidzem i w jego okolicy, i dla tego stojącemu za szynkowym stołem gospodarzowi służyło prawo, w razie

potrzeby tego lub owego ze swoich gości gwałtem wydalić a nawet bić. Chociaż na pozór niby nic go nie obchodziło, widział on jednak i słyszał wszystko, każdemu pozwalał robić co mu się podoba, byle tylko zapłacił i nie robił skandalu. Nawet z dwiema jego dorosłemi córkami, wiele spożywający goście mogli robić co im się podobało, o to on wcale się nie troszczył.

Dzisiaj nawet dosłyszał kilka słów bardzo ważnej rozmowy, jaką w jego oberży wiódł czarno ubrany człowiek, o białej twarzy, z rudą brodą, z dwoma godnymi szubienicy łotrami. Ale ów czarny człowiek, z rudą brodą i białą twarzą, kazał podać trzy butelki wina, mógł więc mówić o czem chciał z dwoma obdartymi szubienicznikami. Tylko przelotnie dosłyszał, że ów czarny młodzieniec przeszedł do karlistów, i od osławionego generała Cabrery otrzymał polecenie w Madrycie werbować ochotników i szpiegów.

Ale cóż go mógł więcej obchodzić rudobrody, kiedy za wino zapłacił brzęczącą monetą i nawet wszystkiego nie wypił? Jako dobry gospodarz, obowiązany on był wszystkim z równą uprzejmością usługiwać, czy to panu czy słudze, czy stronnikowi królowej czy też Don Carlosa, byleby tylko płacili.

Czarny młodzieniec aż do wieczora siedział w szynkowej izbie, potem nagle wyszedł.

Na górze, w wielkiej, nizkiej izbie, rozłożyli się cyganie na przyniesionej im słomie. Stara Zyrra i król wyszli do miasta. Azzo ze skrzypcami w ręku marząc leżał pod oknem, przy którem stała Henryka. Inni cyganie leżeli

śpiąc, albo kurząc fajki, i rozglądali się po ścianach; w głębi zaś ciemnej izby, stała jak posąg nieruchoma, pulchna, postać bolejącej Ai. Piękne ręce, które zawsze jak najstaranniej okrywała, skrzyżowała na piersiach, i pożerającym wzrokiem, z dumą, jaką nadaje ciągłe zwycięstwo i przewaga, spoglądała na królewskiego syna, w obdartej odzieży, z dziką, wyzywającą twarzą, którego lśniące oko na miłej postawie Henryki zawisło. Wiedział on, że biała kobieta za przybyciem do Madrytu ma się z nim rozłączyć, i myśl ta spokojności mu nie dawała.

Henryka bacznie wyjrzała na ciasną, brudną uliczkę; myślała, czy na szerokim świecie nie ma jakiego człowieka, do którego mogłaby się uciec i przez niego dać o sobie znać Franciszkowi.

Wtem nagle struchlała, bo się jej zdało, że na dole, w cieniu niskich domów widzi przesuwającą się postać; uczuła, że ze strachu i trwogi włosy jej na głowie powstają; ale mylić się musiała. Skądby Józef, brat Franciszka, miał się na tej uliczce znajdować! Zapewne myli ją jakieś podobieństwo, ale i to podobieństwo już było w stanie ściąć lodem krew w jej żyłach. Z obawą i zapałem silniej przycisnęła dziecię do piersi, krok za krokiem ostrożnie odsunęła się od okna, i skurczona wołając trwożliwie: „Brońcie mnie!“ usiadła obok powstającego Azza, do wszelkiego czynu gotowego.

— Mój śmiertelny wróg, wymówiła z cicha, tam na dworze przesunął się!

Musiała się omylić co do tej czarnej postaci, albo jeżeli to był Józef, to nie dostrzegł jej zapewne stojącej w oknie,

bo nikt się nie zbliżał do izby w szynku Pod Ostrowidzem.

Ale Aja, z namiętnością tylko w jej oczach malującą się, bo piękne rysy były spokojne i jakby z kamienia wykute, śledziła wszelkie ruchy Henryki. Widziała, jak się udała pod opiekę Azza, i że na jego dzikiej twarzy odbiła się radość.

Wtem nagle rozległ się ów straszliwy krzyk i dzikie wycie, które taką trwogą, jak, wiemy, przejęły królową Izabellę, gdy owego wieczoru, z margrabiną de Beville i Don Serraną szła przez ulicę Toledo.

Henryka porwała się, nawet marzący leniwi cyganie powstawali; wkrótce jednak przycichła wrzawa coraz się bardziej oddalając, a Henryka nie śmiała wyjść, aby zapytać co się stało. Wewnętrzny tylko głos mówił jej, że tu w Madrycie z dzieckiem swojem nie jest zupełnie bezpieczna, że musi iść dalej, bez celu, tak daleko jak ją nogi unieść zdołają.

Ale Aja napróżno czekała, aż nienawistna jej Henryka pożegna się, i jak jej to powiedziała, w Madrycie znowu cyganów opuści. „Biała kobieta“ strwożona, nie miała odwagi wyjść na ulicę; nie wiedziała jakim sposobem ma się ratować!

Stara Zyrra dopiero po północy wróciła do szynku Pod Ostrowidzem. Obaczyła, że Henryka siedzi skulona, i pełna litości dla nieszczęśliwej matki, ujęła jej rękę, zaprowadziła w kąt ciemnej izby i przygotowała twarde legowisko obok siebie, wziąwszy głowę Henryki w swoje ręce. Stara Zyrra lubiła „białą kobietę“ tem bardziej, może iż dostrzegła, że ją Azzo kocha.

Henryka i jej dziecię spali kilka godzin, chociaż pierwszą ciężkie sny dręczyły.

Ale Aja, która z niekobiecą siłą umiała stawiać czoło wszelkim znużeniom, ani oka nie zmrużyła. Wprawdzie dzieliła łoże ze śpiącemi cygankami, ale wzrokiem ciągle przeszywała ciemność obszernej izby; a po głowie jej krążyły myśli, przekonywające, że ta obca kobieta, towarzysząca cyganom, pod maską powabnego ciała nosi duszę, nie szczędzącą żadnego środka dla osiągnięcia celu swoich życzeń. Dla czegóż ta Wenus, tak starannie ciągle ręce swoje okrywała, kiedy przeciwnie odkrywała całe pięknie ukształcone piersi, nie troszcząc się bynajmniej o ciekawę spojrzenia? Skąd przybyła i jakie miała cele? Wszystko to pokrywała głęboka tajemnica. Stara Zyrra utrzymywała, że Aja miała stosunki z królami i książętami, że po dwakroć słyszała to z jej własnych ust; bo raz przez sen o tem mówiła, a drugi raz nie domyślając się, że stara matka cyganów jest blisko, zawołała: „Książę Franciszku, jak możesz gniewać się na twoją przyjaciółkę!“ a potem zaśmiała się tak szyderczo i głośno, iż starej Zyrze nawet nieprzyjemnie się zrobiło. Aja zwróciła oko na syna króla cyganów, może dla tego, iż chciała mieć do czynienia z samymi tylko książętami, chociażby nawet z książętami lasu; może także dla tego, że słyszała o niezmiernym skarbie, którym zawiadywał i którego strzegł ojciec Azza, jako pierwszy i najwyższy król cygański. Za jaką bądź cenę chciała młodego, namiętnego chłopca w swojej sieci uwikłać, i zgubić każdego kto jej w tem przeszkadzał.

O brzasku dnia obudziła się Henryka, a także podniosła

się i stara matka cyganów; ojciec Azza rozkazał jej, aby wyruszyła z cyganami, zanim się poranna jutrzenka na niebie ukaże, a na umówionem miejscu miał się z nimi spotkać. Wtedy matka cyganów ujęła rękę niezdecydowanej.

— Pozostań przy nas, — upominając mówiła; — chodź dalej z nami. Równie jak my nie masz schronienia, a przekleństwo ściga ciebie i twoje dziecię, także równie jak i nas; będziemy cię bronić i całkiem do nas policzymy, bo także jesteś cyganką, chociaż skóra twoja bielsza!

— Bez schronienia i jak wy przekleństwem obciążona! — powtórzyła Henryka głosem, wydającym całe jej cierpienie i nieszczęśliwą miłość.

W tej chwili Azzo jakby ją chciał przekonać i błagać, ozwał się dziwnie czarownemi tony swoich skrzypiec. Grał tak łagodnie i tak narzekające, jakby tem chciał odmalować wszystkie cierpienia i wszelkie przekleństwa swojego ludu; a potem znowu tak miękko i tak łagodnie, jakby opowiadał dziecinne bajki i opiewał miłość; słowem wygrywał cygańskie melodje, których nikt nie komponował, które powstały same z siebie, jak cygan dziko na rozstajach dróg wzrosły — melodje, które głęboko zranione serce przejmują.

Z oczu Henryki popłynęły łzy bólu i tęsknoty; pałając padły na biedne, niewinne dziecię, uśmiechające się do łez matki i drobne rączki ku niej wyciągające.

— Czy pójdziesz z nami, biała kobieto? spytał Azzo, który niepostrzeżenie do Henryki przystąpił i rękę na jej ramieniu położył.

— Niech i tak będzie, macie słuszność, jestem bez hronienia i pod przekleństwem podobnie jak wy, drżącym głosem mówiła Henryka.

— Kiedy masz śmiertelnego nieprzyjaciela, to cię ciem mojem bronić będę! Mówią, że cyganie są leniwi chytrzy, a ja powiadam, że Azzo jest to rozwścieczony zwierz, gdy broni tej, którą kocha! mówił syn króla, a na jego dzikiej, włosami obrzuconej, ciemnej twarzy, na której świeciły czarne oczy, można było wyczytać śmiałość i zuchwalstwo. Syn lasu wyglądał w tej chwili tak, że łatwo można było pojąć miłość Ai ku niemu. Stał mocno wyprostowany, muskuły nagich jego nóg i pierś widna z pod koszuli, świadczyły o jego sile, a czarne włosy spadające w nieładzie na ogorzałą szyję, nadawały mu dziką postać. Jego poważna ciemno-żółta twarz, z czarnym zarostem nad delikatnie wykrojonemi ustami, z których świeciły białe zęby, z razu miała wyraz wyzywający, który teraz w ciągu rozmowy z Henryką coraz bardziej ustępował miejsca wyrazowi fantastycznie pożądliwemu. Zmarszczki na czole do połowy czarnym Włosem przykryłem i ostre zuchwałe spojrzenia znikły; inny ogień zabłysł w oku, marząco spoczywającem na białej kobiecie; a z ust wybiegły mimowolnie ciche bolejące słowa:

— Azzo kocha piękną Henrykę, a serce jej jest kamienne.

— Ja cię kochać nie mogę, bo serce moje już oddałam, a oddać raz tylko można! Jeżeli pragniesz mnie bronić, będę ci wdzięczna, oto wszystko, co ci Henryka ofiarować i przyrzec może; więcej żądać nie powinieneś.

Na twarzy Azza, przedtem poważnej i nieruchomej, teraz zajaśniała radość i nadzieja.

— Azzo kontent jest ze wszystkiego, co mu biała kobieta zapewnia! Chodźmy za drugimi!

Gdy zabierał się do wyjścia, wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Ai, która stojąc pode drzwiami, na wszystko uważała; wyglądało to nakształt zetknięcia się dwóch błyskawic. Wysoka, pulchna postać stała nieruchoma, dopóki upragniony i Henryka, niosąca dziecię, obok niej nie przeszli; lodowatym wzrokiem zmierzyła szczęśliwą współzawodniczkę — ale wzrok ten pałał nienawiścią — a pożądliwie wydęte usta szepnęły: „Nie pierwsza jesteś, która padniesz z ręki hrabiny genueńskiej!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział X.

NAPAD.

Wieczorem tego samego dnia, w którym cyganie o świcie opuścili Madryt — Serrano, Prim i Olozaga, w towarzystwie trzech służących, jechali jako przednia straż oddziału wojska, naprzeciw zbliżającym się do stolicy bandom generała karlistów Carbery. Gdy w świetnych swoich mundurach, na zamkowym dziedzińcu, dosiedli parskających andaluzyjskich ogierów, na balkonie zamkowym stały przypatrując się młoda królowa i margrabina de Beville; trzej jeźdźcy na wspinających się koniach salutowali, a Serrano wspominał o amulecie, który przyjął z rąk Izabelli i który wisiał na jego piersi.

Domingo i dwaj młodzi słudzy Prima i Olozagi, jechali za nimi z bronią, amunicją i starannie zapakowanążywnością, którą na wszelki przypadek przezorny Olozaga zabrać kazał.

Trzej oficerowie gwardji królowej, Prim dzielny żołnierz, Olozaga wyrachowana głowa i oddany im dla towarzystwa jako ochotnik Serrano mieli rozkaz, rozpoznać stanowiska i siły karlistowskich band i zrekognoskować grunt. Szpiegi wojsk królewskich utrzymywali, że przednia straż Cabrery w blizkości stolicy leży w zasadzce, bo widziano włóczących się po różnych miejscach jego źle

umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy; według innych wiadomości, właściwy korpus wojsk straszliwego, okrutnego generała karlistów, miał jeszcze być o czterdzieści mil od stolicy oddalony.

Chodziło więc o to, aby podczas przygotowywania się pułków królewskich do wymarszu, z pewnością o tem wszystkiem wywiedzieć się. Do tak niebezpiecznej a zarazem tajemniczej wyprawy użyto trzch naszych przyjaciół, i zaiste większej przysługi im wyświadczyć nie można było.

Barczysty i zarazem wysmukły Prim, z zarosłą oliwkową twarzą, promieniał radością; Serrano, któremu wprawny w tem Domingo należycie wyostrzył pałasz, miał nadto u siodła dwa podwójne, nabite pistolety, pałał żądzą i niecierpliwością; a zaś Olozaga jechał obok nich równie spokojny i elegancki, jakby paradował przed oknami jakiej czarnookiej Donny.

Tak wyruszyli, aby najprzód zbadać przyległości stolicy a potem już rankiem jadąc w kierunku Segowii, zamierzali wywiedzieć się o pozycjach przedniej straży nieprzyjacielskiej i o sile nadciągającego wojska.

Jeszcze nim dzień nastał, banda cyganów spotkała swojego króla przed bramą na ulicy Toledo, który tam na nią czekał, aby ją zaprowadzić do lasu bukowego, ciągnącego się przez kilka mil, aż do równin Sierra Guadarama.

Azzo szedł obok ojca, za nimi szli w nieładzie cygani razem z cygankami. Henryka postępowała obok starej Zyrry, która chociaż chromając kijem się podpierała, jednak

dowodziła wielkiej wytrwałości w pieszej wędrówce; Aja szła wraz z kilku cygankami, niosącemi swoje dzieci, a opakowane muły zamykały orszak. Tak idąc pustą jeszcze drogą wiejską, zbliżali się ku lasowi; przed gęstwiną leżało kilku ludzi oszarpanych i dziko wyglądających, którzy z po za ukrywających ich wyniosłości tylko kiedy niekiedy wystawiali głowy; przechodzący go cygani nie postrzegli ich, ale jeden z ukrytych, wyglądający na przywódcę, dostrzegł cygański orszak i poznał Henrykę; nie wierzył własnym oczom, więc je rozwarł szeroko i spojrzał jeszcze raz; wtedy po jego bladej twarzy z rudą brodą, przebiegł radosny uśmiech. Józef, który był przeszedł do karlistów, pomiędzy przeciągającymi cyganami poznał Henrykę, i jej dziecię, których tyle dni szukał i które mu teraz szczęśliwy traf sam w ręce oddawał, podczas gdy jak szpieg na czatach leżał.

Czoło Józefa zachmurzyło się, bo rozważał, co mu czynić wypada. Policzył przeto zostających pod jego rozkazami karlistów, było ich ośmiu; a liczba zdolnych do boju cyganów, jak to zaraz zmiarkował, wynosiła przeszło dwa razy tyle. Spojrzał na nich i w duszy jego dojrzał zamiar, który go miał doprowadzić do posiadania pożądanej Henryki. A więc Franciszek nie znalazł także wydartej mu i straconej kochanki! myśl ta tak błogo działała na czarną duszę Józefa, że się głośno roześmiał, a karliści ze zdziwieniem spojrzeli na swojego czarno ubranego przywódcę.

— Rozdzielcie się tam na drodze w zaroślach tego wzgórza, rozkazał. Roza niech zaprowadzi konie w gąszcz

lasu, aby nikt w dzień nie natrafił na nasz ślad. Za nadejściem wieczoru znowu do was wrócę: wtedy będziecie mieli robotę, a Don Józef nieźle wam zapłaci.

Obrzydłe postaci na znak gotowości wydały wrzaskliwy okrzyk i powiały kapeluszami.

— Nasz przywódca, Don Józef, to człowiek honoru, niech żyje Don Józef! zawołali, a tymczasem butelka pilniej między nimi krążyła.

— Nie wrzeszczeć, kruki, i nie upić się, bo na noc potrzebna odwaga i rozum! mówił do nich Józef i czekał, aż spełnią jego rozkazy; potem znikł w gęstym, prastarym lesie, w kierunku, w którym udali się cygani, dla palącego gorąca, szukający orzeźwiającego głębokiego cienia. Tylko raz krótki wypoczęli, aby przyjąć ubogi posiłek, t. j. chleb z czystą wodą ze źródła, przy którem obozowali, potem ruszyli w dalszą drogę. Dostali się nad brzeg wąskiej, bystro z góry spadającej rzeki Manzanares, która, jak wiemy, w spokojniejszym już biegu, przepływała także i Madryt. Wędrowali po jej dziko drzewami zarosłem wybrzeżu, już to tuż przy szumiącej, tu i ówdzie z góry spadającej i błotnisto rozlewającej się wodzie, już nieprzejrzaną gęstwiną od niej oddzieloną.

Za nadejściem wieczoru, król cyganów kazał zatrzymać się w jaśniejszem miejscu lasu i przygotować na noc obozowisko, a podczas gdy kobiety rozpalały ogień, dla ugotowania przy nim wieczerzy, niektórzy członkowie bandy udali się w głąb lasu dla przyniesienia zwierzyny. W dali kilka razy głucho strzelili i wrócili do obozu, przynosząc dostateczną ilość dzikiego ptactwa, znanego

sobie z dobrego smaku. Przygotowania nie długo trwały. Cyganie nie są to wcale smakosze, ale zadowalają się byle czem i są w jedzeniu umiarkowani. Stara Zyrra pamiętała, aby białej kobiecie, którą Azzo kocha, przy wieczerzy na niczem nie zbywało, a Henryka dziękowała jej za to pełnem miłości spojrzeniem i uściśnięciem ręki. Gdy każdy, w wyznaczonej na obóz przestrzeni, wybrał sobie miejsce, które uważał dla siebie za najdogodniejsze, i po całodziennej wędrówce przyrządzał według upodobania wygodne legowisko na bujającym mchu pod kotarą z zielonych drzew. Azzo jakby chcąc swoją pieśnią ukołysać do snu Henrykę i jej dziecię, wydobył stosowne tony ze swoich skrzypiec, lecz widząc że wszyscy śpią, usiadł w pobliżu białej kobiety, i aby według przyrzeczenia gotów był do jej obrony, za obciskającym go pasem utkwił puginał ze starą bogato zdobną srebrną rękojeścią, obok zaś siebie na miękkim do snu zapraszającym mchu położył strzelbę. Ukradkiem pozdrowił strudzoną Henrykę, a potem jeszcze raz spojrzał po obozie. Wszystko spało; trzeszczący ogień już prawie gasł, i ostatni niepewny blask rzucał na spoczywających ludzi; nic się więcej nie ruszało, więc i Azzo zamknął oczy, a pałającej jego duszy objawiły się obrazy pełne ułudy. — Henryka spoczywała na jego piersi, z radością ujrzał spełnianie się gorących życzeń jego serca, a śpiąca jego twarz promieniała błogim zachwytem.

Wszystko śpi, tylko jedna istota przechadza się niespokojna między drzewami. To Aja, owa pulchna kobieta z cygańskiej bandy; wykradła się z obozu, w którym snu znaleźć nie mogła, i powodowana dzikiemi

namiętnościami, krąży w głębokim cieniu drzew, przez które tylko kiedy niekiedy i gdzie niegdzie księżyc przyświeca. W około głęboka cisza, tylko w dali, w długich przerwach daje się słyszeć krzyk wodnego ptaka, który na gęsto liściem zarosłych brzegach Manzanaresu gniazdo swoje zbudował, oraz daleki szmer rzeki; na nisko zwisłych gałęziach zaledwie się liść porusza, a jednak Aja stoi i słucha, jednak ucha jej dolatuje jakiś szelest, coś nakształt przeciskania się człowieka lub zwierza przez zarośla; patrzy nieprzerwanie w stronę, z której coś coraz bliżej przychodzi. Aja, kobieta stanowcza, gotowa do czynu, nie zna żadnej bojaźni, żadnej trwogi, i nagle postrzega wyglądającą z po za bliskiego drzewa głowę człowieka — ta blada, czyhająca twarz z rudą brodą swojem straszliwie świecącem okiem spotyka jej spojrzenie i przerażona w tył odskakuje.

Ale Aja stoi nieulękniona i spokojna.

— Czego szukasz, obcy człowieku, po nocy w cygańskim obozie? śmiało, lecz półgłosem spytała.

— Na Najświętszą Pannę żadnemu z was włosa z głowy zdjąć nie chcę! ale czy jest u was jeszcze obca kobieta, z dzieckiem na ręku? przybliżając się i badawczo patrząc na Ajȩ, spytał Don Józef.

— Czy jesteś ojcem dziecka? szyderczo zagadnęła.

— Nie, bękart należy do mojego brata; przekleństwo na nią i na niego!

— Wkrótce do tego przyjdzie, bo owa kobieta kocha cygana Azza! powiedziała Aja, pojmując, że obcy, przejęty nienawiścią, pragnął zbliżyć się do śpiącej Henryki.

— Ha, ha, ha! wszetecznica! półgłosem roześmiał się Don Józef; a jednak musi być moją, ona i jej dziecię! dodał tak cicho, że Aja tego nie dosłyszała.

— Dopóki ja żyję, cygan Azzo tej kobiety posiadać nie będzie! poszepnęła straszliwa głosem tak nienawistnym, że aż to Don Józefa uderzyło. Poznał, że ta nieznajoma, do jednego z nim celu zdążająca kobieta, stanęła przed nim jak jedna z bajecznych postaci, jak owa krwi pragnąca Brunhilda. Twarz jego rozjaśniła się; należało zawrzeć z nią traktat.

— Kto jesteś kobieto? spytał.

— Cygani nazywają mnie Ają; wiedz, że gdybyś nie był przyszedł, wiedziona nienawiścią, byłabym obcą o śmierć własną ręką przyprawiła; ale zdaje się, że ty masz do niej dawniejsze prawa, czyń więc z nią co postanowiłeś, mojej pomocy możesz być pewien!

— Dziękuję, a jeżeli kiedy będziesz potrzebowała pewnej ręki, przypomnij sobie Don Józefa Serranę, który ci chętnie wzajemną usługę wyświadczy!

W tej chwili nieco się rozwidniło i w gęstych krzakach pokazały się ukryte jego czatujące kreatury.

— Przyprowadziłeś z sobą pomoc, Józefie Serrano, to dobre było wyrachowanie, bo Henryka śpi obok matki cyganów, a bardzo blizko spoczywa strzegący jej Azzo, którego ja kocham i którego za wszelką cenę oszczędzać musisz. Dlatego możesz tylko dostać się do Henryki, gdy na śpiących napadniesz, ale oni się obudzą, jeżeli z pośrodka ich tę znienawidzoną porwać zechcesz! — powiedziała Aja, spoglądając ku obozowi, który teraz, po wygaśnięciu

ostatniego żarzącego się węgielka, w ciemnej nocy pogrążony, przy świetle księżyca o sto kroków przed nim się ukazał.

— A więc weźmiemy ją przemocą! — odpowiedział Józef, ze stanowczością wskazującą zdrajczyni, jaka żądza i niecierpliwość napełniała czarnego szlachcica, z którym dopiero co zawarła przymierze.

Wyraz zadowolenia przebiegł po jej twarzy zimnej, jak marmur; zdawało się, że usta jej powiedzieć pragną: „Ciebie jeszcze raz może potrzebować będę, nie lękasz się żadnego czynu, to mi się podoba!“

Odeszła, ujrzawszy zbliżających się ludzi Don Józefa. Przystąpili oni, skradając się z nabitemi strzelbami w pogotowiu i z nożami u boków, żądali od przywódcy pieniędzy i rozkazów.

Józef uczynił zadość ich żądaniu. Zamiarem jego było z dwóch stron napaść na śpiących cyganów i podczas zamieszania porwać upragnioną. W tym celu czterej jego ludzie, zakreślając łuk, udali się w stronę rzeki, a czterej drudzy, których Józef przy sobie zatrzymał, musieli czekać, aż tamci dadzą znak napadu; on sam, pełzając jak kot, zbliżył się ku drzewom, pod któremi, jak mu powiedziała Aja, leżała Henryka, a obok niej dobrze przykryte jej dziecię. Nakoniec dostał się na miejsce, z którego mógł przejrzeć cały obóz, niestrzeżony przez żadnego czuwającego człowieka. Po tamtej stronie leżały kobiety i dziewczęta, w pobliżu wygasłego ognia, wokoło nich, w niejakiem oddaleniu mężczyźni, tu najbliżej niego silny muskularny król cyganów, a tuż przy nim stara matka,

której jedna ręka spoczywała na śpiącem dziecku Henryki. Ta znowu leżała obok dziecka; Józef mógł przypatrzyć się jej pięknej, bez troski, snem opanowanej twarzy; łono jej pod ciemnem przykryciem regularnie się wznosiło, oczy miała mocno zamknięte. Dalej, ów osobno leżący, musiał to być Azzo, o którym mówiła mu niedawno Aja! on się tu położył, aby będąc blisko, tem rychlej mógł stanąć w obronie ukochanej.

— Jeszcze jeden współzawodnik, Don Franciszku, cześć twojemu gustowi! — z szyderczym uśmiechem szepnął Józef, a tak był bliski upragnionej zdobyczy, że za dwoma poskokami mógł się znaleźć tuż przy niej.

— Cierpliwości, to podwyższa powab i smak! — powiedział sobie gorącą żądzą przejęty rozkosznik.

Wtem po drugiej stronie dano hasło, rozległ się doskonale naśladowany niemiły krzyk puszczyka; z obu stron wypadli z krzaków z przygotowaną bronią ludzie czatującego. Rozległ się pierwszy strzał. Z dzikim wrzaskiem, zerwali się na nogi przerażeni cyganie, powstając ze snu głębokiego; w pierwszej chwili biegali wokoło jak szaleni i bili się sami z sobą, podczas gdy kobiety i dzieci przeraźliwie wrzeszcząc, śpieszyły do miejsca, w którem powstał król cyganów i ich do siebie przywoływał. Odwiedziono kurki starej broni i szły coraz gęściejsze strzały — wszystko to było dziełem jednej chwili.

Podczas gdy po drugiej stronie większa część cyganów rzuca się na napastników, z tej strony z czterema ludźmi Józefa miał walczyć sam tylko Azzo, któremu właśnie

ojciec na pomoc pośpieszył. Wypalił ze swojej strzelby do jednego z nieprzyjaciół, który natychmiast padł, potem chwycił lufę swojej broni, broniąc się kolbą jak maczugą, i uderzył na trzech pozostałych nacierających na Azza.

Tej właśnie chwili oczekiwał Józef. Obok starej głośno wyrzekającej Zyrry stała Henryka, ogłuszona nagłym hukiem i wokoło rozwiniętą krwawą walką. Twarz Józefa blada i przerażająca zabłysła tryumfującym uśmiechem, szybkim krokiem pośpieszył on do prawie bezprzytomnej — objął ją ramionami — wtedy Henryka odwróciła się i z przeraźliwym krzykiem ujrzała obok skrępowanych ramion swoich, pożądliwie wpatrującą się w nią twarz Józefa, śmiertelnego jej wroga. Bronić się nie mogła, bo szkaradnik ścisnął ją w ramionach jak w żelaznych kleszczach, chciał ją podnieść i z sobą uprowadzić.

Stara Zyrra ze strachu i przerażenia oniemiała, Henryka miała się .za zgubioną; dobywając zatem całej siły swojego głosu, zawołała: „Azzo na pomoc!“

I Azzo spojrzał także i usłyszał rozlegający się krzyk. Dostrzegł, że chcą mu porwać białą kobietę, i to dodało mu olbrzymiej siły. Podczas gdy ojciec bronił się dwom napastnikom, pchnął on swojego przeciwnika sztyletem, i grożąc zbroczoną stalą, pośpieszył przeciw spostrzegającemu go Józefowi.

Ten z okrutnem przekleństwem wypuścił zdobycz, której już był tak pewien, i podążył na pomoc swoim ludziom znajdującym się w gwałtownych zapasach z cyganami, pragnąc pierwej pokonać obozujących, a potem wspólnie ze swojemi kreaturami wydrzeć pożądaną wściekłemu

Azzowi.

— Odwagi, wy tchórze! — zawołał, — dwadzieścia dublonów w złocie każdemu z was, który żabije czarnego psa! Dalej, naprzód!

Z głośnym krzykiem rzucił się Józef ze świeżo zachęconymi pomocnikami na cyganów, po części wcale nie uzbrojonych, a po części przelękłych.

Zyrra załamując ręce, torowała sobie drogę do ucieczki pomiędzy klnącymi i umierającymi nieprzyjaciółmi i cyganami.

Ale Azzo żylastem ramieniem dźwignął ocaloną, która blada i drżąca z przerażenia i niebezpieczeństwa, jakie jej zagrażało, nie wiedziała wcale, co się dzieje. Widziała tylko, że Azzo odparł straszliwego Józefa, który chciał ją ścigać aż do krańców świata, że stając w jej obronie, wziął ją w ramiona i uciekał, unosząc ją w bezpieczne miejsce.

— Powierz mi twoje życie, biała kobieto! — szepnął jej zgrzany i wzruszony walką. Azzo dla ciebie poświęci wszystko, on ciebie zaniesie do pewnej kryjówki, a potem wróci znowu braciom na pomoc!

Syn królewski z drogim swoim ciężarem skierował się w krzaki i znikł w gęstwinie, dla ukrycia Henryki w pewnem miejscu do czasu ukończenia się walki. Wtem nagle z ust ocalonej wyrwał się krzyk trwogi, który nawet przejął duszę dźwigającego ją Azza.

— Moje dziecię! zostawiłam moje dziecię w obozie! — zawołała biała kobieta i wymknęła się z rąk cygana. — Muszę mieć moje dziecię!

— Zostań tu, ja je przyniosę! — stanowczo rzekł Azzo,

gotów do każdej usługi dla gorąco ukochanej.

— Puść mnie, ustąp, muszę mieć moje dziecię! — w największej rozpaczy zawołała Henryka, i z całą siłą rzuciła się na wstrzymującego ją Azza, aby pędem do obozu pobiedz i przynieść dziecię, jej życie, jej szczęście!

Ach, a może już jest zamordowane, stratowane, porwane.

Ta myśl straszliwa napełniała duszę udręczonej matki, podczas gdy zaledwie wyprzedzała szybko za nią biegnącego Azza; wzrok jej szukał już w dali.

Jeszcze rozlegała się dzika wrzawa, rzężenie konających, przekleństwa walczących. Cyganie cofnęli się, mimo to odważny i silny król, naprzeciw którego stało pięciu nieprzyjaciół, wszystkich powstrzymać pragnął! Jego ludzie padali jeden po drugim, inni zaś w ucieczce szukali ocalenia, a tak, z osłabioną siłą, którą przy coraz gwałtowniejszym nacisku ze strony nieprzyjaciela wkrótce miał postradać, walczył sam przeciw radującym się, pewnym zwycięstwa stronnikom Józefa.

W tej chwili pozbawiona tchu Henryka uchyliła gałęzie dzielące ją od miejsca, na którem złożyła dziecię, wydała radosny okrzyk, bo ładna dziewczynka leżała przed nią nietknięta, z całym zachwytem zatem rzuciła się ku niej, aby ją do swoich piersi przycisnąć, aby ją ocalić, lub z nią razem umrzeć.

Józef widzi uratowaną matkę!

Azzo spostrzega ojca walczącego ze śmiercią, ojca, którego ocalić może, jeżeli mu na pomoc pośpieszy, ojca, którego ocalić musi; nie widzi, że czarny, krwią splamiony śmiertelny nieprzyjaciel Henryki walkę z królem cyganów

pozostawia swoim ludziom, a sam zręcznie i niepostrzeżenie dalej się przeciska. — Azzo śpieszy na pomoc silnie napastowanemu i bez niego zgubionemu ojcu; pragnie świetnej zemsty za braci cyganów, leżących wokoło z powybijanemi oczami, bystrym wzrokiem poznał, że ma przed sobą resztki nieprzyjaciela i przekonany jest, że dla tego ani Henryce, ani jej dziecku żadne już niebezpieczeństwo nie grozi. Rzuca się między napastujących łotrów a strudzonego ojca, i żylastą pięścią rozpoczyna straszliwą walkę wśród leśnej ciemności, która zaledwie cokolwiek rozjaśnia przez korony drzew zaczynająca przeciskać się ranna poświata.

Wtedy po raz drugi, i jeszcze ostrożniej przeciskający się przez krzaki Józef, zbliża się do Henryki, trzymającej dziecię przy piersiach. Jej piękne oblicze, blade z powodu niewypowiedzianej trwogi, jaśnieje radością, bo znalazła nietkniętym swój skarb najdroższy, i właśnie z cicha zanosi dziękczynną modlitwę do Matki Bożej; oczy, w których skupiła się cała jej dusza, pełne łez wzniosła w niebo, a niewinne dziecię, nie domyślając się wokoło rozsianej zgrozy, z uśmiechem wyciąga do niej drobne rączęta.

— Bez przytułku i przeklęta! — mówi z bijącem sercem. O mój Franciszku, kiedyż cię znowu znajdę! kiedyż po dniach trwogi, w której możliwość nie wierzyłam, wybije godzina naszego spotkania!

Wtem nagle spostrzega pojawiającą się w ciemności szatańską postać Józefa, ten pierwej nim się spostrzegła, zręcznym zamachem wydziera jej dziecię z rąk i śpieszy z niem w gęstwinę. Henryka w pierwszej chwili osłupiała z

przerażenia i zgrozy, nie wie, co począć. Co ten okrutnik zamierza z jej dzieckiem uczynić?

Uzbrojona w siłę, jaką daje matce rozpacz w chwilach największego niebezpieczeństwa, śpieszy za Józefem przeciskającym się zręcznie pomiędzy drzewami. Zmęczona i przestraszona zaledwie dysze — już mu na pięty następuje — już prawie chwyta uciekającego — oburącz porywa za płaszcz jego porannym wiatrem rozwiany — ale urywa się zapinka podtrzymująca go pod szyją — nakoniec Józef dziko śmiejąc się, staje i podnosi rękę, w której trzyma dziecię Henryki.

— A widzisz, gołąbeczko, że teraz przylatujesz sama do mojej piersi! — woła zdyszany, i obejmuje na wpół umarłą kobietę, która rzeczywiście, aby mu wydrzeć dziecko, rzuciła się w jego ramiona.

— Bądź-no tylko cierpliwa i posłuszna, miła gołąbeczko; Józef ma was teraz w swojej mocy!

Henryka zdumiewa się. Okrutnik odprowadził ją daleko od placu walki; ona teraz od niego zależna.

— Zlituj się, panie i oddaj mi dziecię! Czyż w tobie okrutniku niema śladu ludzkiego serca? — jęczy, padając przed Józefem na kolana i ręce do niego wyciągając. Połóż koniec moim cierpieniom, zabij mnie i dziecię moje, tylko mnie dłużej nie katuj!

— Jak możesz myśleć, że cię zabiję, piękna Henryko, kiedy ja ciebie kochać i posiadać pragnę? — drżącym głosem mówi Józef, spoglądając na piękną, klęczącą przed nim kobietę. Nie, nie, moja gołąbko, odtąd należysz do mnie, a wkrótce będziesz mnie tak kochać, jak mojego

brata, wróbelka, który nawet nie pyta o ciebie. Dziwisz się? Głupiutka, jak możesz przypuszczać, aby w wirze Madrytu, przerzucany z jednej pięknej piersi na drugą, Don Franciszek jeszcze myślał o tobie, kiedy twoją miłością aż do nadmiaru się nasycił!

— Przestań, niegodziwy, ty kłamiesz! — wstając wyniośle, zawołała Henryka. — Twój brat, to jest bożek, ale ty jesteś wyrzutek z piekła! oddaj mi moje dziecię! — I do najwyższego stopnia oburzona i rozdrażniona matka, rzuca się na szyderczo poglądającego rozpustnika, pragnąc mu wydrzeć jęczące i głośno krzyczące dziecię. Krzyk ten do głębi przejmuje jej serce i nadludzką uzbraja ją siłą!

W pośród porannej pomroki rozpoczyna się nierówna walka. Józef bronić się musi od rozpaczliwych usiłowań Henryki, odebrania mu jej klejnotu; ona z bohaterską wytrwałością idzie z nim w zapasy, ale naostatek siły ją opuszczają; czyni ostatnie wysilenie, aby zwyciężyć zwinnego nieprzyjaciela, wreszcie z jękiem upada.

To wszystko nie wzrusza szatańskiej duszy Józefa; schyla on się szybko, z pełnym nadziei i pożądliwości uśmiechem dobywa wszelkich sił, podnosi z ziemi matkę i dziecię i znika wraz z niemi w okolicy szumiącego Manzanaresu.

Ale w oddaleniu stała nieporuszona, jak widmo falującej mgły i nocy, którego widok przejmuje nas dreszczem, wysoka postać tajemniczą przeszłością owianej Ai. Zimne jak marmur oblicze, raz uwodzące, drugi raz szatańsko połyskujące oczy zwróciła w stronę, w której odbywała się owa straszliwa scena, a spojrzenie jej z lodowatą

spokojnością ścigały każde poruszenie. Jej pełne usta zadrżały zadowoleniem; jej znienawidzona rywalka wpadła w moc owego niegodziwego zbójcy, który pod zasłoną nocy zawarł z nią dzisiaj krwawe przymierze. „Azzo jest mój,“ — szepnęła.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XI.

POMOC W POTRZEBIE.

Gdy trzej przyjaciele z gwardji królowej, wraź z ich służącymi około północy przejechali i obejrzeli okolice Madrytu, nie natrafiwszy na nic uderzającego i nie spotkawszy podejrzanych osób, — zamierzając udać się w kierunku Segowii, zbliżyli się do gęstego bukowego lasu, przez który unikali publicznej drogi, jechali nad brzegiem Manzanaresu i nie mogli zabłądzić. Cyganie tego samego dnia prawym brzegiem rzeki tenże las przeszli.

Serrano, Prim i Olozaga ze służącymi przeszli na lewy brzeg Manzanaresu, który jak widzieliśmy, im dalej jechali, stawał się coraz bystrzejszy i szerszy.

Już była noc głęboka, którą, od czasu do czasu rozświecał księżyc bladym promieniem, gdy mała kawalkada gości jezdnych wstąpiła w gęsty cień lasu, tak, że nakoniec Olozaga zaprojektował przyjaciołom, że, aby koni o drzewa nie porozbijać, lepiej będzie zatrzymać się, rozbić obóz i czekać do rana.

— Dobrze! — zawołał Serrano, ale podczas gdy wy spokojnie spać będziecie, niech mi wolno będzie czuwać i baczyć, aby nam nic nie zginęło i aby nas nic nie spotkało. Domingo wraz ze mną straż odbywać będzie!

— Pod jednym tylko warunkiem przyjmujemy twój

wniosek, Serrano! — mówił Don Juan Prim, ściskając rękę przyjaciela.

— Ciekawym pod jakim?

— Że straż odbywać będziemy kolejno, że ja podczas drugiej nocy będę pełnił służbę, a ty, Olozago podczas trzeciej. Tylko pod takim warunkiem zgadzam się!

— Z pewnością, moi panowie, każdy z nas po kolei pełnić będzie służbę; jest to wniosek równie sprawiedliwy, jak uspokajający, na który zgadzam się w zupełności! Serrano rozpoczyna kolej, a stary dzielny Domingo będzie mu pomagał; a więc przykrywam się moim żołnierskim płaszczem tak spokojny, jakbym sam siebie pilnował, owszem nawet spokojniejszy, bo dowiedzioną jest rzeczą, że Serrano równie jak jego służący są to wzory punktualności i porządku! — wychwalał Olozaga, podczas gdy urządzał wyborne legowisko dla siebie i Prima, kładąc wojłoki na mchu.

Dwaj pozostali służący leżeli prawie tuż przy swoich panach, aby w razie potrzeby byli zaraz pod ręką, a w kilka minut później panowie spali równie twardo, jak ich chrapiący słudzy.

Franciszek usiadł na pniu i myślał o Delmonte i o swojej Henryce, podczas gdy Domingo, trzymając oba osiodłane konie, już od niejakiego czasu nasłuchiwał, bo zdawało mu się, że z dala dolatuje go jakiś zgiełk.

Nagle dał im się wyraźnie słyszeć wystrzał, za którym po krótkiej przerwie nastąpiło szybko kilka innych.

Były to strzały zamieniane przez karlistowskich szpiegów pod Józefem z cyganami.

Serrano podskoczył i słuchał wytężywszy całą uwagę, aby poznać kierunek, z którego pochodziły ciągle ponawiające się strzały, świadczące o jakiejś walce.

— Domingo — zawołał — nie ma co czekać! Hej, wstawajmy panowie! Jesteśmy na krwawym śladzie! Czy słyszycie?

Prim i Olozaga natychmiast powstali ze snu.

— Trochę za krótko odpoczywaliśmy, — rzekł ostatni, — co tam nowego? Ach! strzelają! Spieszmy się! Na koń!

— Kiedy te łajdaki śpią jak susły! — zawołał Prim na służących, którzy dopiero zaczęli przecierać oczy, i sam pośpieszył do drzewa, pod którem stały konie. Przebiegniemy wszystkie kierunki na odległość strzału, aby się przekonać, gdzie wre walka; z powodu gęstwiny i echa niewiadomo na pewno skąd głos idzie, ale jeżeli się zbliżymy, to się spotkamy na właściwem miejscu.

W kilka sekund później wszyscy siedzieli na koniach i pośpieszali w miarę możności w pośród pomroką okrytego lasu, przebiegając w różnych kierunkach okolicę, z której pochodziły strzały, całkiem naprzód pochyleni i z nabitemi pistoletami w ręku.

Serrano i Domingo pozostali w pobliżu szerokiej i szumiącej rzeki. Domingo wkrótce wyprzedził swojego nadsłuchującego pana, i zaledwie mogąc utrzymać zniecierpliwionego konia, pędził pomiędzy nieco teraz rzadszemi drzewami, przez które wkrótce przebiło się pierwsze poranne światło. Strzały ucichły, ale stary Domingo z prawdziwą radością przekonał się, że kierunek, w którym się udał, przybliża go coraz bardziej do placu

boju. Jego pana, Don Franciszka Serrany, nie było widać; być może, iż udał się więcej w głąb lasu.

Tak pędząc, coraz dalej nad brzegiem Manzanaresu, stary Domingo ujrzał nagle w niewielkiem oddaleniu otwarte miejsce lasu, które jako nieco wyżej leżące mogło zapewniać jakiś widok. Wskoczył więc na pagórek, leżący tuż nad korytem bystrej rzeki, i rzucił wzrokiem na drugi jej brzeg.

Z ust jego wyrwał się krzyk. Dostrzegł w krzakach po drugiej stronie jakąś czającą się postać, która go trwogą przejęła: jakiś człowiek z dziką żądzą odbijającą się na pożeranej namiętnością twarzy, rzucał się na bezbronną ofiarę. Człowiekiem tym był Józef: ruda broda i blade lica z szatańsko błyszczącym wzrokiem nie pozostawiały żadnej pod tym względem wątpliwości. Józef nachylił się do jakiejś istoty, która obok niego na mchu leżała; była to kobieta. Domingo widział to wyraźnie przy jasnem świetle porannem, a przy niej dziecię.

Przeraźliwie krzyknął, straszny domysł wstrząsnął nim całym, podskoczył aż na sam stromy brzeg, a oczy słupem mu stanęły. Ofiarą, na którą czyhał Józef, jak dziki do śmiertelnego skoku szykujący się zwierz, była Henryka i jej dziecko.

Okrutnik spojrzał, spostrzegł, że go ktoś śledzi i że mu przeszkadza. Poznał Dominga i z przekleństwem przyłożył strzelbę do twarzy, proch błysł, strzał wypadł. Domingo uczuł kulę w piersi.

Wszystko to było dziełem jednej chwili.

Koń wspiął się i wraz z ranionym cofnął się w głąb lasu;

donośny śmiech rozległ się po tamtym brzegu rzeki.

Wtedy strzałem przywołany Serrano, pośpieszył naprzeciw chwiejącemu się Domingowi. Widział, że czerwona krew płynie z piersi jego starego wiernego sługi, i powstrzymał dziko spinającego się jego konia; tymczasem zbliżyli się Prim i Olozaga.

Bezwładny Domingo zsunął się z siodła.

— Po tamtej stronie, tam — powiedział szybko zaledwie dosłyszalnym głosem — Józef — morduje!

Strumień krwi buchnął mu z ust i przerwał słowa; nadbiegli słudzy, trzymali na ręku umierającego.

Śmiertelną trwogą przejęty Serrano pośpieszył na pagórek; Prim i Olozaga w największem wzburzeniu udali się za nim.

Po tamtej stronie czaił się Józef tuż obok Henryki i jej dziecka.

Okropny widok dla Franciszka, którego bystra rzeka oddzielała od ukochanej, pozostającej w największem niebezpieczeństwie! Z jego oczu posypały się iskry; dał ostrogi swojemu ogierowi lękającemu się szumiącej przepaści, chciał rzucić się w nurty i tym sposobem na drugi brzeg się dostać.

— Co czynisz, przez wszystkich Świętych! — zawołał Prim siłą wstrzymując szaleńca. — Lecisz na śmierć! nurt porwie cię i twojego konia i bez ratunku uniesie!

Wtedy od tak okropnego widoku prawie oszalały Franciszek, schwycił za pistolet, wymierzył go na Józefa pochylonego tuż nad Henryką i jej dzieckiem. Zaślepiony nienawiścią i żądzą zemsty, strzelił do niegodziwca.

Kogo trafił z trojga, jakby jeden węzeł tworzących? Straszliwa myśl! gdyby zamiast owego szatańskiego łotra, który się mianował jego bratem, trafił swoją ukochaną, albo swoje własne ciało i krew! Lodowaty dreszcz wstrząsnął jego ciałem, o mało nie oszalał z rozpaczy.

— Tam dalej jest bród! —.zawołał Olozaga, dając koniowi ostrogi; znam miejsce, którem przez rzekę na tamten brzeg dostać się będziemy mogli, prędko ruszajcie za mną.

Trzej jeźdźcy pośpieszyli co tchu do oddalonego miejsca, które Olozaga wskazywał: był to jedyny punkt, w którym rzeka po obu stronach miała płaskie brzegi i tak była łatwa do przebycia, że szumiąca woda koniom, które po piaszczystym gruncie śmiało stąpać mogły, zaledwie do brzuchów dostawała, kiedy tymczasem w miejscu, w którem przejęty gniewem, obawą i niepokojem Serrano chciał się rzucić, i koń i jeździec byliby odrazu utonęli.

Józef wiedział, jak daleko mieli trzej, którzy mu śmierć przysięgli, do brodu Manzanaresu, ku któremu całym pędem pośpieszyli, a gdy kula Franciszka tuż obok niego w drzewo trafiła, dziko się roześmiał, widząc ubezwładnioną wściekłość swojego brata. Miał dosyć czasu, by wykonać swoje haniebne plany, a potem uciec z dzieckiem, z jękiem wołającem do matki, z dzieckiem, bo milutka niewinna dziewczynka, mająca równie wielkie, piękne oczy jak Henryka, zupełnie inny miała dla niego wrzący powab. Teraz zaledwie miała dwa lata, ale kiedy w dobrych rękach i zdala od matki wychowana zostanie, wtedy — Józefa myśli i wyrachowanie były tak okropne, tak nienaturalne, a

przytem tak jego zmysły podburzające, że aż wszystkie muskuły jego ciała zadrgały.

Już chciał się pochylić ku omdlałej, już przykładał swoje obmierzłe, ze wzruszenia zimne usta do ofiary swojej namiętności, aby ją obudzić.

W tem silna pięść schwyciła kołnierz, otaczający jego szyję i cisnęła precz od tak strasznie zagrożonej. Z okropnem przekleństwem usiłował on powstać z ziemi i wystąpić przeciw nieprzyjacielowi, który mu gardło skrępował, a którego wzroku dojrzeć nie mógł. Zabrakło mu powietrza, jego twarz dawniej tak blada, namiętnościami napiętnowana, teraz zarumieniła się jak purpura; byłże to Franciszek, który go odrzucił? Niepodobieństwo!

Spostrzegł, że nad nim błyszczy goły sztylet, i dobywszy wszelkich sił, zręcznie usunął się z pod pięści nieprzyjaciela; jeszcze jedna minuta takiego położenia, a ziemia byłaby na zawsze uwolniona od takiego potwora.

Ze wściekłym tryumfującym uśmiechem i silnie oddychając odskoczył wtył i ujrzał przed sobą chwytającego za strzelbę Azza, syna króla cyganów, który resztki swojej bandy znowu w lesie zgromadził. Teraz Azzo o wszystkiem innem zapominając, szukał Henryki z ową śmiertelną trwogą, jaką rodzi gorąca, ognista miłość, którą właśnie uczuwał syn króla pustyni. Znalazł ją pod ramionami Józefa, i zanim tenże z często podziwianą zręcznością zdołał sztylet swój obrócić przeciwko piersi nowego nieprzyjaciela, już Azzo schwycił kolbę strzelby, która z gwiżdżącym zamachem spadła mu na głowę.

Józef padł, ale Azzo stał tam jak bożek zemsty ze starych powieści, jego oczy świeciły z pośród dziko na twarz opadających włosów, po twarzy przebiegł wyraz najwyższego gniewu, a z pomiędzy cokolwiek otwartych ust ujrzano białe zgrzytające zęby; rękami chciał zmiażdżyć śmiertelnego wroga białej kobiety.

Przybliżył się do Henryki, którą straszliwa trwoga i wysilenie pozbawiły przytomności. Twarz jego rozjaśniła się, nieprzerwane poszukiwania tej, którą już miał za straconą, teraz uwieńczone zostały jej ocaleniem; zapomniał o leżącym obok niej Józefie, zapomniał o całej nocnej przygodzie, i podniósł ukochaną; przed chwilą jeszcze tak srodze groźny rys jego od słońca ogorzałej twarzy, teraz ustąpił miejsca wyrazowi troskliwości i rozkoszy. Ostrożnie, a jednak szybko, jakby mu kto zawsze jeszcze mógł wydrzeć odnaleziony skarb, wziął bezprzytomną na swoje ręce i uniósł przez gąszcz do odległego obozu, w którym oczekiwała go mimo wszelkich niebezpieczeństw nocnych, tylko o Henryce myśląca Zyrra, i w którym ojciec, oraz ocaleni ludzie i kobiety znowu się zgromadzili.

Azzo oddał białą kobietę starej matce cyganów, aby jej udzieliła pomocy i do przytomności przywróciła, sam zaś słuchał słów ojca.

— Pozostańcie tu wszyscy aż do nocy, — mówił król, któremu z rany w ręku jeszcze krew ciekła, abyśmy o świętej godzinie naszych zmarłych braci w niezgruntowanej toni jeziora Ouadarama zanurzyć mogli. Leży ono stąd zaledwie o milę.

— Biada! — zawołały żony poległych, które zgięte we dwoje i bolejące na boku siedziały.

Tymczasem szpiegująca Aja przyczołgała się do miejsca nad rzeką Manzanares, z którego tylko co Azzo uratował białą kobietę i na którem leżał Józef. Widziała ona z daleka, że pożądany syn króla nieprzyjaciela Henryki zwyciężył, a ją samą do nowego obozu zaniósł; ale dostrzegła także z uśmiechem, który tylko na ustach głowy Meduzy mógł osiąść, że Azzo zapomniał o dziecku białej kobiety, a pierś jej zawrzała nadzieją, że po nie przybędzie.

Gdy znikł z Henryką w krzakach, szybko się obejrzała, potem pobiegła ku brzegowi, na którym leżało dziecko, wyciągające do niej rączęta, jakby się spodziewało, że je do matki zaniesie, i porwała je w ramiona.

W lesie dał się słyszeć daleki szelest, a Józef, który wprawdzie od straszliwego uderzenia kolbą miał głowę krwią zbroczoną i był ogłuszony, zaczął się teraz poruszać.

Ale szybko jak błyskawica zniknęła ze swoim łupem niewidziana i nieścigana przez nikogo w ukrywającej ją gęstwinie, silnie trzymała w ręku dziecię Henryki i szeptała mu do ucha Bóg wie co, byle tylko jej nie zdradziło i nie zniweczyło planów, które przypadkowo tak szczęśliwie się powiodły.

Józef podniósł się, powiódł ręką po czole i otarł czerwoną krew z rany, która go ogłuszyła; powoli wróciła pamięć do jego od straszliwego uderzenia jeszcze mocno rozbolałej głowy, podniósł się i poszedł nad brzeg Manzanaresu, ażeby czoło i ranę świeżą wodą ochłodzić. Wydarto mu Henrykę i jej dziecię, a widział z głośno

objawioną dziką wściekłością, że mu je wydarł ów cygan, którego on na żądanie oszczędził!

— Przekleństwo! — mruknął, — gdybym był nie słuchał tej obcej kobiety, ale wpakował chłopu sztylet w piersi, tobym nakoniec oboje miał w mojej mocy... o błogosławiona myśli: oboje, piękną Henrykę i jej klejnot! Jednak bądź co bądź oni muszą być moi, i choćbym miał świat przeszukać i morze przepłynąć, muszą być moi choćby ich broniły całe wojska i bohaterowie... Słuchaj, — szepnął Józef, odstępując od brzegu i wchodząc w krzaki, — jesteś ścigany, to są trzej z gwardji królewskiej! Jeżeli twój brat dostanie cię w swoje ręce, to w każdym razie zgasnąć może dla ciebie światło dzienne; dla tego nie pozwalaj, aby do tego przyszło, tylko zmykaj stąd jak możesz najprędzej... Może mi się uda, z pozostałymi jeszcze trzema szpiegami, którzy na mnie w wąwozie czekają, tych panów tak daleko odprowadzić, że dostaną się w ręce naszej przedniej straży, wtenczas rzeczy przybiorą wcale inną postać, a Don Franciszek ze swoimi przyjaciółmi będzie w mojej mocy, ha!

Józef wyraźnie usłyszał nadciągających; przysunął się do drzewa, u którego był uwiązany jego arabski ogier, odwiązał cugle i wsiadł na niego.

W tej chwili po pełnej niebezpieczeństwa jeździe Prim, Serrano i Olozaga z jednym sługą, przybyli do miejsca, w którem z tamtego brzegu dostrzegli czołgającego się djabła; a drugiego służącego wraz z umierającym Domingiem odesłali do Madrytu dla udzielenia ranionemu lekarskiej pomocy. Serrano zsiadł z konia i pośpieszył nad brzeg

rzeki, gorączkowo wysilonym wzrokiem szukając Henryki i jej dziecięcia, oraz okrutnika, który obok niej klęczał.

Nakoniec dostał się na właściwe miejsce, widział z niego, przeciwległy pagórek, z którego strzelał, poznał je po zdeptanym mchu i po ponaginanych gałęziach; ale miejsce było próżne, Henryka i jej dziecko zniknęli, zniknął także z niemi Józef, poszukiwania Franciszka były nadaremne, ów okrutnik uniósł je z sobą.

Rozpacz opanowała pogrążonego w myślach Franciszka! przypuszczał on, że Józef już teraz nie znajdzie przeszkody w nasyceniu swojej żądzy. Przejęty zgrozą załamał ręce i twarz w nich ukrył.

— O czemuż lepiej tu nie skoczyłem! jęknął, dla czego wstrzymaliście mnie? Miejsce puste, przybywamy za późno!

Prim i Olozaga, dowiedziawszy się od jednego z włóczęgów cygańskich, że ów Józef i jego kreatury są to szpiegi i stronnicy wojska karlistów, tem bardziej zapragnęli pochwycić go, i w tym celu na wspomniane miejsce przybyli, ale zawiedzeni, klęli po cichu.

— A jednak inaczej postąpić nie wypadało! serjo rzekł Olozaga.

— Patrzcie, czy widzicie tam pędzącego po dolinie jeźdźca? nagle zawołał Serrano; to on, to Józef ze swoim łupem, niknie on w rogu lasu i pędzi ku płaszczyźnie ciągnącej się aż do Sierry. Dalej panowie, na konie, dopędźmy go i odbierzemy mu zdobycz! A chociażby mnie i mojemu Platonowi, który pod mojem okiem i dla mnie wyrósł, którego lubię jako niezrównanego bieguna,

przyszło zginąć, przysięgam wam panowie, że ten zdrajca mi nie ujdzie.

— Weźmiemy udział w twojem polowaniu na tak szczególnego zwierza, zawołali Prim i Olozaga, śpiesząc wraz z Franciszkiem do koni, bo ów uciekający zbójca musi mieć przy sobie szpiegów i przygotowuje jakąś zasadzkę!

Powsiadali na swoich śmiało ziemię kopiących ogierów, i w towarzystwie sług, puścili się ku otwartej dolinie, przez którą uciekał Józef.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XII.

DZIKIE POLOWANIE PO HISZPANJI.

Żaden zapewne kraj na ziemi, w swoich pojedynczych prowincjach, nie ma takiej rozmaitości klimatu, jak ów wielki, dwoma morzami oblany półwysep, który stanowi widownię naszego opowiadania. Jeszcze w przeszłem stuleciu zaledwie do Europy liczony i mało zwiedzany, bo go od Afryki oddzielała tylko gibraltarska cieśnina, a mieszkańcy, którzy obcych w ogóle Ingleses nazywali, zupełnie dla tychże nie byli gościnni, tworzy on teraz część naszego lądu stałego, na którą zwrócone są spojrzenia wszystkich narodów.

Od sąsiedniej Francji oddzielony łańcuchem niebotycznych gór, który z małemi przerwami przerzyna całą Hiszpanię, na oblanych morzem brzegach na naturalne warownie, utworzone ze stromych, pustych skał czarniawej barwy, do których tylko odosobnione rozpadliny dają przystęp i tworzą bezpieczne porty. Rzecz więc bardzo naturalna, że to wielkie państwo, samo w sobie zamknięte, szło własnym swoim torem, a obcą kulturę z trudnością tylko przyjmowało, i zatem na wszelkiego rodzaju nowości z niedowierzaniem poglądało.

W latach, w których się rozpoczyna nasze opowiadanie, w Hiszpanji nie było jeszcze dróg żelaznych, i gdy

nakoniec, z rozkazu królowej Izabelli, położono pierwsze szyny w pobliżu stolicy, fanatyczni wieśniacy niezliczoną liczbę razy niszczyli „szatańską drogę“, wyrywając szyny albo też kładąc drzewa lub kamienie jako zawadę syczącemu potworowi, a wszystko to, jak głoszą, z podburzenia księży i spowiedników, którzy się obawiali, aby w miarę wciskającej się cywilizacji i oświecenia, nie zmniejszyła się ich potęga, która jak niżej zobaczymy, ciągle zgrozę wywołującą krwawą mocą rozległy, piękny kraj osłaniała.

Podczas gdy w północnej części Hiszpanji, na jej śniegiem okrytych górach i niezmiernych płaskowzgórzach panuje po większej części temperatura, podobna jak w południowych Niemczech, gdzie nierzadkie są chłodne noce i zimowe burze, na południu świeci wieczne słońce, wiecznie niebieskie niebo i stosownie ciepłe powietrze, pod którem kwitną i rosną cytryny, pomarańcze i palmy. Figi i daktyle dojrzewają w zieleni drzew, gęste krzaki aloesu zamykają bujne ogrody, w których kwitną granaty, i przez które przebiega wschodnią zasłoną okryta pałająca Hiszpanka, z podanej sobie czary, w cieniu pachnących drzew migdałowych popijająca ulubioną czekoladę, albo podczas ciężkiego zwrotnikowego żaru dziennego mieszająca sobie do wody dodające jej świeżości i smaku apucarillas.

Kordowa, Sewilla, Granada — z temi południowemi miastami łączy się obraz wschodniej bujności i przepychu. Sewillanie mówią:

Quien no ha visto la Sewilla,
No ha visto Marawilla!

(kto nie widział Sewilli, żadnego cudu nie widział!)
Granadyjczycy opowiadają:

Quien no ha visto la Granada
No ha visto nada!

(kto nie widział Granady, ten nic nie widział!).

Obie one są przecudne! Zbudowane przez Arabów, których meczety jeszcze dzisiaj napotkać można, zupełnie mają postać miast wschodnich; długie ulice, w nich każdy dom zamknięty bogato wyrabianą bronzową kratą, przez którą dostrzega się różnokolorowym marmurem wyłożony przysionek; z niego wychodzi się na podwórze otoczone marmurowemi kolumnami, którego ściany i podłoga wyłożone są świetnemi marmurowemi taflami i marmurową mozaiką. Kwiaty i rośliny zdobią namiotowem płótnem przykryte podwórze, które orzeźwiają szemrzące fontanny.

Okna domów południowej Hiszpanji są prawie wszystkie jeszcze od owych niegdyś czasów arabskiego władztwa, opatrzone kratami, a wewnętrzne urządzenie mieszkań odznacza się najświetniejszemi barwami. Przydajmy do tego otaczające miasta ogrody z potomkami owych palm, które niegdyś miał zasadzić przybyły do Kordowy ostatni Kalif Omajadów, wygnany przez Beduinów z afrykańskiej pustyni i w Hiszpanji z całem pokoleniem osiadły; teraz kołyszą się one majestatycznie w niezliczonem mnóstwie

ponad wszystkiemi miastami południa.

Atoli dzisiejsi Hiszpanie zawdzięczają Arabom jeszcze coś więcej niżeli ozdobne budowle. Liczne, zręcznie wyrachowane i porozdzielane wodociągi znajdujemy nietylko w owych miastach, ale także na polach i rolach, wydających wszędzie najobfitszą roślinność w miejscach, które inaczej spalone odłogiem by leżały. A tak podróżujemy w pośród bujnych zielonych przestrzeni, na których spotykamy wieśniaków z licznemi stadami owiec po większej części czarnych, a rzadziej stada krów i kóz. Natomiast w polu czynnych jest mnóstwo mułów i osłów, których także używa się do przewożenia przez góry wszelkiego rodzaju ciężarów i zaprzęga do dwukołowych wozów.

Liczne szczyty gór południowych często przewiewa chłodne powietrze; dla tego też nie cieszą się one bujną roił ślinnością, która zdobi doliny i równiny pod ich stopami leżące, i które powyżej Sierry Moreny i Madrytu są coraz rzadsze.

Nad brzegami Manzanaresu aż do stepu Sierra Guadarama, ciągnie się wielki las bukowy, nie zaś palmowy gaik; trzej oficerowie z gwardji królowej, przejeżdżają teraz ostatnią jego część, goniąc za uciekającym Józefem.

Dostali się na dolinę, na której niedawno na chwilę widzieli okrutnika, jak skręcił na rogu lasu do rozległego, strasznie pustego i otwartego stepu, który się ciągnie aż do stóp gór piętrzących się czarnemi masami i rozlega bujnemi obszarami trawy. Nakoniec i oni dostali się do tego rogu, i dawszy koniom ostrogi, popędzili ku wyżej położonej,

pustej równinie. Wkrótce Prim jedzie o kilka łokci naprzód, tu znowu ma pierwszeństwo, a Olozaga więcej oszczędza swego ślicznego andaluza i o kilka koni w tyle pozostaje.

Franciszek nadaremnie wodzi okiem po pustej płaszczyźnie, tylko wysoką, spaloną trawą zarosłej: Józef dostał się już do wąwozu w górach pierwej nim ścigający go na step wjechali; ale w tej części gór Guadarama jest tylko jedno przejście, a do niego śpieszą z całej siły trzej jezdni, mocno na szyjach koni pochyleni, jakby szło o wyścig na śmierć lub życie! Wkrótce ukazują się przed nimi, nagie góry z niezliczonemi wodospadami głęboko pooranych stoków, i ód słońca wypalone świecą siwo i żółto naprzeciw jadących. W dali na ich szczytach sterczy tu i owdzie stare zamczysko, a z wąskich nieprzystępnych rozpadlin samotnie wygląda zielona palma lub drobny krzaczek karłowatej sosny.

Nakoniec przybyli do wąwozu de las Pas, jedynego miejsca dzielącego na dwoje rozległą górę; obok nich strome szczyty wznoszą się po obu stronach aż pod niebo, a także i sterczące przed nimi masy, które okrążać muszą, tamują widok. Pod ich nogami otwiera się przepaść, nie patrzą w nią; śpieszą, aby czem prędzej dostać się na równinę Segowii. W miejscu, w którem góry wtył się cofają, a zaczynają się znowu zielone pola i łąki, Serrano nagle wstrzymuje swojego konia. Dotąd jechał on za śladem kopyt konia Józefa, a widzi teraz wiele takich wycisków na ziemi, które w niejakiem oddaleniu rozchodzą się w rozmaitych kierunkach.

— Stać, panowie! tu się spotkali szpiegowie odbyli

naradę, i jak sądzę, podzielili się potem na rozmaite oddziały! zawołał do przyjaciół, podczas gdy Prim zsiadł z konia, dla dokładniejszego rozpoznania świeżych śladów. Wkrótce wprawnym wzrokiem poznał zamęt wycisków.

— Oprócz Józefa było tu trzech jeźdźców, mówił stanowczo: po krótkiej naradzie jeden pozostał na głównej drodze, która prowadzi przed nami do Segowii, dwóch innych udało się potem na prawo, a ostatni pojechał ścieżką tam do lasu wiodącą! My także podobnie podzielić się musimy, każdy niech swojej drogi pilnuje; potem ponieważ przypuszczać można, że szpiegi rozdzielili się jedynie dla wprowadzenia nas w błąd, a następnie znowu się połączą, niech każdy poluje, na co może! Oto patrol! Ty Franciszku, udaj się główną drogą, Olozaga niech jedzie ścieżką, a ja ruszę za śladem w pole wiodącym — kto z was może potrzebować mojego służącego? Milczycie, więc go biorę ze sobą, ją kto wie, na co on się przyda!

— Bądźcie zdrowi, moi panowie! — zawołał Serrano i pośpieszył drogą do Segowii; — mam nadzieję, że sprowadzę Józefa!

— Pomyślnych łowów! odpowiedział Olozaga, grzecznie ręką żegnając przyjaciela, a potem puszczając konia, na którym wkrótce zniknął jak wiatr.

— Chodź, Pepi, zawołał Prim na służącego, musimy na tych szelmów napaść, i dlatego naszych biegunów silnie użyć należy, bo oni nas dobrze wyprzedzili! Huzia! Pepi, to mi rzecz! przecież nie pierwszy raz ścigamy takich uciekających karlistów i nie pierwszy raz ich schwytamy.

Pepi uśmiechnął się zadowolony, na znak, że rozumie

pana, bo na odpowiedź nie miał wiele czasu, a także i ochoty. Konie ich ruszyły w pole, że aż miło było ścigać okiem tę gonitwę biegunów. Za nimi ziemia wysoko w górę wyskakiwała!

— Dobrze się podzieliliśmy, nagle zawołał Prim: dwóch łotrów pognało tu przed nami przez pola, i jeżeli mnie oko nie myli, to widzę ich tam daleko na horyzoncie na pagórku odpoczywających; żywo, Pepi, niech ogiery wiedzą, że dzisiaj polowanie z poszczuciem!

Prim i jego służący wkrótce ujrzeli po lewej stronie stare miasto Segowię z jej średniowiecznemi, gotyckiemi świątyniami, pałacami i obwarowaniami, co przedstawiało niby rozwijającą się przed nimi panoramę; rzadko postrzegali większe wioski z niskiemi, glinianemi chatkami, jeszcze rzadziej wieśniaka w ciemnej kurcie i w spodniach przy kolanach różnokolorowemi wstążkami związanych, a idąc za śladem widocznym na miękkiej ziemi, bezprzestannie naprzód pędzili.

Noc nadchodziła, a koń Pepiego zaczynał utykać! Jeźdźcy nie zważali na to, ale pędzili naprzód, naprzód!

Nakoniec Prim krzyknął uradowany: ujrzał tuż przed sobą obie postaci szpiegów, którzy zapewne dla wypoczynku pozsiadali z koni!

— Daj twojemu koniowi ostrogi, półgłosem zawołał na służącego, zaraz ich dopędzimy!

Już musiało być około północy, księżyc płynął jasno po wypogodzonem niebie, i jak widno przyświecał obu pędzącym po równinie jeźdźcom, tak obu przyświecał nie w wielkiej od nich odległości to pochylającym się, to znowu

powstającym karlistom, których, konie pasły się w pobliżu.

Zdawało się, że nie widzą, albo nie uważają na ścigających ich, bo dali znak życia dopiero, kiedy zniecierpliwiony Prim pierwszy raz do nich strzelił, postrzegłszy, że śpiesznie biegną do koni, na co odpowiedzieli głośnym, daleko rozlegającym się szyderczym śmiechem. Prim zadrżał wściekłością, i nie zważając na Pepiego, pognał za uciekającymi.

Ale nagle koń jego stanął! Prim ujrzał przed sobą czarne nurty rzeki Duero.

— Te szelmy most zburzyli, przez wszystkich ich świętych, wściekłość naszą połknąć musimy zawołał, a przytem i koń Pepiego upadł! Otóż to się nazywa pomoc w razie potrzeby! Oho! otóż nam także pada jeden łotr, leży, zdaje się, że mu koń zgniótł nogę, towarzysz zostawia go własnemu losowi, a sam ucieka dalej!

Rzeka Duero, przed którą stał Prim, kiedy się z nim sługa połączył, nie jest w tem miejscu szeroka, ale zawsze za szeroka, aby ją można było przebyć na koniach utrudzonych przebiegiem czternasto-milowej przestrzeni, bo szpiegi pozrywali deski mostowe, tak, że już tylko pojedyńcze belki z wody sterczały. Rozpaczliwe położenie! Trzeba koniecznie myśleć o przeprawieniu się, bo objeżdżając w koło przez miasto Aranda, straci się pięć godzin czasu. Dręczony niecierpliwością Prim namyślał się, potem spojrzał wzdłuż brzegu i krzyknął uradowany; wcale nie opodal, dostrzegł ciemne zarysy, oświetlonego księżycem budynku, w którym wieśniacy odlegle położone pola mający, podczas uprawy roli umieszczają konie i

rolnicze sprzęty; tam spodziewał się znaleźć pomoc.

— Zabierz twą szkapę, Pepi, rozkazał, i choć za mną do tej chatki.

Biegun Prima jeszcze także zaledwie milę mógłby przebiedz, bo zaledwie stanął, zdawało się, że mu wszystkie członki posztywniały.

— Przepadł mój wyborny ogier, pomyślał zasmucony Prim; ale jeżeli wieśniak dobrze się z nim obchodzić będzie, może z niego być jeszcze doskonały koń roboczy!

Obaj nocni jeźdźcy, Prim i Pepi, z trudem wlokący za sobą okulawiałego konia, zbliżyli się do budynku i zapukali, nikt się ani ruszył.

— Przekleństwo! nie mamy czasu do stracenia, klął Prim i za jednem uderzeniem wywalił drzwi. Wewnątrz nie było żywej duszy, ale za to, co lepsza i ważniejsza, znalazły się konie i woły, deski i żerdzie.

— Żywo do roboty, Pepi! najpierw na miejsce naszych ochwaconych ogierów, których tu na słomę wprowadzimy, wyszukajmy sobie najlepszych z tych koni, potem zabierzmy deski i przygotujemy sobie przeprawę przez Duero! Żywo, bo Don Serrano od dawna nas drogą wyprzedził, a hultaj karlista, który nam znowu jakiegoś figla wypłatać może, jest o małą milę drogi przed nami!

Prim i Pepi zamienili swoje zmordowane konie na dwa smukłe, mocno zbudowane i żylaste bieguny, zabrali kilka szerokich mocnych desek i pośpieszyli na miejsce, w którem widać było pale z wody wystające.

— Że też na takiem polowaniu wszystkiem być potrzeba! mruczał Prim dopasowując deski i tworząc most:

nawet cieślą i budowniczym! Ostrożnie, Pepi, jak będziesz prowadził twojego nowego konia idąc za mną, aby się co złego nie stało!

Przejście przygotowano prędzej aniżeli się Prim spodziewał, a chociaż ani było mocne ani wolne od niebezpieczeństwa, wszedł jednak na nie pewną i silną nogą wiodąc za sobą za cugle swojego konia. Zuchwały, młody zwierz z razu nie chciał wstąpić na deski, ale gdy Prim pociągną? go za sobą, bacząc pilnie na jego stąpania, po trudach i obawie dostał się przecież na przeciwny brzeg.

— Ostrożnie, Pepi, nie myśl, że jesteś w domu w stajni; nie tak prędko, Pepi, upomina! Prim, chociaż mu z pewnością najwięcej na tem zależało, aby czemprędzej dalej ruszyć. Czekaj, ja ci konia przeprowadzę!

— Już idzie, panie poruczniku! odpowiedział Pepi i silnie pociągnął uparte zwierzę na wąską kładkę z desek, której się bało. Ale zaledwie oddalił się na kilka stóp od brzegu i usłyszano odgłos jego kopyt na wysoko położonych deskach, koń silnie rzucił się naprzód, aby dostać się na drugi brzeg, na którym stał Prim, chwilowo żadnej pomocy udzielić nie mogący.

— Puszczaj konia! zawołał na służącego — ale już było za późno, koń chybił brzegu i porwał za sobą Pepiego, który go silnie trzymał za cugle; rozległ się przeraźliwy krzyk, potem przerażony Prim ujrzał, jak koń nadaremnie walczy z nurtami rzeki, rozpacznie bił kopytami nieszczęśliwego Pepiego, wreszcie po ciężkiej walce, zatonęli obaj, i biedny sługa i koń.

— To noc nieszczęścia! pomyślał Prim, i na brzegu

odmówił krótką modlitwę. Biada wam, wy szelmy, poznacie wy pięść Prima i jego strzelbę! Ranionego psa już dościgł los zasłużony, a jego towarzysza ja pochwycę!

Wysmukły, silny oficer wsiadł na nowego konia i ruszył po równinie oświetlonej poranną pomroką; teraz miał tylko na myśli ściganie owego szpiega karlistowskiego, który obecnie jeszcze winien był śmierci jego sługi. Może będzie tyle szczęśliwym, że w tym przez niego ściganym szpiegu znajdzie owego Józefa, który miał mieć na koniu Henrykę, za którą Serrano byłby oddał życie.

— W każdym razie, mówił sobie Prim, i on też pewno w drodze zmienił swojego bieguna, bo niepodobieństwo aby jeden i ten sam koń dalej do tej pory mógł dźwigać podwójny ciężar. Znajdowali się teraz przeszło o dwadzieścia mil od Madrytu; w dali zabłysły wkrótce kościoły i złote wieże miasta Burgos, a za niem Sierra de Osa ze śniegiem okrytemi wierzchołkami.

Teraz Prim uczuł nieco głodu i pragnienia, gdy bowiem słońce już znowu jasno świeciło, dwadzieścia cztery godzin już on i jego towarzysze byli w drodze.

Ślad, za którym bez przerwy ciągle postępował, trzymał się lewej strony ogrodów miasta Burgos, a potem ciągnął się stepem Osa. Przy jednym z ostatnich domów przedmieścia, Prim nieco się zatrzymał, kazał sobie podać butelkę wina, mięsa i owoców, dobrze zapłacił i popędził dalej, a zdziwieni gospodarze patrzali na niego kiwając głowami. Posiłek tak go orzeźwił, że teraz mógł odbywać dalej swoje łowy, jakby je dopiero zaczynał; dostrzegł wszakże powoli, że ustaje koń jego, który nie miał już

takiej siły i ognia, jak pierwszy z utrudzenia zajeżdżony.

Poczem zdało mu się, że pomiędzy zaroślami z boku stepu leży jakaś wioska, a ów jeździec na świeżym, dzielnym koniu, który porzuciwszy upadłego towarzysza, teraz z niej, wyjeżdżał, był właśnie ten sam, za którym gonił. Nie miał on Henryki na koniu, a zatem nie był to Józef, lecz jeden z jego szpiegów. Prim więc tak silnie spiął ostrogami swojego bieguna, że mu aż krew z boku trysnęła, a ugodzone zwierzę wściekle ze swoim jeźdźcem po równinie pędziło. Chodziło koniecznie o dognanie szpiega, który niezbyt daleko był na przodzie, a nie zdawał się być tak śmiałym i wprawnym jeźdźcem jak Prim.

Były to straszliwe, dzikie łowy!

Karlista postrzegł, że Prim ścigający go z rozpaczliwem wytężeniem wszelkich sił swojego konia, już jest blisko; nie ukrywał on przed sobą, że naraża swoje życie jeżeli go dogoni zemstą pałający oficer Marji Krystyny.

Koń Prima dyszał, lecz on sam widział z radością, że się coraz bardziej przybliża do szpiega; obaj byli teraz na rozległym, bezludnym stepie, ciągnącym się aż do płaskowzgórza. Śmiertelna cisza panowała w koło po nad spaloną od słońca trawą; tylko w dali nad wąwozami gór krakał sęp, a kopyta kroczącego konia huczały po zeschłych badylach.

Ucieszony Prim przekonał się, że już tylko na strzał oddalony jest od zbiega, ale wstrząsany jazdą nie był pewny trafnego strzału, i chociaż, jak później okażemy, rękę miał nadzwyczaj wprawną, łatwo jednak mógł trafić konia zamiast jeźdźca, a szło mu koniecznie o szczędzenie

zwierzęcia.

Szpieg wytężył wszystkie siły, aby uciec przed prześladowcą, a Prim czuł, że jego koń coraz bardziej ustaje.

— Nic nie pomoże, poszepnął, musisz rachować na twoją rękę i na twoje szczęście!

Wyrwał z olstrów złotem wykładany pistolet i obejmując szyję swojego konia, dla tem pewniejszej pozycji, obie lufy powoli i ostrożnie wykierował na uciekającego.

Wypadł pierwszy strzał i tysiączne straszne echa powtórzyły go obijając się o ściany gór.

Karlista, dalej umykając, z szyderstwem wywinął kapeluszem w powietrzu.

— Do wszystkich djabłów! zawołał Prim, ten łotr gotów zniesławić moją rękę! i z całą potęgą wzroku i spokojem, zmierzył jeszcze raz posyłając za nim drugą kulę.

Znowu huknął strzał, straszliwie rozlegający się, a gdy rozwiały się kłęby dymu, Prim ujrzał, że trafiony szpieg chwieje się, i powstając na strzemionach, do obrony przygotowuje.

— Raz może chybić i najlepszy strzelec, byle się to tylko nie powtarzało! mruknął zbliżając się aż do nieprzyjaciela z najspokojniejszą miną. Wtem świszcząc przeleciała koło niego kula, którą karlista pierwej nim poczuł, że go siły opuszczają, zgrzytając zębami posłał za swym prześladowcą, jako ostatni środek ratunku. Ale teraz już koń jego zaczął iść wolniej, a on sam nie miał siły popędzić go, a wyczerpany utratą krwi płynącej z rany w karku, spadł bezprzytomny z siodła, koń zaś tylko kilka kroków go za

sobą pociągnął, wreszcie stanął.

Prim zbliżył się do umarłego, którego parą buchający koń z miejsca się nie ruszał. Sam zsiadł z siodła. Wyjął ze strzemienia nogę umierającego, i po raz drugi zaczął przemieniać konia. W kilka minut później zdjął siodło i munsztuk z drżącego i prawie na śmierć zamordowanego swojego bieguna, i oboje włożył na nowego, śmiało rżącego rumaka karlisty.

Prim nie spojrzał nawet na umierającego, bo chociaż w swojem wojennem życiu przywykł był widzieć umarłych i konających, ale ten widok zawsze czynił na nim nieprzyjemne wrażenie. Już chciał wsiadać, gdy przyszło mu na myśl, że może jeszcze dowie się od karlisty, dokąd udał się Józef, i wtedy podąży w jego kierunku; ale gdy się pochylił ku umierającemu, dla wydobycia z niego tej wiadomości, ten już tylko chrypiał; ale w otwartym jego kaftanie dostrzegł wnet jakieś pismo, które natychmiast pochwycił, w nadziei, że się czegoś dowie. Długo przerzucał karty tylko gdzie niegdzie zapisanej książeczki, aż nakoniec znalazł miejsce, w którem niewyraźnie było napisano:

„Przednia straż stoi pod Cervera, miejsce zebrania w wąwozie Sierra de Sejas, przystęp od strony wsi Sejas.“

Tej to zapewne wiadomości pragnął on z gorączkowym pośpiechem. Przednia straż pod Cerverą! To zgadzało się z wieściami, krążącemi w Madrycie w głównej kwaterze o wojsku karlistów. Miejsce zebrania w wąwozie Sierra de Sejas, tam więc zjadą się szpiegi i Józef ze swoim łupem! Przystęp od strony wioski Sejas. To miejsce było dwa razy

podkreślone, oznaczało szczególniej ważną okoliczność! O ile sobie Prim przypomniał, wieś ta leżała głęboko w górach, a nie słyszał nigdy, aby stamtąd można było dostać się do wąwozu, do którego podobnie jak i do wąwozu de las Picas, musiał być przystęp od strony stepu; cóż więc te słowa znaczą? Prim wpadł nagle na jakąś niepewną myśl i powiedział sobie, że ta zwyczajna droga do wąwozu grozi zapewne jakiemś niebezpieczeństwem, którego się jego przyjaciele wcale nie domyślają; oni są na drodze do zguby, on zaś sam, chociaż także dobrze nie wie co to za rodzaj niebezpieczeństwa, może za późno przybędzie z przestrogą.

— Przystęp od strony wsi Sejas, mruczał sobie ciągle; nie ociągaj się, ruszaj dalej, abyś jak można najprędzej dostał się do wąwozu i mógł ich ostrzedz!

Prim wskoczył na nowego, niecierpliwie ziemię kopiącego konia, i pośpieszył, aby jeszcze przed nocą dostać się do odległej Sierry de Sejas, już tylko o pięć mil od morza leżącej; wtedy przebędzie przestrzeń czterdziesto-milową.

Widzieliśmy, że gdy się trzej oficerowie królewskiej gwardji rozłączali, Olozaga po obowiązującem pożegnaniu, na swoim wysmukłym andaluzie zawsze elegancko poskoczył na ścieżkę, prowadzącą w lewo od drogi głównej do lesistej części prowincji. Troskliwy o swoje zdrowie, kazał służącemu dobrze napełnioną i chociaż ozdobnie szlifowaną, jednak dobrego rozmiaru flaszkę połową ze wzmacniającem winem, tudzież dobrze opakowaną pieczeń z dzika włożyć w niebardzo widoczną kieszeń wygodnego siodła, podczas gdy na przodzie jego znajdowały się dwa

dobrze nabite wyborne pistolety, które także mieli i jego przyjaciele. Tak uzbrojony wjechał na samotną ścieżkę, która wkrótce przemieniła się na przyćmioną drogę, czyniąc to z takiem bezpieczeństwem i spokojem, jakby jechał po ulicach Madrytu, z tą tylko różnicą, że dzisiaj w całym biegu pędził za śladem, w tych nisko położonych, a często błotnistych okolicach, wyraźnie wyciśniętym, podczas kiedy gdzieindziej lubił tylko lekki galop swojego pięknie zbudowanego konia.

Tu i owdzie zostawiał na boku wielką wieś i dążył wilgotną drogą, zaczynającą się z brzegiem lasu. Gdy noc nadeszła a księżyc rzucił niepewne światło pośród czarnych drzew, chwytał często do ręki odwiedziony pistolet, ale przekonywał się, że to niepotrzebna ostrożność, bo nie napotykał na drodze żadnej przeszkody. Nie była to jednak mała podróż, bo chociaż Olozaga umiał się mierzyć z każdym nieprzyjacielem i był odważny, jednak zdawało mu się, że z poza każdego drzewa czarnego lasu patrzą na niegoo czerwone ślepia ostrowidza, a w krzakach coś szeleści, porusza się. Od zasadzki nie ustrzeże się najodważniejszy i najnielękliwszy człowiek, a czatujący w ciemności nieprzyjaciel ma zawsze przewagę.

Olozaga korzystał z otwartych księżycem oświeconych miejsc błotnistej drogi, aby się przekonać, czy jedzie za właściwym śladem, po którym gdy mu zegar trzecią godzinę ranną wskazał, już był ze dwadzieścia mil przebył. Jednakże mimo całej szybkości do jakiej był zdolny jego doświadczony koń, dotąd na tej drodze nie mógł nigdzie dojrzeć ani uciekającego Józefa, ani ściganego szpiega.

Gdy dalej jechał, owiało go chłodne i wilgotne ranne powietrze, i z obawą poczuł nakoniec, że ogier jego morduje się, ustaje; ukłuł go ostrogą, ale także użycie siły nie mogło wywierać długiego wpływu na zwierzęciu, które jak wiedział, aż do ostatka sił trzymało się bez takiego środka, aż nakoniec nagle padło. Cóż miał począć na tej samotnej, pełnej szkodliwych wyziewów drodze, skoro teraz nadeszła chwila, której się właśnie lękał? Koń jeszcze się porwał szeroko rozwarłszy nozdrza i ze straszną niechęcią wciągając w siebie mgliste powietrze, bo nowy nacisk ostróg wywarł na nim jeszcze krótkie działanie. W tem nagle Olozaga wpił wzrok w przedstawiający mu się obraz, który go napełnił zarazem nadzieją i zgrozą; wstrzymał więc ciężko oddychającego konia, by dokładniej rozpoznać, co zaledwie o sto kroków przed nim tak wyraźnie stoi, że aż miał zamiar zawołać.

Na wolniejszem miejscu parą i mgłą napełnionej drogi, która wiodła w pole głęboko położonej okolicy, ujrzał przed sobą jeziorko, w którego wodzie połyskującej niebieskawą barwą, wspinały się dwa wspaniale zbudowane wielkie konie, podczas gdy na brzegu skurczony i zgięty we dwoje człowiek całych sił dobywał aby je powstrzymać.

Serce Olozagi głośno zabiło; jeden z tych koni mógłby go ze wszelkiego kłopotu wybawić!

— Hej! zawołał głośno: cóż to? nie możecie dać rady tym ogierom? ja wam pomogę, ale musicie mi jednego z nich odstąpić za dobre złoto! — Hej, słuchajcie, wy co tam skurczeni siedzicie!

Nie było żadnej odpowiedzi, wesoło poglądające konie

stały cicho. Olozaga czuł, że zimny dreszcz przebiega mu po ciele, że myśli się mieszają, nagle przejęła go śmiertelna trwoga, nie wiedział gdzie się znajduje!

— Głupcze! zawołał głośno: cóż to? boisz się jednego nędznego poskramiacza dzikich koni? — i przemocą skierował swojego opierającego się bieguna ku miejscu, w którem siedział tenże poskramiacz. Teraz stanął tak blisko błota, że przednie nogi jego konia w niem utkwiły; musiał mieć pewność! Ale zdawało się, że wspinające się pięknie zbudowane konie z rozpuszczonemi grzywami w tej chwili oddalają się od niego. Przechylił się o ile tylko mógł przez szyję swego drżącego ogiera i spostrzegł, że ów skurczony człowiek, tudzież jego konie powleczone były ołowianą barwą, wyglądały jak mumie straszliwe, jak duchy w swej fantastycznej postaci.

Olozaga nie wiedział dokąd kierował swego bieguna, czuł tylko, że po jego czole spływa lodowaty pot i że mimowolnie ramionami coraz mocniej ściska szyję zwierzęcia, które z trudnością krok za krokiem cofało się na drogę i wreszcie na nią się wydostało. Pierwsze poranne promienie przebiły przez drzewa i z lasu powiał wiatr, który orzeźwiał prawie już omdlewającego. Zdjął on kapelusz z głowy i nasycał się powietrzem, potem pochwycił manierkę ze wzmacniającem winem, aby się pokrzepić. Co mu myśli pomieszało i prawie przytomności pozbawiło? Co się stało jego koniowi, który drżał na wszystkich członkach i nagle przykląkł?

Bez zwłoki Olozaga zeskoczył z siodła, chwycił mimowoli albo może z jakiego popędu za pistolet i

pośpieszył o ile go bezsilne nogi unieść zdołały, dalej w drogę: koń zaś za nim padł wydając ostatnie tchnienie. Jakby przez furję ścigany i ciężkiemi marzeniami gnany biegł Olozaga dalej po ścieżce dążąc w pole, ale wtem nie wiedząc o tem upadł...

Gdy się ocknął, ujrzał się w ręku jakiegoś wieśniaka, który mu czoło chłodził, i gorące usta orzeźwiającym napojem nasycał.

— Przez wszystkich świętych! zawołał powstając, co to się zemną stało?

— Pan za nadto zbliżyłeś się do zatrutych bagnisk Aranda. Szlachcicu z wojska królowej, jeszcze kilka chwil dłużej tam na dole w lesie, a byłbyś bez ratunku zgubiony! Podziękuj Najświętszej Pannie, że ci udzieliła siły przyjść aż tu, teraz jesteś ocalony!

— A konie? a ten straszny poskramiacz?

— To i pana także omamił ten straszny zwodniczy obraz, którego ofiarą padło już tak wielu ludzi? mówił wieśniak i przeżegnał się. Te zatrute pary i mgły błota przyjmują takie kształty, ażeby nie domyślających się niczego przywabić i zgubić.

Olozaga powiódł ręką po czole; przypomniał sobie teraz, że poluje na nieprzyjaciela i że tak wiele czasu stracił.

— Powiedz-no mi jeszcze jedną rzecz dobry człowieku, a podziękuję wam za waszą pomoc z całego serca, a nawet was wynagrodzę! czy nie widzieliście dzisiaj rano przebiegającego tu jakiegoś jeźdźca?

— Owszem panie, o piątej rano już byłem w polu i widziałem gwałtownie pędzącego człowieka.

— Czy miał on kobietę na koniu?

— Nie, zdawało mi się tylko mimo ciemnego płaszcza, który mu wisiał na ramionach, że do karlistów należy.

— Przekleństwo, to był on; że też w tem zatrutemi bagnie uległem i dałem się omamić temu zwodniczemu obrazowi, a byłem już tak blisko owego szpiega, teraz zaś. za daleko on mnie wyprzedził.

— On tam u właściciela sąsiedniego pola nabył świeżego konia i ruszył stamtąd dalej!

— To dostawcież i dla mnie nowego konia, najlepszego bieguna jakiego będziecie mogli znaleźć, złotem wam za niego zapłacę, to macie tu mój worek, tylko mi konia dostarczcie.

— Uczyniłbym to i bez pieniędzy, bo jesteście oficerem królowej, mówił wieśniak; ale kiedy chcecie mieć wybornego bieguna i dognać owego karlistę, który was w zatrute błoto wpakował, to wam sprowadzę konia ze wsi, na którym wkrótce powinniście dopędzić tego łotra! ja także jestem stronnikiem Marji Krystyny i uważam sobie to za szczęście, że jednego z jej oficerów ocalić mogłem!

Podczas gdy Olozaga pociągał z manierki leżącej obok niego w trawie, która mu już w drodze wyborne wyświadczyła usługi, uczciwy człowiek pośpieszył przez rolę, aby sprowadzić przyrzeczonego bieguna. Wkrótce zjawił się z muskularnym, wysmukło zbudowanym arabczykiem który się niezmiernie podobał oficerowi królowej.

— Dziękuję wam za wszystko, coście dla mnie uczynili, dobry przyjacielu, mówił Olozaga ściskając dłoń wieśniaka

i dając mu zarazem kilka złotych dublonów.

— Zapłatę za konie już otrzymałem, ale więcej ani reala nie wezmę. Niech was strzeże Najświętsza Panna! Możecie teraz śmiało iść dalej, niebezpieczeństwo już przeminęło!

Oficer królowej skoczył na siodło i przyjaźnie kłaniając się popędził o ile tylko mógł wytrzymać nowy biegun po wąskiej ścieżce, która w licznych łukach i zakrętach wiła się pomiędzy polem a lasem. Musiał zyskać kilka godzin, aby z całą energią mógł ścigać niegodziwca, który go w błoto wpakował i tem pewniej go zabić. Ale zakręty i pagórki na drodze zasłaniały mu widok, tak, że chociaż Olozaga przez cały dzień bez przestanku odbywał dzikie wyczerpujące łowy, nigdzie jednak szpiega dostrzedz nie mógł. Wyrachował, że musiał nadłożyć przeszło 30 mil i myślał o Primiei o Serranie, którzy oddaleni od niego z równą gorliwością i złością polują na nieprzyjaciół.

Ku wieczorowi ujrzał przed sobą jedną z wielkich zaludnionych wsi w dużych odległościach po żyznej okolicy rozrzuconych. Otoczone ogrodami, niskie z gliny ulepione i łubkiem kryte chaty wieśniacze, miły przedstawiały widok.

Olozaga czuł, że musi się tu wzmocnić jakimś napojem, ażeby dalsze mógł odbywać łowy. Zajechał więc do biednej karczmy we wsi, kazał sobie dać butelkę wina, ale innego jadła nie mógł dostać prócz ulubionego hiszpańskiego puchero, owej mieszaniny mięsa wołowego, słoniny, kalafiorów, pieprzu i cebuli, której to potrawy właśnie nie lubił, ale w tym wypadku po 36 godzinnym prawie poście z ogromną zajadłością pożerał. Wino było lepsze aniżeli się

spodziewał, tak, że wzmocniony na nowo, po krótkiej przerwie dalsze łowy mógł odbywać.

Gdy z wiejskiej ulicy wypadł na drogę drzewami wysadzaną o tysiąc kroków przed sobą ujrzał karlistę, który spokojnie wieczerzał we wsi, spodziewając się, że jego prześladowca w zatrutych mgłach zginął.

Radośnie wzruszony Olozaga natarł silnie, bo teraz miał nadzieję skutecznego połowu! Popuścił wodze swojemu koniowi, i tak gwałtownie uderzył na nieprzyjaciela, że się do niego coraz bardziej zbliżał i prawie rękami go chwytał.

Wtem karlista, jakby tknięty domysłem, odwrócił się, i mimo półcienia zalegającego las i pole, poznał w blizkim jeźdźcu swojego prześladowcę. Dał więc swojemu koniowi ostrogę i zgięty, jakby do bieguna swojego przylepiony, popędził drogą, która coraz bardziej oddalając się od lasu, wiła się po niskich, bujnem zbożem zasianych polach. Nagle rzucił się karlista w poprzek przez pole, ku widniejącym w oddaleniu wzgórzom, które Olozaga poznał jako Sierra de Sejas. Koń jego kopytami gniótł łodygi, ale trudno było zwracać uwagę na to przy takich łowach na śmierć lub życie! Olozaga śpieszył za nim. I tak pędzili obaj jeźdźcy w pośród księżycem oświetlonej nocy ze straszliwą szybkością, jak dwa duchów zjawiska, którym z dala przypatrujący się wieśniak, robił znak krzyża świętego.

Od mocno sinego nieba coraz czarniej odstawały pasma wzgórz i spadzistości — a szpieg i jego prześladowca, dosięgając pustego stepu, coraz się bardziej ku nim zbliżali.

Już musiało być po północy, gdy Olozaga postrzegł, że koń karlisty z miejsca ruszyć się nie chce, a ten gwałtem

zmusza go, aby znowu biegł dalej. Zbliżyli się do miejsca, w którem ciemna góra mocno naprzód wystaje wraz z wielu przepaściami i spadzistościami, a za nią wznosi się wioska Sejas.

I Olozaga także, klnąc w duchu, zauważył, że i jego koń traci siły; mimo to jednak przyznać musiał, iż jest bardzo wytrzymały, bo przebył z nim tak prawie jak niegdyś na swoim wypróbowanym andaluzie, przestrzeń ośmnasto-milową! Gdy spojrzał znowu, karlista znikł mu z oczu. Olozaga rozmyślał nad tem gdzie się mógł podziać jeździec tak nagle? Ciemne cienie skał sięgających aż pod obłoki, tak zasłaniały pustą równinę, że musiał wytężyć wszystkie siły swojego wzroku, aby cośkolwiek dojrzeć. Nakoniec na stroskanej już twarzy jego zabłysła radość, dostrzegł że szpieg, którego koń padł, szybko i zręcznie biegnie ku wystającym skałom, aby zapewne ukryć się za niemi. Stamtąd chciał on w każdym razie dostać się do wąwozu Sierra de Sejas, który widać było z dala na przedziale łańcucha wzgórz przez księżyc oświetlonym.

— Teraz już wpadłeś w pułapkę, łotrze! szepnął zadowolony Olozaga, bo albo ukażesz mi waszą kryjówkę, a tymczasem przybędzie także Józef, a za nim Serrano i Prim, albo też otrzymasz nagrodę za twój szatański zamiar zatrucia mnie w błotach, który ci się prawie udał.

W tej chwili przebiegał około leżącego bez życia konia zbiega, i ujrzał tuż przed sobą wąską po za skałami ukrytą ścieżkę, którą mu udać się wypadło. Był wielki czas po temu! Koń jego do reszty postradał siły! Olozaga wygodnie zarzucił strzelbę na ramiona, wziął pistolety do ręki i

zeskoczył ze zmordowanego bieguna, zostawiając go własnemu losowi. Bacznie śledząc wzrokiem, postępował za szpiegiem, ostrożnie stąpał po wąskiej, kiedy niekiedy tylko promieniem księżyca rozwidnionej ścieżce, która wkrótce ciągnęła się tuż pod siwą ścianą skały, a po drugiej stronie gdzieś w głębię spadała. Olozaga nie taił przed sobą, że zginie w tem niebezpiecznem miejscu, jeżeli karlista pomoc znajdzie! Z zimną krwią trzymając pistolet w pogotowiu, szedł dalej. Wtem ujrzał przed sobą uciekającego, który zręczny jak kot, szukał drogi do kryjówki.

— Jeden z nas zgubiony, szepnął Olozaga, on, albo ja! A wołałbym aby wybór padł na niego! Stój, szelmo! zawołał głośno, że aż się jego wołanie po górach rozległo; stój, albo poszlę za tobą tyle kul, że pomimo twojej zwinności jedna cię koniecznie trafi!

Szpieg, który jak się zdawało wcisnął się był w rozpadlinę skały, odpowiedział wyraźnie, bo strzelił ze swojej broni do grożącego mu prześladowcy, kula dźwięcząc odbiła się od przeciwległej spadzistości, a tymczasem Olozaga niezwłocznie zbliżył się do niebezpiecznego wroga; ten widział śmierć przed oczami, ale nie pierwszy raz patrzał na nią z ową żelazną spokojnością, jakiej udziela najwyższe niebezpieczeństwo! Karliście wypadało nabić broń i trzeba było korzystać z chwili. Olozaga postrzegł, że broń nieprzyjaciela wyjrzała z zasłaniającej go rozpadliny skalnej, że zginie sam, jeżeli nie zabije albo nie uniezdolni do dalszej walki zrozpaczonego; jeszcze więc bliżej przystąpił, wycelował i dał ognia —

tysiączne echa strzał ten powtórzyły. Usłyszał okropną klątwę, trafił szpiega w ramię i stał już tylko o kilka kroków od niego.

— Poddaj się, albo zginiesz! zawołał; muszę wiedzieć, gdzie jest Don Józef z porwaną dziewczyną i gdzie wasza schadzka nastąpić miała!

Karlista, na którego bladej twarzy malowała się cała wściekłość i chęć zemsty, stał ciągle w wązkiem rozdwojeniu skały, oczy jego groźnie błyskały, a zapomniawszy w uniesieniu, że już tylko jedną ręką władać może, rzucił się na Olozagę, posługiwał się tylko prawą ręką, lewa zwisła z wielkiego bólu, ale Olozaga ujrzał, że w prawej zabłysł biały nóż.

— Oho, szelmo! zawołał oficer królowej unikając pchnięcia, ruszaj do piekła; bo już dla niego dojrzałeś!

I to mówiąc napadł na niego Olozaga, zręcznie pochwycił za rękę z błyszczącym nożem i zgrzytającego zębami.

Taczający się, obalony szpieg, zdołał jeszcze uchwycić za płaszcz Olozagi, i chciał zwycięzcę za sobą w przepaść pociągnąć; włosa tylko szerokości brakowało, a przyjaciel Serrany byłby wraz z nieprzyjacielem wpadł w otchłań. Zerwał zatem płaszcz z siebie, a szpieg po lekkim krzyku znikł mu z oczu. Olozaga czuł, że drżał cały; dopiero teraz przekonał się, jak wielkiego niebezpieczeństwa szczęśliwie uniknął.

— Jutro może na mnie przyjdzie kolej, poważnie rzekł do siebie; trzeba więc zawsze być w pogotowiu.

Potem mimowolnie ugiął kolana i na tem miejscu

podziękował Niebu za ocalenie.

Gdy wstał, przyszło mu na myśl, że obaj jego przyjaciele może mniej pomyślne mieli łowy! Gdzie ich znaleźć? Miejscem schadzki ściganych szpiegów niewątpliwie była bami bezwładnego nieprzyjaciela zepchnął w przepaść. Oto masz za truciznę i za strzał; taki los wszystkich was spotkać musi wy niegodziwcy!

Sierra de Sejas, ale okolica ta była tak rozległa, iż Olozaga niewielką miał nadzieję spotkania tam swoich przyjaciół. W pobliżu wąwozu najbezpieczniej było czekać na nich; dla tego nasz samotnik szybko poszedł udeptaną ścieżką, aby się dostać na wzgórze i mieć swobodniejszy widok.

Wkrótce stanął na szczycie i spojrzał w kierunkach, któremi udali się Prim i Serrano. Tu na górze wiał tak silny nocny wiatr, że Olozaga dobrze okrył się płaszczeni i niecierpliwym rzucał wzrokiem po równinie. Po drugiej stronie leżał wąwóz, a tuż za masą skał wieś Sejas, do której można się było dostać jedynie okrążając naprzeciw leżące stoki, podczas gdy z wysokości, na której stał Olozaga, zdawało mu się, że do wąwozu łatwo dostać się można.

Blade światło księżyca błądziło po śmiertelnie spokojnych, sino-żółtych skałach, i po rozległej, suchej równinie.

Wtem nagle zdało się samotnikowi, że jakiś daleki czarny punkt coraz się bardziej ku niemu przybliża. Serce mu biło pełne oczekiwania, trawiła go niepewność, kto może być ten przybywający. Wkrótce po lekkim cieniu

przesuwającym się po stepie, poznać zdołał, że to był jeździec. Spojrzał więc w dół z wytężoną uwagą, i z piersi jego wyrwał się okrzyk radosny, poznał nadjeżdżającego.

— Serrano! poszepnęły jego usta. Szuka śladu, namyśla się; dzięki Ci Najświętsza Panno! zdaje się, że zna drogę do wąwozu, zbliża się tutaj po ścieżce! I jakiegoż to szłapaka na śmierć zajeździł! Zeskakuje z siodła — Serrano! Franciszku! zawołał uradowany Olozaga, i śpiesznie zbiegł ze wzgórza, idąc po niebezpiecznej ścieżce naprzeciw ukochanemu przyjacielowi, w tym samym punkcie spotkanemu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XIII.

PIERWSZA WYPRAWA WOJENNA SERRANY.

— Chwała świętej Benignie, że się z całemi członkami po tych szatańskich łowach spotykamy! zawołał Olozaga trochę z radosnym, a trochę z sarkastycznym uśmiechem, który często lubił gościć na jego delikatnem obliczu. Ale jakże ty wyglądasz? jakież ty zjawisko przedstawiasz? Twój płaszcz i twój kaftan są czarne, prawie zwęglone, a twojej twarzy od kurzu rozpoznać trudno!

— Przybywam z piekła! nieco ochrypłym głosem rzekł Serrano, ściskając podaną sobie dłoń przyjaciela; a jednak ten Józef, który od dnia dzisiejszego nie ma już prawa do mojego współczucia, który przestaje być moim bratem, umknął mi wraz z Henryką! Musiał tu przed godziną przybyć do Sierry de Sejas, jego ślad sięgał aż pod stopy skał.

Olozaga opowiedział mu swoją przygodę ze szpiegiem.

— Starajmy się zatem dostać do wąwozu; ja muszę tego zbójcę schwytać, chociażbym go miał ścigać po tamtej stronie Sierry, aż do morza! Cztery razy w imieniu królowej zamieniwszy konie u wieśniaków, już mu na pięty następowałem, gdy nagle wyprzedził mnie na lepszym biegunie, odebranym zamordowanemu żołnierzowi, i korzystając z czasu podpalił na wpół zapadłą komorę, przez

którą idzie droga do Burgos. Z obu stron drogi, jak wiesz, ciągną się niezgruntowane błota; musiałem więc przejeżdżać po zgliszczach, bo inaczej byłbym musiał ośm mil drogi nadłożyć.

— Te szelmy musieli chyba uciec z szatańskiej szkoły! pomruknął Olozaga. Toś ty jechał przez ogień? — Szłapak, którego miałem pod sobą, bał się wysoko wznoszących się płomieni, a i mnie samemu przez chwilę zabrakło odwagi, kiedy spojrzałem na ten cały ogrom tryskającego ognia; ale potem tak nalegająco ubodłem konia ostrogami, że przebiegł w rozpaczy zaledwie dojrzane, pełne pary i płomieni przejście, a ja pochylony zamknąwszy oczy i usta, poleciłem Najświętszej Pannie biedną moją duszę! Przez chwilę czułem wkoło siebie ogień i dym, tylko co się nie udusiłem i bałem się abym się nie spalił, znowu więc ukłułem konia i zostałem ocalony! Odzież moja osmaliła się, dusząc się gasiłem na sobie tlejące iskry. Koń spalił sobie ogon i grzywę, a moje włosy i broda także w części były opalone! Ale po za mną dopiero zawaliły się belki podpalonego domu i utworzyły chaos płomieni, które byłyby mnie pochłonęły, gdybym chwilę dłużej w pośród nich był pozostał. Niezwłocznie udałem się za moim śladem do tego stoku, na którym z radością ciebie znalazłem. Ale śpieszmy się, na Prima czekać nie możemy.

Obaj szlachcice z gwardji królowej, szybko dążyli po wąskiej ścieżce słabo księżycem oświetlonej, pragnąc dostać się do wąwozu Sierra de Sejas, przez który zapewne Józef wraz ze swoim łupem i pomocnikami, starał się dostać do bezpiecznego schronienia.

Nagle idący przodem Olozaga stanął, ścieżkę przerywał przedział, którego górna część wprawdzie była mała, ale niższa zmieniała się w szeroką, straszliwą otchłań; wystające skały zaledwie na dwie stopy były od siebie oddalone, tak, iż nie trudno było przeskoczyć z jednej na drugą. Olozaga, bez długich namysłów, uczynił to, Serrano naśladował go; obaj krzyknęli, bo z pod stóp Franciszka usunął się kawał wystającej skały — ale ten nadzwyczaj przytomny uchwycił za krzak wyrosły po stronie na której stał Olozaga; oderwany kawał skały z hukiem piorunu spadł w głębinę, a Serrano silnie trzymając się rękami wystających kamieni i korzeni, zawisł nad przepaścią!

Była to chwlia tak okropnie niebezpieczna, że Olozaga zbladł, potem położył się na płask na pewnym już pod nim gruncie, tym sposobem używszy wszelkich sił, pomógł wiszącemu nad przepaścią, wydobyć się na wierzch.

Teraz dopiero obaj spojrzeli za siebie na szeroką, rozciągającą się za nimi rozpadlinę w skale.

— Spieszmy się, upominał Olozaga, abyśmy co prędzej dostali się do wąwozu może już nie tyle niebezpiecznego — ale słuchaj! — czy to nie ludzki głos nas dochodzi?

Serrano słuchał, i w istocie obiło się o ich uszy jeszcze raz jakieś niepewne wołanie, niby wychodzące z głębi ścieżki, którą dopiero przeskoczyli.

Jeżeli to głos Józefa, jeżeli on teraz zbliża się do niebezpiecznej, przepaścią groźnej drogi i prowadzi za sobą Henrykę!

Pierś Serrany uderzyła wzruszeniem; Olozaga spojrzał przez szparę w skale na część ścieżki, myśląc ktoby szedł

za nimi i czyj to głos rozlega się tak złowrogo.

— Serrano, wyraźniej teraz wołano, Olozago — odpowiedzcie, jeżeli jeszcze jesteście na tej fałszywej drodze do wąwozu.

— Na wszystkich świętych, to nie może być kto inny, jak tylko Prim! on na nas woła — jesteśmy na fałszywej drodze!

Obaj samotnicy głośno po imieniu zawołali na Prima, który w kilka minut później ukazał się na oddzielonem od nich miejscu ścieżki, na pół umarły i pełen obawy.

— Szukacie własnej zguby, te łotry wprowadzili was na drogę do wąwozu, która jest nieprzebytą, widzę, że przed wami i za wami same przepaści!

Serrano i Olozaga przerażeni spojrzeli po sobie! gdyby Prim był godzinę pierw przybył, po dwakroć byliby uniknęli niebezpieczeństwa.

— Koniecznie musicie wrócić się; do wąwozu, przez który Józef już zdążył do przedniej straży karlistów, wchodzi się teraz tylko od strony wsi Sejas. Przez wszystkich świętych! jesteśmy zgubieni. Jeżeli czemprędzej wraz ze mną nie wydobędziecie się z tego strasznego więzienia, to Józef przywoła tuż przy wąwozie leżących karlistów i obsadzi nimi jedyne wasze wyjście, a w takim razie będziemy musieli albo zginąć w przepaściach, albo pod bagnetami tych łotrów, a jest ich pięćdziesięciu, obóz ich widziałem z góry!

— Nic patrzeć w dół i nie namyślać się, młody przyjacielu, tu nie ma wyboru! — spokojnie mówił Olozaga, co w chwilach najwyższego niebezpieczeństwa

zawsze dobroczynny i skuteczny wywierało wpływ na Franciszku.

— Namyślajcie się prędzej, bo noc nadchodzi! zawołał Prim.

— Niechże i tak będzie! poszepnął Serrano i cofnął się kilka kroków w tył dla lepszego zapędu; w chwilę potem podbiegł, rzucił się w powietrze i znalazł się — w objęciach Prima!

— Wybornie, o Olozagę nie turbuję się tyle, on lżejszy i zwinniejszy jak ty. Oho, patrz, jak on skakać umie! Chwała wam Jezu i Marjo! — A teraz obróćcie się i spojrzyjcie na szeroki otwór! Mnie jeszcze ze strachu włosy powstają na głowie! Chodźcie za mną zaraz, a pokażę wam widowisko, które inaczej wygląda jak te przeklęte przepaści!

Prim nie miał nawet czasu uściskać swoich ocalonych przyjaciół, co w każdym innym razie uczyniłby jak najchętniej, a oni nie mieli czasu na podziękowanie mu; bo teraz widzieli jasno, że gdyby byli pozostali na ścieżce, z której nie było żadnego wyjścia, to wpadliby niezawodnie w ręce sprowadzonych przez Józefa karlistów!Prim nie czuł wcale strasznego utrudzenia, z powodu szybkości z jaką biegł na ratunek przyjaciół, a tylko naglił ich teraz do pośpiechu.

Każdy z trzech oficerów czuł się teraz spokojnym i bezpiecznym, bo miał przy sobie towarzyszy, a ta spokojność i pewność nowych im sił dodały.

Wkrótce zostawili ścieżkę za sobą i niosąc na ramionach nabite strzelby, śpieszyli do stóp stoku. Żaden nie rzekł ani słowa, Serrano i Olozaga pełni oczekiwania szli za Primem

wiodącym ich do wsi Sejas, którego oczy świeciły odwagą — bo to była dla niego noc rozkoszna!

Pozostawili na boku liczne niskie chatki szeroko po wzgórzu rozrzucone, i udali się szeroką, równą drogą prowadzącą ku górom.

— Wprzód nim się skierujemy ku wąwozowi, z cicha rzekł Prim, chciałbym abyście spojrzeli na równinę po tamtej stronie, i zarazem dośledzili, czy Józef nie sprowadził pomocy przeciwko nam; ale ostrożnie, panowie, aby nas nie postrzeżono.

Trzej wojacy milcząc weszli na pagórek, wznoszący się nad wąwozem Sierra de Sejas i nad drugostronną równiną; a gdy Prim głową sięgnął wyżej szczytu, skinął na przyjaciół, aby dalej nie szli.

Serrano i Olozaga spojrzeli, tylko co nie krzyknęli z zadziwienia, ale Prim, o wszystkiem pamiętający, kładąc palce na ustach, nakazał im milczenie.

Tuż przed nimi, między stopniami góry a szeroko rozciągającemi się pionowemi zaroślami, stało rozbitych sześć namiotów, między któremi zaczynał się ruch. Wkrótce patrzący mogli rozpoznać dokładnie ludzi będących na dole; Serrano utrzymywał nawet, że poznał Józefa, który niezmiernie zajęty biegał od jednego obozu do drugiego — wtem zatrąbiono pobudkę. Karliści w niebieskich, po kolana sięgających bluzach, w pasach je ściskających, u których wisiały krótkie sztylety, ustawiali się w kolumnę. Ta przednia straż składała się z pikiety około 50 ludzi, jak naliczył Prim, miała kilku oficerów, których łatwo można było poznać po piórach przy czapkach

powiewających.

Na tle dziennej pomroki i Józef odbijał się wyraźniej, zwłaszcza, że nie był ubrany po wojskowemu, ale z ramion jego spadał czarny półpłaszczyk. Żarliwie rozmawiał z oficerami, którzy tak jak on byli konno, a tymczasem żołnierze przygotowali się do marszu, poczem poprowadził oddział.

— Chytre szelmy, wyruszają, aby nas pochwycić! szepnął Prim; przynajmniej boją się nas, kiedy całą pikietę przeciwko nam trzem królewskim wyprowadzają! Baczność, panowie! jak tylko kolumna zbliży się tu do wąwozu, wszystkim oficerom wystrzelamy konie, a wtedy będziemy pewni, że nie przyjdą z pomocą!

— Masz więc zamiar stoczyć z nimi otwartą walkę? spytał Olozaga, mimowolnie poglądając po Primie, Serranie i po sobie, jakby chciał powiedzieć: nas jest trzech przeciw pięćdziesięciu; czy myślisz, że ci dobrowolnie wydadzą owego Józefa i porwaną Henrykę? albo może przypuszczasz, że po tych łowach nic nie wskórawszy potrafimy powrócić do domu?

— Don Salustyuszu Olozago, kapitanie gwardji królowej, czy znowu domysły?

— Ja myślę tylko, że śmiałe czyny nie zawsze się udają, półgłosem odparł Olozaga, i że ów Józef, skoro nas ją, półgłosem odparł Olozaga, i że ów Józef, skoro nas w swoją moc dostanie, to jutro albo jeszcze i dzisiaj, tak jak jesteśmy, rozstrzelać nas każę!

— Odwrót jest równie niebezpieczny jak otwarta walka! Mamy wyborną pozycję i w każdym razie lepiej nam tutaj

jak tam w tej pułapce na skałach. Baczność, cel! zakomenderował Prim, ognia!

Z trzech strzelb wypadł jakby jeden strzał, a na dole pokazało się, że trzej oficerowie królewskiej gwardji, byli to dzielni strzelcy; koń Józefa oraz konie obu innych oficerów wspięły się i padły, każdy zwierz tak według przepisów doskonale trafiony był kulą w głowę, jakby kto w tarczę strzelał!

Między karlistami dał się słyszeć wściekły krzyk i zamieszanie, bo w pierwszej chwili nie poznali skąd pochodzi tak nagły napad; ale wkrótce Józef, którego bladą twarz i straszną rudą brodę dzień rozjaśnił, wskazał na pagórek, na którym stali trzej przyjaciele, kładąc przed sobą pistolety i nabijając strzelby.

Odpowiedziano im kilku strzałami, ale kule obiły się o wierzchołki gór, albo gwiżdżąc przeleciały po nad ich głowami.

— Panowie! nigdy w życiu wyborniejszej pozycji nie miałem! z zadowoleniem rzekł Prim, i zmierzył, strzelił, a natychmiast padł jeden nieprzyjaciel; Serrano i Olozaga również dali ognia do kolumny, a tymczasem oficerowie naradzali się z Józefem.

Z godną podziwienia spokojnością i zajęciem, Prim nabił znowu, strzelił, jeszcze nabił, a wszystko to robił w takt jakby podług zegarka! Wprawdzie kule karlistów groźnie w koło niego odbijały się, ale to mu wcale nie przeszkadzało. Pewny siebie, jakby go wszelkie pociski nieprzyjacielskie dosięgnąć nie mogły, stał i patrzał na przeciwników ze spokojem i zadowoleniem, tak, aby pomimo rozdzielenia

się karlistów, żaden jego strzał nie był nadaremny.

W tem spostrzegł Serrano, że jeden oficer z oddziałem śpieszy podwójnym krokiem przez wąwóz, aby zakrytym strzelcom królowej zabrać tył od strony wsi; że drugi oddział pod dowództwem Józefa staje pod zasłoną stromej skały, aby do ukazujących się głów mógł strzelać z dołu; nakoniec że trzeci oddział prowadzony przez drugiego oficera, zbliża się również do wąwozu, zapewne dla przypuszczenia ataku z jakiegoś miejsca tylko karlistom znanego.

Prim wprawnem okiem dostrzegł to wszystko, widział, że położenie ich jest teraz niebezpieczniejsze. Jedenastu ludzi leżało trafionych u stóp góry, a więc oprócz przywódców, każdy oddział składał się tylko z trzynastu ludzi.

Olozaga, kierujący się zawsze rozsądkiem i wyrachowaniem, który przed atakiem, jeżeli nie wprost ostrzegał, to przynajmniej wskazał na niestosunkową przewagę nieprzyjaciela, któremu, jak twierdził, oni trzej uledz muszą, choćby jak lwy walczyli, teraz zachował jak najzimniejszą krew, szło bowiem o śmierć lub zwycięstwo! Dotknął on z lekka ramienia Serrany i wskazał na wiodącą ku nim drogę, po której przedtem sami przyszli, a na której teraz co chwila mógł się ukazać oddział nieprzyjacielski.

Prim położył swoją strzelbę na spadzistości, a widząc że nieprzyjaciel mierzy do niezasłonionej części jego ciała, strzelił, na co, w nadziei trafienia go, odpowiedziało mu z dołu osiem strzałów; ale jak sam często śmiejąc się opowiadał, Prim miał się za nietkniętego, i tak dalece ufał

temu przekonaniu, że jak szaleniec narażał się na nieprzyjacielskie kule, dziwna rzecz, dziurawiły mu one kapelusz, gwizdały tuż obok niego, ale żadna go nie trafiła, może dla tego właśnie, że tak był siebie pewny i nieustraszony.

W tem z nagła po za nim hukły strzały, które Olozaga i Serrano wymierzyli przeciw ukazującemu się oddziałowi. Serrano był za nadto wzburzony i gwałtowny, dla tego żadna jego kula nie trafiła nieprzyjaciela. Olozaga spokojny i zimny ujrzał u stóp góry padającego karlistę, a inni dążąc po szerokiej, drodze uderzali na nich.

— Tylko spokojnie, zupełnie spokojnie, Serrano 1 mówił Olozaga do swojego gwałtownego przyjaciela; to pierwsza próba ogniowa! Przypuśćmy ich bliżej, a potem każdy z nas niech weźmie swojego człowieka na cel — kula, to bagatelka!

Karliści dali pierwsze strzały do trzech przyjaciół, a Prim spostrzegł, że teraz zmienia się pozycja, odwrócił się i wymierzył strzelbę przeciw atakującym.

Serrano klął, że nabijanie tak wiele czasu mu zabiera, i żartując dodał:

— Do następnej naszej walki musimy sobie wynaleźć broń, któraby się sama nabijała, tak, żebyśmy tylko strzelać potrzebowali!

— Tak to cię iubię! zawołał Prim; zawsze z zimną krwią, to najważniejsza rzecz w takiem położeniu, jak to, w którem obecnie mamy przyjemność znajdować się. Ha, ta byłaby prawie utkwiła! patrzno Olozaga, przeszyła płaszcz tuż pod samem ramieniem! Czekaj szelmo, za dobrze

celujesz, Prim ci tego nie daruje! Przyłożył się i, jak powiedział, ów pewny strzelec z nieprzyjacielskiego oddziału natychmiast upadł, chwytając się ręką za pierś.

Mimo to w oddziale pozostało jeszcze sześciu ludzi, byli więc dwakroć silniejsi i śmiało szli naprzód.

— Przekleństwo! — te łajdaki to wcale nieźli żołnierze, szepnął Prim; drugi oddział nadciągający właśnie ze wsi, przyjdzie im w pomoc! Do pioruna! Olozago, to się nazywa drogo sprzedać życie!

Z obu stron padały strzały.

Trzej przyjaciele stali w wielkich od siebie przedziałach, podczas gdy karliści formowali linję, głośno radując się z nadchodzących posiłków; Prim teraz strzelał tak szybko, że z trudu pot mu spływał po czole. Serrano usiłował mu wyrównać, i jego więc strzały dosięgły kilku z nacierających, tak, że Olozaga zaledwie za nim mógł zdążyć i podziwiał go. Kule zaczęły coraz gęściej gwizdać, bo nowy oddział właśnie niemi przywitał walczących.

Jeszcze Prim nie dał za wygraną, bo miał przy sobie takich wojowników! Dym napełnił powietrze i wzajemnie obu stronom przeszkadzał w celowaniu.

W tej chwili zachwiał się Serrano.

— Co to jest? w największem przerażeniu zawołał Olozaga, jesteś raniony!

— To nic, tylko zawsze z zimną krwią! śmiejąc się odpowiedział Serrano, chociaż czuł w piersi dolegliwy ból; nie ma teraz czasu oglądać co to!

Jak zapamiętały strzelił między nacierających; w tem nagle na ich stronie, tam gdzie spadzistość nie tak stromo

rozciągała się ku wsi, dał się słyszeć okropny ryk i wrzawa.

— Naprzód! trzej znużeni stronnicy królowej muszą się dostać w nasze ręce.

Był to głos Józefa, który z oddziałem swoim zaszedł im z przodu.

Prim zgrzytnął zębami, byli zgubieni, ale wszystkich trzech ożywiała jedna i ta sama myśl: chcieli pokazać przynajmniej nacierającemu zewsząd nieprzyjacielowi, jak szlachta z gwardji królewskiej na śmierć iść umie! Za nimi otwierała się przepaść, przed nimi sterczały karabinowe lufy!

Józef dostał się na wierzch góry; otoczony żołnierzami, stał tam przez chwilę niezdecydowany. Ujrzał się naprzeciw brata od dzieciństwa znienawidzonego — nakoniec dopiął celu, nakoniec mógł puścić wodze swojej morderczej żądzy. Dziki uśmiech skrzywił mu usta, gdy rozważał czy znienawidzonego ma bronią zniszczyć, czy też żywcem go dostać w ręce i potem spokojnie zemstę swą nim nasycić! W każdym razie umrzeć on musiał, bo wtedy dostawała się w ręce Józefa nietylko Henryka, ale i całe niepodzielne, ogromne dziedzictwo.

Franciszek z gniewem i pogardą spojrzał na tryumfującego potwora, który jak mniemał, trzymał Henrykę w ukryciu — zamierzał napaść na Józefa, i nie bacząc na groźny oręż nieprzyjaciół, pięściami zgnieść niegodziwca, ale głos Prima powstrzymał go.

— Nie ruszaj się z miejsca, Franciszku; tu będziemy walczyć, tu się razem trzymać będziemy!

— Tutaj czy tam, jesteśmy zgubieni, przyjacielu Prim,

pożegnajmy się! odpowiedział Serrano.

— Nie ma na to czasu; tak dobrze; strzelaj, aby przynajmniej te szelmy powściekali się i prędzej wszystko skończyli — zawołał Prim, zawsze z zimną krwią strzelając.

Już ich karliści z obu stron naciskali, już trzej gwardziści królowej pewną śmierć przed sobą widzieli, a oczy Józefa świeciły upojone nadzieją zwycięstwa. W tem okrążając wieś po spadzistości i zbliżając się ku miejscu walki, ukazała się dziwna jakaś para. Byli to dwaj jeźdźcy, którzy, przybywając z portu Santander, około sześciu mil od Sejos oddalonego, z nagła na drodze do Madrytu usłyszeli strzały, spostrzegli obozy karlistów, i teraz po spadzistości zdążali, pragnąc rozpoznać, kto z kim walczy. Jeden z tych jeźdźców, na wzór hiszpańskich grandów, miał na sobie wysoki szpiczasty kapelusz, ozdobiony wilekiem, jak śnieg białem piórem morskiego ptaka. Z ramion spadało mu ciemno-fioletowe aksamitne okrycie, zasłaniając bogato haftowany i orderowemi wstęgami ozdobiony kaftan; spodnie po kolana sięgające zdobiły także tej samej barwy wstęgi.

Mocno zbudowany ogier miał co dźwigać na sobie, bo nadjeżdżający był to mężczyzna niezwykłego wzrostu i siły. Piersi miał wypukłe, barki szerokie, ręce i nogi grube i muskularne, sama nawet dłoń trzymająca cugle, wielkością i objętością każdemu nakazywała uszanowanie, bo kto raz ujrzał się nią pochwyconym, zaledwie mógł mieć nadzieję, że się z niej wymknie z całemi członkami. Mimo to widok tej potężnej figury, bo i inne części ciała są odpowiednio

zbudowane, ujmujące sprawia wrażenie, tem bardziej że oblicze odznacza się nadzwyczaj przyjemnemi rysami. Jest ono wielkie i mocno od słońca ogorzałe, otacza je gęsty czarny zarost. Dodajmy do tego wielkie, ciemne, swobodnie i śmiało w świat patrzące oko, niezwykle krzaczaste brwi, garbaty nie bardzo krótki nos i kosztownym kołnierzem otoczoną silną szyję.

Drugi jeździec jest to człowiek jeszcze bardziej olbrzymiej budowy, to murzyn, wyglądający na sługę, ciągłego towarzysza poprzedzającego. Ciemny szal, którym owinął swoje potężne barki i piersi, zapewne pan mu dał w nocy. Wełnista jego głowa jest odkryta, równie jak i niższe części herkulesowej postaci, tak, że podziwiać można tęgie muskuły i sprężyste żyły. Ma przynajmniej sześć stóp i sześć cali wzrostu. Twarz ma szeroką i świetną, czarną, równie jak całe ciało, tak że białko jego ruchliwych, błyskających wielkich oczu, wygląda przy tem wszystkiem dziko i strasznie. Czoło ma niskie, mocno kościste, nos szeroki i gruby, usta, z pod których wyglądają zęby białe jak kość słoniowa, czerwone i wywrócone. U niego i u pana tkwi przy siodle para nabitych pistoletów, i gdy zdążają na plac boju — ostrzega o tem obie strony.

— O massa! (panie), to źle wygląda, kiedy trzydziestu walczy przeciw trzem! mówi murzyn łamanym hiszpańskim językiem.

— I do tego trzydziestu karlistów przeciw trzem królewskim, Hektorze! odpowiada pełno brzmiącym głosem zajadle rozgniewany jego pan i wpada na wzgórze, tak, iż kapelusz jego z białem piórem widać z daleka.

— Na świętą Pannę, to nie kto inny jak Topete, kapitan korwety królowej! woła Prim, na którego w tej chwili nacierają karliści; białe pióro to mi mówi! Odwagi, przyjaciele: to Topete i jego murzyn!

Pewni zwycięstwa karliści pochwycili strzelby, pragnąc teraz kolbami tłuc trzech Oficerów królowej, aby ich uczynić niezdolnymi do boju; ich generał Cabrera z żyjących może jeszcze korzyść jakąś wyciągnąć. W tem nagle z tyłu ich dają się słyszeć strzały, dwaj z radujących się trafieni padają na ziemię; przerażeni zaledwie mają czas obejrzeć się, bo znowu pada kilka strzałów i znowu ginie dwóch upojonych zwycięstwem karlistów.

Trzej gwardziści zyskują na czasie, na nowo nabijają swoją broń i strzelają do nacierających. Oblicze Prima rozjaśniło się, Olozaga uśmiecha się, a Serrano widzi, że ludzie Józefa nagle się cofają.

— Białe pióro — Niebu niech będą dzięki! woła Prim, i zaczyna równie jak pierw niby maszyna szybko nabijać i strzelać do przerażonych karlistów. Oszczędzajcie oficerów i tego tam czerwonego Józefa; karta się odwróciła, teraz musimy ich żywcem dostać w ręce!

Józef zgrzytając zębami spostrzegł rozpaczliwe położenie swojego wojska i przegraną, już teraz niezawodną! Przekonał się, że nie może wcale liczyć na zniechęconych karlistów, którzy z nagła ujrzeli się z dwóch stron otoczonymi i jeden po drugim padali, chociaż broniąc się dawali jeszcze ciągle ognia przeciw nowym napastnikom. Miał on nadzieję, że w pośród powstającego straszliwego zamieszania, niepostrzeżony ujść potrafi, bo

siebie za wszelką cenę ocalić musiał, chociażby inni aż do ostatniego człowieka polegli; cóż go to obchodziło, że ich do zguby doprowadził? Raz tylko jeszcze pragnął przycisnąć swoją strzelbę, raz jeszcze wymierzyć ją przeciw znienawidzonemu Franciszkowi! Jeżeli mu szczęście sprzyjać będzie, to przed ucieczką wyświadczy przysługę miłości, której spełnienie nad wszystko przekładał!

Topete i jego murzyn strzelali z Primem na wyścigi, ale ich strzały nie były tak pewne jak jego, bo najprzód padł koń Hektora, a potem ogier Topetego, trafione kulami broniących się karlistów. Dwaj potężni ludzie teraz jeszcze gwałtowniej uderzyli na cofających się nieprzyjaciół.

W tej chwili ujrzał Serrano, że brat w niego celuje; odskoczył na bok i rzucił się na niegodziwca, który przybliżył się do drogi, po której przedtem z oddziałem swoim przyczołgał się. Karliści, w szeregach swoich mocno przerzedzeni, zaczęli uciekać bez ładu, trzymali się tylko jeszcze dwaj oficerowie wraz z kilku ludźmi.

Serrano silną pięścią pochwycił nikczemnego Józefa; za jednym zamachem miał znienawidzonego w swojej mocy, odepchnął go i spojrzał w bladą, drżącą twarz brata, który skrycie szukał sztyletu.

— Gdzie ukryłeś Henrykę, niegodziwcze? zawołał nań Franciszek. Wyznaj, albo na Najświętszą Pannę, ta kula cię nie minie!

Zamiast odpowiedzi, Józef ze znaną nam kocią zręcznością zbliżając się do brata, wydobył sztylet i błysnął nim w powietrzu.

— Oto moja odpowiedź, nienawistny! mruknęły jego usta. Ale Franciszek przygotowany był do takiego postępku Józefa, schwycił grożącą mu rękę nieprzyjaciela i całą siłą zatrzymał ją w swojej.

— Teraz skończony między nami rachunek! poważnie rzekł Franciszek. Miej się na baczności, łotrze, bo teraz poczytuję sobie za obowiązek, za dzieło boże, zagasić na wieki iskrę twojego życia. Lecz pierw musisz mi wyznać, gdzie ukryłeś nieszczęśliwą Henrykę i moje dziecię!

Józef jeszcze raz zezem obejrzał położenie walki. Przekonał się, że większa część jego ludzi w krwi się broczy, że kilku tylko uciekło, a i tych jeszcze w drodze dosięgały kule Prima i Topetego, i że obaj oficerowie mają zamiar złożyć broń, musiał więc przyzwyczaić się do myśli zostania jeńcem królewskim, a nadto jeńcem własnego brata!

— Wyznaj, złoczyńco, gdzie jest Henryka i dziecko? podniesionym i groźno nakazującym głosem powtórzył Franciszek.

— Jeśli o nic innego nie idzie, ze zjadliwą wewnętrzną złością mówił Józef, to cię do nich zaprowadzę!

— A gdzie je ukryłeś? Czy tam na dole pod namiotami?

— Broń Boże, są w lesie w jaskini, po tamtej stronie gór Guadarama! z wyrachowaną spokojnością i uległością rzekł Józef, bo obmyślił plan tak zdradziecki, a dla siebie tak wyborny, iż mu serce z radości skakało, a powierzchownie rozpacz udawał.

— A więc w jaskini w lesie, tuż koło Madrytu, tam gdzie do ciebie strzelałem, nędzniku?

— Gdzie brat strzelał do mnie — z wyrachowanem brzmieniem głosu powtórzył Józef, aby wzruszyć Franciszka, którego dobre serce znał i na którego szlachetność liczyć zaczynał; tak jest, tam oni są ukryci! chodź ze mną do tamtych dwóch jeńców.

— A więc tam nas zaprowadzisz, mówił Franciszek, Józef wiedział, że zwłoka albo nieposłuszeństwo w tej chwili byłoby szaleństwem, bo prócz tego wymierzono przeciw niemu cztery czy pięć strzelb, których kule byłyby go w takim razie pewno dosięgły. Szedł więc obok brata ku miejscu, gdzie murzyn pilnował obu oficerów, a Topete i Prim, widocznie od dawna znajomi, serdecznie się ściskali.

— Otóż białe pióro znowu w porę zeszło się z czarnem! mówił Prim, mimowolnie ręką ocierając z oka łzę radości. Niech mnie djabli porwą, już testament chciałem pisać! Pójdźcie tu, Olozago i Serrano, musicie także poznać dzielnego kapitana Topetego, bez którego teraz już wszyscy trzej bylibyśmy na drodze do wieczności, albo w niewoli u osławionego Cabrery. Uściskajcie się, jesteśmy terasz serdecznie spokrewnionymi towarzyszami broni! zawołał Prim, a olbrzymi Topete z uśmiechem silnie wstrząsnął delikatną dłonią Olozagi, a następnie młodego Serranę, którego odwagę wielokrotnemi okrzykami zadowolenia podziwiał, szczerze do piersi przytulił.

— Serdecznie spokrewnieni, a nawet jak widzę krwią spokrewnieni! zawołał Topete, gdy na swojej piersi ujrzał wielkie krople krwi, które jak się potem przekonał, z Serrany wycisnął. Jesteś raniony, młody przyjacielu!

— On nawet na to nie uważał, powiedział Prim.

Zaprawdę, Franciszku, ty jesteś właśnie taki jak ja! kiedy walczę, najmniej myślę o sobie!

Teraz dopiero spostrzegł Serrano, że kula przebiła mu suknie i sprawiła mu ból kolący, który wprawdzie uczuł, ale nań nie zważał. Prim zerwał z niego przedziurawiony mundur, kula trafiła w wielki topaz, który Franciszek jako amulet od królowej otrzymał; medalion spłaszczył się tak silnie, iż niektóre ostre jego części w ciało na piersiach weszły, ale kula siłę swoją straciła.

— To zrządzenie Nieba, poważnie rzeki Olozaga; ale obejrzyjmy niezwłocznie i oczyśćmy ranę.

Serrano zaniemiał: amulet królowej ocalił mu życie, bo gdyby go nie nosił, gdyby kula weszła mu w piersi, teraz może oddawałby ostatniego ducha.

— Cud! — szepnął, podczas gdy Olozaga delikatną, zgrabną ręką wyjmował okruchy z piersi i szybko przyniesioną wodą chłodził ranę. — Dziękuję, królowo Izabello!

Nikt słów tych nie słyszał, nikt nie domyślał się, jaka tajemnica pokrywa to cudowne ocalenie i amulet; nie domyślał się nawet sam Serrano, jak ciężkie następstwa ta chwila za sobą sprowadzi!

Podczas gdy murzyn z nabitą bronią pilnował trzech jeńców, Prim i Topete udali się do wsi, aby dostać koni dla powrotu do Madrytu, bo dłuższy pobyt na miejscu, mógłby ich znowu oddać w ręce Cabrery, sprowadzonego przez zbiegłych karlistów, którego wojska jak opowiadał Topete, zaledwie o pięć mil oddalone, u stóp Sierry leżą do wymarszu gotowe. Nakoniec sprowadzono osiem

potrzebnych koni, a Serrano nie użalał się na ból, można więc było nie przedłużać niebezpiecznego pobytu.

— Prosimy panów, zawołał Olozaga podskakując do swoich jeńców i z wielką grzecznością ukazując im przeznaczone dla nich konie, towarzyszyć nam i wstrzymać się od wszelkiego zamiaru ucieczki, bo ten, niestety! zmusiłby nas uciec się do środków, nie bardzo dla obu stron pożądanych! Panowie będą łaskawi podaniem ręki zaręczyć mi za swoje słowo honoru!

Obaj oficerowie armji karlistów uczynili to, Józef wzbraniał się. „Zapominasz, czcigodny panie, że my z musu idziemy z panami!“ rzekł do Olozagi, który pogardliwie nań spojrzał, „że nienaturalną byłoby rzeczą, nie korzystać z chwili sprzyjającej ucieczce!“

Pdczas gdy Olozaga obrócił się do murzyna, Hektora, którego olbrzymia postać jako strażnika, w pobliżu niemieć baczne oko na Józefa, mruknął tenże: ruchomie stała, aby mu powiedzieć, że szczególniej ma.

— Podanie ręki nic nie znaczy, uciekać nie chcemy, ale chcemy się zemścić i was zgubić!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XIV.

SAMOTNY DOM.

Tak szczególnej kalwakadzie, galopem zdążającej po publicznej drodze, mieszkańcy miast i wsi przypatrywali się z podziwieniem.

Prim i Topete jechali na czele, za nimi obaj oficerowie karliści, a w pośrodku nich Józef, za nimi jechał murzyn, Serrano zaś i Olozaga zamykali orszak.

W mieście Aranda, do którego przybyli nakoniec o północy strudzeni i zgłodniali, zatrzymano się nietylko dla posiłku i kilkugodzinnego odpoczynku, lecz dla zmiany prawie na śmierć zajeżdżonych koni. Hektor dał dowody wzorowej usłużności dla przyjaciół swojego pana i zarazem czujności względem trzech szczególniej mu zaleconych jeńców wojennych.

O świcie Prim wezwał do wymarszu, chociaż jego przyjaciele teraz dopiero uczuli strudzenie po strasznej gonitwie i walce ostatniodniowej, pierwszy bowiem raz dopiero nieco odpoczęli. Natura upomina się o swoje prawa!

— Jutro będziemy w Madrycie, moi panowie! — rzekł Prim, a te kilka słów wywarły czarowny skutek. Olozaga wyskoczył z łóżka, na którem równie jak i Serrano spoczywał w ubraniu, aby być na wszelki wypadek

gotowym. Topete, który miał w Madrycie interes służbowy, wyciągnął nieco swoje potężne członki, a Serrano myślał o Henryce i dziecku, tak dawno z nim rozłączonych, a potem także o młodej królowej, której amulet życie mu ocalił; resztka kamienia wisiała jeszcze na jego piersi na drobnym złotym łańcuszku, a ranę musiał dosyć często ochładzać, aby się nie zaogniła.

Topete, był to wyborny towarzysz podróży, zawsze wesoły, przy każdej sposobności objawiał swą dobroć i serdeczność, tak, że Serrano niezmiernie go polubił. Świeżo kupione konie szły żwawo, pierwszy więc dzień, w którym dostali się prawie do gór Guadarama, upłynął prędzej i przyjemniej, niż się nasza szlachta spodziewała; jeszcze tylko siedem mil mieli do Madrytu, jeżeli więc nocą pośpieszą, to będą mogli ujrzeć się na ulicach stolicy.

Ale raptem konie trzech jeźdźców tak zwiesiły głowy i mimo ostróg szły tak wolno, że Prim zaprojektował, aby trzej panowie zamienili konie z trzema oficerami królowej, którzy może potrafią pobudzić ich do prędszego ruchu.

Lecz obaj panowie oświadczyli stanowczo, że tak są strudzeni i potrzebują posiłku, iż się z miejsca ruszyć nie mogą, i że cokolwiek bądź, wynaleźć trzeba jakąś gospodę, w którejby nietylko wzmocnili się jadłem i napojem, lecz i przenocowali, jeżeli nie mają być nieludzko traktowani. Resztę drogi do Madrytu, twierdzili, można będzie spokojnie odbyć nazajutrz za dnia.

— Wybaczcie, moi panowie! jeżeli kto z nas uczciwie jest strudzony, to zapewne my. Byłoby bezsensowną rzeczą odpoczywać tylko o siedem mil od stolicy! Niech panowie

będą łaskawi, nieco popędzić swoje szłapaki, i sami się wyprostują, to reszta już pójdzie. Nie wiem, czy tu gdzie w okolicy jest jakaś gospoda.

— Jesteśmy jeńcami i musimy ulegać, — rzekł jeden oficer; — wyznać jednak winienem, że szlachta, z równymi sobie nie zwykła tak bezwzględnie postępować. Widać dobrze, jaki ton panuje w wojsku Marji Krystyny i jakich czasów spodziewać się możemy!

— Za pozwoleniem, moi panowie! — zawołał zniecierpliwiony Prim: — radziłbym, abyście z językiem byli ostrożni! Jeżeli naprawdę tak głodni i znużeni jesteście jak mówicie, jeżeli potrzebujecie wypoczynku, zgoda. Nikt nie powie, że oficerowie królowej są niegrzeczni dla wziętych w niewolę nieprzyjaciół! Jeżeli panowie znacie tu w górach jakąś gospodę, to wskażecie nam ją, a uczynimy zadość pańskiemu życzeniu.

Olozaga pierwszy uczynił uwagę, że ta obietnica Prima była za wczesna; sam nie wiedział, chociaż zawsze uchodził za najuprzejmiejszego z trzech przyjaciół, co go ostrzegało, aby nie zezwalał na to żądanie.

— W istocie jest tu na płaskowzgórzu oberża, — mówił Józef; — ja sam jeszcze w niej nie byłem i dla tego nie znam jej, tylko mi o niej wspominano.

— Więc prowadźcie nas do niej! nic nie podejrzewając, powiedział Prim, i kazał jechać obok siebie wielce uradowanemu Józefowi, którego Topete mocno miał na oku, i w każdej chwili gotów był swoją potężną pięścią chwycić za cugle gotującego się może do ucieczki jeńca.

Tymczasem Olozaga oświadczył swojemu przyjacielowi

Franciszkowi, że mu się ta zwłoka zupełnie nie podoba.

— O kilka godzin czasu nie chodzi, — mniemał ten ostatni, licząc na to, że będzie mógł wyjść z Józefem z oberży, dla wyszukania ukrycia Henryki. Prócz tego, nie mamy co myśleć o ucieczce oficerów, bo mamy ich słowo i jesteśmy silniejsi liczbą.

Topete, Józef i Prim nagle skręcili z drogi i jechali wązką ścieżką, wiodącą ku Sierra Guadaramie. Napadu gwardziści królowej nie obawiali się, wiedzieli bowiem, że karliści nie tak prędko zbliżyć się mogą, jechali więc bez troski ku świecącemu zdaleka punktowi, który Józef wskazał jako cel podróży.

Wkrótce ujrzeli w oddaleniu zawieszoną na spadzistości góry oberżę, w której zamierzali zanocować. Był to dwupiętrowy okazały budynek, z wielkiemi stajniami i oficynami, tak, iż z pozoru zdawało się, że go odwiedzają liczni podróżni. Otoczenie jego jednak było nieprzyjemne i puste. Leżał samotnie tuż nad skałami, niedostępnie wznoszącemi się w górę; w pobliżu nie było żadnego domu, żadnego drzewa, nic, coby wskazywało gospodarną, pilną rękę, której się chętnie poszukuje jako wzbudzającej zaufanie i pociągającej ku sobie.

Zdawało się, że tej nocy nie ma w samotnym domu żadnego gościa, bo we wszystkich oknach było ciemno, tylko na dole w sieni paliła się świeca, którą jeźdźcy zdala już spostrzegli. Prim zeskoczył z konia i przestąpiwszy próg, zawołał na gospodarza, poczem wszedł Józef i za nim czujny Topete.

Gospodarz, mały, gruby, prawie kulisto-okrągły człowiek

z rumianą twarzą i chytrze błyszczącemi oczami, ukazał się ze światłem, i spostrzegłszy szlachetnych panów, przeszło dziesięć razy nisko się pokłonił.

— Czy możesz pan nas na jedną noc wygodnie tu pomieścić? — spytał Prim.

— Lopez jest szczęśliwy, że panów u siebie przyjąć może! Jego cały dom z wygodnie urządzonemi lokalami jest na usługi panów oficerów! — mówił szybko mały, tłusty gospodarz, i wprawnem spojrzeniem porachował ilość wchodzących gości. Poznał Józefa — zrobił wielkie oczy i chciał go powitać, ale jeden rzut oka Józefa nakazał mu milczenie.

— I piwnicę mam nieźle zaopatrzoną, dostojni panowie! — dodał, podczas gdy Prim i Olozaga rozglądali się po domu.

Na prawo prowadziły drzwi do izby gościnnej, na lewo, jak się o tem zaraz przekonali, drugie do sypialni tłustego gospodarza.

W głębi sieni były szerokie i wygodne schody, a przy nich jeszcze jedne drzwi, które Prim znalazł zamknięte.

— Na górze są ładne i wygodne pokoje dla tak znakomitych panów! — z pełną zajęcia ruchliwością powiedział gospodarz.

— Potrzebujemy bezpiecznego, wygodnego pomieszczenia dla tych trzech panów, którzy są naszymi jeńcami — oświadczył Olozaga.

— I o tem pomyślano, dostojni panowie. Ten zamknięty pokój, do którego klucz zaraz przyniosę, jest pewny, i jak panowie żądają, wygodny i ładny! — rzekł mały tłuścioch, i

poszedł do izby gościnnej, ale pierwej oczy jego spotkały się znowu ze wzrokiem Józefa, zręcznie i ostrożnie porozumiały się, tak, że żaden z czterech przyjaciół tego nie spostrzegł.

Tylko murzyn Hektor, który stojąc we drzwiach wejściowych, wszędzie wodził roztropnem i szybkiem jak błyskawica okiem, spostrzegł skryte spojrzenie gospodarza, i z właściwą murzynom przebiegłością, szybko uwiązawszy konie u znajdującej się przed domem drewnianej barjery, przypatrywał się z głębi coraz pilniej temu, co dziać się będzie.

Mały, gruby Lopez przyniósł klucze i otworzył drzwi obok schodów.

Prim i Serrano zajrzeli w głąb, a tymczasem Topete i Olozaga oglądali gościnną izbę i zamki domu.

— Ujdzie, okna są wysokie i zakratowane, łóżek i krzeseł nie brakuje, prosimy zatem panów, aby tu weszli, głośno powiedział Prim. Gospodarz przyniesie panom równie jak i nam coś do zjedzenia i wypicia; nie będziecie więc potrzebowali użalać się na waszą niewolę u oficerów królowej!

— A któż to, szlachetni panowie kiedykolwiek użalał się na oficerów królowej? — rzekł pochlebnie mały gospodarz o tłustej, czerwonej twarzy. Potem, gdy karliści i Józef weszli do wskazanego im mieszkania, które tylko wysoko umieszczonem, zakratowanem oknem przypominało więzienie, zwróciwszy się do Serrany, dodał poufnie:

— Panowie możecie być spokojni; tu siedział już niejeden z tych przeklętych karlistów, i mimo wszelkich

usiłowań nie wymknął się! Drzwi są mocne, okna wysokie, a ściany grube! Prócz tego niema w domu nikogo więcej, prócz mnie i mojego parobka, bo moja poczciwa żona umarła mi przed trzema tygodniami, — dodał płaczliwym głosem i białym fartuchem otarł kilka łez z oczu; ale kto wie, na co się to przyda! Kobiety są często w niewłaściwych razach, miłosierne i nierozważne; teraz ja za wszystko odpowiadam, a panowie możecie tak spokojnie udać się na spoczynek, jakbyście tu przy drzwiach spali jako warta.

Trzej gwardziści królowej i kapitan korwety Topete weszli do gościnnej izby, zostawiając murzyna w sieni i posilili się istotnie dobrem, ciężkiem winem małego Lopeza, wraz z wyborną pieczenią, którą im podał. A gdy potem i jeńcom należycie usłużono, Prim, Olozaga i Topete udali się na wyższe piętro, szukając przygotowanych dla siebie pokojów. Serrano zaś pozostał na dole, na straży przy drzwiach jeńców.

— Hektor niech pamięta o naszych koniach, abyśmy jutro wcześnie w Madrycie stanąć mogli; panowie zaś pozwólcie czuwać tu na dole, abym był pewny, że żaden nie ujdzie! — powiedział Franciszek, życząc dobrej nocy przyjaciołom, z których każdy pośpieszył do swojej sypialni. Nie uderzyło ich to wcale, że gruby, przyjaźnie łaszący się Lopez, trzymając świecę w ręku, każdego zaprowadził do osobnego pokoju, ponieważ zupełnie byli spokojni, od kiedy Serrano pozostał na straży. Każdy znalazł w swoim pokoju gorejący na kominie ogień, gdyż w nocy od strony Sierry wiał chłodny wiatr, wygodne

posłanie, złożone z materaca i ciepłej kołdry i jeszcze po butelce wina, z której każdy napił się nie wiedząc, że i drugi to samo czyni, poczem pokonani utrudzeniem, owinęli się kołdrami, i zasnęli każdy w swoim pokoju tak twardo i smaczno, jak w swoich zbytkownie urządzonych mieszkaniach w Madrycie.

Serrano, rozkazawszy chytremu Lopezowi zapalić w sieni świecę, życzył mu także dobrej nocy i stanął przy drzwiach; płaszcz wisiał mu u boku, a klucz od jedynego wyjścia więźniów trzymał w ręku, nie czuł żadnego trudu, i z tęsknotą myślał o oddalonej od niego Henryce.

— Gdzie przebywasz. — Kiedy cię znowu znajdę, moja Henryko! — szeptał — może jeszcze tej nocy! — Chciał zmusić do tego Józefa.

Mogło być około godziny dziesiątej. Na dworze panowała niezmierna ciemność, a w samotnym domu głęboka cisza. Franciszek, owinięty płaszczem stał przy schodach oparty o ścianę, tuż pode drzwiami izby, w której jeńcy już zapewne także posnęli. Migocące światło rzucało czerwonawy blask na ściany, na podłogę ułożoną z desek i na zamknięte drzwi od podwórza. Gruby gospodarz, po głębokim ukłonie, dawno już odszedł do swojej izby, której ściany, jak to Serrano przedtem widział, graniczyły z sienią i dochodziły aż do pokoju jeńców. Murzyn zapewne od dawna stał przy koniach w przygotowanej dla nich nie zupełnie przymkniętej szopie, tuż przy domu. Franciszek zatem sam jeden tylko czuwał w całej oberży i w całem jej otoczeniu. Wsparł rękę na płaszczu i z wytężoną uwagą patrzał we drzwi i na schody.

W tej chwili nagle zgasła migocąca świeca. W ciemnej przestrzeni samotnego domu nie zabrzmiał gniewny głos Serrany, lecz jakiś przytłumiony krzyk, głucho się rozlegający, potem krótki hałas i nagle wszystko ucichło jak w grobie.

Przy drzwiach wejściowych stał nadsłuchujący murzyn.

Hektor już przedtem widział spojrzenia, jakie Józef zamieniał z chytrze potulnym gospodarzem; z wytrwałością więc czarnego, na wszystko pilnie uważał. Gdy umieścił i napasł konie, nie szukał spoczynku, lecz podsunął się pode-drzwi ze środka zamknięte i bystrem okiem wszystko widział przez dziurkę od klucza. Spostrzegł światło w oknach różnych stron domu, i to wprawiło go w jeszcze większe podejrzenie przeciw Lopezowi. Z żelazną wytrwałością słuchał pode drzwiami; nie mógł się dostać do środka, lecz za jaką bądź cenę pragnął dostrzedz, co za sztuki wyprawia gospodarz samotnego domu z jego panem i przyjaciółmi jego pana.

Nagle ujrzał, że światło w sieni zgasło, potem słyszał przytłumiony krzyk i głuchy zgiełk. Zerwał się. W tej chwili sprawdziły się jego obawy! Spojrzał w okratowane okna oficerów, nic się tam nie poruszało, spali mocno! Miałże wołać? Byli każdy w osobnym pokoju, a on nie mógł dostać się do domu, ani im nieść pomocy! Miałże żądać, aby go wpuszczono? Przezorny, we wszystkiem wyrachowany murzyn powiedział sobie, że w takim razie każdy z nich pojedynczo będzie zgubiony. Nikt w domu nie domyśla się, że on na wszystko uważa, że pomoc sprowadzić może! Siedem mil ma tylko do Madrytu; zna

drogę doskonale, bo ją nie pierwszy raz z panem swoim odbywa. Za sześć godzin najpóźniej może wrócić z pomocą i oswobodzić zdradzonych; którzy jak się spodziewał, tak długo bronić się potrafią. Szybko więc i jak najciszej pośpieszył do koni, okiełznał najlepszego bieguna, i nie bacząc na własne życie, jakby od każdej chwili zależało jego zbawienie, popędził ku wąwozowi de los Picos, a stamtąd do lasu ponad brzegiem Manzanaresu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XV.

KRÓLOWA I MURZYN.

Na dworze madryckim zaszły podczas ostatnich dni niespodziewane zmiany. Espartero tyle stracił przez przedwczesną egzekucję generałów Leona i Morsy, tyle stracił na przywiązaniu narodu, że Narvezowi z łatwością przyszło podtrzymywać sprzysiężenie, które się zawiązało na balu księcia Luchany. Za pomocą znacznych środków pieniężnych, które regentka udzielała rywalowi Espartery, umiał tenże zyskać sobie licznych stronników pomiędzy doradcami i w oddanych jemu pułkach, z pomocą których odważył się stanąć do otwartej walki z księciem zwycięstwa. Espartero polegał na mieszkańcach Madrytu; nie sądził nigdy, by go jeden Narvaez mógł zgnębić i zwyciężyć, liczył na łaskę regentki w krytycznej chwili, aż nagle zauważył, że się omylił, że łaska narodu i regentki dla niego stracona. Ten, niedawno jeszcze uwielbiany książę zwycięstwa, pełen zniechęcenia i zmartwienia opuścił Madryt, wydawszy wprzód odezwę do regentki i narodu, ażeby królowę Izabellę za pełnoletnią ogłosić.

Espartero oddalił się; Narvaez, ów człowiek z czworokątną twarzą, z zimnemi, wskroś przemującemi oczami, wjechał do stolicy i był przez regentkę Marję Krystynę ze wszystkiemi oznakami jej łaski przyjęty.

Narvaez nie potrzebował przypominać władczyni obietnic, które mu były dane przez nią w grocie pałacu Espartery. Marja Krystyna wręczyła mu przy pierwszem zaraz spotkaniu nominację na księcia Walencji. Ministrom zaś dała rozkaz ogłoszenia królowej Izabelli za pełnoletnią i zamiar poślubienia księcia Rianzaresa, niegdyś ex-gwardzisty Munnoza.

To wszystko stało się w ostatnich dniach.

Młoda królowa Izabella siedziała tegoż wieczoru, w którym młodzi szlachcice jej gwardji znajdowali się w samotnej oberży, sama w swoim gabinecie, który leżał między buduarem i wielką salą, i w którym się zwykle adjutanci, szambelani i damy dworskie zatrzymywali, oczekując jej rozkazów. Izabella lubiła ten mały, skromnie umeblowany gabinecik, oświecony słabem światłem przeciskającem się przez ciemno-amarantowe, aksamitne firanki. Nie było w nim ani złota, ani kosztownych mozaik, ani innych drobnostek, ale za to miękkie dywany i fotele z wytwornie rzeźbionemji poręczami, zdawały się wabić do miłego spoczynku i rozkosznych marzeń.

Królowa oddaliła swoje damy honorowe, nawet markiza de ’Seville i duena Marita znajdowały się w swoich pokojach; Izabella spoczywała na kosztownym dywanie, jej oczy błądziły po obrazach rozwieszonych naokoło, które w słabym półcieniu cudowny przedstawiały widok. Królowa jednak nie na nie zważa; inny obraz przesuwa się w jej młodzieńczym, fantastycznym umyśle i przed jej cudownie pięknemi, niebieskiemi oczyma.

Jest to obraz młodego, odważnego szlachcica, który się

wdarł do serca młodziutkiej królowej i wzbudził w niem miłość, obraz, tak piękny młodością, postać tak udana i męska, oblicze tak miłe, śmiałe i znowu tak zachwycająco poważne, otoczone aureolą sławnej przyszłości, że Izabella tylko o nim myśli, tylko jego obraz staje przed jej oczyma i nawet we śnie on jest złączony z jej wszystkiemi planami i marzeniami. — „We śnie najpiękniejszy“, — wyszeptała nakoniec, „kiedy wszystko do mnie od niego oddziela, jest oddalone i zapomniane; Dlaczegóż nie jest on synem królewskim? dlaczegóż, Franciszku Serrano, nie mogę ci otwarcie wyznać mej gorącej miłości? Tak, miłością to jest, co ja dla ciebie czuję, pierwszą, gorącą miłością, i teraz wiem tylko to, że ty zdala odemnie w niebezpieczeństwach przebywasz! I dlaczegóż muszę tę miłość ukrywać i tłumić? dlaczegóż nie mogę jej wyjawić i moim cię nazwać? Dlatego, że purpurę noszę, że mam szczęście być od milionów za królowę uznaną? Smutne szczęście, które nas zmusza dla korony zamknąć serce!“ Złoty dzwoneczek zegara, umieszczonego na kosztownej konsoli, między dwoma prześlicznemi statuetkami Amora i Psychy, wygłosił srebrnym tonem pierwszą godzinę po północy. Wtem nagle jakiś hałas doszedł z sąsiedniej sali do uszu czuwającej królowej.

— Nie zwlekaj massa, oni wszyscy tam giną!

Te słowa wymówione głośno, głosem drżącym ze wzruszenia i trwogi, przeszły przez portjerę i drzwi aż do słuchającej.

— Don Topete i Don Serrano są zgubieni, puszczajcie mię do królowej! — zawołał ten sam głos, trochę łamaną

hiszpańszczyzną. Izabella wstrzęsła się z przestrachu; słyszała wyraźnie wymówione nazwisko Serrany!

— Cóż się stało?

W tej chwili zbliżano się do drzwi. — Izabella z największem wytężeniem oczekiwała ich wejścia. Na jej pięknem obliczu można było wyczytać stan jej serca.

Portjera lekko się uchyliła, i we drzwiach zarysowała się, poza adjutantem królowej, olbrzymia postać czarnego.

— Proszę o przebaczenie Waszej Wysokości! — Murzyn Don Topetego kapitana korwety, przynosi ważne i jak powiada, tak naglące nowiny, że go nie można było dłużej wstrzymywać.

— Niechaj przystąpi bliżej, — zawołała Izabella, trawiona niepewnością. Któż cię przysyła? Jakież są twoje nowiny?

Murzyn Topetego, skrzyżowawszy na piersiach ręce, padł na posadzkę gabinetu, uderzywszy czołem o ziemię.

— O, wielka Feido[1] śmierć mię posyła, która mojemu massie i twoim dworzanom zagraża! — mówił wzruszonym i od nadzwyczaj śpiesznej jazdy jeszcze drżącym głosem.

— Na wszystkie świętości, wstań i mów prędko! Któż są ci dworzanie? — zapytała królowa, chcąc się przekonać, czy dobrze słyszała i czy żywa, zajęta Don Serraną fantazja jej nie zawodzi.

— Don Topete i jego przyjaciele, Donnowie Prim, Serrano i Olozaga! Oni po długiej walce złapali trzech złych nieprzyjaciół. Ale tam w samotnej tawernie, między skałami wpadli w zasadzkę złych nieprzyjaciół. Oni jutro wszyscy poniosą śmierć, wielka Feido, jeśli ty zemną

żołnierzy nie poślesz!

Młoda królowa zbliżyła się podczas tego opowiadania do murzyna, z coraz bardziej wzmagającą się trwogą.

— On jutro ma umrzeć — Don Serrano także w tem niebezpieczeństwie?

— W bitwie został ocalony — kula uderzyła go w piersi, ale rozbiła święty wizerunek, jego nie raniwszy! — rzekł murzyn.

— Mój amulet! O dzięki ci, Najświętsza Panno! — wykrzyknęła królowa i obróciła się śpiesznie do adjutanta, który stał w pewnem oddaleniu. — Rozkaż pan, ażeby natychmiast oddział ułanów był oddany pod rozkazy tego wiernego sługi, i zawiadom ich zarazem, że otrzymają tysiąc złotych dublonów z mojej szkatuły, jeśli jeszcze przed nadejściem dnia dosięgną oberży, którą wskaże im przewodnik. Ty zaś proś o Jaką chcesz łaskę, i śpiesz się, śpiesz, ażeby młodym szlachcicom z ratunkiem w czas przybyć! — mówiła królowa, zwracając się do murzyna.

— Hektor prosi tylko o dobrego konia, gdyż ten, na którym przybyłem, leży martwy na dole!

Izabella mimowoli roześmiała się z żądania czarnego.

— Dajcie temu wiernemu słudze najszybszego, najszlachetniejszego bieguna z mojej stajni. Otrzymasz także sowitą nagrodę. Kiedy tutaj znowu z dworzanami przybędziesz, Izabella nie zapomni o tobie!

Hektor ucałował kraj jedwabnej szaty królowej, i w jednej chwili zniknął w wielkiej sali, podczas gdy z dziedzińca zamkowego dał się słyszeć hałas przygotowujących się do drogi jeźdźców. Przyobiecanie tak

sowitej nagrody sprawiło, że w kilka minut później pędził w największym galopie oddział ułanów z Murzynem na czele.

Młoda królowa przechadzała się niespokojnie po swoim gabinecie tam i napowrót. Obawa i nadzieja przebijały się w jej nagłych wykrzyknikach, i coraz bardziej dojrzewała w jej sercu przychylność dla młodego, pięknego szlachcica, z powodu którego doznawała teraz tak silnego niepokoju. Duenna Marita uchyliła lekko portjery, Chcąc się przekonać, czy młoda królowa udała się już do swego buduaru. Izabella jej nie spostrzegła; otworzywszy okno, patrzała w nie i przysłuchiwała się, jakby chciała się dowiedzieć, czy Franciszek Serrano jest uratowany, albo jak gdyby obawiała się ujrzeć w tej chwili nowego, biegnącego posłańca ze straszliwą wiadomością....

Wszędzie panowała zupełna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu miarowemi krokami wartowników; z upływającemi godzinami wzrastał też niepokój pięknej królowej, która po raz pierwszy w życiu z bijącem sercem z niepokoju przepędziła noc, nie spocząwszy na swoich jedwabnych, kosztownemi koronkami obszytych poduszkach.

Franciszek Serrano nie wiedział, że królowa czuwa i modli się za niego!...

Nagle, kiedy zupełna ciemność panowała w samotnym domku, zatrzęsły się deski podłogi pod jego nogami, jak gdyby poruszane niewidzialnemi rękoma...

Franciszek nie miał nawet czasu wydać okrzyku, którymby zawiadomił swoich przyjaciół o spadłej na niego

przygodzie, a chociażby ten wykrzyknik był dosyć głośnym, bardzo wątpliwą byłoby rzeczą, czyby go mogli pozostali szlachcice usłyszeć. On wydał tylko lekki okrzyk zdziwienia, gdy podłoga z pod jego nóg nagle się wymknęła, a on sam znalazł się przynajmniej na dwadzieścia stóp pod ziemią, otoczony głęboką ciemnością.

Strach i boleść z upadku na podłogę wąskiej, jakby dno studni powierzchni, na której się w tej chwili znajdował, gniew z powodu zdrady, to wszystko w nim zawrzało w chwili podejścia i spowodowało, że z bezsilną wściekłością starał się wydostać z tego czarnego, podziemnego więzienia.

— Te łotry są w zmowie z tym o kociej twarzy gospodarzem! Przekleństwo! — wyszeptał Franciszek. Gdybym przynajmniej promyk światła znalazł w tej mysiej jamie, w którą mię te hultaje złapały! Ach, teraz to się wszystko przedemną rozjaśnia! Teraz mie mogę już im szkodzić, i muszę patrzeć z założonemi rękoma, jak te łotry, uwolniwszy się, ujdą naigrawając się jeszcze ze mnie. Prim i Olozaga śpią, nie wiedząc o niczem, a mój głos do nich, nie dojdzie!

Serrano, wyciągnąwszy ręce, zaczął chodzić po omacku, chcąc się przekonać, gdzie się znajduje, i czy nie ma przypadkiem jakiego otworu, którym mógłby się wydobyć z tego grobu. Stał on na wilgotnej, błotnistej podłodze; ze stromych ścian ściekały zgniłe, śmierdzące krople wody. Bez wątpienia znajdował się w miejsca służącem niegdyś za rezerwuar wody, jak to się praktykuje w wielu domach w Hiszpanii ubogiej w wodę.

Wtem nagle zajaśniał promyczek światła i pozwolił mu rozróżnić ściany pokryte zielonkawą pleśnią, i wilgotną podłogę, z której czuć się dawała obrzydliwa zgnilizna. Franciszek zobaczył także, że deski znowu starano się szczelnie zsunąć, ażeby można było wygodnie i bezpiecznie chodzić nad jego głową. A nawet w tej chwili przechodził już ktoś po tym nowego rodzaju zwodzonym moście, w celu zbliżenia się do drzwi pokoju, w którym siedzieli jeńcy — był to Lopez, ten gruby łotr.

— Ty przebrzydły zdrajco! — krzyknął Serrano tak głośno, jak tylko mógł, i wyciągnąwszy szpadę próbował nią dosięgnąć przez szparę między deskami, którą wpadało słabe światło, grubego, chrapowato się śmiejącego stronnika karlistów. Ale musiałby być chyba jeszcze raz tak wysokim, ażeby mógł dosięgnąć i ukarać stojącego nad nim hultaja.

— Ty podły łajdaku! — wołał Serrano, — ty obłudny łotrze! Ja cię ubiję, jeśli mnie natychmiast nie uwolnisz!

— Czy tu ktoś nie mówi? — odpowiedział Lopez, stojąc i udając, jak gdyby nic o przebywaniu Serrany nie wiedział.

— Stój, hultaju! Ty chcesz karlistów uwolnić, aleś zapomniał. żem wziął klucz z sobą! No, otwórz drzwi, prędzej, ty łotrze z pod szubienicy! Musisz chyba je rozwalić, a wtedy przecież nakoniec usłyszą to moi towarzysze, chyba, że kamiennym snem posnęli! Prim! Olozaga! — wołał Serrano, ze wszystkich sił, — Topete! Czyż żaden z was nie czuwa?

— Każdy z nich troszeczkę zanadto wina łyknął, a po winie śpią oni tak smacznie, że możnaby ich razem z

posłaniem i łóżkiem ukraść! — rzekł śmiejąc się chytrze okrąglutki Lopez.

Serrano słyszał, jak się tenże porozumiewał przez drzwi z karlistami, i musiał patrzeć na to bez oporu, jak tamci usiłowali drzwi wyłamać. Po chwili ^słyszał gwałtowny łoskot, trwający kilka minut, a potem spieszne kroki uwolnionych karlistów, poczem nastała grobowa cisza.

Trzej oficerowie spali w swych pokojach spokojnie, bez żadnej świadomości tego, co zaszło.

Było już około północy, gdy się Olozaga nagle ze swego mocnego snu przebudził; usłyszał on głuchy łoskot, pochodzący z rozbijania drzwi, i pytał się sam siebie, czy go sen przypadkiem nie zwodzi. Głęboka cisza panowała w jego pokoju. Ogień na kominku już się wypalił i swąd z niego pewnie sprawił, że Olozaga czuł mocny ból głowy. Dopiero teraz zastanowił się nad tem, że każdy z nich w osobnym jest pokoju. W czasie wieczerzy nie zwrócił uwagi na tę okoliczność; ale gdy w nocy, nagle ze snu przebudzony, ujrzał się sam jeden, w obcym, samotnym domu, zaczął miarkować, że w tem coś musi się ukrywać. Bo cóż każdy z nich pojedyńczo mógłby poradzić, gdyby na nich nagle uwięzieni karliści napadli?

— Ale Serrano czuwał tam przecież na dole; — szeptał sam do siebie Olozaga. Do tego zapomniałem jeszcze zamknąć drzwi za sobą.

Olozaga podniósł się.

— Głupcze, na cóż to? Prim się tylko śmiać z ciebie będzie!

W tej chwili usłyszał wyraźne stąpania po dziedzińcu i

po skrzypiących schodach. Chcąc się przekonać, kto to może być o tak spóźnionej porze, wstał i poszedł ku drzwiom, chcąc je otworzyć...

Drzwi były zamknięte!

— Żwawo! — szeptał Olozaga: w tem tkwi zdrada; musimy się ubrać i przekonać się o niej!

Udał się po omacku do komina, szukając zapałek, a znalazłszy je, napróżno usiłował wydobyć z nich ogień.

— Ten Lopez musiał je zmoczyć, — rzekł z zasępionem obliczem. Nie mogę już dłużej wątpić: jesteśmy zdradzeni!

Olozaga wyszukał w ciemnościach, które go zewsząd otaczały, swój kaftan i szpadę, a przystąpiwszy szybko do okna, otworzył je i zaczął wołać głosem przytłumionym murzyna. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Tylko na dziedzińcu słyszał wyraźnie coraz bardziej zbliżające się kroki. Olozaga przystąpił do ściany, która go oddzielała od sąsiedniej izby, i zaczął w nią z całej siły walić, starając się tym sposobem obudzić towarzysza i uprzedzić go o grożącem niebezpieczeństwie.

W tej chwili włożono klucz do zamka. Olozaga jednym skokiem znajdował się przy drzwiach z dobytą szpadą w dłoni.

— Śmierć temu, kto pierwszy odważy się o tej godzinie przestąpić próg mego pokoju! — zawołał.

Po tym wykrzykniku nastąpiła chwilowa cisza.

— Kiedyśmy wpadli w jaskinię zbójców, jesteśmy na to mężami, abyśmy się z niej wydostać potrafili! Biada ci, zdradziecki gospodarzu, jeśli kiedy wpadniesz mi w ręce!

Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się otwarły z łoskotem

i przez nie wpadło pięciu ludzi na Olozagę, który szybko odskoczywszy, pchnął jednego z nich szpadą.

— Gdzieście podzieli Serranę, bandyci? — krzyczał. Precz! albo dam pierwszemu z was taką nauczkę, jak oto temu krzywoprzysiężcy karliście, który jak wąż u nóg moich we krwi się własnej tarza!

— Śmierć mu! — krzyknął Józef przytłumionym głosem, by nie zbudzić dwóch oficerów, śpiących w sąsiednich izbach. Muszą wszyscy pojechać do piekła!

Podczas gdy karlista i Józef ze swojemi błyszczącemi szpadami, a po za nimi Lopez i jego parobek z lancą i bagnetem nacierali na oficera królowej, w sąsiedniej izbie dał się słyszeć hałas i głośne tupanie. Topete przez donośnie powiedziane słowa Olozagi: „Gdzieście podzieli Serranę, bandyci!“ został obudzony, słyszał także łoskot spowodowany upadkiem zabitego karlisty i zaczął się czem prędzej ubierać. Czuł on także gwałtowny ból głowy, nie zważał jednak na to, tylko z dobytą szpadą rzucił się ku drzwiom, prowadzącym na dziedziniec.

— Gdzie jesteś, Hektorze? — zawołał; — kto to zamknął? W tem coś niedobrego być musi!

Topete szukał napróżno klucza, a tymczasem słyszał wzrastającą wrzawę, która mu nie pozwalała dłużej zwlekać...

— A niech was krocset djabłów weźmie, wy łotry, coście mnie tutaj zamknęli! Myślicie, że czekać będę, aż na mnie kolej przyjdzie? Wyście umieli znaleźć sobie drogę, ja pójdę za waszym przykładem.

Topete oparł się silnie o drzwi, które po kilku minutach z

trzaskiem wyleciały, wtedy wyskoczył szybko z obnażoną szpadą i udał się prędkim krokiem do miejsca, gdzie Olozaga bronił się z rozpaczą przeciwko nacierającym nieprzyjaciołom.

— A piekielne urwisy, teraz ja was nauczę! — zawołał, i rzucił się, mimo, że naokoło panowała ciemność, ze wściekłością na walczących. Gruby Lopez wydał okrzyk boleści, a jego parobek widząc ranionego swego pana, wyniósł się prędko z izby, zawdzięczając ciemności swe ocalenie. Topete dążył dalej, aby uwolnić Olozagę, który z pozostałym oficerem karlistów walczył na śmierć i życie. Ujrzał nagle przed sobą schyloną postać Józefa, który skierował przeciwko niemu swą szpadę.

— Aha! miałem cię, ptaszku przez cały dzień na oku, — wykrzyknął Topete gwałtownie. Twoja blada, rudobroda twarz z samego zaraz początku nie podobała mi się. Założyłbym się, że to ty jesteś sprawcą tych łotrowskich sztuczek. Otrzymasz za to nagrodę, która ci na całe życie wystarczy!

— Oszczędzaj go, Topete, on jest bratem Serrany, — zawołał Olozaga do gwałtownie nacierającego kapitana korwety.

— Już za późno! Taki hultaj ma być Don Serrany bratem? Chyba szatan włożył jajko bazyliszka do kolebki Don Serrany, — mówił Topete, patrząc na chwiejącego się Józefa, któremu jak się zdawało szpada piersi i łopatki na wylot przeszyła. A ty nie rób tam żadnych ceremonij z tym jegomością, który ci się już za długo opiera.

Topete wytężył słuch, podczas gdy Olozaga zwalił u

swoich nóg karlistę; nagle dźwięk trąbki doszedł do uszu obydwóch zwycięzców.

— Sygnał wojenny wojsk królowej! Co to ma znaczyć? — zawołał Olozaga zdziwiony. Czy nie słyszysz także głosu Prima, który przecież obudził się z letargu? Pójdźmy otworzyć mu drzwi, i pokazać pole bitwy. Przedewszystkiem jednak przyjm moje podziękowanie, Don Topete za twoją pomoc. Najświętszej Pannie niech będą dzięki, żeś się w sam czas obudził. Założyłbym się, że te łotry nam coś usypiającego do wina przymieszały.

— Gdzie jest jednak Serrano? — zapytał sam siebie Olozaga, z przestrachem, podczas gdy Topete Prima uwalniał.

Dźwięki trąbki i uderzenia kopyt zbliżyły się.

— Tutaj massa uwięziony, a może już i zabity! — zabrzmią! gruby, dobrze znany dworzanom głos.

— Wszak to Hektor, mój murzyn! — zawołał Topete, który nakoniec zdołał rozpalić światło w pokoju Prima i z nim podążył po schodach za szukającym Serrany Olozagą.

Głuchy łoskot doszedł do nich, i głos jakby z grobu pochodzący, mieszał się z niecierpliwemi krzykami, które się zewnątrz rozlegały, w jeden chaos, tak, że obydwaj szlachcice wstrzymali się pilnie słuchając, skąd mógł pochodzić ten głos przytłumiony, wołający o ratunek? Olozaga zeszedł ze schodów i usłyszał, przechodząc przez deski leżące w jednem miejscu dziedzińca, wyraźnie głos Serrany. Stanął zdziwiony i rozróżnił następujące wyrazy:

— Podnieś-no te deski do góry, mój drogi Olozago, i pomóż mi się znowu wydobyć na świat boży! Ten

zdradziecki hultaj wrzucił mnie tutaj, ażeby mógł bez przeszkody uwolnić więźniów!

Przy pomocy Topetego, wyciągnięto za pomocą sznura żywcem pogrzebanego Serranę z jego ciemnego więzienia, i pośpieszono otworzyć wrota, do których dobijano się gwałtownie. Hektor był niemało zdziwiony, widząc swego pana i jego przyjaciół w dobrym humorze i zdrowiu, a Topete z niemniejszem zdziwieniem patrzał na ułanów królowej, których zbroje błyszczały w porannych promieniach słońca.

— O massa, Hektor przyprowadził ci pomoc!

— Co? tyś był jeszcze dzisiejszej nocy w Madrycie?

— Tak, massa, w Madrycie i znowu z powrotem! Młoda, piękna królowa posłała żołnierzy!

Serrano i Olozaga spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

— Za późno przybyliście, ulani, — zawołał Topete, jużeśmy się rozprawili z łotrami!

— O biedni żołnierze! kiedy za późno przybyli, nie otrzymają tysiąca sztuk złota od młodej królowej zawołał smutnym głosem Hektor, który z wielką przyjemnością zauważył pośpiech żołnierzy, w istocie jeszcze przed nastaniem dnia przybyłych do ustronnego domu.

— Tysiąc sztuk złota otrzymacie zuchy w każdym razie, rzekł Topete; myśmy tylko robotę ułatwili!

Podczas kiedy szmer radości i zdziwienia rozległ się w szeregach ułanów, zapytał Serrano stojącego obok niego Olozagi:

— Wyście się ze wszystkimi ułatwili? Miałżeby być i Józef?...

— Tak, został trafiony w ciemności, moje ostrzeżenie przyszło za późno! Ale pociesz się Franciszku, pomnąc na to, że on trzymał z naszymi nieprzyjaciółmi.

Prim położył rękę na ramieniu zasmuconego przyjaciela.

— Szlachetna duszo, mówił, nie smuć się, że zdrajcę spotkała zasłużona kara. Musiałeś pewnie wiele od niego wycierpieć!

Franciszek pośpieszył w towarzystwie Prima i Olozagi do zakrwawionego pokoju, w którym oświecone porannem słońcem cztery ludzkie ciała leżały.

Józef nie mógł już drżącego ze wzruszenia Franciszka zawiadomić o losie, jaki spotkał Henrykę i jej dziecko.

— Spieszmy się do Madrytu, mój przyjacielu, przerwał nareszcie Olozaga. Już ja się o to postaram, żeby ten dom jeszcze dzisiaj był zajęty przez policję jako własność miasta i żeby trupy zostały po chrześcijańsku pochowane.

Franciszek pośpieszył zmartwiony za swoimi przyjaciółmi. Żeby Józef nawet więcej mu krzywd wyrządził, w tej chwili czułby ten szlachetny brat jeszcze żal po jego stracie.

Oficer od ułanów przywitał z uszanowaniem czterech przyjaciół, którzy w całej swej powierzchowności i ubraniu nosili ślady przebytych walk i niebezpieczeństw.

W kilka minut później przebywali oni w pełnym galopie wąwóz de los Picos, dążąc do stolicy, do której szczęśliwie po czterogodzinnej śpiesznej jeździe przybyli. Kiedy przebyli już dziedziniec zamkowy, adiutant zameldował królowej Izabelli, że szlachcice jej gwardji, po stoczeniu kilku szczęśliwych potyczek, w dobrym stanie przybyli do

Madrytu.

— Niechaj będą dzięki Najświętszej Pannie! wyrzekła po cichu królowa, a potem dodała głośno: Chcę mówić z tymi walecznymi; jak tylko otrzepią się z kurzu podróży, oznajmisz im pan moje żądanie! Nie ma zaszczytu, który byłby za wielki dla takich oficerów mojej armji!

A w samotnym domu leżącym u spodu góry, po oddaleniu się jeźdźców, podniósł się ostrożnie jeden z mniemanych zabitych, z twarzą dziwnie od bólu i jakiemś piekielnem szyderstwem skrzywioną. Był to Józef. Wytężył ucho, słuchając, czy oficerowie, którzy go za umarłego mieli, już się oddalili.

— Wam toby się pewnie podobało, wy łatwowierni głupcy! Józef nie ma czasu umierać, ma jeszcze wiele do czynienia na tym świecie! Ale jeżeli kiedy wpadnięcie w moje ręce, to postaram się was lepiej niż wyście mnie poczęstowali!

Topete walcząc w ciemności sądził, że przeszył Józefowi piersi, podczas kiedy szpada przeszła tylko przez ramię, nie naruszając szlachetniejszych części. Czuł on teraz tylko silny ból i lekką febrę przebiegającą mu po ciele; w kilka tygodni jednak mógł się spodziewać, że przyjdzie do zupełnego zdrowia.

Ale obaj karliści i gruby Lopez leżeli na ziemi nie dając znaku życia.

— Mało dbam o was, kiedym tylko z tej awantury uszedł cały. Ha, ha! cóż dopiero za miny będzie stroić mój braciszek, kiedy nagle jakby zmartwychwstały mu się ukażę! Tak, tak, musicie rozćwiartować Don Józefa, a i

wtedy jeszcze nie będziecie pewni czy umarł!

1. ↑ Władczyni, królowa.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XVI.

FABRYKANTKA ANIOŁÓW.

W bliskości Plazza Pedro, przedmieścia Madrytu, leżała wąska, odludna ulica prowadząca do Manzanaresu, szeroko w tej części miasta rozlewającego swoje czarne wody.

Brzeg z obydwóch stron nie jest brukowany, a w nocy panuje zupełna ciemność, gdyż te okolice nie są oświetlone. Idąc tym brzegiem, spotykamy małe, niskie, na wpół zniszczone domy, kryjówki manol i przestępców, którzy we dnie tam jakby umarli spoczywają, a dopiero z nastaniem nocy wysypują się stamtąd na znaczniejsze ulice miasta, wystrojone dziewczęta i obdarci rzezimieszkowie, dla prowadzenia swego występnego rzemiosła.

Ta obumarła, samotna okolica nazywa się Prado Bermudez, jakby przez szyderstwo dla odwiedzanego przez grandessę przepysznego Prada, leżącego w środku Madrytu.

To puste Prado Bermudez zawdzięcza prócz tego nazwisko i tej okoliczności, że ostatni tam leżący dom albo raczej stodoła jest własnością kata. Już od wieków było to dziedzictwo familji Bermudezów, w której krwawy urząd z ojca na syna spływał, skoro ten mógł złożyć dowody dostatecznej wprawy, a o tę wprawę starał się każdy ojciec, dając swemu następcy nietylko nauki i rady zebrane własnem doświadczeniem, ale robiąc z nim także rozmaite

ćwiczenia, któreby każdego patrzącego mogły przejąć przestrachem i zgrozą.

Wejdźmy w to opustoszałe, nędzne domostwo, ażeby się tym ćwiczeniom przypatrzyć, a wtedy nas nie będzie dziwić ta zimna spokojność i niczem niewzruszona obojętność, z jaką stary Bermudez przyprowadzane mu ofiary zabijał.

Dziedzictwo kata było z jednej strony oblane czarnemi wodami Manzanaresu, a z trzech innych stron wysokim z desek ogrodzone parkanem. W nim znajdowały się szerokie, zaryglowane drzwi, które stary Bermudez sam otwierał i zamykał, kiedy kto do niego z jakiemś poleceniem lub interesem przychodził. Po za parkanem znajdowało się puste podwórze, na którem leżało mieszkanie kata, wygodnem urządzeniem, jak się zdawało, nic do życzenia nie zostawiające. Na wysokich, jasnych oknach stały doniczki z kwitnącemi kwiatami, a w pokojach znajdowały się miękkie fotele i staroświeckie kosztowne meble. Żadna rozkosz nie dawała się być mieszkańcom tego domu obcą, żadne żądanie nie zostawało bez spełnienia, a mimo tego czegoś im brakło, czego nie mogli za żadną cenę złota nabyć, czego temu przesądem i przestrachem otoczonemu domowi żaden przywilej, żaden wewnętrzny przepych nie mógł nagrodzić: sprawiedliwości, miłości i szacunku współobywateli. Kat zostawał zawsze wzgardzoną, odtrąconą i wzbudzającą postrach istotą; wyrobił też się w nim charakter surowy; nie łatwo mógłbyś znaleźć drugiego takiego majstra w jego krwawem rzemiośle, jakim był stary Bermudez.

Przeszedłszy przez tylne drzwi domu na drugie

podwórze, dopiero się spostrzegało u kogo się znajduje. Pobryzgane w różnych miejscach kroplami krwi deski i belki rusztowania, stały poustawiane ze wzorowym porządkiem z jednej strony, a z drugiej stały teraz już więcej nieużywane koła do rozbijania kości, a nad niemi wisiało czarne sukno. Obok tego leżały postronki, drabiny, gładkie pieńki, dwukołowe wózki i inne wzbudzające nieprzyjemne uczucie przyrządy.

Tył drugiego podwórza zajmowała niska, szeroka budowla, dzieląca się na dwa oddziały. W pierwszym oddziale spostrzegamy sześciu brudnych i wstrętnych pracowników kata grających w karty. Ponure i brodate oblicza śledziły z dzikością za losem gry, i często musiała potężna, żylasta pięść mistrza zaprowadzić między niemi porządek i zgodę.

Drugi oddział służył za miejsce ćwiczeń dla wzrastającego syna kata; tu już od setek lat ojciec swego następcę wprawiał do krwawego rzemiosła. Także i stary Bermudez, którego mistrzowskie sprawienie się z generałami Leonem i Borsą widzieliśmy, miał syna, którego on jako swego następcę wychowywał, zaprawiając go i objawiając mu tajemnice rzemiosła, wszak można być równie dumnym będąc dobrym oprawcą, jak się jest dumnym — wszystko w swoim rodzaju! — będąc dobrym królem.

To ponure, niskie miejsce wydawało się jeszcze straszniejszem, będąc słabo oświecone lampą, palącą się bez przerwy dzień i noc u sufitu, gdyż w tem miejscu wystawiane były przez trzy dni ciała samobójców. W

pierwszym dniu zjeżdżał się tu sąd dla spisania protokółu, drugiego dnia ciała mogły być przez krewnych i znajomych odwiedzane, a w trzecim zostawały własnością kata.

Bermudez udał się, prowadząc swego syna do tego ponurego miejsca. Pomocnicy umocowali na środku jeden z niskich pieńków, tak aby światło lampy wprost na niego padało i wlekli jednego trupa po drugim, kładąc jego głowę do otworu na ten cel wyżłobionego w pieńku, ażeby syn Bermudeza w obecności ojca na nich się wprawiał.

Oto jest straszliwe ćwiczenie w krwawem rzemiośle kata! A jednak było to konieczne, gdyż w przeciwnym razie byłaby godzina śmierci skazanych jeszcze straszliwszą, męczarnia jeszcze dłużejby trwała!

Stary Bermudez stoi niewzruszony pomiędzy swymi pomocnikami i drżącym synem; ciągle i wiecznie powtarza, że on jest tylko wykonawcą sprawiedliwości, nic więcej! Stary Bermudez wykonywał ją też bez drgnienia oka, i jakeśmy widzieli, z najzimniejszą krwią, bez żadnego wzruszenia; ale gdyby mu miliony ofiarowano za spełnienie jednego niesprawiedliwego zabójstwa, stary Bermudez odrzuciłby je ze wzgardą. Nigdy jeszcze ręka jego nie splamiła się żadnym złym czynem, nawet nigdy myśl nie powstała w jego głowie, nigdy nie czuł najmniejszej skłonności do popełnienia jakiegoś przestępstwa; on jest katem, ale ma prawy charakter. Ma on jedynego tylko syna, ale wszak i on był jedynym synem swego dawno już zmarłego ojca, jedną tylko miał siostrę, ona żyła jeszcze, żyła bardzo blisko niego, a mimo tego mawiał z żelazną spokojnością:

— Ja miałem siostrę!

Z posiadłości kata można widzieć małą wysepkę, ocienioną niskiemi palmami i drzewami aloesu wyrastającemi niby z czarnych fal Manzanaresu. Tam znajdowała się mała, ukryta między drzewami chatka. Na płaskim brzegu wyspy, pomiędzy krzakami było skryte małe czółenko. Nikt do tego ustronia nie zajeżdżał, nikt nie zwracał uwagi na małą, cichą wyspę. Prado Bermudez jest odludne, mała liczba jego mieszkańców miała dosyć zajęcia dla zapewnienia własnej egzystencji, i nie zajmowała się małą chatką na wyspie, kędy żyła jednooka kobieta, o której nigdy nie słyszano i której nigdy nie widziano, a której stosunki z drugim brzegiem i z ludźmi chyba się pod zasłoną nocy ułatwiały:

Ta stara, jednooka kobieta jest siostrą kata.

Marja Bermudez, teraz brzydka, zgarbiona starucha, była w swej młodości piękną, ujmującą dziewczyną. Podczas gdy jej brat ćwiczył się pod dozorem ojca w rzemiośle, otrzymała Marja staranne wychowanie. Pewien bogaty, pochodzący z dobrej familji młodzieniec rozkochał się w niej i ożenił się z nią nie zważając na stan jej ojca.

Młody, bogaty Nepardo zaślubił córkę kata i przeżyli kilka szczęśliwych lat ze sobą, kiedy zobaczyli ze smutkiem, że ich związek był bezdzietnym.

Stary Bermudez umarł, syn jego, który obecnie także już jest starcem, objął po nim jego urząd i pocieszał jak mógł siostrę co do przyjścia na świat potomka.

Marja Nepardowa jednak czuła, że w niej powstaje podejrzenie, które z dnia na dzień jak dusząca zmora, jak

straszliwy polip wzrastało: że ją małżonek zdradza i że kocha inną kobietę.

Pewnej nocy czuła się być jakimś złym przeczuciem obudzoną. Nepardo dopiero co wrócił do domu; czekała dopóki on położywszy się nie zasnął twardo. Wtedy podniosła się pocichu, dysząca morderstwem. Czy to żądza krwi, czy jakiś wrodzony pociąg do morderstwa spłynął na nią z ojca, niewiadomo. Dosyć, że nie mogła się oprzeć jakiemuś obłędowi i zbliżywszy się na palcach do łoża niewiernego jej Nepardy, zadusiła go własnemi rękoma.

Wtedy uciekła do swego brata, kata Madrytu, i powiedziała mu z bezczelnością i przechwałką straszliwy czyn zemsty.

Policja zaczęte poszukiwać zbiegłej żony zamordowanego Nepardy. Bermudez widział już zbliżający się okropny dzień, w którym będzie zmuszony zawieść swą siostrę na Plazza Pedro: słyszał już rozlegające się około niego, straszliwe, szydercze słowa:

— Patrzcie, jak kat ścina własną siostrę!

Było to dla niego, nieugiętego Bermudeza ciosem, którego by nie mógł znieść, ale i ta kobieta, która się jego siostrą nazywała, która mogła bez wzdrygnięcia małżonka swego własnemi rękoma zadusić, ta hjena, nie powinna była ujść zasłużonej kary. Bermudez śpieszył pewnego wieczoru, późną godziną, owinięty płaszczem do zamku, podczas gdy pachołkowie policyjni czekali na podwórzu jego domu, dla zaprowadzenia morderczyni do więzienia, po jego powrocie. Niedawno przedtem król Ferdynand VII, który kata lubił i często go używał, obiecał mu spełnić

jakąbądź łaskę, której zażąda; wtedy nic jeszcze nie miał do proszenia! Dzisiaj stanął nagle z prośbą przed okrutnym, oddanym zwierzęcym namiętnościom władcą.

— Upraszam jako o łaskę, rzekł on, ażeby kobieta, która zadusiła swego małżonka, nie poniosła śmierci na szafocie, ale żebym mógł ją ukarać wedle woli!

— Będzie twa prośba spełniona; ale jakże ją myślisz ukarać?

— Najstraszliwiej, ażeby sprawiedliwość na tem nie cierpiała. Tę kobietę jeszcze dzisiejszej nocy własnemi rękoma oślepię!

— Sprawiedliwie, zawołał król; ale któż jest ta kobieta?

— Córka mego ojca, odpowiedział Bermudez pochmurno.

Ferdynand siódmy, ten oprawca na tronie, z doskonałego konceptu swego brata głośno się roześmiał.

Tej samej nocy, po oddaleniu się policji, kazał Bermudez swoim pachołkom Marję Nepardową zaprowadzić do odludnego słabo lampą palącą się u sufitu oświeconego budynku, w którym ćwicząc się zaprzysiągł swemu ojcu wiernie i bez wzdrygnięcia sprawiedliwości służyć.

Stał on tam zimny i niewzruszony jak mściciel z drugiego świata, podczas gdy pachołkowie ciągnęli wyrywającą się z krzykiem hjenę, która jego rodzoną siostrą była, dobrze znanego jej miejsca.

Bermudez nie znał wtedy siostry; kobieta którą pięciu czerwono ubranych pachołków trzymało, była dla niego tylko Marją Nepardową, która swego małżonka we śnie udusiła, i która miała za to zasłużoną odebrać karę.

— Przywiążcie ją do pieńka, twarzą do góry! rozkazał mocnym głosem.

Pachołkowie z podziwieniem spojrzeli na swego mistrza.

— Co ty chcesz ze mną zrobić? zlituj się, okrutniku! — zawołała Marja w śmiertelnej trwodze, starając się wyrwać wszystkiemi siłami z rąk straszliwych ludzi: mamże ja patrzeć jak ty topór na mnie spuścisz? mamże widzieć, jak mnie rodzony brat zabija?

Bermudez nie odpowiedział ani słowa; ręką tylko wskazał pieniek stojący na środku pod lampą, oświecającą to straszliwe miejsce. Pachołkowie obaliwszy krzyczącą kobietę na ziemię, przywlekli ją do pieńka, i włożyli jej szyję w wyżłobienie, tak, aby twarzą była obrócona do sufitu.

W tej chwili wszedł jeden dotąd nieobecny pachołek, zbliżył się szybko do mistrza i oddał mu długie, rozpalone do białości żelazo.

Straszny, konwulsyjny krzyk wydały usta Marji Nepardowej, która będąc rękoma oprawców jakby żelaznemi kleszczami trzymana, wiedziała dobrze co ją czeka.

— Niegodziwcze, chcesz mi oczy wypalić! krzyczała w najokropniejszym przestrachu.

Bermudez wziął od pachołka rozpalone żelazo, i trzymając za drewnianą rączkę, z żelazną spokojnością przystąpił do silnie trzymanej Marji Nepardowej i pewną ręką przyłożył żelazo do jej prawego oka. Okropny konwulsyjny jęk dał się słyszeć, a potem krzyk taki przeraźliwy, jaki tylko piersi ludzkie w ostatniej rozpaczy

wydać mogą; sam nawet Bermudez był nim wstrząśnięty.

Czarna, zakrwawiona wklęsłość była w tem miejscu, gdzie przed chwilą śliczne czarne oko błyszczało. Ale dopiero połowa kary była wykonaną!

Zdawało się, że okropny ból udzielił nadludzkiej mocy Marji Nepardowej; udało jej się zerwać krępujące ją rzemienie, i już się chciała ostatniem wysileniem uwolnić, kiedy rozpalone żelazo po raz drugi kierowane Bermudeza ręką dotknęło jej lewego oka.

Boleścią, wściekłością i śmiertelną rozpaczą przejęty głos rozległ się; taki krzyk tylko warjaci w szaleństwie mogą wydać; oprawcy nie mogli oślepionej dłużej utrzymać; wyskoczyła, zapomniawszy, że jej najdroższy skarb człowieka, wzrok odebrano; po kilku krokach potknęła się będąc zewsząd otoczona ciemnością; po chwili zerwała się znowu otarła krople krwi spływające po jej twarzy, przyczem wydała urywany okropny krzyk boleści, i z wyciągniętemu rękoma, po omacku przebyła podwórze, furtkę, pędząc nad brzeg Manzanaresu. Dopiero teraz spostrzegła mimo okropnych boleści jakie cierpiała, że Bermudez nie trafił w lewe oko, że jego żelazo dotknęło się tylko niższej powieki i tę okropnie poparzyło; Marja Nepardo wydała, mimo tortur jakie jej ból sprawiał, okrzyk radości, że widzi jedno oko swoje ocalone.

Bermudez wyszedł z miejsca egzekucji ze spokojnością i zadowoleniem jak człowiek, który spełnił swoją powinność. Jednooka osiadła wkrótce po opisanej przez nas scenie na wyspie Manzanaresu naprzeciwko domostwa kata, i często dolatywał Bermudeza szalony, okropny śmiech. Marja

Nepardowa zawiadamiała swego brata, że jeszcze żyje, że naigrawa się z niego, że jej lewe oko było mimo jego woli zostawione.

Dziesiątki lat od tego czasu upłynęły, śmiech przestał już się powtarzać. Bermudez był starcem, jednooka Nepardowa została starą, zgrzybiałą pustelnicą, żyjącą na wyspie z dala od ludzi, których się bała i nienawidziła. Ta niegdyś tak zachwycająca, śliczna Marja, była teraz obrzydliwą, wzbudzającą przestrach babą, z czarnym plastrem na prawem oku. Twarz jej była poorana zmarszczkami, a lewe oko otoczone blizną błyszczało z podełba chytrze i złośliwie. Ta jednak Nepardowa była znana w pewnych wyższych sferach Madrytu, pod dziwnem i tajemniczem nazwiskiem: nazywano ją fabrykantką aniołów. Ażeby się dowiedzieć skąd to nazwisko wzięło początek, musimy się przeprawić przez czarne wody Manzanaresu, do wyspy jednookiej kobiety.

Wieczorem, raz po wyjściu na płaski brzeg pokryty drzewami i krzakami, spostrzegamy w oddaleniu ukrytą w gęstwinie małą chatkę, niezgrabnie z gliny i kamieni ulepioną, pokrytą dachem z sitowia i trzciny. Przez drzwi stojące otworem spostrzegamy starą jednooką Nepardową zapalającą lampę, rzucającą zaledwie słabe światełko. W ciemnościach znajduje ona przyjemność, noc jest jej najulubieńszą porą: sprzyja zamiarom i postępkom takich istot, które się fabrykantkami aniołów nazywają.

Na ubogiem posłaniu ze słomy, leżącem około jednej ściany, spostrzegamy przy świetle, które rzuca paląca się lampka, trzy albo cztery wystające przedmioty, przykryte

starą płachtą. Przystąpiwszy bliżej i odrzuciwszy przykrycie, poznajemy ze zgrozą, że temi wypukłościami są małe, wynędzniałe dzieci leżące na wpół zgniłym barłogu. Na ich zapadłych i pokrytych śmiertelną bladością twarzyczkach stoi wyraźnie wyryty wyrok: że niedługo spoczną snem wiecznym, że niedługo skończą się ich cierpienia. Ich wątłe, ze skóry i kości składające się ciałka, nie mają innego okrycia, prócz tej starej podartej kołdry, która zakrywając im twarze, nie daje nawet swobodnie oddychać. Stara Nepardowa nie miała nigdy własnych dzieci; zwykła mówić, że biorąc na wychowanie do siebie cudze dzieci, robi ze swej strony największe poświęcenie.

Zacne Donny odwiedzają starą jednooką, ażeby jej powierzyć natrętne dowody swoich błędów, ażeby oddanych jej na wychowanie biednych istot, które przez grzech swych matek życie otrzymały, więcej nie odebrać. One dobrze o tem wiedzą z góry; mimo to każda gorącemi słowy, ze słodkim uśmiechem na ustach, prosi o jak największe staranie i największą pieczołowitość dla powierzonego jej dziecka, wtykając przytem worek dobrze dukatami naładowany do ręki starej hjeny.

Z dzikim uśmiechem na swej wychudłej, straszliwej twarzy, obiecywała ona każdej ze swoich wielmożnych klientek, które mimo polecających słów i rozkazów, doskonale rozumiała, jak najstaranniejszą opiekę dla nowonarodzonego, a po pewnym czasie, ze smutną miną zawiadamiała przychodzącą do niej dowiedzieć się o swoje dziecko Donnę, że Najświętszej Pannie podobało się powołać je do liczby aniołów. Znowu dobrze napchany

worek wynagradzał ją za tyle podjętych trudów, i ślad występku już był zmazany, nie egzystował więcej!

Sprawiedliwość wprawdzie pociągnęła do odpowiedzialności starą Nepardową, obwiniając ją o zniknięcie wielu dzieci, ale nie było dowodów, jakaś niewidzialna ręka ją uwolniła i mogła dalej bez przeszkody prowadzić na wyspie Manzanaresu czynność fabrykantki aniołów.

Jednooka postawiła lampę na kominie, znajdującym się w jednym kącie tej ubogiej chatki. Na lewo od niego spały nieszczęśliwe, oddane jej opiece dzieci, które miały niezadługo liczbę aniołów powiększyć. Na prawo wygodne łóżko, miękkiemi materacami wysłane, pokazywało, że jednooka lepiej o swoich wygodach umie pamiętać, i że nie ma ochoty powiększyć sobą liczbę furji piekielnych, do których już dawno tutaj na ziemi się liczyła. Drewniany stół i kilka słomą wysłanych krzeseł dopełniały zakrawającego na zbytek umeblowania tej chałupy. Sama była ubrana w brunatnego koloru płaszczyk i wypłowiałą jedwabną suknię, podarunek jednej z wielmożnych Donn.

Stara przyklękła na podłodze, zagłębiła swoje suche, kościste palce w szparę znajdującą się koło ogniska i wydobyła z niej woreczek, który zaczęła rozwiązywać przy migocącem świetle lampy. Pozostałe oko starej Nepardowej silniej zabłysło, na jej szkaradnej twarzy osiadł uśmiech zadowolenia, kiedy z niepozornego woreczka zaczęły jedne po drugim złocistym brzękiem spadać dukaty, które ona każdy z osobna brała na rękę i ważyła, pieściła je, cierpiąc przytem okropnie, że tylko jedno oko dla lubowania się

swym skarbem miała.

— Czerwone złoto, czerwone złoto! mruczały jej bezzębne usta, czyste, prawdziwe, błyszczące złoto, za którem się wszyscy uganiają, które wszystkiem rządzi! A ty oprawco tam z przeciwka, ty nędzny Bermudezie, ty łajdaku, czem ty jesteś w porównaniu ze mną? — Żebrakiem przy wszystkich twoich egzekucjach? Ty masz do czynienia z dużymi i sprawiasz się prędko; ja zaś mam sprawę z małemi i męczę je powoli, na ostatek wychodzi to na jedno! Czerwone złoto, jakąż ulgę sprawiasz spragnionej duszy ludzkiej! Nigdy ona zupełnie tobą nie będzie nasycona, ciągle więcej, ciągle więcej cię mieć i lubować cię ciągle twym blaskiem, jest to największa rozkosz na świecie!

Jedno z nieszczęśliwych dzieci odezwało się tak żałosnym, tak uskarżającym się głosem, że każda inna ludzka istota byłaby nim do głębi poruszoną; ale stara czarownica tylko kołdrę wyżej na płaczące dziecko podniosła, ażeby przez to głos jego przytłumić.

— To chłopiec Donny Elpardos; mówią, że jego ojcem ma być pobożny ojciec Matteo, wszechwładny dominikanin; piękna Donna z dworu Marji Krystyny tylko z pobożnymi panami trzyma, i dobrze na tem wychodzi, otrzymuje bowiem z góry zgładzenie grzechu, który popełnia! No, Donno Elpadros, tej nocy pójdzie twój chłopiec do aniołów, nie mylę się wcale!

W tej chwili, kiedy jednooka chciała wrócić do komina, ażeby przy blasku lampy jeszcze raz przeliczyć i nacieszyć się złotem, zdawało się jej, że doszedł do niej jakiś hałas ze

strony wody. Stanęła słuchając, i po chwili rozróżniła wyraźne uderzenie wiosła. Prędko pozbierała dukaty, zsypała do worka i przezornie schowała w szparze.

— Czółno płynie, będzie wizyta! One wszystkie wiedzą, że stara Nepardowa umie być użyteczną!

W istocie zbliżały się do chaty jakieś lekkie stąpania, a po chwili dał się słyszeć szelest jedwabnej sukni. Jednooka z ciekawością spojrzała na drzwi chaty i wyszła naprzeciw nowoprzybyłej, która szybkim krokiem zbliżała się do progu, niosąc jakieś zawiniątko na ręku. Była ona otulona w szerroką ciemnego koloru mantylę i miała twarz zasłonioną gęstym welonem, tak, że fabrykantka aniołów nie mogła jej dojrzeć. Tyle jednak stara zobaczyła, że od razu poznała, iż ma do czynienia ze znakomitą młodą damą, a jej kościste palce ściskały się na wspomnienie nowego złota.

— Marjo Nepardo, bogata i można Donna przybywa do ciebie ze zleceniem! rzekła przytłumionym głosem nieznajoma.

— Niechaj wszyscy święci mają cię w swej opiece, szlachetna Donno. Możesz bez obawy i przeszkody mówić, nikogo tu nie ma na tej wyspie, prócz mnie i tych miłych dziatek! mówiła jednooka z uprzejmą miną i wzbudzającym zaufanie głosem, podając nieznajomej stołek i zamykając drzwi za sobą.

Donna uchyliła cokolwiek mantyli i welonu tak, że można było obaczyć jej królewską postawę i nadzwyczaj delikatną cerę twarzy.

— Jeśli będziesz mi wierną i niegadatliwą, to twoje usługi na wagę złota opłacę. Oto weź tymczasowo to, co

moim słowom więcej doda wiary! mówiła nieznajoma zimnym głosem, który okazywał, że do rozkazywania była przyzwyczajona.

Jednooka przyjęła bogaty dar z dziwnym chychotem i palcami drżącemi z radości.

— Rozkaż tylko, objaw mi twoje żądanie szlachetna Donno, a jakiekolwiek ono będzie, stara Nepardo je wykona! O, jakże jesteś wspaniałą! tyś od razu zgadła, czego stara samotnica pragnie i żąda! Co cię martwi, co ci jest na drodze, opowiedz mi wszystko wiernie, twoje żądanie, twoje nazwisko, wszystko, stara Nepardo jest milcząca jak grób!

— A więc słuchaj! Dziecko, które mam tu pod mantyllą, jest dziewczynką i...

— Mam wziąć na wychowanie? O, piękne, miłe dziecko! mówiła jednooka z dziką radością, sięgając po niemowlę: daj mi je!

— To dziecię jest mi droższe nad wszystko. Marjo Nepardo, oddaję je pod twoją opiekę nie dla tego, abyś się z niem tak obchodziła jak z temi podrzutkami, które tam w pół żywe na słomie leżą; tylko aby u ciebie, zdala od świata, dla mnie się wychowywało! Biada ci, jeżeli gdy ja znowu po dłuższym lub krótszym czasie zażądam, odpowiesz, że ono między aniołami przebywa! Biada ci, jeśli nie będziesz go jak oka w głowie strzegła! Jeżeli jednak uczynisz to, co ja ci rozkażę, to się możesz spodziewać, że cię bogata nagroda za twe trudy i starania nie minie.

— Stanie się stosownie do twego życzenia, szlachetna

Donno! Ta dziewczynka jest mi odtąd drogą i spodziewam się, że będziesz ze mnie zadowoloną, kiedy po upływie jednego roku i jednego dnia, przybędziesz znowu dla odebrania go! odpowiedziała stara.

— Czy ją sama odbiorę, i kiedy ją odbiorę, o tem ci dzisiaj jeszcze nic nie mogę powiedzieć, ciągnęła nieznajoma dalej; tylko to jeszcze jedno zauważ sobie dobrze Marjo Nepardo! Widzisz ten pierścionek? nie zapomnij go, wpatruj mu się tak długo, dopóki ci się w pamięci nie utwierdzi: szmaragd otoczony brylantami, w pośrodku szmaragdu wyryta litera G. z królewską koroną u wierzchu.

— Litera G. z królewską koroną u wierzchu! powtórzyła z zadziwieniem stara jednooka, okazując oznaki największego szacunku tej, którą od tej chwili sądziła być bardzo wielką damą, a może nawet królową.

— Gdyby ktoś, ktokolwiek to był, ten pierścionek ci przyniósł to ma być dla ciebie znakiem że tego dziecięcia nie chcę więcej oglądać. Wszak rozumiesz mnie?

— O, słowo w słowo! Spuść się na to jaśnie wielmożna Donno, że stara Nepardowa wszystkie twoje rozkazy punktualnie wykona. Śmiem się jednak jeszcze spytać — jak mam to dziecię nazywać?

— Nazywaj je Marją, Marją Henryką! Jednak wołaj tylko na nią Marjo, to ci rozkazuję, nazwisko ojca nie powinno cię obchodzić, tyś powinna tylko znać moją wolę i ten pierścionek, któryś widziała! Nie zapomnij: szmaragd z koroną...

— I z literą G., dokończyła stara; moja pamięć jest

jeszcze młodą jaśnie oświecona Donno!

Nieznajoma podała dziecko starej Nepardowej i wpatrywała się długo w śliczną dziewczynkę, która na nią niewinnie swemi dużemi oczami spoglądała.

— Do widzenia, Marjo Nepardo! odezwała się nakoniec zimnym głosem, dając jej piękną, jakby z marmuru wyrzeźbioną ręką znak pożegnania i odeszła śpiesznie za próg, podczas gdy jednooka, ze starości już i tak pochylona, robiła najniższe ukłony nieznajomej, chcąc ją odprowadzić za drzwi.

— Zostań! — odezwała się tamta nie chcąc być dłużej przez jednooką widziana.

Księżyc rzucał jasne światło na piękną i wysmukłą postać śpieszącej do brzegu nieznajomej. Powietrze w chacie było tak zepsute, że obejrzawszy się czy jednooka weszła już do chaty, odsłoniła na minutę welon, chcąc swobodnie odetchnąć świeżem powietrzem.

Księżyc rzucając jasne promienie przez korony palm oświecił cudownie piękną, jakby z marmuru wyrzeźbioną twarz nieznajomej.

— Hrabina genueńska, która przez kata żelazem piętnowana była, będzie was wszystkich mieć w swej mocy! wymówiła cichym, zaledwie dosłyszanym głosem; potem zapuściwszy welon, zbliżyła się szybkim krokiem do gondoli, która ją miała na drugi brzeg przewieźć.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XVII.

HENRYKA I AZZO.

Gdy w nocy cygani w pośród jękliwych narzekań i dziwnie brzmiących śpiewów, pogrzebali poległych współtowarzyszy w nurtach jeziora Gudarama, pełen troskliwości Azzo klęczał obok białej kobiety, która nie odzyskała dotąd przytomności od chwili śmiertelnej trwogi, w której ujrzała się pochwycona pożądliwemi ramionami Józefa. Gorączka w rozpalonych rumieńcach wystąpiła na jej lica, jej usta kurczowo się poruszały, a troskliwy Azzo ani na chwilę od niej nie odstępował. Wodą przez starą Zyrrę poświęconą ochładzał jej czoło i kroplami wpuszczał w rozpalone usta i na suchy język napój, który świadoma rzeczy matka cyganów dla pięknej białej kobiety przygotowała.

W kilka dni później i Zyrra klęczała przy łożu usłanem z mchu i gałęzi w cieniu starych buków; stary król cyganów, który tak długo nie uważał na przestrzelone ramię swoje, uczuł w niem na raz tak strasznie kolący ból, że zerwał koszulę z mocno napuchłego ramienia, i zacisnąwszy zęby, wskazał starej Żyrze to zapalenie do wyleczenia.

Matka cyganów krzyknęła najmocniej przerażona, bo poznała, że rana czernieć poczyna; przeniosła zatem króla na szybko przygotowane łoże, ażeby całe ciało spokojnie

leżeć mogło, i szukała w pamięci najlepszego środka przeciw rozszerzaniu się zapalenia. Stara Zyrra znała tajemnice przy rody, oraz rośliny i korzenie tak dokładnie, iż prawie nie było choroby, na którąby nie znała środka; lecz gdzie tak jak tutaj niebezpieczeństwo za daleko już zaszło, gdzie krew zaczynała się już zatruwać, wtenczas należało czemprędzej przychodzić z pomocą, bo inaczej wszystko było stracone.

Poznała to stara Zyrra, szukała więc chłodzących ziół dla rany, lecz także z zapasów przyrządziła mocną herbatę do picia i używała całej swojej sztuki, by przynieść ulgę wytrwale ból znoszącemu cygańskiemu królowi.

Ale i czuwający nad Henryką Azzo otrzymywał od niej ciągle dobre rady i chłodzący napój. Dręczona gorączką, chora zaczynała majaczyć i często z otwartemi pałającemi oczami wymawiała słowa, których Azzo nie rozumiał.

— Litości, Don Miguelu, litości! jęczała. Przekleństwo twoje ściga mnie i moje niewinne dziecię aż do końca świata! Ja unikać będę Delmonte, żebrać pójdę, tylko cofnij to okrutne przekleństwo! Ten jest święty, a tamten, Józef, to szatan. Wyciąga do mnie swoje pożądliwe ręce, na których są ślady zastygłej krwi, on sięga po moje dziecię, po dziecię Franciszka — swojemi krwią zbroczonemi palcami — litości!

Zbladły i boleść białej kobiety podzielający Azzo, dopiero teraz przekonał się, iż jej dziecko zginęło! Choćby zatem wyszła z tej śmiercią grożącej gorączki, to pierwsze jej pytanie będzie:

— Gdzie moje dziecię?

A Azzo nie miał żadnej odpowiedzi na to z pośpiechem i miłością rzucone pytanie i musiał jej powiedzieć:

— Biała kobieto, dziecię twoje przepadło!

Taka odpowiedź byłaby zabójczą dla rekonwalescentki. Azzo namyślał się, chciał szukać dziecka, potem przypomniał sobie, że pozostało przy ogłuszonym Józefie; ten śmiertelny nieprzyjaciel zapewne porwał je, bo Azzo z radości, że Henrykę ocalić zdołał, o reszcie zapomniał.

Mimo to jednak pobiegł nad brzeg rzeki do miejsca, w którem owego poranku znalazł bezprzytomną; ale Józef uszedł, a z nim i dziecko.

Wrócił więc do posłania dziko marzącej, aby przynajmniej ją uratować, ją, którą kochał, dla której wszystko z radością gotów był poświęcić, bo kochał ją bardziej niż ojca, który tam dalej wił się w boleściach, bardziej niż życie, a jego ognista cygańska dusza z pałającą, wszystko przemagającą siłą, dopiero teraz to uczuła.

Nazajutrz poważna i milcząca Zyrra wezwała czuwającego Azza do łoża ojca. Musiała wyznać sobie i jemu, że żadna sztuka, żadna tajemnica natury nie zdoła powstrzymać postępu gangreny, która już doszła do ramienia; że król cyganów mimo siły ciała, mimo upodobania w koczującem życiu, szybko zdąża ku swojej ostatniej chwili. Skinął na swojego jedynaka, na ostatniego potomka królewskiego pokolenia, które niegdyś posiadało tron, a teraz bez przytułku błąka się po obcym kraju, i kazał mu przystąpić do swojego śmiertelnego łoża, usłanego z dziko rosnącego mchu i liści. Stara Zyrra musiała mu podać laskę, wyszła i pozostawiła go sam na sam z synem; potem

przy pomocy zdrowej ręki uniósł się z trudnością, a tymczasem Azzo mimowolnie wrodzonym popędem wiedziony padł ną kolana.

— Kiedy przed wiekiem i jeszcze przed wiekiem, mówił umierający król cyganów, przodkowie nasi przez chciwe mienia i krwi pragnące plemiona wyparci zostali z nad źródeł Indu i ojczyznę swoją, kraj Czynganów opuścili, szukając w dalekich stronach miejsca, na któremby, jako lubiący pokój, chaty swoje i namioty mogli wznosić, tłumami tych wychodźców rządził wtedy Azzo. Azzo był ich królem. W daleką, niepewną podróż zabrał on swój ukryty skarb, aby w razie potrzeby mógł swojemu ludowi i sobie zapewnić pomoc i ratunek!

— I od tego to wygnanego Azza, w dalekich stronach zmuszonego szukać przytułku my pochodzimy? — zapytał syn straszliwemi bólami przejętego ojca, bo jad rany już mu do piersi dosięgał.

— Ów Azzo jest moim i twoim praojcem. Ruszył on przez południowe perskie pustynie, pomiędzy Makranem a Eufratem, i przez Arabię. Orszaki rozdzieliły się. W pokoleniu należącem teraz do ludów, koczujących wybuchła niezgoda, i chociaż wielki Azzo rozdał po większej części zabrany ze sobą skarb ojców i ofiarował narodowi, niezadowoleni jednak opuścili go, każdy udał się inną drogą, a rozproszone ślady niegdyś tak potężnego plemienia cyganów, zatraciły się jakby wiatrem rozwiane! Przodek twój z resztą wiernych i szczupłą odrobiną niezmiernego niegdyś skarbu, po wielu trudach i wszelkiego rodzaju prześladowaniach, dostał się nakoniec

na tę tu ziemię, tu znalazł lasy i stepy, na których, jakkolwiek uszczuplony, z resztą ludu swojego stale mógł osiąść.

Tu stary król cyganów przerwał opowiadanie, siły coraz bardziej go odstępowały, czuł, że krew w żyłach jego wolniej i oschlej krąży.

— I ta reszta się rozpadła, — z trudnością mówił dalej; — część jedna ruszyła ku południowi, druga do kraju Franków, ja jednak jestem potomkiem owego Azza, a ty jesteś moim synem! Słuchaj więc! Szczątki kosztownego skarbu, który nasz przodek przyniósł z sobą z dalekiej ojczyzny naszej, a który powiększyłem o ile możności, przechodzą jedynie w twoje posiadanie. Nie do ludu cygańskiego — ale do ciebie należą te bogactwa, zakopane w odwiecznym lesie po tamtej stronie Madrytu! Ty jeden możesz je odkopać. Ty jeden możesz niemi rozporządzać! Nie marnuj ich — pamiętaj o potomności — staraj się zgromadzić rozproszone plemiona, jesteś królem cyganów, prawomocnie odziedziczyłeś twoje bogactwo, twoje imię, twoją władzę.

Umierający zdjął ze swojej szyi łańcuch ze srebrnych gałek, którego zmniejszone naśladownictwo, nosił Azzo już od dawna, i z ostatniem wysileniem przełożył go przez głowę syna, tak, że gałki opadły mu na piersi; potem podał mu pielgrzymią laskę i szukając czegoś wzrokiem powiódł w koło. Większa część hordy jego wymarła, reszta dawnego pokolenia z daleka przybyłych królów zlała się w jedno z drugimi, mała zaś ilość pozostałych przy nim mężczyzn i kobiet czuła dobrze, że się wkrótce zupełnie rozproszy.

Azzo ucałował rękę ojca.

— Pod wielkim, świętym kamieniem, na spadku góry Ora, w gąszczu naszego lasu, znajdziesz na dwadzieścia stóp pod ziemią urnę ze złotem i drogiemi kamieniami.

— Pokazałeś mi to miejsce, gdym dorósł do połowy twojego wieku, bo tak prawo przepisuje, aby na przypadek przedwczesnej śmierci twojej, miejsce to nie zostało ukryte! — mówił Azzo.

— Tak więc spełnione jest wszystko, co przed skonem — spełnić mi należało — co mi postanowić wypadało. Powietrza! — głucho zawołał umierający — światła — biada! czarna noc, — otacza mnie — —

Stary król cyganów padł na ramiona syna. Azzo klęczał modląc się przy trupie ojca. Ale stara Zyrra nie narzekała; czekała na uboczu, aż Azzo odejdzie od zmarłego i zobaczy, co się dzieje z Henryką. Poczem rozpuściła długie siwe włosy, tak, że zakryły całe jej zwiędłe oblicze i zbliżyła się do zmarłego. Ostrożnie i bez szmeru wydobyła umarłemu z za pasa ostry, trójkanciasty sztylet, i ostrzem do góry obróciwszy, przytwierdziła go do łoża.

Stara Zyrra czuła, że i dla niej przyszedł czas wyruszyć do królestwa niebieskiego, że ojciec Azza, król cyganów, tylko ją wyprzedził. Niema i z godną bohaterki nieustraszonością, rzuciła się na trupa i nastawionym sztyletem serce sobie przebiła. Częstokroć utrzymują, że cyganie są to nikczemne, nieumiejące kochać istoty, które nic nie szanują i na żaden szacunek nie zasługują — ale były i są między nimi szlachetne i odważne dusze! Stara Zyrra mniemała, że bez starego króla cyganów żyć nie

będzie mogła; widziała na własne oczy upadek pozbawionego przytułku i całkiem rozpierzchłego plemienia; zatem wołała raczej śmierć sobie zadać, aniżeli dłużej wieść samotne, koczujące życie.

O północy Azzo, który przeczuł zamiar Zyrry, przeniósł zwłoki rodziców wśród cieni lasu do jeziora Guadara, bo według jego zasad, powinny one były, unoszone falą, spoczywać obok niezliczonych męskich i żeńskich przodków ich pokolenia. Wilgotny grób stał się dla nich nakoniec ojczyzną wiecznego spokoju.

Azzo widział jak się rozpraszały drobne resztki jego hordy: nie zważał na to, bo jego dusza zamieszkiwała cała przy białej kobiecie, która nakoniec po długim spokojnym śnie, objawiła nadzieję pozostania przy życiu. Czuwał więc nad nią z jeszcze większą troskliwością, ze wzruszającą przezornością znosił jej na noc ciepłe okrycia i miał nakoniec tę pociechę, że z głośnem westchnieniem ujrzał Henrykę ocaloną! Otworzyła oczy, głębokie, w duszę zaglądające oczy, których spojrzenia były tak mękkie i tak promieniejące, jak blask gwiazdy wśród letniej nocy, ale szepnęła, jakby wśród pięknego snu:

— Pozostań — mój Franciszku!

Potem podniosła się nieco, spojrzała zdziwiona, a sen zniknął; ujrzała obok siebie, z pałającem okiem czuwającego nad nią cygana. Teraz dopiero przypomniała sobie powoli wszystko, co zaszło. Podała rękę uszczęśliwionemu Azzowi, jakby mu dziękować chciała za przyniesioną pomoc i starania, lecz wnet dziko wokoło spojrzała, oczy jej szukały — usta drgały.

Henryka nie dostrzegła swojego dziecka! Azzo widział to, musiał ją pocieszać, bo inaczej groziło przerażające niebezpieczeństwo, że zaledwie wracająca do zdrowia, na nowo w straszną wpadnie gorączkę.

— Nie mogłem opuszczać białej kobiety, ale teraz poszukam twojego dziecka! Bądź spokojna i cierpliwa, uczynię wszystko, czego żądasz!

— Przynieś więc tu moje dziecię — a poszukaj go, ja tęsknię do niego!

Choroba tak jej siły wycieńczyła, że wkrótce znowu mocno zasnęła. Azzo przyniósł jej wzmacniający posiłek i usiłował przygotować ją powoli do tego, iż niepodobna było odszukać jej dziecięcia.

— Józef je porwał, ten straszliwy nieprzyjaciel! — zawołała czepiając się Azza — ocal mnie od niego — i przez wszystkich świętych ocal moje dziecię!

— Azzo broni cię własnem życiem i poszuka także twojego dziecięcia, ale przedewszystkiem towarzysz mu do góry Ora, tam Azzo ma naprzód do czynienia! Za pomocą bogactw, które tam znajdzie, wszystko mu się uda, wszystko złoży u nóg twoich, byle tylko biała kobieta uradowała go miłem spojrzeniem swego pięknego oka!

— Ja muszę odnaleźć Franciszka, Franciszek nam dopomoże! — mówiła Henryka, dążąc drogą, w którą nazajutrz zwolna wraz z Azzem wyruszyła; — musisz mi przyrzec, że mię1 do mojego Franciszka odprowadzisz! O! ty mówisz, że kochasz biedną Henrykę, tyś jej pilnował, ty jej życie ocaliłeś, ale ona nie potrafi podziękować ci, jeżeli całkiem nie spełnisz twojego dobrego czynu i nie

doprowadzisz jej do Franciszka! Henryka przeklnie cię, jeżeli ją ocaliłeś dla tego, aby ją trzymać zdala od kochanka jej duszy. Henryka ma tylko jedno życzenie, jedno dążenie, jedną myśl — jeżeli tego chcesz zabronić, to lepiej było pozwolić, aby samotna umarła! O przyrzecz mi to, ty szlachetny! Dokończ dzieła twojej dobroci dla przekleństwem obciążonej włóczęgi, i oddaj ją w ręce Franciszka Serrany!

Azzo zasmucony słuchał wzruszających, błagalnych słów pięknej Henryki, i poznał teraz, że dopóki ów Franciszek do rzędu żywych liczyć się nie przestanie, ona ciałem i duszą do niego tylko należeć będzie.

A jednak, za jakąbądź cenę musiał Azzo Henrykę nazwać swoją! Spodziewał się, że Henryka zapomni o kochanku lat młodocianych, że mu się nakoniec odda, jeżeli potrafi zabić owego Franciszka! — a zabić potajemnie, by się nie dowiedziała, że dręczonego myślą postradania ukochanej, miłość do takiego czynu doprowadziła, bo utraciłby na wieki ostatnią nadzieję jej posiadania.

— Dobrze, — rzekł na koniec Azzo, — pomogę ci poszukać tego Franciszka Serrany, ponieważ go kochasz! Zacisnę zęby i zapomnę, że myśli Henryki zajęte są innym człowiekiem — ale jedną rzecz musi za to przyrzec biała kobieta! — dodał pochmurnie, świecąc oczami, a twarz drgała mu namiętną miłością.

— O szlachetny, dobry Azzo! — radośnie zawołała Henryka: — teraz chętnie idę za tobą! bo mi chcesz pomóc wyszukać Franciszka i moje dziecko!

— Jedną jednak rzecz musisz mi za to przyrzec, biała

kobieto. Musisz iść ze mną, dokąd uznam tego potrzebę, musisz przywdziać ubiór, który ci przyniosę, musisz — do mnie należeć, jeżeli ów Franciszek Serrano już nie żyje!

Henryka stanęła zdumiona tak nagłym wykrzykiem.

— Co ty mówisz, Azzo, jeżeli mój Franciszek już nie żyje?

— Wtedy musisz do mnie należeć! — powtórzył ognisty syn obcej ziemi.

— O, Matka Boża nie może tak strasznie doświadczać i dręczyć biednej kobiety! — odpowiedziała Henryka, wznosząc ręce w niebo — ja ujrzę znowu mojego kochanka! ją znajdę dziecię moje!

— Czy przyrzekasz mi to, czego żądam?

— Wszystko, wszystko, jeżeli tylko znajdę mojego Franciszka i moje dziecię.

Oczy Azza zabłysły pałającą miłością.

— A więc dalej naprzód do góry Ora, a potem do Madrytu! — zawołał, i oboje ruszyli w drogę lżejsi niż kiedykolwiek.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XVIII.

ZAPUSTY.

Na dworze madryckim z początkiem 1844 roku, następowały po sobie jedna po drugiej świetne uroczystości. Młody, ale przeżyły książę Franciszek z Assyżu, przybył z Neapolu w odwiedziny na dwór hiszpański i na jego cześć przygotowano zbytkowne uczty, ponieważ spodziewano się, że młody Burbon ma zamiar starać się o rękę spokrewnionej z nim zachwycającej królowej Izabelli.

Marja Krystyna, pod wpływem ojca Mateusza, który przed przybyciem do Madrytu grał ważną rolę na neapolitańskim dworze i gorliwie wychwalał księcia Franciszka, nie była przeciwną temu powoli przygotowującemu się związkowi. Małżonek królowej matki, książę Rianzares, także był pozyskany w tym względzie, chociaż na widok powierzchowności księcia za każdym razem wstrzymywał się od śmiechu.

Bo też rzeczywiście między tymi dwoma dostojnymi panami uderzająca zachodziła różnica. Podczas gdy małżonek Marji Krystyny był tęgim, silnym i rosłym mężczyzną, mała, delikatna figurka księcia Franciszka z Assyżu, wyglądała jak laleczka. Zdawało się, że wykształceniu jego ciała i ducha wszelkiego rodzaju

sposobami przeszkadzano; bo chociaż miał twarz miłą, kolor jej był tak sino-żółtawy, policzki miał tak zwiędłe i oczy tak pozbawione blasku, iż każdy z niesmakiem patrzał na młodego księcia, który wyglądał już tak przeżyty i zniszczony.

I umysłowe jego wykształcenie widocznie zaniedbane było; rozmawiał jedynie i zajmował się tylko polowaniem i modlitwą.

Gdy księcia Franciszka przedstawiono młodej królowej Izabelli, a ten, według zwykłego wyrażenia, nie mógł wypłynąć na otwarte morze rozmowy, żywa królowa potrząsając głową, zwróciła się do stojących w pobliżu niej Olozagi i Serrany, i wkrótce tak się z nimi zagadała, iż Marja Krystyna musiała zlitować się nad księciem i zaczęła z nim mówić o wspólnym im ojczystym kraju. Gdy po skończonem przyjęciu zapytała młodej królowej, dla czego tak uderzająco krótko z księciem mówiła, Izabella śmiejąc się odpowiedziała:

— Książę tak piszczy! jeszcze u żadnego mężczyzny takiego głosu nie słyszałam, bałam się więc, abym mu w oczy śmiechem nie parsknęła! I gdyby jeszcze tego prawdziwie komicznego głosiku należycie używać umiał! ale kiedy zaledwie jedno słowo przez kwadrans od niego usłyszeć można, to nietylko śmieszne, lecz nudne!

Cóż za zjawisko w porównaniu z gwardzistami królowej! któż może tejże mieć za złe, że wolała raczej rozmawiać z nimi, aniżeli z nudnym kuzynem z neapolitańskiego dworu!

Prim, Serrano i Olozaga wskutek znakomitej waleczności, na wyraźny rozkaz królowej Izabelli,

mianowani zostali komendantami, Topeta kontr-admirałem, a murzyn otrzymał z rąk królowej kosztowny łańcuch złoty, z bardzo podobnym jej portretem w medalionie. Darem tym nadzwyczaj się pysznił i nadęty chodził po ulicach Madrytu, jakby wszystkim chciał powiedzieć: „Patrzcie! To mi królowa zawiesiła!“

Od poranku, w którym przyjęła czterech ocalonych gwardzistów i ich powitała, Izabella jeszcze nie miała sposobności mówić sam na sam z Serraną, chociaż skrycie niezmiernie tego pragnęła. Wprawdzie znajdował on się często między gośćmi i osobami zaproszonymi do stołu Marji Krystyny, nie znalazła się jednak ani jedna stosowna chwila, w którejby z wybranym, całą jej wyobraźnię zajmującym, na którym wzrok jej z największem upodobaniem spoczywał, poufne słowo zamienić mogła.

Serrano spostrzegł i najprzód ze zdziwieniem, a później ze wzrastającem zajęciem śledził spoczywające na nim spojrzenia młodej królowej. Z początku nie mógł ich należycie zrozumieć, lecz potem przeczuł duszą, że te spojrzenia mówią bez głosu, że mu skrycie szepcą o tajemnej, ale czujnej miłości.

Ale miłość królowej, zwłaszcza tak młodej i pięknej, ma dziwny, czarowny i wszechmocny powab; czuł to Franciszek Serrano coraz silniej ilekroć ujrzał Izabellę!

Dotąd wolno mu było zbliżać się do niej jak wszystkim innym panom dworu, dotąd nie wymówili żadnego poufnego słowa; czarowny związek między królową a nim dotąd mu się tylko roił w umyśle.

Ale czyliż taki domysł nie ukrywał już w sobie nadziei?

A nadzieja czyliż nie mieści w sobie pragnienia?

Franciszek Serrano, zaślepiony świetnością dworskiego życia, odurzony zwodniczą nadzieją miłości ze strony młodej, czarownie pięknej królowej i nadzieją odznaczenia się, zaczynał powoli zapominać, że przysięgi jego i miłość już do innej istoty należały, a przed jawiącym się obrazem pięknej, modrookiej królowej, coraz bardziej usuwała się miła postać boleśnie wyciągającej do niego ramiona Henryki; jeszcze ją widział łzami zalaną, przyzywającą go zdala, coraz bardziej zdala, ukazującą mu swoje dziecię i podającą mu swą białą rękę...

Ale znikła mu z oczu, gdy następnego wieczoru znalazł się w apartamentach Izabelli dostrzegł ułudne spojrzenia po raz pierwszy kochającej królowej!

— Don Serrano, — szepnęła — wiadomo panu, że z powodu zbliżających się zapust, na cześć naszego kuzyna odbędzie się w zamku bal maskowy, jesteś pan zaproszony, mamy nadzieję ujrzeć pana.

— Na uroczystościach maskowych takiego znaczenia, trudno jest być dostrzeżonym, Najjaśniejsza Pani, — odpowiedział Franciszek Serrano; trudno wszystkich widzieć i znaleźć!

— Jeżeli między wszystkiemi szuka się jednej, której się znaleźć pragnie! Jaką barwę przekładasz nad inne, Don Serrano? Przebacz mi to pytanie, prędko! bo zbliża się mój nudny kuzyn.

— Według mnie, niebieska barwa pięknych oczu jest najgodniejsza uwielbienia! — szepnął Franciszek, kłaniając się królowej, która teraz z uśmiechem postąpiła naprzeciw

księciu z Assyżu i żegnając Serranę, rękę swą wsparła na podanem sobie ramieniu nudnego kuzyna.

— Moja łaskawa kuzyno, — mówił podniecony szampanem i dla tego rozmowniejszy niż kiedykolwiek, mały chudy książę: — za tydzień nastąpi zachwycająca karnawałowa maskarada. Racz mi przebaczyć pytanie, które między nami może być dozwolone: jaką barwę moja królewska kuzyna najlepiej lubi?

Izabellę rozśmieszył tak komiczny zbieg okoliczności.

— Jeżeli mam rzetelną prawdę powiedzieć...

— O moja droga kuzynko, tak mię uszczęśliwiasz!

— To wyznać muszę, że wolę najlepiej kolor zielony, morsko-zielony! Czy książę jeszcze tego nie uważałeś? Muszę wam zarzucić brak uwagi!

— Z pewnością zauważyłem, djadem z zielonym liściem. Nie powinnaś mię dłużej łajać, moja najłaskawsza kuzynko! W otoczeniu pięknych kobiet trzeba się uczyć na wszystko zwracać uwagę!

— I wszystko należycie rozumieć, mój książę! Dziękuję za wasze ramię, miejcie się dobrze i niech wam czas prędko przemija aż do balu maskowego!

Izabella ukłoniła się, zamierzając odejść z margrabiną de Beville do swoich apartamentów. Książę Franciszek ucałował drobną, ozdobną rączkę uśmiechającej się kuzynki i coś tam jeszcze prawił o zielonym kolorze.

Gdy się portjera za niemi zamknęła, a książę wrócił do sali przekonany, że dzisiaj na młodej królowej szczególniejsze wywarł wrażenie, Izabella serdecznym wybuchła śmiechem.

— Jeżeli w zapusty ujrzysz, margrabino morsko-zielonego malca, liliputa, to będzie mój szanowny kuzyn z Neapolu. Od najpierwszej młodości morsko-zielona barwa stała się nagle jego najulubieńszym kolorem! O jakże mnie cieszy ten bal maskowy!

Po ulicach Madrytu krążyły różnobarwne tłumy. Zaczęły się zapusty ze swoją maskową swobodą i wszelkiego rodzaju zabawami; obchodzono je z właściwą wszystkim południowym ludom swawolą. Puerta del Sol i Prado od rana do nocy były widownią najszaleńszych żartów, w których miał udział nie tylko lud, ale i maskami okryta madrycka grandessa. Wydobyto z kufrów najdziwaczniejsze ubiory, a im były starożytniejsze i komiczniejsze, tem więcej wzbudzały śmiechu. Tu widziano czarownicę jadącą na barkach rycerza, Don Kiszota na drewnianym Rossynancie, sułtana z tuzinem mężczyzn przebranych za kobiety z haremu, których rozkochane twarze z brodami niezmiernie komicznie wyglądały, kozła z krawcem, który oklejonemi w srebrny papier nożycami, zamaskowanym damom szczypał łechcąco nagie, piękne ramiona, a tymczasem papierowy kozieł, przymocowany do nóg swojego właściciela, najwścieklejsze wyprawiał skoki i najdziwaczniejsze przybierał położenia.

Swawola i głośna wrzawa rozlegały się po wszystkich ulicach i placach. Nawet plac Pedro w owym czasie zapomniał o swojem odwiecznem przeznaczeniu, i na nim, chociaż w uboższem jak na Puerta del Sol przebraniu cisnęły się „czarny olbrzym“ przy rozdzierającej uszy

muzyce, połykał dzieci, albo jakiś „doktór Faust“ pokazywał swoje nieswawolne tłumy, dla przyjrzenia się teatrzykom, w których pojęte sztuki.

Stary i młody, bogaty i ubogi, nie pomnąc na różnicę i troski, przez ten czas oddawał się uciechom, których szczytem były maskaradowe żarty.

Lud Madrytu w najcięższych i najnieszczęśliwszych czasach, zawsze uroczyste wyprawiał zapusty, a w pośród ich komiczności i poezji, zapominał choć przez kilka tygodni najszaleńszej uciechy, o hańbie, tyranii i przekleństwie księżego rządu, tańczył na wulkanie, kładł na stroskane, od głodu wyblakłe oblicza, opuchłe larwy i gałganami wypychał tłuste brzuchy.

Za panowania Marji Krystyny, a przynajmniej w roku 1844, jezuici nie panowali jeszcze tak rozlegle jak dawniej, to też i lud cieszył się nieco lepszym dobrobytem i zadowoleniem. Tym razem obchodzono zapusty przy zdrowym humorze i niezakłóconej swobodzie. Zapomniano o niebezpieczeństwach lat ostatnich, wojska karlistów same obchodziły także zapusty w przychylnych im miastach! Obcy książę przybyły na dwór z odwiedzinami, kazał rozrzucać pomiędzy tłumy sztuki złota, tudzież owoce i ciasta; młoda królowa, przejeżdżając przez Prado, rozrzucała dziewczętom i kobietom ozdobne podarki i bardzo przychylnie pozdrawiała przyjmujących ją radosnemi okrzykami i grzmiącemi wiwatami mężczyzn z ludu; nikt nie potrzebował jechać naprzód dla zrobienia jej miejsca, żadna straż nie towarzyszyła otwartemu powozowi, bo nic nie groziło młodej, pięknej królowej,

prócz bez liczby spadających na nią kwiatów, i bukietów, któremi zasypywano ją, jej matkę, Marję Krystynę i jej młodszą siostrę Ludwikę. Tylko obok stopni powozu jechało ostrożnie i uprzejmie bacząc na cisnące się tłumy i na wszystko pozwalając, dwóch wysokiego stopnia oficerów. Don Franciszek Serrano z prawej strony obok królowej Izabelli i Don Juan Prim po drugiej stronie obok królowej matki.

Ta usługa kawalerska stanowiła odznaczenie się, udzielane tylko najwyższym grandom i ulubieńcom, a naród poznał już wtedy teraz wysoko uprzywilejowanych Don Serranę i Don Prima, których także często wyręczali Don Olozaga i Topete. Doszły także już do wiadomości publicznej opowiadania o ich awanturniczej wyprawie i wyjednały im przychylność ludu, która w późniejszych dziesiątkach lat, miała mieć tak wielkie znaczenie.

Nadszedł wreszcie dzień wielkiej uroczystości u dworu, najniecierpliwiej zapewne oczekiwany przez czternastoletnią, przy wcześnie rozwiniętej wyobraźni i chęci używania, za nadto do fantastycznych przygód skłonną Izabellę. Bal maskowy nastręczał najlepszą sposobność do pożądanych spotkań i scen, owiany wrzącem tchnieniem bajecznej rozmaitości barw i poezji.

Przy głównych ścianach, pod któremi zajeżdżać miały powozy z zaproszonymi, ustawiono kandelabry, w kształcie drzew daleko ciskających promienie światła, a wokoło na tarasach gorzały ogniste beczki i wylatywały w powietrze szeleszczące rakiety, rozrzucając różnokolorowe kule i zapowiadając początek uroczystości dworskiej.

Ekwipaże zbliżały się długim szeregiem, pojedynczo musiały zajeżdżać pod portyk i zatrzymywać się przed morzem światła zalanem wejściem do królewskich salonów.

Szerokie, dywanami wysłane schody z czarnego marmuru ze złoconemi poręczami ożywiały się, a na każdym prawie stopniu stali po obu stronach gotowi na usługi i oczekujący rozkazów lokaje.

W miejscu, gdzie rozdzielają się schody wiodące do uroczystych salonów, gdzie stoją dwa potężne marmurowe lwy, na jednym z których Napoleon po wejściu do Madrytu niegdyś położył był rękę i zawołał: „Teraz mam cię, lwie kastylski!“ rozłączają się panowie z damami, pierwsi udają się na prawo, a damy na lewo, aby dążąc przez liczne pokoje, zgromadzić się potem razem w czarodziejskich rozległych przestrzeniach, z których już słychać nęcące tony muzyki.

Aby niepowołani pod maską nie wcisnęli się na tę dworską uroczystość, generał intendent zamku wydał rozkaz ogłaszania przez służbę każdego ekwipażu nazwiska siedzącej w nim zaproszonej osoby.

Tak więc między niezliczonemi, szumnie brzmiącemi i ze wszelkiemi tytułami i godnościami wymienianemi nazwiskami, słyszymy i te, które nas najbardziej obchodzą: Don Serrano, Don Topete, książę Franciszek z Assyżu, Don Olozaga, Don Juan Prim, i nakoniec jeszcze jedno, uderzające, bo je wymówił sługa siedzący obok świetnie wystrojonego woźnicy.

— Przewielebny ojciec Mateusz! Kamerdynerowie kłaniają się, ekwipaż odjeżdża pomiędzy filarami.

Otwierający drzwi lokaje nie wiedzą i nie słyszeli, kto w powozie siedzi, a gdyby wiedzieli, nie zdziwiliby się wprawdzie, że ojciec Mateusz odwiedza królowę matkę podczas uroczystości karnawałowej, a odwiedza zamaskowany, zrobiliby jednak wielkie oczy, gdyby widzieli wysiadającego z powozu pobożnego ojca z jakąś donną, której wysoki wzrost i królewska postawa zdradza się mimo okrywającej ją narzutki. Zamaskowana dama, tudzież mocno zamaskowany ksiądz i inni niedający się poznać goście, dążą na górę do sal przyjęcia, w których już pełno różnobarwnego, bajecznego życia.

Główny salon ze zwierciadlanemi ścianami, nieprzejrzany, oświetlają cztery pełne ognisk lichtarze i mnóstwo stokrotnie odbijających się w lustrach kandelabrów. W środku tego salonu, mogącego pomieścić w sobie przeszło cztery tysiące osób, czarowna dłoń umieściła otrzeźwiającą i chłód roznoszącą fontannę, a w czterech jego rogach rozbite są ozdobnie udekorowane i powiewającemi chorągwiami przystrojone jedwabne namioty, w których podają czekoladę, lody, szampana i konfitury.

Z tej wielkiej przestrzeni, zwanej salą Filipa, wchodzi się z jednej strony do tak zwanej sali audjencjonalnej, mniejszej i okrągłej, a z niej przez wysokie otwarte podwoje wstępuje się na szerokie schody, prowadzące do parku na dzisiejszą uroczystość oświetlonego miljonami różnokolorowych lamp.

Z drugiej strony sali Filipa, wchodzi się do tak zwanej rotundy muszlowej, rozległej, przyćmiono oświetlonej

przestrzeni, składającej się z dwóch półokręgów, powstałych z przecięcia jej przejściem. Każdy z tych owalnych półokręgów tworzy ułudnie piękną udekorowaną grotę muszlową, w której nęci fontanna z grupy marmurowych Najad, chłód rozsiewająca, i wygodne krzesła, tudzież ze sztucznej trzciny ulepione, nisko wysłane ławeczki. Przytem z sufitu spada przytłumiony blask, blady jak letnie światło księżyca, tudzież szmer i szelest wznoszącej się i spadającej wody.

Jakkolwiek powabne są obie muszlowe groty, dla niewtajemniczonych jednak mają przerażającą własność — bo tworzą przestrzeń podsłuchów, ucho Djonizjusza, zręcznie wynalezione przez tyrańsko niedowierzającego króla; w jednej z tych owalnych grot można słyszeć dokładnie, co w oddalonej drugiej, chociażby po cichu się wymówi, pomimo, że obie groty rozdzielone są szerokiem przejściem i portjerami.

Do jednej z tych ponętnych przestrzeni zbliża się właśnie owa pięknego wzrostu, dumna donna, która przybyła z ojcem Mateuszem; ma na sobie czerwone jedwabne, mocno fałdziste okrycie, osłaniające do połowy jej głowę, tak, że widać było jej czarną, atłasową maskę, z pod której dwoje oczu błyszczy złowrogo.

Tuż za nią z zamętu w sali Filipa zdąża ozdobny mężczyzna w ubiorze Neapolitańskiego rybaka. Siatka okrywająca jego głowę, strojna w morsko-zielonej barwy wstążki, morsko-zielone i srebrne hafty na barkach i naramiennikach; twarz jego zasłoniona czarną maską.

Podczas gdy donna w czerwonej jedwabnej narzutce,

skręca do jednej muszlowej groty, a za nią idzie morsko-zielony rybak, do drugiej groty wciska się, niepostrzeżony przez nich, jakiś chirurg w wielkiej, białej peruce, w karykaturalnej masce i z wielką uciechą widzi, że w tem uchu Djonizjusza nie ma nikogo, i że będzie mógł bez przeszkody wysłuchać, co obie śledzone przez niego maski w drugiej połowie mówić będą...

Rybak spotkał się z donną — dotyka jej ramienia.

— Dlaczego unikasz mnie wróżko? — mówi do oglądającej się, zdziwionej, pulchnej maski; chętnie podałbym ci rękę, abyś mi wiele ciemnych rzeczy wyjaśniła!

— Ja nie unikam, masko, szukam tylko chwilowej ochłody w tej muszlowej grocie.

— Zostańmyź tu więc oboje. Twoje zjawienie się i twój głos, mimo maski, tak mi są znajome, iż chciałem cię prosić, abyś mi przez kilka minut towarzyszyła, iżbym mógł poznać, kto jesteś.

— Tego poznać nie powinieneś, masko.

— Przypominasz mi — masz, weź moją rękę i mów mi prawdę.

I morsko-zielony rybak, szybko zdjąwszy białą rękawiczkę, podał wkrótce połyskującą kosztownym pierścieniem lewą rękę.

— Jak widzę, przyzwyczajony jesteś rozkazywać, a droga twoja prowadzi cię do tronu — cha cha cha! — książę Franciszku, czy to prawda? Zapominasz o twojej niebieskiej rybaczce! Czy nie uważałeś, że i między gośćmi jest także niebieski domino? Nie zaniedbuj nic, pozwól

wróżce prowadzić swoje skryte rzemiosło!

— Julio, to niepodobna, boska kobieto, tyżeś to! — szepnął książę Franciszek z Assyżu i chciał zaprowadzić donnę do jednej z wyścielanych ławeczek.

— Powoli, mości książę, nie jesteśmy w neapolitańskich zamkach, i od owych dni, w których u nóg moich leżeliście, znaczny czas upłynął, czas dosyć długi, aby o nich — zapomnieć!

— Co mówisz, Julio? jakże mógłbym kiedykolwiek zapomnieć dni, w których nauczyłem się znać i poznawać życie, a ty mogłabyś mnie zapomnieć? w takim razie nigdy mię nie kochałaś i fałszywie przysięgałaś!

— O mój książę! przysiąg miłosnych tak na serjo brać nie należy; patrz, nie jestem więcej wspaniałomyślną, niżeli wy, oddaję wam wszystko wasze; widzę, że kochacie królowę i małżeństwem uszczęśliwieni będziecie! Życzę szczęścia, mój książę w tych różanych kajdanach!

Hrabina genueńska pozdrawia was! Cha cha cha! Aja chciała wyrwać się szybko z rąk małego księcia i wrócić do sali; zręcznie wyrachowana, otworzyła przytem ciemno-czerwoną narzutkę, tak długo piękną, pulchną kobietę okrywającą — pod nią hrabina genueńska nosiła łuskowe trykoty, stalowo połyskujące i ściśle od piersi do nóg przystające, a tylko po biodra białą niebiesko bramowaną sukienką osłonione. Ubiór ten tak dalece uwydatniał jej cudne kształty i plastyczną szlachetnie piękną budowę dała, że zaniemiały na chwilę książę spojrzał na nią, i przypomniał sobie wtedy całą siłę uwodzenia, jaką hrabina genueńska zawsze nań wywierała.

Franciszek z Assyżu zbladł, czuł, że mu drżą ręce, któremi chwytał piękną Julię.

— Ciebie tylko jedną kocham, zostań! Tylko na chwilę dozwól mi tego szczęścia, abym mógł piękność twą podziwiać! — zawołał Franciszek z Assyżu i upadł na kolana: — tak mi cię długo brakowało!

— Książę klęczy przed skazaną na galery! Wiesz co wasza wysokość, że życie jest często tak śmieszne, tak pogardy godne, iż bierze ochota zostać samobójczynią!

— Przez wszystkich świętych, ty najpiękniejsza kobieto, za którą ubiegają się ludzie wszelkiego stopnia, ty miałabyś nienawidzieć życia? Ponieważ rywalkę na publicznej drodze sztyletem przebiłaś, wydały cię ¡sędziom oburzone tłumy! Byłbym cię wydobył od nich, bo czyn ten był dla mnie najpierwszym dowodem twojej miłości. Genueńską hrabinę skazano na galery; lud byłby oszalał, gdyby ten wyrok nie był publicznie ogłoszony! Miałaś obrońców, którzy ci ucieczkę ułatwili, ale twój przyjaciel, tęsknotą dręczony Franciszek, nadaremnie wyglądał twojego powrotu, nadaremnie oczekiwał, aż mu nadeszlesz z oddalenia słowo lub znak miłości!

— Hrabina genueńska była wyrzutkiem społeczeństwa, mój książę; jakże myśleć mogła, iż Franciszek, którego kochała, który ją swoją przychylnością obdarzał, potępioną choćby jednem spojrzeniem uszczęśliwi?

— Julio, dusza moja do ciebie należy! Nie możesz już zniknąć mi z oczu, musisz być moją!

— Błogo jest, mój książę, słyszeć takie słowa! — z całą ułudą jej głosu zawsze tak zimnego mówiła Aja, radująca

się klęczącemu, i podniósłszy rękę odsunęła na bok okrycie; ale ja nie mogę iść za tobą! Dozwól mi oddalić się — poprzestań na tem, iż ci wyznam, że aby cię raz widzieć, za wszelką cenę i przy tysiącznych niebezpieczeństwach, wyjednałam sobie wejście do zamku w Madrycie, który ukrywa twą narzeczoną! Tak jest, książę, raz tylko chciałam cię widzieć, a teraz — żegnaj mi!

— Julio!

— Zapominasz, mości książę, gdzie jesteśmy! Niebieska rybaczka może co chwila zbliżyć się do muszlowej groty, a w każdym razie, byłby to szczególny widok, ujrzeć morsko-zielonego rybaka, zamiast przed nią, klęczącego przed jakąś obcą wróżką!

— Jeszcze tej nocy wyjadę z Madrytu, jeżeli tego żądasz.

— O czem myślisz, Franciszku z Assyżu? Nie ty, który masz zaślubić królowę, ale potępiona Julia uciekać musi!

— O zostań! ani jeden włos nie spadnie ci z głowy, nikt cię mi tutaj nie wydrze! Jeżeli ręka moja poprowadzi do ołtarza królowę Hiszpanii, będzie to czyn polityczny, ale nie czyn miłości! Serce moje należy do boskiej Julji, do namiętnej hrabiny genueńskiej!

— Nie przysięgać, mój książę, odejdź raczej!

— Ani na krok; obchodźmy tu w samotnem miejscu, które trzcina i tryskająca woda ukrywa, krótką chwilę spotkania!

— Jesteś za bardzo wzruszony!

— Czyliż nie byłem takim zawsze, ilekroć Julię ujrzałem?

Nadchodzą, bądź zdrów, mości książę! Hrabina

genueńska kocha cię całą mocą swojej duszy!

— Ty czarownico, moją pozostać musisz, choćby mię to życie kosztować miało!

Gdyby wtedy umykającej stamtąd Ai zdjęto maskę z twarzy, widzianoby jej triumfujący uśmiech. Ale wiedziała, że jej uśmiechające się rysy pokrywała czarna powłoka.

Książę zerwał się, ku grocie zbliżały się jakieś głosy, pośpieszył więc ku przejściu. Julia znikła również w zamęcie sali Filipa, naprzeciw niej i około niej przeszła Turczynka prowadzona pod rękę przez wincarza, a z drugiej groty wyszedł ostrożnie chirurg.

— Zwyciężyła! — szepnął ojciec Mateusz i również pośpieszył za czerwono otuloną wróżką, aby jej okazać swoje zadowolenie.

A Turczynka, swą milutką małą ręką dotknęła ramienia wincarza, gdy morsko-zielony rybak obok nich przechodził.

— Książę Franciszek! — rzekła z cicha.

— I w grocie — dziwna rzecz! Czy się pani niepodoba również wypocząć tu nieco na świeżem powietrzu, margrabino?

— Chętnie, Don Olozago — ale, ale trzeba się dobrze pilnować, skoro tu przy tem świetle księżyca szeptać mamy!

— Przypominacie w porę! — dziękuję, margrabino! Prawie zapomniałem, że tu się zdradzić można!

— Coby to było, Don Olozago, gdyś pan tu na tej trzcinie wpośród muszli zajął miejsce, a ja gdybym poszła do drugiej groty. Wtedy sami tylko słyszeć się będziemy, a pańskie słowa dojdą równie pewno moich uszu, jak moja

odpowiedź pańskich!

— Co za wesoły pomysł, łaskawa margrabino! — Ale w takim razie jednego żałować muszę, że pozbawiony będę jej miłego towarzystwa! a wtedy pozbawiony będę wszystkiego!

— Jesteś pan niebezpiecznym pochlebcą, Don Sallustjanie; biada sercu kobiety, która pańskiemu słowu bez namysłu uwierzy!

— O, wierz margrabino! jak pani możesz nie ufać mi? Ja mam do podania korzystniejszy projekt jak pani — coby to było, gdybyśmy wspólnie w grocie szukali wypoczynku a rozmowy zaniechali?

— To pan myślisz siedzieć jak niemowa?

— Margrabino, i milcząc można rozmawiać i rozumieć się!

— Pan jesteś marzyciel, Don Olozago!

— W uścisku dłoni, w zamianie spojrzeń zawiera się wszechwładna rozmowa, którejbym raz z panią spróbować pragnął! Chciejże się pani oswobodzić od balowego czaru, zapomnij o czczych względach i wysłuchaj próśb moich. Czyliż królowa nie słuchała przedtem próśb obcego księcia?

— Tak sądzisz, Don Olozago? Więc jeżeli zgadzasz się na takie wysłuchanie — to i owszem!

— Jakto, pani mniemasz, że królowa...

— Może upodobała sobie dostojnego kuzyna — i margrabina bacznie obejrzała się — i roześmiała! — To i pan tego żądasz? Ale patrz-no pan, tam idzie rycerz Don Juan Prim i herkulesowy Pirat, który się wszędzie sam

zdradza, Don Topete, połączmy się z nimi!

— Pani jesteś bardzo dumna i zimna, margrabino.

— Jednak nie tyle jak pan myślisz! — zawołała drażniąca, najmilsza Turczynka w ciężko haftowanym kaftaniku i z bijącem łonem, które pod okryciem przezroczystego welonu jeszcze milej się przedstawiało. Zalotnie włożony turban z błyszczącemi brylantami, dopełniał wyrachowanie uderzającej a przytem tak strojnej toalety powabnej margrabiny de Beville, która na dłoni Topetego nakreśliła olbrzymie T. i śmiała się ze zdziwienia szlachcica, bo według jej zdania każdy go poznać musiał.

W sali Filipa maski krążyły tu i ówdzie.

Królowa Izabella przed godziną wraz z królową matką i infantką Ludwiką weszły niepostrzeżenie, Izabella zmieszała się z tłumem masek, a Marja Krystyna w kosztownym stroju pielgrzymim, obok księcia Rianzaresa, który w pysznym strzeleckim stroju nadzwyczaj poważnie wyglądał, stanęła w pobliżu chłodzącej fontanny i przypatrywała się chaosowi masek.

Domina i księża, Indjanie i Chińczycy, poliszynele i majtkowie, kwiaciarki i cesarzowe — wszystko to razem się poruszało! Brylanty, różnych barw drogie kamienie, walczyły z sobą o pierwszeństwo, a ozdoby i przepych dam kazały wnosić o wiekich bogactwach, będących w posiadaniu grandessy.

Marja Krystyna nie mogła wstrzymać się od urobienia stosownej uwagi księciu, który zawsze oschły i teraz z cicha odpowiedział:

— Będą też w stanie zapłacić nowe podatki, jeżeli ich

wojna wymagać będzie!

W tej chwili przechodzi obok regentki chirurg i wróżka.

Marja Krystyna pierwszego zmierzyła wzrokiem; poznała ojca Mateusza, swojego spowiednika, który przechodził pilnie rozmawiając z jakąś donną.

— Wasze wprowadzenie było zręczne i wybornie się udało, szepnął chirurg; nie wątpię teraz, że pani znowu odzyskasz swą dawną władzę! O ile to w naszej jest mocy, nigdy nie odmówimy wam naszego wsparcia — umowa nasza trwać będzie także niezmiennie mimo nowych stosunków i nowego otoczenia...

— Wiadomo wam ojcze Mateuszu, że jestem stronniczką Towarzystwa Jezusowego; wiecie, iż wpływu mojego zawsze na waszą korzyść używałam...

— I nie na swoją szkodę, roztropna kobieto!

— Jak kto pojmuje; obie strony odnoszą korzyść!

— Bez wątpienia, inaczej bracia nie byliby śmieli podnieść głowy, aby...

— Aby mnie ocalić? Mój pobożny ojcze, jesteś w błędzie, skoro myślisz, że waszemu towarzystwu zawdzięczam moje ocalenie! — wyniośle i z dojmującą dumą szepnęła Aja; — więzy moje już były skruszone, kiedy bracia wasi znaleźli drogę do mnie zatraconej! Hrabina umiała sama swoich ceklarzy porobić machinami swojej woli!

— Połowa kuli ziemskiej mówi o niepokonanych powabach pięknej Julii. Nie sądź pani, że tylko chwilowo wspieram jej władzę! Dowiodłaś jej znowu w sposób uderzający, bo...

— Dajmy pokój pochlebstwom. Czy widzisz tam, ojcze rybaczkę z niebieskiemi wstęgami i szarfami?

— To królowa.

— Jedno z licznych niebieskich domin idzie obok niej do audjencjonalnej sali. Przed chwilą zdawało mi się, że niebieska rybaczka szepnęła do niego po cichu: Don Serrano, tak, iż niczyje więcej ucho tego nazwiska nie słyszało.

— Masz słuszność, hrabino; Don Franciszek Serrano postępuje obok królowej.

Oczy Ai zabłysły. Gdy przedtem nagle usłyszała nazwisko i dostrzegła poszukiwanego, nie udała się zaraz za nim, bo chciała się upewnić, że tem niebieskiem dominem jest rzeczywiście Don Franciszek Serrano, kochanek Henryki, brat Józefa, z którym przed kilku dniami mówiła, a teraz dopiero przekonała się, że na prawdziwy ślad trafiła.

— Czy znasz Don Serrano, hrabino? — spytał Mateusz.

— Dzisiaj pragnę go poznać!

— Że też chcesz zawojować wszystkich pięknych mężczyzn, donno Juljo!

— Ze mną tak się dzieje jak z wami: alboż nie chcecie zawojować wszystkich dusz i panować nad niemi z nieograniczoną żądzą i bez przestanku! Ksiądz i kobieta — czyliż są potężniejsi władcy na ziemi?

— Jesteś więc znowu dumną, samoistną hrabiną genueńską, która nie zna żadnych granic, żadnego wędzidła; krótka przerwa twojego świetnego zawodu znikła za tobą bez śladu!

— Bez śladu? — i Aja niepostrzeżenie pod swojem

fałdzistem okryciem chwyciła się za lewe ramię, zawsze mocno obwinięte i odziane; mimowolnie zimna, dumna hrabina, przy słowie „bez śladu“, dotknęła w jednem miejscu tego ramienia. Marmurowe jej oblicze pod maską przybrało wyraz jeszcze większej lodowatości i goryczy; a brzydki rys skrzywił jej małą twarz o powabnie silnych miękkich ustach. Wyglądała, jakby śmierć czuwała w niej obok rozkoszy, jakby piękne, od Boga wszeikiemi powabami obdarzone jej rysy, jej ułudne usta śmiertelny kryły w sobie jad.

Ręka upadla znowu z mimowolnie dotkniętego miejsca na lewem ramieniu, szatański uśmiech groźnie osiadł na ustach drżących, jak promień słońca wśród chmur burzą nabrzękłych.

Spojrzenia Ai poszły za niebieską rybaczką i dominem.

Gdy Franciszek w tłumie masek nagle z trwogą, która po wszystkich jego członkach przebiegła, spostrzegł miłą, młodość zdradzającą rybaczkę, a wokoło szeptano: „Patrzcie, oto królowa Izabella!“ — gdy ujrzał, że królowa ma niebieskie wstążki z brylantami, w małej ozdobnej siatce, ubierającej jej głowę o pięknych kruczych włosach; że niebieskie szarfy barwy jego domina, przymocowane połyskującemi drogiemi kamieniami, zdobią jej ramiona i haftowaną krótką odzież; że nawet mała, elegancka maska, ukrywająca jej piękną twarz, jest z niebieskiego aksamitu, — wtedy gwałtowna jakaś siła przemówiła w nim: „Izabella kocha cię! Odważyła się na śmiały krok i przybrała twoje barwy, a tymczasem Franciszek promienieje w morsko-zielonym stroju“.

Jeżeli Maria Krystyna spostrzeże zgodność barw — jeżeli ona uderzy w oczy księcia?

Obejrzawszy się jednak wokoło, z radością ujrzał Serrano, że oprócz niego jest jeszcze więcej niebieskich domin, a potem przyszło mu na myśl, że może właśnie dla tego Izabella poznać go mogła.

Uważał więc na nią tak pilnie, o ile na to tłumy masek pozwalały, i odłączył się wkrótce od przyjaciół swoich Prima i Topetego, dotąd blisko niego krążących.

Królowa przechadzała się, prowadzona przez kuzyna, który mało mówił, bo Izabella ciągle wzrokiem wpośród masek szukała — wtem nagle, zapewne musiała znaleźć poszukiwanego, bo zwróciła się do fontanny, wpobliżu której stała królowa matka, pożegnała księcia i przez chwilę stała jakby czegoś oczekując. Niebieskie domino zbliżyło się do zachwycającej rybaczki.

— Nosisz te same barwy, co ja, piękna masko, — szepnął Serrano, niby nie poznając królowej; niech mi więc wolno będzie ofiarować ci moje ramię!

— Przedtem daj pan dłoń! — półgłosem odpowiedziała królowa, i na wewnętrznej powierzchni podanej sobie ręki pozornie zdziwionego, nakreśliła litery F. i S.

Franciszek spojrzał, jakby szukał i chciał uprowadzić na stronę zachwycającą Izabellę, której niebieskie oczy z upodobaniem na nim spoczywały. Oparła rękę na jego ramieniu, i pełna błogiego zachwytu, szła obok młodego, pięknego szlachcica, do którego należało całe jej serce.

Franciszek, w kilka minut później, przechadzając się, wzruszony, powoli ujął rękę swojej donny i nakreślił na,

niej K. i I.

Izabella skinęła, uradowana, że Serrano ją poznał.

— Spostrzegłam pana zaraz — musisz pan teraz długo ze mną chodzić i rozmawiać, — szepnęła.

— Franciszek nie mógł wierzyć temu szczęściu, że jego królowa przywdzieje te same kolory, co i on.

— Ta oznaka mojej łaski stanowiła moją radość i pociechę! Jakżebyś pan mógł mię wynaleźć wpośród zamętu masek — jakżebym pana poznała! I — mówić z panem pragnęłam! — wyszeptała czarowna Izabella, rumieniąc się pod maską na pół jak dziecko, na pół jak rozbudzająca się kobieta.

Franciszek uczuł, że przejmuje go jakieś gorące uczucie.

— O, że nie mogę upaść przed wami i waszej królewskiej ręki okryć mojemi pocałunkami! — rzekł wzruszony i w zapomnieniu uścisnął rękę Izabelli, ale ze drżeniem uczuł, że mu na ten uścisk odpowiedziano — miałżeby mylić się? Nie, młoda, rozkwitająca, czarownic miła królowa zachęcała go.

— Tu w sali za bardzo gorąco, Don Serrano! — rzekła.

— Jeżeli mogę przeprowadzić moją królowę przez audjencjonalną salę na taras, to chłód parku będzie jej może przyjemnym!

— Owszem, przejdźmy niepostrzeżenie do parku — pamiętasz zapewne Don Serrano, że już raz przechadzałam się z panem po parku?

— Owej nocy, kiedyście pani wraz z margrabiną ulicę Toledo zwiedzić zapragnęły.

— A straszny alchemista nagadał mi tyle okropnych

rzeczy; każde jego słowo głęboko się w mojej duszy wyryło! Wiedz o tem także, Don Serrano, że owej nocy wiele się wami zajmowałam! że się o was lękałam i trwożyłam, że się radowałam, gdyście na zamkowy dziedziniec wjechali. O tem wszystkiem zapewne nie wiedziałeś!

— A wasz amulet, który mi życie ocalił? O, królowo, jakże ci za to wszystko dziękuję!

Rybaczka i tejże barwy domino wyszły na taras oświetlony różnokolorowemi lampionami, na którym tu i ówdzie przechadzały się lub stały zamaskowane pary. Widziano także gości w alejach parku, mianowicie wpobliżu cudnie oświetlonej fontanny, z której wytryskająca woda jaśniała i połyskiwała milionami brylantów.

— Korzystajmy z tej tu liściem pokrytej alei, jako mniej ożywionej. Don Serrano, kilkochwilowy spoczynek po zgiełku w salonie, także dobrze czyni.

— Jak moja królowa rozkaże! — szepnął Franciszek, i zstępując z najmocniej oświetlonego tarasu, skręcając ku woniejącemu klombowi, wpośród którego wznosiły się rzucając cień krzaczaste pnie, poprowadził uszczęśliwioną i rozkochaną Izabellę w ciemną aleję parku, w której na prawo i lewo tu i tam przyćmionemi lampionami oświetlone altany do tajemnej miłosnej rozmowy zapraszały.

Franciszek był wzruszony, serce mu biło głośno i gwałtownie; czuł jedynie w tej chwili, że najpożądańsza kobieta w świecie, że rozbudzająca się, rozkwitająca

dziewica opiera się na jego ramieniu, a tą kobietą jest królowa młoda, piękna, czarowna, królowa, która go kocha.

Któżby w tej chwili był się oparł rozkoszy prowadzenia tej pałającej, młodej królowej?

Franciszek Serrano zapomniał o tem, co zawsze powinien był mieć na pamięci: zapomniał w tej chwili o swojej niegdyś tak zapalczywej miłości, zapomniał o swojem dziecku.

Biedna Henryko, przed blaskiem i uszczęśliwiającą miłością promieniejącej młodością pięknej królowej, blednie pamięć o tobie.

Biedna, szukająca Henryko — obejrzyj się! Nieubłagana rywalka porwała ci twoje dziecię, bo ci zazdrości miłości dzikiego Azza. Twojego Franciszka porywa ci królowa!

W chwili, gdy Don Serrano, niepomny sam na siebie, odurzony, miał upaść na kolana przed wzruszoną Izabellą, gdy na gorących jego ustach drżało już słowo miłości, a drobną małą rączkę głośno oddychającej królowej do serca przyciskał...

— Ktoś idzie! Don Serrano, proszę was, odchodźcie!

— O, królowo! w takiej chwili wszystko znieść można!

— Nadchodzą jakieś maski! Dla Boga, wstań pan i uchodź tem ciemnem przejściem!

— Tak rozkazujecie, z ciężkiem sercem jestem posłuszny! Ale dajcież mi jaki znak, abym w tych dniach mógł dostąpić szczęścia, leżąc u nóg waszych, wam się przypatrywać! — szybko szepnął Franciszek.

Izabella odpięła od piersi różę, która wpadła we wzniesioną rękę Franciszka; przycisnął do ust pachnącą

oznakę miłości i znikł w ciemnej alei.

I wielki był czas po temu! Od strony klombu zbliżały się dwie maski ku zwolna na taras idącej królowej.

— Znikł, umknął przed nami! — cicho rzekła wróżka do chirurga, i pożegnawszy go ceremonjalnie, zwróciła się ku jasno oświetlonemu korytarzowi, prowadzącemu do fontanny, a tymczasem ojciec Mateusz zagadnął samotną królowę:

— Dla wypoczynku korzystaliśmy przez chwilę z chłodu w parku! — nie bez obawy odpowiedziała Izabella zdziwionemu ojcu.

— I sama? Bez żadnej damy dworu? To niebezpiecznie, Najjaśniejsza Pani, w chłodnym parku zaziębić się można!

— Wracajmy zatem do salonu! Donny dworu naszego same mają dzisiaj wiele zajęcia!

Podczas gdy Izabella z ojcem Mateuszem zbliżała się do tarasu, Don Franciszek Serrano, dobrze obeznany z labiryntem przejść w parku, doszedł do fontanny, z zamiarem powrócenia również do sali.

Po głównej alei przechadzało się kilka par masek rozmawiając i żartując. Franciszek spiesznie obok nich przechodził.

Nagle uczuł, że ktoś zlekka dotknął jego ramienia. Mniemał, że się omylił, bo myśli jego zajęte były jedynie młodą, ułudnie piękną królową, od której go tak nikczemnie odpędzono, w chwili, w której pragnął użyć najwyższej rozkoszy.

— Don Serrano! — rzekła wyraźnie czerwonem okryciem otulona maska. Stanął i obejrzał się zdziwiony.

— Don Franciszku Serrano, zaczekajcie chwilkę! Albo może was nowa miłość tak silnie nęci, że nietylko zupełnie zdajecie się zapominać o dawnej, ale nadto i chwili rozmowy znieść nie możecie!

— Kto jesteś, masko, i skąd znasz mnie? — spytał zdziwiony Franciszek.

— Wróżka, jak widzisz!

— I tak zręczna, że nazwiska gości z ich masek wyczytać umie?

— Tak jest, skoro tak utrzymujecie, proszę o wasze ramię, Don Serrano!

— Niestety, bardzo mi się śpieszy, piękna masko!

— Kochacie królowę i nie możecie znieść, aby was na minutę od niej odłączano!

— Kto śmie to mówić? Ja muszę wiedzieć, kto jesteś!

— Kobieta, to dosyć dla was! Myślcie o Henryce!

Franciszek przeraził się. W chwili, gdy gnany namiętnością, zdążał za powabną królową, nagle przystępuje do niego jakaś maska z upomnieniem, które go głęboko dotknęło i wstrząsnęło.

— Henryka szuka was! Z całą swoją miłością i rozrzewniającą wiernością szuka śladu waszego! Wszelkie czynione o nią starania odrzuciła w tem mocnem przekonaniu, że dusza jej do was jedynie należy; wy ożywiacie jej marzenia, wy jesteście celem wszystkich jej życzeń! Do was powrócić, was odnaleźć, przez was przyjętą być z równie gorącą jak niegdyś, niewypowiedzianą miłością — oto jej modlitwa, jej jedyny cel życia! — mówiła Aja wzruszającym, i gdy chciała, tak

do serca przemawiającym głosem.

— Kto jesteś, masko, która mi w tej chwili przypominasz Henrykę i moją dla niej miłość? — Zapytał Franciszek.

— Nie badajcie? Dn Serano nigdy się o tem nie dowiecie! Poprzestańcie na tem, co wam powiedziałam: Henryka szuka was! W cierniami poszarpałem okryciu, z zakrwawionemi nogami śledzi was, bo nie wie, gdzie przebywacie, nie wie, że leżycie u nóg królowej!

Franciszek oburzył się, a okryte maską jego oblicze, mocno się zarumieniło.

— Ja muszę wiedzieć, masko, kto jesteś, która śmiesz...

— Mówić prawdę? Nie podnoście ręki dla zerwania mojej maski, Don Serrano! Macie zamiar zapomnieć o biednej, wałęsającej się Henryce, ale chociaż obraz jej niknie przed waszem okiem, zaślepionem świetnością nęcącego was blasku, przynajmniej pamiętajcie o waszem dziecięciu!

Wróżka o wszystkiem wiedziała, jednem słowem mogła go strącić z wysokości; z podziwem i gniewem poznał to Franciszek. Ale kto jest ta zagadkowa kobieta?

Ale powoli przed rozmyślającym coraz wyraźniej przesuwa się obraz biednej, szukającej go Henryki, widział duszą, jak jej piękne, łagodne spojrzenia śledzą go, widział zaczerwienione od łez oczy, o których niegdyś gorącą miłością przejęty mawiał, że Niebo się otwiera, skoro je Henryka otwiera.

— Gdzie ona jest? gdzie jest moje dziecię? — zawołał wzruszony; — muszę widzieć ich oboje.

— W każdej chwili oczekuje stosownej wiadomości,

bądź cierpliwy, będziesz ją miał!

— Kto jesteś, wszechwładna kobieto? Nadaremnie szukam w mojej pamięci, nadaremnie z namysłem patrzę na twą wyniosłą, królewską postawę, którą zgiąć usiłujesz, nadaremnie przysłuchuję się nieznanemu dźwiękowi twojego głosu.

— Nie szukaj, nie słuchaj! Myśl o Henryce, myśl o twojem dziecku.

Uniesiony wzburzeniem i ciekawością, chciał zerwać czarną maskę z twarzy wróżki, ale Aja wymknęła mu się zgrabnym ruchem.

W chwili, gdy niebieskie domino zamierzało ścigać ją, jakiś długoręki pierrot, w szerokiem, białem ubraniu zaszedł mu drogę, biegnąc za uciekającą przed nim piękną kolumbiną, potem tak go inne maski otoczyły, że nadaremnie niektóre z nich usunąwszy, musiał nakoniec zaniechać ścigania wróżki: widział ją jeszcze zdala w tłoku, skinęła nań szyderczo, zdawało mu się, że go dochodzą słowa:

— Myśl o Henryce! myśl o twojem dziecku!

Potem nagle znikła mu z oczu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XIX.

PAŁAC SANTA MADRE.

Tymczasem Narvaez, książę Walencji, nabywał coraz większego wpływu, nietylko na królowę matkę, ale i przez nią na młodą królowę. Jeżeli temu człowiekowi bez serca, który nigdy nie znał i nie uczuł miłości, i jak się przekonamy, obcy był wszelkiemu cieplejszemu uczuciu, słusznie zarzucają okrucieństwo, to historja miedzianym swoim rylcem przyzna, iż to był człowiek prawy i mimo ambicji nieprzedajny.

Marja Krystyna ceniła w nim głównie nietylko sprężystość, z jaką w kilka tygodni umiał ją uwolnić od ciężkiej opieki księcia zwycięstwa, ale nadto surową karność i posłuszeństwo, jakie żelazną dłonią w wojsku utrzymać umiał. Srogość ta była konieczną, bo pojedyńcze oddziały armji ciągle dopuszczały się dotąd rozmaitego rodzaju rozruchów i buntów, rozruchów, które po większej części bardzo szybko gorszy przybierały charakter, przez to, że przebrani wysłańcy Don Karlosa je wspierali pieniędzmi.

Historja z zimnem, niewzruszonem obliczem, chłodno zapatrująca się w swoich księgach, zapisze, iż generał ten silną ręką zwalczał ciemnotę i inkwizycję, która nieprzerwanie usiłowała zgubne swoje wpływy wywierać na dwór madrycki, i że niejedno z trudem zdobyte odniósł

nad nią zwycięstwo.

Na szerokiej, mało ożywionej ulicy Foburgo, wznosi się ciemny, ponury, wstrętny budynek, którego urządzeniu i wewnętrznemu rozkładowi nietylko dokładnie przypatrzyć się winniśmy, gdyż dla dalszego biegu naszego opowiadania potrzebujemy znać rodzaj budowy klasztorów, które prawie, wszystkie według jednego planu są stawiane, lecz także i dlatego, abyśmy mieli przed oczami dokładny widok osławionego, zgrozą przejmującego pałacu inkwizycji, który nieraz będziemy zwiedzać. Klasztor dominikanów i znany z czasów Filipa i Ferdynanda krwią broczący pałac Santa Madre stanowią jedne mury.

Za panowania wspomnianych królów, ulica Foburgo była jakby wymarła, osierociała, bo nikt nie chciał mieszkać wpobliżu straszliwego pałacu inkwizycji, bo chociaż ofiary zawsze w nocy sprowadzano, chociaż stracenia i tortury w nocy tylko odbywano, już sama myśl o możności posłyszenia jęków konającego lub krzyków męczonego, przerażała mieszkających w sąsiedztwie, budziła ze snu i zakłócała spokojne ich życie. Przenoszono się więc raczej na inne ulice, byle tylko mieszkać zdala od straszliwego pałacu Santa Madre. Jeszcze za ojca Izabelli był on zaludniony, ale przeciwnie w ostatnich latach za rządów Marji Krystyny, panowało w nim tylko tajemne, przed oczami świata ukryte życie.

Skręcamy na ulicę Foburgo wraz z pochylonym, mocno ciemnym habitem otulonym mnichem, śpiesznie idącym pod cieniem domów. Północ się zbliża, światło księżyca pada na płaskie dachy domów i na część szerokiej ulicy,

której mnich unika; zdaje się, że odbył daleką podróż, ponieważ kurzawa pokrywa jego szerokoskrzydły kapelusz, sam zaś jest w sandałach i podpiera się długim, drewnianym kijem. Mimo utrudzenia dąży on dalej i zbliża się do wysokiego, ciemno-czerwonego muru, który się ciągnie na jakie pięćset kroków wzdłuż ulicy Foburgo. Gruby niski księży — na przystępuje do miejsca muru, w którym się znajdują drzwi, i dzwoni. Chwilę czekać musi, i odwraca się, a my korzystając z padającego mu na twarz światła księżycowego, przypatrzmy się jego rysom i wbijmy je sobie w pamięć, bo mnicha tego często spotykać będziemy.

Jeszcze on nie stary, zaledwie dwadzieścia lat wieku liczyć może. Gładką twarz, bez zarostu, ma już tak okrągłą i tłustą, iż wygląda jak księżyc w pełni. Mały, szeroki nos ponad grubo pełnemi ustami, i dobrotliwy wyraz twarzy, przedstawia wprawdzie pospolity, ale jednak wzbudzający zaufanie widok; a nawet okrągłą twarz mnicha możnaby nazwać życzliwą, gdyby nie jego oczy, dopełniające wyrazu i ożywiające rysy, mimowolnie z powodu zezowatego spojrzenia o tej dobrotliwości wątpić nie kazały. Wprawdzie po większej części prawie zawsze spuszcza wzrok, ale go także niepostrzeżenie podnosi, a wtedy w jego spojrzeniu przebija się taka chytrość i obłuda, że tylko spokojna, rozważna i życzliwa mowa dozwoli nieco na nie nie zważać.

Nakoniec po kamiennej posadzce klasztornego podmurza zbliża się przywołany odgłosem dzwonu — klucz z szelestem wsuwa się w nocny zamek starych, grubych

drzwi.

— Kto żąda wejścia? — pyta ze środka głos głęboki.

— Brat Claret z klasztoru dominikanów w Burgos! — odpowiada mnich, w którym poznajemy owego poganiacza osłów, którego przed kilku miesiącami widzieliśmy w szynku pod ostrowidzem na złodziejstwie schwytanego. W przeciągu kilku miesięcy, dobre, wolne od trosk życie klasztorne, zmieniło go nietylko powierzchownie, lecz także i wewnętrznie zupełnie innym zrobiło człowiekiem.

— Niech święci błogosławią twoje przybycie, bracie Claret!

— I twoją duszę wzmocnią, bracie odźwierny, zakończył przybyły pobożne pozdrowienie.

Jasne światło księżyca padło na pusty, szeroki dziedziniec klasztorny, i ukazało go wraz z ciemnym cieniem groźnie przed Claret‘em wznoszącego się starego budynku. Na prawo i lewo, obok przejścia kamiennemi płytami wyłożonego, leżą place trawą zarosłe, z których dochodziło się do długich kolumnowych korytarzy, które blado księżycem oświetlone ciągnęły się po obu stronach klasztoru i tworzyły perspektywy, które w swojej jednokształtności głębokie na zbliżającym wywierały wrażenie.

Flizowy chodnik prowadził do wąskich drzwi klasztoru, u góry ostrym łukiem zakończonych. Podobne łuki miały także wąskie, zakratowane okna budynku, o którego starości wnosić kazała spełzła jego barwa. Jeżeli się przez drzwi weszło do wewnętrznej przestrzeni, to ujrzano się w przysionku licznie napełnionym grubemi filarami i

wyłożonymi flizami; na prawo i lewo leżały pozamykane cele braciszków piwnicznych i zarządu. W głębi schody wiodły do leżących na górze krużganków, z których dochodziło się do sali modlitwy.

Cele mnichów rozrzucone były po całym ogromnym gmachu, którego płaski, zardzewiałemi ostrołukami zdobny dach zębem czasu był nadwerężony.

W chwili, gdy braciszek odźwierny zamykał za Claret‘em, mocne, żelazem okute drzwi, z małej, nad wejściem umieszczonej wieżyczki dał się słyszeć głośny dzwonek przywołujący na jutrznię. W kilka chwil rozjaśniło się w wąskich oknach; długi, uroczysty orszak śpiewających mnichów odbył procesję, do której należeć musieli wszyscy, nawet Claret i odźwierny. Wszyscy idąc jeden za drugim, z odkrytemi głowami, tak, że się ich tunsury świeciły, mając oczy wlepione w książkę w lewej ręce, trzymaną, przeszli z przysionka na klasztorny dziedziniec, przez filarowe przejście na górę do sali modlitwy.

O godzinie pierwszej każdy mnich wrócił do swojej celi.

— Cóż cię z Burgos do Madrytu sprowadziło, bracie Claret? — zapytał braciszek odźwierny po skończonej jutrzni.

— Przysyła mnie wielebny ojciec Rosa do wielebnych ojców Mateusza, Antoniego i Merina! — odpowiedział Claret.

— To chodź za mną, bracie z Burgos, znajdziesz ojców jeszcze w Santa Mądre!

Braciszek odźwierny poprowadził znowu Claret‘a przez

klasztorny dziedziniec do jednego z kolumnowych korytarzy, a potem daleko aż za gmach klasztorny.

Tam ukazał się Claret‘owi wielki, kwitnący, pachnący ogród klasztorny, z cichemi liściem ocienionemi alejami, poważnemi palmami i piniami, z owym w wilgotnym cieniu ciemno-czerwono kwitnącym, mnisim kwiatem, który znajdujemy we wszystkich klasztornych ogrodach, a o którym przesąd ludu niegdyś utrzymywał, że się z niego wyrabia owa straszna trucizna Arbuk, której tajemnicę znali tylko hiszpańscy księża i której sam zapach już był w stanie zabić.

Po za tym ogrodem wznosił się ogromny gmach w tymże samym ostrołukami i grubą sztukaterją przesyconym stylu co i klasztor, tejże samej staroświecko-siwej barwy, tejże samej zewnętrznej powagi.

Ten głęboki i szeroki dom jest to pałac Santa Madre, siedziba inkwizycji; w piwnicznych sklepieniach tego domu znajdują się izby tortur, które później zwiedzimy, w nich są sądowe pokoje, w których spisywano i zatwierdzano najkrwawsze wyroki, jakie kiedykolwiek ludzie na swoich bliźnich wydali. Krwią było każde słowo, które w tych pokojach wymówiono lub napisano, a jednak nad wejściem, które przestąpiło niezliczone mnóstwo ludzi, a tak mało stamtąd na powrót wyszło, napisano wielkiemi złotemi literami że:

„Kościół krwi nie pragnie.“

I rzeczywiście krwi na sądowym dziedzińcu pałacu inkwizycji nie przelewano: wieszano i palono ofiary, torturami już prawie ich życia pozbawiwszy! Obawiano się przelewać krew, ale wymyślano tak wyrafinowane męki na nieszczęśliwych, którzy ściągnęli na siebie nienawiść i zemstę jednego z członków tego tajemnego sądu, że ci zesztywniałym, bełkocącym językiem błagali swych oprawców, aby im męki te dobrodziejstwem śmierci skrócili! Krew nie płynęła w pałacu Santa Madre, ale brzmiały w nim niezliczone jęki i przekleństwa i szły do nieba jako straszliwe skargi; w porównaniu z tym pałacem o dobrze brzmiącej nazwie i jego szatańskiemi okrucieństwami, miejsce stracenia na placu Pedro było miejscem błogiem, a stary Bermudez barankiem, miękkiego serca dzieckiem w porównaniu z Muttar‘em, tajemnym wykonawcą wyroków inkwizycji.

Claret, mnich z Burgos, idąc za bratem odźwiernym, zbliżył się do szerokich stopni pałacu, przed nim były trzy wejścia w głębi, odźwierny przystąpił do środkowego i zapukał żelaznym młotkiem, przymurowanym do wysokich w głębokim cieniu pogrążonych drzwi.

Po trzykroć w równych przestankach rozległy się wołające uderzenia, potem brat odźwierny przemówił na głos:

— Otwórz, brat Claret z Burgos żąda być wprowadzonym do ojców.

Drzwi otworzyła niewidzialna ręka, mnich ujrzał się w nieprzebitej ciemności, tak, że miał już zamiar cofnąć się ku księżycem oświetlonym stopniom; ale obca ręka z silnym

naciskiem pochwyciła jego prawicę, podczas gdy drzwi za nim z łoskotem zamknięto i wszelki promień światła przecięto.

Claret nie mógł widzieć tego, który go we wnętrzu pałacu Santa Madre, nie wyrzekłszy ani słowa, nie pozdrowiwszy, ani żadnego nie zadawszy pytania, żylastą pięścią pochwycił; czuł tylko jak go obcy za sobą ciągnął. Słowo zastygło mu na ustach, szedł bez oporu za straszliwym, niemym przewodnikiem.

Mimo czarnej, otaczającej go nocy, czuł Claret, że droga idzie pustemi przejściami około słupów i kątów, aż nakoniec usłyszał przytłumiony odgłos kroków i zmiarkował, że się znajduje w zamkniętej przestrzeni.

— Przypominam ci trzy reguły braterstwa! nagle przystając, rzekł głębokim głosem przewodnik.

— Zaprzysiągłem wam moje życie! odpowiedział Claret.

— Każdemu, który zbliża się do świętego gmachu Santa Madre, powinienem je przypomnieć, mówił niewidzialny. Patrz tam!

Claret szeroko otworzywszy oczy, nagle spojrzał przed siebie i zobaczył oblane jasnym promieniem światła, które z góry spadało, mnicha żebraka; twarz jego była głodem strawiona, a podczas gdy prawą ręką pomiędzy lud rozrzucał srebrniki, lewą z upragnieniem wyciągał po kawałek chleba, który mu obca dłoń podawała.

To był ślub ubóstwa.

Obraz ten jakby czarodziejską sztuką znikł znowu niespodzianie, i natychmiast znowu czarna noc pokryła miejsce, na którem tylko co stał przed nim żywy mnich.

Znowu padł z góry promień światła, jakiś pater z gniewnie wyciągniętą ręką stał przed mnichem do połowy zamurowanym. Skazany pokornie spuścił wzrok i bez szemrania znosił straszliwą karę okropnej śmierci.

To był ślub posłuszeństwa.

Claret drżąc przypatrywał się, ale wnet otoczyła go ta sama co pierwej nieprzejrzana noc.

Jakim sposobem powstawały te czarodziejskie zjawiska, które przestraszony mnich widział tak blisko przed sobą, że ich prawie rękami mógł dotykać? Wprawdzie słyszał on często o tajemniczych cudach i karach pałacu inkwizycji, ale wstęp do nich nie tak łatwo każdemu dominikanowi był dozwolony; jednak poselstwo od ojca Rosy do Mateusza i Antoniego, otworzyło przed nim zamknięte drzwi cudownego i straszliwego domu.

Claret ujrzał że jasny, oślepiający promień jeszcze raz spada z góry, lecz przed nim stanęła jakby żywa statua, jak marmurowy obraz, w który życie tchnięto, naga przecudna kobieta. Zdziwiony mnich zasłoniwszy się rękami przed wabiącym pięknym obrazem, cofnął się w tył jakby chciał zawołać: „Precz odemnie kusicielko!“

A jednak ciekawie i z upodobaniem spojrzał na koronę stworzenia, stojącą przed nim w wykończonych kształtach, oświetloną promieniem, który zapewne słońcu oderwano,

tak był złoto-jasny, tak rozwidniał piękną, przedstawioną mu postać Junony. Otworzyła rozszerzyła ramiona, jakby go przyciągała do swoich falująco miękkich, liliowych piersi; długie czarne włosy, rozpuszczone spadały z pięknej jej głowy, prawie aż na biodra; ciemne, świecące, wielkie oczy rzucały nań pożądliwe, palące spojrzenia; pełne, różą woniejące policzki wabiły ponętnym uśmiechem, a różowe do pocałunku gotowe usta pociągały ku sobie tak silnie, tak odurzająco, że mnich zapomniał, iż stoi przed nim obraz nie zaś żywe ciało i z pożądliwem spojrzeniem, z łaknącą miną, chciał się nań rzucić.

W tej tak niebezpiecznej dla niego chwili, znikło przecudne zjawisko, a ciemna noc otoczyła wzburzonego.

To był ślub czystości.

Silna dłoń niewidzialnego przewodnika znowu go pochwyciła, i pociągnęła za sobą przez niezliczone krużganki; potem zauważył Claret, że obcy szukał czegoś macając po ścianie, i zapewne nacisnął jakiś dzwonek, bo nagle dał się im słyszeć daleki trzykrotny dźwięk.

— Jesteś u celu! głębokim swoim głosem rzekł przewodnik, puścił jego rękę i znikł w ciemności po za Claretem, przed którym otworzyły się drzwi, tak szczelnie dotychczas zamknięte, iż żaden promień światła istnienia ich nie zdradzał.

Z nagle otworzonej sali spłynęła na przystępującego bliżej oślepiająca masa światła, i teraz poznał, że przestrzeń, przez którą przechodził, czarnem suknem

wybita, stanowiła sklepiony korytarz.

Claret wszedł do jasnego, wielkiego pokoju, którego wysokie łukowate okna szczelnie czarnemi zasłonami zakryte były. Czarne sukno pokrywało także długi stół, przy którym siedzieli trzej ojcowie: Mateusz, silny, wielki, grubo-głowy mnich, spowiednik królowej matki; ojciec Antoni, stary, chudy jezuita, na którego twarzy wypisana była chytrość i nietolerancja, i ojciec Merino, jeszcze młody mnich, z fanatycznie świecącem okiem i obliczem, wyraźnie mówiącem, że ten namiętny, żelazny zakonnik, stanie się kiedyś królobójcą, jeżeli gorączkowy jego fanatyzm do tego stopnia go uniesie.

Drzwi zamknęły się za Claret‘em, skłonił się zakładając ręce na piersi — Co cię sprowadza do pałacu Santa Mądre, pobożny bracie z Burgos? zapytał poważnie ojciec Mateusz.

— Czcigodny ojciec Rosa przesyła wam swoje pozdrowienie i błogosławieństwo! odpowiedział Claret znowu się kłaniając.

— Oby Matka Boska miała i nadal brata Rosę w swojej łaskawej opiece! — Cóż nam czcigodny brat donosi?

— Tajemnicę tak wielkiej wagi, że dostojny ojciec papierzowi powierzyć jej nie śmiał, lecz wysłał mnie, brata Clareta, aby jego poselstwo wam w Santa Madre z ust do ust podać. Cztery dni byłem w drodze, nogi moje zupełnie odgniotłem!

— Służysz świętej sprawie, nagroda cię nie minie. Powtórz słowa czcigodnego ojca Rosy!

Claret przystąpił bliżej do czarno-okrytego stołu i

półgłosem, po którym można było poznać ważność jego tajemnego poselstwa, wymówił słowa, które gdyby słyszał kto niepowołany, wydałby go bez ratunku i niezaprzeczenie w ręce Bermudeza, jako zdrajcę królewskiego domu, słowa, których rzeczywiście czcigodny Rosa nie śmiał powierzyć papierzowi, lecz jedynie zaufanemu, wypróbowanej pewności i przebiegłości człowiekowi.

— Przed pięcioma dniami, — zaczął Claret swój tajemniczy raport, — posłannik infanta don Karlosa był w klasztorze w Burgos. Wojska jego generała Cabrery bez przeszkody podstąpiły pod Burgos, stanowiąc czterdziestotysięczną potęgę. Don Karlos obiecuje wam wszelką władzę w Hiszpanji, jakiej inkwizytorowie używali za czasów panowania króla Ferdynanda, jeżeli mu swojej pomocy udzielicie i z nim się połączycie! Zaręcza wam wszelką moc, jakiej sobie życzycie i pragniecie; urządzi na nowo wszystkie klasztory, spalone lub zabrane w czasie przeklętego powstania; chce za tron w dzień, w którym odbędzie wjazd do zamku w Madrycie, zapłacić wam podatek, jakiego dzisiaj i połowy nie pobieracie. Czcigodny ojciec Rosa zastrzegł sobie dwanaście dni do namysłu, dla naradzenia się względem tego z czcigodnymi ojcami wszechmocnego pałacu Santa Mądre. Jutro jak najraniej Claret wraca znowu do Burgos, z odpowiedzią, jaką mi czcigodny ojciec dać raczycie!

Mateusz ze wzrastającą uwagą wysłuchał ważnego wniosku ze strony pragnącego tronu Don Karlosa; Antoni i Merino także z zadowoleniem i dumą, której jednak ich twarze bynajmniej nie okazywały, przyjęli tę przedstawioną

im kwestję korony.

Od ich postanowienia zależał w tej chwili los kraju, los tysięcy — w pałacu Santa Madre już nieraz, bez wiedzy świata, rozstrzygały się losy Hiszpanji; z tej pełnej tajemnic sali rozciągała się po całym kraju niewidzialna sieć po za granice i morza, stamtąd wszechmocne ramię sięgało aż do stopni tronu!

— Wyjdź na kilka chwil do przyległego pokoju, bracie Claret z Burgos, poważnie rzekł Mateusz; brat posługujący dostarczy ci jadła i napoju!

Claret wyszedł do wskazanego miejsca. Gdy tam znikł i drzwi się za nim zamknęły, oczy trzech ojców bardziej się ożywiły.

— Cóż bracia moi, Antoni i Merino, mówią o wniosku Don Karlosa? zapytał Mateusz.

— Że go dla dwóch przyczyn odrzucić należy, mówił stary Antoni drżącym głosem, ale oczy młodzieńczo mu świeciły; odrzucić, bo ów Don Karlos nie dotrzyma tego, co tak łatwo przyrzeka.

— Jeżeli nie dotrzyma, to jego los od nas zależy! przerwał starcowi namiętny, fanatyczny Merino.

— Mój młody brat zapomina wysłuchać mojej drugiej przyczyny, zanim swoje zdanie objawi! Mówię tedy: że wniosek Don Karlosa odrzucić należy, bo ten chytry, niezasługujący na szacunek awanturnik, nie dotrzyma tego, co dzisiaj dla pozyskania nas na swoją korzyść tak łatwo przyrzeka; i ponieważ, jak przed godziną z ust czcigodnego ojca Fulgentego słyszeliśmy, przez księcia Assyżu, który ma wszelką nadzieję zaślubienia królowej, cała władza

dostanie się w nasze ręce! mówił siwy Antoni, chwytajmy się zatem i trzymajmy to co pewniejsze!

— Czy Franciszek z Assyżu pozostaje jeszcze w naszych rękach, to wielkie pytanie! odparł Merino.

— Było pytanie, ale Franciszek z Assyżu jest całkiem w naszej mocy! Hrabina genueńska wywiera swój dawniejszy nieprzeparty wpływ!

— Także niewiadomo jeszcze, czy ten książę z neapolitańskiego dworu otrzyma rękę Izabelli? wtrącił Merino.

— Otrzyma ją! mówił Mateusz: królowa matka sprzyja temu zamiarowi.

— Ale książę Walencji nie sprzyja mu!

— Ów Narvaez — nasz najniebezpieczniejszy przeciwnik! Postaramy się o równowagę za pomocą Ludwika Filipa! mniemał wszechwładny Mateusz, który zdawał się trząść wszystkiemi dworami!

— To losujmy! odezwał się siwy Antoni, który nie przypuszczał żadnej wątpliwości. Czy przyjąć projekt infanta?

Każdy z trzech tajemnych sędziów inkwizycyjnych trybunału wyjął z kieszeni gałkę i włożył ją skrycie w stojącą na stole urnę, poczem starannie ją przykrył. W tej urnie małe czarne i białe gałki rozstrzygały los niezliczonego mnóstwa ludzi. Jeżeli się tam znalazły dwie lub trzy czarne gałki, życie obwinionego przepadło, wątpliwa kwestja nikła; jeżeli zaś znalazły się dwie albo trzy gałki białe, wtedy wyrok był ułaskawiający.

Trzej zakonnicy pojedynczo przystępywali do urny,

następnie ojciec Antoni wstrząsnął nią i wysypał gałki na czarne sukno stołu.

— Dwie gałki są czarne, chytrze poglądając rzekł chudy starzec: wniosek Don Karlosa zostaje odrzucony. 0-świadcz to postanowienie mnichowi z Burgos bracie Merino! Ale czekaj — jeszcze jedno, zanim rozejdziemy się! Książę Assyżu przez brata Mateusza żąda sumy pieniężnej, której mu brakuje i którą zamyśla pożyczyć w skarbie Towarzystwa Jezusowego — czy bracia moi już co w tym względzie postanowili?

— Książę żąda miliona realów (250,000 franków), rzekł Mateusz, i wpierw złoży pewność zaślubin swoich z Izabellą hiszpańską, zanim mu brat podskarbi tę sumę wypłaci!

— Zgadzamy się na to, odpowiedzieli Antoni i Merino; jeżeli będzie miał pewność w ręku, natenczas otrzyma pieniądze!

— Za udanie się jego planu ręczę! powiedział ojciec Mateusz z taką spokojnością i pewnością, któraby każdego do najwyższego stopnia zdziwiła; niech Najświętsza Panna będzie z wami i z nami wszystkimi!

Ojciec Mateusz ukłonił się, bracia Antoni i Merino uczynili to samo, poczem wszyscy trzej odeszli, Merino zanosząc bratu z Burgos odmowną odpowiedź, dwaj zaś inni każdy osobnemi drzwiami sali.

Na każdego czekał posługujący brat ze światłem i zaprowadził przez straszne, ciemne krużganki pałacu Santa Mądre do mieszkań położonych w rozmaitych stronach

słusznem przekleństwem przez naród obciążonego gmachu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XX.

PODPATRZENI.

Owo wmieszanie się przeszkadzających masek jeszcze bardziej podżegło i w płomień wznieciło rodzący się w młodej królowej Izabelli zapał miłosny. Z namiętnością, jaką tylko wyradza południe ze swojem złotem słońcem i ciepłemi nocami, zawisła dusza łaknącej, rozkwitającej królewskiej dziewicy na owym pięknym, dumnie wyniosłym młodzieńcu, który, jak sobie z zachwytem i bez namysłu wyznawała, na tę miłość z równym zapałem odpowiadał.

Don Franciszek Serrano, komandor w wojsku królowej, poznał z wabiącą pewnością, stawiającą go na wysokości wieku, że go królowa Izabella z pomiędzy innych wyszczególnia.

Mądry Olozaga swoim nieznacznie na wszystko uważającym wzrokiem, już był poznał, że Franciszek upodobał sobie zachwycającą, modrooką i bujnie rozkwitającą się królową i że na wszystkich dworskich uroczystościach, spojrzenia Izabelli spoczywają z rozkoszą na postaci jego przyjaciela.

Prim, jako ulubieniec generał-kapitana Narvaeza, odkomenderowany został z oddziałem wojska do Burgos a Topete jeszcze przebywał między przyjaciółmi w stolicy i

wyprawiał im w swoim bogactwami promieniejącym pałacu uczty, które w Olozadze i Serranie wzbudzały jeszcze większą ochotę do używania życia. Bogactwo Topetego było niewyczerpane, gościnność ujmująca; był to zawsze nadzwyczaj dobrze usposobiony, serdeczny przyjaciel, i największe miał w tem upodobanie, gdy widział w koło siebie miłe mu osoby.

Przez kilka tygodni karnawałowej uroczystości, Franciszek nadaremnie wszelkich dokładał starań, aby odszukać tajemniczą wróżkę i dowiedzieć się od niej coś więcej o Henryce i jej dziecku — owa nieznana kobieta, która jednak do sfery dworskiej należeć musiała, skoro się znajdowała na balu maskowym, znikła i mimo poszukiwań znaleźć jej nie było podobna. Nikt nie był w stanie udzielić mu chociaż jakiejkolwiek wiadomości o tajemniczem jej pojawieniu się, mimo że przyrzekła wkrótce dać mu wyśledzoną przez szpiegów bliższą wiadomość o Henryce i dziecku, nadaremnie na tę wiadomość oczekiwał.

Stary Domingo, z którym dawniej rad rozmawiał o stosunkach w Delmonte i o czarownej Henryce, ów stary, wierny sługa, który syna don Miguela nosił na ręku i sam tylko śmiał upominać go o rzeczy, które w różnorodnem życiu młodego komandora łatwo się zapominały i przemijały — umarł dosięgnięty kulą Józefa, który jak mniemał Franciszek, także swojej kary nie uszedł. Staremu Domingowi w nagrodę usług wzniesiono pyszny pomnik — a potem także o nim zapomniano.

Franciszka Serranę za nadto nagabały i odurzały rozkosze dworskiego życia i czarowne powietrze, w

złoconych gmachach Izabelli powiewające! Chociaż w umyśle jego i snach, po owem wspomnieniu na balu maskowym, znowu wyraźniej pojawił się obraz Henryki, — znikł znowu w pośród zajęć madryckiego dworu, na którym uczty i wszelkiego rodzaju rozrywki ciągle za sobą goniły, bo nietylko gościł tam książę Assyżu, ale także przybył od kilku tygodni w odwiedziny najmłodszy syn Ludwika Filipa, króla Francji, Antoni de Montpensier, którego należało przyjmować ze wszelkiemi niezwykłemi honorami. Ludwik Filip był wysoce szanowanym dobrodziejem hiszpańskiego dworu i „przyjacielem“, jak to zwykł był zawsze z naciskiem powtarzać, królowej Marji Krystyny.

Na licznie obsadzoną wieczerzę zaproszono także panów Olozagę, Topetego i Serranę. Marja Krystyna lubiła szczycić się swoją dowcipną, imponującą i bogatą szlachtą.

Świetne towarzystwo zgromadziło się w salonie królowej matki, połączonym galerjami i korytarzami z salonami Izabelli. Książę Rianzares, były gwardzista przyboczny, rozmawiał z Narvaezem, księciem Walencji; mały, cienki, książę Assyżu usiłował, ukradkiem tu i owdzie poglądając, zawiązać rozmowę z księciem Montpensierem, a wyborny ojciec Mateusz z towarzyszem i ojcem księcia Assyżu, bardzo pobożnym i zawsze z namaszczeniem przemawiającym księdzem Fulgentym, stali na stronie.

Królowa matka niezmiernie łaskawie przyjęła Serranę; Olozaga pozwalał sobie uprzejmie żartować z bardzo młodą, często skorą infantką Ludwiką, której rysy zdawały

się wywierać głębokie wrażenie na sercu młodego Antoniego de Montpensier; Topete zaś niby przez żart, niby dla tego, aby nie pozostać w tyle książąt, których majątek z jego mieniem wcale mierzyć się nie mógł, swoim dzisiejszym ubiorem zwrócił na siebie chwilowo uwagę młodej królowej, która jako wyrachowana, za pomocą odznaczenia z jakiem podziwiała olbrzymiego, czarnego, wszelkiemi barwami brylantów błyszczącego kontr-admirała, pragnęła odwrócić myśl o udzielanem Serranie pierwszeństwie.

Książę Rianzares zaprowadził swą małżonkę, zawsze w żywe kolory przybraną Marję Krystynę, do długiego ozdobnie przystrojonego stołu, na którym umieszczone najrzadsze kwiaty, wszędzie zapach rozsiewały. Książę Assyżu podał rękę swojej królewskiej kuzynie; książę Montpensier pozwolił sobie prowadzić infantkę Ludwikę. Olozaga pośpieszył ku zachęcająco i wiele mówiące uśmiechniętej margrabinie de Beville; Narvaez szedł bez damy obok królowej matki, Serrano i Topete musieli poprzestać na kilku zaproszonych do stołu grandessach, Mateusz i Fulgenty prowadzili się wzajemnie do dozwolonego użycia wybornych potraw i wyszukanych win.

Spojrzenia Izabelli, nie zważając na przewodnika, śledziły ujmującą postać dzielnego, wysmukło wzrosłego kawalera, który na balu maskowym rękę jej do bijącego serca przycisnął i miał przed nią upaść na kolana.

Serrano zbliżył się ze swoją donną do stołu, wzrok jego spotkał się ze wzrokiem młodej królowej, która oparta o

krzesło, dała znak do zajęcia miejsc. Czuł to że jej spojrzenia malują, aby usiadł blisko niej; poczem sama zajęła miejsce, a wszyscy ją naśladowali.

Z początku, gdy lokaje roznosili rozmaite potrawy, mówiono o kwestjach dotyczących armji, wojska karlistów i niektórych nowych urządzeń, a ojciec Mateusz nieznacznie wszystkiemu się przysłuchiwał; ale gdy przy powtórnem podaniu pieczeni, popłynął znakomity burgund i xeres, a potem przy ciastach i deserze szampan, którego dostarczali ciągle lokaje uważający na wypróżnione kielichy, rozmowa przybrała charakter poufny! Królowa skrycie uśmiechała się do Serrany, starając się wprawić w kłopot siedzącego przy niej po prawej ręce kuzyna. Marja Krystyna bawiła się ze swoim pięknym księciem, jakby jeszcze byli w miodowym miesiącu. Książę Montpensier, syn króla Francuzów, dosyć przystojny, rumiany mocno zarosły mężczyzna, zalecał się uśmiechniętej infantce Ludwice. Olozaga bez żenady chichotał z milutką, szampanem ożywioną margrabiną, zachowując się przytem tak delikatnie i przyzwoicie, jak to tylko urodzony dworak Don Salustjan mógł potrafić.

Ale mimo wina ciągle milczącym i ściśle poważnym u królewskiego stołu był — Narvaez, książę Walencji, człowiek żelazny bez radości, bez serca; ten współregent madryckiego tronu nie używał życia, lecz poświęcając je jedynie zajęciu i czynowi, niezmiennie według zasad postępował.

Królowa dała znak do wstania od stołu, gdy poprzednio rozdano smaczne lody; goście rozdzielili się po

wszechstronnych ceremonialnych ukłonach i życzeniach dobrego zdrowia i rozproszeni po wszystkich stronach rozmawiali, bo w koło zapraszające, oświetlone, chłodzące i woniejące salony stały otworem.

Lokaje podawali jeszcze ciągle mrożonego szampana, albo ulubioną czekoladę w małych chińskich filiżankach, gościom, którzy porozchodzili się po przyległych salonach i rozmawiali w niszach, lub też swobodnie gwarząc tu i owdzie przechadzali się.

Marja Krystyna w towarzystwie książąt Rianzaresa i Walencji wyszła do swojego przyległego gabinetu, młoda zaś królowa znalazła nakoniec upragnioną chwilę zamienienia niespostrzeżenie kilku słów z Don Franciszkiem Serraną.

Olozaga spostrzegł, że Izabella zbliża się do jego przyjaciela, zajął więc margrabinę tak dalece, że wcale nie widziała, jak jej królowa i pani z kawalergardem znikła w salonach z ich oczu.

— Nakoniec, moja królowo, nadeszła godzina, w której wolno ucieszyć się szczęściem zbliżenia się do ciebie! rzekł z cicha Franciszek do pożądliwie słów jego słuchającej; stanowiły one słodką muzykę dla wzburzonych strun jej serca, które teraz zabrzmiały pełnemi dźwiękami, każąc zapominać o świecie.

— Pójdźmy razem, Don Serrano, i niech to życie przez kilka chwil będzie tylko naszem życiem! W ścieśnionem towarzystwie królowej używamy go tylko w połowie! Tutaj nikt nas nie podsłuchuje, nikt na nas nie uważa! pałającym głosem mówiła młoda, namiętna monarchini.

Oczy Franciszka spoczęły upojone na zarumienionej, pięknej twarzy Izabelli, której w tej chwili zapał miłości nadał barwę i wyraz pożądliwy; szła ona z mocno bijącem sercem obok ukochanego, obok gorąco umiłowanego duszą, który był jej królem, jej Bogiem; w chwili gdy ją Franciszek przez lekko oświetlone, puste salony prowadził, była w stanie wszystko dla niego uczynić, wszystko dla niego poświęcić, miłość jej nie znała żadnej dumy, żadnej granicy, szła bezwiednie za wiodącym ją Franciszkiem, który ujął jej rękę; pozwoliła na to, aby ona jego a on ją przyprowadził do fotelu, w samotnym gabinecie, w którym strwożona usiadła obok niego na sofie; lampa rozlewała pół czerwone światło, jakby pragnąc niejasnym blaskiem swoim nie zakłócić owej błogiej chwili, w której młoda, po raz pierwszy kochająca królowa, padła w objęcia pięknego, dla niej rozgorzałego szlachcica... Żadnego sługi nie było w pobliżu, żaden głos nieharmonijny nie dał się słyszeć; tylko z dala z salonów zebrania dochodziły dźwięki muzyki, tembardziej jeszcze chwytające serca, które teraz w najwyższem wzruszeniu tuż przy sobie biły.

Franciszek spojrzał w marząco błyszczące i promieniejące miłością oczy Izabelli, które spoczywały na nim pełne oczekiwania; potem padł na kolana przed siedzącą przed nim na sofie postacią i wyciągając ku niej ręce zawołał:

— Nazwij to zbrodnią stanu, i niech mnie świat sądzi, ale inaczej być nie może... Oczarowałaś mnie i porwałaś za sobą, ginę z żądzy i namiętności, bo cię kocham niewypowiedzianie i posiadać cię muszę!

Izabella pochyliła się ku klęczącemu; jej młodzieńcze, marzące lica teraz rozpromienione jeszcze piękniej wyglądały, i pochylona obdarzyła go najwyższą łaską, bo rozpalonemi usty odpowiedziała na pocałunek ukochanego... Był to pierwszy pocałunek miłości, który Izabella uczuła i nawzajem uczuć dozwoliła.

Teraz przełamane zostały wszelkie zapory; południowa kobieta przebudziła się w rozkwitającej królowej, niepomiarkowanie zatem używała rozkoszy w objęciach najpiękniejszego mężczyzny...

Zapomniano o dworze, zapomniano o świecie — Izabella była tylko kochającą kobietą, Franciszek tylko wybrańcem jej gorącej miłości, któremu wszystkiego dozwoliła, wszystko zapewniła i poświęciła, któremu w tej chwili najwyższej rozkoszy bez granic się oddała, bo do niego cała jej dusza należała...

Kochankowie opływali w rozkoszy...

W chwili gdy Izabella wydała lekki okrzyk i dopiero teraz poznała co się dzieje, gdy ostatni pocałunek wyciskała na ustach Franciszka, przyciskając go jeszcze raz do wznoszącego się łona, — u drzwi gabinetu dał się słyszeć szelest, portjerę z szelestem rozsunięto.

Osłupiały Narvaez z razu spojrzał zdziwiony, potem rzucił gniewny, potępiający wzrok na młodego komandora swoich wojsk, który w zapomnieniu zawisł u piersi zaledwie rozkwitającej królowej — niespodziane spotkanie!

Zimny jak lód książę Walencji w pierwszej chwili nie wiedział jak postąpić wobec takiej sceny, ale gdy postrzegł, że Izabella, niezadowolona, a nawet rozgniewana jego

wejściem, chciała mu go zabronić, szybko zdecydowany przystąpił bliżej do młodej królowej, pewny wpływu jaki wywierał nietylko na królową matkę, ale i na wojsko, tę podporę tronu.

Serrano odwrócił się i żwawo w tył odskakując, tudzież w pierwszej chwili za szpadę chwytając, dla ukarania śmiałego przybysza za wyśledzoną tajemnicę, ujrzał — generał-kapitana Narvaeza, główno-dowodzącego całą armią! Widział królową i siebie zdradzonych — ponuro patrząc — słuchał krótkich, srogim głosem wymienionych słów potężnego księcia Walencji:

— Komandor Serrano przed nadejściem dnia wraz z kontr-admirałem Topetem udadzą się do Burgos i tam złączą się z komandorem Primem, który za trzy dni ma stoczyć bitwę z generałem Cabrerą. Tam będą panowie mogli okazać swoją gorliwość i poczynić wielkie zdobycze; dwór mogą pozostawić damom i infantom — tak być powinno!

— Mości książę! zawołał Serrano, oburzony takiem znalezieniem się surowego Narvaeza — jestem równie jak pan szlachcicem.

— Jesteś żołnierzem, mości komandorze — mamże przypominać panu prawa wojennej karności? Zapominasz pan gdzie się znajdujesz!

— A więc przyjdzie czas, w którym...

— Najjaśniejsza Pani, mam rozkaz dostojnej matki waszej, zaprowadzić was do jej apartamentów! przerwał Narvaez szemrzącemu i nie zważając na oburzenie młodej królowej. — Najjaśniejsza Pani zatem raczy w tym celu

przyjąć moje ramię! Ramię to niejedną bitwę wygrało; możesz więc Najjaśniejsza Pani oprzeć się na niem za wszelką pewnością!

Izabella z całą łaskawością i wdziękiem, jaki osiadał na jej obliczu, gdy się miłośnie uśmiechała, pozdrowią ukochanego.

— Mości książę, generał Serrano, którego w ważnej sprawie z Don Topetem do Burgos wyprawiasz, przez chwilę stojąc spokojnie mówiła królowa do zdziwionego wprawdzie, ale milczącego Narvaeza: generał Serrano przez swoje męstwo i nieustraszoność, mam nadzieję! że wkrótce stanie się wam równie drogim jak nam. Niech was Najświętsza Panna ma w swojej opiece, generale Serrano!

Franciszek ukłonił się, a gdy Izabella wsparta na ramieniu Narvaeza tuż obok niego przechodziła, zdało mu się, że słyszy szept:

— Serce nasze idzie z wami.

Potem tak nagle na generała posunięty Franciszek, ujrzał się sam w gabinecie królowej, jeszcze raz z jasnością przejrzał to co zaszło, potem śpiesznie się oddalił, aby ze świtem w towarzystwie Topetego i jego murzyna podążyć do Burgos, gdzie spotkać się miał z Primem. Znaczny oddział wojska oddano pod jego rozkazy, a jeżeli szczęście mu sprzyjać będzie, to Prim i on za kilka miesięcy będą mogli powrócić do Madrytu jako uwieńczeni zwycięzcy. Mimo to skoro wspomniał o Narvaezie, gniew nim wstrząsał, i dziwił się zwycięstwu, jakie odniósł sam nad sobą i którem życie swoje ocalił, bo książę postępował bezwzględnie, i w razie gdyby Serrano był wydobył szpadę,

niewątpliwie i nie bacząc na prośby królowej, byłby go oddał pod sąd wojenny i rozstrzelać kazał!

— Rachunek między nami tylko odłożony, mości książę Walencji; dopóki nie stanę na twojej wysokości!...

Tejże samej nocy Narvaez doprowadził do skutku zaręczyny królowej z księciem Franciszkiem z Assyżu, ponieważ po podpatrzonej dzisiaj scenie, pragnął za jakąbądź cenę widzieć namiętną, wcześnie rozkwitającą królową, jak można najprędzej zaślubioną. — Marję Krystynę łatwo pozyskano dla przyśpieszonego zamiaru, i w kilka już dni przygotowane, należycie podpisane i przez ministrów kontrasygnowane, wielkie pergaminowe arkusze małżeńskiego kontraktu, mocą którego książę Assyżu przybierał tylko tytuł króla, zostawiając rządy jedynie w ręku królowej, w całej formie doręczone zostały arcybiskupowi Madrytu, a następnie złożone w wielkiem archiwum królewskiego dworu.

Izabella przyjęła ten akt polityki i zewnętrznej koniecznej formy, bez najmniejszej oznaki współudziału lub przyzwolenia. Tę nastąpić mającą zmianę w życiu ze spokojem i obojętnością poczytywała za nieuniknione zło i dla narzeczonego nie była wcale przychylniejszą jak dla Narvaeza, Mateusza i Fulgentego.

W tymże czasie młodsza siostra królowej, infantka Ludwika, zaręczona została z księciem Antonim de Montpensier, tak że mieszkańcy Madrytu spodziewać się mogli wkrótce podwójnego wesela, oraz niebyłych dotąd mnogich i świętych wszelkiego rodzaju uroczystości.

Młoda królowa i infantka szybkiemi kroki zdążyły

naprzeciw dniowi, zwanemu najpiękniejszym w życiu kobiety — który jednak dla tych koronami ozdobionych sióstr miał mieć straszliwe znaczenie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXI.

SZKLANA SALA W SANTA MADRE.

Książę Franciszek z Assyżu dopiął swojego zamiaru. Dostał koronę i purpurę królewską! W krótkim czasie dostąpił tronu, z którego wysokości mógł wieść życie według swoich skłonności. Czy królowa obdarowała go miłością?

Kwestja ta mniej zajmowała małego, przeżytego pana, aniżeli ta, kiedy znowu ujrzy genueńską hrabinę, która po wielomiesięcznem rozłączeniu nagle mu się pokazała i swojemi niepokonanemi powabami na nowo usidliła i oczarowała. Boska Julia, owa wyrachowana kobieta, która go nagle na balu maskowym spotkała, owa straszliwa syrena, która zabrała młodość tego księcia, która jak się dowiemy, była winą tak skąpego jego rozwinięcia się i ułudną ręką teraz w związku z jezuitami na nowo narzeczonego królowej w przepaść ciągnęła, Aja nie dozwoliła zaślepionemu ani jednej czystej myśli. Ona to wprost wszelką ciężką winę jego późniejszych wyuzdanych stosunków, na swoich pięknych barkach dźwigała. Bo gdyby królewska małżonka była znalazła w tym księciu silnego, namiętnościom jej odpowiadającego, pożądającego małżonka, wtedy...

Ale nie uprzedzajmy!

Wieczór pełnego zrządzeń dnia, po dopełnionych zaręczynach, zapadł nad zamkiem Madrytu i nad ulicami rozległego, ożywionego miasta.

Po galowym obiedzie, na którym się znajdowało świetne towarzystwo, młoda królowa siedziała na krześle w swoim buduarze zamyślona i smutna, a młoda margrabina de Beville stała w głębi pokoju. Widziała co dręczy jej panią, co jej duszę przytłacza.

Izabella stęskniona myślała o odłączonym od niej wspaniałym młodzianie. Obraz Serrany ścigał ją; dzisiaj siedział on obok niej, dzisiaj kiedy swą drobną, miękką rękę podała kuzynowi, który wkrótce miał zostać jej małżonkiem. „O gdybyż to była ręka Franciszka!“ coś w niej zawołało.

I siedzący obok niej, był to także Franciszek, ale nie prawdziwy, bo ukochany był na drodze do Burgos, a ona musiała się uśmiechać, kiedy ginęła z tęsknoty! Damom jej dworu lepiej się wiodło; margrabina widziała się dzisiaj u stołu ze swoim ulubionym Olozagą, a królowa musiała tęsknić!

A jednak cieszyła się, że wieczorem nie będą jej dręczyć towarzystwem kuzyna, że ją pozostawiono w spokoju, że samotna w swoim buduarze, będzie mogła swobodnie myśleć o kochanku swojej duszy!

Podczas gdy Izabella ukradkiem ucinała jeden swój ciemny lok małemi srebrnemi nożyczkami i powierzała go listowi który napisała do generała Serrany i konnym posłańcem do obozu w Burgos wyprawiała, co było niezwykłą oznaką jej niezmiernej łaski i tęsknoty, młody

książę Assyżu, otulony ciemnym płaszczem, głęboko nasunąwszy na czoło hiszpański kapelusz, śpieszył przez źle oświetlone ulice stolicy. Droga wiodła go blisko placu Pedro, a potem szybko na ulicę Foburgo.

Gdy zadzwonił do drzwi znanego nam klasztoru dominikanów i na zapytanie braciszka odźwiernego odpowiedział: „Książę Franciszek z Assyżu żąda aby go zaprowadzono do czcigodnego ojca Mateusza!“ małe bezpieczne drzwi bardzo szybko otworzyły się. Braciszek nisko się pokłonił i wymówił pobożne pozdrowienie. Książę podał mu rękę do uścisku.

— Zaprowadź mnie, bracie odźwierny, do czcigodnych ojców! rzekł uprzejmie swoim nienaturalnie piskliwym głosem — mam nadzieję, że zastanę tu także mojego spowiednika Fulgentego!

— Obcy szanowny ojciec z Neapolu rzeczywiście znajduje się w Santa Mądre.

— Wybornie, prowadź mnie do nich!

Rozkosznie szara pora pomiędzy wieczorem a nocą, tajemniczym półcieniem zalała klasztorny dziedziniec i zaciemniła kolumnowy korytarz, ku któremu zbliżał się prowadzony przez braciszka książę — gwałtowny wiatr, jaki wiosną często od strony Sierra-Guadaramy po Madrycie wieje, biegał po długiem, otwartem przejściu, którego słupy czarno się wznosiły, przytem powietrze było letnio ciepłe i dusząco suche.

Doszli do klasztornego ogrodu, i puścili się przez gęste aleje, wzywające do poważnych rozmyślań, które książę Franciszek z Assyżu zwiedzić pragnął.

Nagle w ogrodowym krużganku przesunęła się przed księciem gęstą zasłoną okryta zakonnica; stanął przyjemnie zdziwiony, bo zdawało mu się, że po wysokiej postawie tej zakonnicy, poznaje hrabinę genueńską.

Ale gdy chciał za nią pośpieszyć, znikła w gęstych zaroślach.

W kilka minut później, książę znajdował się w czarnych korytarzach domu, prowadzony przez kogoś niewidzialnego, i nie mógł zmiarkować, jak wiele przebył rozmaitych korytarzy, krużganków i zakrętów — wokoło niego nastała już nieprzebyta noc, i prawie jak niedawno mnich-Claret był zależny zupełnie od nocy i władzy tajemniczego, milczącego przewodnika.

Książę Assyżu nie potrzebował zwiedzać sali ślubów; na znak więc niewidzialnego przewodnika stał zrazu cicho, gdy ten zadzwonił do sali inkwizycyjnej, a potem znikł, przed księciem otworzyła się, zapraszając go, owa ciemno obita sala, z długim również czarno okrytym stołem i trzema mnichami w ciemnych habitach.

Na boku jednak u jednego końca stołu stali ojciec Fulgenty i drugi mniejszy, ciemnooki mnich, z wielką głową i krótkim karkiem, mając przed sobą jakiś czarno okryty przedmiot.

Zamknęły się za księciem drzwi, trzej ojcowie wstali i pokłonili się przed również kłaniającym się Franciszkiem z Assyżu.

— Przychodzę, czcigodni ojcowie prosić was, abyście i nadal pamiętali o mnie w waszych modlitwach — a przytem, aby wam oświadczyć, że ja, książę Franciszek z

Assyżu, podpisałem kontrakt małżeński z królową Izabellą hiszpańską!

— Wiemy o tem, — odpowiedział siwy ojciec Antoni, i wskazał wielki arkusz papieru który, zredagowany był w starym kancelaryjnym stylu. Żądasz miljona realów, Franciszku z Assyżu; brat podskarbi już o tem uprzedzony, wypłaci ci tę sumę! Podpisz!

Książę przystąpił bliżej, a mnich o wielkiej głowie i krótkim karku zdjął czarne okrycie z umieszczonego przed nim przedmiotu, którym była szkatułka czerwono świecącem złotem napełniona.

Franciszek, który o tem tylko myślał, że za pomocą tego złota zapewni sobie nowe i niezliczone uciechy, nie przeczytał treści pokwitowania, na którem drobnemi literami położył swój podpis. Brat podskarbi zamknął szkatułkę, oddał Franciszkowi srebrny kluczyk i ukłonił się, zamierzając odejść.

Ojciec Mateusz złożył papier z podpisem księcia; Fulgenty wziął szkatułkę, aby ją przenieść do mieszkania szczególniej mu powierzonego Franciszka z Assyżu, który wkrótce miał zostać królem Hiszpanji, który objawił już był sędziom inkwizycji część swojej woli, od dawna zostawał w ich ręku, ale nie na tyle jeszcze, na ile dla dojścia do nieograniczonej władzy pragnęli. Wtem usta jego zapragnęły objawić życzenie, którem sam oddawał się w moc wewnętrznie już radujących się mieszkańców przeraźliwego pałacu. „Przebaczcie, szanowni ojcowie“, — mówił, spowodowany niepokojeni i gwałtowną żądzą, — „przebaczcie ostatnie życzenie żegnającemu się z

przeszłością, zanim tenże zamieni pierścionki! Przez zbyt prędko ubiegłą chwilę, widziałem w murach Madrytu kobietę, którą kochałem i jak czuję, dotąd jeszcze kocham! Hrabina genueńska ukazała się moim zachwyconym oczom, ale równie prędko znikła. Gdzież teraz przebywa?“

— Franciszku z Assyżu, hrabina genueńska ma zamiar przywdziać habit! — poważnie, monotonnie odpowiedział siwy Antoni, a złowrogo świecące jego oczy spoczęły na księciu.

— Hrabina genueńska pragnie wstąpić do zakonu? — w największem zdziwieniu, a nawet przerażeniu zawołał Franciszek, — Julja chce się w murach klasztornych zagrzebać?

— Nazywasz to zagrzebaniem, ona zaś i my nazywamy ocaleniem od ułud i grzechów tego świata! — powiedział Antoni.

— O! zaklinam was, pozwólcie mi choć raz jeszcze widzieć tę boską kobietę, choć raz jeszcze udzielcie mi z całą tęsknotą duszy upragnionej rozkoszy oglądania jej.

— Prośbie waszej stanie się zadość, Franciszku z Assyżu. Obaczysz jeszcze raz wspomnianą osobę! Ale pamiętaj, że wolno ci tylko widzieć ją, ale nie mówić do niej. Bracie Merino, zaprowadź Jego Wysokość do szklanej sali, w której właśnie dopełniać się będzie zaraz kara na dwóch zakonnicach, które zawiniły przeciw ślubowi posłuszeństwa. Nowicjuszka, którą Jego Wysokość jeszcze raz widzieć pragnie, będzie widzem tej kary, aby się przekonała, że ślubów aż do śmierci dotrzymywać należy! — przejmującym tonem mówił siwy Antoni — ten kat w

pobożnej sukience.

Merino, młody mnich o fanatycznie błyszczącem oku, powstał, ujął rękę księcia i udał się wraz z nim do drzwi, prowadzących do przyległych sal i korytarzy; gdy się te drzwi za nimi zamknęły, obu idących znowu zakryła nieprzejrzana ciemność, wpośród której nikt nie mógł rozpoznać otoczenia, ani kiedykolwiek go odkryć lub zdradzić.

Droga po zimnych, wilgotnych krużgankach ogromnego gmachu była długa. Nakoniec Merino otworzył drzwi. Otaczała ich zawsze ta sama noc, ale czuć było, że się znajdują w jakiejś sali lub pokoju. Mnich poprowadził księcia za sobą w głąb tej przestrzeni — wtedy zdawało się gorączkową niecierpliwością wzburzonemu księciu, że słyszy przytłumiony daleki jęk i krzyk, i jakby błysnęło przed nim niepewne, ukryte światełko.

— Jesteś Wasza Wysokość u celu! — rzekł półgłosem mnich, i zrobiwszy kilka kroków, odsunął grubą, czarną zasłonę tak szeroko, że przerażony, prawie oślepiony książę odskoczył w tył, ujrzawszy tak długo czarno okrytą szklaną salę w Santa Madre, teraz jakby dziennem światłem rozwidnioną.

Przedstawiło mu się widowisko, od którego włosy na głowie powstawają i które zarazem z wyrachowaniem strasznie zmysły podżega.

W sali mającej ściany i podłogę ze szkła lub kryształu, przynajmniej na trzy cale grubego, obmierzły, czarno zamaskowany szatan biczował dwie nieszczęśliwe kobiety, które, bez żadnej odzieży, prócz biodra zasłaniającej

bielizny, przed strasznym, niemym, nielitościwym katem, to uciekały, to schwytane, kurczyły się. Franciszek spostrzegł, że rózga, którą czarno ubrany bił obie pięknie zbudowane, ale z bólu zmienione mniszki, była zrobiona z drucianych pręcików. W grubych szklanych ścianach, tudzież w szklanej posadzce, które dla grubości nie wszędzie można było przejrzeć, znajdowały się wyszlifowane miejsca, przez które przerażająco wyraźnie widać było postacie mniszek i wszystko, co się w szklanej sali działo.

Przez te miejsca na bokach i pod spodem uważali bracia, czy rozkazy ich należycie spełniane są na nieszczęśliwych ofiarach. Przed jednem z takich miejsc stał drżący Franciszek z Assyżu, któremu wyjątkowo dozwolono było zajrzeć do tej tajemnej inkwizycyjnej sali, aby tam jeszcze raz ujrzał genueńską hrabinę, będącą świadkiem okrutnej kary obu zakonnic, które miały jakoby przełamać ślub posłuszeństwa, a powinny były cieszyć się, że poprzestano na małej jeszcze karze, z której ich poranione członki w kilka miesięcy potem wyleczone zostaną.

Książę spostrzegł po drugiej stronie sali zakonnicę. Przerażenie i radość wstrząsnęły nim, gdy po obliczu poznał genueńską hrabinę, czarowną Julję, o zimnych rysach i pięknych, nęcących oczach i kształtach! Mógł jeszcze raz podziwiać pożądaną rozdrażniony wspomnieniem spełnionych z nią rozkoszy i pragnący usłyszeć z jej pełnych ust choć jedno słowo, którem nieraz przeraźliwie nad nim panowała.

Podczas, gdy oczy jego radowały się widokiem obojętnie i nieruchomo stojącej Ai, okrutny i z pozoru młody jeszcze

kat inkwizycji Muttaro, bezustannie krwawemi razami okrywał bez litości nagie postacie jęczących mniszek. Jedna z nich z rozpaczliwem poddaniem się dozwalała robić z sobą, co się podoba, skurczona padła na szklaną posadzkę, szukając u genueńskiej hrabiny daremnej pomocy i wstawienia się. Doskonale piękne kształty jej dotąd nietkniętego ciała, musiałyby nawet zmiękczyć wykonawcę naznaczonej jej okrutnej kary, musiałyby go oczarować, gdyby ten czarny, sprężysty szatan o nadludzkiej sile zdolny był do jakiegoś uczucia — ale to był wypróbowany, niewzruszony, bez serca potwór, którego gorliwości usłużnej dowody później zobaczymy.

Druga mniszka usiłowała uniknąć razów kata; z przeraźliwym krzykiem wielkiemi skoki biegała po szklanej sali, ścigana przez Muttara, który nie pytał o to, że ramiona i piękny grzbiet jego ofiary już krwią się zbroczyły. Kawałek sukna, który dotychczas okrywał jej pulchne lędźwie, podczas okrutnego ścigania podarł się i osunął, tak, że zmordowana, w śmiertelnej trwodze nie zważała na to i bez okrycia przed Muttarem uciec chciała.

Okropny widok — i furje inkwizycji śmiały wydawać takie wyroki na swoich bliźnich!

W przezroczystych wyszlifowanych miejscach posadzki, dawały się widzieć szkaradne, pełne chuci głowy mnichów.

Muttaro rzucił prawie omdlewającej kawałek zakrwawionego sukna, potem prawie ćwiczył drugą skurczoną siostrę, która pokąsała sobie usta do krwi i siłą woli wymógłszy na sobie powstrzymywanie bolesnych krzyków, padła nakoniec złamana i bezwładna... Teraz

dopiero Muttaro zakończył krwawą scenę, rzuciwszy przedtem nieszczęśliwym ofiarom zdartą z nich poprzednio odzież a one powinny były dziękować sędziom, że tylko do szklanej sali posłane zostały, może dla tego właśnie, że były piękne i młode! — że ich nie wrzucono do izb torturowych i do piwnic pałacu inkwizycji, wobec których otrzymana przez nich kara dzieciństwem była!

Zgięte z bólu, skrzywione, nieszczęśliwe zakonnice usiłowały okryć przynajmniej nagość swoją, aby mogły prawie czołgając się opuścić Santa Madre.

Podczas gdy książę Franciszek z Assyżu ciągle jeszcze spoglądał na genueńską hrabinę, przystąpił do niego ksiądz Merino; czarna zasłona wszędzie szczelnie pokryła czarną salę, a książę ujrzał się porwanym ułudnym widokiem pięknej Julji, która teraz osiągnęła nieograniczoną władzę nad zakochanym; wierzymy, że nadal umiała z niej korzystać, że rozmaite miała plany, w których przeprowadzeniu była dosyć wyrachowaną, nieludzką i przebiegłą, atoli bardziej się jeszcze zdziwimy, jeżeli piękną Julję znowu na dworze ujrzymy.

Widziała ona w ogrodzie pałającego miłością księcia, wiedziała, że o nią zapyta, że ją podziwiać będzie, i z zimnem zadowoleniem widziała, jak spoczęły na niej pożądliwe spojrzenia „małego Franciszka", bo go tak przed wielkimi inkwizytorami nazywać lubiła, — szyderczo uśmiechając się wyszła ze szklanej sali na ciemne korytarze pałacu.

— Jakiś obcy czeka na ciebie, siostro, u drzwi klasztornych! — szepnął jej przeprowadzający braciszek,

ma na sobie czarną kapę, czarny hiszpański kapelusz i rudą brodę.

— Józef, brat wielkiego Serrany — powiedziała — wybornie! — Pośpieszyła z przewodnikiem przez ciemne korytarze; porem przez ogród klasztorny i kolumnowe przejście, odźwierny otworzył małe drzwiczki w murze i Aja przystąpiła do oczekującego Józefa, mocno się otuliwszy okryciem i welonem.

— Czy przynosicie mi wiadomości o Henryce — czy wiecie, gdzie jest Azzo?

— Wszystko, niecierpliwa sprzymierzona! Znalazłem ich, Józef po długich trudach trafił nakoniec na ich ślad!

— Mówcie więc — prowadźcie mnie — gdzie ich znajdę?

— Chodźcie za mną, a ujrzycie ich oboje; na honor piękna to para! Oho! myślicie może, że żartuję? Myślicie, że ujrzycie dwoje biednych włóczęgów? — z wyrachowaniem mówił Józef, tak, aby każde jego słowo niecierpliwej, oczekującej Ai doszło aż do serca namiętnie dla Azza bijącego; powiadam wam, jesteście w błędzie!

Józef w towarzystwie trawionej ciekawością i oczekiwaniem Julji pośpieszył z ulicy Foburgo ku oświeconej księżycem Puercie del Sol, po której przechadzała się madrycka magnaterja, używając świeżego, nocnego powietrza, przybywszy tam w eleganckich powozach podobnie jak na Corso.

Józef ujął rękę Ai i poprowadził ją pod mur wystającego domu, skąd mogli dobrze przypatrzyć się przechodzącym. Nagle drgnął — „Nadciągają — wystąpcie naprzód — tu

możecie widzieć pięknego króla cyganów i bladą z boleści Henrykę!“

Nadjechał jakiś ekwipaż ciągniony przez cztery pyszne araby, które tańcząc, szły przed lekkim powozem, a sama nawet grandeza z podziwieniem i upodobaniem przyglądała się ich piękności... Świeża, bogato złotem wykładana uprząż zdobiła wspaniałe zwierzęta; przyzwoicie wygalonowany woźnica zatrzymał lejce; w lekkim, a jednak pysznym powozie najwyszukaniej wykończonym, za którym jechało dwóch wygalonowanych strzelców na równie pięknych koniach, siedzieli... tu Aja wydała okrzyk podziwienia... Henryka i piękny Azzo, dziki syn króla cyganów. Wystąpili prawdziwie po monarszemu! Henryka miała na sobie białą powiewającą mantyllę, a lekki welon odrzuciła, tak, że można było widzieć i podziwiać jej prześliczną twarz i ciemne, głębokie, piękne oczy. Azzo wyglądał jakby mu było przykro, że się pozbył swojej wygodnej cygańskiej odzieży, do której tak przywykł: miał on na sobie lekko haftowaną kapę, podszytą różnokolorową jedwabną materją, którą narzucił na lekkie ubranie i hiszpański kapelusz, ale kapę spinały z przodu błyszczące jak słońce brylanty, których wielkości i okazałości zaledwie może dorównywały brylanty korony hiszpańskiego dworu; świeciły one, jak różnokolorowe ognie, gdy ta obca para ukazała się wpośród zdziwionego tłumu. To słońce brylantowe zdobiło niegdyś przodka Azza, kiedy jeszcze panował w dalekiem państwie na wschodzie, z którego został wygnany; brylanty te między setką innych, należały do majątku, który Azzo odziedziczył.

Zdobna królewskim przepychem, podziwiana przez przechodniów, ciekawie wypatrywana przez jeźdźców na Puercie de Sol, obca piękna para przejeżdżała. Henryka jakby utrudzona lub smutna, pochyliła się na wygodne poduszki i jedwabne posłanie powozu. Azzo zaś uważał tylko i odgadywał wszelkie myśli i życzenia swojej pięknej donny.

Tak zbliżyli się do miejsca, w którem stali Aja i Józef, pierwsza osłupiała ze zdziwienia, drugi szyderczy, wyśmiewający.

„To on — i owa rywalka, która w złocie i jedwabiach obok niego promienieje! Przeklęta żmija!.. — pomrukiwała Aja, trzęsąc się ze wściekłości, zazdrości i gniewu. — „Więc wydarłaś mi go naprawdę, i przy drugiej twojej awanturze miłosnej byłaś równie szczęśliwa, jak przy pierwszej z Franciszkiem Serraną! Ale teraz godzina twoja już przeminęła — gdzie masz twoje dziecko, tyrańska matko? Cha, cha, cha!“

Aja śmiała się tak głośno i okropnie, że Henryka i Azzo ze zgrozą śmiech ten usłyszeli; obrócili się więc ku miejscu, z którego pochodził głos, ujrzeli straszną kobietę a obok niej rudobrodego, bladego Józefa, śmiertelnego wroga przerażonej Henryki, który szyderczo pozdrawiając ich, zerwał z głowy swój czarny, spiczasty kapelusz.

W jednej chwili, elegancki ekwipaż znikł wpośród tłumu powozów i jezdnych.

— „Gdzie masz piękną córkę Serrana, tyrańska matko!“ — z szatańskim uśmiechem powtarzała genueńska hrabina. — „Dni twoje są policzone!“

— Dziecię jest u was, wy je mieć musicie! — ciekawie pomruknął Józef, błyskając obrzydłem okiem.

— Zapytajcie, skoro tacy jesteście ciekawi, samej oto uciekającej niewinności, która przecież musi wiedzieć, gdzie ma swój klejnot? — zimno i dumnie odparła genueńska hrabina, zamierzając oddalić się; ale zwróciła się jeszcze raz do straszliwego swojego sprzymierzeńca, którego twarz przybrała wyraz oczekujący i jednocześnie coraz wyraźniej odbijała na sobie najhaniebniejsze namiętności. Bądźcie przygotowani, — dodała, — do opuszczenia Madrytu w każdej chwili i do udania się za ową parą, która spostrzegłszy nas, na jakiś czas w oddaleniu będzie szukać ukrycia.

— Mam doskonałe konie, a jeszcze lepszą broń, — przytłumionym głosem odpowiedział Józef.

— To udajcie się za nimi niezwłocznie! a jeżeli potraficie zbliżyć się do tej nikczemnej rywalki, to...

— To byłoby wam przyjemnie i najkrócej, przy stosownej sposobności, usunąć ją z drogi?... — dokończył Józef oczekująco i pożądliwie patrząc na Aję.

— Bez szmeru, weźcie tę flaszeczkę, zawiera ona dziesięć kropli wybornej trucizny! kilka kropel wlanych na chustkę lub w kielich pachnącej róży, przez powąchanie zabijają tak prędko i pewno, że nikt śladu trucizny nie dojdzie. Schowajcie to dobrze. Jeżeli Azzo mieć będzie kochankę na oku tak dalece, że niepostrzeżenie nie zdołacie się do niej zbliżyć i szybko udzielić jej trucizny, to w każdym razie idźcie za ich śladem, a wtedy niech zginie jakimbądź sposooem. — Jesteście potężną regentką nocy,

podziwienia godną mistrzynią! — rzekł Józef, zamierzając odejść.

— Powinniście przedtem nauczyć się podziwiać regentkę, — zimno i dumnie żegnając go odpowiedziała genueńska hrabina.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXII.

KRÓL LASÓW

W pobliżu starego miasta Burgos, które świecąc złoconemi wieżami, wisi na pochyłości Sierra de Ora, karlistowski generał Cabrera zgromadził swoje niemałe wojenne siły, aby mimo licznych porażek, niezmordowanie stoczyć z wojskami królowej jeszcze jedną walną bitwę, i po raz ostatni spróbować, czy nie uda się zdobyć Madrytu i tronu dla infanta Don Carlosa, wygnanego brata zmarłego króla Ferdynanda.

Cabrera, dla okrucieństwa swojego zwany „Tygrysem z Manztrazzo“ był to zarówno przewrotny i chytry jak i dobrze zasłużony generał, tak, że królewscy ciężkie mieli z nim zajścia, a zwycięstwa ich były zasługą jedynie znakomitej artylerji. Pragnący krwi tygrys, dotąd ciągle rywalizował z pragnącym zemsty Narvaezem, a straszliwie mordercze sceny były skutkiem tego współzawodnictwa. Teraz wyprawiony przez Narvaeza generał Concha, wyruszył z doborowem wojskiem królowej przeciw wciskającemu się Cabrerze, a prócz tego Komandor Prim, ulubieniec generalnego kapitana Narvaeza, wiódł do Burgos powierzony sobie pułk. Bitwa z karlistami miała być tak stanowcza i zawzięta, że księciu podobało się zalecanego sobie kilkakrotnie jako mężnego i zręcznego żołnierza Don

Serranę z pułkiem kirasjerów wysłać do Conchy i Prima i tym sposobem zorganizować siłę, której by karlistowska armja oprzeć się nie była w stanie.

Na wzniesieniu Sierra de Ora, jak twierdza wyglądającem, ponieważ od strony miasta Burgos tylko wąską drogą można było tam dostąpić, rozwinął Cabrera rozległy swój obóz, przedstawiający dziki widok z jakiejś awanturniczej wojny.

U wejścia do wąwozu skalistej, nieuprawnej góry, widzimy za wystającemi miejscami poukrywane forpoczty wojska karlistów. Tu i ówdzie patrzą one uważnie na równinę i przez lunety na miasto Burgos.

Umundurowanie wojsk Don Carlosa jest bardzo liche i złożone po części z wyranżerowanej odzieży innych krajów. I tak widać tam ułanów w niebieskich kaftanach, czerwonych, w buty włożonych spodniach, i czapkach, podczas gdy piechota ubrana jest w siwe aż do kolan spadające płaszcze, ponszami zwane, a na głowach podobnie jak wojska królowej nosi czako. Za broń służą tym żołnierzom stare, politowania godne strzelby, pałasze złego wyrobu poszczerbione i pordzewiałe. Na nogach z powodu ostrych dróg mają sandały, a wielu z pomiędzy nich brakuje ulubionego przez hiszpanów czerwonowełnianego okrycia, zwanego Faja, którem kilkakrotnie okręceni ciepło utrzymują nogi żołądek i całe ciało. Także małe mieszki na wino, *labota*, które ma i chętnie pieści każdy żołnierz królowej, u karlistów rzadko widzimy. Za to huzary mają dobre konie, chłopom odebrane, a oficerowie używają wszelkich wygód i

przyjemności, jakie im zapewnia żołd płacony przez pretendenta.

Artylerji w wojsku Cabrery wcale nie spostrzegamy.

Przez wklęsłe wejście, wejdźmy niepostrzeżeni do obozu.

Noc, forpoczty stoją, oparte na zakrywających je wydatnych miejscach skał, lub leżą na brzuchach wystawiwszy nad spadzistością głowy z ulubionemi powszechnie glinianemi fajeczkami; tu i ówdzie któryś z żołnierzy nuci pod nosem hulacką piosenkę, albo też miota przekleństwa na to, że ma służbę właśnie dzisiaj, kiedy król, jak karliści zwykli zwać Don Carlosa, ukazał się w obozie i pełną garścią rozdzielać każę pieniądze, wino, likwory i owoce.

Wchodzimy w ciemny wąwóz, zaledwie tak szeroki, że sześciu żołnierzy w jednym szeregu może nim postępować. Słyszymy w oddaleniu dziką wrzawę. Ścieżka doprowadziła nas na płaskowzgórze, oświetlone jasnym blaskiem księżyca; wpobliżu spostrzegliśmy gromadę namiotów. Na tem płaskowzgórzu wiatr wieje tak przejmujący, noce tak są zimne, że namiot jest niezbędnym dla żołnierza; rozbija więc go jak tylko sposobność mu dozwoli.

Rozłożona przed nami gromada może wynosić do dziesięciu tysięcy; wyobraźmy sobie miasteczko złożone z szarych namiotów, wznoszące się na wzgórzu, poprzecinane ulicami i placami, użyźniane ruchem wielkiej liczby markietanów i wiwandjerek, sprzedających także tabakę, puchero, likier, wino żołnierzom, czekoladę i cygara

oficerom.

Każdy pułk stanowi oddzielną część miasta, w środku którego stoi namiot, odznaczający się od innych wielkością i ozdobami, należący do generała, strzeżony przez szyldwachów i urządzony z komfortem, tak powszechnie przez wyższych oficerów cenionym.

Przed jednym z namiotów wiwandjerek daje się słyszeć następująca rozmowa:

— Hej!... Niech żyje nasz król Don Karlos! Niech żyje! — wołał ochrypłym głosem piechur, podnosząc drżącą ręką szklanicę tak wysoko, że oblał winem i siebie i swego rozczerwienionego sąsiada.

Na stole, z desek grubych naprędce zbitych siedziało dwóch huzarów i jeden ułan. Rozognione policzki, wzrok rozpłomieniony, oznaczały gwałtowną namiętność, która nie dozwoliła im zwrócić uwagi na okrzyki koło nich rozlegające się. Grali w kości: łoskot kubków i głośne wiwaty dziwną tworzyły harmonję.

— Wina! — zawołał jeden z huzarów, który ciągle przegrywał i za każdym razem mniejszą liczbę punktów wyrzucał.

— Rzucaj tak, jak ja! — powiedział do niego szczęśliwy przeciwnik, dotknąwszy kubkiem, — znów wygrana, płaćcie huzary jeżeli jeszcze macie reale.

— Mamy ich więcej, aniżeli dla ciebie potrzeba, ty, łotrze, który chcesz, żebyśmy razem z kośćmi rzucali pieniądze. Wina! mówię, czy przeklęta wiwandjerka słuch straciła?

— Gniewacie się, bo za każdym razem przegrywacie!

Samochwalcy, oszusty. Grać, a nie płacić...

— Milcz, psie, albo ci inaczej zapłacę!

— Cicho, głupcze! myślisz, że się boję was, oszusty!

— Oto odpowiedź! — wrzasnął jeden z huzarów i uderzył go pięścią w twarz tak gwałtownie, że krew trysnęła nosem i ustami. Był to znak ogólnej bitwy. W jednej chwili potworzyły się partje i w jednej prawie chwili jedna część miasta namiotowego była w wzburzeniu i w ruchu, ohydne przekleństwa, przeraźliwe krzyki pokrwawione głowy, pokłute bagnetami piersi, oto wynik tej gwałtownej kłótni.

Podobne sceny zdarzały się codziennie w obozie karlistów. Nie było w tem nic nowego, a w ostatnich miesiącach powtarzały się częściej jeszcze; tak, że cały oddział zbiegł i przyłączył się do królewskiej armji, z tej przyczyny, że nie wypłacano punktualnie żołdu, dla którego jedynie służyli Don Karlosowi.

Kto więcej płacił, kto mniej musztrami męczył, a zwłaszcza kto najmniej bić się kazał, temu najchętniej służono.

Jedno tylko utrzymywało w karbach jakiego takiego posłuszeństwa tę bandę łotrów, oszustów, próżniaków, a co najwyżej ludzi pragnących wyniesienia się nad drugich, a tym jedynym hamulcem była bojaźń Cabrery, a w ogóle cześć i poświęcenie dla niego.

Dziś jednak Cabrera znajdował się w swojej głównej kwaterze, a przy nim przebywał Don Karlos, za którego walczył i dla którego żył, dla którego tyle krwi bratniej przelano, a nie było jeszcze nadziei nawet, żeby mógł

otrzymać tron upragniony.

Przejdźmy pomiędzy gromadą adjutantów i oficerów, którzy stojąc przed namiotem generalskim, na którym rozminięta chorągiew powiewała, rozmawiali półgłosem. Podnieśmy portjerę a znajdziemy się na czworobocznej w górę podnoszącej się platformie. Piękny dywan okrywał całą podłogę, obozowe łóżka stały około ścian, składane krzesła i stoły pośrodku; jednem słowem, znajdziemy się w bardzo wygodnie umeblowanym pokoju. Na jednym stole znajdowały się resztki wieczerzy, które domyślać się kazały, że skromnością nie grzeszyła, w czem utwierdzały kieliszki i napoi wypróżnione butelki. Na drugim stole znajdowały się rozwinięte mapy, rysunki i książki.

Przy tym stole dwóch mężczyzn w generalskich mundurach: jeden z nich suchy, nie młody, surowych rysów twarzy, z nosem orlim, był to Cabrera, mówił mało, ale myślał wiele i skutecznie. Wzrok jego dziki usprawiedliwiał nazwę, jaką mu nadano: *Tygrysa z Mamtrezzo*.

Przed nim z ręką opartą na mapie, stał mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, niekształtnie zbudowany, i gdyby nie bogaty mundur, a na nim licznie porozpinane ordery możnaby go było uważać za zwyczajnego wieśniaka, a nie za infanta Hiszpanji. Twarz jego szeroka, z kościstemi policzkami, z grubemi wargami, czyni nieprzyjemne wrażenie, a przytem oczy szare, mało rozwarte, rzucają odrażające spojrzenie. Możnaby pomyśleć, że to jest brat jego Ferdynand IV, do którego z twarzy był podobny, tylko jeszcze pospolitszy, jeszcze

bardziej przerażający. Ten brzydki barczysty pan o donośnym głosie, licznych orderach, był to powszechnie znany Don Karlos, którego w Madrycie i w królewskim obozie zwykle nazywano: królem lasów.

Jego rezydencja była po największej części w bandach w lasach, lub w niedostępnych górach.

— Najjaśniejszy panie, spodziewam się w tych dniach wojsk generała Olano, jego wysłannicy w dniu wczorajszym o tem przybyciu mi donieśli.

— A więc kochany Cabrero, za dni kilka zwyciężysz. Mówią nam, że wojska dumnej małżonki mego zmarłego brata składają się zaledwie z ośmiu tysięcy ludzi pod przewodnictwem mądrego i gwałtownego generała Concha. Ty, kochany generale i przyjacielu, jeżeli Olano nadejdzie, będziesz miał pod twojemi rozkazami dwanaście tysięcy żołnierzy. Losy nasze składamy w twoje doświadczone ręce. Po twojej działalności, rozwadze i energji, spodziewamy się wszystkiego. Skoro Concha będzie zwyciężonym, droga do Madrytu zostanie otwartą. Wieść niesie, że córka naszego zmarłego brata będzie wkrótce obchodzić uroczystość zamążpójścia. Byłby to wyborny figiel, gdybyśmy właśnie w dniu tym mogli znaleźć się w Madrycie.

— Nie mam zwyczaju przechwalać się, najjaśniejszy panie, — odrzekł surowy tygrys z Manztrazzo, — będziemy walczyć, a Cabrera nie znajdzie się między ostatnimi.

— Wiemy o tem — odparł Infant — i podał do pocałowania rękę generałowi. Cabrera jednak nie zrozumiał

łaskawego pozwolenia króla lasów i położył swoją na podaną rękę, jak gdyby chodziło o nieme przyrzeczenie.

— Zostajemy przy tobie, zapraszamy się do ciebie, jako gość. Tak, tak, ukochany nasz rycerzu, przy tobie stoczymy tę walkę tak stanowczą. Próżnowaliśmy do tej pory, podczas kiedy ty ponosiłeś trudy obozowe, my zawiązywaliśmy stosunki dyplomatyczne, na które liczyliśmy bardzo wiele. Przedewszystkiem z pałacem...

Adjutant służbowy, wszedłszy z pośpiechem do namiotu przerwał mowę Infantowi.

— Co się stało, — zapytał Don Karlos krótko.

— Ojciec Rosa w towarzystwie drugiego mnicha, prosi o pozwolenie widzenia się z tobą, najjaśniejszy panie: przynosi on ważne wiadomości.

— Ojciec Rosa z Burgos? wyśmienicie! — zawołał król lasów, a przy tych słowach rozjaśniło się brzydkie jego oblicze. Wyśmienicie! wprowadź tych szanownych gości do naszego namiotu. Bardzo jesteśmy ciekawi, co nam zwiastuje tajemnicza ta wizyta i to wśród nocy.

Don Karlos chodził wzdłuż i wszerz słabo oświetlonego namiotu, na twarzy malowała się gniewliwa niecierpliwość z powodu oczekiwania. Cabrera, przeciwnie stał niepo — ruszony przy stole, jak gdyby go chęci dyplomatyczne Infanta bynajmniej nie obchodziły.

Odgłos kroków osób przybywających dał się słyszeć. Don Karlos stał milczący: oczekiwał z niepokojem tajemniczych podróżnych, a wzrok jego błyszczał niezwykłym ogniem.

Zza podniesionej portjery weszło dwóch pochylonych,

uniżenie pokornych, zakapturzonych mnichów, — jeden z nich pozostał przy drzwiach; drugi zaś odrzuciwszy kaptur, zbliżył się do Infanta.

— Niech Matka Najświętsza czuwa nad moim panem, — odezwał się poważnym tonem.

— Dziękuję ci, szanowny ojcze, jakiż wyrok przynosisz mi od inkwizytorów? — zapytał z pośpiechem Infant.

— Ojcowie z Santa Madre, oświadczają naszemu panu wysoki szacunek, — odpowiedział wysoki, rumieniący się Rosa, którego tusza i cera świadczyły o dobrej kuchni w klasztorze, a lepszej piwnicy.

— A wyrok?

— Bracie Claret, powtórz słowa, które ci powierzono w pałacu Santa-Madre.

Mały, krępy, zezowaty mnich, zbliżył się z głębokim ukłonem.

— Wielcy inkwizytorowie, po długiej naradzie, polecili mi przynieść do Burgos następujące słowa:

„W Santa-Madre nic postanowić nie można, po jednem słowie usta ludzkie mogą się zamknąć i rozum ludzki odebranym być może“.

— I takie wyrazy poważono się wyrzec do króla! — z gwałtownością przerwał Don Karlos mnichowi: — Władcy pałacu Santa-Madre nadużywają władzy swojej.

— „Niebezpieczne nowatorstwa! — ciągnął dalej Claret, nie zważając bynajmniej na coraz gniewliwszy wzrok Don Karlosa, — są bardziej zawiłemi aniżeli się zdawać może obozowi w Burgos. Z pałacu Santa Madre, żadna pomoc spodziewaną być nie może“.

— Ha! chytry, podstępny wężu! — mruknął Don Karlos, uderzając gwałtownie w podłogę. Dywan przytłumił uderzenie, tak, że nikt go nie usłyszał. Jednak gniew Infanta dostrzegli dwaj mnisi i stojący za nimi Cabrera.

— W Santa-Madre myślą inaczej, aniżeli ja sądziłem, — powiedział ojciec Rosa. Wybacz mi te szczere słowa, najjaśniejszy panie.

— Dobrze! oświadcz tym wielkim inkwizytorom, że skoro tylko nogą stąpnę w Madrycie, najpierwszem dziełem mojem będzie oczyszczenie płomieniem ulicy Foburgo,
a mianowicie pałacu Santa-Madre. Udziel tej wiadomości, wielebny ojcze, twoim książętom inkwizycji, aby mogli uciec z Madrytu, skoro my do niego zbliżać się będziemy. Miałeś słuszność, drogi nasz Cabrero!

— W pałacu Santa-Madre starają się zdrowo patrzeć na rzeczy, Santa-Madre przeżyło królów i cesarzy, — wtrącił żywo ojciec z Burgos i skłoniwszy się, zaczął wychodzić z namiotu. Claret udał się za nim.

Król lasów roześmiał się szyderczo, po części z gniewu za doznane upokorzenie, a po części, ażeby ulżyć swemu zmartwieniu, którego powodem stała się wiadomość przed chwilą otrzymana.

— To jeszcze jeden powód więcej, żeby wynaleźć drogę do Madrytu. Czarne gniazdo mnichów musi być zniszczonem, przysięgam na Najświętszą Pannę. Oddamy je na pastwę płomieni, skoro tylko nogą stąpimy w stolicy ojców naszych.

Długo jeszcze przechadzał się po namiocie infant wzruszony, długo jeszcze namyślał się i naradzał z Cabrerą

i za nadejściem dnia dopiero rzucił się w ubraniu na łoże, w celu chwilowego spoczynku. Olano kazał na siebie czekać więcej aniżeli osiem dni, jak to Cabrera sądził z otrzymanych od gońców wiadomości.

Don Karlos niecierpliwy nakłaniał do walki, rozmyślny i przezorny Cabrera, wyczekiwał do tygodnia, spodziewając się, że Concha uderzy na niego wpośród skał płaskowzgórza.

Wreszcie wydał rozkaz, ażeby następnej nocy wojska przeszły przez wąwóz na równinę i ruszyły na Burgos, po za którem to miastem Concha rozłożył się obozem.

Wojska przeszły przez wąwóz i nim noc zapadła, rozwinęły się na płaszczyźnie, która rozciągała się aż do Burgos.

Cabrera po porozumieniu się z infantem co do podzielenia wojska na kolumny, dowodził środkiem, należycie w linję bojową uszykowanym. Olano prowadził straż przednią, której jazda miała zająć Burgos od strony gór, natychmiast po zbliżeniu się lewego skrzydła. Cabrera prowadził korpus główny, walecznemu infantowi, który chciał być czynnym, przypadło dowództwo lewego skrzydła.

Wszystkie te szczegóły dokładnie znano w wybornie urządzonym obozie królowej. Concha, Prim i Serrano otrzymywali wiadomości o poruszeniach nieprzyjacielskiej armji, jak tylko kolumny uformowane zostały. Żaden podjazd, żaden głośniejszy sygnał obozu nie ożywiały, tak, ażeby zbliżający się nieprzyjaciel mógł sądzić, że co chwila w zasadzkę wpaść może, ani jeden strzał nie powitał

podjazdowych oddziałów huzarskich, żaden podejrzany głos nie dał się słyszeć: armja króla lasów posuwała się z lekkiemi żarcikami niewstrzymanych huzarów.

Olano wydał rozkaz oficerom swoim, ażeby w największej cichości zbliżyli się i znienacka uderzyli na nieprzyjaciela we śnie pogrążonego, albowiem zastanawiało go, że nie był zatrzymanym przez żadną forpocztę, a nie mógł przypuszczać, że krystyniści byli przejęci takim spokojem i ufnością w siebie żeby widety ich w głębokim śnie pogrążone zostawić. Lewe skrzydło armji karlistowskiej rzucił on na prawe skrzydło nieprzyjaciół. Pomimo ciemności dostrzegł on już za pomocą perspektywy czarne zarysy nieprzyjacielskiego obozu i nadciągający środek pod dowództwem Cabrery.

W tem nagle zajaśniały na wzgórzu rozstawione działa, dały one znak bitwy, piorunujący znak, że wojska Izabelli nie były pogrążone we śnie; przeciwnie, zbliżenie się nieprzyjaciela zostało dostrzeżone najdokładniej i zdumiony napastnik został powitany gradem pocisków.

Krzykliwe sygnały odezwały się tu i ówdzie, razem z monotonnym grzmotem wystrzałów ręcznej broni, której ogień rozjaśniał ciemności, a pociski ze świstem przerzynały powietrze. Klątwy i krzyki dały się słyszeć w szeregach generała Olano.

Wszystko to stało się w ciągu jednej chwili.

Piechota Prima z bagnetem w ręku uderzyła na zachwiane szeregi karlistów. Trzymając się w największym porządku, zachowując najzimniejszą krew, tak jak ich dowódca wytrzymali i odpowiedzieli na strzały wojska

Olany.

Cabrera przybywał śpiesznie z głównym oddziałem, nim się zupełnie rozwidni. Głównym i jedynym jego zamiarem było zgasić ogień artylerji, skutecznie rażący ze wzgórza napastujących. Dzielnem wykonaniem jego rozkazów zamiar ten został doprowadzonym do skutku. Skrzydło Olana mogłoby tego strasznego ognia uniknąć, gdyby Prim był je odparł; gdyż w tyłach wojsk królewskich mała tylko część dział mogła być czynną i rzucała kule po nad głowami szeregów wojska królewskiego.

Concha, gwałtowny i niecierpliwy, dostrzegł zaraz, że ze strony nieprzyjacielskiej była przewaga liczebna, i nie chciał czekać aż Olano zostanie popartym przez Cabrerę. Z niecierpliwością wysłał wszystkie wojska w ogień, poleciwszy, ażeby Serrano z swoim oddziałem nie zwlekał.

— Infant z prawem skrzydłem nieprzyjaciela nie jest jeszcze czynnym. Don Concha może się o tem przekonać, jeżeli chce, — mówił Serrano, patrząc w dal; — zdaje mi się najważniejszą rzeczą, zarezerwować na niego nasze lewe skrzydło.

— Generale Serrano, wykonaj więc natarcie na bok Cabrery, ażeby odciąć króla lasów; jeżeli nie skorzystamy z zamieszania, jakie sprawiliśmy w szeregach nieprzyjacielskich i z podniesionej odwagi wojsk naszych, musimy pozostać w bezczynności, a ta jest rzeczą, którą najbardziej nienawidzę.

Walka wkrótce rozpoczęła się na wszystkich punktach z wielką zaciętością. Concha z sztabem swoim znajdował się na wzgórzu zajętem przez artylerję, adjutanci przebiegli w

różnych kierunkach, niosąc rozkazy dążące do wykorzystania słabości nieprzyjaciela.

Serrano współzawodniczył z Primem w zamęcie bitwy, a każdy z nich zachowywał zimną krew i ukazywał zdumiewającą odwagę, tym sposobem skrzydła armji pod ich dowództwem z wielkim skutkiem odpierały natarcie nieprzyjaciela, wtenczas właśnie kiedy środek armji zdawał się być zachwianym.

Concha coraz nowe wysyłał pułki, ażeby zastąpić ludzi strudzonych walką, artylerja Prima cudów dokazywała, a jej tylko działaniu przypisać wypada, że los bitwy przez dzień cały był w zawieszeniu.

Raz przewaga była przy wojskach królewskich, po tem znowu górę brali karliści podniecani świetnemi obietnicami infanta, jeżeli zwyciężą lub przynajmniej zajmą wzgórze.

Wieczór zapadać zaczął, zachodzące słońce już słabo tylko oświecało krwawy plac boju, działa milknąć zaczynały. Znużone wojska równe poniosły straty, przedewszystkiem należało pochować poległych i oddalić rannych. Karliści zbliżyli się do pagórka, na którym znajdował się Concha ze swoim sztabem i wysłali parlamentarza, prosząc o trzydniowe zawieszenie broni.

Pierwszy to raz Tygrys z Manztrazzo pozwolił sobie uczynić podobną propozycję, pierwszy to raz powstrzymywał rozstrzeliwanie jeńców krystynistowskich. Concha przyjął uczynione propozycje; albowiem oba wojska potrzebowały odpoczynku, oba obozy skłonne były do ustępstw. Nowe rozporządzenia wydano tu i tam, a po trzech dniach walka zawrzała na nowo.

Prowadzono ją z większą jeszcze zaciętością i z większym rozlewem krwi.

Prim rozpalał wojska swoje ognistą wymową i dawał przykłady męstwa, jakiego do tej pory nie widzieli, ale czy przykład ten zarówno podziałał na wszystkich?

— Musimy zwyciężyć, albo wyginąć co do jednego, — zawołał do swoich oficerów, podniecając ich waleczność przeciw nacierającym. Strzelał on osobiście tak zręcznie, nabijał tak szybko, że wszystkich do naśladowania przymuszał. Dla tego też wojska pod jego dowództwem najpierwej przełamali nieprzyjacielską linję.

Pomimo odniesionej korzyści, pomimo okrzyków zwycięstwa, bitwa stanowczo rozstrzygniętą być nie mogła; Concha bowiem zachowywał tyle ostrożności, że nie wysłał środka swego w właściwym czasie na poparcie Prima; tak, że te prawdziwie rycerskie wysilenia okazały się bezskutecznemi.

Nareszcie środek zachwiał się; z uczuciem zgrozy poczuł to baczny na wszystko Concha. Adjutanci ponieśli naglące rozkazy artylerji. Walka zawrzała straszliwie; strzały armatnie huczały coraz silniejszemi gromami. Dwanaście tysięcy karlistów, z których zaledwie dziesięć pozostało, rozpaczliwie walczyło z sześcioma tysiącami krystynistów.

Piechota Serrana rzuciła się gwałtownie na prawe skrzydło nieprzyjaciela; on sam na czele wybornie uzbrojonego pułku kirasjerów napadł na karlistowskich huzarów, znajdujących się pod dowództwem króla lasów.

— Bracia! los nam sprzyja, — zawołał Don Francisco, potrząsając błyszczącym pałaszem. Czy widzicie tę grubą

postać w generalskim mundurze z orderami.

— To król lasów! — zawołali kirasjery. — Musimy dostać go żywcem, inaczej nie bylibyśmy godnymi nosić mundur królowej Hiszpanji. Śmierć karlistom!

Za chwilę straszliwa rzeź rozpoczęła się! Sam Seirano zadawał także ciosy, tak, że wkrótce wrąbał się w środek nieprzyjacielskich szeregów.

Lecz i żołnierze jego również gorliwie pełnili swoją powinność! Gdzie pałasz skutecznie nie działał, tam pomagały pistolety i Serrano z radością ujrzał, że nieprzyjaciel został odpartym. Nagle rumak jego spiął się gwałtownie i padł nieżywy: jeden z karlistów, raniony śmiertelnie, leżąc na ziemi wpakował mu w bok ostrze swojej szpady. Zaśmiał się szatańsko odniósłszy raz ostatni przed śmiercią ten dziki tryumf. Serrano poczuł, że rumak md nim pada, wtenczas, kiedy spodziewał się pokonać króla lasów kilku stanowczemi natarciami; musiał jednak z całem wysileniem wydobywać się z pod ciężaru upadłego konia.

W ciągu jednak kilku sekund dosiadł innego rumaka, którego mu podano, i z nową odwagą rzucił się tam, gdzie jego obecność najwięcej do zwycięstwa przyłożyć się mogła.

Huzarzy sformowali się na nowo, słyszał on jak infant rozmaitemi obietnicami sztucznie ich zapalał; walecznie przerżnął się przez cofających się żołnierzy, zawrócił ich grożąc im ostrzem swojego pałasza, a nakoniec stanął oko w oko, koń w konia na krwawym gościńcu z Don Karlosem.

— Poddaj się, — zawołał.—Sprawa twoja przegrana.

— Kto jesteś, podły służalcze niesłusznej sprawy? odpowiedział z zaciśniętemi zębami infant. Powstrzymaj się; zapominasz, że w żyłach moich płynie krew królów Hiszpanji.

— Nie zmuszaj mnie, ażebym odparł napaść twoją; zawołał Serrano, odpierając cios silny i zręczny króla lasów, że aż sam się zadziwiał, poddaj się generałowi Jej Królewskiej Mości, Franciszkowi Serrano!

— Zdrajco! śmierć tylko może mnie oddać w ręce twoje, dodał z wściekłością infant zadając tak silne ciosy, że przez chwilę zdawało się, iż powali Serranę; ale znalazł w nim godnego przeciwnika, który zręcznością i siłą odparł to silne natarcie.

Kirassyery tymczasem wykonali tak silne natarcie, że zmusili do odwrotu karlistowskich huzarów, wtenczas dopiero Concha był w możności wymierzyć ogień swoich baterji przeciw głównemu korpusowi Cabrery.

W tej chwili Don Franciszek zadał cios tak silny, że książę zachwiał się na siodle. Korzystając z chwili Scrrano zawołał, podnosząc znowu szpadę:

— Jesteś moim jeńcem, książę, pomnij, że życie twoje jest w moich rękach.

Zaledwie Serrano wymówił te wyrazy, kiedy jeden z nieprzyjacielskich huzarów, którego obecności generał nie zauważył w roznamiętnieniu walki zadał mu tak silny cios, że hełm spadł z głowy, a ostrze pałasza karlistowskiego żołnierza zagłębiło się dość mocno w czoło Serrany. Z strasznem przekleństwem spadł Don Franciszek

zwyciężony. Król lasów, dziko się zaśmiawszy, cofnął się z niedobitkami swojemi, nie mogąc już dłużej wytrzymać natarcia dzielnych kirasjerów.

W godzinę bitwa została rozstrzygnięta.

Cabrera ze szczątkami wojska, nie w popłochu, ale w należytym porządku cofnął się w góry Sierra-Oca, gdzie zdołał ukryć się przed ścigającym go nieprzyjacielem. Smutne i krwawe trofea walki, gromadnie zalegały pole bitwy. Straszne spustoszenie! Stosy zabitych i umierających zalegały dolinę przy Burgos, gdzie się odbywała ta straszna bitwa, pokaleczone konie, pokaleczone ciała ludzkie, drgające jeszcze szczątki.

Tu karlista z urwaną przez armatnią kulę nogą, błagał o śmierć; tam znów gromadnie leżeli krystyniści polegli w zamęcie bitwy, a wszyscy znajdowali się w takiej postaci w jakich ich straszna śmierć zastała.

Ziemia nasiąkła krwią ludzką, ubita kopytami koni, przedstawiała ohydny widok spustoszenia.

Kiedy kawalerja ścigała ustępującego nieprzyjaciela, usiłując najwięcej szkody mu zadać, piechotnym oddziałom polecono nieść ratunek ranionym o ile tylko można. Sam Concha i jego oficerowie byli wzruszeni widokiem pola bitwy, przerażenie i boleść malowała się na ich twarzach, skoro dowiedzieli się, że na lewem skrzydle, generał Serrano ciężko raniony broczył we krwi własnej.

Uderzenie pałaszem, zadane ręką karlisty, który uratował króla lasów, głęboko zraniło głowę Serrany i spowodowało tak znaczny upływ krwi, że Prim, którego sprowadzono na usilne żądanie zranionego, znalazł go prawie bezsilnym i

blady z żalu i oburzenia rzucił się z krzykiem głębokiej boleści w objęcia ranionego.

— Drogi mój Franciszku, zawołał w gwałtownem wzruszeniu: powiedz, powiedz jak się masz?

— Bardzo źle, drogi Juanie: łotr doskonale wymierzył: ale to najwięcej mnie boli, że wypuściłem infanta, który już był w moich rękach.

— Ty najwaleczniejszy z pośród nas, nie myślisz o sobie, o twoich cierpieniach, a tylko o tej stracie! Ale Najświętsza Panna będzie dla nas łaskawą. Oto lekarz. Doktorze przybywaj. Generał Serrano raniony, daj dowody biegłości twojej; ratuj mego szlachetnego przyjaciela.

Lekarz, człowiek młody jeszcze, w mundurze piechoty, zbliżył się do ranionego. Serrano leżał z głową opartą na ramieniu Prima, ciężko oddychając, pobladły, nad grobem prawie, ten dzielny rycerz, który z dobytym pałaszem przerzynał się przez szeregi nieprzyjaciół, ten piękny młodzian, który był tak odważnym w bitwie, który pogardzał śmiercią, szukał niebezpieczeństwa, leżał na ziemi, walcząc ze śmiercią, przy boku przyjaciela spoglądającego na bohatera, który ani jednego jęku, ani jednej nie wydał skargi, mimo straszne cierpienia, spowodowane zadanym ciosem. Lekki uśmiech ożywiał usta pobladłe, z których wychodziły przerywane wyrazy.

— Jakżeż miło... umrzeć dla królowej... i Hiszpanji!

Wyrazy te głęboko wyryły się w sercach wszystkich obecnych; bo każdy obywatel kocha ojczyznę swoją, gotów dla niej ponieść życie w ofierze.

Dla Hiszpanji! Wzniosłe to słowo wywołało powszechny

zapał, bez wiedzy i chęci Don Franciszka; chciał on tylko wyrazić to, co dusza jego uczuwała, a stał się powodem ogólnego poklasku otaczających.

— Chwała generałowi Serrano! chwała bohaterowi Burgos!... rozległy się okrzyki na około, a sam Concha czuł jak łza rozrzewnienia popłynęła po jego strudzonej i zarosłej twarzy.

Lekarz zręcznie opatrzył ranę; nie dawał on jeszcze nadziei, że zdoła uratować ciężko ranionego generała, przygotowywał nawet niespokojnego Prima, że wyzdrowienie nie tak prędko nastąpi, ale jednak stan jego się nie pogorszy. Zalecił przytem największą spokojność i troskliwość. Chorego przenieść do Madrytu nie dozwalał.

Concha i Prim naradzali się nad tem jakim sposobem możnaby ranionemu zapewnić spokój i wygodę i jednogłośnie postanowili pozostawić go w klasztorze Dominikanów w Burgos, jako w miejscu ze wszech miar odpowiedniem dla ich najdroższego przyjaciela. Lekarzowi polecono, ażeby pozostał przy chorym i o stanie choroby codziennie zawiadamiał, gdyż wodzowie przedewszystkiem powinni byli kierować ściganiem uchodzącego nieprzyjaciela i korzystać z odniesionego zwycięstwa.

Serrano głosem osłabionym zatwierdził ten projekt, o którym Prim go zawiadomił; bezzwłocznie więc na noszach naprędce zrobionych zaniesiono go do klasztoru w Burgos, w którym przyjęto go chętnie z powodu znacznego wynagrodzenia pieniężnego, które za udzielenie rannemu gościnności dano.

Concha i Prim i inni dowódcy zajęli się prócz tego

starannem umieszczeniem rannych, starając się, żeby im na niczeni nie zbywało; zabitych pochowano z honorami wojskowemi w wielkich grobach na równinie wykopanych.

Bitwa tak korzystnie stoczona czyniła karlistów na długi czas niezdolnymi do przedsięwzięcia nowej wyprawy. Prim w tym pamiętnym dniu tak świetnie się odznaczył, że Concha, w imieniu Narvaeza, który o wszystkiem został zawiadomionym, mianował go generałem na polu bitwy.

— Z tysiącem łudzi takich jak ty i Serrano, dodał Concha ściskając go w objęciach swoich, podejmuje się zawojować pół świata. Prośmy teraz Stwórcę aby przyjaciela naszego do zdrowia przywrócić raczył.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXIII.

WESELE KRÓLOWEJ.

Dzień 7 maja 1845 był dla stolicy Hiszpanji dniem świetnej uroczystości.

Madryt bogato przystrojony obchodził zaślubiny młodej królowej.

Ulice zamieniły się w pełne kwiatów ogrody.

Z balkonów zwieszały się różno-barwne dywany, a z okien powiewały długie chorągwie; w bogatszych dzielnicach miasta chorągwie odznaczały się bogactwem jedwabnych materji i złotych wyszywań; w biedniejszych mniejsze i skromniejsze. Wszędzie widniały herby Hiszpanji i Neapolu. Tak między bogatymi jak i uboższymi okazywały się oznaki życzliwości.

Ulice i place dotykające pałacu królewskiego, przystrojone były kwiatami i girlandami, które wspaniale jedne domy z drugiemi łączyły.

Długi szereg świątecznie przebranych tłumów, gdzie młodzież pomięszaną widziano ze starcami, bogatych z ubogimi, od rana zapełniał starożytną katedrę, w której po południu odbyć się miał obrzęd kościelny.

Wewnątrz starożytnego kościoła zatrzymano miejsca dla dworzan i dygnitarzy; dla tego też od samego rana tłumy zebrały się w szerokiej ulicy, ażeby znaleźć dla siebie

stanowisko, z któregoby można widzieć dostojnego małżonka i młodą infantkę.

Przed południem już tłumy utworzyły tak zbitą masę, że halabardziści księcia Walencji wyrobić musieli ulicę w ulicy, ażeby dozwolić przejazdu ekwipażom dworskim, które zdążać miały do katedry.

Tłum zwiększał się co chwila, a ciekawi zajmowali wszystkie wzniesienia, dachy domów pokryły się głowami, które jedna przy drugiej tworzyły jednolitą masę, której końca widzieć nie było można. Wszyscy nieopisaną cierpliwością i wytrwaniem oczekiwali pojawienia się królowej i infantki Luizy. Dwadzieścia tysięcy głów w jedną całość zbitych, to liczba zastanowienia godna, a porządek i spokojność zachowana wprawiały w podziw.

Halabardziści — atletycznej budowy żołnierze doborowej powierzchowności w złocistych mundurach, w rzymskich hełmach, który to ubiór nadawał im starożytną postawę tworzyli po obu stronach szpaler; tak, że pozostała pomiędzy nimi wolna ulica, na której pokazały się nakoniec bogato złocone ekwipaże królewskiej rodziny, którym towarzyszyły powozy adjutantów, dam dworu, dworzan i dalszy orszak.

W chwili kiedy się ukazała ośmiokonna kareta, pokryta bogatemi złoceniami, wioząca do katedry królowę Izabellę, zabrzmiał okrzyk przez cały tłum wydany: — Viva la reyna Izabella!

Ośm białych andaluzyjskich rumaków, któremi kierowało czterech bogato przybranych stangretów, ciągnęło złoconą karetę królowej, — nawet szprychy karety

były szczerem złotem grubo pokryte, równie jak i stopnie; wnętrze karety okrywał biały aksamit.

Ta galowa kareta, wiodąca dziś władczynię Hiszpanji, wiozła do katedry jednego Filipa i jednego Ferdynanda, była dowodem ogromnego bogactwa hiszpańskiej korony, niezmiernych skarbów, jakie podbite złotodajne kraje władczyni Nowego Świata przynosić musiały.

— Viva la reyna Izabella! brzmiało w ustach zebranego ludu, a królowa piękniejsza aniżeli zwykle odpowiadała na ten radosny okrzyk nadobnym ukłonem przez czas całego przejazdu od pałacu do katedry.

Książę Walencji otworzył drzwiczki od karety; sztywny, zimny Narvaez podał dostojnej pannie młodej ręki i poprowadził ją przez słabo oświetlony korytarz do starożytnej katedry, przepełnionej wonią kadzideł i towarzyszył jej aż do miejsca, w którem na nią oczekiwała królowa-matka.

— Wasza Królewska Mość wygląda blado, strudzenie maluje się w jej oczach, — rzekł książę półgłosem do młodej królowej.

— Pozory często mylą Mości Książę. Sądziłam, że właśnie dziś wypada nam być bardzo ożywioną. — Odpowiedziała królowa z obojętnością nie stosowaną przy tych słowach; potem powitała damy w prawej nawie umieszczone, gotując się przejść przed wielki ołtarz, gdzie znajdowała się jej matka. Narvaez tymczasem oddawszy ukłon grandom i dostojnikom udał się do lewej nawy.

Ogromny w swoich rozmiarach kościół przedstawiał wzniosły i zachwycający widok. Dwa długie rzędy filarów,

podpierających sklepienia, przedzielały go na trzy części zajęte trzema rzędami ławek, między któremi pozostawała pewna przestrzeń dozwalająca dostać się pod wielki ołtarz. Na ścianach zawieszone były wielkie okazałe obrazy świętych naturalnej wielkości, Które także znajdowały się na głównych filarach i w bocznych ołtarzach.

Wysokie okna służące jako ramy dla ciemnego szkła weneckiego, które wśród dnia rzucały cudne półświatło na przejścia i filary, były przysłonięte dla podniesienia wrażenia, jakie sprawiało światło kościelne, którego łagodny wpływ oddziaływał na wzrok i duszę zebranych.

Potężne wrażenie, wzniecone samym ogromem świątyni, znacznie podnosi jeszcze śpiew wykonywany z towarzyszeniem organów, woń kadzideł i blasków jarzącego światła; zebrane to wszystko w jedną całość skłania duszę do modlitwy i wznieca mysi o bóstwie.

Ogromne filary pomieszczone w całym kościele, w prezbiterium tworzyły białą rotundę wyłożoną kobiercami; przy ostatnich, w cieniu prawie znajdowały się konfesjonały z ciemnego drzewa grubo wyrabiane.

Przy stopniach ołtarza, po obu stronach znajdowali się bogato przybrani chłopcy, bezustannie poruszający kadzielnice; na ołtarzu krucyfiks ze szczerego złota dwanaście stóp wysoki, błyszczał pomiędzy okazałemi świecidłami.

Ławki zajmowali dworzanie, którzy nie byli świadkami i nie należeli do orszaku.

Odgłos organów huczał ginąc w dalekiej przestrzeni.

Wybiła godzina wielkiej uroczystości. Przejściem

pozostawionem w środkowej nawie postępował sędziwy arcybiskup Madrytu, w pontyfikalnem ubraniu, pod wspaniałym baldachimem niesionym przez sześciu księży; dwudziestu chłopców postępowało obok nich i za nami niosąc wonne kadzidła, orszak zamykało czterdziestu prałatów i zakonników, mi czele których znajdowali się Antonio i Matteo, Melino i Fulgencio.

Był to orszak długi, pełen powagi.

W prawej nawie, na jednej linji z arcybiskupem postępowała ku wielkiemu ołtarzowi królowa Hiszpanji. Miała na sobie białą atłasową suknię z długim szeleszczącym ogonem, na który, spada szeroki biały koronkowy welon. Mirtowy wieniec zdobił jej głowę. Piękną szyję i ramiona stroiły świetne klejnoty. Koronę, którą zastępował mirtowy wieniec diamentami obsypany, niesiono na aksamitnej poduszce.

Izabella jaśniała świetniejszą pięknością i milszym aniżeli kiedykolwiek powabem. Ciemna zieloność z białemi kwiatami i jaśniejącemi brylantami, zdobiły jej czarny włos, tak skromnie, a jednak tak po królewsku, jej niebieskie pełne rzewnego wyrazu oczy, rzucały blask bardziej jeszcze porywający, a na młodocianem obliczu widniał wyraz melancholji i tęsknoty.

Jakie uczucia grały w duszy pięknej królowej i co znaczył wyraz smutku rozlany na jej twarzy kiedy szła do ołtarza połączyć się dozgonnym związkiem z swoim kuzynem, który od tej chwili miał się nazywać jej małżonkiem. Kto zajął jej serce? Kto jest przyczyną smutku królowej, którą szczęście zdaje się otaczać ze wszech stron.

Marja Krystyna szła za nią. Miała na sobie ciemno wiśniową suknię na wierzchu, a białą atłasową pod spodem; głowę jej zdobił diadem z drogich kamieni rozlicznych kolorów. Królowa matka mniej okazywała radości w tym dniu uroczystym, aniżeli się spodziewano, a oblicze jej surowe i wyniosłe zawsze, nie ukrywało cierpkiego wyrazu, który widzieć się dawał ilekroć regentka niemiłego doznawała uczucia. Za nią postępowały damy najznamienitszego pochodzenia, a w najbliższem otoczeniu królowej, w którem jaśniało wiele uroczych twarzy, błyszczały oczy południowym blaskiem; spostrzegamy w ich liczbie margrabinę Beville. Suknia na niej biała jedwabna, koronkowem okryciem narzucona, ciemne jej włosy zdobi bukiet z granatów.

Z lewej nawy zbliżył się ku ołtarzowi w tym samym czasie książę Franciszek z Assyżu, w towarzystwie ogromnego orszaku panów i oficerów jaśniejących licznemi orderami.

Książę pomimo małego wzrostu i pociągłej twarzy, wyglądał bardzo okazale. Miał na sobie generalski mundur z ciemno-granatowego sukna z czerwonym kołnierzem, krojem podobny do mundurów pruskich oficerów; rabaty bogato złotem wyszywane były na pół wywinięte, niski kask trzymał w lewej ręce.

W ślad za nim postępował Narvaez z tej przyczyny, że zajął miejsce księcia Rianzares, małżonka królowej matki, który nagle zachorował; dalej posuwali się oficerowie wszelkiej broni, następnie Olozaga, generałowie O‘Donell, Prim, Concha, grandowie rycerzy Rodyjskich, Posada,

Hererka i inni. Serrano nie znajdował się między nimi.

Patrjarcha Indji, sędziwy prałat, pierwszy wstępuje na stopnie ołtarza.

Marja Krystyna prowadzi młodą królowe Izabellę, a książę Walencji księcia Franciszka do stopni ołtarza. Damy orszaku zgromadzają się po prawej stronie, panowie po lewej: prałaci stoją po bokach ołtarza, zakonnicy zaś pozostali w rotundzie przy jego stopniach.

Królowa i koronujący się książę muszą zgiąć kolana w czasie tej wzniosłej uroczystości i wznoszą modlitwę do Pana Zastępów. W chwili, kiedy Izabella spuszcza piękne oczy do turkusów kolorem podobne, utkwiwszy je w kobiercu rozpostartym pod jej nogami, słyszeć się daje w lewej nawie odgłos przyspieszonych kroków i wyniosła postać szlachetnego rycerza ukazuje się między panami. Kobierzec tłumi odgłos kroków, zakonnicy rozstępują się, ażeby mu dozwolić przejścia, — zbliża się do zgromadzonych grandów.

Umilkły organy, arcybiskup zadaje sakramentalne pytanie królowej i księciu Franciszkowi z Assyżu.

W tej chwili Izabella podnosi w górę swoje cudne oczy niebieskie, gwałtowne wzruszenie maluje się na jej obliczu, bladość śmiertelna pokrywa jej lica, — z wysileniem zaledwie może się utrzymać na nogach, gdyż obok niej pierwszy z grandów obok Narvaeza zajmuje miejsce, — ledwie oczom swoim daje wiarę — to on! to Serrano, jej ukochany Franciszek, marzenie jej duszy, jedyny przedmiot tkliwej miłości. Pojawia się on w chwili kiedy innemu zaprzysiądz musi miłość dozgonną, kiedy już ma wyrzec

fatalne: Tak!

Szczególny wypadek, fatalna przepowiednia! Serrano zwrócił piękne ciemne oczy w stronę nadobnej Izabelli, zatopił w jej oczach spojrzenie palące, namiętne!

Arcybiskup zmuszony był powtórzyć zadane pytania i otrzymał niewyraźną i cichą odpowiedź, poczem połączył ręce małżonków.

Izabella, która nie mogła oderwać oczu od oblicza ukochanego, spostrzegła na jego czole głęboką ranę. Przezorny Nawaez oznajmił jej tylko, że Prim i Serrano, generałowie gwardji królewskiej, odniósłszy świetne zwycięstwo nad karlistami, nie zdążyli przybyć do stolicy.

Prim nie chciał powracać do Madrytu bez przyjaciela, został z nim w klasztorze w Burgos po rozbiciu obozu karlistowskiego.

Izabella śmiertelnie niepokoiła się nie otrzymując żadnej wiadomości o lubym Don Franciszku; a tem bardziej, że w krótkim czasie po jego odjeździe posłała mu promień czarnych włosów z swojej pięknej główki i nie otrzymała żadnego dowodu wdzięczności, lub przywiązania.

Niespodzianie spostrzega go; niezagojona rana jest dostatecznem usprawiedliwieniem w oczach przerażonej Izabelli. Don Franciszek walczył i krew przelał w jej obronie.

Urok tej myśli rozpromienił serce młodej i ognistej królowej! Co stąd mogło wyniknąć dla jej kuzyna, z którym za chwilę pierścień zamienić miała...

Prim ukazał się także w katedrze. Nie wiedział o tajemnem uczuciu jakie łączyło królowę z jego młodym

przyjacielem, Don Juan Prim zbliżył się do stopni ołtarza i spoglądał z uwielbieniem na piękną królowę, pomyślał, że pragnąłby znajdować się na miejscu Franciszka z Assyżu.

Myśl ta jak błyskawica mignęła w jego umyśle i zniknęła na zawsze; widział tylko z jakiem uwielbieniem przyjaciel jego wpatrywał się w majestatyczną postać królowej.

Arcybiskup wymówił słowa błogosławieństwa.

Królowa-matka odprowadziła Izabellę od ołtarza, króla zaś Narvaez. Damy otaczały królowę, grandowie zaś zbliżyli się do młodego króla i złożyli mu powinszowania.

Kiedy królowa-matka udała się na prawo a Narvaez na lewo, ażeby doprowadzić infantkę Luizę i księcia Montpensier do ołtarza dla wykonania takichże samych ślubów, król odezwał się do Serrany, który nieruchomy i milczący stał przy stopniach ołtarza.

— Dzielny generale, jak widzę rana twoja już się zagoiła. Czy nie masz jednego słowa życzliwości dla małżonka twojej królowej.

— Wasza wysokość raczy mi wybaczyć, że rozmarzony wzniosłym widokiem, jaki miałem przed oczami, dość silnych wyrazów znaleźć nie mogę.

— Utrzymują, że ludzie czynu w podobnych uroczystościach z trudnością myśli swoje wyrażać zdołają; odrzekł małżonek królowej. Nie bierzemy przeto za złe milczenia waszego.

Serrano skłonił się z uszanowaniem, ale wzrok jego ciągle był zwrócony na Izabellę, która stanęła w ten sposób, że mogła spoglądać na twarz Don Franciszka: spojrzenia ich spotkały się i wyraziły myśli, które oni tylko sami

zrozumieć mogli.

Druga para stanęła przed patrjarchą Indji. Infantka Luiza i syn Ludwika Filipa zgięli kolana, zamienili pierścienie i otrzymali błogosławieństwo.

Teraz dopiero skończyła się podwójna uroczystość, ogólna modlitwa wzniosła się do stopni tronu króla królów, poniesiona duchem zebranych. Organy wygłosiły ostatnie tony, a pełna powagi cisza zapanowała w starożytnej świątyni.

Młoda królowa wsiadła do karety i w pośród okrzyków zebranego tłumu powróciła do zamku. Drugim powozem jechał książę małżonek, następnie królowa-matka z infantką, a za niemi książę Walencji i książę Montpensier.

Damy dworskie i grandowie zamykali orszak weselny.

Madryt cały jaśniał jakby morze ogniste. Okna wszystkich domów gorzały rzęsistem oświetleniem; na balkonach i dachach paliły się różnorodne płomienie, na Prado i w wielu innych miejscach urządzono ogniste fontanny. Dzień ten był prawdziwie dniem uroczystości dla ludu madryckiego, tłumnie gromadzącego się na placach, ulicach oświetlonych tak, że tak jasno na nich było, jakby słońce najczystszym blaskiem świeciło. Teatry dawały bezpłatne widowiska, na Prado i placu Mayor, rozdawano wino; tłumy, przy huku dział, spełniały toasty za pomyślność dostojnych par. W zamku zebrani goście, z najwyższych sfer kraju i zagranicy wesoło obchodzili uroczystość zaślubin młodej królowej i infantki.

Wszystkie sale były rzęsisto oświetlone; sala tronowa, sale Filipa, Marji Krystyny i królowej Izabelli, jaśniały

tysiącami jarzących świec.

Infantka Ludwika, obecnie księżna Montpensier, chciała zaraz na drugi dzień wyjechać z małżonkiem swoim w południowe strony państwa.

Skrzydło pałacu, zajmowane do tej pory przez infantkę, przeznaczone zostało dla młodego króla małżonka Izabelli. W całem urządzeniu zamku zaszły ważne zmiany.

W sali tronowej zastawiony był stół z niepojętą do uwierzenia obfitością; w innych salonach, salach, galerjach i pasażach zastawiono również stoły dla gości i dworzan, tak że przy nich zasiadło wyżej tysiąca zaproszonych.

Królowa i książę spotkali się w zamku i od tej chwili już mieli na zawsze należeć jedno do drugiego, z zachowaniem względów etykiety dworskiej. Młode pary powinny były siedzieć obok siebie przy stole, przy nich zaś królowa-matka.

Serrano i Prim chcieli skrycie wyjść z katedry, otrzymali jednak rozkaz królewski znajdowania się na uczcie weselnej. Królowa wyświadczyła im najwyższy zaszczyt, zapraszając do swego stołu przy którym zasiedli członkowie rodziny królewskiej, Narvaez, hrabia Cheste i O‘Donnel.

Topete i Olozaga zajęli miejsce w sali Filipa. Trudno spamiętać, a trudniej opisać, ogromną liczbę potraw, jaką wnosiła królewska służba. Ani ich widok, ani rozchodząca się woń po sali nie nęciły ku sobie Serrana; ale widział również z tłumionem wzruszeniem, że królowa była smutną i potraw prawie nie tykała; małżonek jej przeciwnie, jadł z wybornym apetytem podniecanym doskonałym humorem,

w jakim nigdy go jeszcze nie widziano.

Przed uroczystym wyjazdem do katedry, Franciszek z Assyżu otrzymał woniejący liścik, napisany pięknym charakterem, który sprawił wielkie wrażenie na oziębłym i zużytym księciu. List ten bezimienny podany mu został przez X. Fulgencio i zawierał co następuje:

„Kochany Książę! Za kilka godzin zostaniesz mężem królowej. Osoba bliska Wam, dla Was tylko życzliwa, modli się za Wasze szczęście. Bądź W. X. Mość jutro w nocy w ogrodzie klasztoru Santa-Madre, a ta która się losem W. X. Mości szczerze zajmuje, udzieli ważnej wiadomości.“

Franciszek z Assyżu wiedział od kogo pochodzi to pismo; myślał uśmiechnięty o pięknej hrabinie genueńskiej, siedząc obok małżonki zaledwie rozkwitającej; myślał o tym powabnym a strasznym szatanie, który złamał i zatruł życie jego i który dziś jeszcze czarodziejski wpływ nań wywierał.

Po skończonej uczcie weselnej, wstawano od stołu według oznaczonego ceremoniału, to jest polonezem, który rozpoczynała królowa z swoim małżonkiem. Po ukończeniu tego tańca znalazła dopiero dawno upragnioną sposobność zbliżenia się nieznacznie do Serrany.

— Muszę pomówić z tobą. Dusza moja pragnie tego, wiele mam ci do powiedzenia; szeptała młoda królowa. Przyjdź jutro około północy do rotundy muszlowej.

— Będę posłusznym! odpowiedział Serrano zimno, nie zmieniając wyrazu twarzy. Izabella oddaliła! się pospiesznie.

Zdawało się, że tej chwilowej rozmowy nikt nie zauważył; Serrano jednak spostrzegł Narvaeza na drugim końcu sali stojącego, twarz miał prosto ku niemu zwróconą, a przenikliwy wzrok swój zatopił w młodym Serranie. Narvaez dostrzegł dobrze, że królowa czyniła młodzieńcowi jakieś zwierzenia, stanął z rękami na piersiach założonemi i zwrócił na Serranę zimne i surowe spojrzenie.

Serrano uczuł jak na twarz wystąpił mu żywy rumieniec; teraz dopiero przyszedł mu na myśl prawdziwie przez Opatrzność zesłany wypadek w gabinecie zamkowym, teraz przekonał się, że generał kapitan armji wysłał go, usunął, ażeby tymczasem swobodnie wydać królową za mąż. Serrano na kilka godzin przed rozpoczęciem uroczystości przyjechał konno do Madrytu, i zapomniał zameldować się natychmiast Komendantowi, co przedewszystkiem powinien był uczynić, nie chcąc narazić się na zaczepkę księcia Walencji.

Jeżeli kto wykroczył przeciw przepisom karności wojennej, surowy i sprężysty Narvaez nie czynił żadnej różnicy.

Serrano przeszedł przez salę; zbliżył się do księcia, który stojąc nieruchomy, jakby z kamienia wykuty, spoglądał na młodego generała, nie zmieniając ani postawy, ani wyrazu twarzy.

— Nasza sprawa pod Burgos ukończona Mości Książę, kłaniając się powiedział Serrano głosem, który zdradzał wewnętrzne wzruszenie. Szczegółowy raport będzie jutro złożony w sztabie generalnym.

— Rana twoja jeszcze nie zagojona i to tylko powoduje, że uwzględniam twoje zameldowanie się na pokojach Królewskich. A wiesz generale, że nie jestem twoim przyjacielem.

Narvaez odwrócił się i opuścił generała Serrano, stojącego z zaciśniętemi zębami i wyszedł z sali nie zaszczyciwszy go nawet ukłonem.

Don Franciszek obejrzał się wokoło siebie, w obawie czy scena ta miała świadków.

Był sam.

Tylko Prim i Olozaga, którzy znajdowali się w przyległym pokoju, spostrzegli tę krótką rozmowę księcia z generałem i zbliżyli się do pobladłego przyjaciela.

Serrano silnie ścisnął rękę Prima i natychmiast ją puścił.

— Jesteśmy z sobą na takiej stopie, że o przyszłości nic pomyślnego wróżyć nie można! powiedział.

— Kochany Franciszku, nie jesteś przyzwyczajony pieścić słodkiemi słowami takich niedźwiedzi. Oddaj każdemu co się należy.

— Temu należy się żelazo! — zawołał Serrano i gwałtownie uchwycił rękojeść szpady.

— Wiesz, że jesteśmy po twojej stronie, odrzekli przyjaciele, którzy wchodząc w położenie Serrany, nie hamowali jego gniewu, — jeżeli przyjdzie do spotkania, to możesz liczyć na nas.

— Jeżeli nie chcesz słuchać rad moich.

— Przeklęty dyplomata, z swojem gładkiem obejściem i spokojem! — zawołał rozdrażniony Serrano.

— Dobrze powiedziałeś drogi mój przyjacielu, właśnie

mam zamiar zostać dyplomatą. Ponieważ nie mogę współzawodniczyć z wami moi bohaterowie, mieczem, zamieniam go na dyplomatyczny portfel. Tak, tak! nie śmiejcie się rozwijam z całą siłą dyplomatyczne żagle!

— Wierzę ci, szczęśliwy ulubieńcze kobiet! żartował Prim; my zaś pozostaniem wiernymi obranemu zawodowi.

Wzięli śmiejąc się wesoło Serranę pod rękę, a połączywszy się z dzielnym Topete, przepędzili noc na gawędce, przy iskrzącym się xeresie i szumiącym szampanie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXIV.

PIĘKNY GENERAŁ.

Z okoliczności podwójnego wesela na hiszpańskim dworze, jeden ze znakomitych historyków podaje artykuł następującej treści:

„Imię Ludwika Filipa.znanem jest we wszystkich intrygach jakie poprzedziły i przygotowały małżeństwa hiszpańskie. Zarzucano mu, że wpłynął na wydanie królowej za Franciszka z Assyżu, w tem przewidywaniu, że wskutek bezdzietności małżonków, obsadzi swojego wnuka, na tronie hiszpańskim. To prawda, że naród cały podzielał zdanie króla Francuzów, widząc że związek jego królowej był bezowocnym.

Gdyby tylko ten, a nie inny był powód, że zacny król-obywatel wybrał księżnę, nie zaś królową na małżonkę dla swojego syna, księcia Montpensier, przypuszczaćby należało, że zapomniał zupełnie o historycznej moralności domu Burbonów, która na tem się zasadzała, aby uważać jako cnotę żon: obdarzanie mężów naturalnemi dziećmi, a jako występek mężów: obce dzieci przyjmować za swoje.

„Nie przypuszczamy przeto, żeby ś. p. Ludwik Filip liczył na niedołęstwo Franciszka z Assyżu i na moralność Królowej Izabelli, chcąc tym sposobem zapewnić wnukowi swemu tron Hiszpanji“.

Nie będziemy dłużej zajmować czytelników naszych temi historycznemi uwagami; gdyż i ta jedna zaznajamia nas z domami Burbonów i stanowi objaśnienie następnych rozdziałów. Opowiadanie nasze ciągniemy dalej.

Wiemy już o pachnącym bileciku, jaki król otrzymał wieczorem. W oznaczonem miejscu stawił się z punktualnością godną lepszej sprawy.

Jak tylko noc zapadła, Franciszek z Assyżu udał się do furty klasztoru Dominikanów, przy ulicy Foburgo: pociągnął za dzwonek, z niecierpliwością i bijącem sercem słuchał odgłosu kroków nadchodzącego braciszka furtjana. Po krótkiem oczekiwaniu uchyliły się grube i warowne drzwi. Zdawało się że mnich wie czego szuka Franciszek z Assyżu w klasztorze Santa-Madre; albowiem w milczeniu, bezzwłocznie przeprowadził go przez przedsionek do ogrodu klasztornego. Doprowadziwszy do schodków, któremi schodziło się do ogrodu, opuścił go nie rzekłszy ani słowa i mały król pozostał sam. Niskie palmowe i migdałowe drzewa wydawały się tajemniczemi postaciami, a pojedyncze krzaki zdawały się być przyczajonymi ludźmi. Ciemność zewsząd go otaczająca, gwałtowne wzruszenie, jakiego doznawał, przejęły go tak niepokonaną obawą, że już chciał furtjana przywołać.

Nareszcie księżyc okazał się z poza murów klasztornych, a chociaż światło jego było blade i niepewne, przy tym blasku jednak, można było rozróżnić przedmioty, pośród których Franciszek przesuwał się, ostrożnie rozglądając.

Nagle przesuwa się między krzakami tajemnicza postać i zbliża ku niemu, Franciszek zatrzymuje się i patrzy.

— Zakonnica! szepnął, to nie może być kto inny tylko moja Julja.

— Witam cię najjaśniejszy panie! rzekła Aja.

— O najpiękniejsza z tych które w życiu widziałem. Znajduję cię nareszcie samą! — wymówił Franciszek głosem prędkim i namiętnym. Od jak dawna oczekuję chwili w której cię ujrzę i nazwę swoją, o! niebiańska Juljo moja!

— Szlachetny Panie! mówisz z siostrą, która wyrzekła się wszystkich uciech światowych i przywdziała zasłonę zakonną. Mówisz, panie, z siostrą Patrocinio, a nie z twoją Julją, którą dawniej nazywano hrabiną genueńską.

— Wiesz o wszystkiem, porzuć tę oziębłość i ulituj się nademną. Przyjmij zasłonę zakonną; przybierz imię siostry, ale nie wzbraniaj mi kochać ciebie i do ciebie należeć.

— Jesteś zbyt wymagającym, najjaśniejszy panie! lękałam się prawie czy nocy dzisiejszej będziesz mógł rozmówić się z tą, którą niegdyś swoją Julją nazywałeś.

— Którą dziś jeszcze tak nazywam, której imię z większą aniżeli kiedykolwiek namiętnością wymawiam.

— Najjaśniejszy panie, jesteś żonatym, i to przed dwudziestu czterema godzinami, — odpowiedziała Aja szczególnym tonem.

— Usta moje nie dotknęły jeszcze królowej, należą one jeszcze do ciebie.

Triumfujący uśmiech otoczył usta pięknej zakonnicy.

— To szczególne! — rzekła, więc jesteś tak oziębłym dla pięknej Izabelli?

— Ja ciebie tylko kocham, ciebie jedną; ty do mnie

musisz należeć.

Król w uniesieniu ujął rękę hrabiny i poprowadził ją w ciemną aleję klasztornego ogrodu, Julja szła za nim.

— Gdzie mnie wiedziesz najjaśniejszy panie? zapytała.

— Juljo przyjmij pocałunek którego nie dałem małżonce mojej. Jeszcze raz powtarzam, musisz należeć do mnie. Widzę cię, spotykam! Przypomnijmy sobie te chwile w parku przepędzone. Kiedy przy łonie twojem widziałem jak mi się nowy świat otwierał. O dozwól mi w tej chwili sądzić, że się kołyszemy w rozkosznej gondoli. Zapomnijmy o wszystkiem, zapomnijmy o tem co nas przedziela.

Aja domyślała się, że Franciszek prowadzi ją do altany utworzonej ze zwieszonych gałęzi; znała cały wpływ jaki nad nim posiadała i postanowiła go użyć.

— Czy wiesz najjaśniejszy panie, jaki jest cel tego ostatniego spotkania? Nie mogłam zaniknąć się w tych murach klasztornych, dopóki nie pożegnam się z tobą po raz ostatni — mówiła Julja z cicha dźwięcznym głosem, zbliżając się do darniowej ławki do której Franciszek ją prowadził.

Nie był w stanie przemówić jednego wyrazu, takie wzruszenie wzniecała w nim ta rozkoszna kobieta, tak powabna.

— Precz z tem ciemnem okryciem, które postać twoją osłania, precz z tym welonem, kiedy znajdujesz się przy mnie; — zawołał Franciszek przytłumionym głosem. — Ty jesteś godną tronu z twojemi królewskiemi kształtami, z twojem cudownem obliczem: wszystkie cuda natury

jaśnieją w twojej boskiej piękności! Precz więc z tą ponurą zasłoną... to co natura tak hojnie dała, nie może być samowolnie pogrzebanem.

Król zdjął zasłonę, zdjął ciemną wierzchnią suknię jaką zakonnice zwykle noszą, odrzucił je z gorączkowym pośpiechem, a oczy jego na widok tych cudnych kształtów zabłysły niezwykłym ogniem.

— Co czynisz, najjaśniejszy Panie?...

Na tej samej ławce darniowej w ogrodzie klasztoru Santa Madre przelanem było ręką pożądliwego króla przed dwunastu laty bardzo wiele krwi.

Ferdynand VII do tego to odosobnionego ogrodu przyprowadzał ofiary nienasyconych namiętności, czy to była piękna dziewica, czy kobieta... wszystko mu jedno było; czy z pałacu grandów, czy z chaty nędzarza; na którą tylko wzrok swój zwrócić raczył, już była straconą. Ściągał on ofiary swego okrucieństwa już to przez swych pachołków, już to przez zręcznych zakonników... tu w tym ogrodzie obejmował je w swoje ramiona; sprowadzał on te nieszczęśliwe istoty strasznemi środkami, żeby im okazać miłość ohydną, która tem była wstrętniejszą, że natura upośledziła go, dając powierzchowność gminną.

Na tej samej darniowej ławce przebijał Ferdynand ofiary, jeżeli się broniły rozpaczliwie; znikały one bez śladu, bez wieści. W klasztornym ogrodzie gniło wiele tych nieszczęsnych dziewic i kobiet.

Aja zerwała się nareszcie, niewiadomo czy przeraził ją odór pochodzący z ciał pomordowanych ofiar przez krewnego tak dziś rozmiłowanego króla?

Blada, z rozpuszczonemi włosami, jakby wijące się żmije, odepchnęła małżonka królowej i zarzuciła na śnieżnej białości ramiona suknię zakonną.

— Żegnam cię Franciszku z Assyżu, porwałeś mi więcej aniżeli ci udzielić byłam powinna.

Król pospieszył za uciekającą, uchwycił jej ubranie w chwili, kiedy chciała opuścić miejsce krzewami zacienione i wybiedz na ulicę oświetloną promieniami księżyca.

— Nie opuszczaj mnie Juljo, albo ścigać cię będę aż w pośród murów klasztornych. Pozwól się ubłagać; wołał Franciszek padając na kolana przed dumną Ają. Przestań, wszak wyznałaś mi w tej błogosławionej chwili, kiedy cię znów ujrzałem, że mnie także kochasz z całej duszy. Jeżeli to jest prawdą, czyliż możesz rozłączyć się ze mną na zawsze?

— Nie rozrywaj mi serca, powzięcie postanowienia kosztowało mnie zbyt wiele wysileń, wiele walk wewnętrznych. Nie powinnam cię widzieć więcej; jesteś, panie, małżonkiem królowej, dla tego więc...

— Fatalne postanowienie, które mi odbiera spokojność.

— Siostra Patrocinio nie może mieć nic wspólnego z twojem szczęściem, życiem, miłością. Dowiedz się jednak, najjaśniejszy panie, w tej ostatniej chwili, że mnie nic nie ciągnęło, nic mnie nie pogrążyło w murach klasztornych, tylko ty sam, twoje szczęście, twoja spokojność małżeńska! mówiła obłudna żmija, słodkim wzruszonym głosem.

— Ta ofiara zabija mnie, szlachetność ta zbyt wielka dla mojej pałającej duszy. Wołam do ciebie zostań! Zostań za wszelką cenę, jaką zechcesz nałożyć, nie mogę nic więcej

stracić i zarobić oprócz ciebie, dla tego też zlituj się!

— Twoja Julja przyjęła zakonną zasłonę, wykonała śluby. Ty wiesz, że tego cofnąć niepodobna.

— A więc pójdź do dworu królewskiego, ojciec Fulgencjusz może cię wprowadzać na dwór królowej, siostra Patrocinio znajdzie tam odpowiedniejsze dla siebie miejsce, aniżeli w ponurych murach klasztoru. Pójdź Juljo! pozwól, niech cię uproszę. Ułatwię ci drogę.

— Odważny krok najjaśniejszy panie, wieczne doświadczenie dla serc naszych!

— Spełnienie najgorętszego pragnienia widzieć cię i posiadać w bliskości ciebie! mówił król z zapałem!

Zimna, wyrachowana Aja, radowała się w duszy, te właśnie słowa, to postanowienie chciała słyszeć z ust słabego, oplątanego przez siebie Franciszka. W tej chwili była u celu życzeń swoich. Ze stopni tronu mogła ona, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, nie zwracając na siebie żadnej uwagi prowadzić czarne intrygi przy pomocy króla lub spowiednika królowej; może pozyskać swojego Azzo, do którego rwała się jej dusza, zgubić Henrykę okrytą wstydem i hańbą, a to wszystko udając miłość dla króla. Oczy jej błyszczały radością, usidlić królowę udało by się łatwo, liczyła bowiem, że jej kochanka, pięknego generała Serranę miała w swojej mocy. Radowała się w duszy, wtenczas gdy jej oczy okazywały zakłopotanie, nakoniec po co raz gwałtowniejszych naleganiach ze strony króla, po długim oporze wyszeptała:

— Niech tak będzie; na ciebie, panie składam winę za wszystko, co z tego wyniknąć może.

Małżonek Izabelli opuścił podstępną hrabinę, pozostała ona sama w klasztornym ogrodzie. Obok niej błyszczały arbule, niosące trujący zapach, tak jak ona oddychała fałszem i zdradą. Kwitły one tak pięknie, podsycane ożywczym wpływem gnijących ciał pogrzebanych matek i dziewic: Julja zdawała się ich siostrą przeklętą z powodu trującego powabu.

Złudzonemu i roznamiętnionemu Franciszkowi dał się słyszeć śmiech szalony, szyderczy jakim śmieje się szatan, gdy duszę ludzką trzyma w szponach swoich i szyderstwem triumf zwiastuje.

Wróćmy teraz do zamku, który w części tylko był oświetlony. Królowa rozkazała, żeby sale i korytarze nie jaśniały zwykłym blaskiem, albowiem chciała wypocząć w cichości po utrudzeniu i wzruszeniach dnia poprzedniego; poleciła usunąć wszystkie osoby przedstawiające zwykłe otoczenie. Straż postawiono tylko w dolnych krużgankach i przy bramach. Damy dworskie i adjutanci pozostali w swoich pokojach; nikt nie przeszkadzał królowej, która w tym dniu z nikim mówić nie chciała.

Rozkaz ten zakomunikowano księciu Walencji, jak to było we zwyczaju na madryckim dworze, czy to była rzecz ważniejsza, czy też mniej ważna, czy to wykonać trzeba było natychmiast, czy później. Narvaez usłuchał tego oryginalnego rozkazu, ale chmura przesunęła się po jego twarzy i kwadratowe czoło pokryło się zmarszczkami.

— Czy Jej Królewska Mość przyjmowała dziś jakie wizyty? — surowym tonem zapytał adjutanta.

— Tylko wielebnego ojca Fulgencjusza, który

dowiadywał się o zdrowiu królowej z polecenia króla Franciszka.

Narvaez dał znak odejścia adjutantowi.

— Jezuici górą! — mruknął Narvaez, wpatrując się zamyślony w mapę, która przed nim leżała rozwinięta. A gdy północ wybiła, włożył czapkę wojskową i wyszedł ze swego pokoju przez małe ukryte drzwiczki. Znalazł się w wązkim passażu, prowadzącym do galerji obrazów. Z tego przejścia wchodziło się do przestrzeni w kształcie sali i dotykało muszlowej rotundy.

To rozszerzone przejście pełne skrytek, nisz i portjer, wysłane było dywanami, które tłumiły odgłos kroków przechodzącego, a było tak słabo oświetlone, że Narvaez często zatrzymywał się, sądził bowiem, że widzi człowieka w niszy ukrytego. Książę nie był bojaźliwy, ale byłoby mu przykro, gdyby obecność swoją potrzebował zdradzić słowami: „Kto idzie?“ Zamierzył on tylko przejść do salonów, które były niezamieszkane.

Narvaez był z tego znanym w obozie, że lubił niespodzianie zajść kogo, i to w chwili, kiedy sobie tego najmniej życzono.

Zbliżył się do miejsca, które przecinało rotundę na dwie części dobrze zakrytemi portjerami.

Cichy szmer doszedł jego uszu; podsłuchiwał, skąd może pochodzić ten odgłos niezwykły.

Fontanny były czynne tylko w czasie wielkich uroczystości, a wody ż nich pochodzącej używano do sali Filipa i przyległych. Zkąd mógł pochodzić cichy głos, który niewyraźnie do uszu jego dolatywał? Za mało był silnym,

ażeby mógł pochodzić z bijących wodotrysków.

Narvaez sądził, że się myli, że to głos, który się daje słyszeć przez ścianę. Lecz myśl jakaś jak błyskawica przeleciała w umyśle jego: odsłonił portjerę i wszedł do słabo oświetlonej groty muszlowej.

Narvaez zastanowił się, wiedział teraz, skąd ten głos pochodzi; nic nie widział, nie słyszał, tyko głosy dwóch osób rozmawiających; rozmowa to była cicha, o tyle jednak wyraźna, że wszystko można było słyszeć.

Książę Walencji zmarszczył czoło; domysły go nie zawiodły, pogroził w powietrzu pięścią: Serrano, którego tyle nienawidził, przez którego również był nienawidzony, rozmawiał z kobietą, a tą kobietą była królowa młoda.

— Drogi Don Franciszku, nie miałam żadnej o tobie wiadomości; lękałam się czyś nie zapomniał o mnie, chociaż posłałam ci dowód pamięci.

— Który po tysiąc razy przyciskałem do ust moich, najjaśniejsza pani. Ileż cierpiałem, dowiedziawszy się, że zamieniasz pierścionek! mówił Serrano. Jakże zakrwawiło się serce moje, kiedy przyszedłem do ołtarza i widziałem...

— Przestań, przestań, Don Franciszku. Zapomnij, żeś mnie widział; wyobraź sobie, że to było senne marzenie; pomyśl, że cię kocham całą duszą i kochaj mnie również; w przyszłości myśl tylko o mnie; tem tylko żyj, i mnie pozwól tem tylko żyć.

Izabella puściła rękę Serrany.

Gorący pocałunek połączył ich usta.

— Ty jesteś bohaterem, generale Serrano: czoło twoje zdobi rana, którą otrzymałeś walcząc za mnie! To zwiększa

miłość moją ku tobie. Wierz mi, że wczoraj, kiedym cię ujrzała tak niespodziewanie, kiedym ujrzała oczy twoje wyrazu pełne, o! pragnęłam, ażebyś znajdował się na miejscu człowieka, którego za małżonka mi narzucono. Gdybyś ty był na jego miejscu, na zapytania ślubne odpowiedziałabym głośno i śmiało. Tak, tej przysiędze byłabym pozostała wierną przez całe życie. A jednak to pragnienie było próżne. Tajemnie tylko widywać mogę tego, którego kocham; zaledwie mi o nim myśleć wolno. Żegnani cię Serrano! Izabella marzyć będzie o tobie.

— Królowo, jakże ci podziękować za taką miłość!

Serrano schylił się, żeby pocałować odchodzącą; ona się nie usunęła, usta zetknęły się z ustami. Izabella zarzuciła na siebie ciemne okrycie, w którem widzieliśmy ją u alchemika Zantilli; zakryła niem twarz swoją tak, że tylko oczy widzieć się dawały, i weszła do tajemniczego przejścia groty wiodącego do jej apartamentów. Przysunęła się do niewidzialnych drzwi ukrytych w muszlowej ścianie, które otworzyły się za przyciśnieniem ukrytej sprężyny: królowa weszła tam, a drzwi same zamknęły się tak silnie i szczelnie, że Serrano nie widział, gdzie się znajdują, chociaż stał przy nich.

Stał jeszcze w grocie przez chwilę, myśląc o namiętnych słowach królowej; doszedł do portjery, uchylił ją i wszedł do słabo oświetlonego passażu, chcąc wyjść na korytarz, który tajemnemi schodami prowadził do przedsionka.

Zaledwie Serrano postąpił kilka kroków w tem cichem i ciemnem miejscu, nagle ujrzał przed sobą cień postaci, która zdawała się jakby z kamienia wyciosana, ręce miała

założone na krzyż na piersiach... była osoba żyjąca, która podsłuchała rozmowę, jaką prowadził z królową, i oczekiwała na niego w tym samotnym passażu.

— Kto idzie? — zawołał Serrano, dobywając szpady.

— Odpowiadaj! kto jesteś? co tu robisz o tej godzinie — zawołał drugi głosem drżącym z gniewu, który usiłował powstrzymać.

Serrano albo nie miał czasu zastanowić się, tak był rozgniewany i przelękniony, albo nie poznał Narvaeza w ciemności.

— Broń życia twojego szpiegu! — zawołał w gwałtownem rozdrażnieniu Serrano i pobiegł na jego spotkanie.

Narvaez sądził, że zostanie zabity, a przynajmniej zraniony; dobył szpady z pochwy i zastawił się naprzeciw gwałtownemu zamachowi Serrany, który nie dozwolił mu wymówić ani rozkazu, ani nawet nazwiska. Szpady skrzyżowały się z głośnym szczękiem, razy równie zręcznie były zadawane, jak odpierane. Obaj szermierze równie biegli byli w robieniu bronią; stali oni w pół-cieniu naprzeciw siebie i tylko widzieć było można błyszczące miecze.

Głośny szczęk oręża rozchodził się po pasażach i korytarzach i doszedł uszu straży strzegącej przedsionka.

Po kilku chwilach przybiegli żołnierze.

— Aresztować tego szalonego generała! zawołał Narvaez do przerażonych żołnierzy, którzy kroku naprzód postąpić nie śmieli. Książę Walencji rozkazuje wam rozbroić i aresztować tego zuchwałego generała!

— Biada temu, kto się do mnie zbliżyć poważy! Pierś szpadą mu przeszyję! zawołał Serrano, który sądził, że wszystko już stracone, a nie chciał w tej chwili właśnie być zwyciężonym przez potężniejszego od siebie wroga.

W tem przybyli Prim i Topete.

— Franciszku, na wszystkie świętości! co czynisz nieszczęśliwy!

— Chcę ukarać podsłuchiwacza i szpiega, chociażby to nawet był król sam! odpowiedział Serrano silnym i donośnym głosem.

— Generale Prim, rozkazuję ci aresztować buntownika, rozkazuję w imieniu królowej Hiszpanii! krzyknął Narvaez blady ze wściekłości.

— Zbyteczna rzecz trudzić tem drażliwem poleceniem generała Prima; ja sam się poddaję, powiedział Serrano, i omijając szyldwachów, którzy mu z drogi ustępowali, udał się wprost do królowej, aby jej donieść o tem co się stało, i prosić o bezwzględne ukaranie winnego.

Izabella usłyszawszy o tym wypadku, była tak oburzona systemem podglądania i szpiegowania, jakim ją książę Walencji otoczył, że wysłała natychmiast swego adjutanta do królowej matki, chcąc ją tej jeszcze nocy zawiadomić o wszystkiem.

Marja Krystyna zajęta była grą w szachy z małżonkiem swoim księciem Rianzaresem. Książę przegrywał każdą partję, ale nie przez grzeczność, bo dawnego gwardzisty o wytworność trudno było pomawiać, tylko, że nigdy nie mógł zrozumieć kombinacyj koniecznych w tej grze umysłowej. W tej właśnie chwili zameldowano królowej-

matce, że generał Serrano dobył szpady przeciw generałowi-kapitanowi wojsk królewskich, przeciw księciu Walencji.

Marja Krystyna zerwała się z krzesła, z iskrzącemi oczyma, chciała wymówić jakieś gwałtowne słowo, ale zatrzymała się i odwracając się ku mężowi, rzekła:

— Te nadzwyczajne wypadki są tak niebezpieczne, że należy dać wszystkim rażący przykład kosztem młodego generała.

— Rzecz niesłychana! Gdybym był na miejscu księcia Walencji, kazałbym natychmiast tego zuchwalca Serranę... Wejście adjutanta, który zameldował królową, przerwało mowę gwardziście. Izabella weszła w największem wzruszeniu do salonu matki. Nagle zatrzymała się spostrzegłszy siedzącego księcia Rianzaresa, który wczoraj, w dniu jej małżeństwa był chorym, teraz zaś widziała go w stanie zupełnego zdrowia. Izabella jednem spojrzeniem umiała doskonale wypowiedzieć wszystko, i małżonek królowej-matki nie potrzebował wielkiego daru domyślności, ażeby zrozumieć to spojrzenie; powstał i zbliżył się do królowej.

— Dobrze, dobrze, mości książę, powiedziała Izabella wbrew prawom etykiety, ale tonem, który oznaczał wewnętrzne wzburzenie i wolę, która rządzić pragnęła samoistnie i bez żadnego ograniczenia.

— Przychodzę do ciebie matko, w nocy, nie ze skargą, ale z zapytaniem, czy ktokolwiek upoważnił księcia Walencji do szpiegowania w nocy, w korytarzach naszego zamku? — powiedziała wyniośle młoda królowa.

— Książę Walencji nie sam jest tylko podporą tronu, jest on jednak mężem wielkiego rozumu i doświadczenia, — mówiła Marja Krystyna; uważamy przeto za rzecz słuszną i konieczną wysłać na lat kilka tego ognistego młodzieńca do którejkolwiek z twierdz w Pirenejach dla ochłody.

— My jednak uważamy za słuszniejsze usunąć zuchwałego księcia Walencji z naszego dworu i wysłać go tam, gdzieby jego system szpiegowania lepiej był przyjęty aniżeli u nas, — mówiła Izabella stanowczym tonem, który nietylko w zadziwienie wprawił królową matkę, ale wywołał zadziwienie księcia Rianzaresa.

— Już mnie znużyło uleganie w milczeniu fantazjom generał-kapitana, — ciągnęła dalej królowa, — i dzisiejszej jeszcze nocy wydamy odpowiednie polecenia.

— Ależ, moja córko! jakże można przenosić tego młodego generała, który nie ma jeszcze żadnego znaczenia, nad pełnego zasług Narvaeza? — mówiła Marja Krystyna z pozornym spokojem. W każdym razie tamten postąpił przeciw prawom, dobywając szpady na księcia.

— Skąd mógł przypuszczać, przechodząc przez muszlową rotundę, że tam znajdzie zaczajonego księcia? powiedziała uszczypliwym tonem młoda królowa, a zjawiska nadprzyrodzone bardzo są rzadkie w tych czasach. W każdym razie chcę pominąć to, że dygnitarze zniżają się do nikczemnej roli podsłuchiwaczy, w zamiarach podstępnych, i życzę dostojnej matce i księciu Rianzaresowi dobrej nocy.

Izabella skłoniła się Marji Krystynie, lekkiem skinieniem ręki pożegnała księcia, i pośpieszyła do swoich pokojów,

gdzie adjutanci zameldowali jej, że generał Serrano oddał szpadę.

— Generał źle uczynił, zawołała królowa, zbliżając się do swojego sekretarza. Jak się nazywa ten mały most, znajdujący się w bliskości miasta Burgos? Zapomniałam pięknego nazwiska tego miejsca.

— Most de la Torre, odpowiedział pierwszy adjutant z głębokim ukłonem.

— Bardzo dobrze, dziękuję. Generał Serrano prezentował się dziś na naszych pokojach; byłoby mi również bardzo przyjemnie zobaczyć tu generała Prima. Pragnęłabym raz jeszcze złożyć tym panom podziękowanie za wyświadczone usługi w bitwie pod Burgosem, mówiła Izabella z wielkiem ożywieniem do zdziwionych panów swojego orszaku, którzy rozbiegli się pośpiesznie, ażeby wykonać te rozkazy.

Po upływie kilku minut weszli Don Franciszek Serrano i Don Juan Prim do pokoju królowej, właśnie w tej chwili kiedy Narvaez udał się do apartamentów Marji Krystyny, która wyrzucała mu jego złośliwość, i to tak ostro, że książę tej jeszcze nocy wyjechał z Madrytu.

Serrano, któremu królowa nadała nazwę pięknego generała, skłonił się i wymówił słów kilka o zasłużonej karze, która go oczekiwała.

— Cieszę się, generale, że cię wczoraj znów ujrzałam, — mówiła królowa. — Wybacz nam, że w zamęcie dnia wczorajszego zapomnieliśmy o tem, co jest najmilszym obowiązkiem korony: o wynagrodzeniu wielkich czynów najwierniejszych, najżyczliwszych sług swoich. Mianujemy

cię generał-kapitanem wojsk naszych. Naglące sprawy wzywają księcia Walencji, żeby się udał do zamku swojego. Rana zaledwie zabliźniona, którą otrzymałeś przy moście de la Torre, jest ozdobą twojego nowego tytułu, książę de la Torre! Któż zacniej nosić może aniżeli ty ten tytuł? Książę de la Torre, przyjm nasze powinszowania.

— Najjaśniejsza Pani! — zbytek radości zmysły mi odejmuje! — powiedział Serrano głosem drżącym ze wzruszenia, a klękając przed królową, położył rękę na sercu i rzekł: Zdaje mi się, że to sen; widzę się zaszczyconym najwyższą łaską, jaką władczyni wyświadczyć może poddanemu.

— Jesteś zaszczycony mitrą książęcą: spodziewamy się, że Don Miguel Serrano, twój zacny ojciec, ucieszy się z tego wyróżnienia, jakie udzielamy jego synowi, jako dowód waszej zasługi i naszej pamięci. Ale i tobie generale Prim, współtowarzyszu, współzwycięzco księcia de la Torre, składamy nasze królewskie podziękowanie za tyle dowodów poświęcenia i męstwa. Na polu bitwy, generał Concha mianował was w naszem imieniu generałem; obdarzamy cię obok tego, w dowód naszej łaski, tytułem i godnością Margrabiego de los Castillejos i spodziewamy się, że równie wiernie służyć nam będziecie, jak i dostojny wasz przyjaciel.

Prim w pierwszej chwili był zdziwiony i przestraszony kiedy jednak usłyszał o zaszczytach, jakie na Serranę spadały, zamiast kary, na którą za tak wielkie przewinienie zasłużył, nie był zdolny wymówić słowa, tak był wzruszony kiedy królowa podała mu swoją piękną, drobną rączkę do

pocałowania.

Nie podała ręki księciu de la Torre, uśmiechała się tylko do niego dobrotliwie, jakby mu chciała powiedzieć: Tobie Franciszku dałabym usta, nie zaś rękę do pocałowania.

Prim klęczał jeszcze w zachwyceniu przed bardziej aniżeli kiedykolwiek uroczą Izabellą, której wzruszenie rumieńcem pokryło lica, a figlarne niebieskie oczy, pełne życia, nabrały dziwnego blasku. Łagodny uśmiech osiadł na jej ustach; a jednak dumna w swojej potędze, stała wyniośle: na twarzy jej malowało się silne postanowienie objęcia od dnia dzisiejszego steru, którym drobna jej rączka kierować miała.

Margrabia de los Castillejos wymówił kilka wyrazów podziękowania, książę de la Torre złożył głęboki ukłon.

— Spodziewam się, że panów będę miała przy sobie; królowa potrzebuje przyjaciół. Spodziewam się, że was w ich liczbie zamieścić będę miała prawo.

Orszak, adjutanci, damy dworskie zdumieni byli, widząc, że królowa rozdawała tytuły i awanse, co do tej pory było wyłącznym przywilejem Marji Krystyny i Narvaeza.

Izabella uprzejmie się skłoniła, poczem wyszła dumnie i wyniośle do swego buduaru, gdzie na nią oczekiwały margrabina Beville i donna Maritta.

Serrano i Prim rzucili się w objęcia jeden drugiemu.

Olozaga i Topete pierwsi złożyli im powinszowania, ze szczerego serca pochodzące.

— I na nas kolej przyjdzie niedługo, — pocieszał Topete przyjaciela i siebie, ci dwaj pokazują nam tylko drogę do słońca, my pójdziemy za nimi. Bądź dla nas łaskawym

generał-kapitanie... Doprawdy nie wtem jak mam cię tytułować: ty czy pan?

Olozaga milczał, z początku nie dziwił się błyskotliwemu powinszowaniu swego przyjaciela, potem wzruszenie go cokolwiek przejęło i wybiegł na usta uśmiech dworaka, który umie wszystko przyjąć i zrozumieć z wypogodzoną twarzą. Potem rzekł do siebie:

— Wszystko to należy do nauki dyplomacji. Dobranoc panowie! a głośno dodał: Mości książę, Panie Margrabio, życzę wam spokojnej nocy!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXV.

WALKA BYKÓW W MADRYCIE.

Upłynęło kilka miesięcy od nagłego wygnania księcia Walencji, który ustąpić musiał miejsca młodemu Don Franciszkowi Serranie, „pięknemu generałowi“ królowej.

Narvaez bez pożegnania, bez wyrzeczenia słowa, wyjechał z Madrytu owej nocy, w której ujrzał się tak dotkliwie obrażonym i odepchniętym; udał się do swoich zamków, gdzie będzie rozmyślał o niewdzięczności władców i zmienności szczęścia.

Nagła samoistność ukoronowanej córki, w pierwszej chwili mocno zdziwiła Marję Krystynę; usiłowała więc odzyskać na nowo swój dawny wpływ. Ale Izabella postępowała odtąd tak stanowczo i energicznie ze swoimi ministrami, że królowa matka nakoniec przekonała się, iż wodze z jej ręku wypadły.

Do odzyskania dawnego wpływu pozostawał tylko jeden środek, a zobaczymy, że Marja Krystyna, która swą królewską córkę wychowała i przedstawiła jej smutny wzór w wykształceniu szlachetnych obyczajów, nie wahała się użyć tego środka, który coraz bardziej rozrastając się swojemi ramionami polipa ją samą objął, i wszystko, wszystko, w przepaści pogrążył!

Od czasu owych niebezpiecznych dni w młodocianych

latach Izabelli, kiedy bandy Don Carlosa często podsuwały się aż do bramy Madrytu, kiedy ich kule biły prawie w okna zamku, generał-kapitan hiszpańskiej armji Don Franciszek Serrano, książę de la Torre, zamieszkał w tymże zamku szereg z książęcym przepychem urządzonych pokojów, aby był blisko gorąco miłującej go królowej.

Wkrótce cały dwór, a nawet i gabinet dowiedział się o jego stosunkach z królową, tak, że przedpokoje młodego księcia ciągle pełne były wygalonowanych donów, czatujących na możnego ulubieńca i polecających się jego względom. Nawet większa część ministrów starała się o przyjaźń księcia, zasięgała jego opinji i przez niego wpływała na młodą królową, widocznie generał-kapitanowi skłonność swą okazującą.

Franciszek Serrano stał prawie na szczycie szczęścia. Kochany przez królowę, czczony przez cały naród, osypany złotem i przepychem!

Jednak generał-kapitan Hiszpanji, książę de la Torre, miał głęboko zranione serce. Nie było ani chwili, w którejby ten pożałowania godny człowiek, którego słowa, rozkazy i życzenia spełniano zaledwie je objawił, nie był smutny i zamyślony!

Częstokroć mimo wszelkich rozrywek, mimo wszelkiego przepychu, skoro się znalazł sam w swojem złoconem mieszkaniu, wobec duszy jego jawił się daleki, ujmujący, miły obraz... Franciszek, zapominając się, wyciągał ku niemu ramiona, a z ust jego wyrywało się niedosłyszane, tajemne westchnienie, którego się sam lękał.

Obraz znikał, Franciszek ręką pocierał czoło i oczy.

Książę de la Torre skrycie ocierał łzę.

O, któżby uwierzył, że młody, złotem i zaszczytami osypany, pięknością i chęcią życia promieniejący ulubieniec królowej Izabelli, świetnością i szczęściem otoczony książę, w samotności łzy wylewał!

„Jeżeli to czyni, jest chyba szaleńcem!“ rzekłaby królowa, tak była pewna, że generał-kapitan Serrano płakać nie może!

Dziwna jest dusza ludzka! Wobec palącego promienia słońca nowego szczęścia, niknie coraz bardziej tak wysoko ceniona rozkosz przeszłości; wobec kwitnącego obrazu codziennie ukazującej mu się Izabelli, niknie miły obraz boleśnie za nim tęskniącej Henryki; blednie on coraz bardziej i coraz rzadziej występuje z przeszłości upominając i wołając...

Dla takich wspomnień książę de la Torre nie ma czasu; a jednak kochał kiedyś swą Henrykę z całym zapałem młodzieńczej, ognistej duszy!

Słowa owej tajemniczej wróżki z ostatniego karnawału, mocno go przejęły i przypomniały utraconą oraz jego dziecko! Poszukiwał tej tajemniczej maski, wypytywał się i dowiadywał o nią codziennie, wreszcie czekał niecierpliwie na wiadomość, jaką mu udzielić przyrzekła — a potem znowu zapomniał o Henryce, na widok młodej, pięknej i kochającej królowej.

Franciszka Serranę, najszlachetniejszego syna szlachetnego ojca, upoiła sława i zaszczyty!

Zbliżał się dzień, w którym na obszernem Coliseo de las Toros podobnie jak corocznie miało odbyć się wielkie

przedstawienie walki byków. Na tej przez Hiszpanów chciwie oczekiwanej uroczystości, która jak pamięć ludzka zasięgnąć może, zawsze się w jednaki sposób odbywała, zwykł był nieodmiennie znajdować się i dwór, bo lud bardzoby miał to za złe, gdyby królowa jako Hiszpanka ukazaniem się swojem nie dała dowodu podobnego upodobania, które wszystkich przejmowało i do kolizeum gnało. Prócz tego z okoliczności walki byków korzystano zawsze, bo przytem ukazywano ludowi Madrytu świetności dworu i jego pierwszych dygnitarzy.

Wielki amfiteatr Coliseo de las Toros, zbudowany do tego rodzaju widowisk w pobliżu Prado na otwartym placu, podobny jest do naszych cyrków. W dole znajduje się wielki, okrągły, wysokiem obmurowaniem otoczony plac, do którego wiedzie dwoje drzwi. Nad tym placem walki są dwa szeregi zakrytych lóż, a dalej mnóstwo w okrąg zbudowanych coraz wyższych ławek.

To koliseum pomieścić może przeszło pięć tysięcy ludzi; uważać jednak należy, że w koło tego amfiteatru na obszernym wolnym placu istniało mnóstwo takich widowisk, na które chociaż nikt nie uczęszczał, chociaż nic nie zabierały, musiały jednak sąsiadować z miejscem ulubionej walki byków, aby mogły wydawać radosne okrzyki, skoro koliseum zagrzmiało radością, albo też gwizdać i wrzeszczeć, skoro który z bandryllerów lub matadorów niebezpieczną swą pracę wykonał z niezadowoleniem widzów, albo skoro który z pikaderów został obalony.

Pragnący widowiska mężczyźni i kobiety zapełnili ławki

— cisnąc się tak, iż prawie głowa głowy dotykała.

„Dzisiaj walczy Pucheta!“ To stanowiło silny magnes, któremu się nikt oprzeć nie mógł, bo ten główny matador, który dzisiaj jeszcze, wraz ze sławnym bandrillerem Cuchares‘em zachwyca lud Madrytu, i wszędzie gdzie się ukaże okrzykami radości bywa witany, śmiałością przewyższał swoich współzawodników i poprzedników! Odwaga jego graniczyła z przesytem życia, jak to obaczymy; a wiadomo było, że był pięknym mężczyzną, o którego łaskę ubiegała się niejedna spragniona miłości signora.

Madryt, podobnie jak Paryż za Ludwików, był na najlepszej drodze zostania drugą Sodomą.

„Dzisiaj walczy Pucheta!“ — szeptały usta pięknych kobiet, i wołali pożądliwi mężczyźni.

Loże napełniały się powoli; przeznaczone były dla bogatych. W głębi umieszczona była loża dworska, wielka, koronami zdobna; obok loża księdza, który się tam znajdował z olejami świętemi, aby częstokroć licznym ranionym mógł dać ostatnie namaszczenie.

Pod lożami znajdowała się druga arena z bramą, którą przybywali walczący i z silnemi drzwiami, z których wypuszczano byka na plac boju.

Liczna orkiestra miała swoje miejsce na górze.

Już górne ławki aż do ostatniego miejsca zostały zajęte; zbliżała się stanowcza godzina uroczystego wystąpienia.

Wtem w wielkiej, czerwonym aksamitem wybitej loży, ukazał się dwór. Królowa Izabella z małżonkiem — Marja Krystyna z księciem Rianzaresem, generał-kapitan książę

de la Torre, generał Prim, bogaci dworscy urzędnicy i świetny orszak, wśród którego widziano margrabinę de Beville i blisko niej Don Olozagę, oraz kontradmirała Topetego.

Za ukazaniem się dworu orkiestra zagrała hymn narodowy, a oczy ludu skierowały się ku loży, podziwiając przepych i pragnąc poznać dostojnych panów.

Izabella promieniała w przecudnej błękitno-niebieskiej sukni, na którą w obfitych fałdach spadała hiszpańska mantylla. Przy niej siedział jej małżonek w ozdobionym orderem generalskim mundurze, po drugiej zaś stronie królowa-matka, w ciężkiej, żółtej sukni atłasowej. Obok Marji Krystyny zajmował miejsce książę Rianzares; za krzesłem królowej stał — Franciszek Serrano, książę de la Torre, w świetnym, złotem haftowanym mundurze generał-kapitana.

Dalej wyższe miejsca w loży zajmował orszak. Margrabina de Beville o ile można najbliżej królowej. Prim oparł się o filar obok Serrany. Olozaga pozostał w bliskości margrabiny. Topete w głębi, bo olbrzymia postać dozwalała mu nawet i stamtąd widzieć co się dzieje na arenie.

Swojemu murzynowi ozdobionemu medalionem z portretem królowej, z wielkim trudem i kłopotem wystarał się o miejsce na górnych ławkach. Hektor bądź co bądź musiał się znajdować na widowisku, które jak przewidywał Topete, nadzwyczajną miało mu prawić przyjemność.

Wszystkie loże w koło, równie jak i górny amfiteatr, napełniły się oprócz jednej loży królewskiej.

Izabella dała korrogidorowi, jako sędziemu walki, znak

rozpoczęcia.

Orkiestra zagrała huczno brzmiącego marsza, w którego takt cały uroczysty orszak wstępował w arenę.

Orszak ten rozpoczynał herold na czele oddziału alganazylów i gdy muzyka na chwilę ucichła, w pośród odgłosu trąb, zapowiedział wielką walkę z bykiem, ostrzegając, aby nikt pod karą śmierci nie śmiał zbliżać się do placu boju i przeszkadzać przedstawieniu!

Znowu zagrzmiały trąby — herold i alganazyle wjechali w obszerną arenę. Za nimi postępował pieszo, z nagą, błyszczącą szpadą w jednej ręce, matador. Po wszystkich ławkach przebiegł szmer zadowolenia.

„Viva la matadora Pucheta!“ zawołały tysiączne głosy. Sławny pogromca byków, trzymając w żylastej dłoni szpadę, która już niezliczonym dziko sapiącym zwierzętom nagłą śmierć zadała, w pstrym hiszpańskim stroju wchodzi za alganazylami. Czarną ma i gęstą brodę, a takiż włos pokrywa na głowie spiczasty hiszpański kapelusz z czerwoną wstążką; szyję jego okrąża koronkowy stroik. Na białej koszuli nosi czarną krótką kurtkę aksamitną; biodra ma przewiązane czerwoną, jedwabną szarfą (faja) ze złotemi frenzelkami, która podtrzymuje krótkie czarne aksamitne spodnie. Na kolanach są one spięte również czerwonemi powiewającemi wstążkami. Białe, mocno obcisłe pończochy, pokrywają muskularne łydki sławnego szermierza, a niskie czerwonemi wstążkami ubrane trzewiki ma na nogach.

Pucheta kłania się korregidorowi; zdjąwszy kapelusz, nareszcie pozdrawia naród hiszpański, który wita go

przychylnym okrzykiem.

Za nim postępują konno czterej pikadorowie z lancami w starodawnym stroju hiszpańskich rycerzy. Konie ich są nadzwyczaj piękne i doświadczonej odwagi, bo nie powinny się one lękać nacierającego na nich ze spuszczonemi rogami potworu. Czterej pikadorowie są wszyscy jednakowo ubrani i przyozdobieni. Wysokie, spiczaste, różnobarwnemi. wstążkami ubrane kapelusze, różnokolorowe kaftany i złote łańcuchy tudzież amulety, na tem jedwabną materją podszyte krótkie półpłaszczyki, aksamitne spodnie do kolan, z różnokolorowemi, powiewającemi wstążkami; w jednej ręce wodze konia, w drugiej trzymając długie, spiczaste, błyszczące lance, wjeżdżają, parami do areny tuż za matadorem.

Za nimi postępuje ośmiu szalenie śmiałych bandryllerów. Są prawie tak samo ubrani jak matador, tylko zamiast szpady, którą on trzyma w dłoni dla obrony i odparcia straszliwego napadu, bezbronni bandryllerowie trzymają w ręku laski z papierowemi chorągiewkami, na których końcach znajdują się haczyki. Laski te zręczni śmiałkowie wbijają w kark wściekle na nich nacierającemu bykowí, a haczyk czepiając się ciała, do szaleństwa pobudza ciskające się na wszystkie strony zwierzę, bo mu różnokolorowe chorągiewki w oczach migają, w uszy wieją. Pierwszym z nich jest słynny Cuchares, na którego nieporównanie szaloną śmiałość blednący widzowie z takiem przerażeniem i trwogą poglądali, iż im włosy na głowach stawały.

Hiszpan lubi, kiedy ów szalony śmiałek zwycięstwem uwolni go od trwogi; dla rego też tysiączne głosy

pragnących widowiska wołają:

„Viva Cuchares!“

Pozdrawia on korregidora, oddaje ukłon przed królewską lożą, podobnie jak i jego towarzysze, i następnie śmiało powiewa swoim we wstążki ustrojonym kapeluszem ku ławkom ludu.

Nowy okrzyk dziękuje ulubieńcowi.

Oddział alganazylów postępuje za bandryllerami, a nakoniec zamykają cały orszak pięknie różnokolorowemi wstążkami ubrane muły, przeznaczone do sprzątania z pola bitwy ranionych lub zabitych byków i koni.

Gdy cały ten orszak przy towarzyszeniu muzyki przeszedł w koło areny, herold, matador i bandryllerowie wychodzą z niej wysokiemi drzwiami, a tylko alganazyle i czterej pikadorowie pozostają na placu boju. Dają koniom ostrogi, aby się śmiało i dziko wspinały i zbliżają się do drzwi, przez które wypadnie byk przeznaczony do dzisiejszej walki.

Gdy królowa przez jednego ze swoich adjutantów przeszłe korregidorowi pozwolenie rozpoczęcia widowiska, tenże rzuca klucz od wspomnianych drzwi, alganazyle otwierają je i uciekają przed wpadającym w szranki bykiem.

Jest to potężne, wyszukanie silne i rosłe zwierzę. Niecierpliwie i śmiało wstrząsając grubą, dwoma ostremi, wielkiemi rogami uzbrojoną głową, skacze po piasku areny aż prawie na jej środek, i nagle staje dziko się w koło oglądając.

Tej chwili właśnie oczekiwali pikadorowie.

Nadstawiwszy lance, uderzają oni na wściekle oglądającego się byka, który postrzegł swych przeciwników. Czuje on jak go drażnią ostrza lanc, jak mu grożą; sapiąc więc i rycząc mierzy okiem jednego z pikadorów. Podczas gdy schyliwszy głowę aż do ziemi, rzuca się na niego, pragnąc rogami przebić i konia i jeźdźca czuje, że go z lekka ranią lance innych przeciwników, staje nagle jak wryty i patrzy w koło, zaprzestając napadu; poczem nagle pędzi ku stojącemu najbliżej jeźdźcowi, ale ten siedząc na wybornie ujeżdżonym koniu, zręcznie usuwa się na bok. Byk znowu uderza na najbliższego nieprzyjaciela, który również usiłuje uniknąć jego kierunku, ale wściekle sapiący byk zgina się i wpycha rogi we wnętrzności konia, tak, że pikador z trudnością unika podobnego losu przez prędkie na bok odskoczenie; byk wyrywa zakrwawione rogi z rozprutego konia, który pada na ziemię, następnie tenże byk goni za unikającym go człowiekiem, lecz przyskakują trzej jego pomocnicy zastępując mu drogę, drażnią go, ranią i wściekłość jego na siebie zwracają, broniąc tym sposobem wysadzonego z konia towarzysza.

Podczas tej wzruszającej sceny, stanowiącej początek całego krwawego i strasznego widowiska, zajęta także została i ostatnia dotąd opróżniona loża. Jakiś nadzwyczaj elegancko i bogato ubrany don, w półpłaszczyku spiętym mocno świecącem brylantowem słońcem, wprowadził bladą, ale przytem nieporównanie piękną donnę na miejsce przy czerwonej balustradzie. Miał ciemne, nie ledwie jakieś dzikie włosy i oczy, tudzież ostre, szlachetne rysy; na czarownej, bladej twarzy jego towarzyszki osiadł wyraz

troski i tęsknoty, a w przysłonionych nieco ciemnemi powiekami jej oczach widać skrytą boleść, której minio pysznego stroju pokonać nie może. Piękną jej postać obejmuje czarna suknia, czarna powiewająca mantylla, czarne kanty i koronki zdobią jej głowę i piersi; ale z pomiędzy tej ciemności świecą drogie kamienie niezmiernej wartości i wielkości, a błyszczą takim ogniem, że oczy wszystkich widzów zwracają się na tę nieznaną parę, która zajęła miejsce w loży, podczas gdy dwaj strzelcy w bogato haftowanej liberji pozostają w jej głębi, gotowi na każde skinienie widocznie bardzo bogatej i znakomitej pary.

Podczas gdy książę de la Torre przez chwilę rozmawiał z admirałem Topetem o interesach służby, oczy królowej podobnie jak innych kobiet padły na ową lożę; Izabella z podziwieniem przypatrywała się czarno ubranej nieznajomej w świetnych drogich kamieniach i jej czarnookiemu towarzyszowi, którego dzikie rysy twarzy ciekawość wzbudzały; lecz w tej chwili wypadki na dole w arenie znowu zajęły całą uwagę publiczności, tak, że królowa oraz damy i panowie z jej orszaku pilnie i z całem przejęciem tylko Hiszpanom właściwem, tam spojrzeli.

Pikadorowie usunęli się z areny, zostawiając w niej samego wściekle tupiącego i po szerokiej przestrzeni rzucającego się byka.

Na ich miejsce niezmiernie szybko i z szyderczym śmiechem przybiega ośmiu bandryllerów; lud pozdrawia ich hucznemi oklaskami. Walka ich czyli heca ze wściekłem zwierzęciem jest jeszcze niebezpieczniejsza, bo

nie mają pod sobą koni i są bezbronni.

Atletyczna postać ulubionego Cucharesa wkrótce występuje naprzód. On to zawsze z szaloną przerażenie wzbudzającą śmiałością zarzuca na kark byka najwięcej bandrylów. Jego towarzysze ustawiają się parami, tak aby wściekle ryczący byk na wszystkich czterech stronach nagle mógł postrzedz nowego nieprzyjaciela — przewraca on ogień ciskające oczy — ale nie lękający się śmierci bandryllerowie nie czekają aż na nich uderzy, dwóch z pomiędzy nich zbliża się do rozdrażnionego zwierzęcia i ciskają mu chorągiewki na szeroki grzbiet, a ich haczyki czepiają się jego sierści i mięsa. Potwór czuje ból, a nie wie, skąd to pochodzi. Kiedy się ku tym pierwszym napastnikom zwraca, z podziwienia godną zręcznością ścigają go dwaj najbliżsi bandryllerowie i ciskają mu na kark swoje laski. Byk wstrząsa się, ryje ziemię racicami, i zrozpaczony rzuca się to na tego to na owego napastnika, ale ci są zręczniejsi niż silne niezgrabne zwierzę.

Wszystkie spojrzenia zwrócone są na tę wzruszającą scenę — z wytężoną uwagą niezliczeni widzowie śledzą wszelkie poruszenia walczących stron po szerokim, okrągłym amfiteatrze — jest to bowiem straszna walka na życie lub śmierć, gdyż jeżeliby zwierzę dostało się do przeciwnika, ten byłby zgubiony! Grobowa cisza panuje w rozległem kolizeum; wtem nagle daje się słyszeć krzyk przeraźliwy i przejmujący. Co to zaszło? Skąd pochodzi ten krzyk? Czy odnosi się on do mocno w tej chwili zagrożonego Cucharesa, który byka do siebie dopuści?

Krzyk wyszedł z jednej loży, wydała go blada, czarno

ubrana donna, gdy jej spojrzenie padło na królewską lożę.

Ale odległość jednej strony od drugiej była za daleka, i szalenie śmiały Cuchares tylko co w karku byka utkwił swą laskę, na której końcu zawieszony był sztuczny ogień iskrami i płomieniem palący, kolący zwierzę i pobudzający je do ślepej wściekłości. Z dzikim szyderczym śmiechem zręczni bandryllerowie wstrzymują je to tu, to ówdzie, a prawie po ziemi ryjące rogi, po za któremi powiewają drażniące chorągiewki, tylko co nie porzną kurtek igrających ze śmiercią.

Huczne oklaski wynagrodziły tę przerażającą scenę, ale spojrzenia królowej nie zwracały się już na okropne widowisko. Odkąd czarna donna pojawiła się w przeciwległej loży, Izabella ciągle wpatrywała się w nią i jej towarzysza — widziała, że piękna blada nieznajoma krzyknęła spojrzawszy w królewską lożę, i ciekawa była dowiedzieć się, kto jest ta donna w żałobie, w tak kosztowne brylanty przybrana.

— Mości-książę, rzekła do Serrany, który tak długo uważnie przypatrywał się widowisku, i nie zważał na zachowanie się, okrzyki i ruchy widzów: mości książę, kto to może być ta piękna, nieznajoma donna, cała w czerni siedząca obok tego dona widocznie do najwyższej grandezzy należącego? Czyli nie widzisz rzeczywiście pięknego tu zwróconego oblicza? Czyliż nie widzisz prawie oślepiająco świecącego stroju tej pary?

Książę de la Torre szukając powiódł okiem po lożach, aby udzielić królowej wiadomości, w razie gdyby znał wskazane osoby.

Nagle wzrok jego padł na bladą donnę w czerni, spojrzeniem go przyzywającą — Serrano zadrżał. — „To Henryka!“ — szepnął w najwyższem zdziwieniu — wprawdzie półgłosem i mimowoli, ale tak, że również zdziwiona królowa usłyszała go.

— Jakto! mości książę znasz tę donnę? Serrano czuł, że chwieje się — schwycił za poręcz przedzielającą go od królowej, niecierpliwie błyszczącem okiem go przeszywającej.

— Książę bledniesz — co to jest? co to pana tak głęboko wzrusza? Mówże przecie mości książę! Znasz tę czarną donnę, a jesteśmy bardzo ciekawi dowiedzieć się, kto ona jest?

— W istocie znam tę donnę, szepnął Serrano, w tej chwili najwyższego wzruszenia na słowa zaledwie zdobyć się mogący. Kiedyś dawniej...

— Jednak mimo tego dawniej, widok tej donny bardzo pana wzrusza, bo drżysz — i jeżeli nas wzrok nie myli, owa nieznajoma, którą nazywasz Henryką, jest także mocno wzruszona. Spojrzyj pan tylko, jak niespokojnie i pożądliwie donna ta patrzy?

Te słowa królowej z powodu licznych obecnych z cicha wymówione, przerwane zostały w tej chwili hucznym odgłosem trąb, zapowiadającym wystąpienie matadora na opróżnioną arenę, z której bandryllerowie wyszli, zostawiając samego byka, w różne strony rzucającego się.

Otworzyły się drzwi — na placu boju ukazał się Pucheta, ulubieniec ludu, powitany nieustającemi okrzykami — imponujący przedstawiał widok, gdy dumnie ukłoniwszy

się, z błyszczącą szpadą w prawej, a czerwoną mantyllą w lewej ręce, pewnym krokiem wszedł na arenę, zaledwie racząc spojrzeć na wściekłego byka.

Ta pewność wobec zagrażającego mu niebezpieczeństwa śmierci, ta spokojność na skrwawionym krwią placu boju, po którym rzucał się do szaleństwa rozdrażniony potwór, nieopisany wpływ wywarła na umysły Hiszpanów — nieskończone wiwaty. oklaski przekonały matadora o nieograniczonej łasce ludu. Promieniejący też radością kłaniał się na wszystkie strony rozległego amfiteatru.

Królowa zawsze jeszcze patrzała w lożę, w której siedziała Henryka obok Azza. Nakoniec szukająca Henryka, którą syn króla cyganów trzymał prawie jak na uwięzi, znalazła od tak dawna ze śmiertelną trwogą wyglądanego Franciszka, który naprzeciw niej stał w królewskiej loży — Izabella mówiła z nim o niej — o tem wszystkiem Henryka nie myślała — bo miała tylko jedną myśl, jedno życzenie: dostać się do ukochanego i znowu go zobaczyć!

Franciszek także zapewne ją poznał, chciał więc przedstawić się Azzowi i czekał, aż po skończeniu walki będzie mógł dostać się do niego.

Książę Rianzares, wielki wielbiciel tego rodzaju widowisk, zeszedł był do stajen areny, dla rozmówienia się z pikadorami i przypatrzenia ich dzielnym koniom. Serrano stał ciągle za fotelem królowej, dręczonej niezmierną ciekawością dowiedzenia się, kto był ten obcy i w jakim stosunku jego towarzyszka zostawała z gorąco przez nią ukochanym. Bądź co bądź pragnęła w tym względzie

jakiejś pewności!

Franciszek Serrano spojrzał na Henrykę; jej miłe witające, tęsknoty pełne oko spotkało się z jego okiem; widział znowu jej piękne, niegdyś tyle uwielbione oblicze, na którem miłość jej dla niego tysiącznemi oznakami była wypisana! — Franciszek uczuł w sobie ciężki wyrzut, musiał widzieć znowu Henrykę i swoje dziecię, i choćby życiem przypłacić, musiał mówić z kochanką, która niegdyś wszystkiem była dla niego!

Ale Izabella — i jej miłość dla niego...

Książę de la Torre, który z łaski królowej stanął na wysokości wieku, czuł, jak jest biednym przy całej świetności, kiedy się musi strzedz objawienia uczuć, kiedy musi zdradzać Henrykę, by nie utracić względów królowej.

Matador Pucheta wszedł na arenę; byk oślepiony bólem i wściekłością, rzucał się to tu, to tam, rogami rył piasek coraz bardziej drażniony wiejącemi mu w oczy i uszy chorągiewkami. Nagle wyprostował się, postrzegł Puchetę idącego z czerwoną powiewającą mantyllą, — czerwona inaterja wabiła go — matador powiewał nią, a rozgniewany byk pośpieszył naprzeciw wprawnemu i zdecydowanemu szermierzowi.

Pucheta spokojnie dozwolił nacierać wściekłemu — z zimną krwią nastawił naprzeciw niemu ostrą szpadę, na którą byk ślepo wpadł i powalił się, matador dokonał swojego wielkiego czynu, tłumy przyklasnęły mu okrzykiem, i z pełnym oczekiwania uśmiechem wyglądały drugiej komiczniej szej części widowiska, walki z Emboladem, to jest bykiem na którego rogach

przymocowane były kule, i w której to walce mógł wziąć udział każdy chcący dostać silne uderzenie.

Ten drugi byk ofiarowany był ludowi.

Królowa powstała — uważnie pilnowała wszelkich ruchów, a nawet spojrzeń Serrany.

Powzięła myśl, że owa nieznana piękna donna, którą Franciszek mimowolnie nazwał Henryką, była mu miłą, że jest rywalką jej w miłości — i myśl ta niepokoiła królową!

Margrabina de Beville zbliżyła się do niej, aby jej podać mantyllę i być pomocną.

— Margrabino, poszepnęła Izabella śpiesznie i poważnie: czy masz tu obok kogo zaufanego?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani, Don Olozagę! cicho odpowiedziała Paulina.

— Jeżeli zupełnie na nim polegać możesz, poleć mu, aby się udał za tą nieznajomą z owej loży naprzeciwko, i aby się wywiedział kto ona, kto jej towarzysz? Wielce mi ta wiadomość potrzebna, margrabino!

— Śpieszę spełnić rozkaz mojej królowej! z cicha odpowiedziała Paulina, poprawiając mantyllę mocno rozdrażnionej królowej.

Marja Krystyna powstała, a małżonek królowej musiał również pomyśleć o poruszeniu się, chociaż miał widoczną ochotę pozostać do końca widowiska.

— Mój szanowny małżonku, z przymileniem rzekła Izabella do małego pana: zapewne będzie wam przyjemnie odprowadzić naszą dostojną matkę, bo książę Rianzares zostający w pobliżu areny, ¡zupełnie o nas zapomina. My sami zaś prosimy księcia de la Torre o ramię! dodała,

zwracając się do Serrany, który się nie spodziewał tej przeszkody, a jednak nie mógł niczem dać poznać, że drżał z niecierpliwości dostania się do spoglądającej ku niemu Henryki.

Król podał rękę Marji Krystynie — Izabella z tryumfującym uśmiechem oparła swoją na ramieniu księcia de la Torre.

Przy wyjściu Franciszek znalazł jeszcze ryle czasu, że skinął na Prima.

— Zaklinam cię na wszystko najświętsze, rzekł mu prawie do ucha: dowiedz się gdzie mieszka Henryka z nieznajomym donem — właśnie tam naprzeciwko w loży ona powstaje, pragnąc się dostać do mnie.

— Czarna donna?..

— To Henryka! Idź za nią, muszę wiedzieć gdzie przebywa, gdzie ją znaleźć mogę!

— Książę — jesteś dzisiaj bardzo nieuważnym kawalerem, rzekła królowa szczególnie nadąwszy usta; czy to ta czarna donna taką w was zmianę wywołała?

Podczas gdy margrabina pokazała Don Olozadze szybko oddalającą się Henrykę, i prosiła aby się koniecznie za nią udał, generał Prim z drugiej strony przeciskał się za nieznajomą parą.

Książę Rianzares oczekiwał na małżonkę przy wyjściu z cyrku, co niezmiernie uradowało Serranę, bo widząc, że król zbliża się do swojej żony, spodziewał się być wolnym. Chciał odprowadzić do powozu Izabellę i małego Franciszka z Assyżu, a potem pośpieszyć za przyjacielem, aby nareszcie — zobaczyć Henrykę i swoje dziecię!

Ekwipaż zajechał — Izabella wsiadła doń — król za nią — Serrano ukłonił się.

— Prosimy księcia, by jechał z nami! rzekła królowa tak stanowczo, że nie można było na to zaproszenie dać żadnej odpowiedzi.

Franciszek Serrano musiał przyjąć wysoki zaszczyt powracania do zaniku w powozie królewskiej pary — Franciszek Serrano dla tego zaszczytu musiał zaniechać napełniającej go nowo odżywającą błogością nadziei oglądania Henryki — o której w wirze szczęścia i sławy prawie zapomniał — Henryki, którą królowa na drugi plan odsunęła...

Henryka torowała sobie drogę przez tłum, aby się dostać do swojego Franciszka — nakoniec widziała go już tylko o kilka kroków od siebie — jeszcze chwila a dosięgnie upragnionego — mocno bijącem sercem wyciąga już swoje ramiona ku niemu, pragnąc go uściskać — uśmiechając się z rozkoszy, widzi się nakoniec wolną od wszelkiej troski...

W tem Franciszek wsiada do królewskiego ekwipażu, woła — lecz on jej nie słyszy, bo powóz ruszył niepowstrzymanie pędem strzały.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXVI.

LABIRYNT.

Niespokojność księcia de la Torre nie uszła baczności królowej; to też przeszywała go głęboko przejmującym wzrokiem kobiety niedowierzającej kochankowi.

Jeszcze jednak Izabella nie wierzyła w ściślejszy stosunek Franciszka z ową piękną, nieznaną donną, którą dzisiaj po raz pierwszy widziała; łamała sobie głowę, nad odgadnięciem kim ona może być i jakim sposobem poznał ją Franciszek — przecież miała wkrótce wszystkiego się dowiedzieć, bo markiza wyprawiła zaufanego, który miał się udać za nieznajomą parą. Lecz gorącokrwistą królowę bardziej jeszcze niepokoiła okoliczność, że owa Henryka ukazała się w koliseum w towarzystwie bogatego dona, który jej nie spuszczał z oka i wpatrywał się w nią wzrokiem gorącej miłości.

Nakoniec po licznych w drodze powitaniach uradowanego ludu, i po bardzo skąpej rozmowie, ku większej radości Serrany, ekwipaż zajechał pod portyk zamkowy — król poprowadził małżonkę do jej pokojów — Serrano ujrzał się nakoniec uwolnionym z więzów, w ostatnich chwilach tak srodze go krępujących — ukłonił się — Izabella uśmiechnęła się pół przychylnie pół ironicznie, i spojrzawszy nań błyszczącem okiem, rzekła mu bardzo

zrozumiale:

— Spodziewamy się widzieć was wkrótce w innem usposobieniu — bo cierpieć rywalkę, albo nawet dopuszczać myśli o niej, to męczarnia dla każdej kobiety, ale daleko większa tortura dla królowej, która was z gorącą namiętnością przenosi nad swojego małżonka — pamiętajcie o tem!

Serrano ukłonił się; w tej chwili jednak myślał tylko o sposobie odszukania Henryki i swojego dziecka.

Pośpieszył do swojego mieszkania i ze wzrastającą niecierpliwością oczekiwał Prima, który miał mu przynieść upragnioną wiadomość.

O, jakże dręczące są chwile takiego oczekiwania! Izabella również niezmiernie wzruszona chodziła po salonie tu i tam — nakoniec dały się słyszeć czyjeś kroki — nakoniec margrabina Beville przyniosła z biciem serca oczekiwaną wiadomość.

— Najjaśniejsza Pani, szepnęła Paulina, mimo starań połączonych z niebezpieczeństwem życia, niepodobna było w takim tłumie ścigać nieznajomej pary!

— Więc należało kazać halabardzistom, aby ten szalony tłum rozpędzili gołemi pałaszami! Czyliż tak złych mamy przyjaciół i sługi, że nawet tak drobnego życzenia nie mogą zadowolić? Dorpawdy, markizo, obok takich dowodów złej usługi, zapominamy zupełnie, że jesteśmy królową Hiszpanji! Dla oszczędzenia odrażającego tłumu, na wiatr puszczono usilne żądanie królowej. Ha, ha, ha! markizo, nigdy bardziej nie przeświadczyliśmy się, że tylko na siebie samą liczyć możemy!

— Najjaśniejsza Pani raczy się gniewać, a jednak ja odpowiedzi wysłańca zmienić nie mogę. Don Olozaga jest to szlachcic wielce gorliwie służący waszej królewskiej mości.

— A jeszcze gorliwiej tobie, margrabino!

— Don, z narażeniem życia, śpieszył za odjeżdżającą nieznajomą parą, która wsiadła do przepysznego powozu, ciągnionego przez cztery nieporównanie piękne konie...

— Mniemamy prawie, że owa donna ma nietylko większe i lepsze konie jak nasza stajnia! z dosyć jawną wzgardą wyrzekła królowa.

— Ale nie mógł jej dopędzić, zauważył tylko że czarna blada donna usiłowała zbliżyć się do powozu waszej królewskiej mości, a gdy się jej z powodu cisnącego się tłumu nie udało, opuściła już wyciągnięte ramiona. Towarzysz wsadził ją wtedy do powozu, dwaj strzelcy zrobili mu miejsce, i nim Don Olozoga mógł się dostać tam, gdzie donna usiadła, już nieznajomej pary nie było widać.

Izabella była rozdrażniona — jej oczy świeciły bardziej ponuro, niżby po ich błękicie spodziewać się można było.

— Takie to są przywileje królowej, rzekła cierpko, że na innych polegać musi, a najgorętsze jej życzenia od ich humoru zależą. O!... i gwałtownie tupnęła nogą. Młoda królowa niezmiernie była rozgniewana; potem udała się do buduaru, zamknęła drzwi i portjery, i padła na fotel stojący przy oknie ocienionem kwiatami.

„Gdyby to była prawda, rzekła sama do siebie, gdyby kobieta, którą on nazwał Henryką, była jego kochanką!...“

Prim widocznie był szczęśliwy jak Olozaga — po

upływie kilku godzin, właśnie gdy półcień padał już na ulice stolicy, zapukał do mieszkania Serrany.

— Znalazłem, kochany przyjacielu! — zawołała radośnie.

— Mów — gdzie ona przebywa? — Niezwłocznie do niej muszę pośpieszyć! — zawołał Franciszek.

— Cierpliwości, wszystko to wymaga przedewszystkiem rozwagi i spokojności! A zatem naprzód... margrabina zaszczyciła tem samem zleceniem Olozagę, co ty mnie...

— Więc był posłany przez królową! — Niezawodnie — chociaż Olozaga razem ze mną przybył przed pałac krezusa, który zdaje się być opiekunem twojej Henryki, jednak w raporcie zdanym margrabiemu oświadczył, że jej nie znalazł! śmiejąc się wesoło powiedział Prim.

— Wybornie, a więc nikt ktoby jej mógł zagrażać nie wie o miejscu jej pobytu! Ale mówiłeś coś o jej opiekunie? Niezmiernie obawiam się, aby Henryka nie dostała się w ręce człowieka, który...

— Który co najmniej musi być jakimś wschodnim księciem. Tak, tak, mój przyjacielu ma pałac przy ulicy Granada, któryby ledwie książę de la Torre z takim przepychem i cudownym gustem urządzić zdołał!

Franciszek Serrano osłupiał — po raz pierwszy wpadł na myśl, że Henryka, ów czarownic piękny obraz jego pierwszej miłości, otoczona całym urokiem przeszłości, uwiedziona podszeptami innego człowieka, poszła za nim. O czem nigdy nie pomyślał, czego nigdy nie przypuszczał, o czem zapomniał goniąc za szczęściem i sławą, to stanęło teraz przed nim w straszliwej możliwości. Henryka mogła

pójść za innym, mogła innego wysłuchać i wybrać — podobnie jak on! Czyliż dzisiaj była jeszcze piękniejszą i w swojej powadze jeszcze bardziej ujmującą niż przedtem!

— Byłeś w pałacu? — zapytał wahając się.

— Nie, widziałem tylko jak przed pałacem, wraz z towarzyszącym jej mężczyzną wysiadła, i jak oboje znikli.

— A potem...

— Potem zapytałem strzelca, kto mieszka w pałacu?

— I cóż ci powiedział? Widzisz, że ginę z niecierpliwości i obawy! nalegał Serrano.

— Pałac należy do Don Azza, grzecznie odpowiedział mi strzelec; mieszka w nim sam z Donną Henryką.

— Don Azzo? — szepnął zamyślony Franciszek; nigdy takiego imienia nie słyszałem!

— Wszak powiadają, że pierwotni królowie cyganów to imię nosili? Mnie się zdaje, że kiedyś o tem słyszałem! dopomógł Prim.

— Dziękuję, mój drogi Juanie, muszę się udać na ulicę Grenada!

— Pozwól, żebym ci towarzyszył!

Serranno namyślał się.

— To ci się zdaje nieprzyjemnem, ja zaś poczytuję sobie za obowiązek! Nie turbuj się, przeszkadzać ci ani wstrzymywać nie będę, chcę. być tylko blisko ciebie!

— Dlaczego? Uważam, że wiesz coś więcej odemnie.

— Przeczucie mówi mi, żebym cię wieczorem nie puszczał samego do tego dziwnego pałacu, do którego prowadzi czworo czy pięcioro drzwi — mówił Prim.

— Mój kochany towarzyszu, coraz bardziej czuję, że

pcwinienieś mu zastąpić miejsce brata, który swoją czarną duszę w owej oberży w Sierra-Guadaramie wyzionął; pozwól niech cię uściskam, mój Juanie. A teraz śpieszmy na ulicę Granada; bo wiedz, że owa piękna, niegdyś tak kwitnąca Henryka, była moją pierwszą miłością, że miłość ta budzi się do nowego życia po długim śnie śmiertelnym, od czasu jak ją znowu ujrzałem! Weź to okrycie, a to drugie będzie dla mnie i ruszajmy!

Franciszk Serrano i Prim wyszli z zamku i wśród tłumu ludzi udali się na odległą ulicę Granada, na której wznosiły się liczne i wspaniałe nowe gmachy.

Nagle wystąpiła przebiegając przed nimi jakaś postać, owinięta czarnym płaszczem, i wbiegłszy pod cień domów znikła. Prim zdziwiony patrzał za przesuwającym się, i na jego widok ozwało się w nim jakieś szczególne wspomnienie, z którego jednak zaraz nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie już spotkał tę pochyloną postać. Nic więc nie mówił Serranie, który spojrzenia swoje skierował ku wysokim oświetlonym oknom i balkonom domów, w których widać było postaci kobiet, przesuwające się wśród kwitnących granatów.

Dwaj przyjaciele zbliżyli się do rozległego, wysokiego, wspaniałego gmachu, który był najpiękniejszym z pomiędzy wszystkich innych na tej ulicy przez grandezzę zamieszkanych.

Sześć potężnych podwójnych filarów z białego marmuru, dźwigało szeroki, zwrotnikowemi roślinami zastawiony i ocieniony balkon. Pomiędzy temi sześciu filarami, schody z ozdobnie ułożonej mozajki wiodły do pięciorga drzwi na

górze, jakby z przepalonego kruszcu wyrobionych. Przez otwory widziano w pierwszych drzwiach przecudny pawilon ogrodowy, w drugich ciemną noc, przez trzecie różnokolorowemi szybami oświetlony przysionek, otoczony kolumnowemi chodnikami, w środku którego z olbrzymiej czary marmurowej tryskała fontanna, rzucając różnobarwne kule, już to wysoko w górę, wreszcie opadając i rozpryskując się w milionowych kroplach rosy. Czwarte drzwi wiodły znowu do nieprzejrzanej ciemnicy, a za ostatniemi widać było błękitne powietrze, wyglądające jak bezchmurne niebo.

Był to pałac księcia bez szlacheckiego dyplomu i korony, króla bez kraju, ale niezmiernie bogatego, jedynego dziedzica swoich niegdyś możnych przodków z dalekiego państwa na Wschodzie.

Serrano i Prim zbliżyli się do przecudnego domu, którego wysokie okna w części były oświetlone; między zwrotnikowymi roślinami i palmami paliły się przyćmione lampy.

Zanim Don Juan mógł powiedzieć przyjacielowi, że przed tym właśnie gmachem dzisiaj wysiadła poszukiwana, zawołał nagle Serrano, patrząc w jedno z wysokich okien i dostrzegając w niem czarno ubraną postać kobiety:

— Henryka! tam stoi moja Henryka! patrzy, czy zawsze ku niej tęsknię!

Prim spojrzał także w górę, i spostrzegł stojącą w oknie bladą, z marzącem wejrzeniem Henrykę.

— Przez które drzwi widziałeś ich wchodzących? szybko zapytał Franciszek.

Prim namyślał się, potem zdawało mu się, że otworzyły się pierwsze, czy też środkowe drzwi; wreszcie musiał wyznać, że sam nie wie które.

W tej chwili Henryka dostrzegła obu okrytych płaszczami donnów. Franciszek wyciągnął ku niej ręce, ona go poznała, skinęła...

Nie czekając, nie tracąc ani chwili czasu, Serrano rzucił się do drzwi środkowych, prowadzących do matowo oświetlonej, kolumnowemi chodnikami otoczonej rotundy; otworzyły się łatwo, niecierpliwy stanął w chłodnej, przez wytryskającą fontannę orzeźwiająco owianej przestrzeni; szedł śpiesznie do drzwi po sztucznej mozaikowej podłodze, nie zważając na kosztowne porfirowej kolumny, w niezliczonych szeregach otaczające rotundę.

Drzwi zamknęły się za nim bez szmeru; znajdował się sam w rozległej przestrzeni, po której ponuro rozlegały się jego kroki, a nie pojawiał się żaden służący, żaden margrabia, któryby go mógł przeprowadzić, chociaż stukał swoim pałaszem.

Powodowany tęsknotą i pośpiechem obejrzał się w koło, i dopiero teraz spostrzegł, że pomiędzy filarami wszędzie rozmaite drogi wiodą do wnętrza pałacu.

Serrano zastanowił się, nie wiedział, dokąd się udać.

Nakoniec ruszył przejściem na wprost niego będącem, które zapewne musiało prowadzić na wyższe piętro. Dążył przez nie, a nie uważał, że ten korytarz zaginając się wielkim łukiem, prowadzi go do chaosu innych korytarzy; wybrał więc szybko ten, który uważał za najpewniejszy i nareszcie doszedł do schodów! Spodziewał się teraz, że się

dostanie na górę, ale nagle to nowe przejście zaprowadziło go do przecudnego pawilonu ogrodowego, do którego można się było dostać przez pierwsze drzwi.

Zdziwiony wspaniałością takiego otoczenia, Serrano zatrzymał się. Krzaki cienistych palm i kwitnących drzew migdałowych, groty tu pachnącemi różami i bujnym jaśminem, tam wysokiemi, gęstemi płotami aloesu lub niskiemi palmami daktylowemi zapełnione, różnobarwne śpiewające ptaki w oświetlonym jak za dnia ogrodzie, wszystko teraz dopiero przekonało zdziwionego, że się znajduje w zaczarowanej części domu, przykrytej sklepionym dachem.

Zdawało mu się, że w głębi grot są wyjścia, śpiesznie zatem przeszedł obok krzaków i drzew do jednej ze sztucznie urządzonych kamiennych altan, ale nigdzie nie znalazł człowieka na ławkach i krzesłach; dostał się do jakiegoś wyjścia z groty, ale znalazł się znowu na korytarzu, który zakręcając się, zaprowadził go do innych przejść; wreszcie przez nie, już zmęczony, dostał się znowu do rotundy!

Przez chwilę stał i namyślał się, potem postanowił znowu szukać schodów wiodących na wyższe piętra, które gdzieś musiały istnieć. Wybrał inny kierunek między kolumnami i ruszył dalej! Znowu trafił na jakieś stopnie, i jeszcze raz zawiódł się, bez tchu zbiegł nadół i zrobiwszy kilka kroków znalazł się w rozległej przestrzeni napełnionej niebieskiem powietrzem; usiłował wzrokiem przeniknąć cudowną, nęcącą barwę, która go otaczała; zdyszały przebiegał po niej, trafił na zimny kamień, mający

podobnież niebieską barwę i święcący jak matowy kryształ; obejrzał się, wszędzie gdzie padło jego oko, było błękitne niebo, a nawet droga, po której szedł, była zakryta!

Serrano czuł, że jakiś dreszcz przebiega po jego rozgrzanych członkach; mniemał, że marzy; zdało mu się, że jakieś piękne zwodnicze mamidło przeniosło go do jakiegoś labiryntu, w którym drogi nie znajdzie, w którym szukał, ale sam siebie zgubił.

— Henryko! Czyś to ty rzeczywiście była, coś mi się ukazała? A więc daj mi znak jaki! zawołał tak głośno, że słowa jego z hukiem odbiły się od niebiesko świecących ścian.

Żadnej odpowiedzi.

Po utrudzających poszukiwaniach, wynalazł nakoniec przejście, którem zdawało mu się, że wszedł i chciał teraz powrócić do kolumnowej rotundy, aby stamtąd dostać się na zewnątrz domu.

Franciszek Serrano kroczył przez coraz to nowe przejścia, potem znowu przez te same; nie znalazł wcale owych kolumn. Nakoniec przez jakieś ciągle w koło obracające się drzwi, dostał się do ciemnej przestrzeni, macał po ścianach; nagle usłyszał jakiś głos, szepczący, który zachwiał nim w pośród otaczającej go nocy. Stanął nasłuchując: musiał się zapewne mylić, bo jakżeby ów okrutnik, o którym wiedział że umarł, mógł się ukazać znowu tutaj, gdzie on spodziewał się zbliżyć do swojej Henryki?

Franciszek Serrano zwątpił o własnych zmysłach; mniemał, że dostał się do jakiegoś zaczarowanego pałacu,

w którym rozmaitego rodzaju strachy broniły mu przystępu do tak blisko przebywającej kochanki!

I w istocie był to przecudny pałac, wykonany przez słynnego budowniczego Madrytu jako próba jego sztuki. Miał on swojemi salonami, przejściami, rotundami, ogrodem, naśladować ów bajeczny labirynt na wyspie Krecie; udało się też budowniczemu utworzyć dzieło, jakiemu pod względem bajeczności, przepychu, zręczności, wyrachowania i zestawienia, w żadnej części świata nie ma podobnego.

Miał on nadzieję, że ten cudowny pałac nabędzie na własność młody król albo książę Montpensier; bo rzeczywiście, aby go posiadać, potrzeba było mieć monarsze bogactwa.

Wielcy panowie małżonkom swoim robili podobne ślubne podarki, ale zamiast nich znalazł się nakoniec szczególny cudzoziemiec, który gdy mu ten pałac przypadł do gustu i smaku, kupił go od budowniczego i zapłacił zań czerwonem złotem i drogiemi kamieniami.

Tym krezusem był Azzo, zajął on pałac wraz z czarno ubraną damą i nieliczną służbą dworską.

Trudności, jakie nastręczało każdemu przychodniowi wejście i wyjście z tego pałacu, były dla młodego krezusa rzeczą bardzo pożądaną; tym sposobem bowiem, niepowołani nagle przeszkodzić mu nie mogli, a przytem pewien był, że Henryka, której strzegł jak oka w głowie, niespodzianie nie może wyjść z pałacu.

Otoczył on ukochaną książęcym przepychem, przewidywał najmniejsze jej żądanie, i miał tylko jedyną

myśl, jedyną nadzieję: że z czasem ją dla siebie pozyska i owego Franciszka z jej wspomnień wymaże.

Ale nadzieje Azza były daremne!

Henryka gardziła wszelkim przepychem. Ciążyło jej złote więzienie w pałacu, lecz się pocieszała tem, że ją oko Franciszka wyśledzi, nosiła czarne suknie, bo dusza jej była w żałobie, nietylko po utraconym kochanku, ale po jego i jej dziecku.

Liczna służba i pokojówki oczekiwały na jej rozkazy, Azzo zbliżał się do niej jedynie z dowodami miłości i wzruszającej dobroci; ale ona ciągle przejęta była żalem i boleścią i codziennie tylko pytała:

— Czy znalazłeś mojego Franciszka?

Azzo zawsze to samo odpowiadał:

— Zapomnij o nim... wysłuchaj mnie!

Widzieliśmy, że raz w przejeździć po ulicach Madrytu, Aja, i Józef stanęli tuż przy ich powozie, że doszedł ich szyderczy, tryumfujący śmiech, a Henryka na widok okrutnika przytuliła się do Azza.

Później czyhający Józef, niepostrzeżenie pod zasłoną nocy, wciskał się często do pałacu i nakoniec wynalazł jedno z wejść, które prowadzić musiało przez labirynt do mieszkania pożądanej. Jeżeliby nie zdołaj jej żywej dostać w moc swoją, to ta, która go odrzuciła, która nim wzgardziła, powinna była umrzeć z jego ręki... umrzeć także musiał znienawidzony, który zwał się jego bratem, a któremu wszelkie szczęście sprzyjało!

Nadszedł dzień walki byków. Azzo, nie przypuszczając aby tam: mogło nastąpić spotkanie, zrobił niespodziankę

swojej pięknej niewolnicy i wynajął lożę, a Henryka z radością pośpieszyła na widowisko, bo głos wewnętrzny mówił jej, że tam znajdzie swe szczęście.

Dlatego oczy jej błądząc szukały po rozległej, ludźmi napełnionej przestrzeni, aż nakoniec z głośnym okrzykiem radości w jednej z lóż postrzegła tak długo poszukiwanego... Rozkosz napełniła jej duszę, ożywiła ją nowa nadzeja i najchętniej byłaby pośpieszyła przycisnąć do wezbranego serca swojego ukochanego Franciszka, którego najgorętsze przysięgi do niej należały.

Lecz musiała czekać... musiała walczyć z dręczącym ją niepokojem, bo Azzo powiedział, że przed końcem widowiska Franciszek nie będzie mógł opuścić loży królowej i do niej się zbliżyć

Nakoniec wszyscy się podnieśli... a teraz już Azzo nie mógł powstrzymać dłużej gwałtownie z jaśniejącem okiem przeciskającej się przez tłumy, i z trudnością za nią podążał... Nakoniec miała go przed sobą, nakoniec oko jej na nim spoczęło... a jednak znowu ją od niego odłączono!

Omal nie zemdlała. Ale Azzo pocieszał ją zapewnieniem, że Franciszek niezwłocznie postara się ją odszukać. Sam oświadczył, że skoro do pałacu wrócą i on ukochaną już będzie miał znowu w złotem więzieniu, to uda się do zamku i powie mu gdzie Henryka przebywa. Ale w duszy jego powstał zamiar walczenia ze współzawodnikiem i zakończenia raz na zawsze sporu z piękną kobietą.

Nadszedł wieczór; wzruszona dobrocią Azza, bo nie myślała, że on ma zamiar poszukiwanego wezwać do walki,

stanęła u okna i oczekiwała pięknej godziny, w której ujrzy znowu ukochanego. W tem nagle spojrzawszy w dół na ciemnawo księżycem oświetloną ulicę, spostrzegła dwóch płaszczami okrytych donów, z których jeden spoglądał ku niej w górę.

„Mój Franciszek... to on!“ radośnie zawołały jej usta... wyciągał do niej ramiona, tęsknotą gnany, przybywał.

Jeszcze chwila, a mogła po tak długiem, strasznem rozłączeniu spocząć nakoniec w jego objęciach!

Nie mówiąc nic żadnej ze swych kobiet, żadnemu służącemu, czego pragnie, czego szuka, powoli wyszła ze swoich pokojów... śmiertelną trwogą gnana wypadała z jednego przejścia w drugie, bo Azzo zawsze ją tylko przez nie wśród ciemności przeprowadzał.

Wreszcie zatrzymała się i namyślała, w którym kierunku szła od tak dawna... tak, to musi być tutaj... bo przez ten korytarz szła z Azzem!... Pośpieszyła więc nim pragnąc dostać się do schodów... nadaremnie! W ciemnej otaczającej ją nocy rozpoznać nie mogła, i po labiryncie sal i przejść zawsze w to samo miejsce wracała, i znowu naglona nadzieją, wysilający i nowy śmiały bieg rozpoczynała.

Tęsknota gnała ją ze śmiertelną trwogą... Franciszek musiał już wejść do pałacu... Szukał jej jak ona jego! Pot wystąpił jej na czoło, serce biło gwałtownie, drżąc z niecierpliwości widziała bezwładność swoich usiłowań w dostaniu się na dół do ukochanego.

Jeszcze raz musiała wydobyć ostatnie siły i w ciemności szukać skrytego wyjścia z tego strasznego labiryntu...

tęsknota dodawała jej odwagi, wołała:

„Muszę cię znaleźć albo sama zginę, mój Franciszku! Biegła w przeciwnym kierunku... nakoniec chwyciła za drzwi około siebie obracające się... i wydała radosny okrzyk, — nakoniec znalazła ukryte wyjście. Ostrożnie macając rękami, przestąpiła te drzwi, a potem powoli szła trzymając się ściany.

Nieprzenikniona ciemność otoczyła samotną.

Dziękowała Najświętszej Pannie, gdy się nakoniec dostała na pierwszy stopień schodów, prowadzących na dół, gdzie spodziewała się znaleźć Franciszka. Lewą ręką trzymała się ściany lub galeryj, a prawą wyciągnęła przed siebie, aby zstępując ze schodów o cośkolwiek się nie uderzyła.

Serce jej biło gwałtownie i głośno. Już się dostała na przedział ciemnych schodów... wtem nagle lodowaty dreszcz przebiegł po jej ciele. Macając ręką dotknęła jakiegoś przedmiotu i chwyciła za czyjąś głowę.

Przestrach wstrząsnął samotną... myślała, że padnie... mniemała, że się myli, bo któżby mógł się wcisnąć do labiryntu jej pałacu!

Henryka stała nieruchoma... ręka jej, nie mogła o tem wątpić, spoczęła na głowie człowieka.

Okropna chwila dla słabej kobiety, która pozbawiona pomocy, otoczona ciemnością, nagle ujrzała się naprzeciw niewidzialnego, skurczonego i przyczajonego nieprzyjaciela...

Czyżby Azzo miał tu strzedz jej kroków?

To była rzecz niemożliwa, bo we własnym pałacu nie

byłby się wciskał w kąty.

— Tyżeś to, piękna gołąbko? — wyrzekł z nagła jakiś głos, który przestraszył Henrykę i zachwiał nią aż do głębi... Nie mogła pojąć jakim sposobem nastąpiło to spotkanie... mniemała, że się stała igraszką jakiejś haniebnej pomyłki...

Ale głowa pod jej ręką wyprostowała się i podniosła...

Henryka czuła tylko, że traci zmysły, że jej członki drżą...

— Józef — zaledwie wyrzekła zesztywniałemi ustami, i samotna padła wśród ciemności bezprzytomna na ręce strasznego prześladowcy.

— A więc nakoniec jesteś moją, biała gołąbko, zupełnie moją!... O! ty wiesz dobrze jak cię pożądam!

W tej chwili usłyszano, że ktoś nadchodzi. Józef zatrzymał się na schodach ze swoim łupem... ktoś szedł korytarzem poniżej stopni.

— Kto tu przemówił? — zawołał głos z dołu.

Józef namyślał się, co mu wypada czynić; pragnął wiedzieć, kto był ten przeklęty, który mu w tej przyjaznej chwili przeszkadzał... zgrzytnął zębami i chciał rzecz do tego doprowadzić, by mógł w ciemności ujść od nadchodzącego, lecz ten wydobył pałasz i zawołał:

— Odpowiedzi żądam, kto tu dopiero przemówił?

Po twarzy Józefa przebiegł szatański uśmiech... nie mylił się: stojący na dole był to... jego brat!

— O co pytasz i czego chcesz, chłopcze? — zawołał nagle, złożył Henrykę na schodach, z wielką szybkością również wydobył szpadę i nie tracąc chwili, napadł na

nieprzyjaciela... Oto odpowiedź, ona ci wystarczy!

— Tu cię mieć pragnąłem, bracie mojej duszy! — silniejszym głosem zawołał Józef. — Odbierz teraz co ci się należy!

Franciszek Serrano wprawdzie odpierał jego razy, zasłaniając głowę, lecz tak się przeraził, że potrzebował chwili namysłu.

— Czy jesteś widmem, czy też wyrzutkiem piekła, który zabitemu Józefowi Serranie głos i jego krwawe postępowanie wydarłeś? — zawołał nakoniec Franciszek.

— Ja jestem ten sam Józef Serrano! Broń się, albo twoja ostatnia godzina wybiła. Jeden z nas umrzeć musi!

Franciszek mimowoli wymówił jakieś zaklęcie, bo jakkolwiek rzeczywiście nie wierzył w widma i zjawiska, w chwili jednak, gdy w pośród ciemności natarł nań zabity Józef, trwoga prawie go pozbawiła wszelkiej władzy.

— A więc jesteś żywym szatanem! — szepnął i szczęśliwym trafem odparł cięcie nieprzyjaciela.

Pałasze szczękały; walka odbywała się w ciemnem przejściu pałacu do otwierających się drzwi; raz po razie padał z wielką szybkością. Józef miotał przekleństwa.

— Ej, chłopcze! omal mnie nie zabiłeś. Masz wprawę, ale zapominasz, że walczysz z niezranionym — wołał Józef śmiejąc się wesoło.

Obaj cisnęli się ku światłu, raz jeden był bliskim drzwi, to znowu drugi; nakoniec Józef dostał się do jaśniejszego przejścia, pragnąc na wszelki przypadek dojść do rotundy. Franciszek ścigał go, pałasze ścierały się, razy z równą zręcznością zadawano i odpierano; na koniec dosięgali

ciemno oświetlonej rotundy.

I zręczne cięcie, jakiego tylko nikczemnicy używają dla zranienia mocniejszego przeciwnika, z szybkością błyskawicy padło na odwet szatańskiemu łotrowi, ale ręka jego z pałaszem zwisła, a Józef zręczny jak kot, odskoczył w tył i pośpieszył ku otwierającym się drzwiom; z tryumfującym uśmiechem na bladej od namiętności i zniszczonej twarzy, zbliżył się do schodów i schylił się pragnąc porwać upragnioną.

Wtem zaklął okropnie, Henryka znikła!... Rozwścieczony, ale obawiający się żeby go nie schwytano, wypadł przez rotundę, pragnąc dostać się na ulicę.

Prim widział uciekającego z wydobytym pałaszem; pełen więc trwogi pośpieszył do rotundy, gdzie między filarami znalazł ranionego w głowę i mocno krwią zbroczonego Franciszka.

— Przez Wszystkich Świętych! domysł mój sprawdził się!... Co to się stało, mój Franciszku?

Raniony powoli przyszedł do przytomności.

— Gdzie jest ten szatan Józef? On mnie prawie zabił!

Prim zdziwiony i stroskany spojrzał w twarz przyjaciela.

— Musisz się oprzeć na mnie, rzekł pomagając Franciszkowi; potem dodał ciszej: Przekleństwo! on ty malignie!

Z trudnością zdołał wyprowadzić z pałacu skrwawionego i prawie bezprzytomnego i przywołać jeden z dwukołowych fiakrów, którym przewiózł przyjaciela do zamku. Ku wielkiej jego radości, nie spotkali nikogo w drodze.

Prim zaniósł go na łóżko i pozostał przy nim, dopóki

niespokojny i o Józefie mówiący Franciszek nie zasnął.

Wtem nagle przed nadejściem nocy królowa przysłała po generał-kapitana, z którym w pilnej sprawie chciała pomówić.

Adjutant przyniósł widocznie mocno przerażonej Izabelli odpowiedź, że książę de la Torre jest raniony.

„Przecież książę podczas czterech ostatnich godzin nie był znowu w Burgosie?“ — rzekła chwilowo ostrym, lecz ciekawość i obawę zdradzającym tonem. — „Właśnie myśleliśmy dzisiaj o dekoracji dla walecznego księcia!“

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXVII.

IZABELLA I HENRYKA.

W jednym z apartamentów skrzydła kościelnego, które z apartamentami królowej połączone było bezpośrednim korytarzem mieszkała od kilku dni pobożna, i jak zapewniał ojciec Fulgenty, cudownie natchniona zakonnica, którą tenże gorąco zalecał łasce królewskiej.

Izabella, niezmiernie skłonna do wiary w rzeczy nadziemskie i pod wpływem przemowy ojca, kazała wyszukać mniemaną dotkniętą cudownemi cierpieniami, i wkrótce ofiarowała jej mieszkanie w gmachu przy kościele zamkowym, bo zjawienie się zakonnicy Rafaeli del Patrocinio wywarło na niej wpływ szczególny, lecz w każdym razie przychylny.

Towarzystwo dworskie głosiło, że pewnych nocy jakaś niepokonana siła owłada zakonnicą, która wtedy daje dziwne odpowiedzi na tajemnicze zapytania, że zatem ulega niepojętemu jasnowidzeniu i w tym stanie przepowiada przyszłość.

Ponieważ zaś wieść ta tylko pod sekretem przechodziła z ust do ust, więc się rozeszła tem prędzej.

I królowa dowiedziała się o tem; bardzo więc jej było na rękę doniesienie pobożnego ojca Fulgentego, że właśnie w nocy, gdy Franciszek Serrano tak niespodzianie został,

zraniony zakonnica Patrocinia usnęła snem magnetycznym. Nikt o tent nie wiedział; Izabella zatem zarzuciwszy na głowę i ramiona gęstą zasłonę, udała się za ojcem Fulgentym do mieszkania przy kościelnem skrzydle.

— Niechże Wasza Królewska Mość nie przestraszy się na widok siostry, która mimo swej pobożności, tyle cierpi! cicho powiedział spowiednik króla.

— Więc nieszczęśliwa cierpi rzeczywiście?

— Mocno, bardzo mocno, Najjaśniejsza Pani! Choroba jej nieuleczona, wraca w pewnych terminach, podkopuje i pochłania jej duszę. Zakonnica częstokroć z dziwną dokładnością przepowiada dzień i godzinę, w której napadnie ją znowu ten niepojęty sen.

— Mocno ubolewamy nad pobożną siostrą i mamy sobie za obowiązek starać się aby jej nie zbywało na niczem, co jej cierpienia ulżyć i przyjemność sprawić może! znajdujemy jednak że powierzchownie wygląda na silną i zdrową kobietę!

— To właśnie jest oznaką cudu. Najjaśniejsza Pani; ciało kwitnie, dusza trawi się!

— Szczególna rzecz szepnęła królowa wchodząc do przedpokoju zakonnicy.

— Racz Najjaśniejsza Pani pozwolić, abym ją przeprowadził, — rzekł mnich! i przesunął się na palcach do ciemno oświetlonego pokoju, którego posępną barwę podwyższało jeszcze ciemno błękitne obicie.

Na środku pokoju leżała w łożu, nie poruszając żadnym członkiem, w białem, długiem okryciu zakonnica Parrocinia. Ręce miała zakryte, spoczywające sztywnie

obok ciała wyciągniętego jak nieżywe. Blade jak marmur, piękne, pełne oblicze spoczywało na białych jedwabnych poduszkach, po których spływały czarne, długie włosy. Usta miała nieco otwarte, tak, iż można było widzieć końce pięknych zębów, ale nie dostrzegano ani tchu ani też podnoszenia się i opadania piersi; spoczywająca wyglądała tak zwodniczo, jakby na wieki zasnęła, że Izabella, którą jezuita przyprowadził do łoża zakonnicy, w pierwszej chwili cofnęła się i przelękła.

Poczem przezwyciężyła bojaźń i zbliżyła się do bladej zakonnicy, leżącej w pozornie śmiertelnem uśpieniu. Oczy miała na wpół otwarte, wzrok błędny, przysłoniony, tak że tylko białko widać było, a wzrok ten przerażał swoją nadziemskością.

— Siostro Rafaelo del Patrocinio, przemówił do niej ksiądz Fulgenty, stanąwszy z założonemi rękami u nóg leżącej: czy widzisz naszą najdostojniejszą królowę?

— Widzę nietylko królowę, stojącą przy mojej głowie, ale i wszystkich z nią związanych, rzekła zakonnica, jednotonnie jak kaznodzieja. Widzę króla, klęczącego w swojej modlitewni; widzę królowę matkę, która właśnie otwiera tajemne drzwi, przez które ma przyjść do niej książę Rianzares; widzę księcia de la Torre, który w tej chwili w domu swojej kochanki zostaje raniony...

Królowa zbladła: zatem dręcząca ją obawa sprawdziła się! Chciała jeszcze czegoś więcej dowiedzieć się od jasnowidzącej zakonnicy, skinęła więc na księdza, aby wyszedł do przedpokoju.

Fulgenty był posłuszny, ostrożnie wyszedł i zamknął

drzwi za sobą; mocno zaciekawiona Izabella pozostała sama z chytrą zakonnicą.

Hrabina genueńska, zemsty pragnąca Aja, zdrożną grała komedję!

Królowa przeszła na miejsce, z którego jezuita zadawał pytania jasnowidzącej.

— Jak się nazywa kochanka księcia de la Torre? spytała.

— Która? Będąca najbliżej jego serca, nazywa się Henryka!

Królowa zadrżała: ową zatem czarno ubraną nieznajomą kochał on goręcej i dawniej jak ją; tego było za wiele dla dumnego, pałającego serca Izabelli!

— I Franciszek Serrano był dzisiaj wieczorem u owej Henryki?

— Szukał w pałacu przy ulicy Granada, ale Don Azzo, teraźniejszy opiekun Henryki, postarał się, aby nikt nie mógł się do niej dostać — Franciszek Serrano nie znalazł kochanki, do której tak mocno tęskni!

Izabella uśmiechnęła się tryumfująco.

— Jakimże sposobem zawikłał się w walkę? spytała nakoniec.

— Na schodach pałacu spotkał się z trzecim kochankiem Henryki!

— „O wielce upragniona piękności!“ z pogardą szepnęła królowa; potem dodała głośno:

— Kiedyż Franciszek Serrano znowu ją zobaczy?

— Jutro wieczorem! Azzo wydali się ze swojego pałacu, a niecierpliwy książę znajdzie sposobność dostania się do upragnionej.

— Mówisz, że nikt obcy nie może się dostać do pałacu; powiedzże, jak tam wejść, aby się widzieć z Henryką? ze wzrastającą niecierpliwością spytała królowa.

— Pięć wejść ujrzysz przed sobą; trzy nęcą cię całym przepychem i pięknością, jakich tylko ręka ludzka dokonać mogła; tych trzech wejść unikaj, one cię na błędną drogę wprowadzą! Dwa inne są niezmiernie ciemne, okrywa je noc głęboka. By wejść na górę, wybierz wejście z prawej strony; weź z sobą światło; o godzinie dziesiątej wieczorem znajdziesz Don Serranę u Henryki!

— Wybornie! pomyślała Izabella; teraz brak mi tylko powodu dla dostania Henryki w moc moją; może mi i w tem dopomoże jasnowidząca!

Zakonnica ciągle leżała nieruchoma z nawpół przymkniętemi oczami.

— Od kiedy zna Franciszek Serrano ową Henrykę? wahając się zapytała rozdrażniona Izabella.

— Od czasów swojej młodości! jednotonnym głosem odpowiedziała zakonnica.

— Muszę ją dostać w moje ręce, chociażbym się na wszystko miała narazić! szepnęła w miłości swojej obrażona. Powiedzże mi jeszcze jedno!

— Byle prędko, bo pytania zawsze zadają mi ból; jest to zapowiedz uwolnienia mnie od oślepiających promieni światła, które mnie otaczają i wszystko przenikają.

Zaświeciły oczy Izabelli, wiedziała teraz jak najlepiej zadać pytanie jasnowidzącej, i nietylko pragnęła dowiedzieć się o wszystkiem, ale nadto cudowną jasnowidzącą wystawić na próbę, któraby zniszczyła

wszelką wątpliwość o jej niepojętej wiedzy.

— Kto oprócz Don Serrany i Henryki, jutro o dziesiątej wieczorem znajdować się będzie w pałacu przy ulicy Granda? spytała najmocniej zaciekawiona Izabella.

— Królowa, odpowiedziała jasnowidząca.

— A jakim sposobem królowa dostanie ową Henrykę w moc swoją?

— Pytaniem: gdzie Henryka podziała swoje i Don Franciszka Serrany dziecię?

Izabella gwałtownie krzyknęła, musiała się oprzeć, bo omal nie padła usłyszawszy tak niespodzianą odpowiedź; potem po zawsze czarownych rysach królowej przebiegł lodowaty uśmiech.

— Pytaniem: gdzie Henryka podziała swoje dziecię! powtórzyła, bo dowiedziawszy się o takim związku, imienia Franciszka Serrany nie mogła przecisnąć przez swoje usta; triumfowała, bo teraz już wiedziała wszystko, wszystko — bo więcej niż się spodziewała, niż się obawiała.

„Niewierny! szepnęła O! strasznie go ukarzę za to, że oszukał dwa serca kobiece...“

Królowa pośpieszyła do drzwi, które je ojciec Fulgenty otworzył z głębokim ukłonem. Izabella mocno okryła szyję i twarz, potem śmiałym krokiem wróciła do swoich apartamentów. Na twarzy jej jaśniało namiętne wzruszenie: tej samej nocy jeszcze powzięła pewne postanowienie i własnoręcznie napisała rozkazy na następny dzień i wieczór — młoda królowa w tej godzinie stała się starszą o lat kilka!

Gdyby była mogła jeszcze na chwilkę zajrzeć do

mieszkania przy kościele, w którem przebiegła kobieta oplątała ją w swoje sieci i moc!

Zakonnica Rafaela del Patroicnio, która tak długo leżała nieruchoma, która z wielką śmiałością i zręcznością odegrała rolę jasnowidzącej, powoli podniosła się na oświetlonym ciemnym błękitem łożu. Na jej pięknem marmurowem obliczu osiadł znowu ów szatański uśmiech, który ciągle jej czarna dusza odbijała na oślepiająco białej, wabiącej twarzy, ilekroć uznała swoją przewagę i odniosła świetne zwycięstwo.

Hrabina genueńska powstała; biała, szeroka zasłona spadała z jej plastycznie pięknego ciała, lekko odznaczając jego kształty; spojrzała po sobie z upodobaniem i zadowoleniem, a także i z ironją zdradzającą rysy jej zimiego, a jednak tak uwodząco pięknego oblicza, i mniemała, że przy tak boskich kształtach i zręcznem ich ukryciu, posiadała niezwyciężoną władzę, tembardziej teraz, gdy i królowę miała w swych rękach.

Zrzuciła okrycie, chciała się przekonać czy piękność jej nic nie straciła i czy jej wielbiciele mieli słuszność; piękna hrabina, przypatrzywszy się swoim kształtom, przyznać musiała, że gdyby była mężczyzną, dałaby się im w każdym razie uwieść i wzburzyć!

Ojciec Fulgenty, szedł po cichu i milcząc przypatrywał się temu przeglądowi ciała wspaniałej i pulchnej kobiety, więcej jak kiedykolwiek odkrytego — oczy księdza, jak później zobaczymy, niezmiernie skłonnego do zmysłowych uciech, zaświeciły jak dwa żarzące się węgle, i gdyby jeszcze chwilę dłużej potrwał ten łudzący widok, to

pobożny mnich zapominając o sobie, byłby się rzucił ku hrabinie, opętany namiętnością przebiegającą po wszystkich jego żyłach.

Nadzwyczaj dobrze obliczająca Aja, całkiem powstała z łóżka: biała, długa zasłona opadła zupełniej, a jasnowidząca, lodowato uśmiechnięta spojrzała na księdza, który stał blady i wzburzony.

— Zawołajcie mi szanowny bracie, do mojego gabinetu, dona w czarnym półpłaszczu z czerwoną brodą, rzekła; muszę jeszcze tej nocy z nim pomówić! Dziwicie się temu? O, nie sądźcie, mój pobożny bracie, aby między owym obcym, a mnie wielce usłużnym donem i mną, istniał jakiego rodzaju stosunek; wiecie dobrze, pobożny bracie, że Rafaela del Patrocinio przywdziała zasłonę zakonną i została waszą siostrą, wyrzekając się wszelkich światowych wpływów.

Ojciec Fulgenty znał władzę zakonnicy, uśmiechnął się dziko i zazdrośnie, na obliczu jego wyryte były wszelkie zbrodnie i grzechy, jakich się tylko człowiek dopuścić może.

— Oddajcie królowi, co królewskie! — rzekł do hrabiny, która zdawała się nie rozumieć tego żartu, lecz mu się ręką kłaniając zbliżyła się ku drzwiom wiodącym do jej gabinetu. Jeszcze raz obróciła się ku temu według niej bardzo wiele znaczącemu inkwizytorowi, i szepnęła mu, igrając błyszczącem okiem:

— Za sześć miesięcy przypada dzień świętego Franciszka, pobożny bracie; wtedy zobaczymy się w pawilonie Santa Madre!

— Upragniona nocy! z cicha odpowiedział ksiądz; biada mi, jeżeli cię nie będę mógł uściskać! Oszaleję, jeżeli mnie kto inny uprzedzi, a ja nie będę mógł moich ust zbliżyć do twoich, ty najpiękniejsza grzesznico!

Aja weszła do gabinetu i zamknęła drzwi za sobą. Pokój ten urządzony dla zakonnicy, mimo uderzającej w oczy prostoty mebli i obicia, zawsze jednak przyjemniejszy był od klasztornej celi.

Przy jednej ścianie stał klęcznik z pięknie rzeźbionego drzewa, a na nim krucyfiks z kości słoniowej, przy drugiej skromny stół do pisania z najpiękniejszego drzewa różowego, które całą przestrzeń przejmowało zapachem; w niszy tej ściany umieszczona była Najświętsza Panna z białego, niesplamionego marmuru, przed którą nieustannie gorzała mała lampa. Pod tą niszą na konsoli, w marmurowej miseczce znajdowała się święcona woda. Kilka krzeseł z czarnego, polerowanego drzewa dopełniało umeblowania gabinetu zakonnicy; lecz należy uważać, że buduar i sypialnia pięknej hrabiny, drzwiami i portjerą przedzielone od tak skromnego gabinetu, pod względem komfortu i wygody nie pozostawiały nic do życzenia, tak, iż mogły zaspokoić najwykwintniejszy smak króla, który wkrótce umiał znaleźć drogę do tego buduaru boskiej Julii.

Wchodząca pośpieszyła do stołu do pisania i szybko puściła pióro po papierze; a tak w tej chwili nietylko Izabella wydawała rozporządzenia i rozkazy, lecz i Aja przygotowywała się do dnia następnego.

W kilka minut później, wszedł do jej mieszkania prawie niesłyszany ów brat księcia de la Torre, będący narzędziem

hrabiny, ów straszny, rudobrody Józef, zezowaty o bladym, namiętnościami zniszczonym obliczu.

Aja nie zaszczyciła go powitaniem; miała ona powody do pogardzania tym Don Józefem, Serraną, do pogardzania tak mocnego, iż nawet ów szatan niewieści brzydził się djabelską przewrotnością i najokropniejszemi zbrodniami bestji, która się zwała bratem księcia de la Torre.

Ale hrabina genueńska potrzebowała jeszcze Don Józefa!

— Jakież polecenie ma jeszcze dla mnie niespokojna hrabina? — zapytał. Wszak przekonałem ją, że nieustannie stoję na czatach?

— Don Serrano, macie doręczyć potajemnie dwa listy, dwa tak ważne listy, że od nich zawisło moje i wasze życie; pierwszy jest do posiadacza cudownego pałacu ulicy Granda.

— Do Azza, którego kochacie?

— Drugi, do generał-kapitana Hiszpanji, księcia de la Torre.

— Do mojego dostojnego brata — ach! Zapewne macie takich ludzi, którzy punktualnie spełniają wasze rozkazy i umieją milczeć?

— Mam punktualnych i milczących jak ja sam! — rzekł Józef uniżenie, kłaniając się hrabinie.

— Dobrze! Liczę na was i na wasze usługi!

Podczas gdy rudobrody łotr odszedł i przy jednej z zamkowych latarń przeczytał lekko zapieczętowane listy, zamierzając je w domu zapieczętować na nowo, hrabina zadzwoniła na swojego zaufanego kamerdynera, na którego

we wszystkiem spuścić się mogła.

Przywołany, nie bardzo już młody człowiek z lisią twarzą, niezmiernie skromnie ubrany, wszedł i stał pokornie.

— Mam dla ciebie zlecenie Joachimie! — rzekła hrabina, odczytując mały pachnący liścik, który brzmiał następująco;

„Do Marji Nepardo. Powierzone wam pod imieniem Marji Henryki dziecię, przyślijcie mi przez oddawcę tego listu. Na znak rzetelności okaże wam wiadomy pierścień, który możecie zatrzymać za wasze trudy.“

Hrabina nad temi słowy wycisnęła pierścień na laku święcącym jak złoto i zapieczętowała list.

— Jutro skoro na ulicach Madrytu zapadnie wieczór, pójdziesz z tym listem i pierścieniem do Prado Bermudez. Tam na środku Manzanaresu jest samotna wyspa.

— Znam ją, JW. Pani!

— Na tej wyspie mieszka pustelnica, Marja Nepardowa. Popłyniesz do niej gondolą, ale nie prędzej objawisz moje polecenie, aż znajdziesz jednooką. Oddaj jej list i pierścień, a ona ci za to odda dziewczynę. Na tem dziecku wszystko mi zależy! Weźmiesz je w swoją opiekę i nietknięte oddasz w moje ręce. Od tego zawisło twoje życie!

— Przywiozę je JW, pani!

— Pamiętaj o pierścieniu, bez niego nie odbierzesz dziecięcia! — półgłosem, ale nalegająco mówiła Aja, oddając służącemu list i ważny klejnot.

— Jutro o godzinie dziesiątej wieczorem będę wraz z dzieckiem w ciemnym bocznym portyku kościoła Antocha! — również półgłosem odpowiedział i wyszedł.

— Dzięcię nie jest już teraz dosyć pewne u tej chciwej Nepardowej, bo za kilka dni mogą ofiarować znaczne pieniądze za wynalezienie dziecka, mówiła do siebie Aja. Jutro o tej godzinie nienawistna mi rywalka zostanie na zawsze pognębiona, a Azzo nie odrzuci tajemniczego zaproszenia! A tak nakoniec stanę u pożądanego celu!

Hrabina genueńska stanęła dumnie wyprostowana; obliczała korzyści, jakie jej przyniesie przedsięwzięte postępowanie, i jak czatujący wąż, który ofiarę wszelkiego rodzaju pragnie przynęcić przebiegami, z błyszczącem okiem rachowała, ile jeszcze upłynie czasu, który ją oddziela od jej ofiar. Powabów swoich i uwodzącej postaci użyła dla wzbudzenia miłości, burzliwie gorącej miłości gotowej na wszystko, a potem dla zużytkowania tego żaru z lodowatym chłodem na swoją korzyść.

Hrabina genueńska w swojem pięknem ciele wcale nie miała serca — a jednak z szaloną zmysłowością kochała swojego Azza! A jeżeli miała serce, to go jej nie dał Bóg, ale szatan!...

Franciszek Serrano po przepędzonej dosyć spokojnie nocy, z nadchodzącym porankiem uczuł się zdrowszym i silniejszym. Wstał, bo przed królową nie chciał się wydać ze swojem zranieniem.

Nie domyślała się, że Izabella wiedziała o wszystkiem! Uczuwszy znowu ból, zacisnął zęby, ubrał się w bogaty mundur i przyjmował przybyłych z raportami generałów i

ordynansów, jakby nigdy nic nie zaszło. Prim i Topete dowiadywali się o jego zdrowie i ucieszyli się widząc, że ma się dobrze; Olozaga wyjechał był w tajemniczą podróż, o której celu nie uprzedził swoich przyjaciół. W tej dyplomatycznej ostrożności skądinąd wielce zacnego dona, było tyle tajemnicy, że nie uważał wcale na opowiadanie Prima.

W tej chwili jeden z adjutantów księcia przyniósł mu list, którego ozdobny format kazał wnosić, że pochodzi od jakiejś donny. Topete swoim zwyczajem uśmiechnął się.

— Zapewne od kogoś wysoko położonego, szepnął przyjacielowi i dał mu czas do otworzenia listu.

Franciszek zdziwił się; czuł, że serce jego głośno bije, gdy niecierpliwie rozrywał zapewne jakieś ważne pismo, które brzmiało:

„Mój Franciszku! Przyjdź dzisiaj wieczorem o godzinie dziesiątej w objęcia twojej z gorącą tęsknotą oczekującej cię Henryki. Jestem więziona; jeżeli nie będziesz przy mnie o oznaczonym czasie, w którym będę sama, to raczej wolę umrzeć, aniżeli dłużej rozłączoną być z tobą!“

Ręka Franciszka, trzymającego tę oznakę miłości Henryki, drżała; czuł, że niesłusznie postąpił, gdy na widok bogatego towarzysza Henryki, obawiał się jej niewiary, której raczej nie ona, ale on się dopuścił, jak go o tem list przekonywał.

— Przyjdę, szepnął, przyjdę choćbym to życiem miał

przypłacić!

Książę de la Torre nie domyślał się, że list był sfałszowany.

Z dręczącym niepokojem oczekiwał wieczoru; z nigdy dotąd niewidzianym pośpiechem załatwił najpilniejsze interesa należące do generała-kapitana, i cały wzruszony zapomniał o ranie grożącej jeszcze niebezpieczeństwem, którą mu w pałacu Azza zadał brat jego przez Prima także poznany.

Obaj nie mogli pojąć, jakim sposobem ukazał się im nagle w cudownym pałacu ów mniemany umarły; ale Prim który teraz poznał dokładnie szelmostwa tego nędznika, wytłumaczył sobie ten zbieg okoliczności. Widział on, że odebrał list, i z nadejściem wieczoru, coś mu poszepnęło, aby ostrzegł przyjaciela, iżby nieprzygotowany nie narażał się na niebezpieczeństwo.

Franciszek podziękował troskliwemu Primowi, ale żadna przeszkoda, żadne ostrzeżenie, żadne niebezpieczeństwo nie mogło go powstrzymać od odwiedzin przy ulicy Granada.

— Ani ja, ani Topote, nie możemy ci towarzyszyć Franciszku, mówił Prim przewidując złe; dla tego miej się na ostrożności! Na polu bitwy jesteś wybornym rycerzem i bohaterem, ale przeciw politowania godnym zbójcom, którzy w ciemnych przejściach czyhają na ciebie, obronić się trudno!

— Dziękuję, mój drogi Juanie! Ale nie wyrzekniesz ani słowa więcej, skoro ci powiem, że list ten pochodzi od Henryki, — jęczącej w więźieniu! Dzisiaj wieczorem o

godzinie dziesiątej śpieszę do niej, aby ją uspokoić, aby nakoniec posiadać znowu ukochaną, mówił Serrano z całym zapałem głosu. Osądź więc co mną powoduje i co mną porusza. Zaledwie doczekać się mogę!

— Wezwani jesteśmy do królowej, i dla tego nie możemy być blisko ciebie! nie bez namysłu rzekł Prim.

— Wezwani do królowej? zapytał zdziwiony Franciszek, i wnet dodał szybko: Dobrze, że mnie także nie wezwała, bo — na wszystkich świętych! — pierwszy raz musiałabym uciec się do kłamstwa, aby salonów jej uniknąć! Nie myślcie o mnie, oddajcie się wszelkim uciechom i przyjemnościom, śpieszę do mojej Henryki!...

Przyjaciele pożegnali się. Prim z ciężkiem sercem udał się do Topetego, aby później wraz z nim uczynić zadość zaproszeniu królowej; Franciszek Serrano schwycił kapelusz, który mu zakrywał twarz, oraz ciemny płaszcz, bo właśnie wieczór rozrzucaj już po ulicach upragnioną pomrokę. Serce jego biło mocno; teraz na nowo poczuł, jak bardzo kochał Henrykę.

Nakoniec wskazówka wielkiego ściennego zegara przybliżyła się ku godzinie dziesiątej; Franciszek przekonał się że ma pałasz pod płaszczem, mocniej kapelusz nacisnął na czoło i wyszedł bocznym korytarzem.

W kilka minut później był na ulicy. Niepoznany przeciskał się śpiesznie pomiędzy przechodzącymi, i wreszcie przybył do pałacu przy ulicy Granada. Balkon był wprawdzie oświetlony, ale Henryka nie ukazała się.

Bez niedowierzania i zwłoki dostał się Franciszek do rotundy, z której przebywszy wiele błędnych dróg, trafił

łatwiej do wykręcających się drzwi. W ciemnym przejściu znalazł schody; tęsknota i pragnienie serca niepowstrzymanie naprzód go gnały.

Wtem w pobliżu dał się słyszeć miły śpiew dziewiczy przy towarzyszeniu mandoliny. Franciszek, słuchał go z błogiem uczuciem, znał głos Henryki, tylko kilka kroków przedzielało go od ukochanej, szukał wejścia do pokoju, ale nadaremnie!

Dziesiąta godzina już zapewne wybiła.

Na wszystko zdecydowany Franciszek, zawołał głośno: „Henryko!“

Na pobliskim krużganku otworzyły się drzwi, około których w ciemności ciągle krążył; oczekującego oblało światło.

— Henryko! zawołał jeszcze raz i zbliżył się do przejścia, z którego usłyszał czyjeś lekkie kroki — oblicze jego rozjaśniło się, dusza rozradowała, bo w bladym zjawisku, które z pokoju na otwarty korytarz wybiegło, poznał Henrykę, która jego wołanie usłyszała i z bijącem sercem również poznała głos jego, a teraz nie mogąc wymówić ani słowa, pokonana tak długo oczekiwaną rozkoszną chwilą, padła w objęcia odzyskanego.

— Mój Franciszku! wymówiła, a łzy radości jak perły w oczach jej zabłysły; w tych dwóch wyrazach odbiła się cała rozkosz jej duszy. Serca ich razem uderzyły, usta zerknęły się w gorącym pocałunku; była to szczęśliwa chwila spotkania się dwojga ludzi, na wieki z sobą złączonych mimo wszystkiego co ich dzieliło, i co od czasu owego nagłego rozłączenia zaszło!

— Przybywam uwolnić cię, moja Henryko! rzekł na koniec Franciszek. Nie ociągaj się, weź zasłonę i chodź ze mną!

— Pozwól niech ci się przedewszystkiem przypatrzę; pozwól niech niepojęcie uradowana spocznę w twojem objęciu, po tak długiem, ciężkiem rozłączeniu! odpowiedziała Henryka tak mile, tak serdecznie, że głęboko wzruszony Franciszek wszedł z nią do salonu. Tu dopiero mógł na nowo podziwiać jej piękność, jej miłe radością zarumienione oblicze, jej wszystkie wdzięki, które go zawsze zachwycały.

Przyćmione światło obszernego, eleganckiego salonu, w którego urządzeniu znać było kobietę, oblało postać szczęśliwej Henryki. Z balkonu, na który wychodziło się z salonu, wiał zapach bujnych kwiatów; na ścianach wisiały przecudne obrazy Madonny, ale Franciszek widział tylko odzyskaną kochankę!

Jej ciemne włosy, bez żadnego świetnego stroju, w lokach spadały na ramiona, łagodnie świecące oczy jak gwiazdy patrzały w niego, długiemi, ciemnemi rzęsami jakby żałobnym welonem ociemnione; na małych, delikatnie wyrzeźbionych ustach osiadł błogi uśmiech, który od dawna już ich nie ożywiał; czarna suknia osłaniała piękne jej kształty, czarny miała stanik, czarny welon.

Straszliwa myśl wstrząsnęła duszą Franciszka, tonącą w rozkoszy i miłości, — myśl, którą zaledwie śmiał objawić.

— Gdzie jest nasze dziecię? zapytał wahając się i z gorączkowem oczekiwaniem patrząc na zbladłe oblicze ukochanej; powiedz przez wszystkich świętych, gdzie jest

nasze dziecię?

To pytanie, jak wszystko niszczący piorun spadło na Henrykę, oddaną niewypowiedzianej rozkoszy widzenia ukochanego: było ono przekleństwem jej życia, straszna klęską dla jej duszy, to niszczyło świętość chwili. Kochanek żądał od niej rachunku, ojciec żądał dziecka!

Nieszczęśliwa drżała; pobladłemi ustami zaledwie wymówiła: „Porwane — zgubione...“

Franciszek w obu dłoniach ukrył twarz swoją; jego piękne, ciemne włosy w nieładzie opadły mu na oczy; książę de la Torre jęczał przygnieciony całym ciężarem tej okropnej wiadomości.

— Ktoś idzie, uchodźmy! zawołała Henryka trwożliwie nadsłuchując.

— Na tożeś mnie przywołała? W liście twoim nie ma wzmianki o tej wiadomości! boleśnie wyrzekł do głębi duszy wzruszony Franciszek.

— W moim liście! powtórzyła Henryka. — Zimny dreszcz przebiegł po jej członkach: co ją czeka? na korytarzu słychać brzęczące stąpania, listu do Franciszka nie pisała...

Okropna chwila oczekiwania.

Trwogą i zgrozą dręczona Henryka, jakby przez Boga natchniona, rzucając się w objęcia Franciszka, zawołała nagle: „Przy twojej piersi wszystko zniosę!“ Franciszek w tej chwili jeszcze raz cieszył się rozkoszą jej oglądania i z gorącą miłością przygarnął do siebie Henrykę, która spoglądała z trwogą ku drzwiom.

— I któżby śmiał jeszcze raz mi cię porwać? dumnie

prostując się zawołał Franciszek i zrzucił płaszcz, aby wysoka jego postać w bogato haftowanym mundurze generał-kapitana widoczną była.

— Książę de la Torre trzyma cię w swojem opiekuńczem ramieniu; biada temu kto mi cię wydrzeć zapragnie!

I Franciszek prawą ręką wydobył swój błyszczący pałasz, lewą zaś przytrzymywał Henrykę.

W tej chwili z ust przelękłej wybiegł okrzyk największego przerażenia.

Otworzyły się drzwi w długim, wielu pochodniami oświetlonym korytarzu; ukazali się nagle adjutanci i owi straszliwi szpiegowie inkwizycji, zwani familjares; ale na progu stała wysokiego wzrostu donna, okryta ciemno błękitną, szeroką mantyllą, która w bogatych fałdach z jej ramion spadała, a gęsty biały welon zasłaniał twarz jej i szyję.

Franciszek osłupiałym wzrokiem spojrzał na to nagłe zjawisko.

— Królowa! — szepnął i pałasz w dół pochylił.

Izabella odwinęła welon; Henryka i Franciszek ujrzeli dumne, surowe oblicze monarchini, której zawsze czarowne niebieskie oczy teraz cały swój blask utraciły; ich ułudny powab ustąpił miejsca kolącym pociskom, które lepiej aniżeli wyniosła królewska postawa, malowały gniew i obrazę silnie je duszą wstrząsające.

Izabella aż do ostatniej chwili wątpiła o prawdzie tego czego się dowiedziała; nie mogła dać wiary słowom, które jej wydzierały najukochańszego w życiu człowieka!

Gdy się zbliżała złowroga, przez jasnowidzącą

oznaczona godzina, rozdrażniona królowa postanowiła z razu nie jechać na ulicę Granada, a takim sposobem nie sprawdziłaby się przepowiednia zakonnicy, okazałoby się, że skłamała! Myśl ta na chwilę uspokoiła straszliwie zazdrością dręczoną królową; lecz wnet przemogła w niej nieposkromiona siła ciekawości, postanowiła zatem przekonać się, czy to dręczące podejrzenie jest uzasadnione i czy jasnowidząca mówiła prawdę.

Śmiała i zdecydowana Izabella powstała ze swojego fotelu.

— Bądź co bądź muszę mieć pewność! w uniesieniu zawołała do zdziwionej margrabiny de Beville. Rozkaż przygotować mi mały ekwipaż i oddaj te rozkazy służbowemu adjutantowi. Będziesz nam towarzyszyła na ulicę Granada, gdzie pragniemy obejrzeć cudowny pałac cudzoziemskiego Krezusa, o którym od kilku tygodni mówi cały Madryt.

W kwadrans później, królowa, w towarzystwie margrabiny i licznych przez Fulgentego przysłanych familiarów niosących pochodnie, weszła do pałacu przez drugie drzwi, które prowadziły wprost do wejścia na pierwsze piętro. Szła właśnie w pośród czerwonego światła przez korytarz, a za nią margrabina i adjutanci, gdy z salonu dał się słyszeć głos:

— Biada temu kto mi cię wydrzeć zapragnie!

Izabella otworzyła drzwi — i w oczach jej sprawdziło się to, co jasnowidząca przepowiedziała. Musiała zebrać wszystkie siły, aby zachować przytomność umysłu; zatem czy to chwiejąca się z obawy, czy też pragnąc utrzymać się,

schwyciła margrabinę za rękę.

— My sami wydrzemy wam tę donnę, mości książę, bo powiedzieliśmy sobie, że przy znanej waszej brawurze, kto inny uczynićby tego nie śmiał. Przybyliśmy zatem sami, nie miej nam tego za złe, bo wam odpłacamy tem za ostatnią wyświadczoną nam usługę. Mości książę de la Torre, w objęciach waszych trzymacie morderczynię!

Królowa krokiem naprzód postąpiła, znowu uczuła całą swą siłę i przewagę, którą chciała ukarać ukochanego zdrajcę, kara ta miała być straszną.

Henryka obłąkana tak nagłemi wypadkami i słowami królowej, wyrwawszy się z objęć Franciszka, niepewnym krokiem posunęła się ku ukorowanej rywalce, i załamując wzniesione ku niej ręce, padła na kolana.

Zgroza przejęła obecnych, gdy usłyszeli powyższe słowa królowej. Margrabina blada i przerażona spojrzała na czarną donnę i na generał-kapitana, który ponurym wzrokiem odpowiadał królowej; również mocno zdziwieni adjutanci spojrzeli po sobie szukając wyjaśnienia.

— Najjaśniejsza pani, i bez łask, jakiemi mię dotąd obdarzać raczyłaś, jestem szlachcicem. Don Franciszek Serrano y Dominguez de Delmonte, żąda od was usprawiedliwienia się z okropnych słów, któremiście zelżyli tę w obec was bezbronną kobietę! w najwyższem uniesieniu zawalał Franciszek, dumnie krokiem przybliżając się do równie dumnej, ale zimnej Izabelli.

— Dziwnej mowy używacie, mości książę! Czy jesteście opiekunem tej donny?

— Powstań Henryko, my tylko przed Bogiem klękamy,

więcej przed nikim! i nie zważając na królowę, podał rękę klęczącej: ja staję za ciebie! Świadków, słowa waszej królewskiej mości mają dosyć, ale ja proszę o dowody!

Królowa zbladła jak welon, który opadł na jej piersi. Czuła, że drży, że ulubieniec jej w strasznego przemieni się przeciwnika, jeżeli go drażnić będzie; ale raz powzięła postanowienie, gorzko więc uśmiechając się pomyślała o jasnowidzącej, która jej wszelkich środków wyjścia dostarczyła.

— Żądacie dowodów na to, że będąca w waszem objęciu donna jest morderczynią — zatem, gdzie ta donna podziała dziecię, owo dziecię, które zawsze swoim klejnotem nazywała? ową śliczną dziewczynkę?

Franciszek Serrano czuł, że zimny pot wystąpił mu na czoło; czuł, że Henryka postradała zmysły; okropność chwili wyczerpała szczupłe siły udręczonej kobiety...

— Donna milczy, mości książę, szyderczym tonem mówiła dalej najwyższą zazdrością uniesiona królowa; to milczenie niech będzie odpowiedzią na żądanie przez was w skutek mojego oskarżenia wyrażone. Jesteśmy gotowi dostarczyć wam dokładniejszych wyjaśnień w tym przedmiocie, który jak się zdaje, więcej was obchodzi aniżeli nas.

Franciszek słuchał, domyślił się całej okropności, poznał familiarów, wiedział, że inkwizycja potajemnie przywróconą została.

— Rozkazujemy uwięzić tę dzieciobójczynię! rzekła Izabella.

Adjutant, skłoniwszy się przed królową, otworzył drzwi;

Franciszek Serrano ujrzał, że korytarz pełen czerwonego światła pochodni, obsadzony jest halabardzistami królowej, w błyszczących kirysach i hełmach.

— Kapitanie de las Rosas! Polecamy wam tę morderczynię zaprowadzić na ulicę Foburgo, aby w klasztorze dominikanów wyznała, gdzie owo dziecię, ten wyraz Izabella zawsze z większym naciskiem wymawiała, ową dziewczynkę podziała! Chcemy raz dać przykład, aby nie mówiono, że korona za ciężką jest dla kobiety! Jesteśmy to winni sobie i krajowi!

Henryka przetarła ręką oczy i czoło; zdawało się jej: że marzy; zabrakło jej słów, zabrakło łez.

Ale gdy Franciszek chciał oddzielić ją własną osobą od kapitana de las Rosas, i własną krwią i życiem obronić, niemem wzruszającem spojrzeniem błagała go, aby ją pozostawił losowi, jakby powiedzieć chcjała, że tu oboje zgubieni zostaną, że kiedy on pozostanie wolny, to może ją jeszcze ratować, ale królowa przewidując zamiar Franciszka, powiedziała ostro:

— *Panie generał-kapitanie, taki jest nasz rozkaz!*

Henryka opierała się, jeszcze raz chciała upaść do nóg królowej i błagać łaski, bo przecież przez porwanie dziecka dosyć była ukarana i dręczona. Lecz któżby jej uwierzył, że dziecię jej skradziono? Izabella skinęła na kapitana de las Rosas, sama zaś napawała się zupełnie i boleścią Franciszka; ostatniemi dniami stała się zupełnie inną kobietą.

Henryka chwiejącym się krokiem poszła za oficerem halabardzistów, który miał ją zaprowadzić na ulicę

Foburgo; lecz w korytarzu przedzielona od Franciszka wysokiemi, barczystemi postaciami straży, padła — żołnierze darli jej suknię i wlekli ją, aż nakoniec kapitan spostrzegłszy to, ulitował się i rozkazał tym ludziom bez serca, aby nieszczęśliwą nieśli na ręku.

Tymczasem Izabella znalazła niedostrzeżoną chwilę i szepnęła księciu de la Torre:

— Wkrótce muszę mówić z wami, Don Serrano, i to śpiesznie; w przeciwnym razie byłabym w stanie i was zgubić.

— Nie będzie to trudną rzeczą dla królowej! cicho odpowiedział Franciszek, który już knuł plany ocalenia Henryki. Czyń wasza królewska mość co jej serce każe!

Gdy niosący pochodnie i straż opuścili pałac, Izabella z margrabiną zeszły do ekwipażu i udały się z powrotem do zamku.

Franciszek Serrano śpieszył w tymże samym kierunku, a owinięty płaszczem, chciał niezwłocznie wywołać Prima i Topetego z salonów królowej, aby wspólnie z nimi uwolnić Henrykę, chociaż nawet tak bezpiecznie i tak głęboko w sklepieniach Santa Mądre zamknięta była, iż zaledwie głos ludzi dosłyszeć mogła.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXVIII.

OKROPNA NOC.

Podczas gdy wyżej opowiedziany wypadek odbywa się w pałacu Azza, hrabina genueńska, otulona długą, ciemną kapą, w masce i czarnej zasłonie na twarzy, wyszła również bez towarzysza z zamku, a przekonawszy się, że jej nikt nie widzi i nie ściga, przez rozmaite ulice i uliczki udała się do kościoła Antocha. Miała tam podwójną schadzkę, i wybrała na nią bardzo stosowne miejsce!

Kościół Antocha leży na placu mocno ocienionym drzewami oliwnemi i kasztanami, który przecinają dwie szerokie, wieczorem nie zbyt uczęszczane drogi: jedna wiodąca do głównych drzwi czyli portyku, a z głębokiego cienia jego filarów i ozdób można dostrzedz każdego nadchodzącego, samemu nie będąc widzianym; druga zaś do równie ciemnego bocznego, którego drzwi były zamknięte.

List bez podpisu, który otrzymał Azzo, zapraszał go do głównego portyku — zaufanego zaś Joachima, którego Aja, z pierścieniem mającym na sobie królewską koronę i literę Q. po porwane dziecko wysłała, oczekiwała w bocznym portyku.

Gdy się zbliżała ku filarom po małych, w kształcie mozaiki ułożonych kamykach, nagle stanęła i obejrzała się

w koło. Zdało się, że słyszy czyjeś kroki — szybko więc i zręcznie poskoczyła z cienia pod cień filarów, i nie myliła się, bo ulicą zbliżał się po cichu jakiś człowiek, skierował się na plac pomiędzy drzewa i widocznie zdążał w kierunku portyku, w którym stała genueńska hrabina. Serce jej biło ze wzruszenia, nagle usta jej wydały głos zadowolenia.

— To Joachim, spodziewałam się go, ale nic nie niesie! Na wszystkich świętych, nic nie niesie! Ginę z niecierpliwości, gdzie jest dziecię? szeptała straszna kobieta błyszcząc oczami.

Powiernik zbliżył się i nakoniec wszedł pod filary.

— Co się stało? dla czego sam przychodzisz?

— Przebacz, jw. pani...

— Nędzniku — gdzie jest dziecko? cicho spytała śmiertelnie strwożona Aja.

— Wprawdzie mi jw. pani powiedziałaś, że za pierścień dostanę od Marji Nepardowej dziecko, ale ona mi go nie dała! — powiedział Joachim.

— Odmówiła wydania dziecka? zawołała rozgniewana Aja. Czyż ta hjena nie czytała listu, który ci wraz z pierścieniem wręczyłam?

— Pierścień jej oddałem, a list...

— No i cóż list? co się stało z listem? widzisz, że ginę z niecierpliwości i wzruszenia.

— Przebacz jw. pani, list wypadł mi z gondoli w wodę! Przebacz jw. pani, nie mogłem go schwycić, bo rzeka uniosła go i zatonął.

— Łotrze! i tylko pierścień oddałeś Nepardowej? w najwyższem oburzeniu zawołała Aja.

— Uważałem, że ona już ten pierścień znać musiała, tem bardziej więc byłem przekonany, że postępuję według woli jw. pani!

— I cóż ci powiedziała? — Mów prędko!

— Kiedy się upomniałem o dziecko, jednooka obrzydliwie się roześmiała. Powiedz tylko swojej pani, że już dobrze sprzątnięte, krzyknęła mi w ucho, dobrze sprzątnięte, ciągle powtarzała. Twoja pani już wie, podziękuj pani za podarunek: dziecko już od dawna dobrze sprzątnięte!

— A więc ona je zamordowała! — szepnęła Aja, — przeciw mojej woli! i wszystko cobym na tem dziecku zyskać mogła, teraz stracone! Że ja też tobie nikczemny szelmo ten interes powierzyłam!

— Wszakże zawsze wierny byłem jw. pani?

— Widzę to dzisiaj, obłudniku! Dla czego nie skoczyłeś do wody za listem? Przecież wiedziałeś, jak ci go strzedz poleciłam?

— Zdawało mi się, że pierścień jest rzeczą ważniejszą, a zresztą na coby się przydało, gdybym skoczył za listem? Już dawno sprzątnięte, to własne słowa Nepardowej.

— Ta jednooka hjena nie prędzej się uspokoiła, aż i to dziecię, podobnie jak wszystkie inne poświęciła, i, sądzi, że mi ten wyświadczyła usługę! — rzekła Aja, pogardliwem skinieniem odprawiwszy Joachima. Ta fabrykantka aniołków ma zapewne w tem upodobanie; skoro będzie można, muszę się z nią widzieć potajemnie. Ach! nakoniec tam w cieniu drzew zbliża się Azzo do głównego portyku! Tak, to on!

Stary zegar na kościele Antocha głucho zapowiedział godzinę dziesiątą. Azzo był punktualny! Nie domyślając się wcale co zaszło w jego pałacu, uczynił zadość tajemniczemu zaproszeniu, które mu przyobiecywało ważną wiadomość, i zbliżył się ku ciemnym filarom; na chwilę zatrzymał się, i aby lepiej wszystko widzieć, podniósł nieco swój hiszpański kapelusz i ujął za zatknięty u pasa pistolet. Ponieważ nikt naprzeciw niemu nie przychodził, zdawało mu się zatem, że go w jakąś zasadzkę schwytać chciano. Wtem z cienia drzew przystąpiła ku niemu mocno zasłoniona i okryta donna; z uśmiechem więc odjął prawą rękę od pistoletu, bo biała, pięknych kształtów ręka skinęła, aby za nieznaną sobie donną udał się pod cień filarów, by się dowiedzieć, jaki miała do niego interes.

Serce Aji dziką uderzyło namiętnością, gdy nakoniec ujrzała się tak blisko pożądanego Azza!

— Kto jesteś piękna donno, która mnie tu wzywasz, aby mi powierzyć jakąś tajemnicę? spytał po cichu. Gęsta zasłona zakrywa mi twarz twoją...

— Jestem twoim cieniem, dziki Azzo; idę za tobą wszędzie, choć o tem nie wiesz i chociaż nie domyślasz się mojej niewypowiedzianej namiętności!

— Powiedz mi zatem twoje nazwisko, skoro znasz moje!

— Dowiesz się o niem, ale wiedz pierwej, że moim być musisz choćbyśmy oboje śmiercią przypłacić to mieli! Tak cię kocha kobieta, która dotąd pogardzała miłością innych! Zapomnij o Henryce!

— Co mówisz, nieodgadniona? Ja żyję tylko dla Henryki! wyznał zdziwiony Azzo, wpatrując się w

zasłonioną kobietę.

— Zapomnij o Henryce, ona już do ciebie nie należy!

— Henryka przebywa w moim! pałacu!

— Przed godziną była tam, w tej chwili już jej tam nie ma!

Przerażony Azzo cofnął się o krok w tył.

— Pójdź za mną, a zobaczysz, gdzie ona jest! — mówiła dalej Aja, i wystąpiła z pomiędzy filarów na drogę wiodącą ku ulicy. — Wreszcie wierz moim słowom i mojej przysiędze, że żywego lub zmarłego posiadać cię muszę!

Niezmiernie zaciekawiony Azzo, mimowolnie udał się za zakwefioną przewodniczką; sądził, że ma do czynienia z warjatką! Aja pochwyciła go za rękę i poprowadziła na ulicę. Dobrze obliczyła.

Pobliską poprzeczną ulicą, wiodącą na ulicę Foburgo, zbliżał się po nocy okropny orszak. Na przodzie kapitan de las Rosas konno, za nim również konno oddział halabardników. Za nimi, przez parobków inkwizycji podtrzymywana i szarpana, prawie omdlała Henryka za nią trzech księży, a przy nich sześciu familiarów z pochodniami; drugi oddział halabardników zamykał orszak.

Aja wyciągnąwszy rękę wskazała straszny orszak, przed którym znajdujące się jeszcze na ulicy pospólstwo ze strachem ustępowało.

Azzo osłupiałym wzrokiem spojrzał na okropne widowisko, które jakby na rozkaz zagadkowej kobiety, nagle się przed jego oczami przesunęło. Mniemał, że go uwodzi jakaś okropna mara; nie mógł wierzyć w możliwość, w prawdę tego, co widział przed sobą.

— Zapomnij o Henryce, ona już do ciebie nie należy! rzekła zakwefiona, ciągle na orszak wskazując.

Azzo zadrżał — jeżeli mu ukochaną porwano, jeżeli ją rzeczywiście uprowadzono...

Pośpieszył więc ku okropnej procesji, poznał, że to byli ludzie, nie zaś żadne mary, ujrzał jak ciągniono jego Henrykę...

Tak, to była ona, dłużej wątpić o tem nie mógł.

I wyrwawszy się gwałtownie z rąk trzymającej go Aji, rzucił się ku familiarom, topornikom i księżom, głośno wołając Henrykę po imieniu.

Napróżno halabardnicy zastawiali mu drogę, a orszak śpieszniej iść zaczął. Azzo nie wiedział co zaszło i dokąd prowadzono Henrykę, a jednak musiał mieć jakieś wyjaśnienie. Bez tchu prawie w śmiertelnej trwodze wrócił do zakwefionej donny, która go tu przyprowadziła, która wszystkiem władać zdawała się.

— Kto jesteś, straszliwa? Dlaczego uprowadzają Henrykę, kochankę mojego serca? — zawołał w rozpaczy.

— Bo stała na mojej drodze! — odpowiedziała zakwefiona; — ona musi umrzeć, bo ty musisz być moim.

— Niechże wiem, kto jesteś, ty straszliwa, któraś się z piekła wyrwać musiała! — w najwyższem oburzeniu zawołał Azzo.

Ręką chwycił tajemniczą donnę, szybkim ruchem zerwał z niej zasłonę i maskę i cofnął się, bo spojrzał w zimne jak marmur oblicze szatana, który go mierzył pożerającym i zarazem straszliwie groźnym wzrokiem.

— Aja! — wyszeptały usta zbladłego.

— Ona pójdzie za tobą aż na koniec świata, ona cię musi posiadać żywego lub umarłego!

— I to porwanie mojej najpiękniejszej i najświętszej, jest twoim dziełem, furjo.

— Henryka umrze, bo mi zawadza.

— To i ty umrzyj, szatańska kobieto! — zawołał Azzo, pokonany gniewem, drżącą ręką wyrwał pistolet z fal, kurek spadł, proch błysnął, strzał rozległ się głucho po bezludnej ulicy.

— To pierwsza oznaka miłości, — z pośród dymu zawołał głos; — nienawidź mnie pierw, potem nauczysz się kochać.

To był głos Aji, straszliwa znikła w ciemności, a Azzo dręczony bólem i trwogą, powrócił śpiesznie do pałacu, szukając tam wyjaśnienia rzeczy.

Nikt mu go dać nie umiał; słudzy i strzelcy wiedzieli tyle tylko, że donnę Henrykę uwięziono i uprowadzono.

Dokąd ją uprowadzono, gdzie się kryje Aja, którą dzisiaj nagle znowu obaczył? Chciał ją wyszukać, aby dobrocią lub przemocą wymódz na niej ocalenie ukochanej.

Lecz wszelkie jego poszukiwania były nadaremne; tej nocy kosztowny jego pałac był mu więzieniem, bo wszystko przypomniało mu utraconą.

Udajmy się teraz za ponurym orszakiem na ulicę Foburgo.

To co zaszło, tak dotknęło i uderzyło Henrykę, że wszystko z sobą robić pozwoliła, i bezwłasnowolna, prowadzona i szarpana przez siepaczy inkwizycji, postępowała za strasznym orszakiem. Wkrótce przejęła ją

drżąca trwoga, bo nie mogła niczem usprawiedliwić okropnego zarzutu zamordowania własnego dziecka; ale wnet jej czysta i niewinna dusza dodała jej nowej odwagi do zniesienia wszystkiego.

Siepacz i mnichy w pośród straszliwego światła pochodni otaczający ją, przejęci żądzą i chęcią mordu, z pod oka patrzali na nią, cisnęli się do niej, szamotali nią, aby dotknięciem jej członków skalać ją plugawemi rękami; słowem mieli ją całkiem w swojej mocy, skoro się za nimi zamknęły drzwi klasztoru. U tych drzwi kapitan de las Rosas oddał uwięzioną inkwizycji, dla wybadania jej co do zarzutu strasznej zbrodni, o którą Henrykę obwiniono.

Była już prawie północ, gdy orszak zbliżył się do muru klasztornego, w którego cieniu stał zgarbiony, przez orszak niepostrzeżony i płaszczeni owinięty człowiek, który wszystko mógł widzieć dokładnie co się działo w klasztorze. Człowiek w czarnym płaszczu i kapeluszu, bladego oblicza, szatańsko zaśmiał się, gdy ujrzał Henrykę w pośród orszaku.

— Jak się gołąbka chwieje i drży! — mówił sobie po cichu, aby go zbliżający się do drzwi kapitan nie słyszał. — Czekaj no, głupiutka, tu cię wkrótce ułagodzą! Czyby nie postarać się dostać do klasztoru? Mógłbyś się trochę zabawić, ujrzawszy jak ją poczciwemu Mutarze na małą próbę oddadzą, ale to nie uchodzi, te przeklęte pochodnie!

Kapitan usłyszał uderzenie w dzwon, przy drzwiach oddał nieszczęśliwą Henrykę w ręce ojców, do których ciało pięknej kobiety teraz zupełnie należało, i którzy przedewszystkiem zamierzali jak najprędzej ofiarę swą

wtrącić do Santa-Madre.

Jak tylko się drzwi za Henryką zamknęły, a oddział wojska oddalił się i przelękła obejrzała się po strasznym dziedzińcu klasztornym, ozwał się znowu dzwon wzywający wszystkich na mszę północną. Ojcowie, mnisi i familiary połączyli się z braciszkami klasztornymi dla wspólnego bez wyjątku znajdowania się na mszy, a uwięzioną pozostawiono w pośród siepaczów. Ci zgasiwszy pochodnie, prowadzili półgłośną rozmowę, która zgrozą Henrykę przejęła.

— Co ty myślisz o tej utrzymance, Emilio? — patrząc na uwięzioną, przytłumionym głosem rzekł jeden z tych gburów. — Niezły to kawałek pieczeni dla Mateusza na dzień św. Franciszka.

— I cóż mi zrobią? gdy ją sobie zaciągnę do klasztornego ogrodu! — odpowiedział drugi; — wszakże ona nie pierwsza musiałaby się na to narazić.

— Zacznij, my ci pomożemy! — wtrącił trzeci, i zbliżył się do cofającej się z przestrachem Henryki, chcąc ją żartem pogłaskać po bladej twarzy.

— Ha, ha! widzicie jaka skromna! Poczekaj, Emilio cię od tego odzwyczai, a Mutaro ci dowiedzie, żeś wcale niełaskotliwa — ha, ha! — troszkę ognia pod podeszwy, a zaraz inaczej zaśpiewasz!

Henryka z osłupiałym wzrokiem spojrzała na pomocników kata inkwizycji, którym jak sądziła pozostawiona była na pastwę — wstrząsała się cała przejęta zgrozą na widok obrzydliwych, pospolitych, nikczemnych twarzy tych parobków, szyderczo na nią strzelających

oczami, bo nigdy jeszcze nie widziała tyle razem typów napiętnowanych dzikością i zwierzęcością, nigdy tyle odstręczających postaci ludzkich.

Msza się skończyła mnisi ukazali się w swoich celach, a ojcowie poszli na radę do Santa-Madre — czyliż ją chciano rzeczywiście oddać na pastwę obrzydliwym parobkom, którzy w pośród nocnej ciemności, coraz to bliżej przystępowali do niej z brudną przemową i przymileniami?

Henryka obejrzała się patrząc czy nie mogłaby się dokąd schronić przed tem straszliwem otoczeniem, bo ani prośby, ani błagania, ani wstydu ci ludzie nie znali, tkliwość i wszelkie inne szlachetne uczucia były dla nich obce.

Wtem przez kolumnadę wiodącą do klasztornego ogrodu nadszedł jakiś mnich czyli posłaniec. Henryka dziękowała Najświętszej Pannie, bo chociaż nadchodzący, mógł być wykonawcą najsroższych względem niej rozkazów, jednak przynajmniej uwalniał ją od sąsiedztwa tych rechocących szatanów! Chciała pośpieszyć naprzeciw niemu.

— Ha ha, otóż nadchodzi twój przyjaciel Mutaro! — szyderczo zawołał jeden parobek.

Imię to Henryka już raz słyszała wymówione przez obrzydłego siepacza; struchlała więc słysząc je ponownie. Przeczuwała, że ten Mutaro to kat inkwizycji, i nie zawiodła się, bo w nadchodzącym ujrzała człowieka w czarny kaftan ubranego, zamaskowanego, z czarnemi rękawiczkami na ręku, tak, że od stóp do głowy, nie okazując żadnego rysu, tą straszną barwą był okryty.

— Gdzie jest grzesznica? ponurym, lodowatym głosem przemówił Mutaro.

Pomocnicy rzucili się na Henrykę, pochwycili ją i przywlekli przed czarnego mistrza.

— Zawiążcie jej twarz! zawołał i rzucił czarną chustkę czatującym na to parobkom, którą zarzucili na twarz bezsilnie broniącej się i opierającej Henryki, tak, że ją całkiem czarna noc otoczyła. Potem chustkę mocno obwiązali sznurkiem w koło szyi nieszczęśliwej ofiary, tak, iż prawie oddychać nie mogła, a tymczasem szukające obrony jej ręce, w swoich żelaznych pięściach przytrzymali jak w śrubach.

Henryka mimowolnie o pomoc zawołała.

— Ściągnijcie sznurek mocniej; to łotrzyca opiera się! wyrzekł straszliwy kat inkwizycyj.

Ucichło wołanie Henryki, bliska śmierci wszelkich sił dobywała, walcząc z szyderczo obejmującymi ją i łatwo zwyciężającymi parobkami. Nie wiedziała dokąd ją ciągniono, nadaremnie opierała się, bo i cóż pomogły wysilenia delikatnej istoty przeciwko wyszukanie krzepkim i dzikim pomocnikom kata? Wlekli ją i musiała znieść wszystkie ich najobrzydliwsze i najbezwstydniejsze żarty.

Mutaro, zamaskowany naczelnik tych szatanów, szedł naprzód. Henryka spodziewała się, że zaprowadzoną zostanie przed sędziów, przed ludzi, lecz nakoniec po wilgotnie zimnem powietrzu, jak też po mokrych schodach to na dół to znowu przez rozmaite przejścia w górę prowadzących, poznała, że jest straconą dla świata, że ją wiodą do głębokich Więzień Santa-Madre, o których ze zgrozą opowiadano, że nie ma nad nie nic straszniejszego na świecie!

Inkwizycja po śmierci Ferdynanda VII publicznie zniesioną została, a naród wierzył i spodziewał się teraz jeszcze, że przyrzeczenie sprawdzi się; mamy jednak przed sobą straszliwy dowód, że ta plaga Hiszpanji nietylko ciągle potajemnie dopuszczała się mordów, ale że nawet młodociana królowa Izabella, podżegana i zaślepiona udręczeniem zazdrości, nie powstydziła się wydać w szpony inkwizycji rywalki, której się obawiała, aby być pewną, że ta już więcej dróg jej krzyżować nie będzie.

Santa-Madre był to milczący grób.

Nakoniec klucze zabrzękły, parobcy zawlekli sztywną, bezwładną Henrykę do małej, wilgotnej, ciemnej izdebki, zerwali chustkę z jej głowy i położyli ją na garści przegniłej, mokrej słomy. Mutaro zamknął drzwi i klucz z nowym numerem oddał odźwiernemu pałacu, aby nowej ofierze zaniósł suchego chleba i wody. Gdy kat i jego parobcy obowiązku swego dopenili, odeszli wszyscy ciągle nikczemnie dowcipkując do chat swoich znajdujących się tuż zewnątrz murów.

Ciemna noc zaległa w Santa-Madre i na ulicach. Zimny Wiatr sprowadził za sobą grube krople deszczu, czarne chmury pędziły po nocnem niebie i zupełnie zakryły kiedyindziej jasno świecący księżyc, który Hiszpanie wolą niż słońce. Tak burzliwa i nieprzyjemna noc rzadko kiedy przytrafia się w Madrycie; zdawało się, że niebo gniewa się na to co się tam działo.

Północ od dawna już przeszła; na opustoszałych ulicach rzadko już tylko postrzegano opóźnionego przechodnia, w brunatną burkę lub płaszcz otulonego, który wyszedł z

kawiarni i spiesznie dążył do mieszkania, smagany deszczem i przy gasnącem od wiatru skąpem świetle latarni.

Ponura ciemność zaległa ulicę Foburgo, a nocni marzyciele unikali jej teraz tembardziej, że wiatr gwizdał na rogach domów i wył w leżącym po za murami klasztorze. Kroplisty deszcz bił w okna, wściekle poruszał zasłonami z drzewa lub słomianych plecionek, któremi okna niektórych domów były zasłonione.

Tuż pod murem klasztornym przesuwały się dwie czarnymi płaszczami okryte postaci; idąca przodem nie zważała wcale na deszcz i burzę, ale druga gwałtownie się wstrząsała — gorąca hiszpańska krew podwójnie czuje takie niezwykłe zimno.

— Czy wiesz na pewno, że Topete już na nas czeka? cicho powiedział idący na przedzie do zdążającego tuż za nim drugiego.

— Kiedyśmy się obaj przemykali przez plac Pedro, Topete aby liczba nie uderzała w oczy, udał się drogą przez Puerra del Sol.

Obaj więc pod zasłoną ciemnej nocy, w której zaledwie o trzy kroki widzieć można było człowieka, szli dalej pod murem — zbliżyli się do zabudowania zagłębionej bramy.

— Kto idzie? — zawołał pierwszy z nich pół głosem, bo zdało mu się, że z tego zabudowania wyjrzała czyjaś głowa.

— Pst, massa książę, Hektor tu być! Ostrożnie i cicho, mnich od bramy dopiero wychodził na dwór! — szepnęła czarna głowa.

— Wybornie, Hektor Topetego stoi na czatach! — półgłosem rzekł Franciszek Serrano, bo on to był

pierwszym z dwóch otulonych płaszczami.

— I gdzież się podział braciszek odźwierny?

— Do swojej izby poszedł spać! odpowiedział murzyn, bardzo zadowolony, że go użyto do nocnej przygody, bo pamiętał zawsze o ważnej nocy, w której wraz z gwardzistami królowej na niebezpieczeństwo był narażony.

— Więc twój pan ciebie tu na czatach postawił? cicho rzekł drugi, podsuwając się ku Hektorowi, ale idąc tuż za Franciszkiem.

— Na czatach, massa Prim, które wszystko słyszą i widzą.

Don Juan mimowolnie roześmiał sią, bo i jemu obecna wyprawa szczególniejsze sprawiała zadowolenie, gdyż Prim właśnie należał do rzędu ludzi, którzy im więcej widzą nastręczających się trudności i niebezpieczeństw, tem większą maja ochotę do awantur. Poklepał więc po ramieniu wiernego murzyna, którego wraz z Serraną chętnie widział, i zapytał:

— Czy dawno tu już jesteś, Hektorze.

— Od kwadransa — tu na zewnątrz nic nie było do widzenia.

Serrano po cichu zawołał Prima.

— Tam przy bocznym murze stoi Topete, — szepnął Franciszek: — śpieszy, noc jakby umyślnie sprzyja naszemu przedsięwzięciu.

Wnet powitali się trzej przyjaciele.

— Oto sznurowa drabina, oto kneble, powiedział Topete. I rozłożył pod murem przyniesione przedmioty. Sztylet ma każdy z nas za pasem, a zatem nie odkładajmy... Ale

Jeszcze coś: zdaje mi się, że gdy szukałem najwygodniejszego miejsca w murze, ktoś mi niby chciał pokazać drogę i niby jakiś człowiek przesuwał się w tem miejscu w klasztornym brodzie.

— To zapewne jakiś rozkochany mnich, który za długo siedział u swojej signory, mniemał Prim: zawsze jednak bądźmy ostrożni. Czy potem nic nie słyszałeś?

— Nic nie słyszałem ani widziałem, ale któż z was panowie wstępuje pierwszy? spytał Topete, z łatwością przymocowawszy do wierzchołka muru sznurowa drabinę znajdującemu się na niej hakami.

— Czyż się jeszcze potrzebujesz pytać? Wiesz, że los wybrał na to Serranę i mnie. Ty pozostaniesz tutaj; za danym znakiem pośpieszysz nam na pomoc, przyjmiesz Henrykę, i postarasz się, aby nam nikt nie przeszkadzał! mówił cicho Prim do herkulesowej postaci przyjaciela, który miał wielką ochotę spróbować swoich sił na drzwiach i katach Santa-Madre.

Tymczasem Franciszek Serrano wszedł był na mur po mocnej, wybornej drabinie — gdy zbliżył głowę do wierzchu i chciał zajrzeć w ogród klasztorny, na dole jakiś człowiek skoczył w krzaki; musiał słyszeć rozmowę trzech przyjaciół, a Serrano nie mógł wśród ciemności dostrzedz, słyszał tylko, że ktoś przebiegł, ale nie zważał na to.

Usiadł na murze i czekał na Prima, aby potem drabinę przerzucić na drugą stronę.

— Dobrego powodzenia! szepnął Don Juan, dostawszy się do Franciszka; a teraz spuśćmy się do osławionego ogrodu Santa-Madre.

Obaj przyjaciele bez trudu dostali się na miękką, wilgotną ziemię.

Prim ani licząc na to, miał dzisiaj sposobność otrzymać od króla niektóre poufne wiadomości o inkwizycji; szedł więc ostrożnie pomiędzy krzakami tudzież między pniami i migdałowemi drzewami, a Franciszek za nim, trzymając gotowe kneble.

Zbliżyli się do szerokich kamiennych stopni, prowadzących do wejścia pałacu. Drzwi środkowe, które jak wiemy — przez ciemne krużganki wiodły do pokoju ojców, były jeszcze otwarte, ojcowie zatem byli jeszcze zgromadzeni. Ostrożnie i po cichu Prim uchylił czarne drzwi, ale w tej chwili pochwyciła go czyjaś pięść...

Ciemność i niespodziany nagły napad sprawiły, że zawsze na wszystko gotowy, odważny towarzysz broni Serrany szybko i ostrożnie cofnął się krokiem w tył, czuł na swojem gardle pięść niewidzialnego nieprzyjaciela.

— Oho! szepnął, i nie tracąc chwili rzucił się na stojącego za drzwiami.

Serrano spostrzegł, że Prim stacza bójkę, szybko więc zrzucił płaszcz, aby mieć wolne ręce — lecz gdy chciał przyjacielowi przyjść z pomocą, ten już tak mocno ścisnął napastnika i tak mu szczelnie zamknął usta, że Franciszkowi pozostało tylko włożyć mu kneble w usta a potem związać ręce i nogi.

— To odźwierny, szepnął Prim; przedewszystkiem musimy odebrać mu klucze.

Przerażony braciszek klucznik, który chwytając wchodzącego, nie spodziewał się wcale, aby to był obcy

przybysz, bo do klasztoru nikt się nie mógł dostać, w bramie nie zameldowawszy się, ujrzał się nagle pokonanym przez dwóch obcych ludzi, których wspólnym siłom podołać nie mógł, a teraz jeszcze knebel, który mu Serrano w usta włożył, nie pozwolił mu wołać.

Wściekle przewracając oczyma, musiał patrzeć, jak mu nieznajomi zabierali klucze, jak go zanieśli za filajr, a potem napalili skrytą latarkę, za pomocą której wkrótce znaleźli drogę do piwnic.

Nie ulegało wątpliwości, że Henrykę zaprowadzono do tych podziemnych cel; więc ostrożnie dostali się przyświecając sobie do wilgotnych piwnic w Santa-Madre.

Gdy pomocnicy kata złożyli nieszczęśliwą kobietę na zgniłej słomie, odeszli. Henryka po straszliwej przygodzie nakoniec odetchnęła i przyszła do siebie — była sama, była uwolniona od towarzystwa tych gburów; potem klękła i modliła się, pozostając długo na wilgotnej podłodze swojego żadnem światłem nierozwidnionego więzienia, z rękami w niebo wzniesionemi!

Nagle przeraziły ją tak wzruszającym tonem odmawiane modlitwy, że się zerwała na równe nogi i twarz w obu dłoniach ukryła; ten głos boleści powtarzał się, Henryka zwróciła się w kierunku, z którego pochodził, ale otaczająca ją ciemność i grube mury w koło nie dozwoliły jej iść za tym okropnym jękiem; słyszała tylko wyraźnie, ze wydawała go kobieta, strasznie dręczona.

Ale teraz zdawało się, ze ten wzruszający głos rozlegający się nocą po torturowych izbach w Santa-Madre, wywołał wszystkie duchy umęczonych; bo z góry dało się

słyszeć skomlenie, jakie zwykle wydaje konający, z innej strony jakieś rzeżące stękanie wychodzące jakby z gniecionych piersi; tam znowu ozwał się długi, okropny jęk, oddający cały ból aż na śmierć męczonego człowieka...

Henryka oglądała się to tu, to tam, ale w pośród otaczającej ją ciemnej nocy nic nie mogła rozróżnić. Okropne drżenie wstrząsało nią całą, oczy jej wyszły na wierzch, zęby mimowolnie szczękały jak w febrze, wyciągnęła ręce jakby dla obrony, bo jęki słyszane z góry, z dołu, tu i tam, były w stanie przywieść ją do szaleństwa.

Henryka miała słuszność; bo kto był w tych męczeńskich izbach więziony, tego wnet napadły furje obłąkania, wywołanego nieprawdopodobną do opisania okropnością miejsca.

Strwożona, powoli, krok za krokiem przyczołgała się nieszczęśliwa do słomianego legowiska pod ścianą, przycisnęła się do niego i skurczyła na wilgotnej ziemi, — owiewało ją grobowe powietrze, zimny pot występował na czoło, bała się oddychać, a mocno wytężonym wzrokiem patrzała w nieprzeniknioną ciemność, w pośród której ze wszech stron dochodziły ją okropne jęki torturowanych, a na swoje nieszczęście umrzeć nie mogących.

Każda chwila zdawała się jej godziną, rozpacz wstrząsała jej członkami, a śmierć wśród nocy spędzonej w tych izbach męczeńskich byłaby dla niej dobrodziejstwem. Wtem nagle zdało się gorączkowo nasłuchującej, że w dali w podziemnych korytarzach słyszy powolne kroki.

Może to siepacze znowu nadchodzą? Może teraz na nią przyszła kolej cierpieć męki, przy których nieszczęśliwe

ofiary takie głosy wydają?

Henryka nie myliła się: kroki zbliżały się do tej części ogromnego sklepienia, w której znajdowała się jej cela; zdało się jej nawet, że przez wąziutką szparę we drzwiach widzi słabe światełko. Henryka mimo wiedzy odmawiała gorącą modlitwę, duszę swoją polecała opiece Najświętszej Panny, modliła się także za utracone dziecię i za Franciszka, którego jednego tylko na tej ziemi kochała, dla którego żyła...

Wtem jakieś przytłumione wołanie jak głos Boga słychać było coraz bliżej i bliżej, poskoczyła, słuchała.

— Henryko, czy jesteś w której z tych cel? zawołał ktoś półgłosem. Henryko daj nam jaki znak!

— Tu, tu, mój Franciszku! zawołała śpiesząc do drzwi, przez które przebijał się teraz jaśniejszy promień światła; uradowana, z mocno bijącem sercem poznała dobrze wołający ją głos, bo była w stanie rozpoznać jego głos wśród tysiąca innych.

Franciszek próbował całej wiązki kluczów, aby otworzyć drzwi oddzielające go od Henryki; nakoniec trafił na właściwy, który się obrócił w zamku, rozwarły się ciężkie więzienne drzwi, i udręczona kobieta, wylewając łzy radości, padła w objęcia Franciszka.

— Nie ma czasu, śpieszcie się! nalegał Prim, chociaż na widok tak wzruszającego powitania i jemu oczy wilgotnieć zaczęły, — nie mamy chwili do stracenia — pomyśl tylko, co będzie jak znajdą odźwiernego! dodał po cichu nagląc znowu połączonych do pośpiechu.

Słowa jego poskutkowały — szedł więc naprzód niosąc

ślepą latarkę, za nim śpieszył Franciszek z Henryką przez krużganki sklepienia, z którego jaskiń i coś ciągle jeszcze wychodziły to słabsze, to znowu silniejsze jęki męczonych nieszczęśliwych. Henryka trzymała się jego ręki.

— Nie zapominajmy o tych nieszczęśliwych! ocal ich także, podobnie jak mnie przy pomocy Najświętszej Panny ocaliłeś! wzruszającym głosem prosiła Henryka.

— Nie mogę, chociaż bardzobym tego pragnął, bo ich nie ocalimy, a siebie zgubić możemy. Przez wszystkich świętych, śpieszmy się, prędzej! I Franciszek silniej ujął rękę ukochanej.

Prim śpieszył ze światłem ku schodom.

— Grożą nam największe niebezpieczeństwa; jeżeli tej nocy nie dostaniemy się na wolność, wtedy będziesz zgubiona, mówił Franciszek Henryce i prowadził ją coraz prędzej przez wilgotne krużganki, w których obok izb męczeńskich, znajdowały się cele, czyli dobrze zawarowane więzienia dla nieszczęśliwych ofiar, co się dostały do pałacu Santa-Madre.

Nakoniec dostali się do przestrzeni kolumnowej, do której wchodziło się przez wysokie drzwi.

Prim stał i słuchał, przez ostrożność zgasił światło, i zbliżył się do przejść prowadzących na wyższe piętra. Zdało mu się, że słyszy zbliżające się kroki i głosy.

— Nie ociągajcie się, dalej! szepnął przyjacielowi, stojącemu wraz z ocaloną przy drzwiach wychodowych, ja tu zostanę na straży i dla obrony, aż zmiarkuję, żeście się do muru dostali; nie ociągajcie się!

Franciszek niechętnie pozostawił przyjaciela samego w

pałacu grożącym tysiącem niebezpieczeństw, lecz potem powiedział sobie, że przedewszystkiem Henrykę trzeba przeprowadzić w bezpieczne miejsce.

Klucznik leżał jeszcze po za filarami mocno zakneblowany, a całą przestrzeń w koło pokrywała nieprzenikniona ciemność.

Franciszek, prowadząc ukochaną, zbliżył się do wielkich drzwi, otworzył je ostrożnie i po cichu, zimny nocny wiatr owionął go, Henryka stała na stopniach wiodących do klasztornego ogrodu.

Jeszcze kilka minut, a będzie ocalona!

Ciężkie drzwi powoli zamknęły się za nimi, a tymczasem Prim pozostał jeszcze w okropnym pałacu, dla zasłonienia ucieczki i przekonania się, że z wyższych pięter nie grozi rzeczywiście niebezpieczeństwo z powodu zbliżających się kroków.

Serrano trzymał mocno rękę drżącej ze wzruszenia Henryki, bo się ciągle lękał, aby mu jej nie odebrano. Zbiegli szybko po schodach, zimny deszcz zmoczył ich, a lodowata burza wiała bezustannie w ogrodzie ciemną nocą pokrytym. Zdążali po wilgotnych ulicach w stronę wysokiego muru, przy którym stała sznurowa drabina.

Henryka jeszcze nie miała czasu podziękować Franciszkowi za tak niespodziewane ocalenie, dotąd zaledwie mogła uścisnąć jego rękę i szepnąć mu słówko o niewypowiedzianej swojej miłości, bo on ciągle nakłaniał ją do jak największego pośpiechu, a wkrótce mająca być ocaloną musiała mu ulegać, bo poznała nieprzeliczone okropności w Santa-Madre; po za murem łatwiej znajdzie

się sposobność na podziękowanie i na wzajemny uścisk gorącej miłości!

Uciekający zbliżali się już ku miejscu, w którem powinna była wisieć sznurowa drabina, ale z powodu ciemności. Serrano nie mógł go poznać z dala, wybrał więc kierunek, w którym wraz z Primem wszedł był do pałacu.

Nakoniec doszedł do muru, ręką po nim macał szukając drabiny, ale zdziwił się, bo dotykał tylko wilgotnego muru a nigdzie drabiny znaleźć nie mógł.

Ze śmiertelną trwogą szukał dalej; nadaremnie przytłumionym głosem przyzywał Topetego! burza i mury nieprzepuszczały jego głosu na zewnątrz, u głośniej wołać nie śmiał, aby się nie zdradzić.

— O jakież zimne powietrze! narzekała Henryka, wśród takiego deszczu i wiatru nieokryta ani płaszczem ani inną zasłoną i orząca od zimna, bo pomocnicy Mutary nie zostawili jej nawet welonu, którym pierwej otulała twarz i szyję.

Franciszek spostrzegli, ze zziębnięta Henryka nie ma żadnej obrony od zimnego deszczu — chciał jej dać swój płaszcz i dlatego sięgnął do swoich ramion — ale teraz dopiero przypomniał sobie, że z obawy, aby mu w ruchach nie przeszkadzał, zrzucił go był w ogrodzie przed drzwiami pałacu.

A jednak trzeba było koniecznie okryć Henrykę, bo dłużej tak czekać nie mogła na wynalezienie drabiny, gdyż cała się trzęsła

— Postój przez chwilę tuż pod murem, rzekł przejęty i obawą współczuciem, ja pobiegnie na powrót ku schodom i

przyniosę ci mój płaszcz a zarazem zawołam Prima, bo on tam dłużej czekać nie powinien.

Gdy dwaj przyjaciele przedtem dostali się do pałacu i nakoniec znaleźli piwniczne cele wcisnęła się za nimi powoli i zdradziecko jak kot jakaś czarna postać. Człowiek ten w długim płaszczu, podobnie jak Franciszek, w spiczastym hiszpańskim kapeluszu, niezmiernie bacznie i z wielkiem zajęciem przypatrywał się tajemnym czynom obu szlachciców, słuchał gdy zniknęli we wnętrzu domu, i szatańska rozkosz zabłysła mu na twarzy, gdy usłyszał, że Serrano i Prim zdobyli klucze!

— Coby to było, gdybyś teraz na trwogę uderzył? mruknął przekonany o swojej przewadze. Obaj byliby zgubieni w przypadku gdyby nie tak łatwo mogli się z powrotem wydostać chociaż królowa szalenie kocha pięknego księcia de la Torre... Nie, Józefie! byłby to głupi pośpiech! Nietylko musisz tych złodziejów Henryki zapakować do tej mysiej jamy, ale także i gołąbkę zdobyć dla siebie, — nic nadto łatwiejszego! Niech ci zacni panowie własną skórą przypłacą, me darmo śledziłem ich postępowanie.

— A teraz prędko do roboty.

Gdy Józef ostrożnie wielkie drzwi otworzył i po ginących w dali krokach obu szlachciców poznał, że uwolnią Henrykę — namyślał się w jaki sposób najlepiej plany swoje do skutku doprowadzi.

Tryumfujący uśmiech rozjaśnił jego blade, rudobrode oblicze: powziął dobrą myśl! Szybko i bez szelestu pośpieszył do muru, łatwo znalazł miejsce, przez które

Franciszek i Juan dostali się do ogrodu, a drabina stanowiąca dla nich jedyną drogę do odwrotu, wisiała jeszcze na swojem miejscu!

Korzystając z wycia burzy, która nie dozwalała, aby Topete usłyszał co się dzieje, chytry Józef za pomocą gałęzi wyjął z muru oba żelazne haki, a drabina opadła na ręce trzymającego ją i szyderczo śmiejącego się szatana, który tym sposobem obu szlachcicom i pięknej nienawidzonej, chociaż pożądanej Henryce przeciął odwrót! Spieszył ze swoim ciężarem po cichu w pobliżu muru, i szukał dalej innego miejsca w którem mógłby znowu przytwierdzić drabinę i dostać się na ulicę Foburgo, tak aby go nie spostrzegł Topete, stojący w rogu klasztornego muru.

Drugą część jego wybornego planu, stanowiło dostanie Henryki w moc swoją.

Ale gdy właśnie chciał zawiesić drabinę na murze niedaleko bramy, nagle i zawczasu jeszcze przypomniał sobie, że w pobliżu bramy stoi na straży murzyn Topetego i w każdym razie go przywoła, albo się do niego zbliży, skoro on na mur wejdzie! Musiał więc szukać lepszego, pewniejszego punktu, ale Józef nigdy się nie kłopotał, skoro chodziło o spełnienie złej myśli.

Szybko więc zaniósł drabinę w krzaki i tak ją zręcznie rzucił w ich środek, że i w biały dzień nawet trudnoby ją było tam dostrzedz, a tem trudniej wśród ciemnej burzowej nocy.

Potem ciągle ostrożnie nasłuchując, posunął się o kilka kroków ku kolumnowemu przejściu, a następnie ku okratowanym oknom dolnych cel, w których mieszkali

bracia gospodarze i braciszek odźwierny.

Józef widocznie znał dobrze położeniu i urządzenie tych izb. Słuchał więc po cichu pod oknami, ostrożnie wyciągnął szyję, aby zajrzeć do wnętrza cel, i przekonał się, ze w pierwszej dolnej od wejścia, odźwierny leżał na łóżku i mocno zasypiał, o czum go przekonała zagaszona mała lampa, której używał każdy brat udając się na północną mszę i wracając do cel.

Józef podsunął się pod zawsze otwarte wejściu do klasztoru. Mnisi nie bali się zrabowania skarbów, których nie mieli, a prócz tego wiedzieli, ze silna brama w murze jest zawsze bezpiecznie zamknięta.

Podsuwający się w tej chwili dowiódł im, że było co w klasztorze do skradzenia, i że mur nie jest jeszcze dosyć wysoki, iżby się na jego bramę spuszczać można było!

Po ciemnych korytarzach klasztornego zabudowania burza wyła głośno i złowrogo; w pośrod więc tego łoskotu mógł spokojnie zbliżyć się po flizach do celi brata odźwiernego.

Szybko dostał się do drzwi, schylił się, odźwierny był je przymknął! Ale przy drzwiach tych cel nie było zamków, lecz tylko guzik, za pomocą którego można je było zamykać za sobą i odmykać.

Józef czekał chwili, w której burza gwałtownie zahuczy, aby korzystając z szelestu otworzyć swobodniej drzwi zaskrzypieć mogące. Dobrze wyrachował, bo przy odmykaniu dał się słyszeć pisk i skrzyp, aż przestraszonemu Józefowi włosy powstały na głowie. Wściekły, zacisnął zęby, bo ten odgłos obudził braciszka

odźwiernego, który usiadł na swojem twardem posłaniu, stojącem pod ścianą celi, i spojrzał ku wejściu.

— Niegodziwa noc! mruknął, gdy Józef znowu prędko nieco drzwi przymknął, a zatem on nic widzieć nie mógł. Ale przebiegły wykonawca swoich czarnych zamiarów tylko o tyle je przymknął, aby potem gdy się braciszek odźwierny na drugi bok przewróci dla dalszego snu, mógł je bez hałasu znowu otworzyć.

Józef czekał niecierpliwie, aż odźwierny przechowujący klucz od bramy znowu wulgarnie i mocno zacznie oddychać; potem powoli i ostrożnie tak otworzył drzwi, iż mógł wejść do celi. W koło niego tak było ciemno, iż wciskający się zaledwie zdołał rozróżnić dokładnie łoże i postać śpiącego mnicha.

Gdzie odźwierny chował klucze? To pytanie zajmowało teraz Józefa, z wytężonym wzrokiem rozpatrującego się po celi.

Gdyby się braciszek nagle przebudził, gdyby się obrócił i spostrzegł go na środku celi!

Mimo to zdobycie klucza było rzeczą tak ważną, a Józef tak zgrabny i zwinny, że pewien był, iż mu się uda spełnienie tego złodziejstwa.

Lecz nadaremnie błyszczącem, wybornem okiem rozglądał się po małej celce, szukając pożądanego przedmiotu: nigdzie nie mógł znaleźć zapewne niemałego klucza!

Nagle na twarzy Józefa zabłysło zadowolenie. „Mnich ma klucz pod głową“, powiedział sobie, i nie tracąc czasu, aby się sam nie przeląkł tak śmiałego kroku, zbliżył się do

łóżka odźwiernego, aby wsunąć rękę pomiędzy twarde poduszki, na których spoczywała głowa śpiącego.

— To będzie znowu arcydzieło, mistrzowska sztuka! mówił sam do siebie, przystępując cicho i powoli do poduszek i podnosząc rękę.

Powoli i zgrabnie wsunął miękkie palce pomiędzy drzewo i twarde poduszki — powoli szukające palce wciskały się się coraz dalej... śpiący mnich poruszył się — Józef skurczył się, ale ręką ani drgnął! Gdyby odźwierny leżąc był pochwycił ledwie oddychającego Józefa — kto wie czyby tego śmiercią nie przypłacił...

Lecz hrabiowskiemu bratu Franciszka szczęście sprzyjało we wszystkich jego zamiarach.

Braciszek odźwierny zaraz potem zasnął snem mocnym i spokojnym.

Palce Józefa ostrożnie posunęły się naprzód — nagle zadrżał radośnie — dotknął zimnego żelaza upragnionego klucza!

Chodziło teraz o to, jak wciągnąć klucz z pod poduszek mocno do drzewa przylegających? Potrzeba było na to przezorności, wytrwałości i zręczności Józefa, aby wykonać to arcydzieło biegłości w palcach. Powoli ujął ręką za ucho klucza i przyciągał go ku sobie.

Czas naglił — jeżeli Franciszek i Prim już z podziemi powrócił i on się z nimi spotka w klasztornym ogrodzie. Ale i na ten przypadek Józef był należycie przygotowany: nie mogli oni już uprowadzić Henryki, bo z pułapki wymknąć się nie mieli którędy!

Nakoniec ręka z kluczem zbliżyła się ku końcowi

poduszki i w tejże chwili trzymał go w garści tryumfujący Józef. Powoli posunął się ku drzwiom, które był uchylił, wyskoczył na korytarz, ale pierwej bez łoskotu zamknął drzwi za sobą, tak aby chłodny wiatr nie obudził mnicha: wreszcie podsłuchując pośpieszył ku wyjściu, a stamtąd do ogrodu. Ciemności i szum burzy tłumiły jego szybkie kroki: pomiędzy krzakami zbliżył się do miejsca muru, z którego usunął sznurowana drabinę, i przyglądając się wszystkiemu swojem błyszczącem okiem, stanął ostrożnie na czatach.

Gdy Franciszek opuścił Henrykę, aby przywołać Prima i przynieść płaszcz, ona, trwożona i drżąca stała czekając tuż pod murem; od czasu jak w piwnicznych sklepieniach słyszała straszliwe jęki i narzekania, zupełnie straciła odwagę — ciemność panowała wszędzie.

Nagle zdało się jej, że Franciszek wraca, miał płaszcz zwinięty, ale ku zdumieniu Henryki, przychodził bez Prima.

Zbliżył się do niej szybko i rzekł nalegając, ale bardzo cicho:

— Chodź tutaj za mną!

Drżąca widziała zdziwiona, że Franciszek nie okrywszy jej przyniesionym płaszczem szybko naprzód wzdłuż muru podążał — ale powiedziała sobie, że z powodu spiesznej ucieczki zapomniał włożyć na nią chroniącego od zimna okrycia.

— Czy znalazłeś drabinę? — spytała nakoniec z cicha.

— Już nie potrzebna, chodź za mną — mam. klucz od bramy! — szeptem odpowiedział idący naprzód.

Henryka na chwilę zatrzymała się — zdało się jej, że przemawiający do niej głos, jakkolwiek stłumiony, nie

należy do Franciszka — a jednak to musiał być on.

— Ale gdzie jest twój przyjaciel Don Juan? — spytała.

— Dostanie się za mur po drabinie.

Henryka jakkolwiek bliska upragnionego oswobodzenia, zatrzymała się jednak słysząc te słowa swojego przewodnika; usiłowała mimo panującej ciemności, rozpoznać szybko przesuwającą się przed nią jego postać; jakiś dziwny domysł, może wywołany tonem głosu, przejmował ją i strachem napełniał, odkąd zdawało się jej, że słyszy głos Franciszka i widzi jego postać tak podobną do głosu i postaci brata.

— Franciszku, szepnęła zatrzymując się — nim dalej pójdę, muszę cię pierwej widzieć!

Przyszli tuż pod bramę.

— Prędko na ulicy obaczysz mnie i uściskasz! — spiesznie odpowiedział, wkładając powoli i zgrabnie klucz w stary wielki zamek mocnych drzwi. Podczas gdy go obracał, Henryka dręczona niepewnością i zdecydowana przystąpiła ku niemu, jej drżąca ręka szybko sięgnęła do jego kapelusza, który mu śmiałym ruchem zerwała z głowy właśnie w chwili gdy się drzwi obróciły na zawiasach.

Z ust Henryki wybiegł krzyk okropnej trwogi, gdy nagle poznała zanoszącą się od śmiechu twarz i rude włosy Józefa; kolana się pod nią uginały, szeroko rozwarte oczy osłupiały, jakby ją uwodziła jaka piekielna mara, bo niegodziwiec, silnie ją schwyciwszy, z uśmiechniętą miną, chciał ją teraz przez otwór na ulicę wyprowadzić! Spodziewał się, że z ukochaną swego brata, która nie mogła się doczekać za murami klasztornymi nie tak prędko zdoła

poznać zdrajcę, że pierwej przesunie się z nią obok murzyna; chodziło mu teraz jedynie o pośpiech i odwagę. Ale krzyk Henryki zwrócił nietylko uwagę Hektora, lecz zapewne doszedł Franciszka i Prima; nie udało mu się zatem porwać w tej chwili szybko pożądaną, a przytem mógł się napewno dostać w ręce swoich nieprzyjaciół, którzy teraz byliby z nim na zawsze skończyli.

Wszystkie te myśli przebiegły po główne prędko decydującego się Józefa. Zrzucił płaszcz, oburącz pochwycił gwałtownie opierającą się Henrykę i podniósł ją, pragnąc w ten sposób przenieść na ulicę Foburgo. Wśród ciemności nieprzyjaciele mogli go nie dostrzedz.

Strwożona Henryka uczuła, że ją prześladowca porwał, siłą nadaremnie walczyła przeciw Józefowi, który głowę jej na swej piersi złożył i tym sposobem dostał się do wyjścia.

Hektor mimo burzy usłyszał krzyk, a woląc biegać tu i tam z powodu zimna, pośpieszył do głębokiego obudowania bramy, którą niespodziewanie znalazł otwartą. Mniemał, że któryś z przyjaciół jego pana zdobył klucz i z uratowanym ciężarem wybiegł na ulicę, owszem nawet chciał unoszącemu przyjść w pomoc i zanieść mu płaszcz, gdy wtem usłyszał błagania nieszczęśliwej kobiety.

Wkrótce napotkał Józefa, ale przestraszony cofnął się, bo mniemany umarły w pośród tej okropnej nocy stanął z nim oko w oko; miał wrażenie, że ten ohydny zdrajca powstał z grobu, aby znowu odegnać od jego panów ich upragnioną zdobycz.

Hektor trzymał w ręku szpady, które jego panowie zostawili mu, aby w przejściu przez mur nie przeszkadzały;

bez namysłu zatem wydobył jedną z nich i natarł na Józefa.

Ten okropnie zaklął, postawił na ziemi swą zdobycz ale w lewej ręce tak mocno trzymał jej suknię, że się mu żadną miarą wyrwać nie mogła, prawą zaś także sięgnął po szpadę.

Teraz nastąpił przerażający koncert szczęku broni mieszanego z wyciem burzy, tak, że bez ratunku będącą Henryka padła na kolana i modliła się.

Walczący ciągle trzymał ją mocno za suknię; wtem usłyszawszy zbliżające się głosy, zapewne Prima i Serrany, tak silnie natarł na niewprawnego murzyna, który sądził, iż walczy z duchem, że ten z jękiem upadł na Józefa, czując głęboką, śmiertelną ranę w ciele.

W tej chwili broniący się puścił Henrykę. Z okrzykiem radości i bez namysłu, pomimo ciemności pobiegła natychmiast w ulicę Foburgo.

Józef z trudnością odrzucił od siebie padającego nań olbrzymiego murzyna, potem spostrzegł, iż z klasztornego ogrodu zbliżają się szybko ku otwartej bramie postacie Prima i Serrany.

— Przekleństwo! ona mi się wymknęła, ale jeszcze ją pochwycę! zawołał ze złością zgrzytając zębami, i ruszył w kierunku, w którym tylko co Henryka uciekła.

Hałas, łoskot kroków po flizach, a także i szczęk broni, obudziły braciszka odźwiernego i kilku innych mnichów, którzy rozmarzeni i drżący od zimna wyszli na dziedziniec klasztorny. Widzieli oni jeszcze Prima i Serranę, których z powodu ciemności nie mogli rozpoznać, jak przez otwarte drzwi wychodzili na ulicę, i przeżegnali się, gdy usłyszeli

huk trzech jeden po drugim strzałów.

Franciszek, Topete, który szybko nadbiegł, i Prim, posłali swoje kule za uciekającym z niesłychaną szybkością nieprzyjacielem ich sprawy, którego nazwiska jeszcze nie wiedzieli; pochylili się nad zranionym murzynem i wyciągnęli go z obrębu bramy, którą braciszek odźwierny, ze strachu ani słowa wymówić niezdolny, szybko znowu zatrzasnął na zamek.

Franciszek i Topete pochylili się nad murzynem.

— Kto napadł na ciebie? ciekawie zapytali żądając wyjaśnienia, a Prim tymczasem pozbierał szpady. Gdzie jest donna, którą chcieliśmy uratować? gdzie Henryka, która niedawno tyła z nami, a teraz nagle znikła bez śladu?

Hektor ręką wskazał w stronę ulicy, którą uszła Henryka i którą Józef pośpieszył za nią.

— Co, ona przed tym obcym uciekła? zawołał zdziwiony Franciszek; potem nagle przeczuwając co zaszło, zapytał:

— Jeżeli poznałeś tego obcego, to powiedz nam jego imię?

— Józef, wyjąkał murzyn i krwią zafarbował ulicę.

Trzej rycerze spojrzeli po sobie zdumieni; zdawało się, że każdy z nich nic nie mówiąc święcie poprzysiągł, iż człowieka, który im przygotował nowe nieszczęście, za pierwszem spotkaniem niezawodnie ukarze śmiercią.

Topete z prawdziwie głęboką boleścią spojrzał na Hektora, który padł dzisiaj ofiarą tego niegodziwca i właśnie w tej chwili ostatnie wydał tchnienie.

Ale Franciszek zaledwie doznawszy chwilowej rozkoszy oglądania swojej Henryki, znowu został z nią rozłączony!

Dręczyła go przytem obawa, aby Józef nie dopędził uciekającej bez celu, jak też przekonanie, że teraz na wieki rozstać się musi z Henryką i swem dzieckiem, że ich na wieki utrącą...

Podczas gdy nasi trzej rycerze wkrótce potem czekali na szarzejący poranek, aby zabitego Hektora mogli przenieść do pałacu Topetego, Henryka ujrzawszy się nakoniec wyswobodzoną od wstrzymującej ją silnej pięści Józefa, uciekła wśród ciemności, bez celu i nadziei znalezienia gdziekolwiek przytułku. Musiała się ukrywać, bo inaczej dostałaby się w ręce akwizycji i naraziła na najokropniejsze męki, bo królowa obwiniła ją o zabójstwo własnego dziecka.

Furje trwogi i zwątpienia gnały nieszczęśliwą, która nakoniec nieomylona zmysłem widzenia, słyszała i widziała obejrzawszy się, goniącą za nią postać Józefa. Wyczerpując wszystkie siły, pędziła przez okryte nocą ulice, przez Plac Pedro, przez ulicę Toledo, potem przez inne puste place i uliczki zamieszkane przez nierząd i zbrodnię, nakoniec dostała się na plac Bermudez. Bez tchu, z rozpuszczonym włosem, nic nie słysząc ani widząc, dążyła dalej. Już tylko kilka kroków przedzielało Józefa od niej, już się cieszył, że tak łatwo umknął przed prześladowcami, a pożądaną za kilka chwil znowu pochwyci, już drżące usta Henryki wydały przerażający krzyk, który się głośno rozległ wśród nocy — wtem nieszczęśliwa nagle znikła z przed oczu Józefa szukających jej z wytężeniem, i nigdzie jej znaleźć nie można było.

Józef z szeroko rozwartemi oczyma stanął nad brzegiem

szumiącego Manzanaresu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XXIX.

EL NUDO ESCURRIDIZO.

Dwa lata upłynęło od powyżej opowiedzianych wypadków.

Zanim powrócimy na dwór, dla przypatrzenia się zmianom i następstwom owej okropnej nocy, i zanim się przekonamy czy i jakim sposobem Henryka uszła prześladowań ścigającego ją szatana, musimy czytelnika naszego poznajomić z kilku nowemi osobami, w dalszym biegu wypadków znaczenie mającemi.

Prawie o milę od Madrytu, tam gdzie bukowe i kasztanowe lasy bujnym gąszczem rozciągają się aż do równiny Sierra Guadarrama, leżą na brzegu lasu zapadłe, opuszczone zwaliska. Sądząc po ich rozległości, zapewne w dawnych wiekach było to zamczysko z wielu bocznemi domami; dowodzą tego potężne reszty ścian, zgruchotane filary i dziko w wysokich kupach leżące gruzy. W zeszłych wiekach istniały najdziwniejsze rozmaitego rodzaju wieści o początku tego odległego zamczyska i o jego upadku; nas obchodzić będzie tylko jedno mniemanie, iż ten maurytański zamek dawniej niż przed wiekiem zostawał w posiadaniu niejakiego hrabiego Teby, granda z najdawniejszych rodzin hiszpańskich, który za jakąś złą usługę, tak na siebie ściągnął gniew króla, że z kraju

umykać musiał, a zamek jego wraz ze wszystkiemi budowlami i domami, działami i burzącemi machinami zniszczony został.

Zwaliska tej starożytnej budowli w maurytańskim stylu odtąd służyły za bezpieczne schronienie nocnym ptakom, żebrakom, cyganom i złoczyńcom.

Lecz w ostatnich latach unikano rozległych, złowrogich murów, ponieważ szeroko i daleko rozniosła się wieść, że tam goszczą nieczyste duchy.

Nadchodzi wieczór, dwaj jezdni pędzą właśnie po wąskiej, ze wzgórza na dolinę wiodącej ścieżce, i zbliżają się ku gęsto ocienionemu brzegowi lasu, przy którym w niewielkiej odległości wznoszą się zwaliska zamku Teba. Powstrzymują bieg koni, aby nie prędzej zdążyć do owych zwalisk, aż za nadejściem nocy.

Jeden z dwóch jeźdźców ma na twarzy czarną maskę, nosi spiczasty kapelusz hiszpański z małą czarną opaską, bogato haftowany półpłaszczyk i ozdobne rękawiczki na niewielkiej ręce, w której lekko i z wdziękiem trzyma wodze swojego andaluza.

Jadący za nim towarzysz, który widocznie ma dla niego największe uszanowanie, ale nadto ma obowiązek torować drogę, nie ma maski, lecz również małą, czarną opaskę na hiszpańskim kapeluszu, która bynajmniej nie bije w oczy, bo Hiszpan zawsze lubi stroić się ee wszelkiego rodzaju szarfy i wstążki. Ma on na sobie haftowany, czarny półpłaszczyk aksamitny i takież krótkie spodnie, przy kolanach także czarną opaską przymocowane. Na małej, kształtnej ręce ma czarne rękawiczki, siedzi na czarnym,

dumnym arabie, słowem wygląda tak, że go słusznie czarnym jeźdźcem nazwać można.

Drzewa rzucają cień coraz dłuższy i ciemniejszy, a nagle, zaledwie tarcza słoneczna dosięgła horyzontu, jawi się w górze księżycowa szyba i swoje łagodne ułudne światło miękko jak czarowną tkankę roztacza po wzgórzach i dolinach krajobrazu. Srebrzystemi nićmi obleka on błonia i przyćmionym połyskiem powłóczy brzeg lasu i stare, wypróchniałe pni kasztanów.

Tajemniczy to, ale zarazem nadzwyczaj przyjemny widok, kiedy dwóch jeźdźców raz w cieniu drzew, drugi raz przy świetle księżyca, pomyka na pięknie zbudowanych, parskających rumakach, silną ręką powstrzymywanych. Dodajmy do tego widne w dali, przy niepewnem świetle, części zwalisk Teby i inne zębate powyłupywane mury.

Obaj jeźdźcy skierowali swoje konie wprost do tych murów, i zdawało się, że sprowadza ich tam jakiś cel tajemniczy.

— Spojrzyj-no tam, hrabio Munosina, przemówił jadący przodem don, bo obaj byli nimi bez wątpienia: wszak to jakieś dziecko, jakaś ludzka istota, stoi tam skulona w pobliżu drugiego muru?

— Przebacz, szlachetny panie, odpowiedział drugi jeździec, tylko co hrabią Munosiną nazwany: zdaje mi się, że to skrzywiona, skarłowaciała palma, która stąd widziana, wygląda zupełnie jak skulony człowiek!

— Podejdźmy bliżej, wszak z drogi nie zboczymy! Zawsze jeździliśmy przez las do zwalisk Teby i nie mieliśmy nigdy sposobności przypatrzyć się zjawiskom z

tej strony, ale nie dowierzam zupełnie twoim słowom, hrabio Munosina.

To co obaj jeźdźcy spostrzegli w pobliżu muru oświetlonego niepewnym blaskiem księżyca, rzeczywiście w takiej odległości dziwne wywierało wrażenie.

Kto się zbliżał do zwalisk Teby, napotykał najprzód kupę olbrzymich kamieni, słupów, kamiennych stopni, wysoko w pośród gruzów i wapna nagromadzonych.

Tę pustą kupę w jednem miejscu zasłaniał wyższy, to znowu dalej rozszarpany mur niezwykłej grubości, na którym można jeszcze było dostrzedz ślady bogatych sztukaterji, przy oknach i drzwiach wchodowych.

W wielkiej odległości od tej pierwszej części zwalisk, znajdowano olbrzymie szczątki starego maurytańskiego zamku. W wielu jeszcze miejscach trzymały się ściany na dwadzieścia stóp wysokie, u góry zębate i poszczerbione, nietylko przez burzące machiny, ale nadto nadwyrężone zębem czasu, który wszystko pochłania. Ale tych głównych podstaw olbrzymiego zamku, składających się z razem spojonych ogromnych kamieni, ów niezmordowany ząb mimo swojej potęgi skruszyć nie mógł, bo mu się oparły, i wprawdzie u góry pokruszone i gruzem pokryte, wznosiły się w swojej siwej barwie niezmienne, w pośród nocy, jak niewzruszone dzieło wymarłej generacji. Filary frontowego budynku wraz ze swojemi ostrołukami padły i zaległy wejście tak, że przez nie nikt do zburzonych wewnętrznych zwalisk dostać się nie mógł.

Uszedłszy przy tych długich, pustych murach jakie tysiąc kroków, przybywało się do zawalonych bocznych wież,

trudnych już teraz do rozpoznania, bo one jako dumne dźwignie chorągwi i herbów, do szczętu były zniszczone, i od wielu, wielu wieków stanowiły chaos kamieni, schodów, ścian i łuków, w którym węże i jaszczurki miały swoje kryjówki w którego wilgotnym cieniu rozkoszowało się wszelkie pełzające robactwo.

Tuż pod tym pustym, prawie jak dom wysokim murem, stał ów niski skurczony cień, który hrabia Munosina przy bladem świetle księżyca wziął za karłowatą palmę.

Obaj jeźdźcy zbliżając się do szerokich i długich zwalisk, nieprzerwanie mierzyli wzrokiem ów dziwny, niski cień; a jadący przodem, ów który był w masce i którego towarzysz nazwał „szlachetnym panem“, nie mógł sobie przypomnieć, aby go kiedykolwiek widział, chociaż znał dobrze każdą wystającą część, każdy pogruchotany filar zwalisk Teby.

Z nagła ten niski cień zaczął się poruszać, wyprostowywać i wreszcie znikł z oczu obu jeźdźców, tak niespodzianie, szybko i przebiegle, jakby się pod ziemię zapadł.

— Przez wszystkich świętych! to jakaś nieczysta sprawa! zawołał zamaskowany jeździec; dał ostrogę dziko wspinającemu się koniowi i poskoczył ku części wysokiego muru, w której tak nagle znikł mały, niski cień.

Nic nie wskazywało, aby w wysokiej kupie kamieni mógł się znajdować otwór, w który wślizgnął się ów cień; nigdzie nie można było dopatrzyć jego śladu, chociaż także i hrabia Munosina nadbiegł szybko, szukając kryjówki w słabo oświetlonych zwaliskach.

— Rzecz niepojęta! mruczał wracając na miejsce w którem stał cień.

W tej chwili w pośród nocy księżycowej jakiś na pozór wiekowy człowiek wystąpił z pobliskiego zagłębienia w murze, otwierając znajdujące się tam drzwi, w pośród zwalisk zaledwie dające się dostrzedz. Musiał on już znać obu jeźdźców, chociaż ci go jeszcze nie spostrzegli, bo szybko ku nim podszedł dla potrzymania im koni i przywitania ich głębokim ukłonem, zdejmując swój spiczasty hiszpański kapelusz z czarną opaską.

— Niech Najświętsza Panna będzie z wami dostojny panie, i z wami także, panie hrabio! rzekł pokornie.

Był to zaledwie czterdziesto-letni człowiek, ale można go było uważać najmniej za sześćdziesięcio-letniego. Chodzi zgarbiony i uszedłszy kilka kroków gwałtownie kaszle. Pełne zmarszczek oblicze jego ma siwo-żółtą barwę, usta ma blade, włosy po części białe; tylko żywe oczy dowodzą, że wewnątrz człowiek ten młodszym jest niż się na pozór wydaje. Ręce ma długie i niezgrabne.

— Dajże pokój, stary Frazco, rzekł do niego pierwszy jeździec, nie pozwalając aby skulony mu pomagał; mój dobrze wyuczony Hito stoi jak mur, skoro z niego zsiadłem, a w cieniu tam z tyłu sami poprowadzimy nasze konie. Oszczędzaj twoich nieszczęśliwych członków!

— Przeklęta niech będzie Santa-Madre! mruknął stary Frazco.

— Czy bracia opaskowi już się zgromadzili? spytał pierwszy jeździec, prowadząc konia do ukrytego kąta w murze. Ale hrabia uprzedził go, odebrał cugle dostojnemu

panu, i poprowadził oboje zwierzęta w głęboki cień muru, a potem poszedł za panem ku ukrytym za wystającym murem drzwiom, do których się zbliżyli.

— Panowie opaskowi już się zgromadzili, odpowiedział Frazco. Po raporcie mam dostojnemu panu udzielili jeszcze poufną wiadomość!

— Dobrze, mój stary Frazco, otwórz!

Nacisnąwszy ukrytą sprężynę, przewodnik z łatwością otworzył ukośne, zagłębione drzwi, a zamaskowany i za nim hrabia weszli teraz w wąski korytarz, z trudem wykuty w wieżowym murze, i sprawiający niebezpieczne wrażenie, bo zdawało się, że za najmniejszem poruszeniem cała masa kamieni spadnie i zasypie zanadto im ufających. Korytarz ten prowadził w dół, a więc do głęboko położonych sal byłego zamku Teba.

Stary zamknął drzwi za sobą i poszedł za obu panami, którzy teraz na zakręcie zbliżyli się do muru blisko na dziewięć stóp wysokiego a potem, postępowali po dobrze wyrównanej drodze, nad którą już żadne mury niebezpieczeństwem nie groziły.

Nagle, zamaskowany mający podobnie jak i hrabia u boku szpadę i w otworze kaftana pod półpłaszczykiem złotem wysadzany pistolet, znikł z oczu postępującym za nim i skierował się ku szerokiemu wyłomowi tego wewnętrznego muru, poczem znalazł się w rozległej, czworograniastej przestrzeni, rozwidnionej jedynie bladem światłem księżyca, spadającem z jasnego, mocno błękitnego nieba, na tę u góry zupełnie otwartą starożytną salę.

W tej dziwnej sali, ograniczonej dziko poszczerbionemi, zapadłemi murami, do której wiódł jedynie wyżej opisany przystęp, oczekiwało na nagle przybyłego liczne zgromadzenie poważnych, szanownych mężów. Mimo znacznej ich liczby, tak cichą wiedli grupami między sobą rozmowę, że nadchodzący ani jednego jej słowa nie słyszeli. bogaty hiszpański ubiór prawie ich wszystkich, przekonywał, że obecni są to sami grandowie i znakomici, wysokie stanowiska zajmujący donowie. Większa ich część nosi siwiejące brody, ale są między nimi i młodzi członkowie, wszyscy zaś mają na kapeluszach małe opaski.

Wchodzący, za którym tuż postępował hrabia Munosina, oddaje swój półpłaszczyk usłużnemu Frazce i teraz dopiero widzieć można dziwną ozdobę, wiszącą na szyi „dostojnego pana“ i spadającą na okrywający pierś jego aksamitny kaftan, jest to łańcuch z pereł, na którym świetnie od ciemnego aksamitu odbija wielki złoty krzyż zawieszony na czarnej pętlicy. Wszyscy obecni w tej chwili odkrywają głowy i w milczeniu nisko kłaniają się pozdrawiającemu ich w przechodzie właścicielowi krzyża, który nie zdejmuje z twarzy czarnej maski. Chód jego poważny, ale pełen wdzięku, tak, iż wnosząc z jego układu i bujnego wzrostu, poznać w nim można prawdziwego i wysokiego rodu szlachcica. Zbliżył się nakoniec do wzniesienia, urządzonego nakształt stopni przy ścianie leżącej naprzeciw wejścia zupełnie odpowiadającego dziko nagromadzonemu otoczeniu i zrobionego dziwacznie z dwóch na sobie położonych kamiennych płyt.

Na ten szczególniejszy tron wstępuje właściciel

wielkiego, świecącego krzyża, a hrabia Munosina pozostaje na boku przy stopniach.

Ktoby w tej chwili, niespodzianie i nie dla poznania celu i zamiarów tego poważnego zgromadzenia był je obaczył, miałby wszelki powód do przerażenia się ponurym widokiem, jaki ono przy niepewnem światełku bladego księżyca przedstawiało; mniemałby mimowolnie, iż go przeniesiono w ubiegłe czasy, w których istniały dobrze zorganizowane towarzystwa zbójców i morderców, i w żadnym razie zgromadzenia tego w zwaliskach Teby nie uważałby za dobre.

A jednak cele, do których dążyło tajemne towarzystwo *el nudo escurridizo*, były boskie i piękne!

Istniało ono od ostatnich lat trzech, w których inkwizycja znowu wszystkich przerażać zaczęła i, coraz większą siłą i rozwojem, ścisłe służąc prawdziwej wierze, wiodło walkę na śmierć lub życie z obrzydłem zaćmieniem ducha i z umęczeniem ciała, jakiego owi ludzie błędnej wiary dopuszczali się dla rozszerzenia swojej potęgi po całej ziemi.

Towarzystwo latającej pętlicy walczyło w ukryciu mieczem, słowem, wszelkiemi środkami, jakie w nieograniczonej mierze miało pod ręką, a walczyło przeciw mordercom i złoczyńcom, którzy pozornie pod opieką praw i pod maską religji, od wieków popełniali bezkarnie najstraszliwsze zbrodnie i teraz je na nowo popełniać zaczęli. Związek Latającej Pętlicy poprzysiągł był śmierć inkwizycji.

Pierwiastkowe to tajemne towarzystwo znakomitych i

bogatych hiszpanów, było raczej związkiem zemsty za przewinienia, których rząd nie karał, bądź dla braku dostatecznych dowodów winy, bądź też z powodu, że ci, którzy się ich dopuścili na osobach lub własności, zajmowali wysokie stanowiska, po większej części w hierarchji duchownej.

Po dokonaniu poprzednio tajnego śledztwa, siepacze tego towarzystwa karali winnych na publicznej drodze, latającą pętlicą, czyli duszącem lasso, z doskonałej plecionki, które nawet z dosyć znacznej odległości zręcznie winnemu na szyję zarzucali, dusząc oniemiałego, aż póki ducha nie wyzionął.

Od tego strasznego, cichego narzędzia mordu, niespodzianie spełnianego na wskazanym złoczyńcy, którego duszono bez przelania kropli krwi, wspomniane towarzystwo przybrało nazwę Latającej Pętlicy.

Oto dokładny opis owego lasso, które znała cała Hiszpanja i którego się obawiała.

Na cienkim, zręcznie ukręconym, a około dziesięciu łokci długim stryczku z końskiego włosia, znajduje się w jednym końcu ołowiana kulka, wielkości małego jabłka, silnie do tego końca przytwierdzona, drugi zaś koniec zaokrągla się w kształcie mocnego pierścienia, a niosący to mordercze narzędzie okręca nim całą rękę aż do ramienia. Na przedzie, przy ołowianej kulce, znajduje się na wpół ukryta, na wpół jakby na szyderczą ozdobę przyczepiona czarna kokarda.

Skoro siepacze tajemnego związku otrzymali rozkaz ukarać winnego, można było być pewnym, że ten za kilka

godzin już żyć przestanie, ci bowiem siepacze zręcznością i wytrwałością przewyższają familiarów i zbirów inkwizycji.

Wybrany do wykonania wyroku, skoro niewątpliwie poznał skazanego, czy to on szedł, czy też na najszybszym koniu jechał, natychmiast zarzucał mu na szyję ołowianą kulę z kokardą, ta przelatywała przez mą, lecz nagle pociągnięta, gdy ofiara dalej pędziła, z taką, siłą okręcała się trzy lub cztery razy około szyi trafionego, iż ten w tył padał i przez ściągającego tę pętlicę siepacza bez krzyku uduszony bywał. Siepacze po krótkim przestanku z łatwością zdejmowali gałkę i pętlicę z szyi zmarłego i kara była spełniona.

Wkrótce od tego lasso, zwanego el nudo escurridizo, i całe tajne a straszliwe towarzystwo przybrało ogólną nazwę Latającej Pętlicy (kokardy); a jego sława, strach wywołująca, doszła nietylko do stóp tronu, lecz i do pałacu Santa-Madre! Od dwóch prawie lat stał na czele tego związku ów dostojny pan, którego widzieliśmy wstępującego wraz z hrabią Munosiną do zwalisk Teby, tajemnego miejsca zebrań członków Latającej Pętlicy. Nazwiska jego nikt nie znał, nikt nie wiedział, kto jest wielkim mistrzem, kto nosi wielki krzyż. Pod nazwiskiem Don Ramiro wyświadczył on związkowi tak wielkie usługi, i tak rozumną przemową i radą wprowadzał go na coraz to szlachetniejsze tory, iż jednogłośnie wybrano go mistrzem, tembardziej że miał nawet wpływ u stóp tronu.

On to poprzednio odbywane potajemnie w pośród murów Madrytu zgromadzenia przeniósł do zwalisk Teby, mając do nich niejakie prawo własności; on starego Frazkę,

najzagorzalszego przeciwnika inkwizycji, mianował strażnikiem zwalisk, a stary Frazco był jedynym z braci Latającej Pętlicy, który znał właściwe nazwisko dostojnego pana.

Ale ta tajemnica spoczywała w nim jak w grobie.

Don Ramiro na zebraniach występował zawsze w masce, a nikt nie śmiał żądać widzenia jego rysów lub zbadania ukrytej w nim tajemnicy. Jedni mniemali, że twarz jego odznacza się jakimś wstrętnym znakiem, inni twierdzili, że władza wielkiego mistrza tem większą jest, iż on niewątpliwie obok wysokiego stanowiska w związku silny wywiera wpływ na najwyższe osoby w Hiszpanji, co dozwala mu nazwisko swoje jak największą pokryć ciemnością.

Hrabia Munosina był to bogaty członek grandessv, miał pyszny dom wiejski nieopodal od miasta na drodze do zwalisk Teby leżący, i dla tego prawie zawsze wraz z wielkim mistrzem, w oznaczonych dniach, na tygodniowe obrady przybywał.

Wróćmy teraz do zgromadzenia, skupionego w zapadłych murach u stóp dziwnie sztucznego tronu, dla przekonania się, że tam więcej stanowiono jak na lśniącym złotem tronie królowej na zamku w Madrycie, otoczonym pochlebcami i jezuitami.

— Pozdrawiam was bracia Latającej Pętlicy; mimo małej maski przemówił wielki mistrz tak wyraźnym i donośnym głosem, iż łatwo można sobie wytłumaczyć wielki wpływ jego. Kto z was ma do złożenia ważny raport, albo cierpką skargę do zaniesienia, niech przystąpi i mówi, abyśmy

winnego karą naszą ścigać i dotknąć mogli! Najświętsza Panna sprzyja naszemu związkowi, bo z dnia na dzień wzrasta jego potęga i wpływ! Walczmyż zatem i nadal jednomyślnie przeciw szatanowi inkwizycji.

— Tego pragniemy, ozwały się wszystkie usta.

A Frazco mruknął znowu:

— Przeklęta niech będzie Santa-Madre!

Wtem z pośród obecnych przystąpił bliżej tronu, poważny, dumny Hiszpan. Jego krótki półpłaszczyk, spadający mu z ramion, był bogato haftowany, spinała go kosztowna klamra. Pod nią świecił amulet z niezwykle wielkich brylantów. Twarz miał długą, pełną śladów zbliżającej się starości.

Zdjął kapelusz i ukłonił się wielkiemu mistrzowi.

— Henryk del Arore przybliża się ze skargą, rzekł zginając kolano, głosem drżącym od troski. W ostatnich dniach włos mój pobielał bo wiedzcie Don Ramiro i wy wszyscy szlachetni panowie, którzyście się tu zgromadzili, że mi porwano moją córkę Dolores?

— Opowiedz cały bieg rzeczy, Don Henryku del Arore! z powaga przemówił wielki mistrz.

— Słuchajcie więc i sądźcie! Pałac mój jest zaledwie o tysiąc kroków oddalony od kościoła Antocha. Mieszkam w nim wraz z moją córka Dolores, o której mówią ludzie, że jest piękna! Ale ona więcej cnotliwa niż piękna.

Codziennie chodziła na msze do bliskiego kościoła Antocha. często spowiadała się przed młodym księdzem którego widzieć nie mogła, który jednak musiał rzucać na nią pożadliwem okiem!

Przed kilku dniami, okryta zasłona, wieczorem wyszła z pałacu, powiedziawszy służącej, że idzie do spowiedzi do kościoła Antocha! Czekałem powrotu mojego dziecka, czekałem z trwoga godzin kilka: wtem onanowało mnie złe przeczucie i szybko pobiegłem do kościoła! Szukałem wszędzie, żadnego miejsca nie opuściłem, pośpieszyłem do konfesjonałów; w jednym z nich siedział ksiądz, a z boku klęczała kobieta; pełen nadziei i radości czekałem, aż spowiadająca się powstanie, bo zdawało mi się, że poznałem w niej Dolores, ale to nie była ona! Niech mi Najświętsza Panna przebaczy przekleństwo, jakie ze strwożonych ust moich wyszło! Pospieszyłem do drugiego konfesjonału, był próżny! Jakaś staruszka klęczała niedaleko i odmawiała różaniec!

— Jak dawno klęczycie tu, dobra kobieto? spytałem pełen trwogi.

Stara podniosła wzrok na mnie i dostrzegła moją ojcowską trwogę.

— Od czterech godzin, panie! odpowiedziała.

— A nie widzieliście tu młodej donny przy tym konfesjonale?

— Owszem panie, piękna młoda donna, zaledwie dwudziestoletnia.

— Gdzież ona się podziała? Zaklinam was powiedzcie, złotem opłacę waszą odpowiedź, namyślcie się! zawołałem.

— Młoda donna? Czekajcie, signor: gdzież to ona się podziała? powiedziała stara namyślając się. Czekajcie, to tak było! Ksiądz, u którego się spowiadała, podczas gdy klęczała i modliła się, wyszedł z konfesjonału i oddalił się,

a ona poszła za nim.

— I dawno się to stało?

— Zaledwie przed godziną!

— Poszła za nim, to być nie może, staruszko! Przypomnijcie sobie lepiej, — powiedźcie, ona poszła za nim? zawołałem zdumiony.

— Zaledwie o pięć kroków za nim, szła lekko oświetlonym bocznym korytarzem ku portykowi!

— Przez wszystkich świętych! a czy nie znacie tego księdza?

— Znam panie, to był szanowny ojciec Morino!

— Młody wielki inkwizytor z Santa-Madre! objaśniające rzekł Don Ramiro.

— On to był! przejmującym głosem zawołał grand. Wybiegłem z kościoła Antocha; gdzież się podziało dziecię moje, kiedy do mojego pałacu nie wróciło? Czy słyszycie panowie — ojciec Morino mi je porwał!

— Za pozwoleniem waszem, Don Henryku del Arore, zabrzmiał z pośrodka zgromadzonych głos głęboki: a jeżeli wasza córka Dolores dobrowolnie poszła za księdzem?

— Wtedy przebiję ją własnym sztyletem! zawołał dumnie prostujący się ojciec. Raczej trup jak księża malona!

Nie, nie, panowie, jeszcze nie skończyłem mojego raportu! Pędem pośpieszyłem przez ulice — pytałem spotykanych tu i ówdzie o księdza i o młodą zakwefioną donnę — nakoniec jakaś żebraczka przy świętym obrazie powiedziała mi, że widziała tę parę. Słyszała jak ksiądz mówił do donny: „Chodź za mną; jeżeli pragniesz być

wierną Najświętszej Pannie, przyniosę ci święty amulet z klasztoru dominikanów!“ Lodowaty dreszcz przebiegł po mnie! Pędziłem więc znowu przez różne ulice, aż nakoniec zdyszały dostałem się do klasztoru przy ulicy Foburgo — i z przerażeniem spostrzegłem w tej chwili, jak moja nic nieprzewidująca córka prowadzona przez Morinę znikła w bramie! Leciałem raczej niż biegłem — wściekle biłem pięścią w ponownie zamkniętą bramę — groźnym głosem żądałem, aby mnie wpuszczono i przywoływałem moje dziecię! Wzięto mnie za szaleńca i zagrożono mi włożeniem Sanbenito...[1]

— Przeklęta niech będzie Santa-Madre! mruknął w tej chwili ponuro jakiś głos.

— Moje dziecię — moją Dolores porwano! zakończył stary Henryk del Arore swoją skargę.

— A za trzy dni przypada uroczystość świętego Franciszka! upominające wyrzekł zamaskowany wielki mistrz związku.

Wszyscy obecni poważnie pochylili głowy i spojrzeli po sobie; wszyscy wiedzieli, co znaczy tych słów kilka!

W nocy po dniu świętego Franciszka, ojcowie inkwizycji wyprawiali sobie wielką ucztę!

— Don Henryku del Arore — za trzy dni będziesz miał na powrót swą córkę żywą lub umarłą! powiedział wielki mistrz.

Schylony grand wyprostował się — mimo niepewnego światła, które księżyc rzucał na salę, można było dostrzedz troskę na twarzy nieszczęśliwego.

— Niech się dzieje wola wasza, Don Ramiro, — żywą

lub umarłą, jakkolwiek względem mojej córki rozporządzicie!

Henryk cofnął się do wielkiego koła zgromadzonych; w tej chwili z jego środka zabrzmiał jakiś głos:

— Na dzień świętego Franciszka jeszcze jedną ofiarę mają na oku!

— Wymieńcie ją! odpowiedział wielki mistrz.

— Jest to młoda, piękna kobieta, mieszkająca u Marji Nepardowej! Familjary kręcą się po Manzanaresie — piękna kobieta i jednooka mają być zawleczone do Santa-Madre!

— Jednooka nie warta żadnej litości, odezwał się poważnie inny głos: jest to morderczyni dzieci!

— Była nią — ale od czasu jak owa piękna obca kobieta u niej mieszka, zmieniła rodzaj życia! powiedział pierwszy głos.

Wielki mistrz przerwał tę rozmowę, obracając się do stojącego przy nim hrabiego.

— Miałeś rozkaz hrabio Munosina, wywiedzieć się o tej Marji Nepardowej, ponieważ nam doniesiono o jej bezprawiach — cóżeś widział?

— Jednooka na wyspie nie ma żadnego dziecka, ale mieszka przy niej młoda kobieta, głośno i poważnie odpowiedział zapytany. Inkwizycja kazała sobie dostawić obie te kobiety, aby dostać ową obcą, ładną. Oskarżyciel mówił prawdę!

— A zatem i jej dopomódz potrzeba! rzekł wielki mistrz, i po cichu wydał rozkazy hrabiemu Munozinie; z głębi niepewnie oświetlonej sali przystąpiło do Don Samira

dziesięciu krzepkich, młodych Hiszpanów, a tymczasem związkowi, oddawszy ukłon, pojedynczo opuszczali skryte, szczególniejsze miejsce swoich zebrań. Ci dziesięciu, młodzi i śmiali ludzie, ubrani byli w krótkie ciemne kurtki, w śpiczaste kapelusze z małemi czarnemi opaskami, w czerwonych, szerokich pasach na biodrach, w krótkich aksamitnych spodniach po kolana i w białych, mocno obcisłych pończochach i sandałach, tak, że ich lekkiego chodu prawie słychać nie było. Każdy w prawej ręce trzymał straszną latającą pętlicę.

Z uszanowaniem skłonili się dostojnemu panu i hrabiemu, i otrzymali krótki, stanowczy rozkaz; żadne słowo nie wyszło z ich ust, oddali znowu ukłon pełen prawie wdzięcznego ruchu, na znak, że wszystko zrozumieli i że nic przeciw temu nie mają do nadmienienia.

Zdawało się, że przejęci byli duchem znakomitego, miłego a jednak tak rycerskiego mistrza. Skinął on swą małą, delikatną ręką na znak pożegnania, a jednak ta ręka tak silnie umiała trzymać niebezpieczne wodze, i tak wielką potęgę wywierała!

I hrabia Munosina oddalił się także po głębokim ukłonie, zostawiając dostojnego pana wraz ze starym Frazką w zapadłej sali zamku Teby. Gdy pragnąc wsiąść na konia, przechodził przez korytarz zawalony gruzem i przez ukryte drzwi, właśnie dziesięciu ludzi uzbrojonych w latające pętlice, na pysznych i wiatronogich arabach, jakim podobne posiadała tylko królowa, jechało brzegiem ciemnego kasztanowego lasu ku drodze publicznej.

Munosino wsiadł na koń, a przypominając sobie

widziane poprzednio cudowne zjawisko, opuścił cudnie oświetlone księżycem zwaliska Teby.

— Kto wie, co to był za krążący tu w koło djabeł! mruczał; dosyć że to nie była ludzka istota.

Nagromadzone szczątki, głęboki ich cień, dziwne ich kształty, ich połamane i pokruszone obręby, przy bladem świetle księżyca i wśród nocnej ciszy, wywierały dziwnie ponętne, tajemnicze, a przytem tak dziko starożytne wrażenie, że w pobliżu ich człowiek mimowolnie przejęty był trwogą, a jednak przypomniał sobie miłe bajeczne obrazy. Zwaliska Teby, równie historyczne jak cudnie piękne, skoro je tak jak dzisiejszej nocy oświetlił księżyc, przedstawiały czarowny widok, którego się nigdy nie zapomina, skoro go się raz widziało.

Gdy hrabia Munosina przejechał około ostatniej kupy gruzów, zbliżył się ku cieniowi lasu i właśnie potrząsając głową jeszcze raz obejrzał się za tym cieniem skulonym, który mu się wydał błąkającym się djabłem, z pośrodka dziko nagromadzonych gruzów, powoli nasłuchując i rozglądając się powstała zachwycająca, jasnowłosa główka dziecięca, tak pewna i nieulękniona, jakby z miękkich poduszek, na których nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i wkrótce ukazało się dziecię ułudnie uśmiechające się.

Gdyby teraz hrabia Munosina był powrócił, byłby widział, że tem duchowem zjawiskiem, które poprzednio oszukało jego i dostojnego pana, jest czarowna, pięcio- czy sześcio-letnia dziewczynka; tak piękna, iż ją za małą nimfę wziąć można było. Dzikie lecz naturalne zwoje jasnych włosów spadały jej na prześliczny grzbiet, krótka z

hiszpańska skrojona sukienka ubierała jej delikatne członki ściśle do nich przestające małe trzewiczki osłaniały jej nóżki, radośnie wyciągała nagie ręce wysoko w górę, i tańczyła już to w cieniu zwalisk, już oświetlona blaskiem księżyca, równie zręczna i szczęśliwa jak dziecię Elfów.

— Nie znaleźli mnie, nie znaleźli! — wołała uradowana, tańcując, a dźwięk jej głosu był równie zabawny, miły i ponętny, jak cała jej księżycem oświetlona postać.

— Co też na to powie dobra matka Juanna i ojciec, ten kochany ojciec Frazco! — zawołała radośnie.

1. ↑ *Szkaplerz z żółtego sukna, w który inkwizycja ubierała skazane osoby.*

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXX.

EUGENJA DE MONTIJO.

Gdy don Ramiro dostojny pan, z wielkim, złotym krzyżem na piersiach, pozostał sam wraz ze starym Frazką, w rozległej sali zwalisk, która jeszcze dziwniej wyglądała, bo jej zdruzgotane, niezdobne mury wśród księżycowej nocy stały ponuro w swej siwej barwie, zbliżył się do wielkiego mistrza stary rządca czy odźwierny tajemnego związku.

— Dostojny panie, mam dla was jeszcze jedną wiadomość, — rzekł skulony Frazco, wiadomość arcyważną — tu przerwał mu kaszel.

— To mów, — odpowiedział don Ramiro, biorąc z rąk kaszlącego swój półpłaszczyk i zarzucając go lekko na ramiona.

— Hrabina i donna Eugenia są tutaj! — szepnął Frazco.

Wielki mistrz, mimo maski na twarzy, ucieszył się; tak go ta wiadomość mocno obeszła. Donna Eugenia tutaj? — powtórzył, i w tych słowach odbiło się całe szczęście kochającego serca.

— W przejeździć do Paryża ze swoją dostojną matką hrabiną de Teba! — rzekł zgarbiony starzec.

— Gdzie one są? muszę je widzieć, muszę z niemi mówić! — zawołał mocno wzruszony, przedtem tyle

spokojny dostojny pan, który przybrał nazwisko don Ramiro.

— Sama hrabina JW. panie jest w Madrycie, donna Eugenia zaś przybyła dzisiaj wieczorem do zwalisk swoich ojców, aby pomówić ze starym Frazką i szaloną Juanną, głównie zaś aby mnie zapytać, czy i kiedy może was widzieć. Tego wprawdzie nie powiedziała, ale słyszałem i zrozumiałem wszystko.

— Znasz ludzi! — rzekł z uśmiechem dostojny pan.

— Nie napróżno się człowiek zestarzał. Donnę Eugenię wasza dostojność musi widzieć, dla uwierzenia moim słowom! Jest ona jeszcze piękniejsza, niż wówczas gdyście z młodocianą rozkwitającą córką de Teba...

— Jeszcze piękniejsza niż wówczas? — przerwał don Ramiro staremu, zanim tenże mógł wspomnieć o czasie, przed ośmiu laty.

— Donna Eugenia nie przybyła tu sama. O chodź za mną, dostojny panie, chodź za mną prędko!

Don w małej czarnej masce, skinął na starego, uradowanego Frazkę, aby go prowadził.

Wyszli z pustej sali na dwór, przez wązki, niebezpieczny korytarz a potem przez ukryte drzwi.

Północ zapewne już była bliska; po członkach związku nie pozostało ani śladu; w oświetlonych księżycem zwaliskach dolinach i pagórkach panowała zupełna cisza.

Stary Frazco wraz z dostojnym panem wydobyli się z zamętu zwalisk, otaczających przystęp do tajemnej sali, i przez krótkie wolne miejsce przeszli do niedaleko leżących zwalisk, nieco lepiej utrzymanych niż ruiny samego zamku.

W tej części zwalisk mieszkał stary Frazco z Juanną, swoją żoną. Odosobnieni od świata, żyli już prawie od lat dwudziestu w tej części zwalisk, w której nikt nie mógł się domyślać istnienia ludzkiej duszy.

Stary Frazco służył długi czas u jednego z potomków hr. de Teba, do którego niegdyś to zamczysko należało.

Przed laty prawie dwudziestu, naówczas młody, pełen życia Hiszpan, zaślubił piękną Joannę, ciemnooką Andaluzkę, na widok której mężczyźni stawali zachwyceni, gdy przechodziła przez ulicę sama albo z Frazką. Powiewała tylko jak wonny zefirek, a małemi nóżkami zaledwie dotykała ziemi.

Lecz nieszczęście chciało, aby raz ekwipaż straszliwego króla przejeżdżał obok pięknej Juanny; spojrzała ognistem okiem, i wzrok jej spotkał się z pożądliwym wzrokiem króla, który się jej chciwie przypatrywał.

We dwa dni później Frazco nie znalazł żony w domu!

Rozpacz, gniew, chęć zemsty, zawrzały w gorąco-krwistym młodym Hiszpanie, gdy postrzegł, że mu jego najukochańszą haniebnie porwano.

Sąsiedzi powiedzieli mu, że piękną Joannę zaprowadzono do Santa-Madre, aby tam uczyniła zadość woli króla, który zwrócił na nią uwagę.

— A więc muszę odebrać moją ślubną żonę! — zgrzytając zębami zawołał oburzony Frazco; — muszę ją gwałtem wyrwać z objęć królewskich albo z pałacu przy ulicy Foburgo, na hańbę i wstyd niegodziwych lubieżników!

Ludzie ostrzegali gorąco-krwistego małżonka, któremu

jako dotkniętemu w tem co miał najdroższego, wszystka krew do serca zbiegła.

Frazco pośpieszył do zamku, i domagał się, aby go stawiono przed królem Ferdynandem!

Adjutanci wypchnęli go za drzwi, straże zagroziły mu bagnetami!

— Pragnę odebrać moją żonę! — wołał zrozpaczony Frazco, usiłując ciągłe dostać się do sali, w której ów brzydki król, o byczej głowie i tygrysiem sercu, z szyderczą może miną stał okna i cieszył się bezsilnością wołającego, podczas gdy piękną Joannę gwałtem trzymano.

— Żądam oddania mi żony, którą porwał król Ferdynand! — krzyczał tak straszliwie, iż się nagromadziło mnóstwo ludzi, którzy szemrząc ujęli się za Frazką, a ten chociaż już krwią zbroczony, ciągle usiłował na nowo dostać się do mieszkania króla.

Szmer zmienił się w głośny wściekły wybuch; rozjątrzony naród wziął się do kamieni i broni, aby żołnierzy zamkowych pokonać!

Do tego tylko ten groźny władca, straszny ojciec Izabelli, pragnął ten lud doprowadzić.

Za kilka chwil pułk ułanów oczyścił ulice i plac zamkowy, używszy ostrej broni przeciw stronnikom Frazki.

W kilka godzin później przeszło sto trupów zalegało ulice przyzamkowe, a Frazkę wśród zamętu i wrzawy łatwo schwytano i natychmiast odprowadzono do Santa-Madre, gdzie z rozkazu Ferdynanda miano mu dać pamiątkę na całe życie.

Nieszczęśliwy małżonek pięknej Jonanny został ujęty i

wtrącony do izby tortur, gdzie ojcowie postawiwszy go pod narzędziem męki, przy którem stał zamaskowany Mutaro, pytali: czy chce wyznać, iż wystąpił z fałszywym zarzutem przeciw chrześcijańskiemu monarsze, chociaż wie, że żona jego znajduje się w domu, że więc ten fałszywy zarzut uczyniony był rozmyślnie!

Frazco z przerażeniem i wzgardą spojrzał na szkaradnych sędziów inkwizycji, którzy stali w koło, mocno otuleni swymi kapturami; ze zgrozą ujrzał zamaskowanego kata, stojącego przy palu podobnym do szubienicy, na którego poprzecznej belce widział stryczek.

Mutaro rozwiązywał już węzły...

— Wyznaj bezbożniku, że rozmyślnie oskarżyłeś arcy-chrześcijańskiego króla! — nalegał inkwizytor. Ale Fraz co drżał z gniewu i wściekłości na tak nieograniczone żądanie.

— Precz odemnie, nikczemniku! — wołał w najwyższem uniesieniu. Porwano mi żonę, moja żona jest tu, albo w zamku, aby była shańbiona. Żądam, aby mi była przywrócona!

Na skinienie ojców, zamaskowany kat inkwizycji zbliżył się do wybladłego Frazki, posługacze pochwycili go, Mutaro wsunął mu na głowę obrzydliwą coraza (wysoką, spiczastą czapkę, na której namalowane są djabły i płomienie), włożył na niego Sanbenito z żółtego sukna. Bronił się, ale siły jego słabły, gdy posługacze siłą pod stryczek go powlekli i ręce mu w tył związali, Mutaro zaś pozakładał stryczki na przeguby rąk...

W chwili gdy krew ścięła się w żyłach Frazki, byłby w stanie wyznać i przystać na wszystko, czego jezuici od

niego żądali; ale gdy się zastanowił nad tem, że mu żonę porwano i znieważono, i że ma na to wszystko dać przyzwolenie, na wszystko zdecydowany, zawołał w ostatniej chwili:

— Róbcie ze mną, co chcecie, przeklęta niech będzie Santa-Madre, przeklęty ten, kto mi żonę ukradł!

Wielki inkwizytor, złożywszy ręce podniósł do góry swą nabożną książkę.

Był to niemy znak dla kata!

Posługacze pochwycili drugi koniec stryczka; skrzypiąc podniósł się w górę kloc drewniany, na którym leżał Frazco.

Podniesiono go tak za ręce przynajmniej na dwadzieścia stóp nad ziemią, a ciężkie jego ciało wisiało na stryczkach do rąk tylko przywiązanych! Oczy wyszły mu z głowy, włosy dziko w dół opadły, a z ust mimowolnie wyszedł głośny jęk!

Nagle posługacze puścili koniec stryczka, za pomocą którego podnieśli w górę nieszczęśliwego; z pędem błyskawicy Frazco spadł z wysokości i zawisł zaledwie na stopę od ziemi, kości w nim trzeszczały, ścięgna się wyprężyły, a z bólu stracił przytomność.

Teraz ostrożnie opuszczono stryczek aż na samą ziemię i bezprzytomnemu pokropiono wodą skronie i usta: musiał być przytomnym, aby dalszy ciąg strasznych męczarni nie dopełniał się na człowieku bez czucia! Śmierć jego byłaby nie prędko nastąpiła, bo kat inkwizycji pod tym względem miał pewną miarę.

Gdy nakoniec przerażony Frazco, stękając otworzył oczy, powtórzono stryczkową torturę, i gdy po raz drugi z

nad ziemi podniesiony został, zdawało się, że na stryczkach kołysze się jakaś masa członków i ciała!

Mutaro odwiązał popękane aż do kości przeguby od zakrwawionych stryczków, posługacze złożyli umęczonego na ziemi i pięściami swojemi nastawili jego członki na swoje miejsca.

Wielki inkwizytor jeszcze raz zapytał na pół umarłego Frazki:

— Czy odwołujesz fałszywe swoje oskarżenie?

Dał się słyszeć niezrozumiały gardłowy głos.

— Odwołuje! — powiedział straszliwy mnich; — czy słyszycie? Zanieście go do celi!

Ale ów głos, który wielki inkwizytor wziął za odpowiedź „tak jest“, na jego pytanie, wywołała tylko czerwona, gorąca krew, która popłynęła z piersi i z ust nieszczęśliwego.

Posługacze zanieśli Frazkę do obrzydliwych piwnic Santa-Madre, aby tam znowu odzyskał przytomność i wyszumiał po pierwszych i straszliwych mękach.

Kiedy nakoniec po upływie kilku tygodni odniesiono Frazkę do domu, skaleczał on na wieki, odebrano mu zdrowie, lecz zastał żonę w domu.

Oboje nieszczęśliwi małżonkowie, jakkolwiek rozmaicie, ale równie srogo umęczeni, mieli przed sobą zatrute życie; chorzy na ciele i duszy spoglądali w niezmierną noc bez słonecznego promienia, bez dzieci, bez żadnej przyjemności. Joanna objęła go za szyję, klęczała przy jego łożu boleści, była niewinną całego tego nieszczęścia i niedoli, a jej piękne oblicze, które się

podobało najszkaradniejszemu ze wszystkich zalotników, w ciągu kilku miesięcy przekwitło i sczerniało! Gdyby teraz mógł widzieć piękną Joannę, byłby odskoczył od niej przestraszony. Przyćmione jej oczy straciły blask; jako ofiara miłości siedziała przy łożu biednego Frazki.

Wyzdrowiał, chociaż jedną nogą już stał w grobie! Silna natura dozwoliła się zagoić licznym ranom i sprawiła, że mógł stać i chodzić; ale porwane ścięgna w rękach czyniły je prawie bezwładnemi, piersi zaś miał tak słabe, że przez całe życie nie był już zdolnym do żadnej pracy.

Hrabina de Teba prawie przed dwudziestu laty pokazała mu i darowała ową jeszcze dobrze utrzymaną część zwalisk, aby tam wraz z Joanną miał schronienie. Nie mogła mu wtedy innego udzielić wsparcia, bo po śmierci męża cały swój skromny dochód na wychowanie jedynej córki Eugenji obracać musiała.

Pokrzywiony, biedny Frazco chętnie osiadł w zwaliskach Teby, do których zaraz wrócimy, i był hrabinie równie wdzięczny jak troskliwy o wzrastającą Eugenję, która częstokroć odwiedzała starzejącą się parę, dla zwiedzenia miejsc, w których zamieszkiwali jej przodkowie.

W towarzystwie pani de Monrtjo (tak hrabinę de Teba prawie wszędzie nazywano), tudzież jej zachwycająco rozkwitającej córki, znalazł się wkrótce znakomicie wykształcony i pięknie wychowany młody don. Towarzyszył on często pięknej Eugenji w jej przechadzkach do zwalisk, i przy tej sposobności poznał dziwną małżeńską parę, żyjącą tam w odosobnieniu.

Potem pani de Montijo i jej piękna córka nagle na lat

kilka znikły; a i młody don nie pokazywał się u starego Frazki, który pomimo nędznej swojej budowy ciała, niezwłocznie przystąpił do towarzystwa Latającej Pętlicy, skoro się dowiedział, że towarzystwo to walczy przeciw inkwizycji.

Na jednem ze zgromadzeń tego tajemnego związku, Frazco ujrzał znowu młodego dona, który teraz dopiero dowiedział się, dla czego mieszkaniec zwalisk Teby tak był skurczony. Wkrótce ocalił i był dobrodziejem biednej Joanny i jej nieszczęśliwego małżonka, który każdą rozmowę zwykł był kończyć słowami:

— Przeklęta niech będzie Santa-Madre!

Straszne miał prawo do tego przekleństwa, bo w straszliwym tym pałacu wydarto mu więcej niż życie!

Młody don został mistrzem zgromadzenia, a Frazco zarządcą tajemnego miejsca zgromadzeń, istnienia którego nikt się nie domyślał, oprócz braci Latającej Pętlicy.

Słyszeliśmy, że stary garbus zawiadomił dostojnego pana o przybyciu panny Eugenji, i widzieliśmy, że niezmiernie wzruszony don Ramiro, udał się za poprzedzającym go Frazką, aby po długiej rozłące ujrzeć znowu piękną pannę de Montijo!

Gdy obaj mężczyźni szli szeroką drogą, przedzielającą zwaliska zamku od owych lepiej utrzymanych resztek niegdyś wielkiego i pysznego gmachu, w których mieszkali Joanna i Frazco, w niskiem wejściu do owej budowli ukazały się dwie kobiece postacie.

— Zapewne młodej hrabiance za smutno było w mojem sowiem gnieździe — nic dziwnego — wśród tak jasnej

nocy tu na dworze daleko przyjemniej!

Wielki mistrz zgromadzenia stanął zdumiony. Była to zbliżająca się ku niemu Eugenja de Montijo, teraz wzbogacona takim urokiem i pięknością twarzy, iż don Ramiro utkwił zdziwiony wzrok w tak zachwycającym widoku, który mu w podwójnej ułudzie przedstawił wszystkie nęcące obrazy ponętnej przyszłości.

Ta wspaniała dziewicza postać, niegdyś pałając miłością spoczywała na jego piersi; on zbierał pierwsze pocałunki z jej czarownych ust, które teraz dumnie były ściągnięte, bo Eugenja rozmawiając ze starą Joanną, spostrzegła w niewielkiej, od siebie odległości uprzejmego i przystojnego dona, który posiadał pierwszą nieograniczoną jej miłość. Poznała go, mimo całej maski ukrywającej jego rysy; poznała po wysokiej postawie i wdzięcznych rycerskich ruchach.

Eugenja de Montijo liczy około dwudziestu czterech lat. Cała jej postać odznacza się czarowną skromnością. Jasna woniejąca suknia okrywa jej pięknie wyniosłą kibić; biała zasłona spada z jej czerwono-jasnych, pełnych włosów i otacza ciasno zapięty stanik; na drobnych rękach nosi nadzwyczaj delikatne rękawiczki. Na chwilę Eugenja podniosła swoje ciemne oczy na zbliżającego się ku niej dona — lecz wnet spuściła wzrok, patrząc na bukiet kwitnących granatów, który w ręku trzymała. Na małych, ślicznie wykrojonych ustach igra rys chwilowego zakłopotania, które pragnęłaby ukryć a do którego mijnowoli miesza się jakieś tchnienie smutku.

Czyż i w Eugenji budzi się bolesne wspomnienie

upłynionych lat, na widok szlachetnego pana, do którego niegdyś całą swą skłonność czuła, a może i dzisiaj jeszcze czuje?

Stara Joanna cofa się do swojego zapadłego mieszkania, Frazco udaje się za nią, don zaś ożywiony na nowo budzącym się zapałem, zbliża się do wzruszonej Eugenji. Łagodne światło jasnej księżycowej nocy, jeszcze bardziej rozjaśnia jej wysoką, piękną postać i rzuca czar na tajemniczą tę schadzkę!

Młody szlachcic, ujrzawszy się sam na sam z ukochaną w zapadłych, bezludnych zwaliskach, szybko się do niej przybliża, jak gdyby równie jak niegdyś, miął prawo do złożenia pocałunku na drobnej rączce i ustach pięknej donny de Montijo.

— Moja droga Eugenjo! — szepcą wzruszone jego usta. — Ale już wzniesione ramiona, któremi w zapale gorącej miłości gotów był objąć odnalezioną, zwolna opadają przed chłodnym wzrokiem, na który się Eugenja w tej chwili zdobyć zdołała.

— Eugenjo, nie tak patrzałaś dawniej, kiedy się do ciebie zbliżałem!

— Gdy się do mnie zbliżałeś, szlachetny panie, byłam piętnastoletniem dzieckiem, nieograniczenie ci ufającemu Mniemam, że dzisiaj jesteśmy już inni, i niejeden czyn, na który wówczas z pieszczoty i bez namysłu odważaliśmy się, może dzisiaj pragniemy, aby był uważany za nigdy nie istniejący!

— O nie mów tak do mnie, Eugenjo! — z najwyższym zapałem zawołał don, padając na kolana przed piękną

kochanką z dawnych lat i wyciągając do niej ręce. Owe piękne chwile przeszłości, które pragniesz uważać za niebyłe, są to najpiękniejsze gwiazdy mojego życia; one mi towarzyszyły, one mi ciągle przyświecały: chcesz-że błąkającemu się bez miłości zabrać te gwiazdy, chcesz mu je zagasić? O! tego nie możesz uczynić! świecą one za wysoko, iżbyśmy je sobie wydrzeć mogli, one nie znikają, Eugenjo!

— To właśnie, że ich zagasić nie możemy, stanowi najdotkliwszy punkt w mojem życiu! — wyjąkała donna.

— A Ramiro...

— Jest tutaj; matka moja zaleciła mi, abym uległa żądaniu pańskiemu, aby Ramiro... Eugenja przerwała sobie, dłużej nie mogła powstrzymać radości i bólu z powodu tej schadzki, mającej podwójny cel: już zbyt długo za pałające miłością słowa klęczącego szlachcica płaciła mu spokojem i chłodem! Teraz siły jej wyczerpały się, przebudziła się w niej kochająca kobieta, kiedy wyrzekła słowa, które jej serce rozdarły, słowa, które dumna, różne plany knująca matka jej podyktowała! Matka moja zaleciła mi, abym uległa pańskiemu żądaniu, aby nasze dziecię Ramiro, przy panu pozostało... — przemogła nad nią boleść z powodu podwójnego rozłączenia, na jakie w tej chwili dusza jej skazana została; nie zdolna więc wymówić ani słowa, w obu dłoniach swą twarz ukryła.

Klęczący z drżącem sercem spostrzegł tę nagłą zmianę w Eugenji; powstał radośnie uśmiechnięty.

— Co pierwej mówiłaś, nie płynęło z twojego serca! — zawołał ujmując rękę ukochanej. Błyszcząca łza perliła się

na ciemnych oczach donny, brylant, który w tej chwili tak cudownie zdobił Eugenję i czynił ją tak nietykalną, iż Don Ramiro byłby wszystko poświęcił, aby mógł ukochaną na wieki posiadać! Ktoby w owej chwili szlachetnego wzruszenia był widział piękną Eugenję de Montijo, pojąłby był łatwo, dlaczego, zachwycająca donna zaledwie po upływie pięciu lat została cesarzową!

Tę chwilę miękkości, która przeraziła i pokonała Eugenję, należało także pokonać! Eugenja przybyła dla pożegnania się na wieki, dla zerwania z przeszłością, która skrycie, zarówno dla stojącego przed nią młodego szlachcica, jak i dla niej wielkie miała znaczenie. — Eugenja jeszcze dzisiaj kochała dona, do którego należały pierwsze jej pocałunki! Od owego czasu szczęśliwej miłości donna Montijo licznych miała wielbicieli, w Londynie, w Paryżu, słowem wszędzie, stanowiła środkowy punkt, około którego gromadzili się znakomici panowie, mający wstęp do salonów jej matki. Żadnego z pomiędzy nich nie wybrała, żadnemu nie mogła oddać swej ręki!

Jej piękność i postawa stanowiły w Paryżu przedmiot codziennej rozmowy, tembardziej, że dwaj znakomici panowie, pułkownik Sourvillier i kapitan Flahaut, strzelali się o piękną Eugenję de Montijo!

Ale matka pięknej donny miała względem niej zupełnie inne zamiary; nie sprawiała więc jej przyjemności tajemna zamiana listów między ubóstwianą córką, a młodym szlachcicem zwanym Don Ramiro, lecz bardziej jeszcze martwiła ją uwaga, że donna Eugenja szczególniejsze okazywała przywiązanie do syna owego szlachcica, a pani

de Montijo bądź co bądź pragnęła go usunąć od jej boku!

Przedstawienia, a także i zgoda donny Eugenji na plany matki sprawiły, że przybyła nakoniec do Madrytu, w zamiarze oddania małego, teraz już prawie ośmioletniego Ramiro, jego ojcu na wychowanie, i przy tej sposobności obu ich pożegnać.

Świetna kariera pięknej Eugenji de Montijo, wymagała usunięcia wszelkich przeszkód, wszelkich związków i wspomnień przeszłości, a wyrachowana, zimna i mądra matka, umiała wybornie wspierać pod tym względem piękną córkę silną i przebiegłą radą i czynem! Córka musiała przyrzec matce, że dzisiaj z wolnem sercem wróci ze zwalisk swoich przodków, i pogrzebie tam wszystko, co ją jeszcze z przeszłością wiązało.

Eugenja de Montijo przypomniała sobie to przyrzeczenie, przypomniała sobie również słowa, odnoszące się do jej przyszłości, które z ust matki słyszała, słowa tak ponętnie ważne i wielkie, iż słysząc je serce młodej kobiety zadrżało.

— Musimy się pożegnać, — rzekła Eugenja, ocierając łzy przelotne i zastępując je sztucznym uśmiechem: drogi nasze rozdzielają nas od siebie. Pan zostajesz w Madrycie, matka moja i ja pośpieszamy do Paryża!

— I tam będzie ci łatwiej zerwać z przeszłością i zapomnieć o przysięgach, o Eugenjo! Czyż podobna, aby kobieta zapomniała o swojej miłości? — zawołał w najwyższem uniesieniu młody szlachcic.

— Pytasz pan o więcej niż odpowiedzieć mogę! Kochać więcej niż pana nie będę, wierzaj mi pan, a i pan także nie

możesz mnie kochać dłużej; miłość to zapora na drodze do wszystkiego, co Wielkie i wzniosłe! — odpowiedziała Eugenja dumnie i zarazem z tak głębokiem uczuciem, iż młody don podziwiał ją zdumiony.

— „I pan także dłużej mnie kochać nie możesz?” — powtórzył zamyślony. — Donno bardzo sprawiedliwie! Ale racz tak pilnie unikasz wymienienia niej przecież wymawiałaś je tak Eugenjo, powiedziałaś ro mi powiedzieć, dla czego mojego imienia? Dawniej przecież wymawiałaś je tak często, głosem, który mi dotąd brzmi w uszach, chociaż wiele lat od tego czasu upłynęło. Dla czego unikasz dzisiaj ciągle tego niegdyś tak miłego dla mnie dźwięku? Dlaczego nie wymieniasz mojego imienia?

— Bo je pragnę — bo je muszę zapomnieć!

— Bardzo pięknie, Donno Eugenjo; naprawdę, jeżeli i ja dotąd zawsze zapominałem, jak to kłamać potrzeba, aby zostać wielkim dyplomatą, aby móc wszystko co ciężkie dla duszy ludzkiej, to dzisiaj mógłbym się tego od pani nauczyć na nowo. Unikasz pani wymienienia mojego imienia, bo je zapomnieć pragniesz! Wyborne dyplomatyczne postępowanie, Donno Eugenjo. Szkoda tylko, że cudowna rzecz, w nas istniejąca, a sercem zwana, nie zawsze zgodnie postępuje z tak dobremi myślami głowy.

— Więc należy je do tego zmusić! Nie trzeba nigdy sercu dozwalać przewagi, takie jest wyborne twierdzenie mojej dostojnej matki! Oddaję panu chłopca, który według życzenia pańskiego nazywa się Ramiro — żegnam i jego i pana; w pańskie ręce poruczam jego losy i wiem, że je dobrze poruczam. Złożyć moje losy w ręce pańskie, nie

było nam wolno; miejmyż w tem pociechę, iż wyznaję panu, że najwyższe życzenia nasze zawsze się nie spełniają — może dlatego, abyśmy nie zapomiinali, że jesteśmy ludźmi! — Bądź zdrów na wieki, Don Olozago!

Szlachcic, który jako wielki mistrz tajnego towarzystwa przybrał imię Ramiro, zerwał maskę ze swej twarzy. Tak jest, to Olozaga, żegnający się po raz ostatni z piękną Eugenją de Montijo!

Don Salustjan Olozaga nawet najwierniejszym przyjaciołom swoim nie mówił nigdy o tajemnicach przeszłości, bo może wstydził się, że jego, pożądanego ulubieńca kobiet, przyjemnego dworaka, opuściła wybranka serca, po zupełnem do niego należeniu, aby żyć mogła według życzeń ambitnej matki.

Olozaga przycisnął rozpalone usta do szczupłej rączki pięknej Eugenji de Montijo — ona pozostawiła mu bukiet granatów, który miała przy sobie podczas tego ostatniego widzenia się, — potem z pełnym miłości wyrazem skinęła na ośmioletniego chłopca, który stał u wejścia do zapadłego mieszkania starego Frazki.

— Don Olozago, racz przyjąć twojego syna! — szepnęła wzruszona, i rękę ładnego, niebieskookiego chłopczyka włożyła w ręce szlachcica. Oto ojciec twój, Ramiro, o którym ci tak często opowiadałam; bądź dla niego dobry i posłuszny — i bywaj zdrów!

Chłopak spojrzał wielkiemi oczyma na Olozagę.

— Ty więc jesteś moim ojcem? — zawołał radośnie. — Dzięki Najświętszej Pannie, że jesteś szlachcicem, bo uczyć mnie będziesz fechtunku, strzelania i myśliwstwa!

Eugenja boleśnie uśmiechnęła się.

Ramiro, jest to miłe dziecko! rzekła drżącym głosem i ze szczerością, która aż do głębi duszy przejęła Don Olozagę. Poczem schyliła się do dziecka, serdecznie je uściskała i ucałowała malca nie pojmującego nic, co się z nim dzieje.

Ale gdy Olozaga oddał tymczasem małego Ramiro w opiekę znanej mu oddawna ze wzorowego postępowania starej Joannie i skulonemu Frazce, i gdy donna Eugenja wsiadła na konia, którego jej stary przyprowadził, wtedy Ramiro płacząc dopominał się o swą ukochaną siostrę...

Olozaga przyrzekł chłopcu, że nazajutrz wróci i uczyć go będzie fechtunku i myśliwstwa, a dobra Joanna skłoniła go nakoniec do tego, że powrócił z nią do niskiego zapadłego mieszkania w zwaliskach Teby.

Eugenja skinęła jeszcze raz żegnając go, Olozaga szybko wskoczył na swojego Hito i oboje po nad brzegiem lasu wśród księżycowej nocy podążyli ku dalekiemu Madrytowi, gdzie drogi ich na wieki się rozdzieliły, na wieki rozeszły.

Spojrzyj na te zapadłe mury, Don Olozago! — rzekła w drodze piękna Eugenja de Montijo do niemego towarzysza, wstrzymując na chwilę konia i pokazując mu martwe zwaliska Teby, oto pochowana okazałość, zapadłe zamki! Tak od tej chwili zapada się i przeszłość nasza...

— Miłość jest to zapora na drodze do wszystkiego, co wielkie i wzniosłe! zcicha rzekł Olozaga i dał koniowi ostrogę, tak że oboje popędzili po nocy, jak dwie istoty uciekające przed ścigającemi wspomnieniami.

Gdy stary Frazco, który długo z boleścią patrzał za nimi, chciał wrócić do mieszkania w pośród gruzów dla

należytego urządzenia pokoików, bo mu przybył nowy gość, z dalekiego cienia murów wyskoczyła do niego owa postać dziewczęcia, którą widzieliśmy przedtem: tańcującą i bawiącą się przy świetle księżyca.

— O mój dobry ojcze, Frazco! — pochlebnie zawołała: weźże mnie teraz z sobą do matki Joanny!

— Znowu tak długo byłaś między gruzami wśród księżycowej nocy, ty nimfo! Ej, ja myślałem, że ty już od dawna śpisz w swojem małem łóżeczku, — życzliwie rzekł do małej dziewczynki zgarbiony starzec. Chodźno Joanno, zabierz Marję, ja wezmę naszego nowego gościa, małego Ramiro, i dobra noc!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXI.

DZIEŃ ŚW. FRANCISZKA

Gdy owej straszliwej nocy Henryka, uciekając przed obrzydłym Józefem, którego dech już prawie jej policzków dotykał, którego drżąca ręka już ją prawie chwytała, dostała się na Prado Bermudez, ową osławioną ulicę nad brzegiem Manzanaresu, prowadzącą na podwórze kata, siły jej zupełnie się wyczerpały, jeszcze chwila, a osłabiona byłaby wpadła w ręce szatana ścigającego ją w pocie czoła; — ale natomiast nagle ziemia znikła z pod nóg uciekającej, która już nie mogła krzyczeć, bo przyszła do takiego stanu duszy, w którym obojętne jest dla nas wszystko, cokolwiek się dzieje...

Henryka znikła z przed oczu Józefa...

Wnet fale Manzanaresu zamknęły się nad głową nieszczęśliwej.

Wody czarnej rzeki z powodu dziennego upału jeszcze były dosyć ciepłe, co stanowiło wielki kontrast z szybko oziębiającem się nocnem powietrzem; dla tego to Henryka rozgrzana ściganiem po ulicach, zaledwie zdołała wydostać się znowu na powierzchnię wody, przed którą stał dreszczem przejęty Józef.

Słyszał on gardłowy głos tonącej kobiety, do której rwała się jego dusza; mimo ciemności widział blade ramiona

Henryki niknące w falach, i drżący odwrócił się, bo nie chciał skoczyć na jej ratunek, bo pewny był, że i sam utonie.

Henryka, gdy się zanurzyła, czuła, że ją zmysły opuszczają.

Ale walka ze śmiercią, czy też instynkt zachowawczy sprawiły, że gdy ostatni raz na powierzchnię wody wypłynęła, ruchem rąk broniła się przeciw nowemu zatonięciu! Wypiła już tyle wody, a suknie tak nią przesiąkły, że wszelkie siły wytężała w śmiertelnej trwodze, aby się nie pogrążyć znowu. Ale nawet i tu w nurtach rzeki, myśl o śmierci była dla niej dobrodziejstwem w porównaniu z doznaną obawą dostania się w ręce straszliwego brata jej Franciszka, bo los jej wtedy byłby daleko smutniejszy!

Wtem, gdy dopłynęła do środka Manzanaresu, uczuła, że pęd wody porywa ją i unosi, i że teraz łatwiej na powierzchni utrzymać się może — ale też wielki był czas po temu, bo jeszcze kilka minut, a byłaby postradała resztę sił, jakich jej śmiertelna trwoga użyczyła... ale czy dosięgnie brzegu, czy mimo prądu wkrótce nie uronię? Ciemność nocy nie dozwalała jej rozpoznać stałego lądu! Fale unoszą ją bez ratunku.

Wtem siły ją opuszczają, zdrętwiałe ręce opadają w wodę, z porannym brzaskiem zbliża się jej ostatnia godzina...

— Marjo, dopomóż! — jęczą jej blade usta, coraz bardziej zbliżające się do nadpływającej fali — jeszcze chwila, a Henryka utonie.

Wtem nagle siła prądu wyrzuca ją na ląd, biedną, udręczoną, której życie dotychczas tylko przez krótki czas szczęściem promieniało, wówczas gdy się cieszyła błogą miłością; której dni później upływały w trwodze i niedoli, bo jej wydarto dziecię, wydarto najdroższy klejnot; którą gdy Franciszka swą pełną poświęcenia, najwyższą miłością udarowała, ścigano jako dzieciobójczynię. Biedna udręczona Henryka nie wypiła jeszcze pełnego kielicha cierpień i doświadczeń, bo fala wzgardziła nią, i wyrzuciła na niską wyspę, leżącą na środku Manzanaresu, na której, jak sobie czytelnik przypomni, znajdowała się chuda jednooka.

Henryka leży blada i nieprzytomna na płaskim brzegu wyspy, pod krzakami i palmami; wiatr poranny owiewa jej śmiertelnie blade rysy, a fale moczą jeszcze jej nogi i ręce.

Stara Marja Nepardowa opuściła wyspę, za nadejściem nocy, po otrzymaniu pierścienia, który jej przyniósł posłaniec hrabiny genueńskiej, a który miał być zgubnym dla dziecka, które jej taż hrabina powierzyła. Wiemy, że odpowiedziała posłańcowi przezornej Aji, iż o wszystkiem pamiętała, i że z dziewczynką rzecz zupełnie załatwiona; to znaczyło, że fabrykantka aniołów zabiła ją jak wiele innych dzieci.

Ale stara jednooka, dotąd nie znająca serca Marja Nepardowa, upodobała sobie dziewczynkę, która jak ona nazywała się Marja i pełnem miłości zaufaniem przywiązała się do niej. Dotychczas żadne dziecię tego u niej nie doznało i tego z początku sama sobie wytłumaczyć nie mogła. Ona, która sama nigdy nie była matką, której

całe nieszczęście właśnie od tego pochodziło, zaczęła okazywać miłość jakiej niegdyś nigdy nie czuła, tej obcej, powierzonej sobie dziewczynie, której pozbyć się chciano!

Stara jednooka cieszyła się miłemi słowy, pochlebnemi, pełnemi zaufania przymileniami niewinnego dziecka, i wkrótce pozwoliła, aby paplająca dziewczyna uściskała ją i całowała!

Jakże opuszczone i nieszczęśliwe musiało być to dziecię, skoro mogło zaufać i kochać tę odrażającą Marję Nepardową! Zamiast więc pozbawić ją, podobnie jak inne powierzone sobie dzieci, wszystkiego najpotrzebniejszego, wychowywała i pielęgnowała małą Marję z taką miłością i starannością, iż łatwo można było widzieć, jak dalece to dziecko umiało się wcisnąć w zakamieniałe dotąd serce starej jednookiej. Mała Marja, bez wątpienia, miała być zamordowana równie jak inne dzieci; przekonywała o tem rozmowa z obcą damą, mimo warunku co do pierścienia. Ale Nepardowa uczynić tego nie mogła, chociaż z początku kilkakrotnie usiłowała nie mieć żadnego względu dla niewinnie uśmiechającego się i wyciągającego do niej rączęta dziecięcia.

Gdy więc ukazał się wieczorem ów Joachim, pokazał pierścień i oznajmił, że ma zabrać jej małą Marję, stara jednooka odmówiła mu, i mniemała, że woli obcej, dostojnej donny zupełnie uczyniła zadosyć, skoro kazała jej oświadczyć, że dziecię już dawno nie istnieje!

Pierścień odebrała, ale zatrzymała małą, niczego się nie domyślającą Marję! Skoro posłaniec oddalił się, nachyliła się nad śpiącą i rozważała, czy ona teraz może jeszcze

bezpiecznie przebywać u niej na wyspie, i nakoniec przyszła do przekonania, że owa donna, dla której dziecię tak wiele znaczyło, może przybyć tu niespodzianie, i znalazłszy dziecię, rozgniewać się i zgubić ją.

Bo poznała zaraz przy pierwszym widzeniu się, że ta donna stać musi blisko tronu!

Namyślała się zatem stara jednooka, jakim sposobem ustrzedz małą Marję od prześladowań straszliwej matki, a w każdym razie wypadało wraz z nią opuścić wyspę, bo donna jeszcze tej nocy przybyć może!

Marja Nepardowa owinęła swoją ulubioną w cieple sukno, bo noc była nadzwyczaj chłodna i ciemna, pośpieszyła z nią do małej łodzi, której ciągle używała, pragnąc przeprawić się na drugi brzeg, co działo się tylko pod osłoną nocy; ostrożnie i przezornie, czegoby się nikt po fabrykantce aniołów nie spodziewał, złożyła modrooką Marję w łodzi, po cichu i powoli wiosłowała, aby się nie obudził mały anioł, którego tym razem nie wiodła na śmierć, lecz którego pragnęła ocalić...

Bez szmeru dotykało wody wiosło starej jednookiej, która okiem swojem usiłowała przejrzeć zwykle bezludny brzeg, aby się przekonać, czy nikt na nią nie patrzy. Noc była tak burzliwa i ciemna, iż z trudnością zaledwie uniknąć zdołała kierunku ku Prado Bermudez i na lądzie nic dostrzec nie mogła.

Na dalekich wieżach kościelnych wybiła godzina dziesiąta wieczorna.

Wtem nagle spostrzegła stara Nepardowa, że wzburzone fale rzeki popędziły ją w stronę brzegu, na którym leżało

oparkanione podwórze starego Bermudeza.

Jednooka zadrżała, bo w niewielkiej odległości dostrzegła niski budynek, w którym kat przyłożył do jej oczu rozpalone żelazo. Walczyła przeciw falom, z całej siły robiła wiosłem, to przeciw prącej wodzie, to aby odbić od nienawistnego miejsca na brzegu, które wzbudzało w niej straszliwe wspomnienia.

Ale burza w tem miejscu rzeki, gdzie nic jej nie przeszkadzało, srożyła się coraz bardziej, a lodowaty deszcz nietylko smagał członki stojącej w łodzi jednookiej, lecz także przeciskał się przez okrycie ochraniające małą Marję.

Wtem niespodzianie złamało się wiosło, jak słomka, w ręku starej Nepardowej pozostał tylko kawał kija, a fale całkiem zawładnęły łodzią i popędziły ją przemocą ku brzegowi.

Mała Marja krzyknęła głośno, zbliżyły się czyjeś kroki z podwórza starego Bermudeza ku miejscu brzegu, na którem osiadła łódź: jednooka rozgniewana i przestraszona ujrzała, że brat wraz z parobkiem niosącym za nim pochodnię, przybył na miejsce, w którem ona wraz z dzieckiem chciała wysiąść na ląd, aby nie zostać igraszką fali.

Stary Bermudez słyszał trzask łamiącego się wiosła, prócz tego usłyszał krzyk małej Marji. Zawołał więc parobka, aby przy blasku światła przekonać się, co się dzieje na brzegu.

Stara jednooka usiłowała ukryć się, a tymczasem fale szybko uniosły łódź.

Bermudez spostrzegł, że jakaś kobieta przesuwa się szybko obok niskiego budynku, w którym kat Madrytu

odbywał swoje ćwiczenia. Rozkazał więc parobkowi, aby mu oddał pochodnię i sam schwytał kobietę, dla dowiedzenia się, co to za jedna.

Marja Nepardowa znała dobrze dom ojcowski, z którego wypędzono ją z przekleństwem; znała każdy jego zakątek i zagięcie: więc szybko przebiegła przez dom, pragnąc dostać się do ogrodzenia otaczającego podwórze. Już czuła za sobą parobka swojego brata, i chociażby ją schwytał, nie chciała wydać dziecka w ręce kata, nie chciała, aby Marja pozostała w tem osławionem miejscu.

Ale któż, nagle pomyślała zatrzymawszy się na chwilę, śmiałby wydrzeć jej dziecię?

I zrobiwszy śmiałe postanowienie, jednooka obróciła się do ścigającego ją prześladowcy i do nadchodzącego Bermudeza.

Kat, aby poznać kto to jest, przybliżył pochodnię do obcej, zgarbionej kobiety, której oko błyszczało i na której twarzy malowała się okropna wściekłość... — i zbladł, bo ujrzał Nepardową po raz pierwszy od owej straszliwej kary, jaką na niej dopełnił.

Jednooka przez wysilenie, jakiego wymagało kierowanie łodzią, nie zważając na to, zgubiła czarny plaster, który jej zasłaniał wypalone oko; mały i siwy jej włos unosił się rozpuszczony wiatrem po nad jej głową, a twarz jej oświetlona pochodnią, tak okropnie wyglądała, że kto jej nie znał, mógłby w tej chwili wziąć za piekielnego wyrzutka.

Bermudez spojrzał w pustą, czarną otchłań jej oka, a potem dostrzegł, że mieszkanka wyspy na Manzanaresie

dźwiga na ręku trzyletnie dziecię.

Czyżby więc ludzie oskarżający siostrę kata o mordowanie dzieci mieli rację? Więc Marja, z jednej z nim matki urodzona, jest i dzisiaj taką jak była dawniej straszliwą hieną?

I stary Bermudez uniósł się nadzwyczajnym gniewem, ponieważ przypuszczał, że kobieta, którą zwano jego siostrą, próbowała swojej morderczej ręki na niewinnych dzieciach, poświęciła na śmierć i to nieszczęśliwe dziecię, które trzymała na ręku i którego dziki krzyk doszedł jego uszu.

Stary Bermudez zadrżał na tę myśl.

— Szkaradna hieno — wrzasnął, — czy dotąd jeszcze nie zaniechałaś chęci mordu, czy nie uśmierzyłaś w sobie pragnienia krwi? Mamże cię tu spotykać wraz z twoją nową ofiarą? Precz stąd tam;, gdzie będziesz musiała wyznać, co z tem dzieckiem uczynić zamierzyłaś!

I kat wyrwał jej z ręki płaczącą dziewczynkę.

— Precz z nią do tego domu! — zawołał na parobka, wskazując mu Nepardową, a stawiając dziecię na ziemi.

— Czy chcesz wyjąć mi drugie oko, któreś mi jeszcze zostawił, nędzniku? — Niebo cię ukarze!

— Ukarze mnie, jeżeli cię puszczę z tem, nieszczęśliwem dziecięciem, nie dowiedziawszy się, jakie miałaś względem niego zamiary! Myślisz może, że my tu w Prado Bermudez nie wiemy o twojej sławie, ty fabrykantko aniołów? Precz z tobą, musisz się przyznać!

Parobek powlókł siostrę kata do niskiego budynku, oświetlonego ciemną lampą i zbyt dobrze jej znanego.

Bermudez zostawiwszy dziecię na oparkanionym dziedzińcu, sam dopomógł zaprowadzić Marję Nepardową w bezpieczne miejsce, i w kilka minut później ujrzała się ona w pokoju ćwiczeń kata, obok bloku, do którego była przymocowana wówczas, gdy kochany braciszek ją oślepiał.

— Czego żądasz, okrutniku? Oddaj mi dziecię, które mi odebrałeś, które mi wydrzeć pragniesz, tę jedyną istotę, która mnie kocha i którą ja kocham! — wołała jednooka przejęta trwogą i rozpaczą.

— Czarownico, znamy twoje obrzydłe zamiary, chciałaś dziecię zamordować!

— Przysięgam ci na Matkę Bożą, że nie chciałam.

— Udowodnij niewinność, bo ciąży na tobie mocne podejrzenie!

— Przywołaj tu dziecię, zbójco i zapytaj je sam! Jeżeli ucieknie odemnie, jeżeli u ciebie szukać będzie pomocy, wtedy przywiąż mnie po raz drugi do tego bloku, wtedy sama dam ci na to pozwolenie, niegodziwcze!

— Dziecię z obawy ciebie, nie przyjdzie szukać u mnie pomocy.

— Jeżeli zbliżysz się z dzieckiem, przeklęte niech będzie skinienie mojej ręki, przeklęte każde przynęcające słowo, każde mrugnięcie okiem! Nie, z radością, z miłością, jak do matki, przybiegnie do mnie to dziecię, skoro je przyprowadzisz; szczęśliwe wyciągnie do mnie rączki, nie przymuszone lub wyuczone, lecz powodowane prawdziwą głęboką miłością! Czy może to zrobić dziecię, dręczone bojaźnią, jeżeli widzi, że dręczycielka jego uwięziona, a

ono potrzebuje tylko wyznać prawdę, aby potępić znienawidzoną?

Bermudez rozmyślał się; zdawało się, że projekt jednookiej nieco go objaśniał, ale tak dalece niedowierzał Nepardowej, zwanej fabrykantką aniołów, że pierwej zastanowił się nad tem, czy jednooka w swoim projekcie nie ukrywa jakiegoś podstępu.

— Pilnuj tej kobiety! — rozkazał kat parobkowi; potem wyszedł, aby przyprowadzić dziecię z miejsca, w którem je na dziedzińcu na ziemi zostawił. Noc była tak ciemna i burzliwa, że Bermudez nie znajdując zaraz dziewczynki, z trudnością zdołał przejrzeć w ciemności — nadaremnie szukał, dziecko znikło bez śladu! Zakłopotany Bermudez wołał je, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Pośpieszył napowrót do niskiego budynku, w którym znajdowali się jednooka i parobek, i rozkazał im, aby czemprędzej pomogli mu odszukać dziecię!

Jeżeli Bermudez dotychczas słusznie niedowierzał prawdzie słów swojej siostry, to w chwili śmiertelnej trwogi, malującej się na przeraźliwie brzydkiej twarzy jednookiej, musiał się przekonać, że Nepardowa mówi prawdę.

— Nędzniku, co teraz powiesz? — zawołała w rozpaczy. Nie możesz znaleźć dziecka? Dlaczego wyrwałeś je z pod mojego serca? Moja Marja przepadła! — krzyczała, i gdy Bermudez wychodził z pochodnią, porwała ponurą latarnię, zawsze w środku budynku po nad blokiem gorejącą, pragnąc sama poszukać tego, co było jej najdroższem i czego teraz miała być pozbawiona.

Burza i deszcz wkrótce zgasiły pochodnię kata, tak że wraz z parobkiem szukając po ciemku macał w koło siebie — jednooka zgięta do ziemi i z latarnią w ręku trwożliwie szukająca, błądząc po ciemnością pokrytym dziedzińcu, przedstawiała zgrozą przejmujący widok, a siwe jej włosy dziko rozwiewała burza — światełko latarki rozwidniało miejsce, na którem się znajdowała i czerwono odbijało się na twarzy pokrytej zmarszczkami i fałdami, z której wyglądało niespokojnie błyszczące oko i czarna, obrzydliwa jaskinia.

— Marjo! — z przerwami wołała donośnym głosem: Marjo moja, gdzie jesteś? Kto mi cię zabrał?

Wszelkie poszukiwania i wołania były nadaremne; przejrzano każdą stopę nieprzyjemnego podwórza, a Nepardowa szukała dziecka to za pokrwawionemi deskami, to za wozami i blokami, słowem wszędzie, w mniemaniu, że się przed Bermudezem ukryło, bo wiedziała, iż mimo swych ledwie trzech lat wieku, dziecię dobrze już rozumiało, skąd może mu grozić niebezpieczeństwo.

Gdy jednooka dostała się do ogrodzenia i do bramy wiodącej do Prado Bermudez, a otwartej, wpadła w nieograniczoną wściekłość, drżała na całem ciele i w tej chwili byłaby zdolna zabić siwego Bermudeza, który jej porwał dziecię.

Pochwyciła latarnię, którą dotychczas ostrożnie szukając ponad ziemią trzymała, i cisnęła ją ku stopniom wiodącym do domu kata, który niegdyś był domem jej ojca. Szkło zabrzęczało ponuro, a ciemna noc pokryła jednooką i całe podwórze.

— Przekleństwo na ciebie, ty uprawniony morderco! — przekleństwo na twój dom, na twoją żonę i dziecię! Dlaczego porwałeś biednej jednookiej ostatnie co posiadała? Niepokoiło cię, że twoja rodzona siostra miała się czem cieszyć, że miała dziecię, do którego od młodości tęskniła! Przekleństwo na ciebie, że z radością i namysłem porwałeś mi moją Marję, która przez swą miłość byłaby mnie pojednała znowu z ludźmi! Bo ciebie, wyrzutku, ludzie na wieki z pomiędzy swojego społeczeństwa wytrącili, bo tobą pogardzają i jeszcze bardziej pogardzać będą, skoro się wszyscy dowiedzą, że jesteś moim bratem! Ty się mnie wstydzisz, ty siwy, znienawidzony morderco ludzi, ale ciebie wstydzi się cała ludzkość!

Stara Marja Nepardowa szukała ciągle, a gdy wyszła za bramę idąc ponad brzegiem rzeki i przez Prado Bermudez, długo jeszcze po imieniu wołała dziecka, ale głos jej nie mógł je dosięgnąć!

Gdy łódź jednookiej wyrzucona została na płaski brzegi a mała Marja wydała okrzyk trwogi, który posłyszał stary Bęrmudez, wracał wtedy do domu zgarbiony człowieczyna z narady braci Latającej Pętlicy, która o tej godzinie odbyła się w mieście. Wypadało mu przechodzić około podwórza kata, a potem przez pola i drogi, przez ścieżki i pagórki, aż do brzegu zwalisk Teby, leżących w dali na brzegu lasu.

Stanął więc i słuchał; wyspa, na której mieszkała stara Nepardowa, o której wiedział, że ją nie napróżno nazywano fabrykantką aniołów, musiała leżeć na środku rzeki. Wiedział także, iż stary Bermudez był bratem owej Nepardowej, a teraz nagle usłyszał płacz dziecka na

podwórzu.

Gwałtowna zgroza wstrząsnęła członkami garbatego, kiedy mimo wycia burzy, usiłował rozpoznać co się dzieje za ogrodzeniem.

Ostrożnie zbliżył się do bramy; po cichu, aby go nikt nie słyszał, że otwiera, i aby dzwonek nie zadzwonił, nacisnął drzwi bramy i coraz wyraźniej i bliżej słyszał płacz dziecka! Ale noc była tak ciemna, że nie mógł widzieć nieszczęśliwego dziecka, które według jego mniemania było skazane na śmierć!

Powoli ostrożnie szedł za głosem, aż nakoniec znalazł skurczone na wilgotnej ziemi podwórza, rozpaczliwie płaczące dziecię!

Szybko i zanim krzyknąć mogło, pochwycił je i zamierzywszy bądź co bądź uratować biedną istotę, śpieszył o ile mu nieszczęśliwe członki dozwoliły ku wyjściu, dźwigając ten ciężar dosyć znaczny dla jego małych sił.

Gdy się dostał na ulicę, dziewczynka strwożona i przerażona, zaczęła krzyczeć: ale Frazco uspokoił ją, przyrzekając, że ją odniesie do matki. Rozumiał przez to Joannę, i wyobrażał sobie już zdziwioną twarz małżonki, kiedy wróci do domu z dzieckiem, którego sam nawet nie widział, które może jest chore, niedołężne i odrażające. Ale dziecko wołało ciągle babki Marji, kochanej babki Marji!

Z początku dziwiło to starego Frazkę, bo nie mógł wierzyć, aby dziecię przez to rozumiało fabrykantkę aniołków; potem jednak przyszło mu na myśl, że jednooka może zdołała przywiązać do siebie małą ofiarę, aby tem

pewniej zamordować ją mogła!

Śpieszył więc, ostrożnie owinąwszy dziecię i chroniąc od niepogody, po ścieżce wijącej się to na prawo, to na lewo, której ślad w pośród ciemności nocnej się gubił.

Nakoniec przybył do znanych zwalisk i do mieszkania swojego, znajdującego się w ostatnich murach, gdzie oczekiwała go już niespokojna, poczciwa Joanna.

Opowiedział jej co się stało i oddał dziecię.

— Chwała Najświętszej Pannie! — zawołała Joanna, ściskając rękę starego Frazki, że ci się udało uratować biednego robaczka, postaramy się, aby się uspokoiło!

Gdy matka Joanna zdjęła okrycie z małej Marji i przy świecy okazała ją mężowi, oboje uradowani klasnęli w ręce. To dziecię, ta prześliczna modrooka dziewczynka, miała lat trzy, z początku krzyczała i płakała, ale później strudzona prędko usnęła w łóżeczku, które Joanna skwapliwie jej sporządziła.

Widzieliśmy znowu małą Marję, gdy po trzechletnim pobycie u starych małżonków w zwaliskach Teby, tańczyła i bawiła się przy blasku księżyca; lecz nim dalej losy jej śledzić będziemy, musimy jeszcze raz wrócić do owej strasznej nocy i do starej jednookiej, która nadaremnie szukała swojej małej Marji.

Ponieważ już zaczynało świtać, więc zaniechała poszukiwań i wołania, gniewnie groziła podwórzu brata, który ją znowu pozbawił jedynej istoty ukochanej, potem odczepiła gondolę od znajdujących się w pobliżu pali, aby powrócić na wyspę do pustej chaty!

Rybacy wiedzieli, że od czasu do czasu jednooka używa

ich gondoli, bo po niejakim czasie zawsze im je zwracała, dlatego nie przeszkadzali jej i chętnie ustępowali z drogi.

Stara Nepardowa, która nigdy w dzień nie korzystała z drogi przez Mazanares, ale tylko w nocy opuszczała wyspę i wracała, dzisiaj ż powodu jawiącego się poranku, szybko pragnęła gondolą przebyć rzekę.

Wtem zbliżając się do wyspy, spostrzegła nagle na wpół ukrytą w zaroślach otaczających wyspę, nawpół-martwą młodą kobietę, która leżała częścią na brzegu, częścią w wodzie.

Stara jednooka zaraz poznała, że ową martwą fale wyrzuciły na wyspę; gdy zaś uwiązała gondolę i wyszła z niej, by się zbliżyć do bladej kobiety, ta wydała głębokie westchnienie.

Henryka otworzyła strudzone oczy — ale tylko na chwilkę — potem znowu je zamknęła i śmiertelnie znękana, prawie bliska wiecznego snu, byłaby znowu wpadła w wodę, której fale przedtem nią wzgardziły, gdyby Nepardowa, nie pochwyciła szybko jej ramienia i nie wciągnęła głębiej na wyspę — poczem przyniosła prędko z chaty małą staroświecką flaszeczkę, w której znajdowała się mocno pachnąca woda i potarła nią czoło bezprzytomnej.

Gdy Henryka nakoniec znowu otworzyła oczy, a jej miłe spojrzenie spotkało się ze wzrokiem jednookiej, ta przestraszona i zdziwiona odskoczyła w tył: — tak wielkie znalazła podobieństwo między tą kobietą a dzieckiem, które porwano jej tej nocy? Dziwnem jej się wydawało to, że na swojej wyspie znalazła tę nieszczęśliwą, której blade

oblicze tak mocno przypominało jej utraconą małą Marję, że ujrzała się zniewoloną podać pomocną rękę biednej Henryce. Z trudnością wydarta śmierci, dowlokła się do chaty jednookiej pomiędzy palmami i zaroślami wyspy.

Chociaż widok Marji Nepardowej był tak odrażający, tembardziej, że niezakryta jaskinia utraconego oka jeszcze bardziej zwiększała szkaradę, Henryka jednak schwyciła się podanego sobie ramienia starej, jak ostatniej nadziei życia; nie patrzała na swoją odrażającą zbawczynię, ale z uczuciem wdzięczności trzymała się jej, i wsparta przez nią, wlokła się do chaty, gdzie jednooka suszyła przemokłe, czarne, tu i ówdzie podarte suknie Henryki, dawszy jej inne które ledwie łachmanami można było nazwać, ale zawsze przyjemniejsze i suche, i zaniosła ją na swoje łóżko.

Stara Marja Nepardowa, poznawszy dziwne podobieństwo, czuła że ją coś nagli do niesienia pomocy zesłanej sobie biednej kobiecie. Czuła ona, że z przyczyny małej Marji, która rączkami swojemi tak często obejmowała jej szyję i mimo odrażającej twarzy wyciskała na niej pocałunki, znacznie się zmieniła i bardziej ludzką stała.

Kiedy dotychczas powierzane jej dzieci ciągle ze wstrętem odwracały się od niej i krzycząc uciekały, co bardzo ułatwiało względem nich zamiary i zlecenia, mała Marja stała się dla niej aniołem, który powstrzymywał ją od powtarzania okropności tem, że przystępował do niej, z niewinnym uśmiechem i pieszczotami.

Rozmyślała nad tem stara jednooka siedząc przy łożu śpiącej Henryki, tak podobnej do tego anioła.

Potem jednak posunęła się ku miejscu chaty, w którem stał podobny do ogniska komin, i wyjęła ostrożnie z ukrytej w nim dziury worek z czerwonemi, błyszczącemi pieniędzmi złotemi, aby korzystając z chwili, nasycić oko blaskiem, jaki rozsiewały te nagromadzone pieniądze... budziła się znowu w starej Nepardowej, chciwość, skąpstwo, i chociaż ukradkiem, jednak nie bez żalu spojrzała na miejsce, na którem tak długo istniały posłania nieszczęśliwych skazanych na śmierć dziatek a które teraz były puste — słoma i litości godne kołdry, nie okrywały już schorzałych ciał małych istot — dlatego też nie napełniał się teraz worek, który jednooka trzymała w ręku.

Gdy śpiąca poruszyła się, jednooka szybko się zerwała i ukryła złoto, ale strudzona Henryka jeszcze się nie obudziła; sen po tak strasznej nocy był jej bardzo potrzebny, uspokajał niezmiernie wzruszoną duszę i wyczerpane siły nieszczęśliwej. Z łagodnym uśmiechem na bladej twarzy, mairzyła, że spoczywa w objęciach Franciszka, którego nakoniec po wielu dniach nędzy i udręczenia znowu znalazła — usta jej drżały — śniła, że Franciszek ją całuje!

Błogie obrazy były tak piękne, że śpiąca chętnie przeszłaby z niemi do wieczności...

Gdy Henryka obudziła się, a jej usta wymówiły imię ukochanego, z przerażeniem przekonała się, że wszystko to było tylko snem; w tej chwili nie wiedziała wcale, jak daleko sięga rzeczywistość, a skąd zaczyna się sen! Z trudnością i powoli opamiętała się, że widziała Franciszka w pałacu Azza, że królowa obwiniła ją o morderstwo, że

siepacze ją prześladowali, i myślała, że się znajduje w więzieniu, a wtem obejrzała się po nędznej chacie.

A potem bojaźnią przejęta wyskoczyła z łóżka i zbliżyła się do starej jednookiej.

— Jestem ścigana — ratujcie mnie! Przez wszystkich świętych, ukryjcie i ratujcie mnie! Oni mówią, żem moje dziecię zabiła — ja zabiłam moje dziecię...

I z największą boleścią mówiąc te słowa i załamując ręce, Henryka padła obok Nepardowej.

— Ale wierzcie mi — że to nie prawda! Ja nad życie kochałam moje dziecię — raczej sama sobie byłabym krzywdę wyrządziła, niż mojemu dziecku! Ścigają mnie, siepacze szukają mnie — chcą mnie zawlec do Santa-Madre, brr! dreszcz mnie przejmuje na samo wspomnienie tej nazwy! Uwięziono mnie, posługacze już mnie byli wtrącili do piwnic, ale udało mi się ocalić życie — jednak oni mnie ścigają — oni mnie szukają! Dlatego zlitujcie się nad nieszczęśliwą, nie mającą nigdzie przytułku na ziemi, w którym byłaby bezpieczną, żadnego miejsca, gdzieby spocząć mogła!

Stara Nepardowa naprzód zdziwiona, a potem znowu znajdując wielkie podobieństwo między utraconą Marją a tą niewiastą, nie mającą przytułku, z daleko przyjaźniejszą miną spojrzała na biedną, ściganą przez okrutnych siepaczów inkwizycji.

— Pozostań u mnie, biedna kobieto — ja także byłam wyrzutkiem bez schronienia — ale byłam winna! Pozostań przy mnie, tu cię nikt szukać nie będzie, a gdyby cię szukano, ja cię ukryję!

— Dzięki Najświętszej Pannie! — szepnęła Henryka, wznosząc piękne oczy w niebo, a potem stara Nepardowa opowiedziała jej, jak ją cudownie znalazła i ocaliła.

Henryka jak przez sen przypominała sobie straszliwe przygody zeszłej nocy.

— Ten okrutny Józef ścigał mnie aż do brzegi, noc była czarna — wpadłam w rzekę — potem już nie wiem, co się ze mną stało...

— Fale wyrzuciły cię na moją wyspę.

— To łaska Boska — pozwólcie mi mieć u was schronienie — nie odpychajcie mnie — nie zdradźcie biednej i nie wydajcie niewinnej nieprzyjaciołom — błagała.

— Tu na wyspie jesteś najbezpieczniejsza, tu nie domyślą się twojej obecności ani siepacze, ani kat; wpadła — byś w ich ręce, gdyby cię tu Najświętsza Panna nie przywiodła, dostałabyś się albo do Mutara, albo do mojego brata Bermudeza!

— Do waszego brata...

— Czy ci się to tak strasznem wydaje? Nie potrzebujesz się bać, ja cię mojemu bratu nie wydam — ten łajdak wydarł mi co miałam najdroższego!

Henryka z przerażeniem, spojrzała na jednooką, a słowa jej i obrzydła postać, jak też złowroga w tej chwili twarz, takie na niej sprawiły wrażenie, że aż się zatrzęsła; lecz po chwili przypomniała sobie Henryka, że ta stara pustelnica ofiaruje jej przytułek, że ją przed nieprzyjaciółmi ukrywa! Do tego jeszcze, z trwogi i obawy straszliwych chwil, zaczęły ją boleć wszystkie członki; winna więc była dzięki

Matce Boskiej za to, że nie potrzebowała wałęsać się po ulicach Madrytu.

A że w nieszczęściu nie można być wymagającym — więc się zbliżyła do jedynej ludzkiej istoty, jaka jej pozostała, jakby chciała przebłagać ją, za chwilowe przestraszenie się jednookiej — ujęła jej rękę i dziękowała, że czuła litość dla biednej Henryki, która niegdyś marzyła o wielkości i spodziewała się iść przez życie wsparta na ramieniu Franciszka — a która teraz cieszyć się musiała tem, że wywołaną, unikana fabrykantka aniołów otworzyła chatę swoją dla niej!

Za nadejściem wieczoru, Henryka wsunęła się w kącik i zamyśliła się.

Nagle Nepardowa zerwała się i słuchała.

Ktoś płynął ku wyspie, bo słychać było uderzenia wiosła.

— Idź Henryko! — szybko powiedziała jednooka: — nie wiem, kto tak późno przybywa do mojej chatki, lepiej więc, że przeczekasz na dworze, aż te odwiedziny przeminą!

Henryka obejrzała się w około z pewnym wyrazem trwogi — od wczorajszej nocy tak była zdenerwowana, że wszędzie upatrywała nieprzyjaciół, i mniemała, że ją ścigano — szybko więc wyskoczyła z chaty i w tej chwili znikła pomiędzy drzewami, a tymczasem łódź zbliżała się do brzegu wyspy.

Stara Nepardowa stała we drzwiach chaty i czekała niecierpliwie na przybywającą osobę.

Nakoniec zbliżyła się mocno zakwefiona donna, słusznego wzrostu.

Jednooka struchlała: sprawdził się jej domysł, bo owa

obca, znakomita donna, która jej przyniosła małą Marję, przybyła teraz zapytać o dziecko.

Hrabina genueńska, otulona szerokim ciemnym płaszczem, z twarzą zakwefioną przystąpiła do jednookiej, szybko wzięła ją za rękę, i weszły razem do chaty.

— Marjo Nepardowa — sama przybywam do ciebie, — przemówiła głosem bardziej niż kiedykolwiek groźnym, — przybywam sama, bo służącego, którego do ciebie wysłałam, odprawiłaś słowami, które mnie przeraziły!

Podczas gdy Henryka po cichu zbliżyła się ku drzwiom, aby przez małą w nich szczelinę dostrzec i przekonać się, czy kto nie trafił na jej ślad, odpowiedziała jednooka:

— Dostojna donno, uczyniłam, jak mi rozkazano!

— Przyniosłam ci dziecię, nie dlatego, abyś je aniołem zrobiła, przypomnij sobie moje słowa, lecz abyś je tu wychowała dla mnie w oddaleniu od świata. Powiedziałam ci, że dziecię to jest dla mnie niezmiernie drogie, i groziłam ci moją zemstą w razie, jeżeli gdy go zażądam, ośmielisz się wyznać mi, że znajduje się między aniołami.

— Wiem o tem dobrze, dostojna donno i pamiętam każde wasze słowo!

— A jednak odpowiedziałaś mojemu służącemu...

— Że mała Marja dobrze jest zachowana, dostojna donno!

— Nie wierzyłaś mu, chociaż ci przyniósł pierścień?

— Szmaragd brylantami otoczony, w szmaragdzie królewska korona nad literą G.! Wszystko prawda, dostojna donno! — rzekła jednooka.

Henryka słyszała każde słowo — „Aja“ — wyszeptała i

słuchała dalej z baczną uwagą.

— Przychodzę zatem sama zabrać dziecię, — mówiła znowu hrabina genueńska. Wszystko zależy od tego dziecka!

— Rozkaz wasz jest spełniony, dostojna donno: dziecko, które nazwaliście Marją Henryką — i stara jednooka przerwała sobie na chwilę — które nazwaliście Marją Henryką, jest dobrze umieszczone między aniołami!...

— Biada ci, stara, jeżeli mówisz prawdę!

— Racz dostojna donno, przypomnieć sobie swój rozkaz! Brzmiał on — a Marja Nepardowa ma bardzo młodą pamięć: jeżeli kto, ktokolwiek bądź, przyniesie ci ten pierścień, ma to być dla ciebie, że ja to dziecię... i jednooka następujące słowa wymówiła tak cicho i z takiem wyrachowaniemi aby ich Henryka nie dosłyszała, Aja zaś słuchała jej niespokojna.

— Służący mój, dostojna pani, przyniósł mi ten pierścień! — zakończyła stara Nepardowa.

— Łotr! — pomruknęła hrabina, więc to rzeczywiście prawda, i nie ma już ratunku?

— Sądziłam, że przez moją punktualność zasłużę, na wasze podziękowanie, dostojna donno; a zamiast niego...

— Mamże cię jeszcze wynagrodzić? Za to, żeś mi wyplatała figla, od którego gorszy nie mógł mi się przytrafić. Weź to, byłabym ci dała tysiąc razy więcej, gdybyś się nie była pośpieszyła względem owego fałszywego poselstwa?

Stara Nepardowa przelękła — tysiąc razy więcej, powiedziała donna, a dany jej woreczek był ciężki; kusiło

ją, aby powiedzieć donnie, że dziecię może jeszcze żyje... lecz zastanowiła się nad tem, iż niepewność może jeszcze bardziej rozgniewać donnę, aniżeli pewność, której teraz uwierzyła.

— Wszystko to boli mnie niezmiernie, dostojna donno, — rzekła pokornie; — ale uczyniłam to, co musiałam!

Hrabina genueńska zwróciła się ku drzwiom, Henryka nie mogła dłużej wątpić, że to Aja, — Aja, która jednookiej przyniosła jej dziecię, lecz gdzież ono jest? Nie dostrzegła go w chacie, dręczyła ją zatem straszna niepewność; miałaż wystąpić i Ajęę pociągnąć do odpowiedzialności?

W takim razie wydałaby siebie samą, a ów wąż, którego wzrok, gdy od pierwszego zaraz dnia, w którym go ujrzała, wydał się jej złowrogim, mógł ją zgubić...

Hrabina genueńska zbliżyła się do wyjścia i gwałtowna, rozgniewana wyszła z chatki.

Henryka chciała rzucić się za nią i wstrzymać ją... ale ona nie miała jej dziecka, miała je jednooka, może więc obaczy je i znowu odzyska.

Serce Henryki oczekującej w cieniu drzew z przerażającą niecierpliwością, biło gwałtowniej niż kiedykolwiek, cała jej dusza drżała radością i macierzyńską miłością, miała odnaleźć swój klejnot! W serdecznej modlitwie wzniosła ręce do góry; bo ją fu chyba sama Matka Boska umyślnie sprowadziła!

Henryka wpadła do chatki; tchu jej zabrakło, oczy błyszczały i pałały, szukając błądziły po ciemnej przestrzeni i wołała:

— To moje dziecię przyniosła wam ta kobieta! to moja

Marja, którą miałam za straconą! Oddajcie mi ją, zlitujcie się!

Henryka padła na kolana i wyciągnęła ręce ku jednookiej.

— Wierzę ci, że to było twoje dziecię, bo tak dalece do ciebie podobne, iż przestraszyłam się, ujrzawszy ciebie!

— Tak, to było moje dziecię! — zawołała śmiertelną trwogą przejęta Henryka; gdzieście je podzieli, o mówcie wszystko, odepchnijcie mnie, zamordujcie mnie, tylko mi powiedzcie, że mi go już oddać nie możecie; Dusza moja drży, matka błaga was o oddanie jej najukochańszej istoty, haniebnie sobie wydartej!

I w gorączkowem oczekiwaniu oczy Henryki utkwiły w ustach. Marji Nepardowej, spragnione jej odpowiedzi.

— Twojego dziecka już nie mam! rzekła nakoniec.

Henryka wydała rozdzierający serce okrzyk; z największą obawą oczekiwała stanowczych słów jednookiej, pokładała w niej ostatnią nadzieję, a teraz słyszy te same straszne słowa, które jej rozszarpały już raz macierzyńskie serce.

„Nie mam już twojego dziecka!“

Ostatnie siły Henryki, pożerające ją wzruszenie i poczynająca się choroba, wszystko to na raz się w niej odezwało: Gorączkowe rumieńce wystąpiły na jej twarz niedawno tak bladą, a z ust jej wychodziły słowa bez związku.

— A więc to jej porwano to dziecię! — mruczała stara Nepardowa, ale kto mogła być ta donna, która mi je przyniosła? Przeklęta bądź, nędznico! o gdybym miała teraz

małą Marję!

Zaniosła udręczoną matkę na łóżko, i czuwała przy niej, litowała się nad nieszczęśliwą chorą, i nie spostrzegając tego, coraz bardziej ją zaczynała lubić, bo widziała, że codzień bardziej błąkają się jej myśli i słowa.

Chłodziła pałające czoło Henryki, podawała jej uspakajający napój, aż nareszcie przekonała się, że gorączka zmniejsza się. Prawie się tem ucieszyła i po raz pierwszy musiała sobie przyznać, że ocaliła życie bliźniemu, a nie byłaby tego nigdy uczyniła, gdyby nie podobieństwo Henryki z ową małą Marją, i gdyby Henryka nie była matką dziecka, które jej serce zdobyło! Może byłaby zostawiła Henrykę swojemu losowi, a nawet możeby ją nienawidziła, i wtedy, gdyby posiadała przy sobie małą Marję, z bojaźni, aby prawa matka nie odstręczyła od niej dziecka, — ale mała Marja była dla nich obu stracona, a Henryka podobna była do straconej.

Nieszczęśliwa kobieta podniosła się dopiero po upływie kilku miesięcy. Pozostała przy życiu, dla przyjęcia i przeniesienia na sobie wszelkich udręczeń, a przywykła do wychylenia nierównie przykrzejszego kielicha boleści, zdołała przenieść i tę nową straszną pewność, że jej dziecię na zawsze stracone było dla niej!

Henryka pozostawała ukryta u Marji Nepardowej, gdzie czuła się bezpieczną od prześladowań Józefa i strasznych siepaczów. Prawie trzy dni przebywała w chatce na wyspie, gdy nadszedł dzień św. Franciszka, o którym słyszeliśmy, że wzmiankowano na zgromadzeniu braci Latającej Pętlicy. Jeden głos oświadczył związkowym, że nietylko na ucztę

osławionej nocy, po dniu tym następującej, użytą będzie w Santa-Madre piękna Dolores, lecz że nadto siepacze inkwizycji krążą około wyspy na Manzanaresie, dla schwytania jednookiej, tudzież młodej, pięknej kobiety, która u niej mieszka.

Stara Marja Nepardowa już od kilku dni widziała z pomiędzy cienia drzew, że po Prado Bermudez krążą jakieś podejrzane postacie; zataiła to przed smutną Henryką, nie chcąc mnożyć trosk tej, która zawsze jeszcze myślała o wywiedzeniu się, dokąd dziecię jej owej nocy mogło ujść z podwórza kara.

Ale wieczorem w przeddzień ś. Franciszka, opanowała jednooką dręcząca trwoga, tak, że swojej obawy dłużej powstrzymać nie mogła.

— Henryko, — rzekła ostrzegającym, poważnym tonem: — musimy opuścić wyspę, bo już tu nie jesteśmy pewne!

— Trafili na mój ślad? mów, ty wiesz o tem!

— Tego się właśnie lękam. Jacyś podejrzani ludzie znowu dzisiaj chodzili po tamtym brzegu!

— Czyń co chcesz, tylko ocal mnie i ukryj przed tymi okrutnikami! — błagała Henryka, truchlejąc na samo wspomnienie o tem.

— Jutro skoro tylko wieczór zapadnie, wyruszymy stąd! Trudno mi przyjdzie opuszczać moją chatkę; może znowu kiedykolwiek będziemy mogły wrócić na wyspę; ale teraz nieomylnie grozi nam na niej jak największe niebezpieczeństwo!

I nie myliła się stara Nepardowa!

Józef doniósł hrabinie genueńskiej, pobożnej i

szczególnemi oznakami łaski niebieskiej obdarzonej zakonnicy Rafaeli del Patrocinio, że uciekającą Henrykę ścigał aż do Manzanaresu, i że rzuciła się w nurty. To w zastanawiającej się nad wszystkiem hrabinie wzbudzało mimowolne podejrzenie, że nienawistna jej Henryka może ocalała i dostała się na wyspę Nepardowej.

Dlatego owego wieczoru hrabina genueńska w podwójnym zamiarze odwiedziła jednooką, ale mimo bystro wszystko dostrzegającego wzroku ani śladu Henryki znaleźć nie mogła; tylko gdy gondola od wyspy odpływała, zdało się jej, że między drzewami w dali przebiegła jakaś postać, jednak przypisywała to błędnej fantazji.

Lecz gdy po kilku miesiącach, siepacze inkwizycji, niezmordowanie szukający z rozkazu królowej, nigdzie śladu Henryki nie mogli znaleźć, prześladowanie na pewien czas ustało; przypuszczano bowiem, że obwiniona o morderstwo zginęła w nurtach Manzanaresu. Aż nakoniec familiarowie z Santa-Madre, od znajomych sobie złoczyńców i manoli z ulic Toledo i Prado Bermudez dowiedzieli się, niedługo przed dniem św. Franciszka, że na wyspie Nepardowej przebywa młoda ładna kobieta.

W Santa-Madre nie wątpiono, że należy sprowadzić tę piękną kobietę, a siepacze inkwizycji zostali zaopatrzeni w potrzebne rozkazy i papiery. Na noc we wspomnianym dniu, potrzebowano w wielkim pawilonie klasztornego ogrodu, nie tylko najdelikatniejszych win i potraw wszelkich krajów, ale także i obecności pięknych kobiet na przypadek, jeżeli któremu z wielkich patrów, rozgrzanemu winem, przyjdzie ochota, w głębokiej ciszy na godzinkę,

przekroczyć ślub czystości, który zakonnicy inkwizycji bardziej i chętniej niż wszelkie inne przekraczali.

W dzień św. Franciszka po ulicach miasta przechodziły wielkie procesje. We wszystkich dzielnicach Madrytu widziano Rozariosów, to jest tłumy świętoszków i chytrych żebraków, którzy we dwa rzędy ustawieni, głośno odmawiali różaniec, przerywany jedynie ochrypłym głosem deman — dorów (żebraków), którzy po każdem Zdrowaś Marja wołali:

„Marja santissima del Rosario, hermanos!“ (Dajcie bracia, dla Najświętszej Marji Różańcowej)!

We wszystkich kościołach Hiszpanji odprawiały się msze, a wszystkie obrazy św. Franciszka ubrane były oliwkowym liściem.

Królowa pojechała do kościoła Antocha, do tego miejsca spowiedzi zasekwestrowanego przez jezuitów i inkwizycję; król modlił się w zamkowej kaplicy.

Na ulicach widziano tylko śpieszących z pochylonemi głowami i z książkami do modlitwy nabożnisiów i nabożnisie; tu i ówdzie w habit owinięty mnich, przesuwał się szybko pod domami, a obywatele Madrytu ścigali go niedowierzającem spojrzeniem i ruchami.

I lud nawet doświadczył tyle złego ze strony jezuitów i zakonnic, że ich ciągle do piekła wyprawiał, a Hiszpanie przeklinali ich i przeklinaliby jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, co mnisi i ojcowie w nocy po owym modlitwie poświęconym dniu w swoim zamkniętym pawilonie ogrodowym w Santa Mądre wyprawiali. Zanim będziemy obecni na tej orgji, musimy pierwej wrócić do dworu i do

Franciszka Serrany, aby się dowiedzieć co zaszło w ciągu trzech lat po owej straszliwej nocy.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXII.

TESTAMENT SON MIGUELA SERRANY

Gdy młoda królowa z margrabiną de Beville wróciła do zamku z pałacu Azza, była w jak najlepszym humorze. Ubrana w nową, pełną smaku, różową atłasową suto garnirowaną suknię, w djadem z pereł i brylantów, ukazała się na salonach swoich w pośród licznego towarzystwa grandów i wyższego stopnia oficerów.

Uśmiechnięta, jakby wracała z przechadzki, podczas której rozsiewała dobrodziejstwa, wyglądała dzisiaj piękniej niż kiedykolwiek, przechodząc pomiędzy kłaniającymi się gośćmi, i rozmawiała z niektórymi tak uprzejmie i wesoło, jakby żadnej troski nie znała, a promieniała takiem szczęściem, jakby jej zgoła niezbywało na tem, czego jej dusza pragnęła.

Lecz kiedy spoczęła w samotnym swoim buduarze, gdy margrabina z włosów; jej zdjęła perły i brylanty, a donna Marita rozsunęła portjerę od sypialni, i opuszczając królowę, sama także udała się na spoczynek, spadła z niej lśniąca maska, poważna, stroskana twarz straciła uprzejmy wyraz, i po raz pierwszy na pięknem licu królowej, ukazał się bolesny uśmiech, pełen głębokiego smutku i cierpienia.

— On kocha ją bardziej niż mnie! — wyszeptały jej usta; — i cóż na tem zyskałam, że zniszczyłam jego bladą

Henrykę, jego jedyną myśl i życzenie? cóż zyskałam dopóki ona żyje?

Izabella powstała, drobną ręką podtrzymała otwarte łono, które przedtem tak długo krępowało, i na obliczu jej zabłysła namiętność, dotąd młodej królowej nieznana! Ktoby w tej chwili widział kiedy indziej uśmiechniętą, łagodną, często także nieco fantastycznie poważną twarz Izabelli, cofnąłby się przerażony, bo ujrzałby rys okrutnego Ferdynanda, jej ojca, nagle tej nocy pojawiający się na jej pięknem obliczu.

— Co, gdyby umarła! — z cicha wyszeptała drżącemi ustami: — Santa-Madre umie milczeć!

Z takiemi myślami szatan przystępował także i do okrutnego Ferdynanda, i wtedy naśmiewając się całkiem go porywał w swoje objęcia.

Izabella zlękła się własnej myśli, a przecież musiała się pozbyć uprzywilejowanej rywalki, której obecność straszliwie ją dręczyła. Izabella aż do szaleństwa kochała księcia de la Torre, aby go posiadać, była w stanie uczynić wszystko, i dlatego za żadną cenę nie mogła znieść tego, iż on kochał, przedkładał nad nią i widywał inną!... Pragnęła sama tylko posiadać go! Żądała, aby ją kochał równie niewypowiedzianie i nieograniczenie jak ona jego.

Pełna udręczonych myśli i zamiarów, weszła nakoniec do swojej przecudnej sypialni, w której znajdowało się wszystko, cokolwiek świat pod względem wygody, piękności i ozdoby może wymyślić.

Na ścianie przeciwległej wejściu do buduaru, stało otoczone białą, jedwabną ze złotemi chwastami i haftach

portjerą, miękkie puchowe łoże. Szerokie, białe jedwabne poduszki, z wyszywaniami na rogach, były rozłożone. Nad niemi wisiała złota korona, utrzymująca porjery i sama trzymana przez dwa złote lwy. Obok tego łoża stały białe marmurowe stoliki z najwyszukańszemi przedmiotami toalety, i wielka złota czara ze święconą wodą. Na ścianie przy wejściu wisiały święte obrazy, a poniżej i obok malowidła, przedstawiające w całem pięknem wykończeniu i doborze barw, dostojne panie i panów, tylko lekkiemi zasłonami na lędźwiach okryte. Królowa miała zasypiać mając zwrócone oczy na piękność tych kształtów i obudziwszy się patrzeć na nie, bo wrażenie, jakie sprawiały, miało mieć wielki wpływ na przyszłe potomstwo. Dla tej samej przyczyny i sufit w sypialni ozdobiony był tego rodzaju pięknemi postaciami i barwami, a nad kominkiem z białego marmuru, dla podwyższenia miłego wrażenia na oko i ucho, słowem dla podniecenia zmysłów, umieszczono przyrząd, który za naciśnięciem sprężyny rozsiewał nadziemską muzykę po całym pokoju, tylko przyćmionem rozwidnionem światłem. Ponad tym niewidzialnym zegarem, a raczej harmonją, umieszczona była wysoko, cudownie z nieskazitelnego białego marmuru wyrzeźbiona Matka Boska, a przed nią mała, wiernie gorejąca złota lampka.

Przy poduszkach królewskiego łoża, tam gdzie portjerę można było zupełnie rozsunąć i za złotemi poręczami utwierdzić, stała kolumną, której wysoki wierzch mógł tworzyć mały okrągły stolik. Na niej znajdowały się wszelkiego rodzaju orzeźwiające napoje, tudzież sprężyna,

która za najlżejszem naciśnięciem, głośnemi dźwiękami przywoływała damy dworu i donnę. Miękkie tureckie dywany pokrywały podłogę całego pokoju, tak, że nie można w nim było słyszeć żadnego stąpnięcia, żadnego szmeru.

Dodać jeszcze należy, iż obraz szczególnej wysokości, którego ramy sięgały aż do podłogi, ukrywał za ubiciem drzwi ułatwiające bezpośrednią komunikację z mieszkaniem króla, przez nieprzystępne dla nikogo korytarze. Mały złoty kluczyk, którego nikt spostrzec nie mógł, bo zamek drzwi tych znajdował się w bogato złoconych ramach obrazu, zamykał to przejście i leżał na okrągłym stole marmurowym obok poduszek. Izabella jeszcze nie potrzebowała używać tego złoconego kluczyka, bo małżonek jej, mały król jeszcze nie odwiedził sypialni swojej dostojnej, pięknej i tak powabnej małżonki, którą to okoliczność ten tylko mógł pojąć, kto znał rodzaj życia młodego króla; my już wiedzieliśmy jedną część tego życia, ale dowiemy się z dalszego ciągu opowiadania, że jezuici, oprócz pięknej hrabiny genueńskiej, dostali pod swą władze zniszczonego Franciszka z Assyżu jeszcze i przez powabne Syreny pani Delacour, którą to damę w jednym z następnych rozdziałów odwiedzimy.

Dostojna jego małżonka zresztą wcale się za to nie gniewała, że król nie żądał złotego kluczyka i dotąd nie odwiedził jej sypialni; nie czuła najmniejszej chęci spędzenia miłosnej godziny z tym narzuconym jej małżonkiem, którą to godzinę zachowuje się tylko dla gwałtownie i namiętnie ukochanych. Tak jest, gdyby

Franciszek Serrano był królem, mały złoty kluczyk nie wróciłby nigdy na okrągły marmurowy stolik, a królewski dom hiszpański byłby się doczekał czci!

Izabella myślała o Franciszku Serranie, gdy wdziewała biały nocny kaftanik i spoczęła na bujających jedwabnych poduszkach królewskiego łoża; jego piękna, wyniosła, męska postać znowu w żywych kolorach stanęła jej na oczach; z bijącem sercem wydała głos gniewu, bo pomiędzy nim ii nią ukazał się obraz Henryki. Izabella usiadła na łożu, ona musiała znowu posiadać księcia de la Torre, zupełnie posiadać, choćby to życiem ludzkiem potrzeba było opłacić.

Po kilku godzinach bezsennych, w ciągu których wiła się na poduszkach, wstała i drżącą ręką napisała rozkaz do ojców inkwizycji...

Był to pierwszy złowrogi list młodej królowej do tych okrutnych mieszkańców Santa-Madre, i szczęście, że przybył tam za późno.

Adjutant, któremu polecono doręczenie rozkazu własnoręcznie przez królową zabezpieczętowanego, prędko wrócił i doniósł, że osoba obwiniona o zamordowanie dziecka zeszłej nocy uszła z więzienia Santa-Madre.

Izabella zerwała się, jakby ją żmija ukąsiła.

— Kto mi to zrobił? — zawołała pałająca gniewem. — Henryka umknęła, ale za jakąbądź cenę należy ją wynaleźć i znowu mi dostawić! Taki mój rozkaz!

W tej chwili zameldowano królowej księcia de la Torre.

— Ach, wybornie! — zawołała niezmiernie ucieszona Izabella: — książę może wejść do mojego gabinetu!

Adjutant wyszedł dla przeprowadzenia Franciszka z wielkiej sali do znanego nam, pokoju, w którym Narvaez wyśledził dwoje kochanków.

Ale Izabella stanęła przed kryształowem lustrem swojego buduaru pytając go, czy w tej chwili może mierzyć się z bladą Henryką; chciała dać uczuć księciu swój gniew, a potem, pokazać mu jak go niewypowiedzianie kocha!

Skinęła na damy dworskie, aby pozostały, a margrabina de Beville błękitną atłasową suknię królowej pokryła kosztowną zasłoną, przypiętą do jej włosów kosztowną brylantową agrafą. Królowa poszła sama do małego gabinetu, w którym księcia bez świadków przyjąć chciała.

Weszła powoli, ostro patrząc w oczy kłaniającemu się Franciszkowi swojem pięknem niebieskiem okiem; portjera bez szelestu za nią się zamknęła, upadły ulubieniec stał przed dumnie wyprostowaną królową, zdającą się lubić błękitno-niebieską barwę!

— Mości książę, prosiłeś o posłuchanie, słucham więc, — teraz dopiero spostrzegając, że Franciszek Serrano złotem zdobną szpadę generał-kapitana trzyma w ręku.

— Najjaśniejsza Pani, — mówił Franciszek głosem drżącym ze wzruszenia, które nadaremnie pokonać usiłował, bo ujrzał królową, którą kochał, a która nawzajem podzielając jego miłość, jak to słusznie pojmował, wiele w głębi duszy cierpieć musiała. — Najjaśniejsza Pani, upraszam o uwolnienie mię od służby!

— Czyście już doszli do wysokości, jaka się wznosiła przed wami, gdyście z godnem podziwienia męstwem wstępowali w szeregi naszej armji? Albo może nie

poczytujecie sobie za zaszczyt pozostawać dłużej w naszej służbie, ponieważ wczoraj wieczorem zmuszeni byliśmy dopełnić uwięzienia w waszej obecności? Jesteście bardzo dumni, mości książę, — rzekła Izabella przystępując bliżej do Franciszka — i za bardzo śmiali! Kto odważył się ową uwięzioną uwolnić z piwnic w Santa-Madre?

— Franciszek Serrano to uczynił.

— ı Bardzo dobrze, don Serrano, a więc książę de la Torre, generał-kapitan Hiszpanji nie uczynił tego! Don Serrano, któregośmy bardzo lubili, spuszcza się na to, że — księcia de la Torre nie wydamy katowi! Ale naprawdę, mości książę, nie było to poraz pierwszy, aby władca Hiszpanji kazał ściąć granda za czyn równie zdrożny jak kary godny! Królowa wydałaby taki wyrok na księcia, ale Izabella don Franciszkowi Serranie uczynić tego nie może!

— Żadnej wspaniałomyślności, Najjaśniejsza Pani — byłaby ona nie na miejscu. Racz Wasza Królewska Mość rozkazać jak uważasz za słuszne.

— Nie tak gwałtowonie, don Serrano! Chcemy zapomnieć o wszystkiem, jeżeli uwiadomicie nas, gdzie przebywa owa dzieciobójczyni, którą w niezmierzonej wspaniałomyślności swojej oswobodziliście!

— Królowo, czyliż raczysz mnie uważać za tyle bezczelnego, iż dla ocalenia mojej głowy, zdolny będę dopuści się takiej zdrady? Oto raczej wydaj zaraz rozkaz Bermudezowi, a ja sam go odniosę! — z tak szlachetnym zapałem zawołał Serrano i w tej chybili tak pięknie wyglądał, że Izabella przez chwilę milcząc podziwiać go musiała.

— Skoro tak, to królowa prosi was, abyście jej powiedzieli, gdzie się znajduje owa Henryka — czy to dla was jeszcze nie dosyć don Serrano?

— Smutna to tajemnica, Najjaśniejsza Pani, — poważnie powiedział Franciszek, bo doniesiono mi, że Józef Serrano śmierć gonił za nieszczęśliwą aż do Manzanaresu, i że ona w nurtach rzeki śmierć znalazła.

— Miałażby nie żyć ta Henryka? — niecierpliwie spytała królowa.

— Tak mi przed chwilą doniesiono, Najjaśniejsza Pani. Woda nie pozostawia śladów, po których dojśćby można do odebrania jej ciała nieszczęśliwej!

Wiadomość ta mocno przeraziła królowę, ale wkrótce na obliczu jej odmalowało się wewnętrzne zadowolenie.

— I mości książę żądasz uwolnienia? Czyliż was ta żałobna wiadomość tyle znękała, iż szpady udźwignąć już nie możecie? Myśleliśmy, że śmierć w nurtach rzeki znośniejsza od śmierci czekającej dzieciobójczynię.

— Na Najświętszą Matkę Boga zaklinam się, że Henryka była niewinną! — z ożywieniem zawołał Franciszek Serrano.

— Zdaje się, żeście zbyt pewni możności wykonania przysięgi za kogo innego; dajmy temu pokój! — markotnie odparła królowa.

— Pozostaje mi zatem upraszać, abym szpadę generał-kapitana, którą w pięknej godzinie z rąk waszych otrzymałem, mógł oddać w te same ręce, abyście przyjąć ją raczyli równie niesplamioną, jak ją przyjąłem, — powiedział Franciszek Serrano, uginając kolano i pałającym

wzrokiem patrzącej na niego królowej, podając szpadę ze złoconą rękojeścią.

— Mości książę de la Torre, co zaszło między dniem, w którym wam tę godność udzieliliśmy, a dniem dzisiejszym, już przeminęło.

— Zarazem otrzymałem inną jeszcze wiadomość, która mnie niezmiernie zmartwiła! Don Miguel Serrano mocno zachorował i synów swoich jeszcze raz widzieć zapragnął.

— Wasz wielce szanowny ojciec? O! skoro tak, śpieszcie, śpieszcie niezwłocznie do zamku Delmonte i zanieście dla niego moje najszczersze życzenia! — z zapałem rzekła Izabella.

— Syn dzięki za to składa swojej monarchini! Gdybym nie mógł opuścić mojego chorego, umierającego ojca, upraszam Waszą Królewską Mość o oddanie szpady napowrót temu szlachcicowi, który ją z mojej przyczyny utracił. Czyli i kiedy do Madrytu wrócę, o tem dzisiaj nic jeszcze stanowczego wyrzec nie mogę.

— Dowód naszej najwyższej łaski przyjmujemy napowrót niechętnie i tylko na wyraźne wasze życzenie, mości książę! Oby Najświętsza Panna dozwoliła, abyście tam wkrótce udzielić mogli dobrych wiadomości o waszym szanownym ojcu! Nie zwykliśmy, don Serrano, widzieć was klęczącego przed nami! — dodała królowa z życzliwą miną podając Franciszkowi rękę, na znak, by powstał. Miejcie się dobrze przez czas nieobecności waszej w Madrycie; spodziewamy się jednak, że niedługo brakować nam was będzie, bo jak wiecie, mością książę, potrzebujemy jeszcze bardzo usilnie dzielnych mieczów, i rachujemy na to, że się

od sprawy naszej nie odwrócicie, toby nas więcej bolało, niż...

I królowa, z poważną, prawie bolejącą miną, zamilkła.

— Franciszek Serrano pozostanie wam wiernym, królowo; ramię jego służyć wam będzie jeszcze gorliwiej niż dotąd, jeżeli nie tu na dworze, to daleko na polu walki! Liczcie na mnie i żądajcie odemnie czegokolwiekbądź — Franciszek Serrano gotów pójść na śmierć za swoją królową — to nie są czcze słowa, Najjaśniejsza Pani!

— Rana, której włos wasz ukryć nie może, silniej jak wszystkie inne ręczy za prawdę słów waszych! Niech Was Najświętsza Panna prowadzi Franciszku, i niech przywróci zdrowie ojcu waszemu, abyście niedługo od nas oddaleni byli, — z całą życzliwością wyrzekła Izabella. — Nasze życzenia i myśli towarzyszyć wam będą!

I na pożegnanie, skinęła piękną małą rączką — poczem znikła za portjerą.

Franciszek, pożegnawszy Prima i Topetego, wyjechał jeszcze tego samego dnia do zamku Delmonte swoim eleganckim powozem i w towarzystwie tylko jednego lokaja. Don Miguel Serrano z ojcowską dumą patrzał na świetną karjerę starszego syna — jednak na wiekiem steranej twarzy i na duszy jego ciążyła wielka troska! Stary grand obok powierzchownej surowości miał miękkie serce i był prawym człowiekiem; jeżeli go co wzruszyło, to zasługiwało na zupełne jego współczucie.

Gdy po wyjeździe Franciszka do Madrytu don Miguel dowiedział się, że owa biedna kobieta, przez jego syna uwiedziona Henryka, paznokciami wykopała sobie wyjście

z okropnego pawilonu i bez celu rzuciła się w objęcia nędzy, wzruszył się niezmiernie, i musiał wyznać przed sobą, że jego pierworodny dźwigał na sobie całą winę nieszczęścia Henryki, i że on sam powiększył to nieszczęście, dając wiarę podszeptom brata Franciszka.

Od tej chwili siwy Serrano niezmiernie był zimny dla obu swoich synów, co zupełnie odpowiadało jego charakterowi. Gdy następnie, chociaż tylko w części, dowiedział się o niegodziwościach Józefa, zapalił się widocznym gniewem na niego, a także i świetna karjera Franciszka nie mogła zatrzeć plamy, jaką wina jego co do Henryki pozostawiła u duszy don Miguela.

Dotknięty ciężką chorobą, kontent był, że zawczasu spisał swoją ostatnią wolę; a gdy uczuł, że zbliża się jego ostatnia godzina, kazał napisać do obu synów, aby pośpieszyli do jego śmiertelnego łoża.

Józef pierwszy, z obłudną miną, uczynił zadosyć temu rozkazowi; dniem pierwej niż Franciszek stanął przed umierającym starcem, i chytrością usiłował pozyskać sobie ojca; usiłował przedstawić mu w najlepszem świetle co uczynił, Franciszka zaś obmawiał jako niegodziwca. Ale stary don Miguel słuchał wprawdzie słów młodszego syna, lecz wierzył tylko w to, co według doświadczenia i faktów za godne wiary uznawał. Józef spokojnie liczył przemijające godziny, Franciszek nie przybywał, a don Miguel słabł coraz bardziej, miał więc nadzieję, że uprzedzi we wszystkiem spóźniającego się.

— Starzec gasnącym głosem przywoływał pierworodnego, i teraz pokazało się dopiero, że Franciszka

więcej kochał.

— Nie ma czasu pośpieszyć do łoża boleści swojego ojca, — mówił mu nienawistnym tonem obrzydły Józef; przybędzie gdy nadejdzie czas podziału!

— Biada ojcu, który ma takich synów! — jęknął stary.

W tej chwili wszedł do pokoju blady Franciszek i po cichu zbliżył się do łoża umierającego ojca. Nie zwróciwszy nawet spojrzenia na znienawidzonego brata, pełen głębokiej dla niego pogardy, pochylił się nad ukochanym ojcem, który z pogodnym uśmiechem spostrzegł go i poznał.

— Jesteś nareszcie, mój Franciszku! — wymówił, a tymczasem Józef zgrzytając zębami przystąpił do okna, by nie być świadkiem sceny, wzbudzającej w nim gniew i zazdrość. — Twój umierający ojciec od dawna już przywołuje cię. Dzięki Najświętszej Pannie, że mi cię jeszcze widzieć dozwoliła!

Franciszek ukląkł i ucałował podaną sobie rękę don Miguela.

— Trzeba nam się pożegnać — nie gniewaj się na mnie — uczyniłem co w sercu mojem za najlepsze uważałem, bądź dobry, mężny i wierny twojej królowej!

— O, że też na takie pożegnanie przybyć musiałem! Dlaczegóż chcesz nas już ojcze opuścić! — wołał niezmiernie stroskany Franciszek.

— Donna Elwira — twoja matka — oczekuje mnie — bądź zdrów — przyjm więc błogosławieństwo!

Umierający don Miguel w tej chwili widział tylko obok siebie klęczącego Franciszka, zatem ciężką już ręką

błogosławiąc dotknął tylko jego głowy, a Józef niewzruszony pozostał na boku.

— Umarł! — wyszeptały jego usta, gdy z boku rzucone na łoże spojrzenie przekonało go, że don Miguel bez życia opadł na poduszki. — Przybyłeś zapewne, aby mi moją część odebrać, dumny książę! — dodał szyderczo i tak cicho, że modlący się na klęczkach don Franciszek usłyszeć nie mógł. Cyganka przepowiedziała ci królewską koronę, do książęcej rzeczywiście już dosięgłeś! Ale teraz już się twoja miara przebrała! Jakże cię nienawidzę! Musisz ustąpić z tego świata, chociażbym serdeczną krwią moją opłacić miał wszystkich szatanów; dwa razy uszedłeś mi, bracie Franciszku — trzeci raz może mi się lepiej powiedzie!

Smutna wiadomość o śmierci don Miguela Serrany szybko rozeszła się po okolicy, i nietylko liczni oficjaliści i robotnicy licznych posiadłości wkrótce otoczyli katafalk zmarłego, którego kochali, lecz także i właściciele sąsiednich wielkich majątków przybyli oddać ostatnią cześć zwłokom powszechnie lubionego don Miguela. W wielkiej wysokiej piwnicy, przechowywującej trumny jego przodków, i on znalazł miejsce wiecznego spoczynku. Królowa na znak współczucia, przysłała na pogrzeb księcia Walencji, może dlatego, aby przy sarkofagu dona z Delmontu, zawarł pokój z jego synem!

I rzeczywiście, Narvaez, który znowu przyjął szpadę generał-kapitana, głównie dlatego, że potrzebny był dworowi w Madrycie, podał księciu de la Torre rękę zgody. Człowiek bez serca, uczynił to może powodowany

widokiem podwójnej boleści dumnego don Serrany, któremu śmierć zabrała ojca, a nikczemność brata.

Gdy przybył sąd z Bedoi dla spełnienia ostatniej woli dona z Delmontu i gdy otworzono testament, nikt bardziej jak Józef nie był ciekawy poznać jego treści.

Ale testament don Miguela Serrany brzmiał następująco:

„Ja niżej podpisany, po należytej rozwadze i przytomny na umyśle, dzisiaj dnia 1 listopada 1845 roku, stanowię co następuje; Majątek Delmonte ze wszystkiemi przyległościami, z zamkiem i wszelkiemi zabudowaniami, tak jaki będzie stan jego w dniu mojej śmierci, zapisuję i przekazuję w nieograniczone posiadanie, byłej słudze mojej małżonki, signorze Henryce Armero i jej zstępnym. Jestem jej tak wiele winien, że przez to dziedzictwo tylko część długu mojego spłacam.

„Moją zaś gotowiznę wynoszącą około dwóch miljonów złotych dublonów, jak o tem przekonać mogą księgi mojego rządcy Eleonarda, zapisuję nie signorze Henryce, ale rozporządzam nią jak następuje:

„Mój starszy syn Franciszek otrzymuje połowę tego mienia, mój drugi syn Józef część obowiązkową, resztą zaś pieniędzy Eleonardo, rozporządzać ma póty, aż jeden z moich wyżej wspomnianych synów będzie miał prawnie, przez Kościół uwierzytelnione dzieci. Pierwszy wnuk odziedziczy tę sumę jako spadkobierca mojego nazwiska. To rozkazuję spełnić niezwłocznie i wykonać wolę moją. Don Miguel Serrano y Dominguez de Delmonte“.

Ta dobroć ojca rozrzewniła Franciszka, lecz nastąpiła ona za późno, bo Henryka już nie żyła, według jego zdania.

Józef stwierdził to mniemanie, bo podyktował sądowi zeznanie, że Henryka utonęła w nurtach Manzanaresu.

Ale w testamencie wyrażono było: „jej i jej zstępnym.“

Ta klauzula zatem pokrzyżowała wyrachowanie Józefa. Sędziowie postanowili, że majątek Delmonte ma być oddany w administrację do czasu aż znajdzie się spadkobierca Henryki!

Józef, który spodziewał się na pewno znakomitej sumy, miotany wściekłością, że z swoją częścią obowiązkową wyszedł tak dobrze jak z próżnemi rękami. To podżegło w nim nienawiść do Franciszka i wznieciło w nim ślepą chęć zgubienia brata.

Dwaj bracia przez czas pogrzebu ojca i podziału majątku, mieszkali pod jednym dachem, ale każdy w osobnem skrzydle, każdy unikając widoku jeden drugiego. Owszem nawet Franciszek w każdej chwili gotów był białą bronią odeprzeć napad Józefa, bo go się spodziewał!

Znał on dobrze swojego brata i nie omylił się!

Gdy po upływie pierwszych tygodni żałoby, Franciszek w towarzystwie służącego swoim powozem zamierzył powrócić do Madrytu i nocą przejeżdżał przez las Bedoi, nagle napadł na niego oddział jezdnych, którzy wołając:

— W imieniu królowej! — pochwycili za cugle konie Franciszka, a stangretowi i lokajowi zagrozili nabitemi pistoletami.

W lesie i na wązkiej drodze przezeń prowadzącej było nadzwyczaj ciemno, tak, że Franciszek zaledwie mógł rozpoznać ilu było napastników i czy byli w mundurach; zaraz więc powziął podejrzenie, że ci łotrowie mający na

ustach imię królowej, są to najęci rabusie, którzy pod przywództwem Józefa śmierć mu poprzysięgli.

Bez namysłu więc otworzył drzwiczki od powozu i wyskoczył, trzymając w jednej ręce pałasz a w drugiej nabity pistolet i zawołał:

— Kto tu śmie nadużywać imienia królowej, książę de la Torre przyzywa go przed siebie!

Głuchy okrzyk odpowiedział na te słowa wyzywające, i Franciszek ujrzał, że występując z ciemności przyskakuje do niego czterech czy pięciu jezdnych.

— Ani kroku dalej! bo pierwszy kto się zbliży pożegna się z tym światem! — zawołał groźnym głosem.

Odpowiedziano mu śmiechem, od którego zadrżał, bo był głos Józefa.

— Precz z nim, chłopcy! — zawołał Józef i posunął naprzód wstrzymanych groźnym pistoletem Franciszka, który teraz już tak przywykł do ciemności, iż postaci wahających się nieprzyjaciół doskonale rozpoznawał; widział także poza niemi czatującego Józefa, i poznał go zgrozą przejęty, bo ten okrutnik broń swoją przeciw niemu wymierzył.

Co z tobą, mój ty rodzony? — mruknął Franciszek, a tymczasem lokaj Franciszka na tyle był przytomny, że w tej chwili strzelił z powozu pomiędzy rabusiów.

Ryk zemsty odpowiedział na to wezwanie do bójki. Podczas gdy kilku najemników Józefa rzuciło się na lokaja, inni ze wszystkich stron natarli na Franciszka.

Taka walka nie była nowością dla młodego księcia de la Torre! Dopuścił dwóch przodujących, plecami oparł się o

powóz, i z dwóch pistoletu luf z taką pewnością strzelił w ich głowy, że gdy dym opadł, oni rzężąc leżeli na ziemi, a dwie kule tuż obok Franciszka w bokach i szybach powozu utkwiły. Roześmiał się i z pałaszem uderzył na dwóch rabusiów, którzy mieli zamiar przebić lokaja, mężnie na koźle broniącego się.

— Zeskocz tu do mnie! — zawołał na niego, natarł na napastników i lokajowi otworzył drogę. — Musimy tym szelmom pokazać, że nie z dziećmi mają do czynienia! Strzeżcie się, wy nocne ptaki, albo w nogi!

Lokaj zeskoczył z powozu, stangret Franciszka trzymał dziko wspinające się konie, których lejce pochwycił jeden napastnik. Strzały padały szybko jeden po drugim, głucho rozlegając się pomiędzy drzewami lasu; po nich nastąpiła zajadła bójka, bo rabusie Józefa wystrzelali broń swoją, a nabijać jej na nowo nie mieli czasu.

Franciszek bronił się swoim szybko i zręcznie kierowanym pałaszem przeciwko dwom napastującym go brodaczom z poczernionemi twarzami. Widział, że z nieznacznej ich liczby już teraz czterech tylko walczy, a piąty Józef stoi w tyle jak widmo, oczekując sposobności wpakowania swojej szpady w znienawidzonego Franciszka.

Ale książę de la Torre był tak zręcznym i zimnej krwi rycerzem, iż ta sposobność bez dalszych następstw nastręczyć się nie mogła; widział, że uderza nań dwóch nieprzyjaciół i powozem zasłaniając przedewszystkiem plecy swoje, z nadzwyczajną szybkością odpierał ich połączone ciosy.

W tej samej chwili, gdy Franciszek postanowił raptem

skończyć tę długą i nieszczęsną rąbaninę, spostrzegł, że Józef, w ciemności, pewien że go nikt niewidzi, posuwa się pod drugą stronę powozu.

— Łotr chce mnie przez okno zajść z tyłu, stangreta zamordować, a potem uciec ze złotem i powozem! — wyszeptał cicho, a wreszcie zawołał:

— Do piekła wy, rozbójnicy! mniemacie, że się z wami fechtować pragnę?

I to mówiąc zwinął się tak szybko i pewnie, tak raptownie i zręcznie ciął jednego w głowę, że ten ogłuszony i ciężko raniony padł na ziemię, a drugi przestraszony i nierad podobnie jak jego towarzysz przez wprawniejszego od siebie szermierza być na drugi świat wyprawionym, cofnął się, przywołując na pomoc swoich towarzyszy z lokajem walczących.

Franciszek postrzegł, iż rzeczywiście jeden z nich zbliżał się; ale spostrzegł także, że Józef otworzył drzwi powozu, i miał zamiar uderzyć nań z tyłu.

— Do mnie! — zawołał na służącego.

Ale ten pierw doskonale pchnął w piersi jednego napastnika, i pośpieszył na pomoc przypartemu księciu, który jak lew walczył z dwoma nacierającymi nań łotrami.

— Zasłoń mi plecy! — szepnął; — już sobie z nimi dam radę!

Lokaj teraz także spostrzegł, iż z tyłu zbliża się jakaś pochylona ciemna postać.

— Czekaj, łajdaku, — powiedział po cichu, — ja ci zagaszę dzienne światło pierw nim o tem pomyślisz!

Kiedy Franciszek niezmordowanie bronił się przeciw

dwom nacierającym nań rabusiom, i kiedy nieraz mu groziło niebezpieczeństwo upadku przez stąpanie i potykanie się na ciałach zabitych, jego służący stanął tuż przy drzwiczkach powozu i czekał, aż Józef, bo brata swojego pana poznać nie mógł, otworzy je ze środka, by z tyłu napaść na księcia.

Ale jak to Franciszek przewidział, Józef miał przedewszystkiem we wnętrzu powozu inny jeszcze ważniejszy interes.

Lokaj usłyszał, że na koźle powozu wydano przytłumione przekleństwo.

Dopiero wtedy otworzyły się po cichu drzwiczki i pokazała się okryta śpiczastym liiszpańskim kapeluszem głowa łotra, który niezawodnie z wnętrza powozu napadł na stangreta. Lokaj Franciszka zadał mu cios.

Dał się słyszeć przeraźliwy wrzask, krew polała się po stopniu powozu, ale raniony miał jeszcze tyle siły, że szybko wymierzył szpadę przeciw ukrytemu nieprzyjacielowi i cofnął się.

— Szelma! — zawołał lokaj Franciszka i na oślep wołał we wnętrzu powozu: — czy ci jeszcze za mało? Masz tu resztę!

Trafiony Józef, stoczył się tyłem z powozu na drogę, a Franciszek zraniwszy jednego przeciwnika, szybkiem natarciem odparł innych o kilka kroków w tył, aż nareszcie obaj woleli powierzyć się opiece drzew, i stamtąd nabiwszy broń na nowo, zamierzali dać ognia do Franciszka.

Lecz on nie miał zamiaru czekać na to i przedłużać walkę z rabusiami, którzy konie swoje u drzew uwiązali.

— Dosyć tego! rzekł do służącego, który szukał Józefa, aby mu dać resztę; bież się do koni i ruszajmy!

Franciszek wsiadł do powozu, lokaj wskoczył na kozieł i dziwił się, że stangret nie popędza koni; dopiero teraz spostrzegł, że siedzi obok niego nieżywy z głową na piersi zwieszoną. Ów łotr z wnętrza powozu przebił mu sztyletem plecy aż do serca, tak, że raniony na koźle ducha wyzionął.

Lokaj więc ujął cugle, które zabity trzymał jeszcze w palcach, a konie z powozem pędem strzały pobiegły po leśnej drodze.

Franciszek jeszcze przez kilka chwil słyszał tętent kopyt koni dwóch pozostałych nieprzyjaciół, którzy wskoczyli na koń i jeszcze pędzili za powozem.

Ale tętent stawał się coraz słabszy, jeszcze padły wymierzone wśród nocy ku jadącym dwa strzały, a wreszcie najęte przez Józefa łotry musiały zaniechać dalszego ścigania, bo na swoich stępakach wybornych rumaków księcia de la Torre dopędzić nie mogli.

Nazajutrz Franciszek po dłuższej nieobecności wrócił znowu do Madrytu, lecz jedynie dla przeniesienia się po upływie kilku dni do obozu w Sejasie.

Książę Walencji natychmiast zgodził się na jego żądanie. Królowę pożegnał Franciszek ceremonialnie i chłodno.

Wkrótce nadeszły najświetniejsze raporty o jego czynach, a dwór, jak to w następnych rozdziałach zobaczymy coraz bardziej oddawał się najwyszukańszym zabawom, strawiwszy na nich bez przeszkody lat dwa.

Wtem nagle z początkiem 1848 roku przebiegła po Europie burza, która prawie we wszystkich krajach naszej

części świata wznieciła powstanie.

A tak i w Madrycie zebrały się na placu Major niezliczone tłumy ludu, wsparte kilku pułkami niezadowolonego wojska, i w kwietniu wspomnianego roku doprowadziły do skutku rewolucję, która chciała okazać dworowi swoje niezadowolenie z gospodarki księży, oraz położyć koniec rodzajowi życia prowadzonego w zamku.

Po kilku dniach przelewu krwi, Narvaez powagą swoją z trudnością przywrócił spokojność, wyjednawszy u królowej ampestję dla uwięzionych. Lecz gdy ufny w swoją potęgę dalej posunął i zażądał wydalenia młodego margrabiego de Bedmar, krewnego margrabiny de Beville, który zręcznie umiał wszyć się w łaski młodej królowej, za to w lecie 1848 r. Izabella uwolniła znowu od służby szanownego Narvaeza i naznaczyła na jego miejsce generała Balbac, człowieka bez znaczenia, który wsławił się jedynie okrucieństwem w dniach rewolucji na placu Major. Narwaez wiedział bardzo dobrze, iż to nowe upokorzenie winien był wpływowi ojca Fulgentego i owej znienawidzonej przez niego zakonnicy Patrocinji, którym stał na zawadzę i którzy na jego miejsce wprowadzili człowieka próżnego niedołężnego, lecz przez ich protegowanego, którym zupełnie władali i który całkiem od ich woli zależał.

Cały Madryt oburzył się tak haniebnem podeptaniem woli ludu, przychylnego księciu Walencji, a gdy Narvaez nazajutrz po uwolnieniu ukazał się na ulicy Alcala, oddano mu tak głośne i powszechne hołdy, iż dowiedziały się o nich i królowa Izabella i królowa matka.

Wprawdzie za wpływem ojca Mateusza królowa matka

zupełnie zapomniała o dawniejszej skłonności swojej dla księcia, ale mimo to, uważając za rzecz niebezpieczną teraz go się pozbywać, pierwsza otwarcie za nim przemówiła.

Izabella kazała go przywołać, ale teraz już Narvaez nie powrócił na dwór, bez postawienia pewnych warunków!

General Balbao, któremu musiał ustąpić, został wygnany do Coaby; ojciec Fulgenty, jako kierownik całej przeciw niemu intrygi, do Sewilli! A nawet Narvaez zdołał Wygnać mniszkę Patrocinię, chociaż tylko na kilka miesięcy, do jej klasztoru w mieście Aranjuez, nie zważając na gniew i nienawiść króla. Chciał przynajmniej mieć w koło siebie spokój, aby przeprowadzić bez przeszkody rozmaite rozporządzenia.

Nastąpiło wkrótce potem małżeństwo między hrabią de Montemolin a księżniczką Salerneńską, siostrzenicą króla neapolitańskiego; to zachwiało dyplomatycznemi stosunkami między Madrytem a Neapolem, lecz nie tyle sprawiło kłopotu Narvaezowi, co uregulowanie długu państwa, które wprawdzie w każdej mowie tronowej było zapowiadane, lecz nigdy do skutku nie przyszło, bo nienawiść księży i jezuitów, korzystających z każdej sposobności, mierziła życie nieprzyjaznemu im księciu i utrudniała rządy! Narvaez czuł dobrze, że skoro teraz jeszcze przedsiębrać będzie kroki przeciw inkwizycji potrzebnej samej królowej, to podkopie swoje stanowisko; dla tego tymczasem wszelkiemi siłami starał się o dobry zarząd wojska, o przywrócenie karności, która miała wreszcie położyć koniec ciągłe powtarzającym się buntom pojedynczych pułków.

Dał więc pokój inkwizycji i dworskim kabałom, a zostawiono mu za to samowolny zarząd wielu innemi rzeczami.

Takie było położenie dworu, gdy nadszedł dzień św. Franciszka 1848 roku, o którym już przygotowawczo wspomnieliśmy.

Wprawdzie królowa tęskniła jeszcze do Franciszka Serrany, który zupełnie rozbił karlistów i wyparł ich aż w Pirenejskie góry; szukała jednak wszelkiej możliwej rozrywki, bo nietylko miewała po za rezydencją swoją częste schadzki z owym młodym markizem de Bedmar, ale nadto udarowała, przychylnością swoją młodego śpiewaka włoskiej opery. Miralla, który swoim pięknym tenorem zachwycał królową lubiącą muzykę, i jak zobaczymy, swoim pięknym głosem i jeszcze piękniejszą postacią wielki naówczas wpływ na Izabellę wywierał.

Niech nam nakoniec wolno będzie dodać, że ów mały złoty kluczyk, który przed trzema laty widzieliśmy na okrągłym marmurowym stoliku przy łóżku królowej, teraz już się tam nie znajduje, i że zapewne w tym przeciągu czasu król go musiał zażądać.

W dzień św. Franciszka widzieliśmy królową jadącą do kościoła Antocha, gdzie zawsze zwykła była słuchać mszy św. i spowiadać się, ponieważ tam się znajdowali ojcowie cieszący się zupełnem zaufaniem młodej monar- chini.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XXXIII.

PRZERWANA ORGJA.

Nad hiszpańską stolicą zapada wieczór dnia św. Franciszka. Na ulicach otuleni pobożni obojej płci śpieszą na wieczorne nabożeństwo do kościołów pełnych kadzidła i dźwięku organów!

Na Prado Bermudez, przy moście Toledo, wiodącym przez Manzanares, leży jedna z osławionych szynkowni, któremi przedmieścia Madrytu aż nazbyt są przepełnione. W nich piją żebracy i cyganie, złoczyńcy i tu i owdzie marynarze.

Późnym już wieczorem zbliżają się do tej nędznej szynkowni na Prado Bermudez dwie płaszczami owinięte postacie. W niskich jej oknach świeci się. Jeden z dwóch ludzi przystępuje do najbliższego okna, pragnąc zajrzeć do środka, ale tam tak wiele dymu i pary, że siedzących przy długich, grubo ociosanych stołach, zaledwie rozpoznać można.

— Wejdźmy, ojciec Mateusz powiedział mi, że o dziewiątej wieczorem, tu w tej szynkowni znajdziemy trzeciego, — szepnął jeden drugiemu, i przez niskie drzwi wszedł do izby napełnionej stęchłem powietrzem.

Rozmaitego rodzaju podejrzane istoty siedzą przy długich stołach i z blaszanych czarek popijają tanie,

podniecające wino krajowe. Tu jakiś łotr obdarty z małym, nędznym chłopakiem — tam ponurego oblicza mnich w kapturze nieco z głowy zsuniętym — dalej sześćdziesięcio-letnia kobieta, z wypisanym na twarzy nałogiem pijaństwa — tu znowu cicho rozmawiający dwaj chłopcy, najwyraźniej złoczyńcy.

Z wielkiej do sali podobnej izby, przyległej izbie gościnnej, dochodzi odgłos śmiechu i wykrzyków; tam tańczą i piją manole ze swoimi kochankami.

Córka gospodarza, młoda Hiszpanka o długich, czarnych warkoczach, z przeszywającym wzrokiem, stoi we drzwiach małego szynkowego pokoiku, oddzielającego izbę gościnną od sali tańca, i posługując pijącym, słucha długiej rozmowy dwóch ludzi siedzących przy najbliższym stole.

— To się stało dzisiaj wieczorem, przed godziną, — mówi opowiadający: — dziecię kramarza z rogu placu Perdo i ulicy Toledo, śliczna zaledwie dziesięcio-letnia dziewczynka, padła ofiarą straszydła! Już od kilku dni uważano że jakiś człowiek owinięty w czarny półpłaszczyk tam się włóczy, ale nikt nie domyślał się, że ten blady łotr to upiór, który znowu zażądał od Madrytu swojej okrutnej ofiary!

— Mówią, że to tylko półczłowiek, jakaś mieszanina człowieka i zwierzęcia! — wtrącił drugi.

— To człowiek taki jak my; pragnienie krwi, albo jakaś obrzydła żądza, której nikt z nas wytłómaczyć nie potrafi, skłania go do wynajdowania sobie małych, ładnych dziewcząteк. Skoro znajdzie takie dziecię, to włóczy się niespokojny, aż znajdzie sposobność schwytać je

niespodzianie, i jak dzikie zwierzę wysysa gorącą krew z niewinnego dziewczęcia.

— I nigdzie go schwytać nie można, bo umie chyba zrobić się niewidzialnym!

— Słyszałem na placu Pedro, że dzisiaj Alguazile mieli trafić na jego ślad! — mniemał opowiadający, blisko którego usiedli teraz obaj świeżo przybyli.

Zdjąwszy kapelusze rzucili okiem po całem zgromadzeniu, szukając czy ten, którego tu spotkać mieli, jest już obecny.

— Przynieś nam wina, zachwycająca dziewico! (Chapa), — zawołał jeden z nich na córkę gospodarza.

— Dostaniecie signor, doskonałego napoju! — z uśmiechem odpowiedziało dziewczę i pośpieszyło do szynkowej izby.

W tej chwili otworzyły się niskie drzwi, prowadzące z ulicy do zadymionego wnętrza, na progu ukazał się bystroki czarnym półpłaszczykiem otulony człowiek. Głowę jego okrywał mocno na czoło naciśnięty kapelusz, tak, iż twarzy jego trudno było poznać; gdy jednak wszedł do izby pełnej stęchlizny i przeszywającym wzrokiem spojrzał po obecnych, widziano, że jeszcze nie był stary, ale chudy i blady i że miał czerwoną brodę. Zdjął kapelusz i zbliżył się do końca długiego stołu, przy którym siedzieli dwaj ludzie, którym właśnie Chapa podawała wino. Teraz można było spostrzec jego rozrzutny dziki włos i kresę, która pod okiem przechodząc przez policzek i nos, nadawała jego bladej, pełnej namiętności twarzy, jeszcze bardziej przerażający wyraz.

W tym przychodniu czytelnik zapewne poznał już Józefa Serranę, który przed trzema prawie laty wyniósł tę ranę w walce z lokajem Franciszka, kiedy czołgając się przez powóz, bratu swojemu morderczy sztylet chciał podobnież wbić w plecy jak stangretowi, i z trudnością tylko uszedł śmierci, bo łotry których najął do napadu, bynajmniej się o niego nie troszcząc, pozostawili go pływającego we krwi. Twarda natura wytrzymała jednak to zranienie, bo oprócz kresy, nie spadły na niego żadne niekorzystne skutki.

Obaj ludzie zbliżyli się ku niemu, gdy szukając obok nich przechodził, i powitali go — znakiem familjarów — to jest krzyżując obie ręce na piersiach i tak się kłaniając, iż pierwszy z nich dotknął czoła Józefa.

Potem wszyscy trzej przystąpili do stołu, a Chapa przyniosła jeszcze trzecią czarę wina.

Podczas gdy poprzedni opowiadający ciekawym gościom ciągle opowiadał o popełnionem okropnem morderstwie i skończył powtórzeniem zapewnienia, że trafiono nakonec na ślad upiora, jeden z famjljarów dla zupełnego zapewnienia się, że rudobrody jest trzecim do dzisiejszego przedsięwzięcia, odpiął kaftan, tak, że ukazał srebrną blachę z przewróconym obrazem Chrystusa. Na piersi Chrystusa błyszczało słońce, symbol światła i zarazem szyderczy symbol inkwizycji, tej posłanniczki nocy!

Następnie spojrzał na kaftan Józefa, czekając czy ten nie pokaże takiego samego znaku — i w tej chwili dostrzegł na jego kaftanie ciemno-czerwoną plamę, która jakkolwiek była zaschła przecież jeszcze była świeża, i mimowolnie

zwrócił uwagę na bladą rudobrodą twarz Józefa bo nie mógł wątpić, że owa plama na jego piersi jest plamą krwi.

Józef zapewne także zauważył to spojrzenie, bo zręcznym ruchem ukazał szybko miejsce kaftana, na którem znajdowała się srebrna blacha, a potem otulając się zasłonił piersi czarnym płaszczykiem, bo bardziej jeszcze blednąc sam dostrzegł ciemną plamę.

— Nie ociągajmy się, — poszepnął familjar, noc postępuje.

— Czy macie przygotowaną gondolę? — cicho zapytał Józef.

— Jest — wy zostaniecie na straży na brzegu, my zaś obaj popłyniemy na wyspę.

— Prawdaż to, że u tej Nepardowej przebywa młoda kobieta, imieniem Henryka, której trybunał poszukuje? — znowu zapytał Józef.

— Widzieliśmy piękną dzieciobójczynię, schroniła się do fabrykantki aniołów, gdzie przez długi czas nikt się jej nie domyślał, a jednak wielkie ciążyło podejrzenie, że obie jedno i to samo prowadzą rzemiosło, bo równy z równym zgodzi się!

Józef roześmiał się szyderczo. Nie chciał wierzyć, gdy od ojców, którym hrabina genueńska zaleciła go jako użytecznego i milczącego pomocnika, dowiedział się, że nakoniec znaleziono Henrykę. Miał ją rzeczywiście za umarłą, i z razu mniemał, że szpiegowie trybunału dali się uwieść podobieństwu; ale teraz jasno pojmował, że Henryka mogła być uratowaną, i dla tego nie zaniedbał wziąć udziału w jej uwięzieniu, — a nadto miał jeszcze

inny powód do pochwycenia i zgubienia dziedziczki Henryki i jej dziecka, w razie jeżeli ono żyje, o czem miał nadzieję dowiedzieć się od hrabiny genueńskiej!

Familjarowie wypróżnili swoje czarki — Józef zaś pozostawił wino, udał, że je wypił, — bo winna jagoda nie była jego rzeczą, i miał tej nocy delikatniejszy smak aniżeli jego towarzysze.

Z sali dochodziła niezmierna wrzawa, pisk wyuzdanych dziewcząt i hałas mężczyzn, tudzież dźwięki dzikiej muzyki przygrywającej do tańca — do izby gościnnej przybywali i ubywali ludzie najdziwaczniej poubierani — dla tego nikt nie uważał, jak obaj familjarowie, pożegnawszy Chapę i zapłaciwszy należność, wyszli z Józefem, a wszyscy przecież goście byli to ludzie w rodzaju Józefa, i w tej szynkowni na Prado Bermudez zawarta została niejedna umowa w celu zbrodniczym.

Trzej siepacze inkwizycji zbliżyli się na brzeg rzeki.

— Po co mieliśmy tam pić więcej za nasze ciężko zapracowane pieniądze, — rzekł półgłosem jeden z familjarów, kiedy po szczęśliwym powrocie na ulicę Foburgo dostaniemy tyle dobrego starego wina klasztornego, ile nam się podoba! Oto nasza gondola, chodź! — powiedział do towarzysza, wskazując łódź przy brzegu uwiązaną. — Wy signor, zostańcie tutaj i czekajcie naszego powrotu. Skoro spostrzeżemy albo usłyszymy coś niezwykłego lub skoro wy zmiarkujecie, że nam grozi niespodziane niebezpieczeństwo, wtedy pamiętajcie głośno i silnie zagwizdać.

— Rozumiem; śpieszcie się, mruknął Józef, podczas gdy

familjarowie wstępowali do łodzi; a nie dozwólcie uciec młodej kobiecie!

— Ojcowie nigdyby nam tego nie przebaczyli — bądźcie spokojni, tak jakbyście obie już mieli!

Na twarzy Józefa osiadł! wyraz zadowolenia — wyszukał sobie na brzegu miejsce, z którego mógł dobrze poznać każdego zbliżającego się od strony lądu i od strony wody, tam stanął mocno naciągnąwszy półpłaszczyk na ramiona, bo noc była chłodna, a tymczasem obaj familjarowie łódź od lądu odepchnęli, aby jak najprędzej i najciszej dostać się na wyspę na Manzanaresie.

Czarne wody pokrywała głęboka ciemność.

Kiedy dwaj siepacze zbliżyli się o trzy części do celu swojego, jeden z nich nagle podniósł wiosło do góry i nadsłuchiwał; bo mu się zdało, że słyszy jakiś bliski plusk. Co to miało znaczyć?

Także i drugi siedzący w ryle gondoli, posłyszał odgłos uderzeń wiosła po wodzie; obaj więc, najmocniej zdziwieni, słuchali.

— Jakaś łódź płynie ku nam od mostu! — szepnął drugi familjar.

— Głupstwo! nadstaw lepiej uszu, — mruknął nadsłuchując ten, który siedział na przodzie łodzi i widział już przed sobą wyspę — plusk słychać od strony wyspy — i spojrzał tam — czy nie widzisz?

— Masz słuszność, jedna gondola odbija od wyspy — oko mnie nie myli — i siedzą w niej dwie osoby! W sam czas przybyliśmy, trzeba nam się puścić za gondolą, w której niezawodnie płyną poszukiwane.

W tej chwili na dowód tego, że i drugi familiar nie mylił się, ukazała się w tyle po za nimi trzecia łódź; zręcznie i trzymając się prawie brzegu wyspy, posuwała się po wodzie w wymierzonej odległości od łodzi siepaczy, tak jakby ją chciała mieć na oku. Ale w chwili, gdy ci zbliżali się do gondoli rzeczywiście unoszącej starą Marję Nepardową i Henrykę, zbliżyła się także i ta trzecia łódź.

Pierwszy z familjarów pochwycił do ręki sznur, aby gondolę obu kobiet szybko przywiązać do swojej — kobiety wydały przytłumiony okrzyk trwogi, widząc, że nagłe na nie napadnięto — okrzyk ten usłyszał Józef, i roześmiał się zadowolony, bo chociaż z powodu ciemności nic rozpoznać nie mógł, jednak był pewny, że siepacze pochwycili kobiety!

Lecz właśnie gdy pierwszy familiar chciał zarzucić sznur na przód gondoli, a drugi skierował łódź ku ofiarom, w chwili gdy Henryka pełna trwogi, szeroko rozwartym wzrokiem poznała strasznych siepaczy, którzy w owej okropnej nocy wlekli ją do pałacu Santa-Madre i dla tego broniąc się truchlejąc wyciągnęła ręce, coś przeleciało obok tuż przy swoich ofiarach znajdujących się familiarów, — coś, mówimy, przecięło powietrze; stara Nepardowa i Henryka spostrzegły, że będący w swej łodzi siepacze jakby piorunem rażeni, nagle padli i tak szybko znikli im z oczu, iż obie stanęły osłupiałe.

Gondola familiarów mocno się zachwiała, słychać było, że dwa ciężkie ciała spadły na jej dno!

W kilka minut później, trzecia łódź, wiozącа dwóch młodych, w krótkie spencery ubranych Hiszpanów,

przybliżyła się do obok stojącej gondoli; obaj ci młodzieńcy zdjęli latające pętlice z uduszonych familiarów i puścili na wodę gondolę z niemymi pasażerami. Nie mówiąc ani słowa, przywiązali sznur do przodu gondoli, w której siedziały zdziwonie kobiety, nie wiedzące wcale co się koło nich działo, i zręcznie, prawie bez szelestu, oddaliwszy się od brzegu, popłynęli szybko ku mostowi, i milcząc ciągle wysadzili z łodzi starą Nepardową i Henrykę na schodach wiodących wygodnie po za mostem, na część brzegu więcej ożywioną i bezpieczniejszą, jak Prado Bermudez.

Obie kobiety podziękowały Najświętszej Matce Boskiej, gdy się dostały na dobrze utrzymany brzeg, i ciągle jeszcze gnane trwogą, pośpieszyły przez ulice, a łódź dwóch niemych wybawicieli znikła w ciemności.

Podczas gdy Józef z wybornie obranego miejsca na Prado Bermudez ciągle niespokojnym wzrokiem patrzał na część wody, którą mógł objąć okiem, i w każdej chwili oczekiwał przybicia do lądu łodzi familiarów z Henryką, bo od dawna już usłyszał przytłumione jej wołanie o pomoc, niby igraszka fali, ku brzegowi zbliżała się łódź bez właścicieli. Widok jej zdziwił Józefa, przystąpił więc do niej, pragnąc ile możności dosięgnąć jej z brzegu i przytrzymać, bo mu się zdawało teraz, że gnana wodą bez celu łódź nie jest próżną.

Zeszedł zatem na sam koniec brzegu i po barwie malowania poznał gondolę, w której niedawno obaj familiarowie na wyspę popłynęli.

— Nie byli przecież tak szaleni, mówił do siebie zdziwiony, aby wysiąść na ląd i łódź nieprzywiązaną puścić

z wodą?

Myśląc tylko o pchwyceniu Henryki brat Franciszka schylił się i z kocią zręcznością schwycił za przód gondoli pędzonej falami ku brzegowi; przyciągnął ją do siebie bliżej, aby się przekonać co w niej leży, i następnie popłynąć za opóźniającymi się siepaczami.

Zajrzał więc w głąb łodzi. Przerażenie odmalowało się na jego twarzy — włosy mu się najeżyły, gdy mocno rozwartem okiem dostrzegł na dnie łodzi leżących ze zmienionemi twarzami nieżywych obu familiarów.

— Przekleństwo! mruknął podnosząc się i odpychając nogą łódź na wodę — przekleństwo! kobiety były odważniejsze i silniejsze jak ci niegodziwcy, którzy opieszałość śmiercią opłacili — umkną one, jeżeli ich jeszcze przy wylądowaniu nie pochwycę.

Podczas gdy Józef chciwym wzrokiem i podżegany trwogą nadaremnie chodził tu i owdzie po Prado Bermudez i nadsłuchiwał lub schylony patrzał na wodę — rozpoczęła się według starodawnego zwyczaju w Santa-Madre huczna uczta po dniu św. Franciszka.

Niech więc szanowny czytelnik raczy udać się z nami na ulicę Foburgo, zostawiając zgrzytającego zębami Józefa, bo wiemy, że Nepardowa i Henryka od dawna dostały się niepostrzeżone na ulice Madrytu.

W klasztornym ogrodzie, w Santa-Madre, leży na uboczu otoczona krzakami rozległa i wysoka altana, czyli domek w ogrodzie, równie starożytny jak sam w głębi stojący pałac inkwizycji.

Domek ten zawierający kilka małych pokoików i wielką

salę, urządzoną i ubraną ze wszelkiemi wygodami i całym zbytkiem zmysły podżegającym, służył ojcom w Santa-Madre w pewnych dniach za miejsce wypoczynku, ponieważ po za murami klasztoru żadnego wypoczynku ani zabawy używać nie śmieli. W tym pokrytym i dla nikogo obcego nieprzystępnym domu, od niepamiętnych czasów corocznie wyprawiano orgie, jakim równych pod względem zmysłowości i rozpusty nigdzie nie widziano.

Wielcy inkwizytorowie i rodzaj tajemnego trybunału mieli także krew w żyłach, która często namiętnie płynęła i burzyła się — mieliż po całych latach nie czynić nic więcej, tylko sądzić i modlić się, męczyć i potępiać, łaknąć i pragnąć? Owszem i w nich budziła się nieposkromiona chęć zwolnienia się na jedną noc od ślubu, chęć używania — chciwie i aż do przesytu, bo kiedy indziej mieli to sobie wzbronione!

Zbliżmy się zatem po wilgotnych ścieżkach ciemnego ogrodu klasztornego ku rozległemu domowi w ogrodzie, którego okna chociaż starannie pozamykane i pozasłaniane, a zewnątrz otoczone gęstym aloesowym płotem, przez niezaopatrzone szczeliny przepuszczają jasny blask, panujący w świątecznych pokojach. Dochodzi nas głośna rozmowa, gdy po niskich stopniach zbliżamy się ku mocno zamkniętym drzwiom.

W pierwszym pokoju, do którego dostajemy się przez to wejście, biegają posługujący braciszkowie z półmiskami, butelkami, filiżankami, szklankami i wszelkiego rodzaju potrawami.

Z tego przysionka trzy wejścia prowadzą do

wewnętrznych pokojów domu, zbudowanego w tym samym staroświeckim, przeładowanym stylu, co klasztor i pałac — okna i drzwi tworzą równie wysokie i szerokie ostrołuki z grubą sztukaterją, korytarze są również ciemne i słupami przyozdobione. Dzisiaj tylko w całym pawilonie Santa-Madre panuje dzienne światło. Wejście z lewej strony prowadzi do sali, w której przy długim stole biesiadują i piją ojcowie; wejście z prawej wiedzie do pokoju, z którego posługujący braciszkowie przynoszą potrawy i napoje do sali i sami litują się nad niemałą ich częścią, tak, że ich chciwe oblicza świecą się i pałają, a małe oczki błyszczą; środkowe zaś wejście prowadzi do kilku równie obszernych pokojów, do których wkrótce zajrzymy, skoro tylko pierw przypatrzymy się temu co się dzieje w sali.

Ściany jej pokryte są przecudnemi malowidłami al fresco, które wykonał pędzlem swoim, w zeszłym wieku, pewien malarz, który został później dominikaninem. Są to przecudownie piękne obrazy świętych, po większej części kobiet, które wznosząc w niebo ręce i oczy, zapomniawszy o wszystkim ziemskiem i na nic niezważając, w malowniczych fałdach dozwalają spadać zasłonom okrywającym ich piękne kształty, i boskie swoje postaci wolne od ziemskiego okrycia, okazują i zdumienionemu oku widza, podczas gdy w zachwyceniu pięknemi twarzami patrzą w niebo.

Z głębi salonu brzmi śpiew organu, którego cudne akordy, upajając i podżegając zmysły, rozchodzą się po rozległej sali, w której znajduje się długi ponętnie zastawiony stół. Jest na nim wszystko co miłe dla oka, a

przyjemne dla zmysłów.

Stoją tam cztery przepysznie malowane wazony, pełne obficie kwitnących, najwyszukaniej pięknych kwiatów, których zapach mile rozchodzi się po całej sali. Pomiędzy temi wazonami widzimy szerokie, wspaniale rzeźbione marmurowe czary, arcydzieła słynnych mistrzów, napełnione łechcącemi winogronami, figami, pomarańczami i innemi owocami.

Ojcowe siedzą na swoich miejscach w staroświeckich krzesłach z wysokiemi poręczami, przy tym ułudnie pięknie przyozdobionym stole, a na talerzach i miseczkach mają przed sobą najwyszukańsze potrawy — ryby, wszelkie mięsiwa, puchero z węgla kwiatów i delikatnie potrawy, jako to bażanty z Ileas, tłuste, małe, do naszych drozdów podobne ptaszki, których przyjemny smak rozlewa się po języku, a które wybornie przygotowują do spożycia wielkiej ilości wina, którego na stole nie brakuje. Znajdujemy tu wina wszelkich krajów dostawione dla rozpustnych inkwizytorów, wino reńskie i ogniste węgierskie, burgundzkie, Yquem, Xeres i Tinta di Rosa, biały i czerwony szampan, tak miły niektórym ojcom.

Rozmowa przy długim stole coraz bardziej się ożywia; na twarzach ucztujących maluje się coraz silniejsze wzburzenie wewnętrzne, które wywołują nadmiar użycia wszystkiego.

— Narvaez upaść musi, mówi właśnie ojciec Mateusz, siedzący na czele stołu, do rozłożonego przy nim poważnie na swojem krześle ojca Antoniego: królowa w ciągu roku musi go nam wydać w ręce!

— Nietylko on jeden upaść musi, pomrukuje ponurym jednostajnym głosem siwy Antoni: mamy jeszcze innych przeciwników, którzy za wszelką cenę ustąpić nam muszą z drogi!

— Królowa zniszczy księcia, jeżeli tego zażądamy, — pomruknął ojciec Merino, ów fanatyczny, namiętny mnich o bladej twarzy i ciemnych błyszczących oczach — a jeżeli nie wyda go w nasze ręce, jeżeli się odważy sprzeciwić świętej inkwizycji, to umrze sama!

Ostatnie słowa dzikooki, żarliwy mnich wymówił tak tonem groźnym, iż wszyscy byli pewni, że ów Merino rzeczywiście gotów był to uczynić, jeżeli królowa nie podda się woli Santa-Madre. Jak wiemy, ojciec ten z fantastycznie błyszczącym wzrokiem i namiętnemi rysami, był jednym z wielkich inkwizytorów, był człowiekiem, który ohydnemu tajemnemu trybunałowi, dążącemu do najwyższej potęgi i władzy, służył ciałem i duszą; bez namysłu wykonywał wszystko, co dla niego za korzystne uważał.

— Nietylko jeden Narvaez jest naszym nieprzyjacielem, powtórzył siwy Antoni, a około piętnastu innych przy stole siedzących inkwizytorów uważnie go słuchało: mamy jeszcze gorszych przeciwników i potężniejszych nieprzyjaciół!

— Święta sprawa trybunału zniszczy ich wszystkich i zwycięży, mówił Merino, stawiając napełnioną szklankę; potem powiódł wzrokiem po ścianie sali, ku której pociągały go łagodnie oświetlone piękne ciała dziewic i oślepiały naturalnemi ułudnemi kształtami. Młody wielki

inkwizytor, podniecony winem, roznamiętniony, czuł, że krew burzy się w jego członkach i bije mu do głowy i serca.

Posługujący braciszkowie przynieśli orzeźwiające lody Antoni nie brał ich.

— Ja tego nie używam, moja krew już dosyć chłodna i spokojna, ośmdziesiąt lat zużyło jej ciepło.

Przeciwnie Merino, wzburzony i rozgrzany młodzieniec, jadł szybko chłodzące lody; ale myli się, kto sądzi, że ta zamrożona woda wewnętrzny żar przytłumia i rozprasza: skutkuje ona tylko przez chwilę, bo dopóki lód nie rozpuści się na języku, chłodzi i utrzymuje w błędnem przekonaniu, że zaradza rozdrażnieniu i gorącu, które w kilka chwil później wzrasta z nową siłą.

Czuł to Merino i inni przy stole siedzący biesiadnicy.

W tej chwili jeden z posługujących braciszków doniósł ojcu Mateuszowi, że nowy familjar Józef przybył z bardzo pilnym raportem.

— Czy przyprowadził piękną kobietę, którą królowa ująć kazała? — prędko zapytał, a oczy jego zabłysły niepokonaną pożądliwością na samą myśl o Wspomnianej kobiecie.

— Jest sam! — odpowiedział posługujący braciszek.

— Wprowadź go tutaj, niech nam powie dla czego on i jego pomocnicy nie wypełnili otrzymanych rozkazów? inkwizytorowie, patrząc ku wejściu, przysunęli swoje krzesła do stołu, niecierpliwie oczekując przybyłego.

W wysokich drzwiach łukowych ukazała się chuda postać Józefa Serrany. Zdjął on czarny półpłaszczyk i kapelusz, i nie bez przyczyny rozpiął kaftan, tak aby widać

było jego srebrną blachę, i wszedł skrzyżowawszy ręce na piersi i kłaniając się. Twarz miał bladą jak zawsze, rudą brodę i włosy niezmiernie potargane. Przebiegł wzrokiem po biesiadującem towarzystwie, któremu miał dostarczyć ofiary.

— Miałeś dany sobie rozkaz, abyś tu dostawił kobiety, mieszkające na wyspie na Manzaneresie, bo dowiedzieliśmy się, że młodszą z nich jest ową o zamordowanie dziecka obwiniona Henryka, której od trzech lat nadaremnie poszukujemy, — dla czego nie przyprowadziłeś tych kobiet? — zapytał gniewnie usposobiony Mateusz.

— Dwie godziny napróżno czekałem na nie i szukałem ich, czcigodni ojcowie, — odpowiedział Józef.

— Gdzież są dodani tobie dwaj familjarowie?

— Nie żyją — leżą bez duszy w gondoli, w której popłynęli byli na wyspę! — mówił Józef.

— Nie żyją? — zawołali zdumieni i oburzeni Mateusz i Merino. — Co mówisz? familjarowie nie żyją?

— Gdy fale przyniosły gondolę do brzegu, znalazłem obu nieżywych w niej leżących, czcigodni ojcowie!

— Czy nie dostrzegłeś na nich jakiego znaku gwałtu? — zapytał zawsze jednakowo spokojny siwy Antoni.

— Na szyjach ich zdało mi się, że widziałem krwią zaszłe czerwone znaki od stryczka! — odpowiedział Józef.

— Latająca Pętlica! poszepnęli Mateusz i Merino — Antoni zaś zrobił minę przekonywującą, że się od razu domyślił wpływu tego tajemnego towarzystwa.

— Dwaj familiarowie pozostawili mnie na brzegu na

straży i dla pomocy w przyprowadzeniu tutaj obu kobiet; sami zginęli, chata na wyspie próżna, a Henryka uciekła!

Pomiędzy siedzącymi przy stole ojcami dał się słyszeć szmer niezadowolenia, a szczególniej Mateusza brak pięknej kobiety niezmiernie gniewał.

— I nie trafiłeś na żaden ślad? — spytał znowu.

— Do tej chwili nie, ale nietrudno będzie wynaleźć ją! Henryka, która ulegnie śmierci, skoro dla przyznania się stanie na torturach jest dziedziczką majątku Delmonte; skoro więc osądzona zostanie, konfiskata tej bogatej posiadłości przyniesie wielką korzyść świętemu trybunałowi! — mówił Józef.

— Jutro wieczorem bądź w sali sądowej, nowicjuszu Józefie; damy ci zlecenie i pełnomocnictwo do pochwycenia i dostawienia zbiegłej! — rzekł siwy Antoni.

Tony organu podczas tej rozmowy ucichły; gdy się skończyła, a Józef oddawszy ukłon wyszedł, znowu po sali rozległy się brzmienia, a posługujący bez przerwy podawali wino.

Ojciec Mateusz zbliżył się do rozdrażnionego Meriny

— Wspomniałeś coś o pięknej córce starego granda, która w murach naszych oczekuje nocy św. Franciszka? — zapytał z cicha i drżącym głosem.

— Kilka pięknych kobiet mamy w pokojach środkowego przejścia, Dolores, pragnąca welonu, jest w ich liczbie; pójdę do niej i zapytam, czy woli ludzi pobożnych czy świeckich — jeżeli chcesz prze ten czas zajrzeć do innych pokojów, to pójdźmy razem.

Siwy Antoni pozostał przy stole, Mateusz i Merino

wyszli z sali i udali się do środkowego przejścia, które w ogrodowym domu prowadziło do małych zamykanych pokojów, w których przechowywane były piękne ofiary.

Po nich zniknęli z sali i inni inkwizytorowie. Ta noc była wolną, a tak długo poskramiane namiętności tych po części młodych ludzi, obudziły się i zapaliły tak silnie, iż żadnych już granic nie miały!

W ostatnim pokoju środkowego przejścia, pokrytego dywanami i bez okien podobnie jak inne pokoje tej tajemniczej, grzechowi poświęconej części budynku, siedziała na sofie przy czerwonawem świetle lampy, piękna córa don Henryka del Arore. Donna Dolores oburącz zakrywała twarz — nadaremnie prosiła ceklarza, aby ją wypuścił, bo straszliwy Merino srodze nadużył jej zaufania. Chociaż pięknej pobożnej donnie usługiwano z niemą uległością jednak nie puszczono jej z murów Santa-Madre do ojca; wszystkie jej prośby były nadaremne, i odbijały się o głuche uszy; udawano, że nie słyszano jej coraz natarczywsze — go upomnienia się o swobodę!

Donna Dolores ma zaledwie lat szesnaście. Jej piękne szlachetne oblicze i bujnie rozwinięte członki, zachwycały jakiemś nienaśladowanem tchnieniem niewinności. Długi ciemny włos spadał rozpuszczony na jej ramiona, okryte białym welonem. Śliczne kolory, barwiące jej lica, zanim poszła za chytrym Merino, z całą swą niewinnością ufna w przyrzeczenie, że jej da poświęcony amulet teraz znikły. Z ciemnych, pięknych jej oczu, z długiemi rzęsami, leją się obfite łzy trwogi i tęsknoty do ojca.

Dolores wie ile ją kocha don Henryk del Arore, jej drogi

zacny ojciec, wie, że skłopotany i strwożony szuka jej wszędzie; to przekonanie dręczy ją niemiłosiernie, i nie może pojąć, dla czego ją tyle dni trzymają w gmachu, z którego nie widać żadnego wyjścia, bo posługacz zawsze starannie drzwi zamyka. Nie może sypiać, siedzi na sofie i zakrywa piękną stroskaną twarz swoją.

Wtem nagle zbliżają się ku jej pokojowi czyjeś wlokące się kroki, słyszy trzask piasku pod nogami powoli idącego, może ją nakoniec uwolnią! Niebiański promień ożywia i rozjaśnia jej twarz, zrywa się i pełna nadziei, wyciąga małe, białe rączki ku drzwiom, w których zamek ktoś po cichu i ostrożnie klucz wkłada. Lecz nagle spogląda na lampę, której różowawe szkło coraz się bardziej zaciemnia, tak, że jej światło jest teraz blade i niepewne. Dolores czuje jak mocno bije jej serce, wahające się między trwogą a nadzieją — drzwi otwierają się po cichu. Wchodzący, którego stąpanie po kobiercu małego pokoiku zaledwie dosłyszeć można, szybko znowu zamyka drzwi za sobą i zwraca się nakoniec do pięknej uwięzionej.

Dolores w najwyższej nadziei spogląda na wchodzącego wybawcę. Wyciąga ku niemu stroskane ramiona i powitać go pragnie — błyszczącem okiem rozpoznać go pragnie i z ust jego posłyszeć z czem przybywa...

Wtem jej małe, milutkie usta wydają okrzyk przerażenia. Dolores cofając się poznaje owego Merino, który ją do tego więzienia zaprowadził; widzi jego pożądliwością świecące oczy, jego chytrze uśmiechniętą minę — jakiś ostrzegajmy głłos woła w jej niewinnej istocie: „Unikaj zbliżającego się do ciebie szatana kusiciela!“

Chce się przed nim ukryć, lecz w małym pokoju bez okien niema obronnego miejsca ani wyjścia — ogląda się w koło przelękła, śmiertelną trwogą przejęta, drobną, białą ręką przegarnia długi, rozpuszczony włos — zasłona spada z jej ramion, nie uważa na to, domyślając się zamiaru zbliżającego się do niej człowieka, blednie i szuka, gdzie się przed nim ukryć.

Ale Merino szybko jej dosięga i z dziką namiętnością ramionami obejmuje.

— Dlaczego uciekasz, siostro Dolores? wyszeptał, i gorącym oddechem owiewa policzki donny.

— Puśćcie mnie, jesteście nieuczciwi! woła strwożona, i gwałtownym ruchem, odtrąca od siebie napastnika.

— Chcesz przyjąć welon, chcesz się odrzec świata, dla tego jesteś tutaj, odpowiada Merino i ciągnie ku sobie silnie opierającą się.

— Odstąpcie odemnie, otwórzcie drzwi — ja nie chcę nic, tylko wrócić do ojca!

— Odwołać tego już nie możesz, tego coś mi wyznała i o czem już wiedzą czcigodni ojcowie — dla ojca i dla świata umarłaś. Należysz do klasztornych murów!

— Okrutnik — czy z piekła uciekłeś! Precz odemnie! otwórz drzwi, albo cię uduszę, jeżeli rąk twoich od ciała mojego nie odejmiesz!

— Z takich rąk umrzeć nie żal — na twojem łonie zginąć, to szczęśliwe przejście do wieczności! szeptał Merino przeraźliwym, drżącym ze wzruszenia głosem, coraz bardziej ku sobie przybliżając piękną Dolores. Dywan uśmierzał głos kroków i mocowania się, uwięziona z

nadludzką siłą broniła się od uścisków okrutnika, któremu znowu do najwyższego stopnia wzmożona namiętność dodała niezwykłej siły; ręce jego objęły piękną kibić pożądanej dziewicy, a szamotanie się z nią podnieciło jego zmysły...

Dolores czuła, że nie zdoła się dłużej oprzeć natarczywości okrutnego Merino; czuła, że nerwy jej rąk drętwieją, że nogi się pod nią chwieją. W pobliżu nie było nikogo, nikogo ktoby jej przyszedł z pomocą i uwolnił z objęć zasapanego mnicha, który nakoniec widział się bliskim pożądanego celu.

Była to noc świętego Franciszka, zaległa nad Santa-Madre, odwieczna noc wolności i rozkoszy. Fanatyczny Merino dla uczczenia je wyszukał sobie tak piękną ofiarę, że mu jej wszyscy inni inkwizytorowie zazdrościli.

Ale Merino miał współczucie dla swoich braci, chciał oddać im tę ofiarę, skoro się nią sam dostatecznie nasyci...

Następnie ofiara miała być odesłana do jakiegoś odległego klasztoru w Pirenejach lub do Sierra Oca, aby tam przywdziała welon i pokutowała — aby się modliła i pokutowała...

Przeklęte niech będzie Santa-Madre!

Ręce pięknej Dolores zmordowały się, falujące jej łono dotknęło piersi Merino, zabrakło jej tchu głosu do wołania o pomoc, okropność co się z nią działo!...

Merino przyparł ją do sofy — kolana się pod nią ugięły — zbrodnicza ręka obrzydłego mnicha zbliżała się do jej stanu...

W tej chwili przelękłe serce męczonej dziewicy wydało

straszliwy krzyk.

Merino rozśmiał się — pewien, że krzyk ten nic mu nie zaszkodzi, że mu nikt nie przerwie.

Jednak nagle silna pięść uderzyła we drzwi pokoju. Drżący i rozpalony mnich zerwał się przestraszony — wyrzekł jakieś ciche przekleństwo — co za szelma śmiał mu o tej godzinie przeszkadzać, kiedy już był bliski celu swych życzeń?

— Otwieraj mnichu! wołał głos obcy.

— Kto śmie wołać w ten sposób? do kogo należy ten głos? wołał Merino.

— Otwieraj mnichu! zawołano głośniej.

Merino namyślał się.

— O uwolnij mnie nieznajomy wybawco od tego nieszczęścia! zawołała Dolrores, dręczona śmiertelną trwogą, i padła na kolana z modlitwą wynosząc ręce ku niebu.

W tej chwili pękły drzwi pod razami topora — a przede drzwiami w cieniu korytarza ukazał się — don Ramiro, wielki mistrz towarzystwa Latającej Pętlicy. Na jego piersi błyszczał świetnie złoty krzyż, twarz zaś pokrywała czarna maska, przy nim, stali dwaj wysmukli, mocno zbudowani Hiszpanie; przed nich razami po dwukrotnem wezwaniu drzwi ustąpiły.

Dolores „pośpieszyła“ naprzeciw swojego wybawcy, a Merino szybko zdecydowany, poznając niebezpieczeństwo zagrażające mu ze strony zamaskowanego nieznajomego pochwycił stojący na kominie wysoki krucyfix i czemprędzej rozbił nim lampę oświetlającą pokój i

korytarz.

Głęboka ciemność otoczyła stojących w pokoju i zewnątrz niego.

Szybko jak upiór nocny przesunęła się obok sług Latającej Pętlicy jakaś postać i znikła w przysionku, a potem w ogrodzie, tak zręcznie i śpiesznie, że nikt jej ścigać nie mógł.

— Czy rzeczywiście jesteś wybawcą, czy też przybywasz także aby mię męczyć? zapytała dziewica zamaskowanego dona, którego postaci w ciemności dokładnie rozpoznać nie mogła.

— Przybywam, donno Dolores del Arore, aby panią oddać jej ojcu! odpowiedział wielki mistrz tajemnego zgromadzenia, i ujął rękę uradowanej dziewicy: — proszę z sobą! Baldemore, rzekł potem do stojącego przy nim młodego Hiszpana: zawołaj do odwrotu!

— O jakże wam dziękuję za uwolnienie mnie od męczarni — od oczekujących mnie ohydnych uścisków! radośne łzy wylewając wołała idąca za swoim wybawcą Dolores.

Podczas gdy Baldemore zgromadzał ustawione w klasztornym ogrodzie posterunki Latającej Pętlicy, don Ramiro i pozostały przy nim towarzysz otwierali drzwi do innych pokoików korytarza — mnisi prędko i zręcznie z nich pouciekali, — a z tych wygodnych kryjówek wychodziły naprzeciw swoich wybawców załamując ręce, tylko same młode, ładne, do połowy porozbierane dziewice — na ich twarzach malował się przestrach, z rozpaczą więc wołając o pomoc rzuciły się do kolan don Ramiro, i błagały,

aby je wydobył ze strasznego więzienia, w którem chciano je zhańbić, a następnie zmusić do przyjęcia zakonnej zasłony.

Widok tej niedoli obudził w zamaskowanym wielkim mistrzu jeszcze większą nienawiść ku Santa-Madre i inkwizycji — podniósł nieszczęśliwe, w marach tych umieszczone istoty, i przyrzekł uwolnić je tej jeszcze godziny.

Należało jeszcze otworzyć ostatni pokój. Don Ramiro uczynił to. Pożądliwy, chęcią użycia powodowany Mateusz, ów opasły spowiednik królowej matki, męczył jakąś młodą kobietę i przymuszał do miłości — przy wzburzeniu zmysłów nie słyszał hałasu na korytarzu — a teraz ujrzał przed sobą nagle, wśród bladego światła, rozwidniającego pokój, jakiegoś zamaskowanego dona, który mu przeszkodził w spełnieniu najpożądańszych życzeń — zerwał się pełen największej wściekłości — i byłby w stanie obcego przychodnia oddać w tej chwili katowi Mutarze.

— Kto jesteś, zuchwały przybylcze, który twarz swoją zakrywasz? jakim sposobem dostałeś się do tego domu do tego pokoju? zawołał drżąc z gniewu.

— Jakim sposobem tu się dostałem, niech to będzie zagadką dla ciebie, ojcze Mateuszu; ale dla czego tu przybyłem, to niech cię obchodzi!

— Ten głos — do kogo należy ten głos? — mruknął wielki inkwizytor, zamierzając przywołać posługujących braciszków, iżby przytrzymali przychodnia, tak dalece bowiem był przerażony.

— Przybywam, aby uwolnić tę piękną kobietę i zażądać od was, abyście nie ważyli się dotykać jej waszemi rękami! Czy tak to służy się Kościołowi, ojcze Mateuszu?

Nieszczęśliwa, dotąd w więzieniu trzymana kobieta, korzystając z tej chwili, z modlitwą na ustach rzuciła się ku niespodziewanemu wybawcy. Mateusz chciał ją zatrzymać — chciał ją wydrzeć obcemu, zamaskowanemu przychodniowi.

— Ona jest wolna! zagrzmiał wielki mistrz zgromadzenia; nie śmiej wyciągać rąk twoich po ocaloną ofiarę, która zostaje pod moją opieką!

— Kto jesteś? jakim sposobem wszedłeś do klasztornego ogrodu Santa-Madre? Klucz od bramy ma tylko brat odźwierny i nikt więcej — drugi zaś znajduje się w ministerstwie — a innego wejścia nie ma! Muszę zatem wiedzieć kto jesteś zawołał Mateusz i gwałtownie pociągnął za taśmę od dzwonka, przeciągniętą aż do izby, w której się znajdowali posługujący braciszkowie.

Lecz nikt nie usłyszał tego głośnego wołania wszechmocnego wielkiego inkwizytora. Nikt nie ukazał się.

— Nie trudź się napróżno, ojcze Mateuszu! rzekł wielki mistrz do rozgniewanego mnicha: tu nikt twoich rozkazów nie usłucha — obowiązek mój wypełniłem! dodał, i tak swój płaszcz otworzył, iż zdziwiony i do wściekłości słowami przybyłego doprowadzony Mateusz, spostrzegł wielki złoty krzyż na jego piersi.

— Latająca Pętlica! — mruknął cofając się wielki inkwizytor.

— Do usług, ojcze Mateuszu! odpowiedział don Ramiro

elegancko się kłaniając, i wyszedł przez korytarz do przysionka, a następnie do klasztornego ogrodu. Ręką, w piękną czarną rękawiczkę odzianą, skinął na dwa posterunki, tak długo pilnujące sali w domu ogrodowym, — poszli wszyscy za wielkim mistrzem i towarzyszem przy nim straż trzymającym. Baldanero czekał w ogrodzie z ocalonemi kobietami i dziewicami, które teraz udały się za don Ramiro. W tejże chwili przyłączyli się do nich jeszcze dwaj ludzie Latającej Pętlicy, którzy stali u wejścia pałacu Santa-Madre.

Posługujących braciszków i klasztornych mnichów nie było ani śladu w ogrodzie, w kolumnowem przejściu, przez które orszak przechodził, rozsypali się jak proch, bo wnet rozeszła się wieść w Santa-Madre, że ukazał się wielki mistrz tajemnego zgromadzenia, przed którym otwierały się wszystkie drzwi i bramy. Nadnaturalność, do której się uciekał wielki mistrz zamaskowany i nikomu nieznany przy wszystkich swoich przedsięwzięciach, wrażenie jakie sprawiał, podniosło jego potęgę, że nie tylko w Madrycie, ale daleko po za stolicą opowiadano sobie o tym dziwnym człowieku i w jego nieomylność wierzono.

I w istocie, dziwna rzecz! skoro don Ramiro z orszakiem swoim zbliżył się do bramy klasztornego muru, ta otworzyła się bez trudu.

Widząc to mnisi, z przestrachu przeżegnali się.

Przed wejściem do klasztoru zbliżyły się znowu dwa posterunki stowarzyszenia, i wraz z wielkim mistrzem i płaczącemi z radości kobietami i dziewicami opuścili klasztor.

Don Ramiro zamknął bramę — poczem zalecił ludziom swoim, aby odprowadzili ocalone ofiary, iżby ich w drodze nikt nie napastował, a sam wziął pod rękę Dolores del Arore i odprowadził do starego ojca.

To wdanie się don Ramiro dotkliwie przeszkodziło i wydarło wielkim inkwizytorom i ojcom najpiękniejszą część dawno upragnionej orgii — jeszcze tej samej nocy odbyli w pałacu Santa-Madre burzliwą i ważną naradę — a celem ich zjadliwej nienawiści prócz Narvaeza, była i Latająca Pętlica, a mianowicie jej nieznajomy, wszechmocny wielki mistrz.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXIV.

MARGRABIA DE LOS CASTILLEJOS.

Rok 1848 zbliżał się do końca.

Prezes ministrów Narvaez, mimo wpływu wydalonego Fulgentego na króla i mniszki Patrocinji na królową, miał w ręku nieograniczoną władzę i ciągle używał jej na uwolnienie dworu od owych wpływowych awanturników i uganiających się za złotem wysysaczów krwi, którzy dla utuczenia siebie, korzystali ze słabości królewskiej rodziny. Prócz tego Narvaez walczył jako nieubłagany nieprzyjaciel inkwizycji i podstępnych, obłudnych mnichów, usiłujących wszelkiemi sposobami przywłaszczyć sobie władzę — człowiek ten kamiennego serca i przeszywającego spojrzenia dążył sam do nieograniczonej władzy, dla tego nie widział swoich współzawodników i usuwał każdego kto stawał na drodze dojścia do tego stromego szczytu, kto mu przeszkadza. Za wpływem ojca Mateusza, i Marja Krystyna i jej małżonek cofnęli swoją dawniejszą przychylność dla Narvaeza; lecz czuł on się mimo to tak silnym na swojej wysokości, że żelazną pięścią torował sobie drogę.

Tymczasem królowa Izabella coraz więcej znajdowała upodobania w pięknym śpiewaku Mirallu, który na wszelkich uroczystościach dworskich ze swoim czarownym głosem popisywać się musiał. Mimo przemijającego

przywiązania do markiza de Bodmar, tego płochego fircyka, nie zapomniała o szlachcicu, do którego należała jej pierwsza gorąca miłość i o którym jeszcze dzisiaj często z wewnętrzną rozkoszą wspominała. Izabella jeszcze dzisiaj kochała Franciszka Serrano!

Nie widziała go już od trzech lat po ostatniem pożegnaniu. Książę de la Torre otrzymał główne dowództwo nad armją, która prawie po trzechletniej wojnie wyparła generała Cabrero w Pireneje, i odebrała karlistom ostatnią nadzieję powodzenia.

Wyprawa Serrano zatem nabyła tak świetnej sławy, zwycięskiej, że nawet sam Narvaez, ten człowiek ze śpiżu, z zadowoleniem oczekiwał wkrótce nastąpić mającego przybycia księcia de la Torre.

Jednego z następnych dni, w zamkowej sali centralnej, zebrało się w koło królowej wyborowe towarzystwo, mające znajdować się na przedstawieniu jednej z najulubieńszych komedji, a potem słuchać kilku pieśni wykonanych przez Miralla.

Sala tronowa leżała w części zamku między muszlową rotundą a apartamentami królowej. Była wielka i szeroka, po obu stronach podparta kolumnami, u spodu których były nisze, a wyżej loże. Ustawione w niej kilka rzędów krzeseł, dochodzących aż do balustrady, po za którą orkiestra oddzielała salę od sceny zasłonionej kurtyną. Szereg złoconych fotelów zajmowała królewska rodzina. Na tych przodowych miejscach znajdujemy Izabellę i jej małżonka, który dzisiaj wyjątkowym sposobem pojawił się, królowę matkę i księcia de Rianzares, Narvaeza i Manuela de la

Concha, dalej w tyle Prima, margrabiego de los Castillejos i Topetego, ministrów Olozago i O‘Donnella, tudzież bogato strojny orszak dam i panów.

Podczas widowiska Prim zbliża się po cichu do opartego o filar Olozagi, który od lat trzech służąc w dyplomatycznym wydziale, doszedł już do stopnia nieograniczonego ministra.

Don Salustyan, jest to zawsze jeszcze ów układny, gładki dworak, może nawet śpiący w rękawiczkach, ale teraz został ministrem. Oblicze jego jest poważne, a jednak pełne łagodnego wyrazu, jakby go jakaś tajemna troska dręczyła. W rozmowie jednak niknie ten wyraz, a powszechnie chętnie widziana twarz ministra, staje się miłą i rozjaśnia się życzliwym uśmiechem. Każdy jego ruch jest wyszukany, elegancki, każdy wyraz dobrze obmyślany i niechybiający skutku... umie on doskonale rozmawiać nie tylko z damami, ale również i z deputowanymi narodu, i wszyscy, którzy choć raz mieli stosunki z młodym ministrem don Salustjanem, Olozagą, są nim zachwyceni.

Otacza go ów tajemniczy nimb, owa rycerskość, Którą hiszpanki nadzwyczaj lubią.

Prim bierze rękę Olozagi i prowadzi go za sobą w cień kolumnady.

— Czy wiesz co o potężnem zgromadzeniu Latającej Pętlicy? szepce don Juan widocznie wzruszony. Niedawno przypadkowo byłem świadkiem rozmowy króla z królową matką i dowiedziałem się, że...

— No cóż? — cicho i zupełnie spokojnie zapytał Olozaga; że to stowarzyszenie czyni władzom wielki

kłopot.

— Tak — a my w gabinecie nic jeszcze o nim nie wiemy?

— Dziwna rzecz, nie powinieneś zaniedbywać dokładnego zbadania tej rzeczy! — Król oświadczył, że przed kilku dniami dwóch bardzo zacnych ludzi znowu od Latającej Pętlicy zginęło!

— Dwóch łotrów, powiedz raczej! Tak przynajmniej z innej strony słyszałem — mieli to być dwaj familiarowie, szepnął Olozago.

— Zdaje się także, że i Marja Krystyna wie o tem, bo odpowiedziała: Tak; mówią nawet, że tajemniczy przywódca owego stronnictwa, otwiera każde drzwi, każdy zamek; dał tego zadziwiający dowód na ulicy Foburgo — wkrótce rzecz należycie zbadana będzie!

— Można to zrobić — ale należy także przedewszystkiem zbadać i to, co się dzieje w pośród murów przy ulicy Forburgo! mruknął Olozaga.

— Z ust mi to wyjąłeś, kochany Sallustjanie; ojcowie z każdym dniem nabierają przewagi, która wszystkiego każę się lękać. Jeżeli to się nie odmieni, łatwo powtórzyć się może rok 1836[1]! mniemał Prim.

Zakonnica Patrocinia i ojciec Fulgenty nie nadaremnie są przy królowej, a Mateusz przy Marji Krystynie! — szepnął Olozaga, i dodał tak cicho, iż go Prim stojący pod cieniem kolumny, usłyszeć nie mógł: „Mateusz ten szelma z nocy św. Franciszka!“

Prim z nawpół ukrytego miejsca spojrzał ku fotelom stojącym najbliżej balustrady, i niespostrzeżony wpatrywał

się w tej chwili w mile uśmiechające się oblicze bujnie rozkwitającej królowej. Młoda, osiemnastoletnia Izabella rzeczywiście w tych latach doszła do najświetniejszego punktu swojej piękności! Jej niebieskie oczy czarowny blask miały; jej kształty, przy pomocy margrabiny de Beville, ułudnie z pomiędzy garnirowań i ozdób wystające, były zupełnie rozwinięte; na ulicach obok durny i przekonania, że jest monarchinią malował się wyraz namiętnej miłości, i o ile wyrazu tego nie mógł dostrzec nieznający serca kobiecego, o tyle ponętnym i wiele przyrzekającym był on dla tego, kogo Izabella chętnie Widziała!

Prim, którego królowa mianowała margrabią de los Castillejos owej pory, gdy Franciszka Serrano podniosła do godności księcia, od owej godziny patrzał na tę królowę zupełnie innemi oczami niż dotąd, a w ostatnich latach ta zmiana tak się wzmogła, że margrabia całemi godzinami wpatrywał się w obraz królowej i marzył.

Dziki Juan Primę szukający przygód brat orężny Serrany, kochał królowę jak młody fantasta podziwiający i uwielbiający obraz dziewicy, która mu się z dala gdzieś w górze ukazuje! Chciał jedynie widzieć jej czarowną piękność, chciał ją bez przeszkody niemo podziwiać; ta rozkosz duchowa dotychczas zawsze stanowiła najwyższy cel życia margrabiego de los Castillejos.

Nikt się nie domyślał tej miłości Prima, sami nawet jego przyjaciele dotąd jej nie spostrzegli: Topete, ponieważ wcale się tego nie obawiał i był tylko herkulesem wierzącym w to, co mu powiedziano; Olozaga, ponieważ

zawsze za wiele był zajęty sobą, oraz swojemi stosunkami i przedsięwzięciami — Serrano, ponieważ od lat trzech nie był obecny w Madrycie. Dopiero za dni kilka oczekiwano jego powrotu z większą częścią wojska.

Królowa sama, jak na dworze głoszono, niezmiernie czuła na spojrzenia i uzdolniona do rozmowy oczu, nie spostrzegła dotąd skrytej skłonności młodego generała — a teraz także nie widziała, że wzrok jego w niej utkwił może dlatego, iż właśnie skończyła się komedja, a na scenie ukazał się śpiewak Mirall, aby zachwycać publiczność swym pięknym głosem, z królowę swoim nienagannym wzrostem.

Mirall był to młodzieniec niskiego pochodzenia, od natury udarowany pięknym głosem, został artystą. Rysy jego szerokiej, tłustej twarzy były ordynarne, obejście i sposób wyrażania się zbyt pospolite — ale głos tenorowy nienagannie piękny i bardzo wyrobiony.

Kiedy śpiewał przy towarzyszeniu mandoliny piękne i zachwycające hiszpańskie pieśni ludu — te przymilające się arje o gorącej miłości i tęsknocie — to tak dalece porywał i zachwycał królowę, tak ją głęboko wzruszał i harmonijnie usposabiał, że śpiewaka i śpiew miała za jedno, że go lubiła, owszem nawet, jako potrzebująca i pragnąca zupełnej rozkoszy, aby się zupełnie nacieszyć potęgą tonów Miralla, dozwalała sprawcy ich całować się i niekiedy zapraszała go do buduaru, w którym nigdy mężczyzn przyjmować nie zwykła.

Królowa też nie przyjmowała signora Miralla, ale tylko posiadacza cudownego głosu!

Mirall właśnie śpiewał jakąś mocno rozrzewniającą pieśń, o której wiedział, że nigdy skutku swojego nie chybi.

Izabella z upodobaniem słuchała tonów, przyjemnie ją wzruszających. Spojrzenie Prima utkwiło w jej czarownic rozjaśnionem obliczu.

Nagle dziwne dźwięki ozwały się wraz z przegrywką nadzwyczaj miłą i wprawnie przez królewską orkiestrę wykonaną. Królowa podniosła się i słuchała. Na twarzy wszystkich obecnych malowało się zdziwienie — nie wiedziano jeszcze skąd pochodzą tak nagłe i coraz bardziej, przybliżające się dźwięki — orkiestra ucichła.

Wtem dał się słyszeć coraz bardziej triumfalny marsz wojenny, niepewne dźwięki zmieniły się w pełnobrzmiącą szumną muzykę wojskową, która w tej chwili dziwnie działającą stanowiła sprzeczność z tylko co przebrzmiałymi tonami tęsknej miłości Miralla — serca słuchających silnie uderzyły na odgłos rogów, i mimowolnie na wszystkich twarzach objawił się czarowny wyraz dumy, te dźwięki dzielnego marsza zapowiadały powrót zwycięskiego wojska.

Królowa powstała z fotela, w duszy jej powstała myśl rozkoszna: to musi być Franciszek Serrano, który nakoniec wraca ze swoimi pułkami z pola bitwy. Na tę myśl wzruszonej Izabelli znikli margrabia de Bedmar, Mirall, król, wszyscy, wszyscy; stanął jej jedynie przed oczami obraz Franciszka Serrano!

Marja Krystyna i król powstali również.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku wejściu do centralnej sali, jakby oczekiwano tam pojawienia się tego,

którego zapowiedziały głośne dźwięki muzyki.

Królowa rozkazała adjutantom, aby bez zwłoki dowiedzieli się, co znaczyć miała muzyka wojskowa, i aby w razie przybycia księcia de la Torre, natychmiast go do teatru zaprosili.

Narvaez swoim lodowatym wzrokiem patrzał na wejście, bo w razie powrotu Serrano, miał dla niego gotowe ważniejsze nad wszystko zapytanie!

Marsz triumfalny przebrzmiał — płochego Miralla nikt już teraz słuchać nie chciał, musiał zatem zaprzestać śpiewu.

Nakoniec głośno otworzyły się drzwi teatralnej sali, i w progu ich ukazał się w swoim generalskim mundurze, imponującej postaci książę de la Torre, otoczony świetną świtą ogorzałych, mężnie wyglądających oficerów.

Franciszek Serrano zmienił się przez ostatnie trzy lata: postać jego jeszcze dumniejsza i szlachetniejsza niż dawniej, gęsty zarost nieco dziki z powodu obozowego życia, otacza jego twarz, czoło ma wysokie i poważne, a na całem obliczu spoczywa surowy, prawie ostry wyraz.

Po wojskowemu witając zgromadzonych wchodzi na salę i zbliża się do świetnego dworu, sztywnym, zimnym ukłonem pozdrawia królową, której oblicze nie jest w stanie ukryć przejmującej ją wewnętrznie radości.

Izabella jeszcze dzisiaj kocha Franciszka całą swą duszą, i czuje to gwałtownie dopiero teraz, gdy widzi dzielnego szlachcica.

Pełnem łaskawości poruszeniem ręki wita Serrano i towarzyszących mu oficerów.

— Powracasz mości książę, i z jakąż wiadomością? — pyta Izabella, przystępując bliżej do kłaniającego się, niecierpliwie oczekując na jego odpowiedź.

— Generał Cabrera z resztkami karlistów cofnął się za granicę, Najjaśniejsza Pani — Hiszpanja z nieprzyjaciół oczyszczona — krwawa kąpiel skończona!

Szmer zadowolenia przebiegi po sali.

Ale królowa z głośnem biciem serca zawołała:

— Mości książę de la Torre, królowa Hiszpanji imieniem całego narodu dziękuje wam za wasze czyny, tym oto uściskiem — nie zważajcie na wasz zrujnowany mundur, wracacie z pola honoru!

Izabella przyciągnęła do siebie zdziwionego księcia, który klęcząc chciał ucałować jej rękę, i przycisnęła go do swoich piersi — z ulicy dał się słyszeć odgłos trąb.

— W księciu dziękuję całemu wojsku! — mówiła Izabella donośnym, rozradowanym głosem — potem drżąc szepnęła wracającemu: — Oczekujemy was w naszym buduarze przed nocą jeszcze dla ważnej rozmowy. Przejdziecie bez przeszkody!

I Marja Krystyna nie mogła uczynić inaczej, tylko na wzór córki uściskiem okazać wdzięczność swoją szczęśliwemu zwycięscy Cabrery. Król i książę Rianzares ścisnęli dłoń mężnego wojownika.

Narvaez z rękami na piersiach skrzyżowanemi, z głębi przypatrywał się temu całemu przyjęciu, które na nim wywierało wrażenie zabawki lalek; książę Walencji nie lubił tego rodzaju scen, twierdził, że Serrano nie uczynił nic więcej nad obowiązek, a doniesiono mu nawet o

wypadkach, które spowodowały księcia Walencji do zbliżenia się do generała Serrany dopiero po przejściu pierwszych chwil przyjęcia.

Pozwólcie na jedno pytanie, panie generale! — rzekł sposobem wojskowym, podczas gdy królowa dawała tajemne zlecenie margrabinie de Beville. — Słyszeliśmy że przed kilku dniami kazaliście doraźnie rozstrzelać pułkownika Valdero, bez sądu wojennego, bez odniesienia się do nas; czy to się tak postępuje, panie generale?

— Zamierzałem mości książę Walencji, z umyślnym naciskiem pomnym powyższych słów księcia — odpowiedział Serrano: — zamiast w salonach Jej Królewskiej Mości, jutro złożyć o tem raport w generalnej komendanturze! Ale kiedy książę wolisz tu już o to pytać, zatem słuchaj! Przed dwoma tygodniami wojska Cabrery tak były przerzedzone, że już o bitwie ani myśleć nie należało; chodziło tylko o ściganie i wyparcie szczątków nieprzyjacielskiego wojska. Pułkownik Valdero z oddziałem ułanów dobre konie mających, tak silnie natarł na uciekających, że odciął pewną ich część i wziął w niewolę. Ja sam gdzieindziej przewodniczyłem w ściganiu. Pułkownik Valdero, wasz przyjaciel od młodości i prawie tak surowy jak wy, bez rozkazu kazał wszystkich pojmanych, pomiędzy którymi znajdowały się kobiety i dzieci, rozstrzelać lub wywieszać!

— Okrutne postanowienie! — szepnęła królowa.

— Tak jest, okrutne, szatańsko okrutne, bo — między owemi kobietami, które biadając napróżno o życie błagały, znajdowała się także siwa matka Cabrery! Mości książę

Walencji, cóżbyś sam uczynił, gdyby nieprzyjaciel twój rozstrzelać kazał twą zgrzybiałą matkę, która powodowana macierzyńską miłością, szła za tobą?

Narvaez zamilkł; na to zapytanie, które nawet tego zakamieniałego człowieka wzruszyło, nie miał żadnej odpowiedzi.

— Cabrera — generał Cabrera płakał, jak mi mówiono, krwawe łzy wylewał ten niezmordowany, waleczny żołnierz — może ostatnie w życiu swojem! bo po tak strasznym ciosie, syn zamordowanej matki zapewne został zimny i bez serca jak... kamień! — Serrano chciał powiedzieć jak ty, mości książę!

— Wtedy, — po przerwie mówił dalej Serrano, — gdy ustał nieco ból owego generała Cabrera, obudziła się w nim niepokonana chęć zemsty — w kilka dni później umiał przynęcić do siebie barona Abella, bogatego, wysoko postawionego granda Hiszpanji, pragnąc na nim dokonać aktu zemsty.

— Więc baron zabity? — szybko i gwałtownie spytał książę Rianzares.

— Tygrys z Maeztrazzo kazał go niewinnie rozstrzelać, podobnie jak żołnierz królowej kazał zamordować jego siwą, niewinną matkę — co było więcej barbarzyńskie mości książę Walencji? — I zwracając się do królowej, uważnie przysłuchującej się opowiadaniu Serrano, dodał: — Tego, co zhańbił armję Waszej Królewskiej Mości, tego pułkownika Valdero, natychmiast doraźnem prawem rozstrzelać kazałem, aby po tamtej stronie granicy i w całej Europie nie powiedziano, że armja królowej Hiszpanji

ukrywa morderców w swoich szeregach!

— Dobrze zrobiliście, mości książę de la Torre, sankcjonujemy wasze rozkazy! A ponieważ dzisiaj znowu przejęliście nas podziwem, ponieważ jesteście godną podporą naszego tronu i znowu daliście tego godny naśladowania dowód, mianujemy was przeto marszałkiem Hiszpanji! Książę Walencji raczy urządzić co pod tym względem należy!

Gdy Franciszek po tem prawdziwie królewskiem odznaczeniu ukłonił się, i znowu nie mógł znaleźć słów dziękczynnych, Izabella łaskawie pożegnawszy go oddaliła się z koła dworzan, z których wielu z zazdrością, wielu z podziwem patrzało na marszałka Serranę, któremu Maria Krystyna, król i książę Rianzares składali powinszowania.

Narvaez nie winszował temu znowu dlań niebezpiecznemu współzawodnikowi na drodze do słońca — Narvaez nie lubił ani pięknych słów, ani tkliwych uczuć; — gdy królowa wyszła z sali teatralnej i inni dostojnicy wrócili do swoich apartamentów, opuścił także salę teatralną, niezbyt zbudowany nowemi rozkazami królowej, i wrócił do swojego hotelu.

Ale Prim podbiegł do przyjaciela, któremu zazdrościł łask Izabelli, i serdecznie go uściskał. Olozaga zbliżył się ku niemu z dobrze obrachowanem powinszowaniem, a Topete, zacny kontr-admirał, tak mocno wstrząsnął ręką Serrano, i wycisnął tak dzielny pocałunek na jego ustach, że Franciszek mimowolnie śmiać się musiał z oryginalnego towarzysza i z jego prostodusznego sposobu wyrażania swoich uczuć.

— Zdaje mi sięf, — zawołał, — że mi ciągle jeszcze rośniesz i tyjesz kochany Topete!

— To są skutki bezczynności, kochany Franciszku. Do pioruna! teraz naprawdę tęsknię do jakiej wraz z tobą awantury, do jakiej walki lub łowów; zupełnie zależałem pole! Ale patrzno, jesteśmy tu ostatni, chodźmy do jakiego hotelu, i przy szklance nie złego jak wiesz wina, pogadamy więcej!

— Dzisiaj musisz mi wybaczyć, — odpowiedział Franciszek zapraszającemu Topete; — w tym mundurze przejechałem konno przeszło pięćdziesiąt mil — a wiesz co to znaczy!

Prim i Olozaga także zejść się nie mogli i widzenie się z sobą starzy przyjaciele z królewskiej gwardji na następny wieczór odłożyć musieli. Szambelan służbowy doniósł marszałkowi Sen ano, że mu wyznaczono i przygotowano mieszkanie w zamku; po serdecznem zatem pożegnaniu, przyjaciele rozeszli się.

Olozago i Topete wsiedli do powozów i udali się do swoich mieszkań — ale margrabia de los Castillejos po ich odjeździe, jeszcze raz wrócił na zamkowe korytarze — powziął on awanturnicze postanowienie, zupełnie odpowiednie jego sposobowi myślenia, a równie śmiałe jak niebezpieczne, o którem każdy inny, podobnie jak on zakochany, nie byłby nawet pomyślał!

Margrabia de los Castillejos, zapragnął gwałtem zdobyć królową, która zapełniała całą jego duszę i którą dotąd wzrokiem tylko uwielbiał — chciał więc dopuścić się zamachu, nie myśląc o jego skutkach. Don Juan kochał

królowę — a czyliż tak kochający myśli kiedy o następstwach?

Na zamkowej wieży wybiła godzina jedenasta, gdy markiz z sali królewskiej gwardji, w której się na chwilę zatrzymaj, wyszedł na korytarz. Otulił się mocno swoim wojskowym, płaszczem, aby go straże odrazu nie poznały i nie narobiły hałasu. Jednak zastanowił się, gdy się zbliżył do schodów, wiodących z krużganku apartamentów królowej — chociaż wybrał to tajemne przejście, dla uniknięcia w salach wstępnych spotkania z adjutantami i szambelanami, musiał jednak zanim dostanie się do gabinetu i buduaru królowej, przechodzić około dwóch posterunków, które miały najsurowszy rozkaz nie dopuszczać tam pod srogą karą żadnego człowieka, pod żadnym warunkiem, — i chyba tylko za wyraźnym rozkazem królowej, ktokolwiekby był, mógł przejść około nich.

— Maszże dla nędznej straży odrzekać się zamiaru, napawającego cię rozkoszą? Wszak nie pragniesz nic więcej, jak tylko raz przed nią klęknąć, raz jej wyznać, że ją kochasz — i czyliż to ma być występkiem? Nigdy — muszę dojść do niej, choćby przystępu strzegły dzikie zwierzęta, z któremi o życie lub śmierć walczyć przyjdzie — a przytem, straż trzyma mój stary przyjaciel Milan del Bosch, w razie potrzeby nie będę bez pomocy — dobrze, Juanie, pośpieszaj do niej, do tej najpiękniejszej w świecie kobiety!

Margrabia de los Castillejos zbliżył się do wpółciemnych marmurowych schodów, prowadzących z krużganków do

prywatnych pokojów królowej; słuchał — nic się nie poruszało — nie było nikogo.

W tej chwili stanął zamyślony i marzący osamotniony, bo zdawało mu się, że widzi ponętny obraz młodej, czarownej Izabelli, któremu się od dawna przypatrywał; — wtem nagle — a musiało już być koło północy — pośpieszył na górę po schodach dywanem wyłożonych, po kilku minutach dostał się na korytarz, po którym zwykle chodziły dwa posterunki. Prim zrzucił płaszcz, aby odrazu poznali, kogo mają przed sobą — a potem szukał ich wszędzie nadaremnie — na korytarzu przede drzwiami do gabinetu i buduaru królowej, nie było żadnej straży!

Szczególny wypadek! Co to ma znaczyć?

Margrabia de los Castillejos obejrzał się na wszystkie strony — tej nocy nikt mu nie zawadzał — nikt nie przeszkadzał!

Przystąpił do pierwszych drzwi — na dywanach ucichł odgłos jego kroków — nacisnął klamkę — i znalazł się w małym pokoiku, należącym do Duenny Marity — teraz wiedział już wszystko!

Jedne drzwi prowadziły do buduaru królowej — od którego był oddalony o kilka kroków! Dały się stamtąd słyszeć przytłumione śmiechy. Izabellę otaczały jeszcze jej damy dworskie.

Margrabia przystąpił do cienkiej ściany przedzielającej go od upragnionej — ręka jego ostrożnie zbliżała się do zamku — i w chwili gdy po cichu otwierał, zdało mu się, że tam w korytarzu ktoś za nim idzie... Szybko więc i bez łoskotu otworzył drzwi — przed nim rozsunęła się wielka,

gruba portjera — Duenna Marita ustąpiła na bok, bo się jej zdawało, że się ktoś zbliża.

Margrabia de los Castillejos znajdował się w buduarze królowej Izabelli.

Słyszeliśmy, że królowa zaprosiła marszałka Serranę do swojego buduaru na tajemną rozmowę. Zatem z najwyższego rozkazu ściągnięto z korytarza oba posterunki, a Duenna Marita otrzymała polecenie nie oddalać wchodzącego dona, lecz wprowadzić go do buduaru.

Z tego powodu stara Marita ujrzawszy nagle margrabiego, nie krzyknęła ani nawet zdziwiła się.

Wówczas Izabella siedziała przed wielkiem kryształowem zwierciadłem swojego buduaru, ustawionem wprost naprzeciw portjery, prowadzącej do pokoju duenny.

Przyćmione światło lichtarzy ściennych, osłonionych różowemi dzwonami, pada łagodnie i czatownie na krzesła o złoconych poręczach i na miękkie dywany. Marita postawiła przed zwierciadłem dwa wielkie ręczne świeczniki, a margrabina de Beville, miła, zachwycająca Francuzka, dzisiaj bardziej jeszcze niż dawniej wzrokiem swoim wabiąca, wpina we włosy królowej wieniec pachnących róż. Wie ona, chociaż wzruszona królowa, której łono silnie się wznosi, nic o tem jej nie wspomina, że Izabella oczekując dzisiaj jeszcze odwiedzin Franciszka Serrano, pragnie jaśnieć czarowną pięknością — po długiej, długiej rozłące poufne spotkanie! I każdy ktoby w owej chwili mógł był widzieć młodą królową, musiałby wyznać zachwycony, że ubrana w ten skromny wieniec pachnących róż, jest piękniejsza niż kiedykolwiek!

Na złotym zegarze nad kominkiem głośno wybiła północ.

Wtem nagle coś się w pokoju porusza — margrabina wydaje przytłumiony okrzyk i odstępuje od fotelu, w którym królowa siedząc przed Wysokiem kryształowem zwierciadłem poprawia swoją toaletę.

Izabella oczekująca Serrano, nagle spostrzega w tem lustrze klęczącą za nią osobę — wydaje okrzyk przerażenia, nogi się pod nią chwieją...

— Tu móc klęczeć a potem umrzeć! — przemawia klęczący....

Strwożona Izabella widzi w lustrze margrabiego de los Castillejos — za nim na progu buduaru, niepostrzeżonego, udajemy się z łaskawymi czytelnikami ulicami Madryrano...

W tej chwili z okropnym na przerażoną królową wpływem, brzmią w uszach jej straszliwe słowa, wyrzeczone niegdyś przez czarodzieja Zantillę:

— „Widzę, jak się kruszy twój tron spróchniały, pod dłonią powstającego bohatera, którego kiedyś w lustrze wojem ujrzysz...“

Izabella przeraźliwie krzyknęła — osłupiałym wzrokiem spojrzała na Serrano i Prima, lodowaty dreszcz przebiegł po jej ciele, sądziła, że ją dręczy straszliwa zmora, potem blade, pełne przerażenia oblicze w obu dłoniach ukryła...

1. ↑ W roku, 836 skasowanie znacznej liczby klasztorów i opór duchowieństwa przeciw temu dały powód do

krwawych napadów na klasztory i mnichów. Dzikie namiętności zawładnęły ludem, zawrze dosyć mocno przejętym kościelnym duchem; zdobywano klasztory i zabijano księży. W kilku tygodniach rząd zabrał 2.000 klasztorów i 6.000 zakonników wygnał z dotychczasowych schronień.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXV.

SYRENY PANI DELACOUR

Po upływie kilku tygodni od dopiero co opowiedzianego przezeń i ze zdziwienia nieruchomego marszałka Ser- tu ku Prado, a następnie dalej do wielkiego *Clseo de los, toros*, w którem obecni byliśmy na latami uprzywilejowanej walce byków, która spowodowała spotkanie królowej z prześladowaną odtąd Henryką. Widowiska tego rodzaju w ostatnich latach często się powtarzały, Izabella jednak na żadnem z nich nie była obecna, bo jak twierdzi, krwawe walki byków nie sprawiają jej przyjemności. Izabella nie chce wywoływać nieszczęsnych wspomnień, wiążących się z owym dniem.

Od kilku tygodni w Coliseo odbywają się przedstawienia sztucznych jeźdźców, a miejsca wszystkie bywają równie zajęte jak na walce byków. Lud i grandesa ciśnie się do cyrku, aby podziwiać piękną amazonkę miss Olidję, która śmiałą jazdą na nieosiodłanym koniu, przepychem i ułudnym krojem odzieży, tudzież pięknością młodzieńczych kształtów, przewyższa wszystko co odtąd widziano. Bujne blond włosy i czarowny blask oczu, w najwyższych sferach weszły w przysłowie i zamieniły się w stały przedmiot podziwu, tem bardziej, że jakby na przekorę tej jasnowłosej piękności, wystąpiła między

innemi dzika czarnooka Polka, usiłująca iść w zawody z miss Olidją. To też na wielkich afiszach porozlepianych na rogach ulic i na ścianach Coliseo widziano wypisane wielkiemi, z daleka przynęcającemi literami imiona: Olidja i Józefa.

Przedstawenie właśnie się skończyło, gdy w półcieniu idąc przez Prado, przechodziliśmy około Coliseum.

Tłumy ludu wypłynęły już na ulice Madrytu, widać tylko kilku mężczyzn i kobiet, którzy się opóźnili.

Około cyrku i wiejskich domów, pojedynczo przy drodze do Aranjuezu wznoszących się, w cieniu drogi z obu stron kasztanowemi drzewami wysadzonej, postępują dwie mocno płaszczami otulone osoby. Zimny wiatr wieje, przeto idą śpiesznie, a oprócz długich dobrze ich figury okrywających płaszczów, mają śpiczaste hiszpańskie kapelusze.

— Znacie hotel pani Delacour? — mówi jedna z osób śpieszących na drodze.

— Tylko z opisu, pobożna siostro, sam jeszcze nigdy go nie zwidzałem.

— Ale wiecie, że dzisiejszej nocy wyprawiają tam bal maskowy, na który pojechał także król i książę de Rianzares?

— Wiem o tem z rozmowy obu dostojnych panów... lecz za pozwoleniem! zbliża się jakiś ekwipaż! Ustąpcie tu pod cień grubego drzewa! Widzicie, to powóz króla!

— Dziękuję, mój pobożny bracie! Spełnimy obowiązek dotyczący naszego towarzystwa, jeżeli dzisiejszej nocy odwiedzimy dom pani Delacour!

— Wiem o wszystkiem, piękna hrabino. Przekonacie się, co za kobieta odstręcza wam króla! O! wy jesteście zazdrośni o króla, równie jak królowa o księcia de la Torre! — podszeptywał ojciec Fulgenty, a tymczasem ekwipaż obu wędrowców szybko przejechał.

— Myślisz, pobożny bracie, że serce moje pełne zazdrości? Chyba żartujesz! bo jakżeby genueńska hrabina, która przywdziała welon dla lepszego służenia towarzystwu, czegoś jeszcze dla siebie pożądała! — mówiła mniszka Patrocinia, z obojętną oziębłością i tonem sobie tylko właściwym. Albo może mniemasz, że tego schorzałego księcia, który już nie może czuć miłości, w sercu mojem zamknęłam? Ha ha ha! mój pobożny bracie — hrabina genueńska widziała u nóg swoich królów i bohaterów!

— Któż o tem wie lepiej niż ojcowie inkwizycji, pobożna siostro? kto więcej w to wierzy jak ja? — Ty czarowna kobieto. — szepnął Fulgenty, namiętnie ściskając dłoń idącej przy sobie — któryż człowiek, chociażby nawet święty, zdołałby ci się oprzeć? Wiedz, że gdybyś skinęła na mnie, abym na twojem niebiańskiem łonie mógł użyć szczęścia doczesnego, wtedy choćby mnie łamanie kołem czekało — zapomnę o wszystkiem i utonę na twojem liljowem łonie...

Aja szatańsko się roześmiała pod czarną maską zakrywającą jej twarz — chętnie słuchała gorących słów ojca, bo przekonywały ją, że jej piękność i potęga zawsze jeszcze są nienaruszone!

Od kilku tygodni król zaniedbywał w tak uderzający

sposób swą boską Julję, jak zwykł był nazywać hrabinę, mianującą się teraz mniszką Patrocinią, że interesem jezuitów z Santa-Madre było, między innemi okolicznościami zbadać powód tej zmiany królewskiego usposobienia. Za pomocą przebiegłej ułudnej mniszki i przez niezmierną siłę rozbudzonych rozkoszy, umiano dotąd wywierać na niego równie tajemny jak potężny wpływ; ten od kilku tygodni tak widocznie osłabł, że nie można było dłużej wątpić, że król znalazł sobie coś innego, co go więcej zajmowało.

Ojcowie i ich rozgałęzione towarzystwo, zdołali łatwo wywiedzieć się o tem należycie.

„Panowie z dworu, — brzmiał tajemny raport, — bardzo często bywają w domu niejakiej pani Delacour.“

Teraz już ojcom inkwizycji rzecz się wyjaśniła. Wyżej wspomniana donna, obecnie około czterdziestu lat mająca, kiedy przed dwudziestu laty była jeszcze młodą i piękną Francuzką, Marją Delacour, miała króla. A jakkolwiek Ferdynand był obmierzłym kutwą i nie zwykł był wynagradzać za swoje miłostki, do których pewno nie pobudzała jego gmina i odrażająca postać, przecież zręczna i przebiegła demoiselle Delacour kosztowała go kilka tysięcy durów. Kiedy mu się już była sprzykrzyła, udało się tej zręcznej zalotnicy dostać w swe sidła młodego i bogatego bankiera Salamanka. Ten hojny kochanek darował jej wspaniały pałacyk na ulicy Aranjuez; a gdy i ten wkrótce ją sobie sprzykrzył i opuścił, przekwitła Marja widziała się zmuszoną do szukania innej drogi do zrobienia majątku.

Znalazła nakoniec taki przemysł, za pomocą którego nie sprzedając i nie narażając się, mogła robić doskonałe interesa: zaczęła prowadzić handel wdziękami innych!

Pani Delacour obróciła cały kapitał na przerobienie swej willi na taki pałac, jakiegobyśmy nie znaleźli w całej Hiszpanji. Zobaczymy, że nieźle rachowała, prowadząc handel ludźmi, któryby ją uczynił miljonową panią, gdyby go jeszcze lat kilka spokojnie prowadzić mogła.

Otoczyła swą ustronną willę mocnym na dziesięć stóp wysokim murem, a ogród, który nagle jakby za pomocą dotknięcia czarodziejskiej laski powstał, przyozdobiła rozkosznemi altankami, ocienionemi gęstą latoroślą, wabiącemi domkami i chłodnemi grotami, tak, że w letnich gorących miesiącach, nie było nic ponętniejszego nad wieczory i noce w tym zamkniętym ogrodzie pani Delacour, gdzie altanki i groty z szemrzącemi strumykami i kaskadami, zaludnione były Nimfami i Dryadami, których wdzięki w tem otoczeniu miały podwójnie przyciągającą siłę.

Jednakże mocnoby się mylił, ktoby sądził, że pani Delacour swoją świątynię zrobiła publicznem miejscem rozkoszy, do którego każdy wejść miał prawo, ktoby, chciał poświęcić pewną liczbę eskudów. Przebiegła donna trzymała swój park otwartym tylko dla przyjaciół i protektorów; dla nich tylko na oścież otwierały się bramy, im tylko zręcznie i milcząco służyli wygalowani lokaje. Do tych zaś przyjaciół i protektorów zaliczała pani Delacour samych tylko panów dworu i spokrewnionych z nimi lub znajomych im domów. Kto przez nich został wprowadzony,

tego spotykał osobliwszy zaszczyt; dla profanów sale i park signory Delacour były wysokim ogrodzone murem.

Ta rachuba była bardzo uzasadnioną: ponieważ przez takie urządzenie panował tam wyższy ton elegancki, bywało towarzystwo, w którem książę Rianzares ze swoim bratem, hrabią d‘Arkona, często i chętnie przesiadywał i w którem nawet czasami króla w zaufanem kółku przy szampanie spostrzegano, skoro tylko w grotach i altanach parku nowy jakiś nabytek się zjawił. Widywano też u pani Delacour innych jeszcze panów dworu i członków grandessy: ministra Olozagę, pułkownika Miliana del Bosch i admirała Topetego, który za każdym razem swą muskularną postawą wzbudzał wesoły chichot między syrenami parku.

Te syreny były głównym przyciągającym magnesem tajemniczego hotelu. Wiedziała o tem dobrze pani domu, dlatego starała się z wielką troskliwością o rozmaitość i najpiękniejsze stworzenia wszystkich krajów, albowiem nic bardziej nie przyciąga, o czem wiedziała pani Delacour z własnego doświadczenia, jak ciągła rozmaitość w rozkoszach.

Nim odwiedzimy bal maskowy w salonach pani Delacour, przypatrzmy się tym letnim nocom, jak je zwykle w parku spędzano.

Gdyśmy przeszli drzwi ukryte w murze, które nam wygalonowany lokaj z niskim ukłonem otworzył, spostrzegamy w cieniu wspaniałych starych drzew leżącą willę. Szerokie, marmurowe schody, przyozdobione pachnącemi kwiatami i ścielącym się bluszczem, prowadzą

nas do otwartych na oścież drzwi, z obu stron których wspaniałe kandelabry rozlewają potoki światła. Przed willą bije fontanna, wyrzucając wodę to prostym słupem wysoko w górę, to nagle się zniżając i rozpryskując się w miljardy kropel w powietrzu. Książę Rianzares przychodzi właśnie z piękną Niną z willi do parku.

Z tamtej strony spaceruje rozmawiając wesoło z czarnooką Franciszką, hrabia Arkony. Tu spostrzegamy zbliżającego się do ciemnej, opatrzonej miękkiemi kanapkami altanki, szlachetnego don Milana del Bosch z czarującą Dorotą. Tam dalej w cieniu drzew migdałowych i kasztanów, przepędza wesoło czas Topete, igrając za śliczną Klarą.

Piękna Nina, Francuzka, pełna dzikiej swawoli i uszczypliwego humoru, zachwycała sobą małżonka Marji Krystyny. Jest ona ubrana w jasno-niebieską suknię, ściskającą jej piękne kształty, a mocne wygorsowanie pokazuje o tyle jej piękne, podnoszące się burzliwie łono, że książę może się dostatecznie przekonać o bujnych wdziękach swej donny. Aleje i ścieżki ogrodu oświecają tu i ówdzie rozwieszone na gałęziach kolorowe balony i lampy; tutaj wytryska ze sztucznej skały źródło, tam skała tworzy bardzo słabo oświetloną grotę; tutaj stoi ukryta w gęstwinie miękka darniowa ławeczka, doskonała do wypoczynku i snu; naprzeciwko leży otoczona gęstą winoroślą altana, w której pali się alabastrowa z matowem szkłem lampa, rzucająca słabe światło. Książę poprowadził piękną Ninę przez ścieżki parku do tej altany; przyciska ukrytą sprężynę, rozlega się głos dzwonka i zwołuje lokajów. W kilka minut

później krążą między samotną parą kielichy szumiącego perlącego się szampana — piękna Nina staje się jeszcze bardziej wesołą — jej jasno-niebieska suknia, jakkolwiek zrobiona z najcieńszej, prawie przezroczystej materji, z powodu szumiącego szampana gniecie ją zbytecznie. Piękna Nina padła w objęcia księcia Rianzaresa.

Syreny pani Delacour umieją doskonale zapełniać kasę pani domu sakiewkami swych wielbicieli, i o tyle tylko zbliżyć im się do siebie pozwalają, żeby ich wdzięki nie służyły na ponętę na jeden wieczór, jak życie motylka! Piękna Nina i dzika Klara wiedzą doskonale miarę, jaką mają zachować, ażeby ich wielbiciele codziennie do nich wracali. Czarująca Dorota ze swoją prześliczną figurką potrafi tak dobrze, jak czarnooka Franciszka z wysokimi gośćmi pani Delacour pośmiać się, poigrać, a nawet całe godziny przepędzać w ukrytej grocie, a jednak bałwochwalca jej wdzięków nie będzie mógł się pochwalić, że posiadł zupełnie piękną syrenę. Na tem właśnie polega cała sztuka kokietujących kobiet; do tego zmierzały wszystkie rady doświadczonej pani Delacour, która widziała jak jej majątek prędko wzrastał.

Zawdzięczając trafowi, albo może swemu wprawnemu oku, udało się jej niedawno znaleźć młodą, wysmukłą, a przytem żywą Andaluzkę, którą nakoniec po wielu namowach nakłoniła do wstąpienia do jej willi. Piękna Elwira, dzikie szesnastoletnie dziewczę, z ognistem spojrzeniem, które zapala błyskawice we wszystkich oczach męskich, z długiemi czarnemi włosami i wspaniałej postawy, była kosztownym nabytkiem dla pałacu pani

Delacour. jakoż w istocie udało się przebiegłej metressie, za pomocą tej pełnej wdzięków, młodości i niewinności syreny, zwabić do siebie młodego króla.

Skoro się tylko mały Franciszek z Assyżu dowiedział o miejscu przebywania uroczej Elwiry, zaraz tego samego wieczoru pospieszył odwiedzić willę signory Delacour. Tam ku niemałemu, a przyjemnemu zdziwieniu, spotkał się z księciem Rianzaresem i jego bratem. Wybrano najodleglejszą altanę w cienistym parku, szampan lał się strumiemieniem, lokaje krzątali się, król całował piękną Elwirę. Pa ni Delacour nie posiadała się z radości i dumy; jej pałac od tego wieczoru zaczął być ogniskiem zebrania najrozrzutniejszej grandessy Madrytu.

Miljon, który Franciszek z Assyżu pożyczył od ojców inkwizycyi, już dawno się rozszedł; książę był zmuszony pożyczkę podwoić, ponieważ oddana mu piękna Elwira, była zbyt kosztowną miłością!

Pani Delacour wnet znalazła nowe sposoby urozmaicenia zabaw.

Urządziła dla swoich wysokich gości żywe obrazy według starych malowideł i mitologji starożytnych Greków’ Była pierwszą, która tym grupom osobliwszą nadawała naturalność, syreny bowiem nie miały żadnego innego odzienia, prócz białych trykotów, naśladujących do złudzenia marmur. W wielkiej palmowej sali pałacu, którąśmy przy okoliczności balu maskowego już zwiedzili, się scena, na której przedstawiały się zachwyconym oczom wysokich panów te w istocie prześliczne obrazy. Na tej dopiero wystawie, można się było dosyta napatrzyć i

napodziwiać plastycznym kształtom pięknych syren.

Donowie musieli chwalić dobór i gust pani Delacour, gdyż każda z jej syren zdawała się być piękniej i bujniej od drugiej zbudowaną.

W miesiącach zimowych odbywały się tam prócz tego bale i zabawy maskowe, na których spostrzegano kostjumy i maski najrozmaitszych gatunków.

Niedługo jednak piękna Elwira tak dalece spowszedniała zużytemu małżonkowi królowej Izabelli, że pani Delacour pilnie się poczęła starać, ażeby smak książęcia czemś nowem zaostrzyć, ale długie poszukiwania jej były daremne.

Wtem przypadek sprowadził taki nabytek do jej domu, o jakim nawet marzyć nie mogła.

W nocy po dniu świętego Franciszka, kiedy w sali pani Delacour odbywały się przedstawienia żywych obrazów, na których tym razem dla Franciszka z Assyżu znajdowały się dwie uwielbiane amazonki cyrku, Olidja i Józefa, została ogspodyni domu przez jednego ze swych lokajów do parku zawołaną, gdzie z nią dwie kobiety rozmówić się chciały.

Pani Delacour niechętnie pośpieszyła za lokajem. Można sobie wyobrazić jej przestrach i zdziwienie, gdy ujrzała przed sobą w podartych łachmanach jednooką Nepardową i jakąś bladą dziewczynę w ubogich sukniach. Pani Delacour musiała jednak mimowoli wybrać uprzejmą minę, gdyż usługi, które jej stara jednooka z wyspy Manzanaresu przed laty wyrządziła, były tak ważne, że sama przezorność nakazywała jej grzeczne postępowanie. Zdawało się, że pani Delacour domyślała się w jakim celu odwiedziła ją

stara jednooka; z najsłodszą miną z kieszeni jedwabnej sukni dobyła napełniony elegancką sakiewkę w celu udzielenia Nepardowej kilku sztuk złota.

Jednooka stojąca obok drżącej Henryki chciwie spoglądała puzostałem jej okiem na czerwone pieniądze, które jej gospodyni domu chciała wetknąć w rękę, mówiąc przytem:

— Zdaje się, że ci teraz niedobrze się powodzi, Marjo, jestem ci jeszcze dłużną z dawnych czasów; przyjm więc tę drobnostkę!

Jednooka potrząsnęła głową i odsunęła rękę.

— Nie po złoto do was przychodzimy, — odrzekła, — tylko po schronienie! ja znałam cię i wiedziałam, że nie odpędzisz w zimną noc, oddając w moc goniących za nami siepaczy!

Pani Delacour bardzo się temi słowami przestraszyła.

— Tybyś chciała u mnie zostać — szeptała. — Cóż porabia to biedne dziewczę przy tobie?

— To moja córka Viana. Przyjm nas Marjo Delacour; nie mamy żadnego schronienia tej nocy!

Rzeźka jeszcze i dobrze zachowana gospodyni domu przytknęła palec do swego grubego i szerokiego nosa; głęboko się zamyśliwszy; a oczy, które dotąd uporczywie trzymała wlepione w Henrykę, spuściła ku ziemi.

— Czy twoja córka Viana jeszcze niewinna i dobra? — zapytała nareszcie.

— Niewinna i dobra — jak możesz o tem wątpić signoro Delacour?

— No, to chodźcie, udzielę wam na tę noc schronienia;

po za mojemi pokojami znajduje się mała izdebka, którą zajmiecie. Służący przyniesie wam suknie do przebrania, jedzenie i napój, którego zdajecie się obie bardzo potrzebować. Ileż ma lat wasza córka, Marjo?

— Viana ma lat dwadzieścia! — odpowiedziała stara, podczas gdy Henryka, która wcale nie wiedziała, jakiem się rzemiosłem dawniej Nepardowa trudniła, dążyła za dwiema kobietami do odległej ukrytej oficyny.

— Na jednym z najbliższych wieczorów, król, którego nie mogła zająć ani amazonka Olidja jak księcia Rianzanesa, ani czcigodnego hrabiego Arkony, zobaczył bladą Henrykę, która w domu pani Delacour była powszechnie znana jako signora Viana, córka Marji Nepardowej. Była ona z tego zadowoloną, że znalazła na pewien czas schronienie i ucieczkę od straszliwych katów inkwizycji, przed którymi z trudnością mogła ujść w nocy świętego Franciszka, i to tylko zawdzięczając pomocy owych nieznanych, milczących mężczyzn. Pozwoliła więc, ażeby ją nazywano Vianą, a nawet zjawiła się nakoniec w salonie pani Delacour, ulegając w tem uporczywym jej namowom.

Nie wiedziała, kto byli ci panowie, którzy się tam znajdowali, nie zapytała nawet o to; myślała wtedy wśród gwaru towarzystwa o swym Franciszku i o swojem porwanem, zgubionem dziecku. Jakiś wdzięk słodki i uroczy musiał wiać z jej bladego oblicza i spoczywać na jej postawie. Król nie uważał już więcej na łudzące syreny: jego cała uwaga zwrócona na bladą, piękną Vianę, która w nim wzbudza osobliwsze uczucie. Przeżyty, zniszczony

Franciszek z Assyżu, który przez intrygi inkwizycji, przez knowania jezuitów, będąc zrujnowanym na ciele i umyśle, został małżonkiem prześlicznej Izabelli, patrzał z osobliwszem zajęciem na bladą, piękną signorę, która nigdy przedtem przez niego niewidziana, nagle się zjawiła w salonie pani Delacour! Sam sobie nie umiał zdać sprawy ze swego postępowania; przyjeżdżał codziennie do odległej willi, na ulicę Aranjuez, jedynie dla tego, ażeby patrzeć na bladą, uroczą postać nieznajomej, która się nie mieszała do zabaw syren. Viana przedstawiała mu się jak kwiat dojrzały do uszczknięcia; a jednak lekkomyślny Franciszek z Assyżu nie był w stanie przybliżyć się dla zerwania go, jak to przecież uczynił z piękną Niną, zachwycającą Dorotą i dziką Elwirą.

Pani Delacour zaledwie spostrzegła swem wprawnem okiem wrażenie, jakie na królu sprawiła córka jednookiej, zaraz oświadczyła się z chęcią dania obu kobietom na dłuższy czas schronienia, i podejmowała je z serdeczną gościnnością. Przynosiła cichej, bladej Vianie codziennie nowe suknie, nakoniec i kosztowny naszyjnik, który mimo oporu musiała Viana na siebie włożyć.

Ten naszyjnik perłowy pochodził z rąk króla. Viana nie mieszała się pomiędzy syreny pani Delacour, trzymała się od nich z dala, ponieważ jej zamyślenie i smutek nie przystawały do żartów i zabaw, wydanych na rozpustę dziewcząt. Viana unosiła się po sali jak skromna sylfida, i właśnie ta skromność, ten wdzięk niewinności, przykuł do niej wycieńczonego Franciszka.

Ujmująca Henryka nosiła suknię jak najmniej

wygorsowaną ze wszystkich, jakie tylko od pani Delacour otrzymywała; jej piękne, ciemne włosy spadały we wdzięcznych zwojach na barki i ramiona; nie mogła przecież zasłonić sobie oczu, ani ukryć zgrabnych ruchów.

Król spostrzegł, że następnego wieczoru piękna Viana miała na sobie naszyjnik z pereł; ale ona co do tego uległa tylko naglącym prośbom gościnnej pani Delacour. Oczy Franciszka spoczywały na jej pięknej, szlachetnej postawie, na jej prześlicznych oczach, i zdawało mu się, że niebo się przed nim otwiera, kiedy Viana podniosła długie, ciemne rzęsy! Ona przecież w ciągłej pozostawała obawie, że prześladowcy ją znajdą i potrafią dosięgnąć nawet w tem nowem schronieniu. Niedługo miał być obchodzony w pałacu Delacour bal maskowy, na którym i król znajdować się obiecał, z warunkiem wszakże, iż znajdzie na nim zachwycającą Vianę.

Pani Delacour musiała użyć całego swego wpływu, to prosząc, to grożąc, to wreszcie nawet wzywając do pomocy starej jednookiej, której się zdawało, że tem się chociaż w części odwdzięczy swojej bezinteresownej przyjaciółce, nim Henryka przystała na udział w balu maskowym. Wybrała sobie z przyniesionych jej do wyboru przez panią Delacour wspaniałych i bogatych kostjumów, ciemny i pasujący dla niej strój zakonnicy.

Pani Delacour nic innego nie pozostawało do zrobienia, jak zawiadomić króla o współudziale i wyborze pięknej Viany.

Jużeśmy widzieli, że podczas tej maskowej zabawy w pałacu pani Delacour, pomiędzy bogatemi ekwipażami

znakomitych donów, którzy się spodziewali tej nocy osobliwie dobrze się bawić, znajdował się także ojciec Fulgenty i piękna hrabina genueńska. Ojciec nosił pod płaszczem i kapeluszem kostjum mnicha; Aja była przebrana w czarne męskie domino, tak, że widząc ją podobnie przybraną i do tego w kapeluszu, śmiało wziąć było można za dona.

Oboje piesi zbliżyli się nakoniec do wysokich murów. Fulgenty miał kartę wejścia, którą od księcia Rianzaresa, z pomocą ojca Mateusza, otrzymał. Czarny rycerz i potężny Turek, odziani w białe szerokie płaszcze, weszli jednocześnie z nimi do parku pani Delacour.

Ojciec i hrabina genueńska zrzucili swoje płaszcze i weszli przez wspaniale oświetlone schody do salonu. Otworzyły się ogromne podwoje. Aja musiała przyznać, że właścicielka pałacu umie swych gości z gustem i przepychem przyjmować.

Pierwsza sala, do której weszli, przedstawiała krajobraz zimowy. Wysokie, błyszczące skały, zrobione dziwnie naturalnie ze szkła matowego, rozpadliny, zwieszające się stalaktyty lodu i płaty śniegu, były oświetlone migającem się różowem światłem zorzy północnej; z drugiej strony ściany tworzyły obszerną jaskinię, oświetloną bladym promieniem księżyca. W skałach były umieszczone groty z taką naturalnością, jakby przez naturę wykute.

W tej sali przechadzała się w różnych kierunkach tak wielka liczba elegancko przybranych i tak brylantami błyszczących masek, żebyśmy się z podobnym przepychem chyba na zamkowej maskaradzie spotkać mogli. Tu

Greczynka spaceruje pod ramię z Chińczykiem; tam rycerz średniowieczny z sułtanem; ówdzie więcej jak tuzin zgrabnych poliszynelów, żartując, zaczepiając, goni się w tłumie; tu Mefistofeles prowadzi się pod rękę z dwiema ślicznemi Tyrolkami; tam znowu kilka bogiń otoczyło dobrze zbudowanego pazia, odgrywającego rolę Parysa, i wzywają czarnego, dumnego rycerza, by mu dopomógł rozstrzygnąć spór miłośny.

Aja, przybrana w czarne domino i wysoki śpiczasty kapelusz, przechodząc około mnicha, przedarła się przez natłok do drugiej sali, w której mniej znajdowało się masek. Jedna strona sali, w której zwykle odbywały się przedstawienia teatralne, była dzisiaj zajęta przez liczną orkiestrę, wykonywującą namiętnie tańce z wielką wprawą. Inne trzy ściany tej sali były przyozdobione sztucznemi palmami, których wierzchołki ocieniały prześlicznie malowane krajobrazy. Z tej sali, drzwi z obu stron przystrojone chylającemi się ku sobie palmami, prowadziły do sali skał.

Dziwne wrażenie nas ogarnia, gdy się zbliżamy do tej olbrzymiemi filarami podpartej przestrzeni, która w wielu miejscach ma naprawdę podobieństwo do dzikiej natury. Wejście utworzone ze skał, fantastycznie w różne dzikie kształty pozlepianych, są oświetlone sztucznemi, niebieskiemi, czerwonemi i jasno-zielonemi ogniami. Pojedyncze wejścia łączą z sobą szeregi nisz, mogących być jedne od drugich zapomocą draperyj i portjer oddzielane, a w których znajdują się kamienne stoły i dziwacznego kształtu krzesła i fotele dla odpoczynku.

Czarne domino i mnich odwiedzili także te trzecią salę. Przed nimi szła jakaś Djana, której piękność kształtów, niedość osłonionych krótką przezroczystą sukienką, zdawała się wszystko przewyższać. Zielona krótka złotem haftowana suknia nie zakrywała nogi, ubranej w ciasno przystający trykot koloru cielistego, równie jak obnażonych bark, na które spływały w gęstych puklach bujne blond włosy. Zgrabny łuk przewieszony przez plecy, zdawał się być odebranym Amorowi, a strzała, którą piękna Djana w ręku trzymała, musiała utkwić głęboko w sercu jej towarzysza, rycerza krzyżowego wspaniałej budowy, używającego całej wymowy do nakłonienia pięknej Olidji, by z nim się do jednej z grot udała.

— Widać, że książę Rianzares woli raczej przepędzić noc w towarzystwie tej amazonki z cyrku, — wyszeptało czarne domino do mnicha, — aniżeli się pieścić ze zwiędłą królową matką!

W tej chwili ujrzało się czarne domino naprzeciw drugiego, które stojąc przed niem, mierzyło je okiem od stóp aż do głowy. Aja odważnie odpowiedziała wzrokiem na ten niemy przegląd — potem, gdy się mały, czarny sobowtór oddalił, przyciągnęła szybko do siebie towarzysza i szepnęła:

— Założyłabym się, że to król był w tem dominie!

— Może masz rację, pobożna siostro; idźmy więc za nim!

Gdy hrabina z ojcem Fulgentym nieznacznie postępowała za czarnem dominem, olbrzymi sułtan zbliżył się do pięknej markietanki, stojącej przed swoim szałasem i

zachwalającej przechodzącym szampana i malagę. Wielki sułtan, o szerokich barkach, w ogromnym turbanie z ciężkiego jedwabiu, napisał na małej rączce chichoczącej markietanki imię „Elwira,“ a ta nawzajem nakreśliła na jego dłoni literę T.

— Ha, ha! poznany! Czy nie mógłbyś nakłonić tamtego czarnego domina do przestąpienia progu szałasu?

— Czarne domino? Dla czegożby nie, moja piękna Elwiro? Ale każda rycerska usługa musi być wynagrodzoną!

— Nie — bądźże tak nieużyty sułtanie, śpiesz się! Albo jeżeli wolisz — trąć się zemną — daruję ci kielich pieniącego szampana!

— Za kogoż to mnie bierzesz, piękna markietanko? Z takiej nagrody tylko trubadur średniowieczny byłby zadowolony, ale nie sułtan! Cóżby było z naszym haremem, mała Hebo! — mówił Topete, i objął wpół giętką, a mimo tego pełną kibić Andaluzki, podczas gdy jego oczy (był o całą głowę wyższy od pięknej Elwiry) pomimowoli spoczęły na jej pięknem, gwałtownie wznoszącem się łonie. Cóżby było z naszym haremem? Parę całusów to dla mnie najlichsza nagroda!

— Śmiesz to nazywać czemś Echem? Idź!

— Dumna jak wszystkie Andaluzki, — rzekł Topete, tuląc ku sobie piękną Elwirę. Wypłać mi najprzód nagrodę w brzęczącej monecie.

— Czarne domino już daleko! — wyszeptała powolnie mu się opierając.

Po odebraniu nagrody, pośpieszył żartobliwy Topete za

czarnem dominem, z którem piękna Elwira mówić pragnęła.

Trącił lekko w ramię hrabinę genueńską, która się szybko obróciła, spoglądając na olbrzymiego sułtana.

— Czarne domino, — rzekł: mam rozkaz poprosić cię do szałasu markietanki, która ciebie z upragnieniem oczekuje.

Aja usłyszawszy te słowa, natychmiast zrozumiała, że sułtan wziął ją za inne czarne domino, które się obecnie przeciskało przez tłum; masek, dążąc do jakiejś ubranej ä la Pompadour markizy, która błyszczała wyszukanie Wspaniałym, prawie królewskim strojem.

— Idź za nim! — szepnęła hrabina do mnicha, śpiesząc za sułtanem! do szałasu, i zgiąwszy się przy niskiem wejściu, znalazła się po chwili wobec pięknej Andaluzki, spoczywającej w cudownem zaniedbaniu na tureckim dywanie. Przy wejściu czarnego domina, Andaluzka szybko podniosła się z ziemi, a tymczasem, Topete spuściwszy zasłonę, oddalił się ze śmiechem.

— Proszę o przebaczenie waszej królewskiej mości, — wyrzekła piękna Elwira, padając na kolana; — ale muszę dzisiaj z waszą królewską mością pomówić!

— Cóż cię do tego zmusza, jeżeli spytać wolno? — rzekła Aja, naśladując głos króla.

— Jakże zimne są te słowa! Niegdyś inaczej przemawiałeś do biednej Elwiry, która cię tyle kocha!

— Jeszcze i dzisiaj jesteś dla mnie tak drogą jak wtedy, gdy...

— Gdym w parku, w waszem objęciu spoczywała i wasze usta paliły moje zarumienione policzki. Tyś był

pierwszy, który mnie pocałował!

— Żartujesz, Elwiro! Ileż to razy to samo przedemną przysięgałaś?

— Wstrzymaj się, książę! Kiedym w tym domu obietnicom waszym uległa, byłam niewinnem dzieckiem; a tyś zaledwie mnie ze swych objęć wypuścił, poszedłeś uściskać drugą — to czyni wasze obietnice śmiesznemi — ja się nie śmieję, panie!

— Uściskać drugą — zapytała niecierpliwie Aja, z mocno bijącem sercem; — o kimże to myślisz Elwiro?

— O kimże innym, jeżeli nie o bladej Vianie? Jeszcześ jej wprawdzie nie ściskał, ale dążysz do tego, wiem o tem!

— Blada Viana? — powtórzyła hrabina genueńska powoli, w części dla tego, ażeby sobie to nazwisko lepiej utwierdzić w pamięci, w części przypominając sobie, czy go już dawniej nie słyszała.

— Jakże smętne wymawiasz to piękne słowo! O gdybym w istocie mogła jeszcze powątpiewać! Ale nie łudź mnie dłużej. Ty kochasz bladą Vianę! Jam to spostrzegła, gdym śledziła ukradkiem twoje spojrzenia, spoczywające na tej obcej zalotnicy. Ona zręczna w istocie, można się od niej uczyć!

— Gdzież jest Viana?

— I mnie się o to jeszcze pytasz? Najjaśniejszy panie, nie posuwaj zbyt daleko naigrawania się nademną!

— Nie gniewaj się, piękna Elwiro. Twoje oczy cię nie omyliły, kocham bladę nieznajomą! — szepnęła Aja, starając się wydostać z szałasu; Wiedziała już bowiem wszystko co wiedzieć pragnęła. Zostawało jej jeszcze

poszukać owej Viany, która opanowała króla — a opanować go musiała całego i nagle, kiedy nawet od niej uciekł, ażeby szukać owego przedmiotu miłości.

Piękna Elwira, która podczas rozmowy była bez maski, przy ostatnich słowach czarnego domina, zasłoniła twarz rękoma. Hrabina genueńska korzystając z tej chwili, zawołała: „Do widzenia!“ i opuściła szałas, zostawiwszy w nim omdlałą kochankę króla.

— To samo ci się przytrafiło co i mnie piękna Elwiro! szeptała sama do siebie z szatańskim uśmiechem, i wmieszała się w tłum masek, ażeby poszukać ojca Fulgentego, który miał śledzić drugie czarne domino.

Śledzący mnich niepostrzeżenie szedł tuż za królem, który zbliżył się do markizy a la Pompadour, i wcale się nie omylił, wziąwszy tę w szeleszczącej jedwabnej sukni donnę, z elegancko upudrowaną fryzurą za panią Delacour — Markiza skinęła poufale głową, gdy na jej przybranej w elegancką rękawiczkę ręce napisał pierwszą literę i nawzajem dał się jej poznać.

— Jakże czarno przybrana wasza królewska mość. Od jakiego czasu lubicie ciemne barwy? pytała żartując, niegdyś piękna metresa.

— Od chwilji kiedym zobaczył bladą Vianę, signoro! odpowiedział król. Przyobiecała mi, że dzisiaj będzie się znajdowała na maskowym balu; gdzież jej mam szukać?

— Wasza królewska mość jest bardzo niecierpliwą i porywczą. Urocza Viana znajduje się pomiędzy maskami, dziwię się że, z waszym bystrym wzrokiem od tego czasu jeszczeście jej nie odkryli?

— Słuszna nagana, signoro! Dziką Ninę przebraną za dziewicę Turczynki, amazonkę Józefę w kostiumie pazia — wszystkie znalazłem i poznałem, z wyjątkiem jednej bladej Viany!

— Czy widzisz najjaśniejszy panie tę zakonnicę, siedzącą tam samotnie pod cieniem palmy? zapytała pani Delacour, spacerując z królem po środkowej sali, gdzie dźwięki muzyki tak głośno rozlegały, że ojciec Fulgenty z trudnością te słowa mógł dosłyszeć.

— Należało mi się domyśleć, że Viana tej zabawie tylko z dala przyglądać się będzie! odpowiedział Franciszek z Assyżu, spoglądając w ową stronę, gdzie siedziało samotne domino, w skromnym ubiorze zakonnicy i w czarnej masce na twarzy, nie zdając się wcale zwracać uwagi na powszechną wesołość.

— Najjaśniejszy panie, nie zabieraj sobie czasu, gdyż widzę, jak was niecierpliwość pożera! wyrzekła pani Delacour i obróciła się z jakiemś zleceniem do lokaja, kiedy tymczasem król pośpieszył do zakonnicy.

Henryka zobaczyła czarne domino dążące ku sobie, i chciała się prędko usunąć mu z drogi; lecz król przystąpiwszy do niej, grzecznie podał jej ramię.

— Pozwolisz signoro, być twoim przewodnikiem! wyrzekł z takim szacunkiem Franciszek z Assyżu, iż się zdawało, że przemawia do wyższej od niego znaczeniem osoby, jakkolwiek on był królem, a ona tylko donną pałacu Delacour.

— Zbyt łaskaw jesteś signor; ale dokądże chcesz mię prowadzić? Z tego miejsca pod cienieni palmy, doskonale

widzę całą zabawę i wesołość masek!

— Sądziłem, że pani nietylko na to tu się zjawiła, by przypatrywać się zabawie; ale owszem spodziewałem się, że będę mógł przepędzić mile godzinę w twem towarzystwie, jakeś mi to przyrzekła, szeptało czarne domino.

— Któż jesteś, signor? Nikomu nie przyrzekałam i nikt nie prosił!

— Jestem król, kocham cię, Viano! mówił Franciszek z Assyżu, udając się z zakonnicą do sali skał.

Viana się przestraszyła. A gdyby też była to prawda? gdyby jej towarzysz w istocie był królem? Wzdygnęła się na widok niebezpieczeństwa, na jakie była z powodu królowej narażoną. Jakto! i małżonek królowej przed chwilą ściskając jej rękę wyrzekł: „Kocham cię, Viano!“

A gdyby go też o swego Franciszka spytała? On przecież znać go musi, zapewne wie gdzie przebywa. Gdyby padłszy mu do nóg poprosiła — toby ją może kazał do lubego zaprowadzić.

Lecz czarne domino mogło ją łudzić i podawać się za kogo innego.

— Zaufaj mi, Viano! Jesteś bladą i smutną; zapewne jakaś troska dręczy twą duszę? Odsłoń przedemną twe serce, a chybabym nie był królem, gdybym nie zdołał przynieść mu ulgi!

— Zbyt jesteś łaskaw dla biednej Viany, szlachetny donie!

— Kocham cię — błagam cię, zachwycająca kobieto — muszę ujrzeć twe blade, piękne oblicze i twoje ciemne

anielskie oczy! Możesz zupełnie zawierzyć twemu towarzyszowi! mówił król prowadząc zakonnicę do jednej z nisz, błyszczącej w słabo oświetlonym korytarzu, do którego właśnie weszli.

— Biedna Viana nie jest stosowną dla ciebie towarzyszką, szlachetny donie. Biedna Viana jest pustelnicą, wśród tego przybytku wesela — dla niej już nie ma zabawy!

— Gdy cię król kocha, powinnaś poznać, co jest wesołość i zabawa! odpowiedział Franciszek z Assyżu serdecznie i czule.

Viana walczyła z sobą — serce jej radziło, ażeby przed swoim towarzyszem, który był małżonkiem nienawidzącej i prześladującej ją królowej, wynurzyła najdroższe życzenie swego życia...

A gdyby ją zdradził?

Franciszek z Assyżu zbliżył się z zakonnicą do oświetlonej rubinowym blaskiem niszy.

Tuż za nim podążał mnich i czarne domino.

— Ona to jest — słyszałem wyraźnie wymówione nazwisko; ona jest ową ukochaną przez niego Vianą, szepnął mnich.

— Muszę ją zobaczyć, choćby to życie kosztować mię miało! odpowiedziała Aja.

Król wszedł z zakonnicą do niszy — zasunąwszy za sobą szybko i zręcznie zasłonę.

— Tylko na jedną chwilę daj mi nacieszyć twą piękną postacią, Viano! mówił król. Żądaj wszystkiego czego zechcesz, wszystko ci uczynię! Czy się dla tego mnie

obawiasz, żem się tu ukrył przed oczyma śledzących nas gości? Bądź spokojną, wszak ja cię tylko proszę, abyś mi pozwoliła nasycić się widokiem twego boskiego oblicza!

Król zgiął kolano przed bladą Viana i błagalnie do niej wyciągnął ręce; zerwał swą maskę i odrzucił daleko.

I Viana spełniła życzenie klęczącego: odchyliła zasłonę i zwróciła ku niemu twarz swoją, melancholiczną i bladą. Na ustach jej drgała już prośba: „Wróć mi ukochanego Franciszka Serrano, dla którego wyłącznie żyję i do którego ciałem i duszą należę.“

W tej chwili niepostrzeżenie czarne domino odsunęło zasłonę, trochę wprawdzie, ale dostatecznie, ażeby wszystko zobaczyć co się działo wewnątrz niszy.

Z ust szpiegującej wydarł się stłumiony okrzyk; hrabina genueńska w znienawidzonej i niebezpiecznej rywalce Vianie, przed którą król klęczał, poznała — Henrykę! Cofnęła się szybko wstecz, jakby na żmiję, nastąpiła. Szkaradny Józef, którego słowom, gdy ją zawiadomił, że Henryka żyje, nie chciała dać wiary, miał słuszność. Henryka żyje i król klęczy przed nią! Ona była ową niebezpieczną dla niej Viana; ona to jej zabrała małżonka królowej. Aja cofnęła się — ponieważ to co wtedy zobaczyła, było ciosem tak morderczym dla jej serca, że z początku sądziła, iż marzy, i konwulsyjnie pochwyciła za rękę Fulgentego.

Ale to trwało tylko minutę...

Hrabina genueńska czuła, jak na jej marmurowe oblicze wybiegł szyderczy uśmiech, który czarna maska stłumiła.

Król, zapomniawszy o wszystkiem co go otacza, patrzał

na stojącą przed nim śliczną dziewicę; atoli nie był w stanie wyciągnąć świętokradzkich dłoni, by w nikczemnym zamiarze objąć wiotką kibić Viany: taką tajemniczą siłę miało skromne, niewinne jej spojrzenie i urok.

— Powiedz mi czego pragniesz, a spełnienie twego życzenia stanie się dla mnie najświętszym obowiązkiem, mówił Franciszek z Assyżu. Co udręcza twe serce? co sprowadza smutek na twoje piękne oblicze?

Jeżeli w istocie jesteś królem, jak powiadasz, mam do Was jedną tylko prośbę, jedną, co całą mą duszę napełnia!

— Mów nim ją wypowiesz już jest spełniona!

— Przysięgnij więc, że nikomu o tem nie powiesz, tylko temu, którego to będzie dotyczyło! mówiła Henryka głosem wzruszonym i z sercem napełnionem słodką nadzieją.

— Przysięgam! Rozkazuj cokolwiek ma być!

— Powiedz mi, gdzie jest Franciszek Serrano zaprowadź mnie tam! Moje życie należy do niego! zawołała Henryka z błyszczącemi oczyma.

Król zerwał się z miejsca.

— Franciszek Serrano? powtórzył powoli i z powagą. Przysięgłem — więc spełnię!

W tej chwili poruszyła się zdradziecka zasłona.

— Jesteśmy śledzeni! zawołała Viana, gdy tymczasem Franciszek z szybkością błyskawicy zerwał zasłonę oddzielającą niszę od korytarza.

Przed nim stało dumnie wyprostowane czarne domino, które już przedtem zwróciło na siebie jego uwagę.

— Kto jesteś bezczelny wdzieraczu w tajemnice drugich? zawołał król popędliwie przystąpiwszy do

czarnego domina. Kto jesteś szpiegu czatujący za drzwiami?

Franciszek z Asyżu sięgnął prędko do maski czarnego domina i zerwał ją gwałtownie. Ale w tej chwili cofnął się jak oparzony, gdyż ujrzał przed sobą zimną twarz hrabiny genueńskiej, która go przeszyła wzrokiem.

Blada, przestraszona Henryka cofnęła się, wydawszy stłumiony okrzyk zgrozy, na ten niespodziany widok. „Aja!“ wyszeptały mimowoli jej usta.

Straszliwa hrabina z marmurowem obliczem stała Przez chwilę nieporuszona — potem wybuchnąwszy śmiechem tryumfu i wzgardy, znikła jak szatan w wirze masek.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXVI.

TAJEMNICE ZAKONNICY.

Nad dworem madryckim ciążyła atmosfera duszna,; owej nocy, gdy w buduarze królowej zaszło fatalne spotkanie.

Izabella była mocno cierpiąca. Biuletyn głosił, że chorowała wskutek mocnego zaziębienia przy wyjściu z sali teatralnej; w kółkach zaś lepiej poinformowanych mówiono, ze zaniemogła wskutek silnego napadu nerwowego, którego doznała królowa z powodu niespodzianego zjawienia się margrabiego de Castillejos. Nikt przecież nie wiedział istotnej, tajemnej przyczyny tego febrycznego usposobienia, które trzymało Izabellę w pościeli, bo nikt nie znał dziwacznej przepowiedni alchemika Zantilli, która się owej nocy w straszliwym obrazie przedstawiła. Jeszcze się ciągle przesuwały przed jej oczyma postacie Prima i Serrano, których nagle spostrzegła w lustrze.

Kiedy królowa mocno wzruszona i przerażona, upadła na swój fotel, a zakłopotana markiza de Beville szukała orzeźwiających soli i wody, podniósł się Prim z ziemi i upadł w objęcia Serrano, który go na wpół przytomnego, u nic nie pytając z pokoju królowej wyprowadził.

Franciszek widział go klęczącego i słyszał jego wyrazy; wiedział, że Prim kochał Izabellę.

— Co bądź potem nastąpi, jakiekolwiek będą tego skutki — nie mogłem inaczej uczynić, Franciszku! Nazwij to czynem szaleńca, potępiaj mię i pogardzaj, — to samo zawsze ci powiem: nie mogłem inaczej! mówił Prim, kiedy z Serrano schodził przez marmurowe schody na korytarz.

— Drogi Juanie, odpowiedział marszałek Hiszpanji, ściskając rękę ukochanego przyjaciela, jakby nic między nimi nie zaszło: ty kochasz ułudną królową platonicznem uczuciem. Nie rzucaj się w otchłań, z której się nie tak łatwo wydobyć. Ja też kochałem Izabellę, wiesz o tem; moje serce jest jednak dzisiaj tak spokojne po owej nocy — tak wolne od wszelkiej namiętności, iż poznaję, że mnie z królową łączy węzeł innej miłości niż dawniej.

— Tak Franciszku, kocham królową tak namiętnie, iż rzucę się na oślep w otchłań, w której mnie pewna zguba czeka! Miej mię za straconego — nie mogę inaczej!

— Odważny żołnierzu, dziki towarzyszu broni! skądże się u ciebie nagle czułość trubadurów wzięła? Brak ci tylko mandoliny w jednej ręce, gdy w drugiej miecz trzymasz.

— Masz słuszność — a mimo to Franciszku, kocham Izabellę świętym płomieniem! Jeszcze nigdy me serce do żadnej donny mocniej nie zabiło i nie zadrżało — ku niczemu się moje oko z gorętszem upragnieniem nie zwracam, jak do gwaru bitwy i przyjaciół koła!“ Pierwszy raz poznałem co miłość, a wzbudziła ją ta, która nosi koronę Hiszpanji!

Serrano z uśmiechem ścisnął mocno dłoń Prima. Margrabia rzucił się do powozu, i po tej dziwnie spędzonej nocy, pośpieszył do swego pałacu Książę de la Torre,

marszałek Hiszpanji, udał się do przeznaczonych dla siebie w zaniku apartamentów. Franciszek Serrano siedział długo zamyślony w jednym z tych wysokich pokojów: w ostatnich latach tyle gwałtownych zmian zaszło przed jego oczyma, że było nad czem się zastanawiać.

Henryka, jak mniemał, zginęła w falach Manzanaresu — jego dziecię mu skradziono — zgrzybiały Miguel, jego ojciec, umarł... to wszystko smutnie się przesuwało się w jego umyśle. Dopiero kiedy dnieć zaczęło, udał się do swojej sypialni, urządzonej z wygodą i przepychem.

Królowa po kilku dniach przyszła do zupełnego zdrowia, a zajmującą bladość cery, która jeszcze bardziej podwyższała jej wdzięki, przypisywano powszechnie początkom błogosławionego stanu, o którego możności dotąd zupełnie wątpiono. Wieść o tem, z szybkością błyskawicy przebiegła wszystkie sfery i doszła aż do ludu, który teraz innem, przychylniejszem okiem zaczął patrzeć na króla, na którego dotychczas niewiele zwracał uwagi.

W kilka dni później, Izabella zgromadziła u siebie wieczorem kółko zaufanych przyjaciół; tak mało jednak tym razem zwracała uwagi na popisy śpiewaka Miralla, jak jeszcze nigdy dotąd. Królowa jeszcze zanadto była wzruszona zjawą owej nocy, zanadto była jeszcze przejęta gwałtowną miłością ku Serrano, która od jego powrotu, z podwójną w niej siłą zawrzała.

Franciszek Serrano stał obok krzesła królowej — Topete rozmawiał po cichu z Narvaezem — Prim stał samotnie we drzwiach sali i pożerał wzrokiem Izabellę. Minister Olozaga bawił markizę de Beville przyjemną rozmową o

jakichś ważnych rzeczach, i rak dalece ją zajmował, iż miła Francuska nie miała nawet czasu posłuchać Miralla.

— Mości książę, rzekła Izabella do Serrano, po ukończeniu śpiewu, kiedy lokaje zaczęli roznosić chłodniki: prosimy o wasze ramię! Jesteśmy zmuszeni szukać podpory, chcąc zrobić chociażby parę kroków, tak czujemy się osłabieni po owej nocy, w której nam w nagły i zastraszający sposób przeszkodzono was przyjąć!

— Winienem złożyć waszej królewskiej mości najczulsze za to podziękowanie, odpowiedział półgłosem Franciszek, podając rękę królowej że owa noc pozostała bez żadnych dalszych następstw, prócz opłakanych skutków, o których prędkie zakończenie codziennie Nieba prosiłem!

— Wiesz o wszystkiem Franciszku — przypominasz sobie ową noc, kiedyś mnie zaprowadził do tajemniczego wróżbiarz.

— Pamiętam jeszcze każde jego słowo, najjaśniejsza pani!

— Te słowa się sprawdziły, Franciszku. Zgroza mnie przejmuje — ciebie i margrabiego de Castillejos widziałam w lustrze!

— Ponieważ waszej królewskiej mości ukazali się dwaj jak najbardziej wam oddani żołnierze, możesz najjaśniejsza pani widzieć, jak czczą i bezzasadną była owa przepowiednia, która przez dziwny wypadek owej nocy pozory prawdopodobieństwa zyskała!

— W istocie, pan i generał Prim jesteście moimi najwierniejszymi przyjaciółmi, wierzę temu; a mimo tego dręczy mię niewytłómaczona obawa, kiedy pomyślę o

prawdopodobieństwie, że...

Izabella cała się wstrząsnęła — nie śmiała dokończyć co miała na myśli, tak jeszcze była przejęta owem widzeniem.

— Że moglibyśmy Waszą Królewską Mość opuścić? Uwierz wszystkiemu, uwierz, że wasz małżonek, że wasza wysoka matka mogą was opuścić — generał Prim i ja zostaniemy zawsze przy waszym tronie!

— Zaprzysięgnij to Franciszku, zaprzystęgnij uroczyście, ażebym spokój odzyskać mogła! Mając ciebie i margrabiego, mam dwóch bohaterów, na których wiecznie liczę! mówiła urywanym głosem Izabella.

— Przysięgam wam za margrabiego i za siebie — przysięgam na wszystko co mi święte, że pozostanę wam wierny — jeżeli wy nas nie odstąpicie! wyrzekl Serrano.

— A z tem wszystkiem — wiem o tem, że ty Franciszku — ty już mnie nie kochasz!

— Służę wam po dawnemu wiernie.

— Ale już mię nie kochasz! Dlaczegóż nie odpowiadasz wprost na moje pytanie, Franciszku? Ty już nie kochasz mnie!

Serrano wzruszony czułemj słowami królowej, patrzał ze smutkiem na chodzącą z nim przez salony wzruszoną Izabellę.

— Wiesz o wszystkiem, królowo!

— O! Uczyń to jeszcze raz dla mnie i nazwij mię Izabellą, Franciszku! Niegdyś takeś mię nazywał, a to słowo brzmi jeszcze w mem uchu tak dźwięcznie i smętnie, jak oddalony głos dzwonków kościelnych

— Jesteś rozdrażnioną — Izabello. Ja się troszczę o

twoje dobro!

— Ty już mię nie kochasz, szeptała królowa.

— Mówią, że serce ludzkie raz tylko może czuć miłość, Izabello; co potem nam się miłością być zdaje, jest tylko omamieniem zmysłów i naszej krwi wzburzonej!

— O! to prawda, Franciszku; po tobie nie ma miłości! Ale teraz dopiero poznaję, coś chciał przez owe słowa wyrazić. Jeden raz tylko serce wasze kochać mogło. Do Henryki wasza pierwsza miłość należała.

Marszałek Serrano, podczas tej pełnej wyzwania rozmowy, poprowadził Izabellę przez salony i komnaty aż do jej buduaru. W tej chwili podniósł portjerę, ażeby Izabelli otworzyć wejście do jej smętnego salonu.

— Pierwsza wasza miłość była dla Henryki, powtórzyła królowa. Milczycie?

— Muszę najjaśniejszą panią pożegnać i podziękować za zaszczyt, jakiście mnie wyrządzili pozwalając siebie odprowadzić aż do progu waszego buduaru! ciągnął Serrano.

— Niedobrze mi Franciszku — zaprowadź mię do tego fotelu. Tyś mię nigdy nie kochał!

Izabella upadła na miękkie poduszki, i zakryła blade oblicze rękami, ażeby ukryć łzy, które z jej modrych, prześlicznych oczu gwałtownie płynęły.

— Tak gorąco kochała królowa tego młodego, pięknego szlachcica, który zdawał się na to wysilać, by się okazać względem niej zimnym i obojętnym.

A tu znalazł się nagle, po długiem oddaleniu, po wielu dotkliwych ciosach losu, sam jeden wobec Izabelli, w tym

zdradliwym buduarze.

Królowa z jego przyczyny łzy wylewała...

Franciszek Serrano upadł na kolana i przyciskał do ust małą, wypieszczoną rączkę królowej.

Poczem spiesznie się oddalił z mocno bijącem sercem; ponieważ usłyszał kroki duenny Maritty, śpieszącej tu z nadwornym lekarzem.

Królowa dostała gwałtownego ataku. Po udzieleniu stosownej pomocy, musiano ją przenieść do sypialni.

Markiza i duenna czuwały nad królową.

Tej samej nocy zebrali się dygnitarze gwardji królowej w pałacu Topetego. Gościnny i poczciwy admirał, który zawsze czuł się szczęśliwym, kiedy mógł ugościć przyjaciół, kazał natychmiast oświetlić eleganckie salony i przynieść służącym znaczną ilość butelek szampana, a śmiał się przytem tak serdecznie, jakby chciał przez to wyrazić: „Kiedy mam was u siebie, wtedy dopiero ten napój mi smakuje.“ Miał też ciągle o to staranie, aby naczynia nie byty próżne.

Oficerowie gwardji królowej zawiązali tej nocy spisek, który miał na celu uwolnić królowę nietylko od zgubnego wpływu księży, ale także i z rąk ministra prezydenta Narvaeza, starającego się opanować królową i naród.

Prim i Serrano oświadczyli, że mają zamiar tak dalece pozyskać zaufanie królowej, ażeby byli w stanie oddalić od tronu wszystkie złe wpływy; Olozaga i Topete z zapałem pochwalili ich wniosek. Ci czterej mężowie posiadali taką ogromną władzę, o której potedze zaledwie sami mogli mieć dostateczne wyobrażenie, Nietylko bowiem Olozaga

był naczelnikiem potężnego i strasznego stowarzyszenia, ale i Topete posiadał licznych stronników w marynarce, a Prim i Serrano w armji; naturalnie więc ich wpływ połączony musiał stać się wszechmocny. Spodziewali się tym sposobem uwolnić królowę z rąk złych doradców i z pod wpływu jezuickich stronników. Umyślili dopiąć tego, ażeby Hiszpanja dłużej nie jęczała pod ślepym despotyzmem i przebrzydłą władzą inkwizycji, ale żeby pod wolnym, sprawiedliwym rządem królowej, mogła odetchnąć i wzmóc się na siłach.

Na to wychylili puhary — na to się dzisiaj jeszcze ściślej z sobą złączyli.

Królowa po owej rozmowie z Franciszkiem Serraną była najmocniej przekonana, że czterej dygnitarze jej dworu są jej zupełnie oddani. Lecz Izabella nie mogła znieść tej myśli, że już jej Serrano nie kocha — a nawet zwątpiła, czy kiedykolwiek ją kochał, wszak jego pierwsza miłość do owej Henryki należała.

Zazdrościła więc nieszczęśliwej, którą miała za umarłą, nawet i tego jedynego dobra; czuła, że jeszcze dzisiaj byłaby w stanie — dzisiaj może bardziej niż kiedy — z zimną krwią ją potępić, a nawet zamordować, gdyby się jeszcze znajdowała pomiędzy żyjącymi!

Kiedy ojciec Fulgenty następnego wieczoru po owej nocy, spędzonej w pałacu pani Delacour, wszedł na pokoje królowej, znalazł ją bardzo rozdrażnioną i smutną. Przebiegły mnich miał polecenie wspomnieć Izabelli o zakonnicy Patrocinji, i dzisiaj przedstawiała mu się do tego najlepsza sposobność; znalazł bowiem królowę samą,

dręczoną wspomnieniem przepowiedni Zantilli.

Tajemnica zakonicy była tak ważną i dawała jej w ręce taką ogromną władzę, że z niecierpliwością wyglądała tej chwili, w której królowa powtórnie zechce zasięgnąć rady jasnowidzącej.

Ojciec Fulgenty pocieszał królowę, upominając, ażeby dziękowała Niebu, że jej cierpienia są tylko lekkie, przemijające.

— Najjaśniejsza pani raczy sobie zapewne przypomnieć ową nieszczęśliwą, ciężko dotkniętą zakonnicę, która przez waszą wysoką łaskę, znalazła schronienie w zamku, ciągnął Fulgenty. Jakże cierpliwie, z jakiem poddaniem się znosi Rafaela del Patrocinio swoje ciężkie cierpienia!

— Żałuję tej nieszczęśliwej z całego serca, odpowiedziała Izabella. Jakże się ma?

— Znów wpadła w ów sen, który jej duszę rozdziera, najjaśniejsza pani!

— Zakonnica znów pogrążona w swoim śnie magnetycznym? zapytała królowa, uderzona nagłą myślą.

— Kiedym się właśnie do pokojów waszej królewskiej mości zbliżał, znalazłem tę nieszczęśliwą, która niedawno w swój stan wpadła, leżącą, bladą jak trup, w niebieskiej sali. Dopiero na mój rozkaz zaniesiono ją do przeznaczonego jej pokoju. Wrażenie, jakie na mnie sprawiła, leżąc bez ruchu w niebieskim pokoju, było tak przejmujące, a zarazem mogące dać powód do różnych zabobonnych pogłosek, żenf postarał się, aby ją siedzącą w fotelu przeniesiono do sypialni.

Izabella dręczona wspomnieniem Zantilli, powzięła

zamiar odwiedzenia tej tajemniczej jasnowidzącej, która jej owej nocy wszystko z taką prawdą przepowiedziała. Chciała raz wypytać ją o dręczącą przepowiednię.

— Oddal lokajów i mnichów z pokoju pobożnej siostry, chcemy ją odwiedzić! mówiła Izabella, nie zważając na to, z jaką radością były przyjęte jej słowa przez czcigodnego ojca. Skłoniwszy się pobożnie, pośpieszył wykonać rozkaz królowej.

Izabella była chciwa dowiedzenia się odpowiedzi, jakich jej zakonnica tym razem na zadawane sobie pytania udzieli. Udała się też spiesznie przez komnaty i korytarze do bocznych skrzydeł pałacu.

Królowa była oczekiwaną i bez hałasu otwierały się drzwi; nikt jej nie przeszkadzał i nie utrudniał. Ojciec Fulgenty sprawował sam z pilnością obowiązek szambelana! Ojcowie inkwizycji byli do wszystkiego zdatni i na wszystko przygotowani, co tylko mogło przyczynić się do pomnożenia ich władzy i wpływu!

Po cichu podniósł nakoniec portjerę drzwi prowadzących do sypialni zakonnicy.

Izabella weszła do pustego pokoju. Na fotelu stojącym przed klęcznikiem i wielkim krucyfiksem z kości słoniowej, raczej leżąc niż siedząc znajdowała się jasnowidząca. Izba była oświetlona jedynie wiecznie palącą się lampą przed framugą, w której znajdowała się wielka, z białego marmuru wykuta statua Najświętszej Panny. To niepewne światło podnosiło wrażenie, jakie wywarła na wchodzącej królowej odarta ze wszystkich ozdób cela, tudzież brunatna, pokutnicza suknia jasnowidzącej.

Izabella uczuła mimowolnie trwogę — zdawało się, jakby na nią wionęło nagle straszliwa powietrze Santa-Madre. Ta ledwie żywa, cierpiąca zakonnica, która przed nią leżała z na wpół otwartemi oczami i piętnem śmierci na czole, musiałaby sprawić silne wrażenie na każdym, ktoby ją w tym stanie zobaczył.

Czyż się nie obawiała hrabina genueńska, ażeby Matka Boska nie wystąpiła ze swej farmugi dla ukarania bezczelnego oszukaństwa kusicielki? Nie obawiałaż się, ażeby jej Pan Bóg swemi piorunami nie zdruzgotał? Grzmot zbliżającej się burzy rozlegał się w oddaleniu; odgłos ten zdawał się z napomnieniem i groźbą wpadać przez otwarte okna sypialni zakonnicy Patrocji, i podnosił okropność tej chwili.

Izabella czuła się smutna i niespokojna. Lecz mimo to musiała się koniecznie przekonać o owej przepowiedni Zantilli, a nikt jej nie mógł tego powiedzieć, prócz owej jasnowidzącej, która bez ruchu przed nią leżała.

— Pobożna siostro — królowa cierpi, dręczy ją niepewność i bojaźń przyszłości. Co widzisz około królowej?

Przez chwilę panowało milczenie. Wtem nagle otwarły się powoli usta zakonnicy.

— Widzę same okropności, mówiła jednostronnym głosem. Królowa z dumą i radością myśli o następcy tronu. Niechaj codziennie klęczy i modli się w kościele Antocha, ponieważ grozi jej przekleństwo!

Izabella cofnęła się przestraszona.

— Królowa urodzi chłopca... ale widzę, jak ten chłopiec

leży tutaj bez ruchu!

— Umarły!.. Zlituj się — mów dalej!

— Strzeż się księcia de la Torre! szeptała monotonnym głosem zakonnica, a daleki odgłos grzmotu zdawał się jej straszliwie wtórować.

— On mi zaprzysiągł wierność; czegóż więc mam się z jego strony obawiać?

— Strzeż się księcia de la Torre! powtórzyła Aja. Spodziewasz się od niego miłości — lecz on zajęty tylko Henryką!

— Henryka nie żyje. Czyż może kochać umarłą, kiedy się życie do niego uśmiecha? — zapytała królowa porywczo i z tryumfem.

— Henryka żyje! odpowiedziała zakonnica takim tonem, że Izabella cofnęła się przerażona, patrząc szeroko rozwartemi oczyma na jasnowidzącą, którą teraz uważała za dotkniętą napadem gorączki i obłąkania.

— Henryka żyje? powtórzyła królowa po długiej pauzie, jakby chcąc się przekonać o prawdzie wyrażeń, które do niej jasnowidząca wyrzekła.

— Strzeż się księcia de la Torre — Henryka żyje!

— Czy wie on — że żyje?

— Nie — nikt się nie domyśla, że jest uratowaną i gdzie się obecnie ukrywa, mówiła zakonnica. Udaj się na ulicę Aranjuez, tam znajdziesz w willi pani Delacour kochankę Franciszka Serrano!

— Kłamiesz zakonnico, kłamiesz! zawołała Izabella w największem wzruszeniu, drżąc całem ciałem.

— Królowa nie znajdzie już owej Henryki w willi pani

Delacour, jeżeli jeszcze tej nocy tam nie pośpieszy! mówiła jasnowidząca, nie zważając na stan okropny, w jakim zostawała królowa po jej ostatnich wyrazach.

— O! gdybyś ty mówiła prawdę, gdyby ta przeklęta kochanki! Serrano jeszcze żyła!....

— Ojciec Fulgenty zaprowadzi królową do owej willi. Jeżeli tam nie przybędzie do północy, to już będzie za późno! mówiła zakonnica.

Izabella namyślając się przez kilka minut stała przy krześle jasnowidzącej, która obudziła w niej nieposkromioną żądzą wyszukania i zgubienia owej Henryki.

— Codziennie klęczeć i modlić się w kościele Antocha zakończyła godna siostra inkwizytorów.

Królowa zdecydowała się na awanturniczą wyprawę, która zupełnie zgadzała się z charakterem i namiętnościami tej prześlicznej córki południa.

— Będziesz mi towarzyszył, czcigodny ojcze! mówiła ona, obracając się do stojącego za portjerą ojca Fulgentego, który zawsze był na zawołanie w potrzebie. Bądź łaskaw powiedzieć lokajowi, ażeby zaprzężono mój mały powozik; byłaby to jednak rzecz dla mnie nader pożądana, żeby nikt się niczego nie dowiedział o naszej nocnej wędrówce. Czekaj na mnie w krzyżowem przejściu; musimy się śpieszyć!

Fulgenty ukłonił się w milczeniu; wiedział, że wszelka przysługa podwójną ma wartość, jeżeli się bez sprzeczek i ociągania wykonywa.

Królowa udała się do swoich pokojów.

Aja ostrożnie się podniosła, przekonawszy się pierw, że królowa odeszła. Nowa gra niemniej dobrze jej się udała, jak poprzednim razem! Jej ciemne oczy błyszczały jakimś piekielnym ogniem. Straszliwy plan uknuty w Santa-Madre, został z jej pomocą uskuteczniony.

W tej chwili wszedł kocim krokiem zgarbiony ojciec Fulgenty, który tymczasem potrafił już uwinąć się z poleceniem zaprzężenia powozu.

— Henryka przed godziną znajdowała się jeszcze w willi, królowa ją tam pewnie zastanie! Znasz tajemnicę i twój obowiązek pobożny bracie; nie opuszczaj więc nastręczającej się sposobności. Hrabina genueńska zbliżyła się do ucha inkwizytora, ponieważ słowa, które mu szepnęła, jakkolwiek byłyby dla niewtajemniczego niezrozumiałemi, przecież nie powinny były być przez nikogo słyszane. Nie potrzebuje się jeszcze infant urodzić, rzekła: nasz wpływ na królową i kraj byłby na zawsze stracony; nie zapominaj o tem!

Fulgenty ukłonił się w milczeniu. Taka to była owa straszna tajemnica, którą ci dwaj zbrodniarze w habitach uknuli pospołu w Santa-Madre.

Ojciec pośpieszył na umówione miejsce. Zakonnica patrzała za nim z takiem zadowoleniem i z taką straszliwą obojętnością na piekielnem obliczu, że przelękłaby się sama siebie, gdyby nagle spojrzała w zwierciadło, podobnie jak bazyliszek, który według podania pada nieżywy 2 obrzydzenia i zgrozy, ujrzawszy siebie w lustrze.

Skoro Fulgenty wszedł na korytarz, zbliżyła się do niego królowa, starannie otulona ciemną zasłoną. Milcząc zeszli

oboje na dziedziniec zamkowy do małego ekwipażu, czekającego już na spóźnionych gości. Podobnych ekwipażów używały bardzo często damy honorowe do wycieczek. Otulonemu płaszczem woźnicy ani przez głowę nie przeszło, że to królowa wsiadła do powozu.

— Na ulicę Aranjusz! rozkazał ojciec i wskoczył do powozu.

Ogniste konie stajni królewskiej szybko poniosły lekki powóz przez dziedziniec zamkowy, przez ulice Prado i Kolizeum.

Zbliżała się groźna burza. Czarne chmury tak dalece zakryły niebiosa, że stangret z trudnością mógł pilnować się środka drogi wysadzonej kasztanowemi drzewami. Błyskawice tylko od czasu do czasu oświecały krajobraz.

Fulgenty korzystając z nagłego światła błyskawic, rozglądał się również po drodze, ażeby w danym razie zawczasu wstrzymać powóz. Nakoniec zapytawszy Izabelli o pozwolenie, dał znak woźnicy, że już znadują się u celu. Królowa i jej towarzysz mieli jeszcze paręset kroków do furtki w murze, ale woleli dojść do niej pieszo, ażeby się tam zjawić niespodzianie. Pierwsze krople deszczu zaczęły spadać gwałtownie na wierzchołki drzew kasztanowych, które w małych odstępach stały wzdłuż drogi. Izabelli wszakże nie wstrzymałby ani czas jeszcze bardziej przerażający, ani nawet samotniejsza w pośród takiej nocy, najeżona niebezpieczeństwami droga.

W tej chwili jeszcze bardziej się ściemniło, błyskawice i pioruny rozpoczęły taką straszliwą gonitwę, że zdawało się, że niebo chce przeszkodzić zamiarom tych dwojga, tak

różnemi uczuciami pędzonych ludzi i przywieść im przed oczy jak były marne i znikome ich dążenia.

Zrozumiałaź to ostrzeżenie pędzona palącemi namiętnościami i zazdrością Izabella? Albo zrozumiałże je obłudny jezuita, który z okropnym zamiarem tuż za królową kroczył?

W chwili kiedy oboje doszli do muru i zbliżyli się do drzwi, które kilka niskich schodków wskazywało, zdało się ojcu, że słyszy mimo grzmotu piorunów, zbliżające się kroki.

— Ktoś nadchodzi najjaśniejsza pani! szepnął.

Izabella stanęła jak wryta. Zapewne to goście pani Delacour albo wielbiciele jej syren, którzy królowej nie powinni tutaj spostrzec. Stała nieporuszona w gorączkowem oczekiwaniu, patrząc szeroko rozwartemi oczyma na otwór murze, w którym nagle zjawiły się dwie zakryte postaci. Były to kobiety, Izabella nie mogła o tem wątpić!

Fulgenty, który pomimo panującej dokoła ciemności, również dostrzegł te niewyraźne postacie, spojrzał znacząco na królową.

Nagle błyskawica rozdarła ciemności. Izabella wydała okrzyk zgrozy poznała Henrykę, gotującą się z Nepardową do ucieczki.

— To ona! zawołała niezmiernie wzburzona królowa. Ja się nie łudzę — to ona!

W tej chwili, kiedy Henryka, poznawszy również królową, a myśląc, że jest otoczona przez jej siepaczów, wydała straszny okrzyk przerażenia, furtka zamknęła się ze

zgrzytem.

Izabella zapominając o wszystkim, chciała doścignąć uciekającą, chciała się oko w oko przekonać, że ta, którą miała za umarłą, żyje — i dać wolny bieg straszliwej nienawiści!

Henryka byłaby zgubioną, gdyby raz jeszcze wpadła w ręce królowej! Stara jednooka złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą w ciemnościach.

Już Izabella zbliża się do Henryki podnoszącej z błaganiem w Niebo dłonie — już przebywa schody i mają pochwycić — gdy nagle błysnęło tak jaskrawo i olśniewająco, jak gdyby błyskawica wpadła między królową i uciekającą Henrykę.

Henryka i jednooka, pędzone śmiertelnym strachem, korzystając z chwili rzuciły się spiesznie w ulicę Aranjuez, zewsząd będąc otoczone czarną nocą. Izabella przerażona i oślepiona błyskawicą zamknęła mimo woli oczy, a gdy je otworzyła po chwili, nie dojrzała nigdzie znienawidzonej Henryki. Chciała się puścić za nią w pogoń i już przebiegła schody — wtem nagle uczuła, że jej mała, obuta w jedwabny trzewiczek noga, zaplątała się o jakiś przedmiot leżący na stopniach. Chciała się powstrzymać — jej ręce chwytały powietrze — ojciec Fulgenty nie mógł tak prędko nadlecieć...

Izabella krzyknęła, upadła gwałtownie i ciężko ze schodów na ziemię, otoczona zewsząd nieprzeniknioną ciemnością.

Straszliwy uśmiech zaigrał na obliczu ojca.

Przedmiotem, o który się królowa tak nieszczęśliwie

potknęła, był habit, który pobożny ojciec rzucił tam przed kilku sekundami, zapewne dla tego, żeby mu nie przeszkadzał podążać za królową!

Schylił się potem z największą troskliwością ku leżącej i boleśnie jęczącej Izabelli, ażeby jej dopomóc wstać i odprowadzić do powozu — wszak nikogo prócz niego nie było przy królowej. Pioruny i nawałnica, które w tej chwili wyły z podwójną siłą, zdawały się ze zgrozą przypatrywać zbrodni, która w tej chwili przez nikogo niedostrzeżona, spełniała się na ulicy Aranjuez.

— Uciekła! były pierwsze słowa królowej, która wspierając się na ramieniu Fulgentego z trudnością doszła do powozu i z przestrachem pomyślała o wszystkiemu co jej zaledwie przed godziną przepowiedziała zakonnica Patrocinia!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXVII.

DZIECKO W JASKINI KRWIOŻERCZEGO UPIORA.

Nim z kolei opowiemy, jakie były następstwa opłakanego przypadku, który tej nocy spotkał królową, musimy wrócić do jednej osoby naszego opowiadania, o której nic nie wspomnieliśmy od owej nocy, kiedy Henrykę zawleczono do Santa-Madre.

Tą osobą jest Azzo.

Kiedy z jego pałacu porwano mu ukochaną Henrykę, dla której wszystko gotów był chętnie poświęcić, z początku gwałtowna boleść opanowała tego syna tułaczy. Rzucał się z konwulsyjnym krzykiem na dywany i kobierce jej pokoju, całował każdy przedmiot, którego ona ręką kiedyś dotknęła. Potem w dzikiej rozpaczy biegł chcąc zamordować służących, którzy pozwolili zabrać jego ukochaną, ktrzy jej własnem życiem nie obronili! Ci przestraszeni jego gwałtownością uciekli od dzikiego syna króla cyganów, który pomimo swoich niezmierzonych bogactw, nie znał odtąd żadnej uciechy. Wspaniałość jego pałacu obrzydła mu, pieniądz nie miał już dla niego wartości, kiedy nie mógł go wydawać dla Henryki, nie mógł go nadal u jej nóg składać.

Zaraz u zrozpaczonego Krezusa, o którego bogactwach

wiele i z przyjemnością rozmawiano w pewnych kółkach Madrytu, żyjących z łaski i ucisku bogatych, zaczęły się zjawiać obdartusy o nieprzyjemnem spojrzeniu, Brawa i Hidalgowie najgorszego rodzaju, będący postrachem przedmieść i bardziej odległych ulic Madrytu.

Za pewną ilość durów ofiarowali się zamknąć usta każdemu z nieprzyjaciół don Azza, chociażby jak najwyżej postawionemu; wyliczali mu na wyścigi oddane już przez nich innym podobnego rodzaju usługi. Azzo ze szpadą w ręku wypędził ich za drzwi pałacu. Gdy Azzo kogokolwiek nienawidził, coś go koniecznie pchało utkwić mu sztylet, w piersi, sprawiało to bowiem ulgę jego namiętnej duszy.

W kilka dni po wypadku, Aja doniosła mu w ozdobnym, pachnącym liście, że Henryka zginęła w falach Manzanaresu. List był bez podpisu, Azzo jednakże wiedział od kogo pochodzi. Oczy mu dziko zabłysły i krew gwałtownie zawrzała na wspomnienie, że owa nieznajoma kobieta, o której miejscu przebywania nie wiedział, była powodem uwięzienia i śmierci Henryki. Pałał zemstą ku tej furji, którą jego pistolet podczas owej straszliwej nocy oszczędził, którą tak nienawidził jak kochał Henrykę; chciał ją wynaleźć, ażeby wypłacić zasłużoną nagrodę za jej zdradzieckie czyny. Jego pałac był teraz dla niego nieznośny. Syn lasów i wolności kupił go tylko dla spełnienia życzenia Henryki, tudzież ażeby po wielu tygodniach tułactwa dać jej wygodne schronienie. Ale teraz rad uciekał w wąwozy i puszcze, w których lepiej mu było niż w pałacu z jego wszystkiemi wspomnieniami.

Azzo odetchnął swobodniej, kiedy miał miasto za sobą,

kiedy półpłaszczyk i kaftan znowu zastąpił lekką koszulą cygana, której całą ozdobą był zwisający mu z szyi jakiś stary amulet. Nogi miał obute w sandały, krótkie spodnie miał upstrzone jaskrawemi wstęgami, jak lubią nosić ci wieczni tułacze. W ręku miał skrzypce, któremi tak często wzruszał w pałacu serce Henryki, i znów wygrywał na nich lasom i falom Manzanaresu swoje cygańskie melodje.

Pałac oddał w opiekę rządcy, który za to odgadywał swego pana, nazywając go dziwakiem. Kosztowności i zło — ro znowu zaniósł potajemnie do skał Ora i w jasną noc księżycową zakopał głęboko w ziemię.

Gdyby ktokolwiek, co w Madrycie widział syna króla cyganów, zobaczył go teraz w lesie, z pewnością by nie poznał w nim owego don Azza, o którego zaczarowanym pałacu i bogactwie cała stolica rozpowiadała! Krezus przemienił się znowu w wałęsającego się wiecznie cygana, na którego każdy z nieufnością spogląda, którego mieszkaniem jest cień lasu, a współmieszkańcami dzikie zwierzęta, który jak nędznik i złoczyńca ucieka od towarzystwa ludzi, ażeby bez ojczyzny i miłości prześnić swe życie z fajeczką i skrzypkami. Wspomnienie Henryki wszędzie mu towarzyszyło, był to jego skarb najdroższy, i tak się nim pieścił, jakby ją samą posiadał. Ilekroć jednak z boleścią przypominał, że ją postradał na wieki, natenczas oczy jego dziko błyskały, żyły mu jak postronki nabrzmiewały. Na czole pięści zaciskał w gniewie straszliwym. Powracał wtedy do Madrytu, ażeby po ulicach i kościołach szukać owego szatana Aji; a ktoby go w takich godzinach zobaczył, tenby nie wątpił, że namiętny syn

puszczy jest w stanie zamordować osobę która jego nienawiść obudziła.

Tak upłynęły lata wiecznie samotnie błąkającemu się Azzowi.

W dzień świętego Franciszka, o którym jużeśmy wspominali, cygan wieczorem znajdował się w Madrycie. Przed kilku godzinami odwiedził on swój pałac, ale tam wspomnienia Henryki tak w nim boleśnie się odezwały, że czem prędzej zapragnął ujrzeć się w swoim, lesie. Kiedy jednak przez ulice przechodził, odezwała się w nim z nową siłą nienawiść, jaką czuł do Aji; klął ze wściekłością, że morderczyni Henryki ani dosięgnąć, ani znaleźć nie może.

Droga prowadziła go przez plac Pedro, a następnie przez ulicę Toledo.

Czytelnik raczy sobie przypomnieć, że tego wieczoru, dziecko kramarza z rogu Toledo, śliczna, mała dziewczynka była napadnięta, albo raczej przynęcona przez srogie zwierzę w ludzkiej postaci, przez owego straszliwego upiora, który znajdował największą rozkosz w wysysaniu krwi niewinnych dziewcząteк. W całem mieście tyle tylko o nim wiedziano, że była to postać człowieka z brodą i oszpeconą namiętnościami twarzą. Niektórzy opowiadali, że ma kształt ludzki i czarne skrzydła jak u nietoperza, tylko nieporównanie większe i szersze; drudzy znowu utrzymywali z największą pewnością, że to bękart zrodzony z człowieka i dzikiego zwierzęcia.

Podobne zabobonne wieści muszą się zawsze szerzyć, gdzie zachodzą tak przerażające i zagadkowe zbrodnie, jak owe morderstwa, dla jakiejś niewytłumaczonej żądzy krwi.

Już drugie dziecko padło ofiarą tej chuci od owej nocy, w której cyganie przybyli do szynku pod Ostrowidzem. Te dwa morderstwa były w tak podobny a zagadkowy sposób spełnione, że nie można było powątpiewać, iż obie dziewczynki padły ofiarą tego samego potwora. Wieść o zjawieniu się przerażającego upiora w kilka godzin obiegła cały Madryt.

Te zagadkowe morderstwa, z jakiejś niewytłómaczonej, zwierzęcej żądzy krwi, przeraziły nietylko kobiety, ale nawet mężczyzn; wszędzie mówiono z przerażeniem i zgrozą o zbrodni, której prawdziwość zaledwie przypuszczać było można. Każdy chciał się własnemi oczami przekonać o prawdzie morderstwa, tak, że sklepik na rogu ulicy Toledo, do którego przyniesiono zwłoki pięknej dziewczynki, ciągłe był pełen ciekawych.

Na delikatnej, białej piersi, widziano tylko małą rankę, ale przywołani doktorowie znaleźli jeszcze inne na ciele obrażenie i poddali ciało dziecka obdukcji, by się stanowczo przekonać o przyczynie i rodzaju śmierci.

Blady Azzo z wychudłą od cierpień i namiętności twarzą, z rozczochraną brodą i włosami, z niespokojnie patrzącemi oczyma, błądził po ulicy Toledo, kiedy doszedł do miejsca, gdzie tłum oglądał i opłakiwał zabitą dziewczynkę, dziki syn puszczy spiesznie się stamtąd oddalił jakby mjiał powód obawy!

— Nagle zdawało mu się, że słyszy, jak ktoś za nim spiesznie podąża. Obejrzał się, chcąc się przekonać,,ktoby też taki miał tuż za nim kroczyć? Czyżby go ścigał? czy tylko przypadkowo w jedną z nim stronę podążał?

Niepewność Azza była podniesiona do najwyższego stopnia. Już się zamierzał odwrócić i ze sztyletem w ręku uderzyć na nieznajomego, który w istocie zdawał się go ścigać — gdy przy blasku księżyca rozpoznał wyraźnie śpiczasty kapelusz, półpłaszczyk i kształty postaci, którą ze wstrętem, sobie przypomniał. Ten człowiek był nie kto inny jak śmiertelny wróg Henryki, Józef, — ów Józef, któremu Azzo niegdyś dał poczuć siłę swej pięści na brzegach Manzanaresu, a którego następnie widział w towarzystwie Aj i jeżdżącego spacerem po placu Puerta del Sol.

W tym momencie obca ręka dotknęła lekko jego ramienia.

Azzo obrócił się. Nie omyliło go oko: Józef stał przed nim z szyderczym uśmiechem, wyglądał przerażająco. Twarz jego wychudła i zeszpecona występnemi żądzami, była w tej chwili obrazem gwałtownych zwierzęcych namiętności. Oczy nabiegłe, krwią wystąpiły z jam czaszki, a muskuły twarzy konwulsyjnie drgały; czerwona broda była rozczochrana i w równym nieporządku jak włosy i kryza.

Azzo wahał się, jak ma postąpić ze stojącym przed sobą śmiertelnym nieprzyjacielem Henryki.

— Ho, ho! przyjacielu cyganie! mówił półgłosem Józef, ciągnąc do ciemnego zaułku ulicy Toledo opierającego mu się Azza: zaledwiem cię poznał, a przecież mam do ciebie polecenie i napróżno szukałem cię w twoim pałacu. Zapewne zabrakło już durów? To wcale mię nie dziwi miłość: taka jak twoja do tej...

— Nie wymawiaj tego nazwiska twemi ustami, łajdaku!

przerwał gwałtownie Azzo cofającemu się z przezornością Józefowi.

— No, no! nie mamy potrzeby się gniewać, jakkolwiek nie jesteśmy wielkimi przyjaciółmi, odezwał się szyderczo Józef, kładąc rękę na pistolecie utkwionym za czarnym pasem. Mam do ciebie polecenie od kobiety, która przepada za tobą; jest ci czego pozazdrościć!

— Mów krótko jaki masz do mnie interes! odparł Azzo stanowczym, rozkazującym tonem.

— A więc dobrze, gdyż pono obydwaj nie mamy wiele czasu do stracenia. Piękna Aja chce się z tobą zobaczyć i pomówić. Nie ociągaj się i bądź punktualnym! Cóż powiesz o jej boskiem ciele? O ile mi się zdaje, ona pragnie, żebyś choć raz przestąpił progi jej sypialni. Spodziewam się, że jej żądaniu stanie się zadość, co? Gdybym był na twojem miejscu, to na wszystkie świętości! nie raz, ale codziennie mnieby tam widziano!

— Gdzież mogę znaleźć ową Ajęę? zapytał pewnym głosem Azzo.

— Aha! i twoja krew nic z lodu! Znajdziesz ją tęskniącą ku tobie za trzy dni w murach klasztoru Aranjuez.

— Aranjuez? Tam ma być Aja?

— Zapewne tylko dla tego, żeby jej nikt nie przeszkadzał przy tak długo oczekiwanem spotkaniu ze wszystkiemi jego następstwami, szyderczo mówił Józef. A więc nie zapominaj cyganie, za trzy dni przy klasztorze, w cieniu starych drzew, przy krańcu na wpół rozwalonego, czerwonego muru. Przyjemnej zabawy! Muszę się śpieszyć, gdyż mam do załatwienia jeszcze dzisiejszej nocy pilną

sprawę!

Wiemy, że Józef w szynku na Prado Bermudez miał się zejść z familiarami.

— Pokłoń się odemnie pięknej Aji, i nie zapominaj o mnie, gdy będziesz na jej boskiem łonie spoczywał. To dopiero, bankiet dla ciebie! mówił Józef gotując się do odejścia. Ach! prawda, jeszcze jedno! No, ale ona zabroniła nazywać cię tem nazwiskiem. Usłyszysz od tej Aji, coś tak strasznie przyjemnego, że ci aż serce zadrży. Jeszcze raz życzę ci wesołej zabawy. Ha, ha, ha.

Józef odszedł i zniknął po chwili w jednej z bocznych brudnych uliczek, wiodących na Prado Bermudez. Azzo stał długo patrząc za nim.

— Że aż mi serce zadrży... Zapewne miał na myśli Henrykę? mówił sam do siebie. Nie potrzeba więc zwlekać. Muszę wyostrzyć sztylet, którego zapewne użyję. Ten szatan pewno mi teraz nie ujdzie.

Azzo szedł powoli ulicami pogrążonemi w ciemnościach aż do rogatek, a potem udał się drogą wiodącą do osady Aranjuez. Nie potrzebował się śpieszyć: dopiero za trzy dni miało nastąpić spotkanie, a od Aranjuezu był niedaleko[1].

Trzeciego dnia powolnej podróży, zobaczył Aranjuez, który ze swemi ogrodami, palmowemi i oliwnemi laskami wygląda jak oaza wśród pustyni. Znajdujący się tam wspaniały pałac królewski, który później odwiedzimy, sprawił, że to rozkoszne miejsce jakby wyrosło wśród piasków zalegających całą drogę od Madrytu do Aranjuezu.

Już wieczór zapadł, kiedy Azzo obszedłszy zamek i park królewski, obaczył leżący niedaleko stamtąd w dolinie

klasztor. Na krańcu wysokich, ponurych murów klasztornych, znajdował się pośród starych, cienistych drzew na wpół zrujnowany mur czerwony: było to umówione miejsce, w którem cygan miał się zejść ze straszliwą Ają.

Azzo położył się na pobliskim wzgórku, tak, że nie będąc sam przez nikogo widziany, mógł wszystko śledzić co się na około działo! Już coraz ciemniejsza noc zalegała klasztor i okolice, — gdy nagle Azzo wyglądający ze swojej kryjówki, spostrzegł jakąś postać wychodzącą z murów klasztornych i spiesznie podążającą ku staremu murowi. W tej chwili księżyc wyjrzał z za chmur, oświecił drogę, i Azzo w zbliżającej się osobie, chociaż była odziana w długi płaszcz fałdzisty, poznał znienawidzoną Aję.

Podniósł się szybko — nie mógł już dłużej pohamować krwi wzburzonej nie uczuciem miłości, lecz nieokiełznaną nienawiścią; czuł, że drży całem ciałem, tak gorąco pragnęła zemsty jego dusza!

Jak lew spostrzegłszy upragnioną ofiarę pomiędzy drzewami, gotuje się do śmiertelnego skoku, tak Azzo podnosił się leniwie z ziemi, kiedy zobaczył Aję zbliżającą się do miejsca, gdzie ją czekała zasłużona nagroda.

Ktoby w tej chwili widział cygana, jak z ręką opartą na sztylecie ostrożnie zbliżał się do walącego się czerwonego muru, tegoby przeraził jego widok. Hrabina genueńska, otulona czarnym płaszczem, poznała skradającego się Azza, i uśmiech tryumfu zabłysnął na jej marmurowem obliczu!

— Aja rozkazuje — dziki, ognisty Azzo słucha! wyszeptała sama do siebie, gdy jej oczy szukały pięknej a

namiętnej twarzy cygana.

W tej chwili Azzo stał już przed nią, — Aja cofnęła kroku, jakby tknięta nieokreślonem przeczuciem.

— Jesteś punktualny, Azzo, odezwała się pierwsza hrabina genueńska. Spodziewam się, że równie będziesz posłuszny moim życzeniom i rozkazom!

Cygan, któremu gęste, długie włosy spadały na oblicze, spojrzał ponurym wzrokiem na dumnie wyprostowanego przed nim szatana.

— Jesteś moim, Azzo — jeżeli dobrowolnie nie ulegniesz moim rozkazom, to użyję przymusu! mówiła zimnym, przerażającym tonem Aja.

Cygan przeszywał ją wściekłem spojrzeniem.

— Wybieraj: — albo będziesz należał do mnie, albo wydam siepaczom twoją straszliwą tajemnicę! Sprawiedliwość szuka owego potwora, który się znowu przed trzema dniami ukazał. Wszystkie dzienniki brzmią odgłosem wypadku, przyrzeczeniami nagrody i opisami twej dzikiej postaci.

— Co mówisz szalona! zawołał Azzo, nie wierząc własnym uszom.

Nie tak gwałtownie, bo przez to sam się zdradzasz! Po co szukasz tak okropnej, przeciwnej naturze rozkoszy, wysysając krew i życie dzieciom, kiedy kobieta ofiaruje ci wszystko, czego dusza mężczyzny zapragnąć może? Kobieta która najpiękniejszych, najmożniejszych u swoich nóg widziała i odepchnęła, ażeby móc zadowolić jedyną żądzę dziwnej swej duszy! Tą żądzą ty jesteś Azzo, i musisz albo do mnie należeć, albo umrzeć, upiorze!

Na te słowa wymówione z niepowściągnioną namiętnością, cygan się cofnął zdumiony.

— Ty jesteś owym strasznym upiorem, przed którym drży stolica. Tyś był w bedojskim lesie, gdy znaleziono w krzaku dziecko biednej cyganki nieżywe i krwi pozbawione. Tyś był w szynku pod Ostrowidzem, gdy dziecko wdowy nieszczęśliwej, piękną dziewczynkę znaleziono zakłótą i martwą. Tyś uciekał z ulicy Toledo, kiedy córka kramarza zakłóta i z krwi wyssana, w objęciach zrozpaczonego ojca leżała. Ty jesteś owym potworem z bladą, namiętnościami wyniszczoną twarzą, z rozczochraną brodą i włosami. Ty jesteś owym upiorem, którego z tak gorączkową zapalczywością szukają, ażeby okuć w więzy, jakich jeszcze żaden zbrodniarz w Santa-Madre nie nosił!

Azzo wydał konwulsyjny okrzyk...

Byłże ten straszny wykrzyk objawem jego bezgranicznej wściekłości, czy też widział się ów dziki cygan wyśledzony i wykryty w swoich nieludzkich postępkach?

Sztylet błysnął w jego muskularnej dłoni — z konwulsyjnym rykiem rzucił się na hrabinę genueńską, która tak nagłego napadu ani przewidzieć, ani uniknąć nie mogła. Azzo uderzył w największym gniewie ostrym trójkątnym sztyletem w piersi zachwycającej Aji, zamiast na tem łonie, jak Józef powiedział, spoczywać! Rozkoszna była to chwila, dla pałającego zemstą cygana — tak rozkoszna, że podobnej nawet kochanek zawisły przy jej liliowych ustach znaleźćby nie mógł; bo Azzo nakoniec mógł zadość uczynić trawiącej go nienawiści.

Nasycenie takiej nienawiści przedstawia nierównie

większą rozkosz, niż zadowolenie nagle wzburzonej krwi, któreśmy zwykli miłością nazywać! Byłoż miłością to uczucie, które hrabinę genueńską ku namiętnemu cyganowi popychało? Byłoź to co innego niż wzburzenie zmysłów i krwi, dla którego wszystko jedno czy człowiek co je wzbudził jest potworem, zbrodniarzem, czy też aniołem piękności duszy i ciała? Czyż to wzburzenie można nazwać boskiem marzeniem miłości?

Nazywać to miłością byłoby największą zniewagą, wyrządzoną temu największemu dobrodziejstwu Niebios, zesłanemu nam jako dowód niezmierzonej boskiej miłości!

Gdy Azzo mierzył sztyletem w jej łono, hrabina genueńska rozkrzyżowała ramiona, jakby pragnęła wzorem heroiny umrzeć z ręki ukochanego. Krok taki atoli byłby za szlachetny na tego szatana, kobietę, i byłaby to zarazem śmierć dla niej za lekka, bo pożądana.

Hrabina genueńska w innym zamiarze nadstawiła nieustraszenie swe łono i rozkrzyżowała ręce.

W chwili kiedy trójkątny sztylet cygana, kierowany jego żylastą pięścią, przeciął powietrze i zbliżył się do stojącej bez ruchu Aji, grożąc jej nieuniknioną śmiercią, w tej samej chwili zabrzmiał straszliwy śmiech.

Sztylet poślizgnął się na piersi genueńskiej hrabiny, jakby ta rzeczywiście była z marmuru lub żelaza — z ust jej dał się słyszeć złośliwy śmiech, wyszydzający namiętną nienawiść i gniew dzikiego cygana.

Hrabina genueńska miała się na ostrożności — twarde, niebieskawo połyskujące łuskowe trykoty, które niegdyś Franciszek z Assyżu podziwiał na wróżce karnawałowej i

które uważał za zręcznie dobrany strój maskowy, dzisiaj także osłaniały bujnie piękne członki hrabiny. Właśnie one oparły się cygańskiemu pchnięciu sztyletem i wybornie dowiodły, że się zdadzą na coś więcej jak na zręczny żart maskowy i na okrycie piękne kształty odznaczające.

Azzo przeląkł się.

— Chcesz mnie zgładzić, szaleńcze! Aja była na to przygotowana. Ale ona cię teraz ma w swoich rękach! Henryka żyje, ale ty jej nie ujrzysz, bo gdy tu jesteś, ona niechybnie jest w ręku Józefa Serrano!

Cygan utkwił wzrok w postać Aji, coraz to dalej w cieniu drzew usuwającą się. Zdawało mu się, że widzi przed sobą jedną z mglistych, potężnych bogiń północy, o których opowiadają podania, a które są równie straszne jak piękne.

W jednej chwili znikła z przed oczu Azza z przerażeniem w ciemności stojącego.

— Henryka żyje!

Te słowa z całą siłą utkwiły w duszy cygana! Zapragnął ją odszukać i bronić od prześladowań strasznych jej nieprzyjaciół.

Lecz gdzie jej miał szukać, kiedy nie miał żadnego śladu ukochanej! Ale myśl, że ona jeszcze między żyjącymi pozostaje, pognała go napowrót do Madrytu i przejęła nadzieją.

Bez odpoczynku więc pośpieszył do stolicy, po całych dniach przebiegał jej ulice i place, niezmordowanie patrzał w altany i okna, a zarządcę swojego pałacu zawsze nadaremnie zapytywał, czy Henryka nie szukała w nim schronienia!

Nakoniec po długiem śledzeniu, przyszło cyganowi na myśl, że Henryka może po za miastem szukała i znalazła schronienie, bo się obawia prześladowania.

Azzo krążył po przedmieściach, tu i owdzie wybadywał to jaką staruszkę, to dziecię, czy nie dostrzegły gdzie w sąsiedztwie obcej, ładnej kobiety. Często odpowiadano mu: tak jest, i Azzo śpieszył, wiedziony ku wskazanemu miejscu zawsze nową nadzieją.

Wszędzie jednak znajdował obce twarze.

Opuszczał więc miasto i chodził po okolicznych domach wiejskich, aż nakoniec przybył do zapadłych zwalisk Teba, w których mieszkali stary Frazco i Juanna, a w których w nocnych godzinach odbywały się zebrania tajemnego związku Latającej Pętlicy.

Zasmucony długiem nadaremnem poszukiwaniem, z sercem pełnem myśli o Henryce, zbliżył się do rozległych murów i usiadł na jednym ze skruszonych filarów. Leśne drzewa rzucały cień daleki, a wysoko na niebie ukazały się ciemne chmury.

Cygan wziął skrzypce do ręki i zaczął ze strun wydobywać tony, raz dzikie i groźne, drugi raz łagodne i miękkie, jak jego wspomnienia o Henryce.

Wtem nagle z pośrodka nagromadzonych gruzów i kamieni wyjrzała kędzierzawa główka dziewczynki i z uśmiechem skierowała się w stronę, z której pochodziły wabiące miłe tony! Mała Marja, zagłębiona w swojem ukryciu poza murami, posłyszała muzykę i dostrzegła siedzącego w pobliżu i przygrywającego cygana! A muzyka jego tak dalece podobała się dziecku, że bez obawy swą

kędzierzawą główką skłoniło się zdziwionemu Azzowi, gdy niespodzianie rozszerzonem okiem dostrzegł ją wychylającą się z pomiędzy zwalisk. W pierwszej chwili cygan sądził, że to upiór, lecz gdy mu się skłoniła miła główka dziewczynki, nie wątpił dłużej, iż to jest dziecię ludzkie, siedzące między zwaliskami.

Grając dalej, powoli przysunął się bliżej.

Azzo uczuł, że po członkach jego przebiega radośny przestrach, gdy stanął tuż przy dziecku i ujrzał przed sobą rysy Henryki. Przeczucie mówiło mu, że to dziecko, żyjące wśród zwalisk w sposób dla niego niewyjaśniony, jest porwanem i straconem dzieckiem Henryki, ową małą Marją, która przed laty bez śladu znikła z nad brzegów Manzanaresu.

Głowa dziewczynki skryła się znowu; gdy przygrywający Azzo przybliżył się, z dziecinnym śmiechem cofnęła się ku wejściu do jaskini pod murami, w którem milutka Marja chętnie samotnie i bez przeszkody bawić się lubiła, bo nawet nowy jej towarzysz, błękitno-oki, rzeźki Ramiro, nie śmiał i nie chciał jej pomagać, gdyż oboje dzieci miały inne skłonności i nie zgadzały się ze sobą. Mała, miluchna Marja bawiła się kamykami i kwiatami, starszy Ramiro z każdego kijka robił sobie pałasz, a każdy wyskok muru uważał za wojennego rumaka; łagodna dziewczynka najlepiej lubiła przebywać w swojej skrytce (tak nazywała jaskinię), a dziki chłopak błąkał się po wzgórzach i w lesie. Stary Frazco obojgu na wszystko zezwalał, a dobra matka Juanna uważała za najlepsze, że dzieci po nauce swobodnie i wesoło bawiły się na dworze.

— To wzmacnia i zdrowia dodaje! — mawiała.

Dla małej Marji zatem owa podziemna przestrzeń, którą oddawna przypadkowo odkryła, gdy właśnie na to miejsce z trudem znosiła kamienie, aby sobie tron królewski zbudować, była najprzyjemniejszem miejscem schronienia. Za każdym razem starannie zakrywała ją kamieniami, ilekroć z niej wychodziła, by żaden człowiek ani żadne zwierzę nie znalazło jej skalistej kryjówki.

Co rano znowu z trudem odsuwała kamienie i wchodziła do ukrytej przestrzeni przez dosyć obszerny otwór, a była to zapewne piwnica w dawnych czasach, gdy jeszcze zamek Teba dumne wznosił czoło. Miejsce to było dosyć rozległe i szerokie. Walące się mury nie przełamały jej sklepienia z kamieni, jednak po bokach mur musiał się był zapaść, bo ściany prawie ciemnej jaskini powstały z gruzów przez wiatr naniesionych, co nadawało jej dziwnie podziemny i dziki pozór.

Do tej przestrzeni znosiła mała Marja swoje różnobarwne kamyki i kwiaty, i bez przeszkody tam się bawiła, a przed kilku jeszcze dniami nikt tam nie był odwiedził miłego, niewinnego dziecka, nigdy i ono nie dostrzegło stamtąd nic nadzwyczajnego.

Ale niedawno, gdy mała zrana chciała dosunąć kamienie, zdało się jej, że nie tak ułożone jak je zwykle układała, a gdy weszła do swojej jaskini, zdziwiła się. Na drugi dzień znowu tę samę uczyniła uwagę: wpadła więc na myśl, że nocą potajemnie jakaś obca istota dostaje się do jej jaskini i tam się ukrywa. Nie zdołała jednak nic dostrzedz ani dowiedzieć się, co to za istota potajemnie przywłaszcza

sobie jaskinię.

W tem nagle zbliżył się jakiś człowiek, którego gry zawsze z radością słuchała, ilekroć ułudne tony wydobywał z coraz dźwięcznej brzmiących skrzypiec.

Miałżeby ten obcy nocami przebywać w jej jaskini? pomyślała mała Marja, ciekawie z jej wnętrza przypatrując się cyganowi, który się zbliżał do otworu i zdziwił się gdy przezeń wszedł do jaskini.

Oczy jego dziko i złowrogo zaświeciły z pod spadających mu na czoło włosów, gdy spojrzał na dziecię, które przestraszone ukryć się przed nim chciało i przysiadło w kącie jaskini pomiędzy kamieniami.

— Mała kochana Marjo, wabił ją Azzo, wyciągając do niej rękę, pójdź opowiedz mi gdzie jest twoja matka?

Dziecko spojrzało bojaźliwie na obcego, który się coraz bardziej przybliżał.

— Pójdź, ja ci nic złego nie zrobię, chcę się tylko dowiedzieć o tobie, jakim sposobem dostałaś się do tych murów, i gdzie przebywa twoja kochana matka Henryka, której szukam?

— Matka Juanna! płacząc zawołała mała Marja.

— Juanna? powtórzył zdziwiony Azzo. Zaprowadź mnie do niej!

Cygan chciał objąć dziecię — ale to tak głośno i z taką rozpaczą zawołała o pomoc, że Azzo z trwogą obejrzał się w koło i szybko wybiegł z jaskini.

Ciemne chmury zakryły całe niebo, huczał już daleki grzmot, który i królową przeraził owego wieczoru, gdy była u zakonnicy, która z Aranjuezu znowu na dwór wróciła.

Azzo wymknął się z jaskini, bo dziecko przeraźliwie krzyczało; pragnął patrzeć i czekać, aż się ktokolwiek zbliży, oraz przekonać się, kto to była ta matka Juanna, której pomocy dziecię wzywało.

Frazco poszedł był wraz z żoną do Madrytu i zajęty interesami wracał do domu dopiero późno w nocy — nikt zatem nie słyszał wołania dziecka ukrytego w jaskini, tembardziej, ze głos jego nikł w zamkniętej przestrzeni. Ramiro spał już dobrze w izbie Frazki.

Ciemność okrążyła małą Marję — nakoniec, gdy obcy oddalił się, podeszła cicho i ostrożnie do otworu, pragnąc przezeń się wymknąć i czemprędzej pośpieszyć do rodziców, na końcu długiego muru mieszkających. Lecz gdy miała już wytknąć na zewnątrz swoją kędzierzawą główkę, grzmot huknął tak głośno i strasznie, a błyskawica tak okropnie rozwidniło pustą, bezludną przestrzeń przed zwaliskami, że dziewczyna krzyknęła przerażona i znowu skryła się w jaskini...

W tej chwili wśród panującej ciemności zbliżył się do otworu zgarbiony człowiek — czarne, burzą grożące chmury tak zawisły na niebie, iż nie można było poznać kto się zbliża. Gdy błyskawica nagłem światłem znowu zwaliska rozwidniła, wsunął się zręcznie do ochronnej, w głębokiej ciemności pogrążonej jaskini, przez chwilę stał nadsłuchując, poczem po cichu zbliżył się do miejsca, z którego dawał się słyszeć przytłumiony płacz dziewczynki — schylił się ku niej — i straszliwy, przerażający okrzyk trwogi rozległ się po jaskini. Mała Marja uczuła jak ją nagle objęły dwa silne ramiona — chciała odtrącić od siebie

szkaradną nieznaną istotę, która się wpośród nieprzejrzanej ciemności na nią rzuciła, a której widzieć nie mogła — rozpaczliwe jej wysilenia były nadaremne — czuła już gorące tchnienia straszliwego napastnika na twarzy zlanej zimnym potem przestrachu.

Wtedy z całej siły rozpaczliwie zawołała o pomoc, i mimowolnie pochwyciła za twarz okrutnego nieprzyjaciela, który ją coraz silniej do siebie przyciskał — czuła, że zrywał jej odzienie z piersi i ciała i że ją bezbronną miał w swojej mocy. Ale nie miała czasu pomyśleć o tem, czego ta obca istota od niej pragnęła — czuła tylko, że coś nieludzkiego z nią się dzieje i że była zgubioną!

Upiór posiadał w swojej mocy miłą, pięknie zbudowaną dziewczynkę, już jego usta paliły białą pierś dziecka; już obrzydłe jego ręce kalały małe, prześliczne ciałko, które od wszelkiego okrycia uwolniły; już ten zwierz dyszał z szalonego wzruszenia, łaknąć krwi małej Marji; już czuła boleści...

Wtedy z ust, których upiór w strasznym swoim zapale zatkać nie miał czasu, wydobył się ostatni, najrozpaczliwszy okrzyk trwogi — i tak się straszliwie rozległ, że upiór, który był człowiekiem, sam nim się wzruszył, bo rzeczywiście jeszcze do ludzi się liczył!

Ale ten potwór tylko dla szatańskiego szyderstwa miał ludzką posiać, a wnętrze jego do dzikiego zwierzęcia należało — stękał z rozkoszy czekającego go użycia, na którego okropność i nienaturalność każdemu innemu człowiekowi powstałyby na głowie włosy ze zgrozy...

Właśnie gdy upiór swoją chuć miał nasycić kosztem

nieszczęśliwej dziewczynki — gdy usta jego już delikatnego ciała z okropnym zamiarem dotykały, a dziecko śmiertelną trwogą dręczone już chrapać zaczynało, nagle pięść pochwyciła strasznego potwora, aby go od ofiary oderwać.

Potwór syknął wściekle, jakby go napadły węże i zwierzęta na pustyni; w jednej chwili ujrzał się pochwyconym i oderwanym od dziewczynki, na której właśnie zamierzał dokonać okrutnego czynu — nienaturalnie wzruszony, drżący, ujrzał się w nieprzebitej ciemności nagle napadniętym i przerażonym przez niespodzianego nieprzyjaciela, który w chwili najwyższej rozkoszy stanął na jego szatańskiej drodze.

Szybko i zręcznie wywinął się z rąk niewidzialnego nieprzyjaciela, dla zyskania chwili przewagi — wiedział, że wtedy tylko pochwyci co najlepszego.

W jaskini wybuchła straszliwa walka, w towarzystwie rozpaczliwych krzyków dziewczyny. Obaj walczący nie mieli czasu chwycić broni, tak gwałtownie jednocześnie, z równą siłą i zręcznością toczyła się ta okrutna walka.

Nagle zdało się obrońcy małej Mąrji, że upiór pragnie się jemu wyrwać, i mimo jego obecności, korzystając z ciemności, rzucić się na dziewczynkę i zamordować ją kilku zręcznemi pchnięciami — albowiem chęć morderstwa bez wątpienia stanowiła główną część okrutnych, prawie szalonych upodobań tego upiora w ludzkiej postaci.

I rzeczywiście udało mu się wyrwać z objęć nieprzyjaciela, którego nadaremnie pragnął poznać i znikł w ciemnościach jaskini.

Nagle jeden z tych dwóch ludzi szybko i zręcznie wydostał się przez otwór na zewnątrz jaskini... byłże to upiór czy też obrońca malej Marji?

Z powodu nocnej burzy nie można go było poznać — ale w każdym razie był to obrońca, bo z wielkim pośpiechem, truchlejąc z trwogi starał się sprowadzić pomoc. — Pomimo rzęsiście padającego deszczu i ogłuszających grzmotów, siadł on na swojego konia, uwiązanego w lesie i pośpieszył do pobliskiej karczmy, gdzie pewny był, że znajdzie pomoc.

Koń wspinał się przestraszony błyskawicami, przebijającemi ciemność — ale jeździec mocno ujął cugle, spiął go ostrogami i popędził ku wzgórzom leżącym między zwaliskami Teba a Madrytem. Pochylony na kark konia, pędził pełen trwogi ku owej okolicy, w której spodziewał się pomocy, aby ująć pozostawionego przy dziecku, pragnąc zapewne, aby to morderstwo było ostatnie.

Nakoniec nadzwyczaj jasna błyskawica oświetla całą widownię, a zatem i pędzącego jeźdźca — to Józef — nie ma wątpliwości! — śpiczasty hiszpański kapelusz — czarny półpłaszczyk — blada twarz z czerwoną brodą — to on!

Prawie lotem dobiega do pobliskiego przedmieścia — kaszląc wchodzi do gospody familiarów — i szybko drzwi wysadziwszy, przywołuje prawie bez głosu obrzydliwych paczy inkwizycji — „Upiór“ — powiada — „chodźcie za mną — znajdziemy go w jego jaskini — nad ofiarą...“

Dziki okrzyk zadowolenia odpowiedział na te przerywane słowa Józefa. Za schwytanie upiora

wyznaczono wysoką nagrodę; siepacze łatwo ją teraz otrzymać mogli.

Z wrzaskiem i wyciem rzucili się do swoich koni Józef przywodził ich groźnemu orszakowi — jak wiatr przelecieli wzgórza ku odległym zwaliskom Teba — pioruny biły straszliwie, a błyskawica ponuro oświetlała nocnych jeźdźców, których prowadził obrzydły Józef, uśmiechając się i zgrzytając zębami...

Szybko przybyli do zapadłych murów — zapalili pochodnie — obstawili jaskinię — uwięzili upiora.

Józef z dobytą bronią, w podziemnem sklepieniu przystępuje z siepaczami inkwizycji.

Ze wściekłym okrzykiem rzucają się oni na ludzką istotę, pochyloną przy dziecku. To Azzo — Azzo jest upiorem — dziecię to mała Marja — jeszcze żyje — ale przestrach i okropna trwoga tak ją przeraziły, iż leży prawie omdlała i z odzieży odarta.

— Bierzcie cygana! woła Józef: cygan Azzo to upiór!

Siepacze z całą swą przewagę napadają na broniącego się zaciekle, lecz nadaremnie — nie słuchają jego zaklęć i zapewnień!

Przywiązano Azza do konia, aby go z sobą uprowadzić, a kilku familiarów zaniosło małą Marję do zapadłego mieszkania Frazki na końcu murów. Tam ze strachem oglądając się zaledwie ocalone dziecię, płacząc rzuciło się ku Ramirowi, który sam tylko dotąd był w domu.

Siepacze zaś z Józefem na czele, uprowadzili stamtąd związanego cygana do Madrytu.

1. ↑ *Osada Aranjuez, jest niby jednam z przedmieść Madrytu i druga rezydencję królów hiszpańskich.*

Tekst jest ***własnością publiczną*** *(**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXVIII.

ARESZTOWANIE KRÓLA.

Niech łaskawy czytelnik nie raczy mniemać, że w opowiadaniu naszem tu i owdzie dopuszczamy się urojenia — wypadki i intrygi owych lat na dworze Madrytu i w dalszych kółkach, były tak awanturnicze i rażące, że nawet księgi historyczne dostatecznie ich określić nie zdołały!

Rozdział niniejszy nietylko przedstawiony jest zupełnie historycznie, ale nadto dziwne postępki królowej, zboczenia króla, komedje zakonnicy Patrocinji i zaraz potem idący rozdział „Sztylet Mnicha“, tudzież Stowarzyszenie „Latającej Pętlicy“, oparte są na najściślejszej prawdzie!

Mniemaliśmy, że aby zasłużyć na wiarę, należało nam zamieścić te kilka słów objaśniających wprzód nim przystąpimy do dalszego ciągu opowiadania.

Franciszek z Assyżu, małżonek królowej, przy najpierwszej sposobności uczynił zadosyć prośbie biednej Henryki — poufnym uśmiechem oświadczył księciu de la Torre, że piękna, blada signora jeszcze żyje i przebywa w domu pani Delacour.

— Zaprawdę, pochwalić należy wasz gust, mości książę! — żartował król, jeszcze z wieikiem upodobaniem myślący o Henryce i spodziewający się wkrótce ją znowu odwiedzić.

Serrano zadrżał na tę wiadomość — powstały w nim i

silnie wstrząsały nim tysiączne kwestje i kłopoty! Jakim sposobem Henryka została ocalona? Gdzie przez tyle lat od owej straszliwej nocy miała schronienie? Wiadomość całą uważał za mistyfikację, za skutek jakiejś omyłki — potem znowu obawiał się, bo przypuszczał, że Henryka pozostaje w towarzystwie osławionej pani Delacour.

Dla tego w kilka godzin po otrzymaniu tak udręczającej wiadomości, Franciszek pojechał do willi przy ulicy Aranjuez — po raz pierwszy zwiedzał salony osławionej damy — że śmiertelną trwogą szukał czy się pomiędzy niemi nie znajduje Henryka! Ta myśl była mu tak straszna, że truchlał! Szukał nadaremnie. Pani Delacour nie mogła mu udzielić żadnej innej wiadomości o bladej signorze, prócz tej, że po krótkim pobycie, pędzona jakąś dziwną niespokojnością, jej dom opuściła. Dokąd się zaś udała, tego pani Delacour z wielkim żalem powiedzieć nie umiała i w ogólności o niczem stanowczo nie objaśniła, bo nauczona ostrożnie postępować z dworem, każdą rzecz dobrze obejść umiała.

Lecz pani Delacour, która, jak twierdziła, poczytywała sobie za najwyższy zaszczyt widzieć u siebie marszałka Serrano, zręczną mową zwróciła jego uwagę na piękną Olidję i na dziką Józefę...

Ale Franciszek szybko opuścił salony i wrócił do swojego mieszkania — pragnął spokój, potrzebował pomyśleć, jakim sposobem trafi na ślad wprawdzie ocalonej) ale od niego oddzielonej Henryki.

Tymczasem Mateusz i Fulgenty nie próżnowali u dworu. Pomiędzy nimi a księciem Walencji wybuchała Walka,

wprawdzie niezupełnie jawna, bo spotkania nie odbywały się ostro, ale obie strony czuły, że stoją sobie na zawadzie, że się nienawidzą i że za jakąbądź cenę jedna z nich ustąpić musi — obie bowiem dążyły do jednego celu, do nieograniczonej władzy.

Narvaez na swoją obronę miał tylko żelazną wolę i wpływ na królowę Izabellę. Ale Mateusz miał po swojej stronie królową matkę i jej małżonka, a Fulgenty króla.

Narvaez bez wypowiedzenia wojny znał doskonale swojego nieprzyjaciela. Ten srogi, poważny mąż z przeszywającem spojrzeniem, nie obawiał się czarnego towarzystwa, pozwolił mu intrygować wedle upodobania, i czekał aż go tak blisko dotknie, iż od jednego zamachu zgnębi! Bo właśnie Narvaez, jakkolwiek bez serca, ale uczciwy, sądził, że na to posiada władzę; gardził zawziętością i zręcznym wpływym inkwizytorów, i bez troski szedł swoją drogą, która jakkolwiek służyć mu miała do zaspokojenia ambicji, zawsze jednak lepszą była aniżeli ta, na którą ojcowie z Santa-Madre dwór wprowadzić chcieli.

Królowa od owej nocy na ulicy Aranjuez przez kilka dni była niewidzialna — bolesne uczucie dwojakiego rodzaju mocno i potajemnie dręczyło Izabellę, wcale go zrozumieć nie mogła, a jednak gorąco jej duszę paliło.

Nakoniec postanowiła znowu ukazać się w dworskiem towarzystwie, lecz nie dla tego, aby z prezesem ministrów Narvaezem mówić o sprawach kraju, ani też aby się widzieć z mężem lub z matką — ale jedynie, aby się dowiedzieć, czy Franciszek Serrano zna już tajemnicę,

która dręczy jej serce. Izabella kochała go teraz jeszcze namiętniej, im więcej nastręczało się powodów do wzajemnej między nimi oziębłości.

Na żądanie królowej w salonach zamku zebrało się dobrane towarzystwo, w któreni nie brakowało nawet samego króla, bo jak utrzymywano, pragnął przez to okazać małżonce, że się raduje z jej widzenia.

Zobaczymy jednak, że zupełnie inna przyczyna skłoniła Franciszka z Assyżu do ukazania się u dworu.

W wielkiej zwierciadlanej sali Filipa, oświetlonej a jour, znajdujemy Narvaeza, oraz ministrów Sartosiusa i Olozagę, marszałka Serrano, generałów Conchę i Prima, O‘Donnela i Bravo-Murillę, admirała Topetego i wielu orderowych oficerów. Około północy ukazują się także Marja Krystyna i książę Rianzares z bogatym orszakiem, a nakoniec i królowa, i Franciszek z Assyżu. Mały pan wygląda rozdrażniony, bo jego zawsze mdłe oczy niezwykle dzisiaj świecą, jakby zajęty był jakimś zamiarem czy postanowieniem, i ma przedsiębiorczą minę, której się nigdy po tym słabowitym królu nie spodziewano.

Rozmowa idzie kulawo i nie chce płynąć jak rzeka — jakieś ciążące przeczucia wyłącznych zawikłań, jakaś zmora dręczy całe towarzystwo, a nikt nie może odgadnąć tego przyczyny! Dziwne to usposobienie może wywołały rozmaite stronictwa, które się potworzyły na dworze, a nawet między narodem.

Wtem w wysokich otwartych podwojach ukazuje się królowa.

Izabella wygląda blada i wzruszona — po marząco

zagłębionych powiekach i strudzonem spojrzeniu poznać można, że spędziła kilka bezsennych nocy — ale nagle oczy królowej uważniej przebiegają po sali, jakby czegoś szukały. Ma ona na sobie białą atłasową suknię i z przodu zapiętą mantyllę, bogato koronkami oszytą. W pięknych, bujnych włosach błyszczy brylantowa korona, a gładką, białą szyję zdobi naszyjnik z różnobarwnych drogich kamieni, który włożyła na nią markiza dla większego wrażenia przy ukazaniu się.

Izabella spostrzegła, że ją małżonek wita. Odpowiada na jego słowa urzędownie i z zimnym uśmiechem — również dla formy wita się z Marją Krystyną i przelotnie mówi z nią o swojej siostrze Ludwice, księżnie de Montpensier, która wraz z mężem mieszka w Sewilli.

Potem królowa bardzo łaskawie mówi z Narvaezem, który nie zmieniając miny, zawsze poważnie i zimno odpowiada. Ale Izabella mimowoli spogląda w stronę, w której siedzi marszałek Serrano — ciekawa pragnie wyczytać z jego rysów, czy znalazł Henrykę — niepewność dręczy ją straszliwie!

Z galerji osłonionej bogatemi kobiercami brzmią odgłosy muzyki, a lokaje roznoszą wszelkiego rodzaju owoce i chłodniki, poddają bogate złote tacki, tudzież ozdobne talerze z chińskiemi malowidłami.

Królowa i Marja Krystyna zajmują przeznaczone sobie miejsca; Izabella margrabinie daje rozkaz, aby przyniesiono szampana; jedyny miły jej trunek, ponieważ przyjemnie rozgrzewa i rozmowę dowcipniejszą czyni.

Usłużni lokaje przynoszą iskrzące się wino.

Król, pomimo iż w wielu razach lubił z wyrachowanem brzmieniem głosu nazywać się pierwszym poddanym królowej, od czasu jak się powszechnie dał poznać i jak go naród zaczął radośnie przyjmować, powziąwszy wiadomość, że Izabella zostaje w błogosławionym stanie, zyskał więcej wpływu aniżeli dotąd, a jezuici z Santa-Madre wpływu tego skutecznie używali na swój korzyść.

Już kilka razy Franciszek z Assyżu przedstawiał królowej żądania o utrzymanie jedności w zamku, na którą królowa niechętnie zezwalała — otworzono znowu przeszło pięćdziesiąt klasztorów, a przy wyborach do Kortezów użyto machinacyj i działań korzystnych dla jezuickiego gospodarstwa, na które jednak większa część ludu z niedowierzaniem patrzyła; owszem nawet królowa odważyła się na zakazanie tchnących niezadowoleniem gazeciarskich artykułów, bo redaktora „Herolda“ Sartoriusa (później hrabiego San Louis), mianowała ministrem spraw wewnętrznych aby ująć największego napastnika na te manewry.

Ale Franciszek z Assyżu miał teraz nowe żądanie, i pragnąc je wynurzyć, zbliżył się do krzesła królowej, a panowie i damy dworskie, po dostąpieniu zaszczytu przedstawienia się i rozmawiania z królową, potworzyli drobne grupy.

Jedno spojrzenie przekonało króla, że Narvaez w znacznem oddaleniu rozmawia z ministrem Olozagą o nowem postanowieniu.

— Moja dostojna małżonka raczy mi dozwolić, — mówił do królowej Franciszek z Assyżu, zbliżywszy się z

napełnionym do połowy kielichem, abym wychylił ten toast za jej zdrowie i na cześć szczęśliwego rozwiązania najbliższej przyszłości! Ciągle się o nią niezmiernie lękam, bo pojmuje zapewne królowa, jak dalece to mi leży na sercu.

— Dziękuję wam, mój małżonku, — z cicha wymówiła Izabella, niosąc swój kieliszek do ust. Na twarzy jej osiadł jakiś melancholijny wyraz, a niebieskie oczy były zamglone.

— Jedna tylko okoliczność zasępia uśmiechające się do nas szczęście, mówił dalej król, siadając na krześle, które mu Izabella obok siebie wskazała: — okoliczność dająca nam wiele do myślenia, ponieważ szkodząca spokojowi kraju!

Zdziwiona królowa spojrzała na małżonka.

— Przerażacie mnie i przejmujecie ciekawością dowiedzenia się co to za okoliczność? — rzekła półgłosem.

— Najdostojniejsza małżonko, czuje, że dłużej przemilczeć nie mogę! Nikt nas nie słucha, niech więc wolno mi będzie, wynurzyć wam prośbę, którą przezemnie zanosi do was większa część poddanych! Książę Walencji, człowiek obozowy, nadużywa zaufania i wysokiego stanowiska, jakieście mu w swej łasce powierzyli!

— Jak to, mój małżonku! — nie mam najmniejszego powodu niedowierzać prezesowi ministrów Narvaezowi! Któż jeżeli nie on wspierał nas w największych kłopotach silnem ramieniem? Któż umie utrzymać karność w wojsku i porządek pomiędzy generałami? Nie, nie mój małżonku, fałszywe masz wiadomości! to ktoś usiłuje mu szkodzić w

twojej opinji!

— Mową twoją dajesz mi uczuć Izabello, że jestem poddanym; ale pomimo to, skoro noszę imię króla, obowiązkiem moim jest, abym, chętnie na wszystko się narażając, zwrócił uwagę małżonki mojej na niebezpieczeństwo, które ci grozi ze strony tego ulubieńca! — dodał król, wymowniejszy dzisiaj niż kiedykolwiek.

— Sądzę, że mnogich wiernych usług, tudzież dowodów poświęcenia, nie umiem wcale księciu wynagrodzić! Nazywacie go moim ulubieńcem, — zgoda, mój panie małżonku, tytuł ten dla księcia potwierdzam w całem jego znaczeniu!

— Mówią w istocie pomiędzy narodem, że z pomiędzy licznych ulubieńców on jeden ma najwięcej prawa do tego odznaczenia!

— Kto na tronie zasiada, winien być wyższy nad wieści podszeptywane narodowi! — dumnie odpowiedziała królowa, jawnie niezadowolona z wyrażeń małżonka.

— Mimo to jednak, Izabello, zważać należy i na to co mówią, bo we wszystkiem znajdzie się nieco prawdy.

— Chcecież mi dawać przepisy, a nawet czynić wyrzuty, mój panie małżonku? Książę Walencji jest potrzebą mojego tronu!

— Jest to człowiek ambitny, dążący jedynie do nieograniczonej władzy — ale zarazem zły dozorca, bo zimno wyrachowane samolubstwo wszystkie czyny jego dyskredytuje! — powiedział rozdrażniony król.

— Sąd o tem mnie pozostawcie. Czy mniemacie, iż jestem tak krótko widząca, iż nie umiem poznać ani

przejrzeć do głębi najbliższego mojego otoczenia? Ja od wszelkich intryg trzymam się z daleka, mój panie małżonku, co zaś wam pozostaje do czynienia, o tem powinniście byli mieć sposobność przekonać się dostatecznie przez kilka lat poprzednich, — cierpko mówiła królowa. Powtarzam: tak z daleka, iż byłoby to dla mnie niemożliwe, gdyby serce moje w tem udział miało. Natomiast proszę was pozostawić mi wszelką swobodę — ofiaruję wam bardzo słuszne warunki zgody!

Izabella powstała — niezmiernie rozdrażniona — gorące rumieńce okrasiły nienaturalnie jej twarz dotąd białą — krótkiemi słowy pożegnała Marję Krystynę — chłodno i dumnie skłoniła się królowi, potem oświadczając, że się czuje osłabioną, znikła z sali Filipa.

Franciszek z Assyżu, mały drażliwy panek z cienkim głosem, jeszcze się mocniej rozdrażnił ostatniemi słowy małżonki, gdyż Fulgenty zręcznie mu dał do zrozumienia, że królowa bynajmniej na słowa jego nie zważa i rad jego słuchać nie chce — a skrycie i uszczypliwie wyrachowany zastosował to do chwilowego wpływu króla, o którym tenże nie nadaremnie sobie teraz przypomniał.

Franciszek z Assyżu, chciał raz stanowczo powiedzieć królowej: „strzeż się!“

Śmiejąc się, jakby nigdy nic nie zaszło, wyprowadził królowę z sali — z uśmiechem także przystąpił do panów dworu — swobodnie rozmawiał z królową matką, na której poparcie zawsze z pewnością liczył. Książę Rianzares, który zauważył cośkolwiek z małej sceny jaka zaszła między królem a jego małżonką, a nadto za wpływem ojca

Mateusza zazdrościł jeszcze bardziej władzy księciu Walencji i szkodzić mu usiłował, wychodząc z Marją Krystyną z sali Filipa, żartując przemówił cicho do króla:

— Tylko śmiało, Najjaśniejszy Panie — powinniśmy wiedzieć, żeśmy mężczyźni!

Małżonek królowej, uśmiechnął się potwierdzająco — potem na chwilę zatrzymał się i rozmyślał.

— Rianzares ma słuszność! powinniśmy wiedzieć, żeśmy mężczyźni, — szepnął; — powinienem raz wolę moją przeprowadzić, bo ojcom zawdzięczam niejedną przysługę! Nigdy może już nie będę miał takiej władzy jak w tej chwili, muszę więc z niej korzystać!

Przeszedł więc przez salony i udał się do mieszkania małżonki — jeszcze tej nocy zapragnął widzieć się z nią i zamiar swój do skutku doprowadzić. Śmiało mały rozdrażniony pan przyszedł na przedpokoje, krótko i gwałtownie polecił służbowemu adjutantowi, aby go niezwłocznie zameldował królowej. Nie chciał aby jego właśni adiutanci polecenie to spełnili, jak tego etykieta wymagała, a było mu tak spieszno i pilno, iż nie starczyło czasu na te formalności.

W kilka minut później wszedł do gabinetu królowej, która z razu chciała odmówić żądaniu swojego małżonka, ale potem przyjęła go, ponieważ wzruszenie i ją doprowadziło do tego, że postanowiła teraz wyraźnie oświadczyć królowi, iż ona sama tylko rządzi; również zatem zdziwiona, zapragnęła usłyszeć, co jeszcze po niedawnej rozmowie małżonek jej oświadczy.

Franciszek z Assyżu ceremonjalnie powitał królowe.

— Pilny interes sprawia, że o tej jeszcze porze przeszkadzam pani, — rzekł mały rozdrażniony pan, — i nigdy sobie tego natręctwa nie przebaczę, jeżeli przez nie sprawiam pani nieprzyjemność.

I z uprzejmością wskazał fotel, z którego Izabella powstała.

— Więc proszę, chciej również zająć miejsce mój panie małżonku, jestem nadzwyczaj wzruszona!

— Mocno mnie boli, że to słyszę — niech mi wolno będzie krótko się wytłumaczyć, abym pani nie utrudzał!

Król mówił po francusku, co zawsze czynił, gdy był rozdrażniony i prędko rozmówić się pragnął.

— Przychodzę oświadczyć pani, — ciągnął dalej, że postanowiłem dzisiejszej jeszcze nocy przenieść moją rezydencję do Aranjuezu — pragniemy bowiem dopiero z dala od Madrytu, od waszej rezydencji, przyzwyczaić się do tego, że wpływ nasz nie ma żadnego znaczenia!

Izabella powstała na równe nogi — najmocniej przerażona a nawet przelękła, spojrzała na króla uradowanego skutkiem swojej pogróżki.

— Jakto! — chcecie...

— Chcemy przenieść naszą rezydencję do Aranjuezu, pani; takie jest nasze niezmienne postanowienie! Sprzykrzyło się nam być uważanymi za piąte koło u wozu, bo jakkolwiek sami mało co sobie robimy z intryg pałacowych, owszem cieszymy się, że naród nas z nich wyłącza, jednak przywiązanie nasze do ciebie, pani, nakazuje nam mówić wam prawdę! Jeżeli zaś i to jest nam cierpkiemi słowy odmówione, jeżeli po zamku rozgłaszają,

że król otrzymał od was ostre napomnienie — to, moja pani, pozostaje jedynie do wyboru krok jakkolwiek ciężki, ale stanowczy! Przychodzę więc oświadczyć to pani!

To postanowienie małżonka zbyt nieprzyjemnie dotknęło Izabellę — musiała się zastanowić, musiała pierw poznać całą jego wagę. Ta nagła wiadomość nie tylko dotknęła jej serce, ale i rozum.

— 1 cóż to skłania was do obstawania przy dziwnym waszym zamiarze? — spytała nakoniec.

— Nic, jeżeli ten zamiar za dziwny uważacie!

— Pragnę dowiedzieć się, co was skłania do oddzielenia waszej rezydencji od mojej?

— Pozwól mi pani mówić otwarcie! Z mojej strony przebaczenie wtedy tylko nastąpią gdy pani Narvaeza od dworu usuniesz!

Izabella słysząc te ostre i wyzywające słowa małżonka, nagle z całą dumą powstała.

— To nigdy nie nastąpi, Franciszku z Assyżu! My tylko przebaczać możemy, ale nie wy!

— Skoro tak, to pozostaje mi tylko polecić się względom pani. Jeszcze dzisiejszej nocy przenoszę moją rezydencję do Aranjuezu!

Król ukłonił się. — Więc Narvaez pozostaje — szepnął pytająco.

— Pozostaje, Franciszku z Assyżu! Nas groźby nie straszą!

— Za godzinę będziemy daleko od Madrytu!

I król znikł poza portjerą.

Izabella spojrzała za nim widocznie rozgniewana;

nieznany książę, którego królem zrobija, nagle ośmielił się wystąpić przeciw niej w sposób, którego się bynajmniej nie spodziewała. Miała do wyboru pomiędzy Narveazem, który był bez zaprzeczenia podporą jej tronu, a owym Franciszkiem z Assyżu, który byt zerem.

Prócz tego jawnie widziała Izabella, że w tej chwili przeniesienie rezydencji króla do Aranjuezu, nagle rozdzielenie dworu jego od jej, głębokie sprawi wrażenie. Wiedziała, iż krążą wieści, rzucające dwuznaczne światło na stosunki jej z królem. Cóż będzie, jeżeli teraz, kiedy błogosławiony stan królowej wszystkim wiadomy, król nagle rezydencję swoją oddzieli i do Aranjuezu przeniesie?

Tak nienaturalne rozłączenie koniecznie dolałoby oliwy do ognia i jeszcze bardziej owe pogłoski utwierdziło.

Strapiona Izabella powiodła ręką po czole. „On nie wyjedzie, choćbym nawet siłą wyjazdowi jego przeszkodzić miała! — rzekła — Muszę mówić z Narvaezem, niech rozstrzygnie, co należy teraz poczynić.“

I królowa przyłożyła rękę do taśmy od dzwonka.

— Prosić tu natychmiast pana prezesa ministrów! — zawołała niezmiernie rozdrażniona.

Narvaez, żelazny człowiek, który sypiał zwykle najwyżej pięć godzin i zawsze był gotów na usługi królowej, w kilka minut później ukazał się w buduarze Izabelli, do którego wszedł po raz pierwszy. Domyślał się, że musi chodzić o coś szczególniej ważnego, kiedy go królowa wzywa wśród nocy i tak nagle.

— Mości książę, — rzekła niezmiernie wzruszona Izabella: za kilka minut może zajść w naszym zamku

następujące zdarzenie, jeżeli nie przedsięweźmiemy środków do zapobieżenia mu. Król ma zamiar rezydencję swoją oddzielić od naszej i przenieść do Aranjuezu!

Narvaez porwał się jakby go żmija ukąsiła.

— Król chce się udać do Aranjuezu? — powtórzył niedowierzająco — to niepodobieństwo!

— A jednak przed chwilą mi to tutaj oświadczył!

— To pod żadnym względem stać się nie może! Racz mnie Wasza Królweska Mość upoważnić, a przeszkodzę temu!

— Żądacie nieograniczonego pełnomocnictwa? — z obawą rzekła królowa. — Czyńcie co się wam podoba!

— Proszę o rozkaz na piśmie, Najjaśniejsza Pani, bo bez pełnomocnictwa na piśmie z waszej strony, to co się za kilka chwil stać musi, będzie zbrodnią stanu.

Izabella przystąpiła do stolika i własną ręką przygotowała dla prezesa ministrów pismo nadające mu nieograniczoną moc działania.

Narvaez po niemym ukłonie wyszedł.

W kilka minut później w skrzydle zamku zajętem przez króla, odezwały się wymierzone kroki halabardników księcia Walencji. Doświadczone wojsko nie pytało dokąd je prowadzą i kogo uwięzić mają, lecz niezwłocznie wykonywało rozkazy swojego oficera, a tym oficerem był Olano, którego przed laty widzieliśmy w wojsku karlistów; przeszedł on do królewskiego wojska, przekonawszy się, że wojska don Karlosa rozwiązały się i był poufnym księcia Walencji, któremu tenże dał do spełnienia tak delikatne polecenie.

Olano z halabardnikami zbliżył się do apartamentów króla, i ze wszystkich stron je obstawił; potem bez zameldowania wszedł do pokoju króla, w którym tenże właśnie ze swoim intendentem rozmawiał o natychmiastowym wyjeździe do Aranjuezu.

Franciszek z Assyzu zdziwiony i gniewny spojrzał na natręta, który śmiał najść jego mieszkanie.

— Kto pan jesteś i czego chcesz? — dumnie zapytał Olana.

— Mam rozkaz aresztować Waszą Królewską Mość! — z imponującym spokojem odpowiedział wysoki, brodaty oficer, którego cała powierzchowność zachowała jeszcze ślady dzikiego, przez długie lata w obozach strawionego życia.

— Jesteś pan szaleńcem! — w najwyższem uniesieniu zawołał król, a intendent jego również zdziwiony spojrzał na śmiałego oficera, którego spokoju bynajmniej nie zachwiała gwałtowność małego króla.

— Rozkaż strażom, by tego zuchwałego oficera zawlokły do więzienia stanu, aby nie mniemano, że się z królem podobnych rzeczy dopuszczać można. Kto pan jesteś? Jak się nazywasz?

— Jestem generał Ros de Olano, Najjaśniejszy Panie — kłaniając się odpowiedział oficer.

Franciszek z Assyżu przy tak niespodzianej dumie, z gniewu i przerażenia nie wiedział co począć i jak postąpić; sądził, że się tego dopuszczać zwykli. Gwałtownie zatem często się tego dopuszczać zwykli. Gwałtownie zatem szarpnął za taśmę od dzwonka przywołującego adjutantów.

Nikt nie słyszał i nikt się nie zjawił.

Król zbladł — pośpieszył ku drzwiom, gwałtownie rozsunął portjerę i otworzył drzwi, chcąc sam przywołać znajdujące się na korytarzu straże...

Ale z rozszerzonem okiem cofnął się napowrót do pokoju.

Korytarze i drzwi obsadzone były dzielnymi halabardnikami księcia Walencji!

— To obraza majestatu! — zgrzytając zębami zawołał król. — Pan jesteś buntownikiem! Na rusztowanie z nim! Kto panu kazał tu wchodzić?

— W imieniu królowej mam uwięzić Waszą Królewską Mość! — kłaniając się odpowiedział Olano, — a oto własnoręczny rozkaz Najjaśniejszej monarchini!

Franciszek z Assyżu poznał teraz, że tę przygodę z dobrą maną przyjąć musi; przekonał się, że Izabella chce tak gwałtownym czynem przeszkodzić wyjazdowi jego do Aranjuezu, bo podobna przemiana rezydencji teraz rzuciłaby ciężki cień na królewską małżonkę i jej stan.

Chłodny uśmiech ukazał się na twarzy Franciszka z Assyżu.

— Na wyraźny rozkaz Jej Królewskiej Mości! — powiedział jakby szło o żart. Rozumiemy teraz panie generale, i poddajemy się jako pierwszy poddany królowej, jej najwyższej woli. *Król jest aresztowany*, donieście o tem Najjaśniejszej Pani! Król pozwolił się uwięzić!

Olano ukłonił się i polecił adjutantowi swojemu wykonać powyższe żądanie, sam zaś nie pytając, pozostał w mieszkaniu króla, którego aresztował.

Jeszcze tej samej nocy, za pośrednictwem królowej matki, odwołana została ta dziwna i nigdy na żadnym innym dworze nie słyszana przygoda. Król zmuszony, ale uśmiechający się, zaniechał swoich zamiarów — owszem nawet zapewne z prawdziwie rzeźwem uczucifem uściskał księcia Walencji, który mu tak gorzko dał uczuć swą władzę! — W duszy obaj sobie niedowierzali bardziej niż przedtem, i oczekiwali tylko sposobności do nowych na siebie napaści.

Wkrótce potem nastąpiło rozwiązanie królowej, wcześniej niż się spodziewano — z wielkim smutkiem i żałobą całego kraju urodziła *nieżywego syna!*

Przepowiednia mniszki Patrocinji sprawdziła się w sposób straszliwy — tajemnica jej wydała swoje owoce! Nadzieje karlistów i linji Montpensjerów wzrosły na nowo, a wpływ księcia Walencji z każdym dniem w istocie upadać zaczął.

Za to w Santa-Madre życzono sobie szczęścia.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

Rozdział XXXIX.

PIĘKNE DNI ARANJUEZU.

Kuba, najpiękniejsza z bogatych hiszpańskich osad, w owych latach najwięcej dworowi madryckiemu przyczyniała kłopotu.

Korsarze amerykańscy, zwerbowani z wypraw meksykańskich przez awanturników, w późnem lecie 1849 zorganizowali się w Nowym Orleanie, prezydenta Taylora tym razem w pole.

Lecz zaraz następnej wiosny, ale energiczna czynność nie dozwoliła im wyjść generał Lopez, hiszpański kreol z Carracasu, na czele 500 ludzi, zaczął ważną i bogatą osadę odrywać od macierzystego kraju.

Jednak i teraz dzielny opór hiszpańskiej załogi odparł śmiałków, i generał Roncali, generalny kapitan Kuby, okazał się tak dalece usłużnym dla północno-amerykańskiego rządu, iż jeńców bez żadnej przeszkody wydawał.

Rozumie się, że to podsycało zamiary podobnych awanturników. Musiano więc w krótkim czasie uzbroić wojsko, niosące pomoc załodze wyspy. Roncali został odwołany, a dowództwo tej wyprawy otrzymali generałowie Concha i Prim.

Ci dwaj dzielni wojownicy, z oddziałem doświadczonego

wojska, z całą energją położyli koniec napaściom korsarzy. Część ich zabraną w niewolę, generał Prim w Hawannie sądem wojennym skazał na śmierć i w kilka godzin później kazał rozstrzelać Lopez, zdradliwy Kreol, przywódca owych band, uciekł był na puszczę, ale schwytany wyżłami, wstąpił w Hawannie na rusztowanie i umarł odważnie pod gorottą, tą okrutną siostrą gilotyny, która zamiast toporem, żelazną sztabą gniecie kręgi szyi. Wprawdzie taka srogość Conchy i Prima do wściekłości doprowadziła część amerykańskiej ludności, ale Hiszpanja jedynie ich stanowczym działaniom zawdzięcza utrzymanie swojej Ważnej osady.

Ta awanturnicza wyprawa niezmiernie radowała margrabiego de los Castillejas, zwłaszcza że Topete towarzyszył mu z małą eskadrą. Brakowało jeszcze tylko Serrano i Olozaga dla nadania owym czasom piętna dawniejszych ich wspólnych wypraw.

Tymczasem Narvaez, gdy mu rozmaite stronnictwa okazywały jawną nieprzyjaźni, gdy się nawet zachwiało dlań usposobienie ludu, dobrowolnie ze swojej wysokości ustąpił. Zażądał uwolnienia, bo mu się niezmiernie sprzykrzyły intrygi królowej matki i jej małżonka, tudzież króla. Izabella po słusznym uporze nakoniec udzieliła mu zwolnienia i znalazła się znowu całkiem w ręku swojej matki i jezuitów. Marja Krystyna starała się teraz usilnie o to, aby na czele rządu stanął, wierny zwolennik ojców i jej woli oddany człowiek.

Był nim Bravo Murillo, Hiszpan niezmiernie dumny dla ludu i swoich podwładnych, ale dla obu królowych

czołgający się sługa, którego najpierwszemi bohaterskiemi czynami były skazanie gazet z liberalną dążnością a następnie rozwiązanie Kortezów 7 kwietnia 1851 roku, aby przez haniebne poduszczenia i środki mógł posiadać w izbie bardziej giętką władzę, mogącą jego szkodliwym wymaganiom potakiwać z milczącem schyleniem głowy.

Królowa Izabella wołała i zapomnieć o troskach z powodu spraw państwa i unikać wikłających się w naradzie stronnictw, nic bowiem nie przeszkadza bardziej chęci używania życia, jak skargi drugich i objawy niezadowolenia! Dla tego wraz z królem przeniosła dwór swój do starożytnego, przepysznego zamku w Aranjuezie, zwalając cały ciężar kłopotów na barki swoich ministrów, którzy, jak wkrótce zobaczymy po większej części jak najhaniebniej nadużywali tego zaufania.

Stary, zewnętrznie straszny, ale wewnętrznie z czarownym przepychem urządzony zamek Aranjuez, jak pobieżnie wspomnieliśmy, ze swojemi bujnemi parkami i ogrodami, stanowił prawdziwą oazę, wpośród oschłych przestrzeni rozległej okolicy.

Aranjuez zawsze służył wszystkim królom, a bardziej monarchiniom za pożądane miejsce pobytu i wypoczynku, chociaż wszystko co się tam znajdowało, winno było sztuce swój początek.

Jeżeli się drogą w pośród pozbawionego cienia upału dochodziło tu i ówdzie do pokruszonego i mchem porosłego starożytnego muru, który otaczał oazę Aranjuez, to tam dopiero można było odetchnąć, bo stare wspaniałe drzewa gęsto go ocieniały i napełniały wilgotnym chłodem.

Ciemną zieleń kasztanów przeplatała jaśniejsza drzew cytrynowych i migdałowych, a palmy jakby dla obrony przed palącenii promieniami słońca, olbrzymie swoje wierzchołki po nad niemi rozkładały.

Droga szła pod cieniem brunatno-czerwonych murów, aż do wielkiego wjazdu, którego pilnowały dwa potężne z kamienia wykute lwy. Wjeżdżającemu przedstawiał się teraz czarowny, zachwycający widok. Szerokie żwirowane drogi po obu stronach wiodły do sztucznie urządzonego jeziora, otoczonego bujnemi i malowniczemi krzewami, z którego olbrzymia fontanna wysoko ponad domy wyrzucała wodę. Małe, ozdobnie zbudowane i złocone gondole leżały kusząco na wpół ukryte w gałęziach krzaków, które w głębi przemieniały się w palmy i cyprysy, stanowiące wspaniałe ramy jeziora, w którem się błękitne niebo przeglądało.

Po za temi palmami i cyprysami dopiero szła droga wysadzona kwitnącemi kwiatami pomarańczowemi, do położonego wyżej starożytnego zamku, podczas gdy z prawej strony stały mieszkania służby i znakomicie urządzone stajnie, a z lewej daleko rozciągały się ogrody kwiatowe z kwitnącemi pochodzącemi z wszelkich krajów rzadkiemi zwrotnikowemi roślinami, łącząc się po stronie zamku z parkiem, z tyłu zamku zajmującym przestrzeń prawie całej ligi (ligua), jak również ogród nawodniony źródłami z odległych gór sprowadzonemi. Wodociągi, w potężnych, jak człowiek wysokich rurach, zaprowadzono w Hiszpanji nietylko w miastach z podziwu godną sztuką i usilnością, ale znajdujemy je także w owych okolicach, które inaczej byłyby wyschłemi pustyniami. Te cudowne

budowle odnoszą się do bardzo odległych czasów, i tak dalece oparły się ich zębom, że i dzisiaj równie jak przed wiekami, wielki przynoszą pożytek Hiszpanji, po większej części skazanej na straszną suszę.

Oaza Aranjuez zawdzięcza tę obfitość wody bujnym i silnym drzewom wspaniałego parku, którego ulice, groty i pawilony, urządzone w przeszło-wiecznym francuskim smaku, cokolwiek za sztywnie przypominają ogród w Wersalu. Liczne, starannie podcinane szpalery, przejścia i krzaki, uderzają prawie nienaturalnością kształtu, a na Wpół liściem zakryte Neptuny, Nimfy i wszelkiego rodzaju posągi tu i tam na nas spoglądają.

Lecz przedewszystkiem wejdźmy do zamku.

Obfita, przecudny zapach rozsiewająca oranżerja, nagle otwiera się w rozległe półkole. Poza nią rozciągają się przed nami ozdobnie ścięte darniowe kobierce, z ogromnemi kulami szklanemi i krzewami szerokolistnych aloesów i kaktusów, a dalej wznosi się dobrze na sto kroków szeroka fasada kolumn marmurowych, dźwigająca na sobie wielki zamkowy balkon. Na jego obu końcach wznoszą się potężne czworoboczne wieże, które naprzód występując, ograniczają także balkon ozdobiony kamiennemi wazonami, pełnemi bujnych pnących się roślin.

Za wysokiemi, białemi słupami marmurowemi, wznoszącymi w szerokich od siebie odstępach, widać ogromne, sklepione główne podwoje zamkowe, zdobne sztukaterją na ścianach i lukach. Także i okna środkowego go skrzydła, tudzież obu wież kwadratowych, obładowane

są silnemi wystającemi murowaniami i zdobne w ostre łuki, a tymczasem cały płaski dach zdobią po starożytnemu strzelnice i wieżyczki.

Przeszedłszy pomiędzy filarami i wstąpiwszy w wysokie podwoje, czujemy mocno chłodne powietrze. Ze sklepionego przysłonka, którego flizy ułożone w mozaikowe arabeski, prowadzą do górnych apartamentów podwójnie grubemi kobiercami wysłane marmurowe schody, a na dole z prawej i z lewej strony znajdują się wysokie sale dla adjutantów i gwardji przybocznej. Ten główny portyk, tworzący prawie rotundę, wieczorem bywa magicznie rozwidniony bladem światłem lamp, tak że potężny marmurowy posąg nienagannej Junony, ustawiony w półkręgu między obu wejściami na schody, przedstawia nadzwyczaj piękny widok. Po bolcach schodów spoczywają lwy marmurowe.

Wysokie i obszerne gmachy na górze, wyłącznie dla rodziny królewskiej i najbliższego jej otoczenia przeznaczone, zbytkownem i trudnem urządzeniem prawie przewyższają urządzenie salonów w madryckim zamku.

Salon środkowy, nad którego wejściem umieszczono złocistą koronę z herbem królewskiego domu, wybity jest ciemno-czerwonym aksamitem, na którym wiszą wielkie obrazy w bogatych ramach i mnóstwo złotych ściennych kandelabrów. Tron w głębi salonu i liczne krzesła, wybite są podobnym aksamitem i mają bogato zdobne i rzeźbione złote poręcze i nogi. Wysokie okna łukowe, jak też okna mniejszych przyległych salonów, sięgając aż do podłogi, tworzą jednocześnie szklane drzwi, wiodące na balkon

przybrany pachnącemi kwiatami i zwrotnikowemi roślinami.

W małym salonie na prawo całe urządzenie jest jakby z różnokolorowych kwiatów. Jedwabne obicia, krzesła i sofy mają wyhaftowane na białem tle, jakby porozrzucane kwiaty. Przytem aż do przesytu pyszne nisze, kominki, lustra i świeczniki. Po drugiej stronie jest sala wykładana czerwonym marmurem. Płyty są tak zręcznie pospajane, że ich początku ani końca dojrzeć nie można. I małe stoliki w tym chłodnym salonie są także z blado różowego marmuru, a tylko krzesła pokryte są matową materją tego samego koloru.

Stamtąd przechodzi się do apartamentów królowej, które przepychem i zbytkiem wszystko przewyższają. Ciężkie złotem haftowane firanki, obicia, fotele nadzwyczaj są piękne i przepyszne — posążki i rzeźbiarskie arcydzieła, wieczorne oświetlenie, czarujące. Kwieciste krzewy rozsiewają jak najpiękniejszy zapach balsamiczny — wśród letniej nocy wpada tam przez otwarte okna blask księżyca i idzie w zawody z przyćmionem, przyjemnem, ale ukrytem światłem lamp tych poufnych gmachów. Różnokolorowe ćmy nieraz zalatują tam z kwiatów* na balkonie i brzęczą ponad łudzącemi je świecącemi szkłami — albo domyślają się może, iż w tych przestrzeniach żyją i poruszają się ułudnie piękne ludzkie kwiaty? Może się domyślają, że bujnie rozwinięta królowa, nasycając się wieczornym chłodem, tu zdejmuje swą mantyllę i piękne łono o ile możności uwalnia z pod gniotącej je zasłony? Albo może pragną połknąć nieco kwiatowego pyłku, jakim się otacza

młodość powabnej margrabiny? W tych miłych przestrzeniach wieje jakieś czarowne tchnienie, bo w nich jak róża południa przebywa bujnie kwitnąca królowa i jej piękne damy dworu, z których jedna wysoka, dumnie wyrosła wygląda jak łagodna lilja, druga silna i ciemno pałająca kwitnie jak granat, trzecia znowu nęci nas i rozkoszą przejmuje jak miłe pachnące kwiecie pomarańczy.

Izabella po przechadzce w parku wróciła do mieszkania. Cudowna noc letnia, jaką tylko posiada ów daleki zachwycający kraj południa, noc z ciemno-błękitnem, gwiazdami zasianem niebem i tak świetnym blaskiem księżyca, rozciąga się nad krajobrazem. Śpiew słowików, z rozkazu królowej w parku Aranjuez starannie utrzymywanych i hodowanych, ich prześliczne trele i miękkie przejmujące dźwięki, przez wysokie, otwarte okna łukowe dostaje się do pokoju, w którym królowa, owiana wonnem powietrzem, spoczywa na miękkiej otomance — z twarzą zwróconą ku pobliskiemu otwartemu oknu — marzącym wzrokiem i patrzy w pachnącą jasną noc, która po nad jeziorem, przejściami i drzwiami parku swoją czarodziejską zasłonę rozciąga.

Izabella jest sama — cała jej dusza bez przeszkody przypomina sobie obrazy najmilszej przeszłości, a w uszach jej brzmią odgłosy dawno upłynionych pięknych czasów, owe słowa, które niegdyś wyrzekł Serrano:

— „Serce ludzkie raz tylko kocha — co potem następuje, jest tylko szałem krwi i zmysłów.“

— Tak jest, Franciszku, prawdę mówiłeś, powiedziała królowa sama od siebie, a marzący jej wzrok spoczął na

koronach drzew ciemnem światłem oblanych. Raz tylko serce ludzkie kocha gorąco i niewypowiedzianie, i nigdy tej miłości nie zapomni! Do ciebie to należała pierwsza moja miłość — a i dzisiaj jeszcze dusza moja zawsze tęskni ku tobie! Upłynęły lata — Henryka stanęła pomiędzy nami, widziałam ją po raz ostatni na ulicy wśród owej burzliwej nocy — nauczyliśmy się spotykać z chłodną ostrożnością, Franciszku, nauczyliśmy się witać gładkiemi słowy! Dla ciebie była to rzecz łatwa, widziałam to i wyznać sobie musiałam, że nic cię nie kosztowało zbliżenie się do mnie z zimną obojętnością: twoja pierwsza miłość do innej należała? Czy też Franciszek widział się z Henryką? czy ją znalazł, po jej wydaleniu się z domu, który mi mniszka wskazała? Mówią mi, że pewna część gości zaproszonych na jutrzejszą zabawę już przybyła; czy też przybędzie Franciszek Serrano? A może będzie wołał udać chorego? Bez niego zabawa straci swoją świetność, będzie nudna, on tylko zdoła uczynić ja dla mnie rokoszną i miłą! Że też nie mam żadnej od niego pamiątki, ani portretu, ani żadnego znaku, nic prócz moich o nim wspomnień!

W tej chwili zdało się samotnej, że w parku słychać przytłumiony szelest zbliżających się kroków. Izabella powstała szybko i słuchała — przejęło ją jakieś dziwne i błogie przeczucie — może to Serrano przechadza się tam na dole po chłodnym przez księcia oświetlonym parku!

Królowa stanęła na kobiercu małemi nóżkami w piękne atłasowe trzewiki obutemi i wstała z bujającej otomanki, na której leżała — chciała przypatrzeć się potajemnie z balkonu, kto to stąpa po alei. Ostrożnie więc i cicho

słuchała, baczna aby jej nikt nie dostrzegł; potem wyszła na palcach z pokoju przez wysokie, otwarte okno. Zasłoną okryła szyję i ramiona i powoli zbliżyła się do galerji balkonu, ubarwionej kwiatami i pnącemi się roślinami, aby przez nią zajrzeć w ogród kwiatowy. Wprawdzie z balkonu mogła tylko widzieć pierwsze drzewa i aleje, ale jeżeli nocny gość już dalej odszedł, to oko jej już go dosięgnąć nie mogło.

Dręczona niepokojem i nadzieją, przystąpiła już do samej galerji — późny przechodzień szedł powoli po żwirowce, wiodącej od darniowego placu w gęstwinę parku — zatem po kilku sekundach musiał się jej ukazać. Z pięknych oczu królowej tryskała ciekawość i rozkoszne oczekiwanie.

Nakoniec ów oczekiwany podszedł pod balkon — Izabella cofnęła się przestraszona — czy ją uwodziła żywa wyobraźnia? Nie, nie! tym nowym gościem w ogrodzie był rzeczywiście nie kto inny, jak książę de la Torre! Izabella mogła była zawołać, tak bowiem była radośnie wzruszona nagłem ukazaniem się człowieka, którego niespodziane zjawienie się przeczuła!

Franciszek Serrano, który nad wieczorem przybył do Aranjuezu wraz z Primem, co niedawno z Kuby powrócił, i z Olozagą, nie mogąc jeszcze zasnąć, przechadzał się po okrytym nocą parku, powoli i zamyślony. Pełnemi piersiami połykał wonne, chłodne powietrze; stąpania jego szeleszcząc wyciskały się na brunatnym żwirze, którym usypane były ulice przed zamkiem, a pałasz, który miał u boku, regularnie brzęcząc odbijał się od niego. Franciszek

nie uważał na ten szelest. Ręce w rył założył, czoło sfałdował, i tak chodził powoli w pośród wspaniałej, jasnej nocy.

Marszałek Serrano, pięknie wyrosłej, wojennej postawy, którego cień sięga aż do marmurowych filarów, dźwigających długi balkon, ta szlachetnie wykrojona twarz o wysokiem czole, szczególnych doznaje wrażeń, gdy w pośród przyjemnej chłodnej nocy tak się samotnie przechadza.

Franciszek nie widział Henryki! Miły obraz uprzednich lat, z którym się wiąże cała rozkosz owego czasu gorącej miłości, teraz jak piękny sen przeszłości coraz bardziej ustępuje miejsca powadze i zimnemu rozsądkowi, i niknie w pośród różnobarwnego, ruchliwego życia.

W osamotnionem teraz sercu marszałka Serrano często jeszcze budzą się upominające wspomnienia owych burzliwych czasów, gorącej miłości — tęskni on do miłego zjawiska, które wówczas bez myśli o rozłączeniu i zagubie, całą jego duszę napełniało — ale śladu Henryki znaleźć nie można, a życie wrzące gwałtownemi burzami i porywczemi obrazami upływa tak szybko, iż tylko kiedy niekiedy dozwala występować niewinnym czasom młodocianej jego miłości!

Franciszek Serrano gorliwie należy do stronnictw swojej ojczyzny, a dręczące wspomnienie o Henryce i jej dziecku usiłuje stłumić wielkiemi dążnościami do powszechnego dobra!

W pośród więc cichej nocy upominający obraz przeszłości często staje mu w oczach — że zaś jest bolesny,

więc książę de la Torre usiłuje usunąć się z jego drogi — dla tego i tej nocy, zanim spocznie na posłaniu w zamku Aranjuez, wyszedł na świeże powietrze parku, aby raczej godzinę pochodzić, aniżeli bezsennie czas na poduszkach spędzać.

Franciszek spojrzał na jezioro, z którego przy bladem świetle księżyca nieustannie z szumem wzbija się w powietrze błyszczący słup wody. Jutro i ta woda spocznie i wzbijać się nie będzie, bo królowa tak rozkazała, bo królowa zamierza odbyć corso po jeziorze...

— Królowa rozkaże — a to co powstaje, nagle spoczywa, poszepnął Franciszek, zapadając w zamyślenie — królowa rozkaże, a co Wysokiem było, upada — co zaś jest niskie wznosi się! Niechże ją Matka Boska broni od nadużycia takiej władzy!

Serrano przechadza się wzdłuż zamku i zbliża się do parku. Przed nim leży rozległy ogród kwiatowy i pierwsze krzaki parku, z ukrytemi domkami i pawilonami, z długiemi przejściami wśród liści, z ozdobnie poobcinanemi i sklepionemi szpalerami i z kamienia wyciosanemi amorami i bożkami. Nie ma nikogo na czarownie księżycem oświetlonych łąkach i w alejach, które tu ciemno liściem zasłonione, tam znowu srebrzystemi promieniami są przebite — Franciszek znajduje się sam na drodze do starych, wspaniałych drzew.

Nakoniec dostał się do ich tajemniczego cienia — powoli więc i pogrążony w myślach przechodzi około domków ogrodowych, tu wyglądających jak tureckie kioski, tam jak namioty wysuwające się z pomiędzy liści, i

zbliża się do wysokiej, zielonemi ścianami otoczonej rotundy, z której w kształcie krzyża rozchodzą się cztery aleje w różne strony parku i również objęte wysokiemi ścianami z liści.

Gdy wszedł w środek tej zielonej rotundy, zdaje mu się, że widzi jakąś ludzką postać w pobliżu ciemnej alei, do zamku prowadzącej. Franciszek staje ze wzrokiem utkwionym w nadchodzące zjawisko — które właśnie wstępuje w rotundę przy blasku księżyca — samotny zaledwie oczom swoim wierzy.

— Królowa! wymawiają jego usta.

— Tak, Franciszku, to Izabella, która nakoniec znalazła stosowną chwilę po długim, długim czasie by zamienić z wami kilka słów poufnych szepce królowa stojąca przed zdziwionym marszałkiem.

— Czyż krzaki w parku Aranjuez są aż tak dalece bezpieczne?

— Nawet wolne od tych podsłuchiwaczy, którzy nie zdradzają! żartując odpowiedziała Izabella, i piękną swą ręką wskazała posągi tu i owdzie w liściach ukryte. Franciszku, tęskniłam do tej chwili! Skąd to pochodzi, że mi spokoju nie dajesz?

— Zapomnij królowo, czem kiedyś byłem dla ciebie!

— Jakże jesteś zimny i twardy! Gdzie się tego nauczyłeś od czasu, jak usta twoje szepcąc do mnie się tuliły? gdy twoje oczy przemawiały, jeżeli się z mojemi spotkały? gdy słowa twoje jak palące płomienie duszę moją obejmowały? O Franciszku!...

— Od owego czasu byliście w Santa-Madre — od owego

czasu tyleście się z owymi ludźmi namodlili, naspowiadali, że owe spojrzenia, owe płomienie zapewne już całkiem wygasnąć musiały, królowo!

— W Santa-Madre! Chcecież mi wyrzucać to, co uczyniła moja gorąca miłość Franciszku? — a więc nie wiecie, co cierpi kobieta, kiedy się widzi zdradzoną w swojej miłości!

— I sądziliście, że powinienem być ojcem nieprawych dzieci, kiedy z raną dla was odniesioną i jeszcze krwią buchającą, widziałem was przystępującą do ołtarza?

— W dniu, o którym mówicie, zostałam zgubioną; jest on grobem, w który mnie los wtrącił! — jęknęła Izabella drobnemi rękami twarz zasłaniając.

— A kto temu winien? zimno i wstrzemięźliwie zapytał marszałek.

— Moja matka i ojcowie!

— Franciszek Serrano był daleko! Gdybyście byli go przywołali a dowiedli mu, że go kochacie, jak to wasze usta pięknemi słowy głoszą — byłby coś lepszego dla was uczynił niż oni!

— Byłam dzieckiem, Franciszku! wszyscy napastowali mnie, wszyscy radzili, abym uległa, nawet Narvaez, nawet Olozaga, których zawsze chętnie słuchałam... stało się — i już się to nigdy nie odmieni!

— A zatem naucz się królowo los własny znosić poważnym, lodowatym głosem rzekł marszałek, tak, że go wzruszona Izabella w głębi duszy uczuła.

Zdziwiona, spojrzała na Franciszka, który tak do niej przemawiał. Czyż podobna, aby mógł tak mówić, teraz,

kiedy z przepełnionem sercem zbliżyła się ku niemu?...

Przeraziła się przeszłością — widziała się samą, przez wszystkich opuszczoną!

Franciszek Serrano zapewne podzielał to uczucie. — Poprzysięgłem wam wierność — jestem zawsze przy was, aby was bronić kosztem życia mojego — liczcie na to i niech to będzie dla was wystarczające!

Marszałek ukłonił się z powagą i uszanowaniem, kładąc prawą rękę na piersi — poczem usunął się w tył.

Za chwilę znikł w zakrytych liściem alejach.

Łono Izabelli biło gwałtownie.

— Strzeż się księcia de la Torre! drżąc, po cichu powtarzała słowa mniszki — on mnie nienawidzi, a skazana jestem na to abym go kochała!

I mocno wzruszona wróciła do mieszkania.

Następnego wieczoru w parku Aranjuez zgromadziło się liczne i świetne towarzystwo. Na wszystkich twarzach biła radość i szczęśliwy uśmiech, jakby na świecie nie było żadnego smutku; wszyscy przywdzieli najkosztowniejsze suknie i mnóstwo najrzadszych brylantów, jakby na ziemi nie istniało żadne ubóstwo, żadna nędza.

I w rzeczy samej donny i donowie przechadzający się tu w cieniu drzew, uśmiechali się, a promieniejąc szczęściem i bogactwem, znali tylko samą radość, przepych i użycie — nie znali oni, co się dzieje w jaskiniach ubóstwa, bo inaczej nie mogliby się spokojnie uśmiechać, byliby się wstydzili zbytkownych miljonów, które dźwigali na piersiach, we włosach i na pięknych rączkach.

Aranjuez leży tak daleko od Madrytu, że nie mogą tan

dojść do uszu grandessy narzekania i skargi skazanych, niewinnie zubożałych i wielu głodnych; królowa prócz tego miała ministrów, którzy jak mniemała, wybornie wszystkiem zarządzają i nędzy zaradzić umieją. Cóż więcej zatem dla ludu zrobić można?

Przeszło czterdzieści gondoli różnej barwy najozdobniej zbudowanych, bujało się na jeziorze przed zamkiem, oczekując na przyjęcie wystrojonych gości; oczekiwano tylko ukazania się królowej, która za nadejściem wieczoru miała dać znak do wsiadania w gondole. Postanowiono, że każdy mężczyzna wybierze sobie na wodną przejażdżkę jedną donnę, a z nią wsiądzie do łodzi, w której oprócz nich umieszczony będzie także w głębi jeden gondolier; każda łódź miała takiego wiosłem uzbrojonego przewoźnika w marynarskiem ubraniu, których z marynarki wybrano i na tę uroczystość sprowadzono.

Nakoniec ukazała się Marja Krystyna w gładkiej, zielonej atłasowej sukni, w Paryżu modnym krojem uszytej i głęboko wyciętej, co raczej uszłoby dla małych jej dam honorowych, niż dla niej samej. Mimo to Marja Krystyna przy pomocy gotowalnianej. sztuki tak świeżo wyglądała, iż się potajemnie dziwiono.

Nad brzegiem jeziora zagrzmiały trąby. Królowa Izabella prowadzona przez króla, szła drogą pachnącą pomarańczami ustawioną.

Na ten znak świetne towarzystwo zebrało się w pobliżu miejsca wieńcami i chorągwiami przybranego i przeznaczonego na wsiadanie w gondole.

Izabella miała na sobie błękitną lekką suknię, oszytą

wązkiemi białemi wyłogami i brylantami upstrzoną, co sprawiało zachwycający widok. U dołu w zęby podniesiona, ukazywała drugą spodnią atłasową suknię, i gdy z tyłu powłóczysto spadała, z przodu dozwalała wyglądać małej, ładnej, w błękitny atłasowy trzewik ubranej nóżce. Piękny, ciemny włos zdobiła tylko mała brylantowa korona, z której spada! na ramiona i barki biały, długi welon.

— Prosimy was, mój panie małżonku! rzekła Izabella podchodząc ku brzegowi jeziora i ku kłaniającym się gościom, abyście naszą dostojną matkę zaprowadzili do gondoli; my postanowiliśmy jednemu z naszych wiernych sług udzielić tę odznaczającą łaskę, aby nam towarzyszył do naszej gondoli, i spodziewamy się, że się na to postanowienie zgodzicie.

Król ukłonił się naprzód swojej małżonce, potem pozdrowił obecnych i zwrócił się ku Marji Krystynie, podczas gdy muzyka na estradzie tuż nad jeziorem wzniesionej ciągle przygrywała.

— Prosimy was przyprowadzić nam generała Prima, mój panie małżonku! mówiła znowu królowa, witając i przeglądając donny i panów. Spostrzegła Prima, Olozaga i dalej tego, którego jej piękne, niebieskie oczy najbardziej szukały. Ale Franciszek Serrano stał na uboczu, jakby nie widział królowej, lecz ukłonił się podobnie jak wszyscy inni — jakby nie widział, że Izabella ubrana jest w błękitną suknię i przypomina mu piękną rybaczkę w błękicie.

Izabella przywitała matkę, a tymczasem król przybliżył się do margrabiego Castillejos, który wzrok swój utkwił w

pięknej postaci królowej.

— Mój zacny generale, rzekł Franciszek do Prima ogorzałego jeszcze nieco po wyprawie na Kubę: królowa wyświadcza wam wielką łaskę i zaprasza was do swojej gondoli, proszę za mną!

Zdziwiony Prim zaledwie własnym uszom uwierzył. Jakim sposobem stało się to tak nagle możliwe, o czem jego życzenia zaledwie zamarzyć śmiały? Prim ujrzał się prowadzony do Izabelli, którą kochał nadewszystko, którą w cichości ubóstwiał. On, bohater, który dla jednej przygody byłby sprzedał prawa pierworodztwa swojego; on, śmiały człowiek czynu, który ciągle był postrachem nieprzyjaciela, zatracił serce swoje w królowej! I tak dalece skromną była dotąd jego miłość, tak zadowoloną i platoniczną, iż mimo swojej nieobecności, mimo rozdzielającej go od niej przepaści, i dzisiaj ją jeszcze ubóstwiał.

— Ach, nasz chrobry generał! powitała królowa Prima, gdy go jej małżonek przyprowadził. Winniśmy wam pewne odznaczenie za ważne usługi, które wyświadczyliście nam na wyspie Kubie! Waszego dzielnego towarzysza broni, generała Concha, mianowaliśmy generał-kapitanem wyspy, a was prosimy, abyście po trudach wojennych, towarzyszyli nam podczas spaceru. Korzystając zaś z tej sposobności, mianujemy was hrabią de Reuss; od dnia dzisiejszego zamek nasz tego imienia, do was należy.

Prim oddawczy ukłon obu królowym, wymówił kilka słów dziękczynnych.

— Daj pokój, panie generale, uśmiechając się rzekła

Izabella; nie dziękuj, do tego podarunku byliśmy zmuszeni! Królowa tylko hrabiemu może się pozwolić prowadzić, a ponieważ dzisiaj wybraliśmy was za naszego przewodnika, więc — więc pójdź pan! zakończyła królowa nadzwyczaj uprzejmie i wskazała na gondole, które w tej chwili, jakby zaczarowane, miljonami lamp zajaśniały.

I rzeczywiście zachwycający był widok łodzi poruszających się w pośród tego różnokolorowego światła, tem większe sprawiając wrażenie, im większa ciemność zapadła.

Izabella wraz z Primem zbliża się do przeznaczonej dla nich największej gondoli, którą na przodzie zdobił wielki, złocony orzeł, trzymający koronę. Juan podał królowej swoją pomocną rękę, muzyka zabrzmiała, król z Marją Krystyną wszedł do podobnej Większej gondoli, książę zaś Rianzares prowadził księżnę Arontu, Olozaga jak zawsze zaprosił margrabinę de Beville. Tak postępowała para za parą i zajmowały miejsce w gondolach, a potem powoli rozproszyły się po jeziorze.

Wkrótce, tu i ówdzie kołyszące się łodzie przedstawiły nieopisanie malowniczy widok, który tem był czarowniejszy, że różnokolorowe światła przecudnie odbijały się w falach; przytem tony muzyki już mocniej, już ciszej mieszały się z pluskiem wody.

Uwieńczone i przyćmionemi lampami ozdobione gondole, płynęły bądź szeregami, bądź razem zmieszane. Tu dwie z nich wiosłowały obok siebie, tam znowu inne ścigały się bez szmeru po gładkiej wód powierzchni; bukiety kwiatów jak najozdobniejsze, przewiązane

różnobarwnemi wstążkami, z wierszami, latały i stąd i zowąd, i wkrótce można było spostrzec, że ci, którzy się chcieli zaczepić lub spotkać, tej nocy znaleźli sposób najdogodniejszego przeprowadzenia swoich planów.

Z brzegów wylatywały w powietrze jasno przyświecające rakiety, i w niepojętej wysokości rozsiewały deszcz kulistych światełek; potem znowu wylało się z krzaków na gondole i jezioro światło w kształcie rosy, co chwila swe barwy zmieniające; huk armat zapowiedział początek wodnego fajerwerku, którego ogniste kaczki, młynki, nurki niezmiernie bawiły całe towarzystwo.

Zdawało się, że nawet królowa wielce uradowana tą przemianą i calem corso, i śmiała się serdecznie, gdy olbrzymi kontr-admirał Topete, któremu rzuciła bukiet z koszyka umieszczonego w jej gondoli, chwytając go zgrabnie ledwie z łodzi nie wypadł.

Królowa, z powodu gondoliera, rozmawiała z Primem po francusku, który bardzo musiał uważać, aby nie stracić żadnego z prędko wymawianych wyrazów.

— Zdaje mi się, że niedawno widziałem marszałka samego w gondoli, tam w cieniu zarośli! odezwał się Prim.

— Marszałek zapewne nie znalazł żadnej donny, którąby uznał za godną zaproszenia, — no, nic to złego, marszałek coraz to starszy, obojętniejszy — kto wie, jak prędko i nas to spotka!

— Królowej nigdy nie może to spotkać co właśnie Najjaśniejsza Pani raczyłaś powiedzieć o marszałku! Królowa pozostaje zawsze młodą i gorącego serca!

Izabella uśmiechnęła się — wiedziała bardzo dobrze, iż

Prim ją kochał.

— Już mi to raz przyszło na myśl, panie hrabio, że w panu muszą mieszkać dwie dusze — jedna łagodna, rycerska, druga dzika, awanturnicza! Lecz zdaje się, że obie zdobywać pragną, bo pamiętamy dobrze ową noc, w której pojawiliście się nagie i bez meldowania w naszym buduarze! Podwójnie przeraziliście nas, bo znany, cudowny alchemik Zantillo, który twierdzi, że za kilka lat wynajdzie tajemnicę robienia złota, przepowiedział nam, że zdrajców naszego tronu najpiew w lustrze ujrzymy, — przestraszyliśmy się zatem, gdyśmy owej nocy was i marszałka Serrano w zwierciadle ujrzeli stojących przed nami!

— Zantillo jest to oszust przebiegły, którego trzebaby się raz zapytać, skąd bierze swoje niezliczone środki czarowania, gdzie czerpie swoje przepowiednie, które już tyle nieszczęść zarządziły! — odrzekł Prim mocno rozgniewany, słowami alchemika, które się do niego odnosiły.

— Masz słuszność, hrabio Resuss! tego rodzaju prorocy niezawodnie wiele złego wyrządzają; aby więc naród nasz, który, jak nam donoszą, gromadnie i z niepróżne — mi rękami ciśnie się do tego oszukańca, ustrzedz od strat i zgubnych następstw, musimy raz tego Zantillę pociągnąć do odpowiedzialności!

W tej chwili ciemno-różowe światło padło z brzegu na jezioro i kołyszące się gondole — miała to być zorza wieczorna, i rzeczywiście nie chybiła swojego czarownego celu. Woda, krzaki na wybrzeżu, łodzie strojne girlandami i

siedzące w nich pary, wszystko to pływało w rubinowem świetle.

Gondola królowej podpłynęła ku ciemniejszej części brzegu, może był to kierunek nakazany, ponieważ panujące tam przyćmione światło sprawiało Izabelli przyjemność — ale niektóre inne także gondole szukały tego ciemnego miejsca, tak, że Izabella nagle znalazła się w bezpośredniem zbliżeniu z kilku parami, niebardzo z jej obecności zadowolonemi.

Królowa przelotnie poznała tylko między niemi margrabinę w poufnej rozmowie ze swoim kawalerem; ministrem Olozagą. Spojrzała uważnie na więcej oddalone gondole, trzymając w ręku pęczek róż białych i czerwonych, którego nie wyjęła z ładnego koszyczka stojącego w gondoli — układała go i bawiła się na pozór obojętnie, ale oczy jej szukały celu dla tego szczególnego bukietu, na który był przenaczony, a może nawet był on własną ręką Izabelli zerwany.

Nagle spojrzenia królowej mocno zajaśniały — pomimo różowego półcienia tę część jeziora okrywającego, można było poznać, że śledziły jedną gondolę, w której oprócz sternika siedział tylko kawaler bez damy, — lecz jakby dziwnym wypadkiem, tuż obok tej gondoli płynęła w tej chwili gondola Olozaga, który żartując zawołał na samotnego rycerza; chociaż bowiem minister Olozaga był nietylko gładkim dworakiem, a także bał się Boga, jednak zawsze lubił eleganckie żarciki i śmieszki.

Podczas gdy Izabella szybko rozważała oddalenie i kierunek swojej gondoli wobec łodzi samotnego kawalera,

mocno ujęła bukiet różowy — spojrzała ubocznie na hrabiego Reussa i mechanicznie rzuciwszy tu i ówdzie kilka bukietów z koszyczka, rzuciła nagle swój ozdobny bukiet różany wprost w kierunku gondoli samotnika.

Tym kawalerem bez donny był Franciszek Serrano!

Ale nietylko jedna jego gondola znajdowała się w tem miejscu.

Izabella nie miała czasu uważać, czy jej pachnący znak miłości dostał się na miejscu do swojego przeznaczenia; jednak spodziewała się tego na pewno, bo mimo słabego światła, jakie wydawały odległe różowawe ognie i różnobarwne lampy gondoli, dokładnie kierunek rzutu wyrachowała.

Z uśmiechem prosiła hrabiego Reussa, aby gondolierowi kazał wracać, bo nadszedł czas bezprzymusowej lądowej wieczerzy, która z jej rozkazu w obszernym kiosku w parku na gości oczekiwała.

Gdy się wielka gondola królowej zbliżyła do miejsca wylądowania, z estrady odezwały się znowu trąby, dające znak powrotu.

Prim dopomógł mile uśmiechniętej Izabelli wysiąść na wygodny, przygotowany dla niej mostek na brzegu, a ona odmawiając licznym szambelanom, intendentom i adjutantom, korzystała tylko z podanej sobie prawicy hrabiego.

Teraz zajaśniały ogniste płoty na drodze wiodącej pomiędzy pachnącemi pomarańczami, i rozrzucimy wszędzie jasne światło. Także w rogach parku paliły się podobne płomienie.

— Prosimy o wasze ramię, hrabio Reuss! łaskawie rzekła królowa.

— Szczęście, jakiego tej nocy doznałem, waży mi za całe życie, Najjaśniejsza Pani; nigdy go nie zapomnę!

— Tego sobie właśnie życzymy, i dla tego najpierw z wami się trącimy, panie hrabio! — szepnęła Izabella z czarownem brzmieniem głosu.

Świetne pary przeszły za królewską rodziną obok zamku, jak w dzień oświetlonego, do wielkiego kiosku w parku. Ten miły, na wpół otwarty dom ogrodowy w tureckim smaku, ze złotemi półksiężycami, z bujającym jak w namiocie sufitem, na którym wisiały tysiące dzwoneczków, za powiewem nowego chłodu melodyjnie dźwięczących, na przyjęcie dworu opatrzony został w nakryte stoły, i wszelkie salonowe wygody; można było siedząc na bogatych fotelach i pijąc xeres, malagę albo szampana, nasycać się cudownem, orzeźwiającem nocnem powietrzem południa.

Prim doprowadził królową aż do krzesła ozdobionego koroną i nisko się ukłonił.

— Że też podobne godziny tak szybko upływają Najjaśniejsza Pani! — wymówił z cicha: i żadnego po nich nie ma znaku wspomnienia!

— Słuszna to skarga, panie generale — z uśmiechem odpowiedziała Izabella, i zadowolona dostrzegła, że w tej chwili oprócz innych gości wchodził do kiosku i Franciszek Serrano; ale musimy wam pozostać winni, bo — tu królowa szukała kwiatka lub bukietu — bo już rozdzieliliśmy wszystkie kwiaty, a nie pamiętaliśmy o naszym wiernym

kawalerze! Nie zapomnimy o tym długu i wypłacimy go wam, panie hrabio, przy najbliższej sposobności!

Uradowany Prim znowu ukłonił się królowej, a potem królowi przybywającemu zająć miejsce obok małżonki, którą ceremonjalnie powitał.

Potem zasiedli po prawej i po lewej stronie, królowa matka i książę Rianzares, księżna Ajontu, marszałek Serrano i inni goście według stopnia.

Pełna oczekiwania Izabella spojrzała w stronę księcia de la Torre, patrząc czy ma przy sobie bukiet z białych i czerwonych róż, podobnie jak inni donowie dworu, którzy je przypięli jako trofea z corso, jako ordery, święta miłości.

Franciszek Serrano nie miał róż — zimny i poważny siedział w pobliżu królowej przy stole, grzecznie uśmiechając się rozmawiał z jakąś donną, którą traf czy też stopień przy nim umieścił.

Izabella zbladła — Franciszek Serrano pogardził kwiatami, które mu rzuciła, chociaż ich dewizę znaleźć musiał — Franciszek Serrano nie przyjął róż!

Królowa mówiła jednosylabowo i wcześnie wstała od stołu.

Teraz dopiero Olozaga, który przypadkowo schwytał bukiet róż czerwonych i białych, nie wiedząc od kogo pochodził i dla kogo był przeznaczony, mógł niepostrzeżenie przeczytać kartkę utkwioną między różami. — Wracajcie do mnie, albo jestem zgubiona — zgubiona z waszej winy! — brzmiała dewiza, którą Olo- zaga szybko poznał, głęboką jak obfitą w następstwa zawierała tajemnicę. Żadnego podpisu, żadnego nazwiska na niej

znaleźć nie było można.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autora: [George Füllborn](#) i tłumacza: [anonimowy](#).*

Rozdział XL.

PUSTELNIK.

Przebywszy wielką, pustą równinę, na zachodniej strome Madrytu, rozciąga się na mil kilka szeroki, gęsty las bukowy.

Zanim się do niego dojdzie, potrzeba przejść obok wzgórzu należącego klasztoru świętego Izydora, który duchowieństwo przemieniło w przepyszną kaplicę. Święty Izydor jest teraz patronem opiekuńczym Madrytu, a woda z bijącego w jego kaplicy źródła godzi zwaśnionych przyjaciół i kochanków.

Lecz las poza tem wzgórzem, do którego odbywają się częste pielgrzymki, jest pusty, dziki i gęsty, rzadko kiedy depce po nim stopa ludzka, żadna droga przezeń nie przechodzi, prócz wąskich, mało używanych ścieżek.

Głęboko w gąszczu lasu, może o jakie dziesięć mil od Madrytu, leży na uboczu w szerokiej wklęsłej dolinie, samotna niska lepianka. Dziwnego doznaje się wrażenia, kiedy stojąc na gęsto zarosłem wzgórzu, spojrzy się nagle w wielką dolinę, zajętą przez podłużne, błyszczące jezioro i spostrzeże głęboko między drzewami płaski, trzcinowy dach ludzkiego mieszkania. — Każdy zadaje sobie pytanie, skąd się wzięła ta chatka w takiej samotni i co za człowiek schronił się do tej puszczy, aby tam żyć pomiędzy

drzewami?

Jeżeli z lesistego wzgórza, stromo w dolinę spadającego, zejdziemy między pniami i krzakami stoku, narażając się na trud i niebezpieczeństwo, stąpając już to po gładkich na stopę grubo nagromadzonych liściach, już zapadając w zdradziecko ukrytą głębię, wtedy w niewielkiem oddaleniu ujrzymy przed sobą niską samotną chatkę, której dach podziwialiśmy patrząc z góry.

To samotne mieszkanie, jak prawdziwe dziecię pustyni, leży przed nami wsparte romantycznie między czterema drzewami, tworzącemi cztery narożne filary ze świeżo ociosanych pni, podobnie jak blokhauzy dalekiego Wschodu.

Jestże to troskliwą ręką wzniesione schronienie dla zbłąkanych, czy też chatka jakiego Robinsona, zapędzonego w tę pustynię, z której już żadnego odwrotu znaleźć nie mógł?

Zbliżywszy się do tej chatki, widzimy, że sprawia właściwie zachęcające wrażenie, jakkolwiek surowo jest obrobiona.

Z upodobaniem przypatrujemy się jej i wolnej w koło przestrzeni podzielonej na ogrodowe grządki i dobrze utrzymanej — wszędzie panuje tam głęboka cisza i błogi niczem niezakłócony spokój. W dole stoją drzewa niby filary jakiegoś tłumu, a zielony dach cudownie go zasklepia.

Chatka jest obszerna. Wiodą do niej drzwi bez zasuwy i zamku — śmiało więc do niej wejść możemy.

We wnętrzu podzielonem drewnianem przepierzeniem na

dwie części, panował półmrok — tuż można się było zaraz przekonać, iż ta przedzielająca ściana powstała daleko później niż ściany zewnętrzne. Zaraz także poznać było można, iż chatka me służy za przygodne schronienie dla zbłąkanych lub dla królewskich strażników, lecz że jest stałem ludzkiem mieszkaniem.

Wejdźmy najpierw do przedziału z lewej strony drzwi leżącego.

Surowo z pnia i desek wyciosany stół, tudzież kilka stołków stoją tam pod tylną ścianą.

Z trudnością z kamienia sklejony komin, z otworem w drewnianej ścianie, znajduje się z lewej strony od wchodu, a z prawej na usypanem z ziemi podniesieniu stoi z surowego drzewa wyciosany wielki krucyfiks, który swojego wyrobnika kosztował zapewne kilka tygodni usilnej pracy — więc na niespodzianym przychodniu tem silniejsze sprawiający wrażenie.

Przed nim stoi na ziemi miska z dyni napełniona święconą wodą, a obok widać łoże urządzone z wysoko usypanego mchu i liścia.

Przy łożu wisi na wystającem drzewie stare okrycie, na drugiej zaś belce suszona ryba i mączny owoc dzikiego drzewa taurowego, tudzież kasztany i oliwki.

W drugiej izbie, zupełnie oddzielonej od poprzedzającej, nie znajdujemy nic prócz dwóch legowisk urządzonych z mchu i liścia — a przystąpiwszy bliżej do jednego z nich, przy niepewnem świetle, które daje mała wisząca lampka, postrzegamy na niem skurczoną czyjąś postać okrytą ciepłą kołdrą. Z pod niej wygląda tylko głowa, ale nieruchoma i z

zamkniętemi oczami, jakby u trupa.

Niemiło znajdować się obok tej bladej, na pół strawionej twarzy, na którą z pośród niespokojnego snu spadły siwe włosy — zewnątrz za to przedstawia się przyjemny widok.

Pomiędzy grzędami dyń i innych jarzyn, postępuje właśnie piękna, młodzieńcza postać, jakiej niktby się nie spodziewał znaleźć w takiej pustyni i w takiej chatce — dziewica pięknego wzrostu i miłej powierzchowności — ciemny włos okala jej oblicze promieniejące dobrocią serca — marzący, smutny wyraz osiadł na jej pięknie wyciętych ustach i w jej niewinnością i wiernością jaśniejących oczach. Znamy tę dziewicę — lecz skądże się wzięła Henryka tu, w tej zatraconej, samotnej klauzurze? A jednak to ona, bo gdzieby znaleźć drugą podobną, z takim wdziękiem w każdym ruchu, z tak pięknemi, długiemi, czarnemi rzęsami przyćmiewającemi oczy!

Henryka niesie z dalekiego źródła dzbanek świeżej wody i wraca do chatki, w której wraz z Nepardową schronienie znalazła. Po cichu przysłuchując się wchodzi do swojego przedziału — uważa, aby nie przebudziła chorej jednookiej, przystępuje do łoża i słucha oddechu śpiącej.

W chwili gdy wieczór zapada po nad wierzchołkami rozległego lasu, jakiś starzec zbliża się ku wchodowi do chatki. Szerokie, ciemne okrycie, w rodzaju mniszych habitów, osłania jego wysoką, poważną postać; goła głowa, na której wiek i troski utworzyły tonsurę, pochyliła się: ręce ma na piersiach na krzyż założone, nogi bez rzemieni i sandałów. Nietylko wiek tak dalece przeorał oblicze starca i tak je upokarzająco do ziemi pochylił! Rzadki włos głowę

jego wieńczący, spada długo i łączy się prawie z białą brodą, aż do piersi sięgającą. Wysokie, wypukłe czoło i szlachetnych kształtów nos, całemu obliczu starca nadają poważną godność.

Stary, pochylony Martinez, pokutujący samotnik w gęstym lesie, dźwiga na swoich barkach, niewidzialny, okropny ciężar, który mimo spędzonej w najsroższym niedostatku i najściślejszych modłach połowy życia ludzkiego, nie mniej waży, jak wówczas, gdy tym ciężarem przytłoczony uciekł do tej pustyni, aby przy braku wszystkiego, co innych ludzi zadawala i szczęśliwymi czyni, samotnie bez żony, bez dzieci, bez miłości i radości, w udręczeniu wieść dalsze życie.

Do rąk Martineza przylgnęła krew — dla tego nie śmiał nigdy wznieść tych rąk do nieba; — stary Martinez klęczał w swojej chacie każdego wieczoru i poranku tuż przed krucyfiksem, ale modląc się wznosił tylko oczy w górę.

Wszystko, co go otaczało, przyrządził sobie sam jako rzeczy najpotrzebniejsze, a strażnicy wielkiego, królewskiego lasu nie przeszkadzali pustelnikowi, nie pytali go o nic, pozostawiali w pokoju poważnego Martineza i nie napastowali jego chatki, jeżeli się zaś z nim na drodze spotkali, zawsze witali go pobożnem pozdrowieniem.

Oprócz tych nadzorców nikt inny nie zwiedzał pustyni, tak że samotnik znalazł tu spokój, szukany po ucieczce z miejskiego zamętu, w zamiarze pokutowania i modlenia się.

Długie lata spędził spokojnie w tej samotni — włosy mu wyszły — broda posiwiała — ale w duszy było jeszcze zawsze wiele żalu i udręczenia.

Wtedy, przed kilku laty, podczas srogiej nocnej burzy, gdy piorun z trzaskiem i hukiem obalał i rozrywał leśne drzewa, a burza tylko co nie zniszczyła chatki samotnika jak budkę z kart, stary Martinez padł przed krucyfiksem na kolana.

— Jezus Marya! jęczał, bo dusza jego obawiała się za« grobowych sądów: grzech który popełniłem, jeszcze nieodpokutowany; dozwól mi Panie modlić się, zeszłej mi co, abym miał sposobność popełnienia dobrego czynu, aby mnie nie czekał ogień czyśćcowy.

Stary modlił się serdecznie — piorun oszczędził jego drzewa — burza uspokoiła się.

Trzeciego dnia potem ukazały się przed chatką pustelnika dwie obce, tchu pozbawione kobiety, z wyrazem twarzy pełnym przestrachu, w sukniach i obuwiu cierniami poszarpanem — błagając wyciągnęły ku niemu ręce.

— Przyjmijcie nas — nie odsyłajcie nas dalej — prawie upadamy z utrudzenia i głodu 1 zawołały.

Stary Martinez pomyślał o swojej modlitwie.

— Chodźcie i wstąpcie do mojej chatki — wszystko, co do mnie należy, jest zarazem i waszem, wyście ubodzy!

Henryka, płacząc z radości, rzuciła się do nóg starca, dziękując mu za to dobrodziejstwo, a także i stara jednooka ucieszyła się gościnnością pustelnika, do którego głęboko ukrytej chatki zawiodła je ręka Boga, po szczęśliwem ujściu przed pogonią.

Stary Martinez podniósł Henrykę, ucałował jej czoło, i zaprowadził obie kobiety do izby w chatce, aby odpoczęły i posiliły się.

— Łakoci wprawdzie u mnie nie znajdziecie, tylko to, czego niezbędnie potrzebuje pustelnik, który się wyrzekł wszelkiego dostatku. Oto są owoce, zimna woda, ryby i kasztany!

Znużone kobiety używały tego co im pustelnik z taką chęcią i radością ofiarował, a stary Martinez tymczasem szybko przyrządzał drugie łoże. Obie kobiety musiały na tę noc pozostać same w chatce, a pustelnik korzystając z czasu, narąbał drzewa dla zbudowania przepierzenia. Podzielił niem swoją chatkę na dwie części i dołożył wszelkich starań, aby zapewnić wygodę Henryce i starej jednookiej, które mu opowiedziały przyczynę swojej ucieczki i trwogi.

— Pozostańcie przy mnie dopóki zechcecie, nic wam nigdy nie zabraknie, nigdy nie będziecie miały powodu skarżyć się na mnie, nigdy u mnie ani jeden włos z głowy waszej nie spadnie!

Henryka i stara Nepardowa uczuły się wkrótce tyle spokojnemi i szczęśliwemi w chatce pustelnika pełnego niebiańskiego spokoju, a stary Martinez tak się przyzwyczaił do cichego zachowania się Henryki, iż częstokroć serdecznie dziękował Matce Boskiej, że mu taką osobę zesłała.

Tak upłynęło lat kilka.

Troje mieszkańców chatki coraz bardziej powoli łączyła przyjemna Bogu skłonność, jedno z nich usiłowało wznieść się nad drugie. Nawet stara Nepardowa czuła, że w takiem otoczeniu mocno się wewnętrznie poprawiła i że dusza jej ocalona. Ale Henryka często z cichą troską przypatrywała

się mocno pognębionemu obliczu starego Martineza, którego jakiś ukryty ciężar przygniatał — nie pytała o przyczynę — lecz potajemnie modliła się za siwego pustelnika, który jej połowę chatki odstąpił.

Pzed rokiem pewien wypadek zakłócił ciszę życia w pustyni, a mógł był smutne sprowadzić za sobą następstwa.

Henryka szła przez las z Martinezem — wtem nagle dały się słyszeć odległe strzały, huk trąb i rżenie koni.

Stary pustelnik stanął zdziwiony i ujął Henrykę za rękę.

— Polują, rzekł nadsłuchując; chodź, ustąpmy z drogi dzikiej gawiedzi!

Lecz w tej samej chwili spostrzegli, że są otoczeni i wykryci przez psów i myśliwych — nie mogli więc cofnąć się, lecz musieli w tem miejscu spokojnie oczekiwać na orszak polujących. Przelękła i pełna smutnego przeczucia Henryka, spoglądała to na przyczajone psy, które wyszczerzając zęby zważały na każde jej poruszenie, to znowu na miejsce lasu, z którego słychać było coraz bliżej granie rogów i tętent rumaków. Wtem nagle między drzewami ukazali się jeźdźcy — były między nimi i kobiety. Henryka wydała stłumiony okrzyk, bo w pierwszej z nich na siwym pędzącym koniu, poznała królową ubraną w zielonej sukni, która świetnym dworem otoczona, towarzyszyła łowom.

Henryka na taki, widok o mało nie upadła, a potem chciała wyciągnąć ręce i na wszystko odważając się, uciekać z pomiędzy przyczajonych nad nią psów. Lecz Martinez powstrzymał ją silnie, szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie i kazał nachylić się, tak aby krzaki i

suknia pustelnika mogły ją dobrze zakryć.

Nadjeżdżająca królowa spostrzegła w tej chwili siwego Martineza — i zwrócona do swoich towarzyszy, zapragnęła dowiedzieć się, kto jest ten nagle w puszczy zjawiający się starzec z głową świętego.

Intendenci i ministrowie zapewne nie mogli udzielić królowej zadawalającej odpowiedzi, bo Izabella zwróciła swojego przecudnego, białego jak śnieg konia ku miejscu, w którem stał Martinez i klęczała skurczona Henryka.

Dopiero tuż przy nich Izabella wstrzymała konia bogato złoconemi cuglami. Wyglądała pięknie i okazale. Zielona atłasowa suknia z powiewającym ogonem, mały myśliwski kapelusz z białem piórem, nadawały jej tak zachwycający pozór, że Henryka, która w krzakach ukryta spójrzała na nią, podziwiać musiała jej piękność w tym romantycznym stroju.

— Kto jesteście, starcze? spytała królowa.

— Pustelnik Martinez, który tu w gęstwinie lasu żyje i modli się!

— Niech wam Najświętsza Panna udziela spokoju! odpowiedziała Izabella, i chciała pochylonemu starcowi rzucić na ręce pełen worek pieniędzy, które przy sobie nosiła dla rozdawania jałmużny.

— Dajcie to ubogim, królowo, co dla mnie przeznaczyliście! Stary Martinez nie potrzebuje pecetów (drobna hiszpańska moneta); udzielcie mu tylko kawałek miejsca w waszym lesie i pamiętajcie o nim w waszej dostojnej modlitwie!

Zdziwiona Izabella; spojrzała na starca, który nic nie

potrzebował, który pierwszy nie przyjął bogatego daru z jej ręki — dotychczas taka odmowa nigdy się królowej nie przytrafiała, raczej nie mogła nigdy dostatecznie nadawać chciwym rękom wyższych i niższych żebraków.

— Szczególny starzec! szepnęła i teraz dopiero przekonała się, że psy starego Martineza obskoczyły i groziły mu. Mimowolnem poruszeniem ręki wskazała łowcom przyczajone zwierzęta i oblicze jej posmutniało.

— Cóż to! chcecie jeszcze pozbawiać pustelnika spokojności w tem osamotnionem schronieniu? gwałtownie zapytała. Zostajecie pod moją wyłączną opieką, i przy sposobności wyszukamy was w waszej chatce, aby podziwiać wasze życie pełne wszelkiego udręczenia, i prosić o błogosławieństwo!

Stary Martinez skłonił się.

— Ja sam, królowo, modlę się o spokój i błogosławieństwo; od lat dwudziestu błagam o przebaczenie grzechów!

Izabella z gorącem współczuciem spojrzała na siwego pustelnika, ale potem spojrzenie jej padło na łowczych, usiłujących nadaremnie spędzić psy z miejsca, w którem skryła się Henryka — krzaki nie były dość gęste, królowa zatem także spostrzegła powód wahania się psów.

Henryka struchlała — skrzyżowała ręce na piersiach i głowę głęboko ku ziemi schyliła.

— Cóż to za dziewczyna? spytała królowa.

— Moja córka, która modląc się, podziela ze mną samotność! szybko odpowiedział Martinez, głosem ze wzruszenia drżącym. Musiał on biedną, prześladowaną,

obok niego klęczącą kobietę jakimbądź kosztem ratować!

Izabella litościwie spojrzała na obie dla świata stracone istoty, poczem dała znak do odjazdu — myśliwskie rogi znowu zabrzmiały — zgraja psów opuściła na koniec zestraszoną parę.

— Niech was strzeże Najświętsza Panna! zawołała królowa do obu pochylonych, którzy dopiero wtedy swobodnie odetchnęli, gdy się świetny orszak szybko z lasu oddalił.

Henryka modląc się wzniosła ręce ku niebu — potem padła do nóg staremu Martinezowi i dziękowała mu. Ten podniósł ją i pocałował w czoło.

— Czyliż nie jesteś moją córką? spytał. Niebo mi cię zesłało, jak każdemu ojcu dobre dziecię — słusznie mogę cię moją córką nazywać!

— A ja jestem szczęśliwa, ojcze Martinezie, kiedy mnie tak nazywacie! z dziecięcą serdecznością odpowiedziała Henryka.

Starzec wziął ją za rękę i oboje udali się z powrotem do chatki, którą Henryka grzędami otoczyła — starzec budował się jej czynnością i znajdował chwile, w których zapominął o swoim ciężarze; zdawało mu się wtedy, że Henryka jest to dobry anioł, zesłany z nieba, dla ulżenia jego ciężkiemu losowi.

Wtem stara jednooka niespodzianie zachorowała. Martinez poszukał uleczających ziół, ale gorączka nie ustępowała. Zapewne dręczyły ją straszne marzenia, bo albo nieustannie wskazywała ręką, albo też jęczała okrutnie i wymieniała dzieci po imieniu.

Henryka czuwała przy chorej i pielęgnowała ją z takiem staraniem i narażaniem się, że wzruszyła starego pustelnika, który coraz bardziej lgnął do niej całą duszą, i czuł się tak szczęśliwym jak nigdy. Byłoż to przeczucie, że wkrótce i on tak wiernej piastunki potrzebować będzie? czy też uspakojało go przekonanie, że nie jest już w swej pustymi tyle co dawniej opuszczony?

Kiedy Henryka czuwała przy łożu Marii Nepardowej, pomodliwszy się poprzednio przed krucyfiksem w izbie Martineza, kiedy wszędzie w około panowała cisza jak w kościele, samotnie czuwając przypominała sobie ubiegły stan rzeczy, a tęsknota ku dziecku i Franciszkowi, budziła się w niej tak gwałtownie, że serce jej drżało, a z oczu sączyły się łzy gorące! W dzień ukrywała swój niewypowiedziany smutek, bo spostrzegła, że dobry stary Martinez i bez jej skarg jest dosyć zgnębiony, że więc raczej starca rozweselać i podźwigać powinna, lecz w cichych godzinach nocy budziła się bez przeszkody ciężka troska jej życia w całym swoim ogromie.

— Na wieki rozłączona z wami, którzy szczęście moje stanowicie! wołała z głęboką boleścią, prześladowana na śmierć narażona jeżelibym zamierzyła szukać was — a jednak życie, które z trudnością ocaliłam, tak jest czcze, tak radości pozbawione! I możeszże spodziewać się, iż znajdziesz dziecię twoje? Czy kiedykolwiek zawiśniesz na łonie Franciszka tak szczęśliwa, tak od trosk wolna, jak niegdyś? Czegoż szukasz jeszcze na ziemi, co cię wstrzymuje od położenia końca samotnemu życiu boleści? Dziecię twoje zginęło — umarło — Franciszek, otoczony

sławą i świetnością zapomniał o tobie! Jakże niegdyś pięknie marzyłaś, gdy przysięgi jego jeszcze w ustach twoich drżały, gdy w wieczór przychodził wyznawać swoją gorącą miłość — nie myślałaś wtedy, że przyszłość twoja może być bardzo smutna, kochałaś, więc nie pytałaś! Ale teraz wszystko, wszystko przepadło, jesteś sama i boisz się... tam tylko z niemi się obaczysz, tutaj na ziemi jesteś opuszczona i zapomniana...

Wtem spojrzenie jej padło na chorą: — pełna litości pomyślała o tem, że stara jednooka z odrażającem obliczem nie ma nikogo na świecie prócz niej — że wszyscy uciekać od niej będą, że stara, brzydka i przerażająca Nepardowa zginie, jeżeli ona jej pielęgnować nie będzie — więc ostrożnie miękką, ręką przegarnęła siwe włosy na czole niespokojnie śpiącej i ochłodziła napojem jej spalone, zeschłe usta. Potem pomyślała o siwym pustelniku, który w duszy równie ciężko cierpiał jak ona, a którego może spotkał los jeszcze cięższy; czuła, że jej pocieszające słowa są dla niego balsamem, a któż mu je mówić będzie, skoro ona go opuści?

Poznawszy zatem, że nie jest bezpożyteczną i opuszczoną, Henryka uczuła się podniesioną, i wtedy z coraz to większą nadzieją postanowiła stawić czoło wszelkim prześladowaniom, wszelkim straszliwościom! Dusza jej była czysta i wierna — jakżeby Bóg miał ją oddawać w moc niegodziwców? Przez jakiś czas zdawało się, że występek zwycięży, ale później wieniec dostał się temu, kto wytrwał wiernie! Aja i Józef, im zawdzięczała Henryka wszystkie straszliwe prześladowania — ale ufała

w Bogu i Najświętszej Pannie, że jej nie opuszczą, a ta myśl nabożna pocieszała ją i dodawała nowej siły, która nawet na Martineza dobro« czynny wpływ wywarła.

Po ciężkich dniach i nocach, stan Nepardowej zaczął się polepszać widocznie — gorączka i maligna coraz bardziej ustępowały, przyćmiony blask jedynego oka starej rozjaśnił się, tak, że poznała czuwającą przy niej Henrykę. Jednooka czuła, że okazywane jej przywiązanie i troskliwość są wynagrodzeniem za ów w jej życiu rzadki czyn, którego dokonała niegdyś na omdlałej przez fale wodne na wyspę wyrzuconej!

Ale Henryka uradowana uśmiechnęła się do niej serdecznie, a stary Martinez z rozkoszą zapatrywał się na pełną ofiary dobroć i cnotę zesłanej mu istoty, którą nazywał córką, a która jego ciężkiemu życiu świetnym i pokrzepiającym promieniem słońca przyświecała!

Troje mieszkańców lasu oddalonych od świata i od jego dzikich obyczajów, przedstawiało miły obraz; spokojna samotność była dla nich błogą, chociaż w duszy każde z nich miało miejsce, którego dotknąć nie śmiało!

Wtem nagle jednego dnia stary Martinez siedząc w gęstym lesie, uczuł, że żyły mu sztywnieją. Noc zaćmiła mu wzrok, mimowolnie wyciągnął ramiona żądając pomocy, ale zaraz utracił siły i przytomność. Starzec leżał jak bez życia w pustym lesie; zachodzące słońce wpadło przez otwór liści na śmiertelnie blade jego oblicze, którem padł na mech.

Nadchodziła ostatnia godzina starego Martineza, anioł śmierci rozpostarł już nad nim swoje skrzydła, aby go

przenieść do wiecznego światła przed tron sędziego Boga, aby zdał przed nim rachunek z krwawej winy, na życiu jego ciążącej.

Stary pustelnik lękał się tej godziny — wiódł życie w niedostatku i modlitwie, aby się do niej przygotować, a jednak zaskoczyła go ona jeszcze zawcześnie, bo nawet swojej ostatniej woli nie mógł powierzyć ludziom, którzy mu w ostatnich latach ulgę przynieśli, którzy mu je tak błogo rozjaśnili!

Henryka i jednooka niecierpliwie oczekiwały powrotu starego Martineza. Zwykle regularnie wracał do chatki o zachodzie słońca — teraz już noc zapadła! Obie więc z niecierpliwem oczekiwaniem stały przede drzwiami pustelni i słuchały czy nie nadchodzi — ale żadnego głosu, żadnego kroku nie słychać było w lesie.

— Muszę go poszukać, rzekła nakoniec trwożliwa Henryka; wierzcie mi, że musiał mu się jakiś przypadek przytrafić!

— Ale gdzie go po nocy znajdziesz? Las taki wielki i rozległy ostrzegała jednooka.

— Znam różne miejsca, w których Martinez chętnie przebywa; nie przeszkadzaj mi Mario; pomyśl tylko jak zawsze był on dla nas dobrym i przychylnym; grzechem byłoby, gdybym wszelkiemi siłami nie starała się go wynaleźć i pomódz mu, bo moja truchlejąca dusza mówi mi, że on w niebezpieczeństwie!

— Więc idź — ja tu będę siedziała przed chatą, bo nogi moje są jeszcze za słabe i sztywne!

Henryka pośpieszyła w gąszcz. Biegnąc prawie przybyła

najprzód na miejsce ocienione mocno zwieszającemi się drzewami nad brzegiem jeziora, gdzie zwykle siadywać lubił — nadaremnie, nie znalazła tam starego Martineza! Gnana ciągle przejmującą obawą, ruszyła dalej przez gęstwinę, często z powodu ciemności narażona na niebezpieczeństwo wpadnięcia w przepaść, często przewracając się na pnie i gałęzie — ale śpieszyła dalej bez wytchnienia! Błoto nie dozwoliło jej iść dalej, już jej śmierć groziła, gdy nie domyślając się niebezpieczeństwa zielono połyskującego niezmierne» go bagna, szybkiem okrążeniem go od utonięcia się ocaliła.

Zlana potem śpieszyła dalej — przeszukała nadaremnie wszystkie polany — starego Martineza nigdzie nie znalazła!

Dręczyła ją śmiertelna trwoga — wtem przypomniała sobie, że po drugiej stronie szerokiego, bystrego strumienia leśnego, jest jeszcze jedno miejsce w gęstwinie, na którem pustelnik lubił modlić się.

Bez namysłu zatem wskoczyła w tę część wody, którą znała jako najpłytszą. Kaszlać i piersiami robiąc dostała się wreszcie na drugi brzeg strumienia.

— Matko Boska dopomóż! rzekła w duchu i pośpieszała po wodzie! I Matka Boska pomogła. Chociaż bystra z góry na dolinę spadająca woda sięgała rozgrzanej Henryce powyżej kolan, dostała się ona jednak bezpiecznie na drugi brzeg i jeszcze szybciej pobiegła dalej między drzewami.

Na koniec zdało się jej, że niedaleko pod krzakiem widzi leżącego człowieka. Krzyknęła więc przelękniona i zbliżyła się ku niemu; bez tchu prawie i łzami zalana przypadała i ramionami objęła nieruchomego starca!

Lecz trzeba było działać, być silną, bo może jeszcze pomoc była możliwą, gdyż stary Martinez był jeszcze ciepły.

Bez zwłoki zatem znowu pobiegła do strumienia, nazbierała wielkich liści i przyniosła w nich świeżej wody, ochłodziła czoło starca i wlała mu kilka kropel w usta; potem gdy ujrzała, że Martinez leży nieruchomy, rzuciła się na niego z okrzykiem rozpaczy.

Starzec otworzył zaćmione oczy.

— Ojcze Martinezie, ocućcie się! zawołała Henryka i znowu skropiła skronie pustelnika. O! spojrzyj na mnie, spojrzyj twojem szacownem, zacnem okiem choć raz i przemów do mnie!

— Co się stało, moja córko? grobowym głosem wyrzekł omdlały starzec, który zaledwie zdołał otworzyć powieki. Sądzę, że się zbliża moja ostatnia godzina!

— O! nie mówcie tak, ojcze Martinezie. Cóż pocznie wasza córka Henryka? gdzie znajdzie przytułek, jeżeli od niej odejdziecie?

— U mojej siostry Juanny — powiem ci wszystko — muszę ulżyć mojemu obciążonemu sercu — chodźmy do chatki — tam się o wszystkiem dowiesz! prawie bez głosu wyszeptał stary Martinez i połknąwszy nieco chłodzącej wody, chciał wstać. Nie mogę, moja córko! członki moje wypowiadają mi posłuszeństwo; czuję, że jestem bliski skonu.

Henryka przemocą łzy swoje wstrzymała.

— Tylko odważnie, ojcze Martinezie, obejmijcie mnie, oprzyjcie się na mnie, zaniosę was do chatki na posłanie!

— A potem oboje pomodlimy się przed krucyfiksem! Kiedy klęczysz przy mnie, Najświętsza Panna łaskawiej przyjmuje moje modlitwy, ty obrazie niewinności, ty mój dobry aniele!

I Henryka podniosła starca, który na swoich bezsilnych członkach utrzymać się nie mógł — zdawało się, że ramiona jej nagle większej jak dotąd nabrały siły. Z trudem i ostrożnie postępowała przez las w kierunku chatki — powoli ze swoim wielkim ciężarem postępowała naprzód — ale wdzięczne spojrzenie starca nagradzało ją i na nowo umacniało.

Nakoniec w pośród głębokiej ciemności zbliżyła się z Martinezem do chatki, przed którą czekała na nich jeszcze siedząca jednooka, która o ile zdołała przyszła im w pomoc. Ale gdy pustelnik wskazał wyrzeźbiony swoją ręką krucyfiks i Henryka przed nim go położyła, sama zaś tuż przyklękła, skinął na starą Marię Nepardową, aby z jego izby wyszła — zapragnął pozostać sam ze swoim dobrym aniołem, aby się za niego modlił, aby mu ulżył w ciężkiej godzinie i wzbudził w nim nadzieję łaski i przebaczenia niebieskiego. Stary Martinez z przerażeniem spojrzał na palce swoje, na których zaschła krew przez dziesiątki lat modlitwy obmyć się nie dała.

Henryka złożyła ręce — blade, piękne oblicze wzniosła w niebo — a było to oblicze jakby Madonny, w które siwy pustelnik wpatrywał się z nadzieją.

Wtedy wierna piastunka zaniosła go na mchowe łoże i okryła kołdrą.

— Nim umrę, wszystko ci opowiem — pragnę ulżyć

mojemu sercu, a ty módl się za moją biedną duszę! mówił cichym głosem.

Henryka uklękła przy łożu, i drżącą ręką starego Martineza, który z nią podzielił się mieszkaniem, okryła pocałunkami i polała łzami gorącemi, które przed nim ukrywać musiała.

— Krew jest na nich i ty mnie jeszcze potępisz i przeklniesz, jak ja sam siebie przekląłem!

— Tegoby Matka Boska nigdy nie przebaczyła! Pocieszać was i modlić się z wami pragnę i ulżyć wam w godzinach boleści!

— Jakże mnie słodko czaruje twoja obecność! i jak mocno ciąży przeszłość na mojej piersi! rzekł starzec. Posłuchaj!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: George Füllborn i tłumacza: anonimowy.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Izabella królowa Hiszpanii. Powieść historyczna

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wydarty
- Piotr433
- Wieralee
- Seboloidus
- NiktWażny
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium